

Ks. Eugeniusz Ceria

MEMORIE BIOGRAFICHE

DI DON

GIOVANNI BOSCO

TOM XII

1876

POGRZEBIEŃ 1958

Słowo wstępne

W roku 2009 Zgromadzenie Salezjańskie obchodziło 150 – lecie swego istnienia, a obecnie przygotowuje się do kolejnej ważnej rocznicy: w roku 2015 minie 200 lat od narodzin św. Jana Bosko. Ojciec i Nauczyciel Młodzieży jest żywy i wyraźnie widoczny w dziełach salezjańskich na całym świecie. Odczuwamy jednak potrzebę odkrywania na nowo naszego Ojca poprzez osobiste i wspólnotowe studium przekazów o Jego życiu. Najbardziej obszernym opracowaniem biografii ks. Bosko jest *Memorie Biografiche di San Giovanni Bosco* autorstwa ks. Giovanni B. Lemoyne i innych. Dzieło zostało przetłumaczone z oryginału przez naszych Współbraci i udostępnione w nielicznych egzemplarzach oprawionego maszynopisu. Winni jesteśmy im wdzięczność za wieloletnią żmudną i pokorną pracę nad tłumaczeniem. Proszę jednak spróbować wypożyczyć to dzieło do osobistej lektury – niewykonalne wręcz zamierzenie, chyba, że jest się nowicjuszem lub studentem w seminarium salezjańskim. W tej sytuacji należy oddać honor ks. Stanisławowi Łobodźcowi, dyrektorowi Domu p.w. św. Jana Bosko w Lubinie i Ks. Stanisławowi Górczakowskiemu, którzy zainicjowali przepisanie całego dzieła i umieszczenie go również na nośniku elektronicznym. Jest to dla Rodziny Salezjańskiej w Polsce wydarzenie doniosłe na drodze wyznaczonej przez Kapitułę Generalną 26: **powrócić do Księdza Bosko**. Niech Pan Bóg błogosławi wszystkim, którzy zaangażowali się w umożliwienie szerokiego dostępu do Pamiętników Biograficznych, a ich czytelnikom życzę głębokiego spotkania ze św. Jana Bosko.

Ks. Alfred F. Leja - Inspektor

Twardogóra, dnia 19 czerwca 2010 roku

PRZEDMOWA

Także poniższy tom dwunasty obejmuje tylko jeden rok a mianowicie: 1876. Rok to jeden z najbogatszych w SNY!, właściwie Księdzu Bosko, między którymi czołowe miejsce ma zjawienie się Dominika Savio. W tych miesiącach na pierwszy plan występuje zagadnienie misji zapoczątkowanych w Argentynie. Dalej interesujące są konferencje doroczne dla dyrektorów i ówczesny sposób podchodzenia do rozwiązania różnych kwestii związanych z organizacją świeżo zatwierdzonego Zgromadzenia, a także wypowiedzi Świętego, dotyczące spraw wychowawczych jak i formacji nowych kandydatów. Oczywiście trwają w tym roku dalej nieporozumienia z arcybiskupem Gastaldim, stanowiące ciężki krzyż, jaki wypadło nieść naszemu Założycielowi przez kilka dobrych lat. Ale podobne przeżycia są rzeczą można by powiedzieć, normalną w życiu Świętych. Sam Papież Benedykt XIV stwierdza, iż dla prowadzących procesy kanonizacyjne znaczącym jest wskaźnikiem, czy kandydat na świętego cierpiał prześladowania i czy je znosił w duchu miłości.

Może kogoś dziwią przytaczane w ciągu opowiadania rozmowy wprost i dialogi, jako coś mniej odpowiadającego dla szanującego się historyka. Otóż te dialogi po większej części przechowane zostały we własnoręcznych zapiskach księdza Barberisa, który pełen czci dla ojca swej duszy, ze skrzętną miłością zapisywał jego poufne konwersacje w kółku swych najbliższych. Ksiądz Bosko zaś opowiadając swe przeżycia, lubił odtwarzać je na żywo i powtarzał ich więcej, o ile mu pamięć pozwalała przypomnieć sobie przeprowadzone w różnych okolicznościach rozmowy. Słuchacze jego, jak ksiądz Lemoyne i inni, zapisując te przemówienia spisywali je dosłownie, jak słyszeli. Nic więc dziwnego, że je tu także według ich zapisków przekazujemy pewni, że swym czytelnikom uczynimy rzecz miłą, bo tym lepiej będą mogli wczuć się w atmosferę owych czasów, poznać styl i pogłębić ducha naszego Ojca i Założyciela. I przecież o to głównie nam chodzi.

ROZDZIAŁ I

Z POCZĄTKIEM NOWEGO ROKU 1876

Do rozpoczęcia niniejszego tomu nadają się bardzo dobrze wypowiedzi, jakie Ksiądz Bosko miał w różnych okolicznościach, czy do współbraci, czy do młodzieży w Oratorium, bądź do Synów Maryi. Czytając je, któżby się mógł domyślać, ile za nimi kryło się trosk i kłopotów. Przeszkody na drodze do urzeczywistnienia Dzieła Najświętszej Maryi Wspomożycielki oraz Pobożnego Związku Pomocników Salezjańskich, nie tylko nie ustawały, ale nawet wzmożyły się w roku 1876, zaś zabiegi o podtrzymanie dzieł rozpoczętych, rozbudowa zakładów i szkół, troska o wyżywienie tylu sierot - oto codzienny, zmudny tryb życia Świętego. A jednak przy tej intensywnej działalności znajdował on jeszcze czas, by zetknąć się osobiście ze swymi synami i młodzieżą. W rozmowach tych odbija się w pełni jego dusza, zawsze pogodna i zdana na Opatrzność Bożą.

DO SALEZJANÓW

Ze swoimi drogimi Salezjanami utrzymywał bardzo serdeczny kontakt czy to przez prywatne rozmowy, czy przez wspólne konferencje, czy listownie.

Z okazji rozpoczęcia nowego roku, rozmawiając z grupą swoich zaufanych, Ksiądz Bosko zrobił przed nimi jakby bilans ogólny Zgromadzenia. Przedstawił im, jak Pan Bóg błogosławi Towarzystwu pobudzając ludzi obcych, nawet niechętnych Kościołowi, do współdziałania z nim nad jego rozwojem. I tak hrabia Cavour zapraszał Go niekiedy na obiad, interesując się rozwojem Oratorium. Minister Ratazzi, odwiedzając Go na Valdocco, nie szczędził mu słów uznania, nawet dawał wiele cennych rad i ostrzeżeń, w celu uniknięcia możliwych trudności ze strony władz państwowych. Minister Vigliani zasięgał listownie rad u niego i przyjmował Go w Rzymie z oznakami szczególnej czci. Tak samo postępowało wiele innych osobistości, bynajmniej nie podejrzanych o sprzyjanie Kościołowi. Czy to nie dziwne? A jeszcze dziwniejsze, mówił dalej, że nasze Zgromadzenie rozwija się, podczas gdy inne zakony podupadają. Cierpią one na brak powołań w czasach, gdy my mamy tylu zdrowych i rokujących najlepsze nadzieje nowicjuszków. Nie koniec na tym. Wszyscy ci nasi młodzi aspiranci i współbracia, którzy wzrosli pomiędzy nami, objawiają tak dobrego ducha i tyle gorliwości, miłości, entuzjazmu i zapału do pracy, że nie łatwo ich w tym przewyższyć. Patrzcie na naszych kleryków, czy i księży, jak pracują, prowadzą szkołę, uczą się sami, udzielają korepetycji, asystują, przygotowują do pierwszej spowiedzi i Komunii świętej... Ja sam widząc to wszystko, jestem wzruszony i zbudowany. Mimo woli wyrrywają mi się z serca słowa Psalmisty: „A Domino factum est istud, et est mirebile in oculis nostris”. Myśląc o przyszłości, gubię się

w przewidywaniach. Jeśli bowiem w tych kilku latach zdołaliśmy osiągnąć za łaską Bożą tak wiele, że dysponujemy tysiącem blisko współbraci, mamy kwitnące Oratoria w Turynie, otwarliśmy w ubiegłym roku 10 nowych placówek we Włoszech, jeden dom we Francji, dwie stacje misyjne w Ameryce - to jaką przyszłość przygotowuje nam Opatrzność Boża w następnych latach? Od dwóch lat jesteśmy już zgromadzeniem zatwierdzonym przez Kościół i idziemy pewnym krokiem naprzód. A jeśli odpowiemy wiernie zamiarom Opatrzności, to działalność nasza obejmie wkrótce całą Europę, owszem świat cały. Zachowajmy, więc tego ducha Zgromadzenia naszego, a doczekamy się wielkiego triumfu w świecie.

Wobec tylu kleryków, jakich widywano w Oratorium, utarło się powiedzenie, że tam jest fabryka kleryków. Także monsignore Zappata, gdy rodzice pytali go na temat powołania swych dzieci, mawiał : „Poślijcie waszego syna na kilka miesięcy do Księdza Bosko, a jeśli nie ma powołania, na pewno tam nabędzie”. Niech się jednak nie myśli, że Ksiądz Bosko nie doceniał tego, co dyktowała roztropność i przepisy Kościoła, otóż pewnego dnia przyszła do niego rodzina : ojciec, matka i syn, przysłani przez monsignora Zappata. Rodzice żalili się : Ten nasz syn miał zamiar zostać księdzem i zapewniał nas o tym, a teraz to nawet nie chce słyszeć słowa na podobny temat. Cóż biedni mamy robić? Zamęczali, więc biednego chłopaka ciągłym naleganiem, ażeby pozostał przy pierwotnym zamiarze. Ale Ksiądz Bosko upomniał ich w obecności syna, mówiąc: Przecież powołanie nie jest rzeczą, którą można narzucić komu. Jeśli sam poczuje chęć do tego stanu, to niech zastanowi się, niech się modli, a wtedy sam zadecyduje to, czego sobie życzy. Ale jeśli go ten stan nie pociąga, na żaden sposób nie można go do tego zmuszać. Potem zamienił kilka słów poufale z chłopakiem, który odszedł, pozostawiając uzasadnioną nadzieję, że w swym pierwotnym zamiarze wytrwa.

Ale sprawą, do której najczęściej wracał w rozmowach prywatnych i publicznych, były misje. Najwięcej interesował się Patagonią. Wiedział o nieudanych wysiłkach misjonarzy z innych zakonów w tym kraju i mówił do swoich: „My mamy lepsze szanse, bo możemy korzystać z doświadczenia innych. Do dzieła zabierzemy się trochę inaczej: zaczniemy od młodzieży. W tym celu trzeba będzie w jakiejś miejscowości bardziej ucywilizowanej, a niezbyt odległej od osad dzikich, założyć zakład i podczas, gdy będzie się pracować dla ludności miejscowej, znajdziemy okazję nawiązać kontakt z poganami, poznać ich zwyczaje i język. Będzie korzystną rzeczą, a myślę, że znowu nie tak trudną przyjąć do zakładu jednego ze synów tych dzikich, gdyż jak słyszę przychodzą oni do miasta ze swoimi interesami. Traktując ich z dobrocią i nie żałując podarków utorujemy sobie drogę do ich rodzin. A zaprowadzą nas do nich ci z ich synów, których przyjęliśmy do zakładu. Muzyka, śpiewy, pomoc materialna pociągną ich ku nam coraz bardziej, a późniejsze, pełne roztropności odwiedziny jednego czy drugiego z naszych misjonarzy zrobią resztę. A gdyby Pan Bóg w swej Opatrzności zażądał od któregoś ze salezjanów męczeństwa, czyżby to miało nas przerazić?”.

Nasze placówki w Patagones od roku 1879 i we Viedma w ten sposób rozpoczęły swoją pracę i wyniki były pocieszające. Były napady i zasadzki, ale bez większych szkód. Były i ofiary, choć nie ze strony dzikich, ale na skutek żywiołów. Warto tu zauważyć, że samej nazwie dzikich nie trzeba nadawać zbyt tragicznego znaczenia, bo nie byli to żadni ludożercy, ale ludność raczej pierwotna, zazdrosna o swoją niepodległość, rządzona przez kacyków, niepozbawiona i szlachetniejszych uczuć. Od dłuższego czasu Ksiądz Bosko nosił się z myślą o misjach w Indiach i Australii. Nie odstraszały go trudności związane z opanowaniem języka angielskiego. Uważał, że zabierając się do niego raczej praktycznie niż teoretycznie, jego przyszli misjonarze przewyciężą i te przeszkodę. Podsuwał im do tego taką metodę: Zacząć od wyuczenia się najpotrzebniejszych słów w życiu codziennym, po paru tygodniach zacząć już konwersację tak, jak się da, by nabrawszy trochę wprawy, móc już pod kierownictwem nauczyciela angielskiego udoskonalić styl i wymowę.

Zasadniczo jest to metoda Berlitz, która później na ogół była stosowana. O otwieraniu zakładu wychowawczego w Anglii wtedy jeszcze nie myślał. Przez Oratorium przeszło już kilkunastu Anglików, ale żaden z nich na stałe nie pozostał. Nastąpiło to dopiero w późniejszych latach.

Pierwszy dom salezjański na wyspach brytyjskich otwarto w Battesej przedmieściu Londynu, ale już po śmierci Świętego. Pertraktacje wszelako rozpoczęły się o wiele wcześniej.

Ażeby móc swoich rozsyłać do krajów o różnych językach, podzielił aspirantów misyjnych na trzy grupy: jedna uczyła się języka hiszpańskiego i zaznajamiała się ze zwyczajami okolic o kulturze hiszpańskiej druga francuskiego, trzecia angielskiego. Nauka tychże języków miała być prowadzona dalej, również na filozofii i teologii. Plany Księdza Bosko nie pozostały bezowocne, a plon ich pozostał w całej pełni wykorzystany, w miarę jak rozszerzały się tereny pracy misyjnej salezjańskiej. Trzy wyżej wspomniane kategorie lingwistyczne w Oratorium zamieniły się z biegiem czasu we wielkie zakłady, przygotowujące pracowników ewangelicznych księży i koadiutorów dla różnych ośrodków misyjnych.

A teraz od rozmów prywatnych Księdza Bosko ze swymi synami duchowymi, z którymi tak chętnie omawiał swoje plany na przyszłość, przejdźmy do konferencji ogólnej, jaką miał do swoich kleryków w Oratorium, nie tylko nowicjuszków, ale i profesów. Mówił o czystości. Treść tego przemówienia zachował nam kleryk Peloso.

Zdaje mi się - zaczął Ksiądz Bosko - że wasza gromadka nieustannie wzrasta, co stwierdzam, ilekroć tu do was przychodzę. Widocznie nawet sam diabeł nie może temu przeszkodzić.

Dzięki Bogu, ukończyliśmy szczęśliwie rok 1875 i rozpoczynamy nowy 1876 pełni ufności, że spędzimy go w łasce Bożej, czego wam całym sercem życzę.

Na poprzedniej konferencji mówiłem na temat powołania, podając wskazówki, pomocne do jego zachowania; dziś zamierzam mówić, jak wykorzystać dla swojej duszy owoce powołania.

Otóż kto poświęca się Bogu, oddaje Mu wszystkie swoje siły, wszystkie swoje namiętności, w szczególniejszy sposób swoje cnoty. Ale namiętności nie łatwo dają się utrzymać w ryzach, zwłaszcza jeśli chodzi o cnotę czystości, na której opierają się wszystkie inne cnoty. Nie zamierzam tu silić się na opisywanie piękności tej cnoty; nie starczyłoby na to całych lat konferencji ani grube tomy, aby przytoczyć wszystkie przykłady, jakie na jej temat znajdujemy w Nowym i Starym Testamencie i w historii Kościoła. Nie chcę też mówić wam o poście, o powstrzymywaniu się od tego czy owego pokarmu, słowem o umartwieniu zmysłów, które jak wiemy dobrze, wielce pomaga do zachowania tej cnoty. O tym będziecie czytać w żywotach Świętych i o tym będą wam nieraz mówić na konferencjach. Więc w takim razie mnie powiecie: Otóż czekamy, Księżę Bosko... przyszedł Ksiądz mówić do swoich kleryków, których kocha jak źrenicę swego oka. Cóż więc nam Ksiądz powie pięknego?

Otóż powiem wam, że cnota czystości jest klejnotem, perłą najkosztowniejszą, zwłaszcza dla kapłana i kleryka, którzy poświęcili swoje życie, całą swoją dziewiczość Panu Bogu. W warunkach, w jakich wy się znajdujecie dobrze będzie, że uświadomicie sobie lepiej pewne drobne wprawdzie rzeczy, które jednak wielce pomogą wam do zachowania tej cnoty, bez której Ksiądz, czy kleryk jest doprawdy niczym, posiadając zaś, jest wszystkim, bo przyszedł mu z nią wszystkie skarby.

Pomówmy, więc o tych drobnych rzeczach tak pożytecznych i łatwych. Jakież to więc są? Zaraz zobaczmy i przekonamy się o ich wartości.

1. Zaczę od stwierdzenia, że nie mało pomaga do zachowania czystości dokładne wypełnienie swoich obowiązków. Do nich należą: nauka, asystencja, katechizacja i inne wasze prace, które mają być wykonywane stosownie do przepisów regulaminu. Chodzi głównie o punktualność we wszystkim: punktualność tak w przyjsciu na obiad, jak udaniu się do kościoła, czy na spoczynek.

2. Znajdować się na rekreacji przez czas ustalony. Strzeżcie się by rekreacja nie była dla was przyczyną zbytniego rozproszenia lub okazją do wygadywania na ten czy inny punkt Reguł, czy na przełożonych. Niech rekreacja będzie prawdziwą rekreacją, czyli odświeżeniem umysłu natężonego od rana przy nauce, po której ciało będzie wypoczęte i każdy będzie mógł z nową energią zabrać się do swoich zajęć. Ale wy mi powiecie: co ma rekreacja wspólnego z cnotą czystości? A ja wam odpowiem, że jest ona najskuteczniejszym środkiem do jej zachowania. Jesteście asystentami chłopców lub nimi będziecie. Otóż, jeśli ujrzyecie chłopca, który będąc zdrow jest posępny, nie wdaje się w rozmowy z nikim, a zagadnięty miesza się w udzielaniu odpowiedzi, to wiedzcie, że umysł tego chłopca zaprzętają myśli bezwstydnne i o ile się go spuści z oka, to pójdzie gdzieś w ką, by czytać tam książki, czy pisma złe. A jego cnota jest wystawiona na największe niebezpieczeństwo.

Jaka jest tego przyczyna? Bezczynność na rekreacji. Samotny chłopiec zacznie snuć myśli, które przedtem w ogóle go nie zajmowały, powoli znajdzie w nich upodobanie, do którego dołączy się zezwolenie, a stąd do czynu już tylko mały krok. Św. Filip Nereusz, który znał tajniki tej cnoty, mawiał do chłopców: Krzyczcie

i hałasujcie ile chcecie, ale nie grzeszcie. Chłopcy też w praktyce nie gorzej słuchali tej rady. Wobec ich krzyków ten czy ów z braci wychodził z celi, a widząc, jak chłopcy wszystko przewracają do góry nogami, gromił ich surowo: A niecnoty, to tak się robi? Chcecie wszystko popsuć i połamać? Ale chłopcy na to nie zważali i robili jeszcze większy rwetes. Wszak mieli na to pozwolenie dyrektora i to ich usprawiedliwiało. Braciszek widząc, że słowa jego nie odnoszą skutku, idzie oburzony do świętego Filipa i wyrzuca mu: Niechże ojciec idzie uspokoić te hołotę... co ojciec nie słyszy? Rozwałą cały dom. Święty widząc wzburzenie swego współpracownika, wyszedł do chłopców, zawołał ich do siebie i upomina: No urwisy, słuchajcie, uspokójcie się, jeżeli możecie, hałasujcie po cichu. Chłopcy po tych słowach zaczęli wyprawiać jeszcze większe brewerie, a braciszek musiał wycofać się, nie rozumiejąc podobnej taktyki. On byłby najchętniej przyszedł do rękoczynów wobec takiego wandalizmu. Ale święty Filip nie przestawał powtarzać z wielkim przekonaniem swoim współpracownikom: Nie pozwalajcie nigdy, żeby chłopcy stali beczynnymi na pauzie. To samo mówię wam i ja. Im hałaśliwsza będzie rekreacja, tym będę więcej zadowolony. Pewnie, że w tej chwili nie możecie wybiec na podwórze, bo tam śnieg i ślizgawica... /Trzeba pamiętać, że konferencja odbywa się w styczniu/.

Ale po rekreacji trzeba zaraz udać się na swoje miejsce i sumiennie zabrać się do pracy. W studium nie marnować chwili czasu i pilnie się uczyć. Przyjdzie potem godzina podwieczorku. Zaraz powinni wychodzić wszyscy, którzy go potrzebują. Następnie jest nabożeństwo, trzeba na nie iść z pobożnością, by być dla innych dobrym przykładem i znów wracać do uczelni. W ogóle czynić wszystko dokładnie i w swoim czasie stosownie do regulaminu Oratorium.

3. Ale czy wystarcza to wszystko? Pewno, że mogłoby wystarczyć, gdyby rozkład dnia i regulamin był dokładnie przestrzegany. Reguła zaś, którą często polecam i zawsze polecałem i zawsze będę polecał, to ta, by wieczorem po modlitwach bezwzględnie zachować milczenie, nie zatrzymując się z nikim na rozmowy. Po modlitwach należy zaraz iść do łóżka. Jeżeli ktoś ma obowiązek asystować w sypialni, niech i to spełni w skupieniu. Nie zatrzymywać się na plotkowaniu ze z tymi, którzy wspólnie asystują. Oczywiście niedopuszczalną jest rzeczą, by ktoś specjalnie chodzi do chłopców, czy do kolegów, by im życzyć dobranoc. Jedno słowo pociąga za sobą drugie i rozmowa się przewlecze, a takie prowadzenie rozmów po sypialniach wieczorem, prócz tego, że jest regulaminem Oratorium zakazane, przez wszystkich jest uznane za rzecz zgubną. Przypominam sobie, że Wergiliusz w IV księdze Georgik zwraca uwagę, iż pszczoły o jednej porze zaczynają pracować i o jednej porze idą razem na spoczynek. Omnibus una quies, labor omnibus unus. Trzeba i tę regułę bardzo wiernie przestrzegać. Trudno mówić tu o wszystkim, co mi się na myśl nasuwa. Ale mogę powiedzieć wam, że większość świeżo zaistniałych nieporządków było spowodowanych tym, iż niektórzy wbrew regulaminowi chodzili wieczorem na pogawędki z drugimi, gorsząc samych chłopców. Inni zapraszali towarzyszy do swej celki na poczęstunek, a to już jest absolutnie

zabronione. Każdy powinien pozostać we własnej celce, nie wychylać się z niej, chyba w razie koniecznej potrzeby. Był nawet taki, który pisywał listy i snuł plany, jeśli nie całkiem przeciwne cnocie czystości, to przecież bardzo nieodpowiednie. Przykre to oczywiście było dla Księdza Bosko, ale nie tylko jemu samemu, ale także winowajcom, którzy z tego powodu musieli złożyć suknię zakonną. A dlaczego? Wszystkiemu winne różne pogawędki po modlitwach wieczornych.

4. A dalej ci, co późno idą spać wieczorem, nie skorzy są do wstawania rano.

O której się u nas wstaje ?

O w pół do szóstej.

Dobrze, to znaczy, że mogę sobie jeszcze pospać z kwadrans i tak zrobię wszystko do dzwonka: ubiorę się, umyję, pościelę łóżko...

Ale kwadrans upłynął.

Co już trzeba wstawać ? E, jeszcze pięć minetek... Pięć więcej, pięć mniej, zawsze się zdąży. I tak sobie drzemie, a właściwie wyleguje się dalsze pięć minut. Ale i te minęły i jeszcze pięć minęło... dzwonek. Co tu robić? No, znowu!.. Czytałem w Cyceronie, że przecież uczonemu wolno czasem i skłamać... Zresztą to kłamstwo nieszkodliwe. Powiem, że jestem chory...

Oj, moi drodzy, gdy się tak rzeczy traktuje, to najlepszy dowód, że się ciału daje więcej, niż mu się należy.

Proszę zapytać tych, co karmią źrebięta, co im dają i ile, a dowiemy się, że trochę siana, trochę owsa, ale tylko tyle, co konieczne i nic więcej. Inaczej by wierzgały.

To samo trzeba powiedzieć odnośnie do naszego ciała. „Sicut equus et mulus” - jak koń, czy osioł i muł. Jeśli damy mu za wiele, uprze się i bryknie. „Incrassatus, impinguatus, recalcitravit”.

A szatan „circuit querens quem devoret” - krąży koło nas, szukając kęsa, by wbić w niego swe kły i pożreć go. A nie tylko jest diabeł południowy, który napada śpiących po obiedzie, ale jest także diabeł ranny, o którym mówi księga Tobiasza. Ten szatan odwraca duszę od pacierzy. Kiedy dwóch się modli, Pan jest wśród nich, a Baranek Niepokalany oddaje Ojcu Przedwiecznemu ich westchnienia, otrzymując dla nich łaski, pociechy i wielkie nagrody. Przeciwnie, ci, co ulegają szatanowi rannemu, wylegując się w łóżku, nie uczestniczą w praktykach wspólnych, ponosząc przez to wielką szkodę dla swojej duszy. Co więcej dają ciału pokarm szkodliwy, który ich rozleniwia. Przekonani zawsze, że nie mają dostatecznego odpoczynku, dają szatanowi podstawę dalszego kuszenia ich, jak gdyby i bez tego nie mieli dość pokus. Czy takim pokusom leń zdoła się oprzeć i utrzymać się w czystości? Pewno będzie to bardzo trudne, rzec by można, że byłby to prawdziwy cud łaski Boskiej, jeśli nie upadnie. A takich cudów Pan Bóg nie robi. Niejeden zaś mi powie: A jak tak postępowałem i nigdy nie upadłem. A ja na to: Doprawdy nigdy nie upadłeś ani myślą, ani słowem, ani pożądaniem?

Jeśli mi powiesz, że nigdy, to ja będę zmuszony stwierdzić: jeżeli mi mówisz prawdę, to Pan Bóg rzeczywiście działał dla ciebie prawdziwy cud, iż utrzymał cię na wysokości twojego powołania... Nie ma tu czasu przytaczać licznych przykładów. Powiem tylko, co wczoraj wyczytałem w liście jedyne go byłego kleryka, który właśnie z powodu takich wykroczeń opuścił Oratorium. Chciałem go nawet odczytać wam dosłownie, ale powiem tylko treść. Otóż pisał tak: Pewnego wieczoru, po modlitwach Ksiądz zalecał nam chłopcom strzec się diabła porannego, to znaczy nie wylegiwać w łóżku po dzwonku. Nie wierzyłem Księdzu na słowo i nie chciałem skorzystać z tej rady mówiąc sobie: O, Ksiądz Bosko ucieka się do takich chwytów tylko, dlatego, by wszyscy wstawali na czas. I nie wyzbyłem się przyzwyczajenia wylegiwania się rano. Otóż w tych kilku minutach zabierał się szatan do roboty około mnie, stawiał mi przed oczy obrazy fantastyczne, potem naprowadzał myśli nieskromne, te przybierały kształty czarujące i gwałtowne. Przyszło upodobanie... przyzwolenie i katastrofa. Opuściłem Oratorium i poszedłem do innego seminarium, z tamtego jeszcze do drugiego, wciąż dręczony tymi samymi myślami przez tego samego diabła porannego, aż wreszcie zdecydowałem się posłuchać rady Księdza. Wtedy uczułem się spokojniejszy. Kosztowało mnie to dużo, by wstawać punktualnie, ale ostatecznie diabeł został pokonany. Niestety powołanie straciłem i Bóg sam wie, jak sobie dam radę na tym świecie. Może Ksiądz Bosko dać moje przeżycia za przykład swym klerykom, może im nawet powiedzieć moje imię, jeżeli mnie tam pamiętają i proszę im powiedzieć przy tym, że wszystkie moje nieszczęścia spowodowane były opieszałością przy wstawaniu rano na dzwonek.

Ileż podobnych bolesnych przykładów mógłbym tu przytoczyć; ale my jeszcze dalej o tym diable rannym, bo z tego można wyciągnąć wiele pożytecznych wniosków.

Otóż nasz leniuch uzbroiwszy się zasadą tak zwanego kłamstwa cycerońskiego, nareszcie się podnosi. A ileż przy tym przeciągań się i ziewań, zanim wygramoli się z łóżka...

Jest ubrany. Oczywiście nie kończy się na tym pierwszym zaniedbaniu. Bo oto, jak sobie rozumuje: Właściwie teraz jest czas iść na Mszę św. Ale jeżeli idę na Mszę św., to nie będę miał czasu przygotować lekcji, a więc? Chodźmy do uczelni, a następnie, jeśli jeszcze zostanie czasu, to wstąpię do kościoła. Przyszedłszy do studium, rozumuje dalej: Jak to teraz mam iść na Mszę św. kiedy inni idą na śniadanie. Przecież jestem głodny... E, ostatecznie dzisiaj opuszczę kościół, za to jutro pomodłę się lepiej.

I idzie na śniadanie. Wtem spotyka po drodze towarzysza, który go pyta:

Jak się masz ?

O, dobrze.

A dokąd idziesz?!

Na śniadanie.

No, a Mszy św. nie wysłuchasz dzisiaj?

No, cóż robić, już późno.

No tak, ale dzisiaj jest czwartek i właściwie reguły zalecają Komunię świętą...

To prawda, ale dzisiaj już za późno. /A właściwie mi się niechce/. Ale pójdę jutro.

No i zapytajcie takiego wieczorem, jak przeżył ten dzień. A na pewno, jeśli będzie szczerzy powie wam, że go spędził bardzo źle, bo go zaczął z porannym diabłem lenistwa.

5. „Hoc genus daemoniorum non eicitur nisi a ieiunio et oratione”. Ale nie myślcie zaraz, że będę wam zalecał szczególniejsze, długie posty. Wcale nie. Nie zalecam ostrych postów, ale zalecam wam umiarkowanie, szczególnie wystrzegajcie się wina. To, które wam się podaje przy obiedzie i wieczerzy, jest podane w mierze. Nie może wam zaszkodzić, owszem dobrze będzie je wypić. Ostatecznie nie jest ono barberą z Asti, by mogło szkodzić. Ale jednak zapamiętajcie to dobrze, że wino i czystość nie chadzają razem w parze. Konieczne jest umiarkowanie. A przecież brak go u wielu. Bardzo przykro mi jest, gdy w celach i kufrach waszych znajdują się butelki trunków i wina, czy wódki, kurczaki, ciastka i inne smakołyki.

Moi drodzy, rano macie przecież mleko i chleb dowoli, przy obiedzie macie to, co jest potrzebne, by najeść się do syta. To samo na wieczerzę. Nie wiem, czego byście jeszcze chcieli... Jedzenie poza godzinami ustalonymi jest żarłocznością i obciążeniem żołądka.

Wielu potem musi iść do szpitalika. Gdy się ich pyta, co wam jest, nie wiedzą, co odpowiedzieć, aż wreszcie zawstydzeni mrukną wam:

Czuję..., że mam żołądek.

No dobrze, ja wiem, że masz żołądek, ale co mu się stało ?

Czuję się źle we wnętrzu...

E, chciałoby się odpowiedzieć takiemu: Gdybyś się był nie objadał poza czasem, nie byłbyś teraz, w szpitaliku.

Tu chcę podkreślić pewien nieporządek, jaki zaszedł w tych dniach. Mam wrażenie, że jego sprawcy już tutaj nie ma. Otóż ten naiwniak, wówczas, gdy inni spali, schronił się do swej celki, zapraszając współkolegę na podwieczorek okazyjny. Skonsumowali porządnego kurczaka i zalali go winem i znowu dalszy ciąg kurczaka i ponownie go zakropiono i tak poszli na spoczynek po dłuższej pogawędce, z tą bagatelą na żołądku, która jeśli nie spowodowała im apopleksji, to na pewno mogła ich nabawić poważnej choroby. Nie wiem, jak tam było u nich z czystością w tej sytuacji. Ale jeśli ją zachowali, to tylko za szczególną łaską Boską.

6. Inną rzeczą niebezpieczną dla czystości, to przyjaźnie. Nie chodzi o przyjaźnie prawdziwe, braterskie, ale o te osobiste, przez które serce przywiązuje się bardziej do jednego niż do drugiego. Niektórzy, a jest ich stosunkowo niemało - pociągnięci jakąś zaletą fizyczną, czy moralną towarzysza, albo podwładnego, starają się pozyskać jego względy, ofiarując mu to kieliszek wina, względnie cukierek, obrazek, książkę lub jakiś inny upominek. Znajomość ta zaczyna pochłaniać im umysł i fantazję. Stąd namiętne spojrzenia, uściski rąk i pocałunki, a potem liściki i dalsze

podarunki. Następują słodkie słówka: Zrób mi tę przyjemność, zrób mi to i owo, chodź, pójdziemy tu, pójdziemy tam. Dwaj ci przyjaciele ani się spostrzegą, jak zostaną uwikłani w sidła diabelskie. Iluż to chłopców, którzy rokowali jak najlepsze nadzieje, dziś już ich nie ma w Oratorium, a jeśli są, to jakżeż oni inni od owych pierwszych lat. Kiedy im radzono zerwać taką przyjaźń, nie mogli zrozumieć, o co właściwie chodzi. Nie widzieli w tym nic złego, a tymczasem z dnia na dzień stawali się coraz więcej obojętni dla kolegów, przełożonych, a wreszcie i dla samego Pana Boga.

Nie są to fakty z czasów średniowiecznych, ale zdarzały się niedawno i wciąż się zdarzają. Dlatego napominam was, byście byli przyjaciółmi wszystkich albo nikogo. I tak wychodząc z jadalni spotykacie waszego przyjaciela i zaczynacie z nim się przechadzać. Bardzo dobrze.

Ale jeżeli potem przyłączy się drugi i jeszcze trzeci, wszyscy powinni być traktowani tak samo jak pierwszy. Także i chłopców, którzy wam są miłsi, bo pilni i dobrzy, nie powinniście traktować inaczej ich kolegów. Sam mogę wam szczerze powiedzieć, iż nikogo w domu nie przekładam nad drugiego i tak najwybitniejszego kocham tyle samo, co i najslabszego. Wszyscy jesteście moimi synami i dla waszego zbawienia oddałbym swoje życie, bo jesteście - *gaudium meum et corona mea* - jak powiedział o ówczesnych wiernych św. Paweł.

7. Inny środek do zwalczania nieprzyjaciół cnoty czystości, to jest... przykro mi o nim mówić, ale ponieważ jesteśmy tu w ścisłym gronie, podam wam i tę radę. Idąc do ustępu nie trzeba tam się zatrzymywać ponad konieczną potrzebę, ale zaraz po załatwieniu się miejsce to opuszczać, gdyż wstrętny szatan nieczystości lubi i w tym plugawym miejscu rozpoczynać swoje ataki. Oddalając się stamtąd, unika się sposobności do grzechu przeciwko tej cnotcie. Inaczej szatan korzysta z tego pozostawania sam na sam w tym miejscu, pobudza fantazję i następstwa mogą być bardzo zgubne. Jeżeli zwykle do zwyciężania pokus przeciwnych czystości najczęściej dopomaga umiarkowanie, czyli *ieiunium*, to w tym wypadku należy uciekać się do modlitwy.

8. Przyzwyczajcie się, by wchodząc do łóżka, odmawiać jakąś modlitwę, a przekonacie się, że szatan da wam spokój.

Ale powie ktoś, że natychmiast zasypia, ledwie tylko przyłoży głowę do poduszki... To bardzo dobrze - odpowiem takiemu. O to właśnie chodzi.

Drugi zaś może powie: Ja czasami całymi godzinami nie mogę zasnąć. Takiemu odpowiadam: Trzeba się modlić i modlić zawsze.

Ale mnie się nie chce. Odpowiadam: módlcie się, przymuszajcie się wtedy do modlitwy, a wtedy dobry Bóg widząc w was tyle ufności i pokory, doda wam siły, by oprzeć się i najcięższym pokusom.

Niedawno odwiedził mnie profesor Garelli, który na ten temat tak mi powiedział: Wie ksiądz, co ja robię, ażeby ta bestia piekielna szatan, nie napastował mnie w nocy? Nie! - odparłem. A cóż to takiego?

Bardzo proste. Ledwie znajdę się w łóżku, zaczynam liczyć od jednego do tysiąca i doliczę zaledwie do pięćdziesięciu. Nie przypominam sobie, żebym przekroczył tę cyfrę. Zasypiam natychmiast i nazajutrz budzę się rześki i wypoczęty.

Niektórzy mają piękny zwyczaj recytować w myśli wyjątki z autorów klasycznych: Wergiliusza, czy Dantego, albo przygotowują lekcje na jutro. Bardzo to dobry zwyczaj, bo tak fantazja trochę się zmęczy i sen prędzej nadchodzi. Miałbym wam na ten temat jeszcze dużo do powiedzenia, ale dosyć na dzisiaj. Są to uwagi, które wam daję poufnie, jako ojciec was kochający, nie zaś tonem kaznodziejskim, ani nawet tym jakiegoś konferencjonisty.

To, co wam mówię, nie wypada nawet poruszać wśród chłopców. Skorzystajcie z tego według waszej potrzeby i zachowajcie to sobie w sercu. Nie chciałbym nawet, żebyście się powoływali we wszystkim, iż to Ksiądz Bosko powiedział tak czy inaczej, chociażby to nie byłoby wcale dla mnie uciążliwym. Jak widzicie, nie są to rzeczy bardzo ważne, ale chociaż są drobne, mają wielkie znaczenie i w praktyce okazują się skuteczne. Nade wszystko nie zapominajcie o praktykach pobożności właściwych naszemu Zgromadzeniu, bo one są fundamentem gmachu waszej świętości. W czasie Mszy świętej będę się modlił za was, byście umacniali się w cnocie czystości i kiedyś mogli poświęcić ją Matce Najświętszej przez ślub. I wy także módlcie się w czasie Komunii świętej wzajemnie za siebie, za przełożonych, także i za mnie, abym nie na próżno zalecał tę cnotę innym.

Krótko mówiąc, jeśli całym sercem będziemy się wspólnie o nią modlić, to dobry Bóg zachowa nas niewinnymi.

W dwa dni po tej konferencji rozesłał Ksiądz Bosko słowa ojcowskiej zachęty do wszystkich członków Zgromadzenia pracujących po domach, wyrażając życzenie, aby okólnik ten był uważany, jako napisany do każdego z osobna.

Zanim tekst tego listu przytoczymy, dobrze będzie zajrzeć do katalogu z roku 1876. Zapisanych tam jest 112 profesów wieczystych, 79 trzyletnich, 84 nowicjuszków i 55 aspirantów. Kapłanów jest 66. Otwarte są 4 nowe domy, a mianowicie w Nizza Mare, Bordighera - Vallecrosia, w San Nicolas de los Arroyos i w Buenos Aires. Nie upłynie rok a liczba ich jeszcze się bardziej powiększy. Przeciwności nie osłabiały wzlotów gorliwości Księdza Bosko, lecz raczej je potęgowały. W roku 1880 tak on na ten temat się wyraził, pisząc do swego prokuratora w Rzymie: Ilekroć spadają na mnie większe ambarasy, odpowiadam na nie zawsze otwarciem nowego domu. Widać z tego, jak Ksiądz Bosko dokładnie zdawał sobie sprawę z posłannictwa przez Boga mu nałożonego, w którego spełnieniu nie mogły mu przeszkodzić żadne, choćby najsilniejsze sprzeciwy. Wyrazem zwiększającej się powagi dzieł Księdza Bosko było umieszczenie jego nazwiska w *Annuario Pontificio*, jako Przełożonego Generalnego Zgromadzenia, co przecież nie mogło mieć miejsca bez zgody sekretariatu Kongregacji Biskupów i Zakonników. Ale przejdźmy już do okólnika, wysłanego z początkiem roku do wszystkich i poszczególnych członków Towarzystwa. Oto jego tekst:

Najdrożsi moi Synowie w Jezusie Chrystusie!

Skończywszy wizytację naszych domów pragnę chwilę porozmawiać z wami o rzeczach, które przyczynią się do większej chwały Bożej i wyjdą na użytek naszego Zgromadzenia, a wszystkim chcę wam wyrazić swoją radość i zapewnić was, że jestem bardzo zadowolony z ogólnego stanu Zgromadzenia. Wszędzie widać pracę, Reguły Towarzystwa są zachowywane, karność zakonna wzorowa, tak samo jak i frekwencja do sakramentów świętych, kwitnie pobożność i nie zaniedbuje się troski o rozbudzenie powołania u tych, którzy rokują w tym względzie dobrą nadzieję. Za to wszystko niech będą Bogu dzięki, od którego wszelkie dobro pochodzi, jakie się u nas dokonuje.

Mogę równocześnie zaznaczyć także, iż Zgromadzenie nasze wzrasta z dniem każdym. W roku ubiegłym otwarliśmy kilka domów, inne otworzymy w najbliższym czasie. Personel wzrasta i co do liczby i co do wartości. Zaledwie, który z was okaże się zdolny do pełnienia jakiegoś urzędu, zaraz znajduje się miejsce dla niego, a nowe zgłoszenia o otworzenie domów, nadchodzą ze wszystkich części świata. Bo rzeczywiście potrzeba jest wielka. W wielu miastach Włoch, Francji, Anglii, w Ameryce, w Algierze, w Egipcie, w Indiach, Japonii, Chinach, Australii żyją miliony i miliony ludzi spowitych w mroki błędu. I ci stojąc nad przepaścią wiecznej zguby, podnoszą oczy do nieba, wołając o nowych pracowników ewangelicznych, którzy by im przynieśli światło prawdy i wskazali drogę wiodącą do zbawienia. Jak wiecie, niektórzy z naszych usłyszeli ten głos i wyjechali do Argentyny, by tam mogli pracować nad dzikimi szczepami w Patagonii. Ze wszystkich jednak ich listów rozlega się ten sam głos: Posyłajcie, posyłajcie nowych pracowników. W takiej archidiecezji brazylijskiej w Rio de Janeiro, liczącej dwa miliony mieszkańców, pracuje niewielu kapłanów, a seminarium liczy zaledwie pięciu kleryków. Serce się ścisza na myśl o bogatym żniwie, jakie w każdej chwili byłoby do zebrania, a które jednak pozostaje nietknięte. Nie traćmy jednak ducha i na razie bierzmy się energicznie do pracy nad własnym udoskonaleniem w pobożności i potrzebnych cnotach, aby tak przygotować nowe zastępy Chrystusowe, budząc wszędzie świeże powołania do życia zakonnego, gotowi, jeśli zajdzie tego potrzeba, ofiarować i siebie samych do tej tak szczytnej pracy przy żniwie Bożym.

A tymczasem dam wam kilka wskazówek, które dopomogą do zachowania ducha pobożności wśród was samych i wśród powierzonych wam chłopców, równocześnie przyczynią się do rozbudzenia wśród nich powołania.

1. W każdym domu troszczyć się w szczególniejszy sposób o rozwój stowarzyszeń religijnych, jak Małego Klerku, Najświętszego Sakramentu, św. Alojzego, Najświętszej Maryi Wspomożycielki, Niepokalanego Poczęcia. Każdy powinien o nich często mówić, polecać je, popierać, uwypuklając ich cel, pochodzenie, odpusty i inne korzyści, jakie dają tym, co do nich należą. Jestem przekonany, że staną się one kluczem pobożności, ostoją życia moralnego i podporą powołań do stanu kapłańskiego, czy zakonnego.

2. Strzeżcie się przyjaźni partykularnych, które mogą ujawniać się przez bileciki, rozmowy i różne podarki. Kładzenie rąk, pieszczoty, pocałunki, trzymanie się pod rękę i zarzucanie rąk jeden na drugiego, są to rzeczy nie tylko surowo zabronione przez regulamin wśród nas samych, ale i między wychowankami oraz w stosunku do nich. Pamiętajmy na słowa świętego Hieronima, który mówi: „Objawy czułości albo żadne, albo ze wszystkimi równe”.

3. Strzeżcie się świata i jego zasad. Korzenie tylu nieprzyjemności i nieporządków tkwią w tym, że wracamy do świata, który już raz opuściliśmy, a który chciałby nas powrotem zwabić do siebie. Wielu dopóki przebywali w domu zakonnym, mogli być uważani za wzory cnoty; ale skoro udali się do krewnych, czy przyjaciół, w krótkim czasie utracili cały zapał do dobrego i po powrocie przez dłuższy czas nie mogli wrócić do równowagi, a niektórzy w ogóle stracili powołanie. Nie szukajcie więc pozornych powodów do wyjazdu w strony rodzinne, chyba że z bardzo ważnych przyczyn, a i wtedy trzeba postarać się o należyte pozwolenie możliwie o towarzysza wyznaczonego przez przełożonych. Podejmowanie się różnych zleceń, czy załatwianie interesów obcych ludzi są wielkim szkodami tak dla moralności jak i powołania.

4. Wieczorem po modlitwach niech każdy idzie zaraz na spoczynek; przechadzać się w tym czasie, zatrzymywać się na pogawędkach, czy nawet wykończać jakąś pracę, jest to zawsze szkodliwe dla zdrowia ducha i ciała. Wiem, że w niektórych instytucjach, dzięki Bogu nie w naszym, opłakiwano bolesne nieporządki, powstałe z tej właśnie przyczyny, że nie przestrzegano milczenia w przepisany czas. Punktualność w udawaniu się na spoczynek łączy się z punktualnością we wstawaniu rano, którą także z całym naciskiem polecam. Wierzcie mi, moi drodzy, iż jak nas doświadczenie nauczyło, odwlekanie wstania porannego jest rzeczą niebezpieczną dla moralności. Sumienność zaś w tym względzie jest zapowiedzią dobrze spędzonego dnia, a zarazem zbudowaniem dla wszystkich. Stąd też polecam gorąco wszystkim przełożonym, by tak ułożyli rozkład dnia, żeby wszyscy, a mianowicie koadiutorzy służba mogli uczestniczyć rano we Mszy świętej, przystąpić do Komunii i regularnie spowiadać się stosownie do naszych reguł.

List ten pisany w formie okólnika do wszystkich, chciałbym, ażeby był przyjęty, jako pisany do każdego z osobna; ażeby każde jego słowo było powiedziane i powtórzone po setne razy do ucha każdego, by tak nie zostało zapomniane. Ale jestem przekonany, że z miłości, jaką macie do mnie, przez sumienność, którą okazujecie przy spełnianiu waszych obowiązków, przede wszystkim zaś w stosowaniu się do rad waszego Ojca duchownego i przyjaciela w Bogu, sprawicie mi tę wielką przyjemność, iż nie tylko wiernie zastosujecie się do tych zaleceń, ale i wczujecie się w ich ducha i tak przyczynicie się do większej chwały Bożej i dobra naszego Zgromadzenia. W nadziei, że wkrótce będę mógł się znaleźć znowu wśród was, proszę Boga, aby was wszystkich błogosławił, udzielił wam czerstwego zdrowia, wielkiej

łaski wytrwania w dobrym. Wreszcie módlcie się także za mnie, który będę zawsze dla was w Chrystusie Jezusie Panu naszym, najbardziej przywiązanym przyjacielem.

Dnia 12.01.1876 r.

Ksiądz Jan Bosko

DO ORATORIUM

Dwa tylko mamy słówka wieczorne do oratorianów, charakterystyczne ze względu na swą treść, jak i sposób ich wygłoszenia. W pierwszym ze względu na silny mróz Ksiądz Bosko musiał chłopcom podać środki przeciwko zaziębaniu się; następnie mówił o misjonarzach, wreszcie spontanicznie wyrwały mu się gorące słowa o Najświętszym Sakramencie i o gorliwości misjonarskiej. Uważajcie moi drodzy na te kilka rad praktycznych, które jeśli będą przez was praktykowane, wielce będą dla was korzystne. Kiedy jesteście w studium, w refektarzu, czy w innych lokalach zamkniętych, gdzie jest ciepło, nie okrywajcie się zanadto. Kiedy zaś z nich wychodzicie, postarajcie się założyć na szyję szalik, a do ust i nosa przyłożyć na parę sekund chusteczkę, aby tak gwałtowna zmiana ciepłego powietrza na zimne nie spowodowała poważniejszej choroby. Rano zaś, kiedy wstajecie z łóżka, zatrzymajcie się przez jakiś czas w sypialni, aby pory ciała rozszerzone pod kołdrą z powodu zimna gwałtownie się nie kurczyły. A jeślibyście już koniecznie zaraz musieli wychodzić, to trzeba doprawdy dobrze się okryć. Kiedy leżycie w łóżku, dopatrzcie, ażeby kołdra nakrywała wam i szyję, gdyż, jeśli szyja i ramiona zostaną odkryte, bardzo mało, a właściwie nic nie pomogłoby nawet materac na siebie wciągnięty. Będzie także praktycznie, leżąc w łóżku, położyć na koce i własne ubranie, gdyż tak będzie wam cieplej. Oczywiście nie odnosi się to do tych, którzy już i tak mają całą stertę koców na sobie, ale do tych, którym ich brak. Ci ostatni jednak powinni by się zgłosić, jeśli czują zimno, gdyż tak będzie można temu zaradzić, a nie pozostawać zmarznięci z narażeniem się na przykre następstwa. Sam widziałem niektórych w letnich ubraniach i zapytałem, czemu nie wkładają zimowych.

Odpowiedzieli mi, że nie mają. Jeśliby takich było więcej, to powinni zgłosić się do szatniarza, który im przydzieli, czego im potrzeba. Jak widzicie, są to wszystkie rzeczy drobne, a jednak mogą spowodować bardzo przykre następstwa. Zastosujcie się więc do tych wskazówek, bo ja pragnę, żeby wam było jak najlepiej na duszy - mówię na duszy, gdyż wtedy będzie wam dobrze i co do ciała. Bóg opatrzy wierne Mu dzieci.

Jak już wiecie, otrzymaliśmy w tych dniach listy od naszych misjonarzy z Rio de Janeiro. Opisują w nich ciekawe rzeczy. 11 dni nie widzieli nic prócz morza i nieba, a morze było wzburzone i wszyscy mniej lub więcej cierpieli na tak zwaną morską chorobę. Opowiadają w nich jeszcze więcej szczegółów, których nie powtarzam, bo będą wam jutro wieczorem przeczytane z tego miejsca. List jest datowany 8 grudnia, a otrzymaliśmy go we środę 5 stycznia, znaczy to, że był w drodze około miesiąca. Pisali, że jak przyjadą do Buenos Aires, to znów napiszą, list taki powinien już być

w drodze. Biorąc pod uwagę, że napisali go w połowie grudnia, to my za wolą Bożą, będziemy go mogli czytać za jakieś 8 dni. Jak mówiłem listy te zostaną wydrukowane i wtedy, jeśli ktoś zechce będzie mógł posłać je do domu. Ks. Cagliero dziękuje wam za modlitwy i Komunie św. na jego intencję, przypisując szczęśliwie odbytą podróż modlitwom drogich chłopców z Oratorium. Píše również, że w dzień Niepokalanego Poczęcia odprawił Mszę św. w waszej i całego Zgromadzenia intencji. Prosi, abyście nadal za niego się modlili i ofiarowali Komunie święte. Nie musi to być zaraz jutro, czy pojutrze, lecz kiedy wam będzie wygodnie. Kto by nie mógł przystąpić do Stołu Pańskiego, niech przynajmniej odwiedzi Przenajświętszy Sakrament, prosząc Boga, ażeby hojnie wynagrodził misjonarzom wszystkie ich poświęcenia. Są one doprawdy wielkie. Wszak wystawiają się na niebezpieczeństwa długich podróży, opuścili swoich współbraci, przyjaciół, słowem, wszystko, by iść za wezwaniem Jezusa Chrystusa i nieść Ewangelię w dalekie kraje. Kosztowało to wszystko z naszej strony dużo pieniędzy i zabiegów. Polecam wam zatem jeszcze raz nawiedzenia i Komunie święte. O, co za szczęście móc przyjmować do serca Boskiego Zbawiciela; tego Boga, który daje siłę do wytrwania we wszystkich chwilach naszego życia. Święte Tabernakulum, to jest Jezus w Przenajświętszym Sakramencie przechowywany w naszym kościele. Tam jest źródło wszelkich łask i błogosławieństw; tryska ono pośród nas, by nas pokrzepiać we wszystkich naszych potrzebach. Wierście mi, moi drodzy, że kto ma nabożeństwo do Przenajświętszego Sakramentu, to znaczy często przystępuje pobożnie do Komunii świętej i nawiedza Chrystusa Pana w Przenajświętszym Sakramencie, ten ma już pewną rękojmię wiecznego zbawienia. Jeszcze o innej rzeczy wspomniał ks. Cagliero w liście i nie chcę jej pominąć. A mianowicie misjonarze odwiedzili arcybiskupa z Rio de Janeiro, który ich przyjął bardzo serdecznie. Między innymi wprost ze łzami w oczach żalił się, że w całym jego seminarium jest tylko 5 kleryków, a 40 przeszło parafii nie tylko, że nie ma proboszcza, ale wprost nie ma możliwości korzystania z posługi kapłańskiej. I tak w tej jednej obszernej diecezji przydałoby się nie mniej jak 500 salezjanów i wszyscy mieliby jeszcze dużo do roboty. Widzicie, więc, jakże wielki brak księży.

Zdobądźcie się, więc na odwagę, praktykujcie te dwa środki, które co dopiero wam wskazałem, a ufam, że Bóg da wam tyle mocy i tyle łask, że sami wybierzecie się na misje do tych krajów tak bardzo potrzebujących posługi kapłańskiej. Pamiętajcie też o wskazówkach dotyczących waszego zdrowia. Dobranoc.

Drugie słówko wieczorne, jakie zostało nam przechowane, miał Ksiądz Bosko z okazji nowenny do św. Franciszka Salezego, i tak mówił: Jutro zaczynamy nowennę do św. Franciszka Salezego. Jest to nasz Patron, od którego Oratorium bierze nazwę: Oratorium św. Franciszka Salezego. Trzeba, zatem, byśmy tę nowennę odprawili jak najuroczyściej i jak najpobożniej. Niech, zatem każdy zrobi, co w jego mocy, by z niej odnieść jak największą korzyść dla swej duszy. Najważniejszą rzeczą w nowennie jest, by każdy zachował swoje sumienie w takim stanie, by mógł codziennie przyjąć

Komunię świętą. Jak zaś często przystępować do Stołu Pańskiego, to niech każdy porozumie się ze swym spowiednikiem i zastosuje się do jego wskazówek. Tu wypada mi zwrócić uwagę na pewien nieporządek, jaki ma miejsce w ostatnim czasie. Oto zakrystia bywa tak zatłoczona przez chłopców, że wprost niepodobieństwem jest przecisnąć się przez nią. Widocznie niektórzy przychodzą tam nie do spowiedzi, ale tylko, by ochronić się przed zimnem. Ostatecznie nie byłoby w tym nic złego, bo komu jest zimno bardzo, to niezdolny jest coś zrobić, ani nawet modlić się w skupieniu. Ale zdaje mi się, że nie taki jest powód. Gdyby w kościele naprawdę było zimno, mieliby trochę racji, ale tak źle tam nie jest. Wygląda, więc, że przychodzą do zakrystii, by się wykręcić od wspólnych modlitw. Jeżeli komuś jest naprawdę tak zimno, to niechże zgłosi się do księdza Chiala, czy do księdza Sala lub do mnie, a postaramy mu się o piecyk, który ze sobą brałby do kościoła. Ale żarty na bok. Otóż wobec takiego tłoku nieraz chłopcy, zwłaszcza starsi, chcący się u mnie wyświadczyć, gdy widzą zakrystię natłoczoną, odchodzą, odkładając spowiedź z dnia na dzień, albo też idą do innego spowiednika.

Ustalmy, więc niektóre normy, by wszyscy mogli być zadowoleni i żeby spowiedzi mogły być owocniejsze.

Pierwsza norma to ta, że nikt nie będzie się spowiadał częściej, jak co osiem dni. Odnosi się to do wszystkich i starszych i młodszych. Są niektórzy, zwłaszcza wśród młoców, którzy przychodzą codziennie do spowiedzi. Ale nikt też nie powinien opuszczać, co miesięcznej spowiedzi. Normalnie wypada przystępować do Sakramentu Pokuty, co dziesięć, dwanaście, piętnaście dni. Ale wielu powie: Chcielibyśmy chodzić, co osiem dni... Dobrze, spowiadajcie się, co osiem dni. Ale może ktoś powie: Chciałbym częściej przystępować do Komunii świętej, tylko, że w parę dni po spowiedzi jestem taki sam jak przedtem i jeżeli się nie wyświadcę, nie czuję się godny przystąpić do Komunii świętej. Takiemu bym odpowiedział: Jeżeli nie jesteś zdolny przez osiem dni chodzić do Komunii świętej bez spowiedzi, to nie radzę ci tak częstej Komunii.

Ale ja chciałbym się poprawić, przystępując częściej do spowiedzi, łatwiej się poprawię.

Nie, nie mój drogi - odpowiem. Czas, który miałbyś zużyć na spowiadanie się dwa, czy trzy razy w tygodniu, zużyj na wyrobienie sobie mocniejszego postanowienia poprawy, a będzie to skuteczniejsze, niż częsta spowiedź, odbywana z małą skruchą i z chwiejną chęcią poprawy. Właśnie, dlatego może nawet spowiednik nakazał ci chodzić rzadziej, abyś lepiej się przygotował do tego wielkiego sakramentu. Jest jeden wypadek, w którym sędzę, trzeba częściej się spowiadać, a mianowicie, kiedy sam spowiednik, biorąc pod uwagę stan sumienia penitenta, powie mu: Przychodź spowiadać się za każdym razem, kiedy popadniesz w taki to i taki grzech. Jest to potrzebne do przezwyciężenia nałogu. Kiedy otrzymacie taką specjalną radę spowiednika, to na pewno spowiedź przyniesie wam korzyść; z wyjątkiem tego

wypadku, spowiadajcie się, jak wspominałem wyżej, co osiem, dziesięć, nawet piętnaście dni odpowiednio do rad spowiednika.

Druga norma dotycząca spowiedzi tu u nas jest taka: Jestem zadowolony, że przychodzicie wszyscy spowiadać się do mnie. Ale widzę, że pierwsi ustawiają się zawsze najmniejsi, a wtedy więksi, widząc, że jest tłok i że nie będą mogli się doczekać, odchodzą. Prawda, że i rybki drobne są dobrą rzeczą i że w większej ilości można z nich przyrządzić dobrą potrawę. Ale ja, mówiąc szczerze, wolę grubsze ryby. Starsi z was są już w wieku, kiedy muszą poważnie zastanowić się nad swoim powołaniem stąd mają większą potrzebę porozmawiać z Księdzem Bosko. Życzę więc sobie, by oni zawsze mieli pierwszeństwo. Prawda, że mają jeszcze cały rok czasu do namysłu, ale z tym nie trzeba czekać do ostatniego miesiąca. Wtedy decyzja będzie łatwo zbyt pospieszna i może wypaść niedobrze. Jakieś ludzkie cele mogą wejść w rachubę i przeważać szalę. Owszem, byłbym zdania, żeby już uczniowie trzeciej i czwartej klasy gimnazjalnej zaczęli myśleć o swym powołaniu. W tym względzie nigdy nie będzie za wcześnie. Chłopcy z trzeciej i z czwartej klasy są już w tym okresie rozwoju i nauki, że można z nimi na temat powołania mówić z wielką dla nich korzyścią.

A teraz wiązanka dla uczczenia naszego Świętego, jaka będzie? Otóż, jak wiecie, święty Franciszek Salezy jest Świętym łagodności i cierpliwości. Chciałbym, więc, abyście w czasie nowenny starali się go naśladować w tych cnotach. Postarajcie się nabyć taki zapas łagodności, byście się nigdy na kolegów nie gniewali, nie obrażali ich, ale czynili im zawsze dobrze a nigdy źle. Niech ta miłość będzie dla was pobudką do dawania sobie wzajemnie dobrych rad, a broń Boże niech żaden nigdy nie nakłania drugiego do złych rzeczy, jak to niestety zbyt często dzieje się między ludźmi. Nie ma nic zgubniejszego dla młodzieży jak złe podszepty. Wszak wielu wśród niej jest dobrych, ale kolega podsunie im myśl grzeszną, jak np. by nie przebaczała, nie byli posłuszni i, by nie oddali pożyczonej książki, trzymali się z dala od przełożonych, to ci co z początku mieli jak najlepszą wolę, ani się nie spostrzegą jak z powodu tych złośliwych rad, załamają się. Przeciwnie wierzcie mi, że pełni bardzo zbawienny uczynek, kto umie w odpowiednim miejscu i czasie dawać dobre rady kolegom. Przyjazne ostrzeżenie sprawia, że jest na świecie o jedno zło mniej, a o jedno dobro więcej. Jeżeli będziecie postępować według tej rady przez nowennę, potem przez cały pobyt w Oratorium i przez całe życie, to zważcie, ile dobrego w ogóle będziecie mogli uczynić. A teraz jeszcze na ostatek wiązanka. Pora roku jest przykra. Dla miłości, więc świętego Franciszka znóście bez szemrania wilgoć i inne niewygody w najbliższych dniach. Za każdym razem, gdy wypadnie nam coś cierpieć, jak chorobę, przykrość od kolegi, to wtedy mówcie sobie: Niech to będzie dla miłości Bożej. Bóg będzie z tego bardzo zadowolony i za przyczyną świętego Franciszka będzie wam błogosławił.

Jeśli potem chcecie praktykować jeszcze inną cnotę, to dobrze. Mogłoby to być naśladowanie tego Świętego w milczeniu i umartwieniu, a zwłaszcza w delikatnym

obchodzeniu się z kolegami. Zazwyczaj z takich okazji zalecam częstszą Komunię świętą. Kto nie może komunikować sakramentalnie, niech przyjmuje Komunię duchową i niech często odwiedza Przenajświętszy Sakrament. Każdy też niech przez ten czas spełnia z największą punktualnością swoje obowiązki. Dobranoc.

DO INNYCH ZAKŁADÓW

Zanim liczba zakładów tak wzrosła, że wiązanka noworoczna z konieczności musiała być jednakowa dla wszystkich, Ksiądz Bosko przesyłał życzenia świąteczne i noworoczne osobno do poszczególnych zakładów bezpośrednio lub przez dyrektorów. Z roku 1876 zostały nam dwa takie listy: Jeden do Lanzo, drugi do Varazze.

Do Lanzo Ksiądz Bosko tak pisał:

Do moich drogich przyjaciół: dyrektora, nauczycieli, uczniów i wszystkich mieszkańców kolegium w Lanzo!

Nie obrażajcie się na to, co wam powiem: Wszyscy jesteście złodziejami, mówię to i powtarzam, bo zabraliście mi wszystko. Kiedy byłem w Lanzo, ujęliście mnie swoją życzliwością i miłością, zaimponowaliście mi swą pobożnością. Zostało mi jeszcze moje biedne serce, ale i z niego ukradliście mi wszystkie uczucia. A już ostatni wasz list podpisany przez dwieście rąk tak mi życzliwych i drogich, zabrał mi ostatecznie i to moje serce. Nic, więc mi nie pozostało prócz gorącego pragnienia kochania was w Panu, czynienia wam dobrze i zbawienia dusz was wszystkich. Te objawy waszego przywiązania skłaniają mnie, by jak najprędzej was odwiedzić. Nie będę z tym zwlekał. Chciałbym, żebyśmy wtedy wszyscy byli zadowoleni i co do duszy i co do ciała, udowadniając przez to światu, że można być bardzo wesołym, nie obrażając Boga. Dziękuję wam najserdeczniej za wszystko, co uczyniliście dla mnie. Nie omieszkam stale wspominać was we Mszy świętej, by Bóg darzył was zdrowiem, ochotą do nauki, siłą do zwalczania pokus i łaską, by żyć i umierać ze spokojnym sumieniem. Dnia 15 bieżącego miesiąca, poświęconego świętemu Maurycemu, odprawię Mszę świętą na waszą intencję. Wy zaś przystąpcie tego dnia do Komunii świętej, ażebym i ja mógł razem z wami dostać się do Nieba. Niechże Pan Bóg błogosławi wam wszystkim. Zawsze oddany wam, wierzcie mi całym sercem - Ksiądz Jan Bosko – Turyn, 3 stycznia 1876 r.

Do Varazze zaś tak pisał na ręce ks. dyrektora Francesca:

Drogi Księżę Francesia!

Bardzo chciałbym zobaczyć się z tobą i porozmawiać, ale zdaje się, że przed uroczystością św. Franciszka Salezego nie dojdzie to do skutku. Tymczasem miło mi będzie otrzymać od ciebie informacje dotyczące nauczycieli, asystentów i w ogóle tamtejszego personelu tak, co do ich moralności, jak i pracowitości. Co prawda, w Oratorium jest nas tu stosunkowo mało, ale jeżeli byś nie mógł obejść się bez pomocy, to ostatecznie jeszcze bym kogoś znalazł dla ciebie.

Kleryk Barberis prosi mnie, bym się wstawił za nim, by mógł grać na pianinie. Zapewne, jeśli mu zabraniasz tego, to masz po temu racje. Spróbuj jednak, czy przez ustępstwo w tym względzie, nie zdołasz otrzymać to, w czym on pozostawia do życzenia. W każdym razie zrób, jak uważasz za lepsze dla chwały Bożej.

Chciałem napisać list do twoich i moich drogich wychowanków z okazji Świąt i Nowego Roku. Czego nie mogłem wtedy zrobić, to czynię obecnie. Bądź więc wyrazicielem najserdeczniejszych moich życzeń, dla tamtejszej całej naszej rodziny w Varazze; powiedz wszystkim, że ich kocham z całego serca w Panu i że codziennie polecam ich Bogu we Mszy świętej. Prosząc dla nich o zdrowie i dobre postępy w naukach i o prawdziwe bogactwo, jakim jest święta bojaźń Boża. Jeżeli zaś chcą mi zrobić prawdziwą przyjemność, to niech przystąpią w mojej intencji do Komunii świętej w trzeci czwartek tego miesiąca. Zachodzi tego szczególniejsza potrzeba. Mam poważne przykrości i właśnie pisząc do ciebie, chciałem się z nich trochę otrząsnąć. Niech Bóg błogosławi tobie i wszystkim twoim. Zawsze oddany ci, wierz mi, całym sercem, w Jezusie Chrystusie - Ksiądz Jan Bosko - Turyn, 10 stycznia 1876 r. PS. Dziś przyszła wiadomość z Marsylii, że nasi misjonarze 13 grudnia ubiegłego roku szczęśliwie dotarli do Argentyny.

Mamy także podobny list Księdza Bosko wysłany do Borgo S. Martino, wprowadzie w połowie lutego, ale poruszający podobny temat.

Drogi księżę Bonetti!

Pisałem do pana Rho w sensie, jaki mi wskazałeś przypominając mi dawne obietnice, czynione mi są niejednokrotnie. Jeżeli otrzymam od niego odpowiedź, dam ci znać. Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Wobec wielkiej ilości wychowanków w tamtejszym kolegium św. Karola, która zdaje się jeszcze wciąż wzrasta, zobacz, czy nie byłoby wskazane wybrać kilkunastu wątlejszych i uprzedzając rodziców, wysłać ich do Lanzo, gdzie jest bardzo dużo miejsc wolnych. Najpraktyczniej będzie wybrać tych, którzy są z tamtych stron. W swoim czasie napisz mi, jak postąpiłeś. Powiesz Giolottiemu, że nie jestem na tyle zły, bym go mógł wysłuchać. Pozdrów księdza Gallo, Ferraro i Adamo ze wszystkimi naszymi współbraćmi. Módlcie się za tego biedaczynę, który będzie zawsze dla was w Jezusie Chrystusie oddanym przyjacielem. - Ksiądz Jan Bosko - Turyn, 14 lutego.

Przykrości, o których jest wzmianka, w liście do księdza Francesia, były jak zwykle i moralne i materialne. Dnia tego właśnie otrzymał z Rzymu wiadomość o oszczerczych listach, napisanych przeciw „nowemu instytutowi”, jakie napływały tam jeden po drugim. Tym przykrzejsze to było dla niego, że właśnie oczekiwał przychylniej odpowiedzi na swą drugą prośbę dotyczącą przywilejów. Dowiedział się też wtedy, że chce spowodować wysłanie komisji, celem zbadania metody studiów teologicznych w Oratorium i rzeczywiście dochodzenia prowadzono drogą poufną. Prowadził je teolog Negri, mieszkający w Turynie. Ten zwrócił się po informacje do profesora Pechenino, który będąc zaprzyjaźniony z Księdzem Bosko, powiedział mu o tym w zaufaniu. To judzenie w Rzymie na salezjanów głęboko zmartwiło Świętego.

Inne przykrości i to wcale nie do lekceważenia, wynikały z braku gotówki. Za same tylko zakupy w hurtowni Oratorium dłużne było 70 tys. lirów. Cyfra na owe czasy olbrzymia. A tu trzeba było myśleć o nowych zakupach. Zmartwienia z tym związane przebijają wyraźnie z jego listu do adwokata Galvagno di Marene, hojnego dobrodzieja Oratorium.

Drogi Panie Mcenasie!

Otrzymując ten list, zaraz Pan sobie pomyśli: Ksiądz Bosko na pewno jest w potrzebie i szuka pomocy. A tak jest rzeczywiście. W czasie tej najostrejszej pory roku jestem prawie z połową moich 900 chłopców w letnim ubraniu. Gdyby Pan był w stanie przyjść z pomocą, byłoby to właściwie przyodzianiem nagich, co Zbawiciel poczyta za spełnione dla Niego samego i zgotuje Panu na pewno dobre przyjęcie kiedy Pan stanie przed Jego Boskim Trybunałem. Oczywiście uczyni Pan dla mnie tyle, ile będzie mógł. Ze swojej strony nie omieszkam modlić się, niezależnie od tego codziennie, aby Bóg użyzył Panu i Jego małżonce długich lat szczęśliwego życia, a dzieci Jego, aby rosły w zdrowiu i bojaźni Bożej. Tymczasem z głęboką wdzięcznością mam zaszczyt i przyjemność kreślić się pokornym sługą - Ksiądz Jan Bosko - Oratorium św. Franciszka Salezego, Turyn, 12 stycznia 1876 r.

Po tym komentarzu do owych „przykrości”, z powodu których Święty czuł potrzebę szukania pociechy w pisaniu listu do kochanego księdza Francesia, łatwo zrozumiemy notatkę księdza Barberisa w jego kronice, gdzie pisze: „Ksiądz Bosko w tych dniach jest przybity i nie czuje się zdrów”.

Ale tenże sam kronikarz podkreśla równocześnie, że - przecież myśli o wszystkim, o wszystkim się informuje i wszystkim zarządza. Ale przy tym wszystkim nie brakło Księdzu Bosko i pokrzepienia na duchu, jakie odnosił na widok pogłębiania się u jego duchowych synów życia zakonnego. Zwierzał się z tym wspomnianemu księdzu Barberisowi i zakonkludował: A jednak idzie wszystko dobrze i dopóki jest dużo do pracy, pójdzie wszystko coraz lepiej.

DO MISJONARZY

Pierwsze słowa, jakie Ksiądz Bosko przesłał swoim misjonarzom do Ameryki, zawarte są w liście, którego zwięzłość bez jednego zbytecznego słowa wskazuje na wielki brak czasu, a zarazem wielką chęć pisania do swoich najdroższych. Mimo to przy lepszym zanalizowaniu go, wyczytać z niego można bardzo dużo.

Drogi Księżu Cagliario!

Najserdeczniejsze pozdrowienia dla ciebie i dla wszystkich moich drogich salezjanów, którzy dzielą swe trudy z tobą. Matka Galeffi zmarła 13 bieżącego miesiąca. Hrabina Callori, monsignore Fratejacci, adwokat Menghini modlą się za was i przesyłają życzenia. Pamiętajcie, że w październiku wyślemy do was 30 Córek Maryi Wspomożycielki z dziesiątką salezjanów, a może i wcześniej, jeśli zajdzie potrzeba. Wobec wielkiego braku kleru w Brazylii może by dobrze było zbadać możliwość otwarcia domu w Rio de Janeiro. Nasz komandor Gazzolo jakoś nic nie pisze i nie przysyła wiadomości. Pozdrów go ode mnie. Powiesz księdzu Benitez, że dziękuję mu za jego dobroć, jaką wam okazuje. Bardzo chętnie, bym się z nim zobaczył. Jeżeli nie będę miał tej przyjemności na ziemi, to już od dziś zamawiam sobie spotkanie w niebie. Amen. Niech Bóg was wszystkich błogosławi. Weselcie się wszyscy w Panu. Ksiądz Jan Bosko, Turyn, styczeń 1876 r.

Niezwykłe to było zdarzenie ta wyprawa misjonarzy salezjańskich do Ameryki. Żaden inny wyjazd tego rodzaju nie miał tyle rozgłosu, co ten. Po ich odjeździe Ksiądz Bosko rozrzucił setki odbitek fotografii, sporządzonej przy tej okazji. Dołączał je do swoich życzeń z powinszowaniem Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Unita Cattolica otworzyła specjalną kronikę pt. „Od Turynu do Buenos Aires”, w której zamieszczała szereg korespondencji od misjonarzy. Były one oczekiwane z niecierpliwością i chciwie czytane. Numery z tymi listami krążyły po Turynie od rodziny do rodziny tak, że musiano zwiększyć nakład dziennika. Misjonarze salezjańscy podnieśli również dobre imię kleru włoskiego, który dotąd w Ameryce nie cieszył się najlepszą opinią. Tak we Włoszech, jak i za granicą wyprawa ta misyjna rozbudziła większą gorliwość w interesowaniu się misjami zagranicznymi. W Zgromadzeniu zaś wielu jego członków zazdrościło swym współbraciom misjonarzom i natarczywie nalegało na Księdza Bosko, by ich także wysłał do Ameryki.

Zakończymy ten rozdział tak, jak go zaczęliśmy przytoczeniem słów Księdza Bosko, poufnie powiedzianych przed księdzem Barberisem 21 stycznia. O tym kapłanie, człowieku prostym, prawym i nadzwyczaj pobożnym, Święty tak się wyraził pewnego dnia: Ks. Barberis zrozumiał Księdza Bosko. I właśnie przed księdzem Barberisem zwierzał się chętnie Ksiądz Bosko, bo więcej cenił ludzi gruntownej cnoty niż zadufanych w swej wiedzy. Otóż owego dnia /21 stycznia/ po wieczerzy tak się przed nim wynurzał:

Ileż to mamy do roboty, mój drogi księżu Barberis, nieprawda, że jest dużo do zrobienia. Dziś, zresztą, jak zwykle, o kwadrans na trzecią po objedzie, już byłem przy biurku i nie ruszyłem się od niego do ósmej, a jednak nie zdołałem się uporać z robotą. Mam jeszcze cały stół zarzucony listami, które czekają na odpowiedź. Nie można powiedzieć, żeby mi robota nie odchodziła. Listy wprost płyną pod moimi palcami. Spostrzegam się, że na skutek tej intensywnej i narastającej pracy nabieram wprawy, jaką niewielu mogłoby się poszczycić. No tak... Róbmy to, co możemy, na chwałę Bożą, a to czego nie zdołamy, trzeba ostatecznie cierpliwie pozostawić, jako pracę nieodrobioną

Tu ks. Barberis przerwał Księdzu Bosko, życząc długich lat życia, dobrego zdrowia. Aby zdołał jeszcze wykończyć tyle wielkich dzieł rozpoczętych. A na to Ksiądz Bosko: Ja myślę czasem, że jeśli Bóg pozwoli mi dożyć osiemdziesięciu lub osiemdziesięciu pięciu lat i nadal mnie będzie darzył zdrowiem i jasnością taką umysłu jak dotąd, wtedy doprawdy ujrzałoby się wielkie rzeczy, o których nie tylko Włochy, ale Europa i świat cały dotąd nie słyszał. Ale Bóg rozporządza wszystkim według swej woli. Ja z mej strony, dopóki pozostawia mnie przy życiu, trwam na posterunku; pracuję zaś jak najintensywniej, gdyż widzę, że czas nagli i że nawet żyjąc bardzo długo, nigdy nie zdąży się uczynić tego, co by się zrobić chciało. Układam projekty, staram się je wykonać, udoskonalam je, co się da i czekam aż wybije godzina odejścia. Kiedy dzwoni swoim „dan, dan, dan...” da mi sygnał odjazdu - odejść. Następcy moi dokończą tego, czego ja nie zdołałem wykonać. Dopóki nie usłyszę „dan, dan, dan...”, dopóty nie zaprzestanę pracy. I rzeczywiście Ksiądz Bosko umierając pozostawił swe dzieła tak dalece doprowadzone, że innym mało pozostało do wykończania. Dla swoich następców przygotował teren tak dobrze, że nowe ziarna ożywione jego duchem zakiełkowały i rosną i nie ma się co obawiać, żeby ich rozrost miał się kiedyś zatrzymać.

ROZDZIAŁ II

DWA SNY : SZEMRANIE - TRZECH UMARŁYCH

W drugiej połowie stycznia Ksiądz Bosko miał sen, z którego zwierzył się niektórym ze swoich. Wówczas ks. Barberis poprosił, ażeby go opowiedział publicznie, gdyż sny podobne bardzo interesowały młodzież przynosiły jej wielką korzyść duchowną i przywiązywały do Oratorium. To prawda - odrzekł na to Ksiądz Bosko; sny te robią dużo dobrego i są chciwie słuchane. Jeśli szkodzą komuś, to tylko moim płucom, które potrzebowałbym mieć żelazne. Rzec można, iż w Oratorium nie ma ani jednego, który przy tych opowiadaniach nie czułby się wstrząśnięty do głębi. Wszak dotyczą one wszystkich i każdy pragnie wiedzieć, w jakim go stanie widziałem, co ma robić, co oznacza to i owo: i tak nie dają mi spokoju za dnia i w nocy. Jeżeli zaś chcę zachęcić do spowiedzi generalnej, to wystarczy, abym opowiedział jakiś sen... słuchaj... - zrobmy tak: w niedzielę ja przyjdę powiedzieć słówko do chłopców, a ty publicznie zapytasz mnie o sen, a wtedy ja go opowiem. I rzeczywiście dnia 25 stycznia, wieczorem, zjawił się Ksiądz Bosko wśród swych ukochanych chłopców z właściwym mu uśmiechem, wyrażającym całą Jego radość, jakiej doznawał, znajdując się pomiędzy nimi. Gdy się uspokoiło ks. Barberis odezwał się: Przepraszam Księdza Bosko, ale chciałem spytać o jedną rzecz.

No powiedz bez obawy.

Słyszałem, że Ksiądz Bosko miał sen o kurach, ziarnie i rolnikach, który opowiedział klerykowi Calvi. Czyżby nie był łaskawy opowiedzieć go i nam wszystkim ? Bardzo byśmy się cieszyli.

O, jaki ciekawski... - odezwał się Ksiądz Bosko.

Niech ja już będę ciekawski, byle nam Ksiądz sen opowiedział. Jestem pewien, że moja prośba jest wyrazem życzenia wszystkich i wszyscy bardzo chętnie posłuchają.

Jak tak, no to opowiem. Miałem zamiar nic nie mówić o tym, gdyż są w nim rzeczy, które odnoszą się w szczególniejszy sposób do niektórych, no i do ciebie, że będziesz musiał zarumienić się po uszy, lecz skoro już tak chcecie, to opowiem.

No tak, Księżo Bosko, ale jeżeli miałbym za dużo oberwać, to proszę mi tego zaoszczędzić publicznie.

Opowiem rzecz tak, jak ją śniłem: każdy niech weźmie, co dla niego. Ale przede wszystkim trzeba pamiętać, że człowiek śni śpiąc i wtedy nie rozumuje: jeśli więc w tym będzie co odpowiedniego dla kogoś, względnie jakie upomnienie, to niech każdy skorzysta, ale bez zbytniego przejmowania się. Powiedziałem, iż mi się śniło,

gdy spałem w nocy, bo są i tacy, co śpią za dnia i to z otwartymi oczyma, ku utrapieniu nauczycieli, dla których stają się nieznośni... I tak ciągnął dalej:

Zdawało mi się, że jestem stąd daleko, w Castelnuovo d'Asti, wśród obszernej, pięknej równiny, na uprawnym polu. Do kogo należało, nie wiem. W każdym razie nie było ono nasze. Pracowało tam mnóstwo ludzi. Jedni równali ziemię, inni orali, jeszcze inni siali... Motyki, łopaty, grabie były w ruchu. Pracami kierowali wyznaczeni ku temu przodownicy i zdawało mi się, jakbym i ja również należał do tej grupy. Z przeciwka stały rozśpiewane tłumy wieśniacze. Słuchałem ich, a nie mogąc nic z tego zrozumieć, pytałem sam siebie: Po co tyle tej pracy? I myślałem, że to chyba wszystko potrzebne, by moi chłopcy mieli chleba pod dostatkiem.

Podziwiać trzeba było owych pocziwych wieśniaków, gdyż ani na chwilę w pracy nie ustawiali. Zaledwie paru stało tylko śmiejąc się i żartując. Rozglądając się wokoło, ujrzałem przy sobie kilku księży i swoich kleryków. Chyba śnię... - pomyślałem. Wszak moi klerycy są w Turynie, tymczasem to jest Castelnuovo. Zresztą jak to możliwe? Cały jestem okutany ciepło, wczoraj dopiero była zima, a tu zboże sieją? Chwytam się więc za ręce, chodzę tam i z powrotem, zaiste nie śnię... toż to prawdziwe pole. Kleryk, który tu stoi to kleryk A; tamten kleryk B. Zresztą niepodobieństwem jest widzieć naraz tyle rzeczy...

Gdy tak się głowiłem, zauważyłem w pobliżu starca, o miłej powierzchowności, który obserwował mnie i innych. Przystąpiłem wtedy do niego i spytałem:

Powiedz mi, zacny staruszk, co to wszystko znaczy? Nic z tego nie pojmuję... gdzie jesteście? co to za pracownicy? co to za pole?...

Och, ładne pytanie ... Ksiądz, jako kapłan tego nie wie..?

Ależ proszę mi powiedzieć: sen to, czy jawa? Wszystko, co widzę wydaje mi się niemożliwe.

Właśnie, że to najmożliwsze w świecie... owszem, to rzeczywistość. Czy sam się o tym nie spostrzegasz? Przecież doprawdy rozmawiasz, przysłuchujesz się, uśmiechasz, żartujesz

No, a jednak - zauważyłem - trafiają się tacy, którym we śnie się zdaje, że rozmawiają, pracują...

Tym się nie ma co przejmować... ty rzeczywiście jesteś tutaj ciałem i duszą obecny.

Niechże już i tak będzie. Proszę mi zatem powiedzieć, do kogo to pole należy?

Wszak uczyłeś się łaciny. Przypomnij sobie wtedy pierwszy rzeczownik drugiej deklinacji według w gramatyki Donata. Musisz ją chyba znać?...

Oczywiście.. lecz cóż to ma wspólnego z moim pytaniem?

Owszem, wiele. Bo niech no sobie Ksiądz przypomni, jaki jest pierwszy wzór na drugą deklinację.

Dominus..

A w drugim przypadku?

Domini.

Bardzo dobrze: Domini. Pole to jest Domini - Pana.

Aha, zaczynam pojmować...

Zastanowił mnie trochę sposób rozumowania zacnego staruszka. Tymczasem przede mną przesuwali się ludzie, dźwigający wory z ziarnem do siewu, a grupa śpiewacza śpiewała: *Exiit, qui seminat, seminam semen suum...* Ziarno, które nieśli było tak śliczne, że mi się grzechem wydawało, iż zostanie rzucone w ziemię i zbutwieje...

Nie byłoby lepiej - myślałem sobie - zemleć je i upiec chleba czy ciastek? Lecz wnet przypomniałem sobie, że jeżeli kto nie zasieje ten nie będzie zbierał. Jeśli ziarno nie zostanie wrzucone w ziemię, to nie zakielkuje, to nie będzie żniwa... Wtem z różnych stron nadleciała cała chmara kur, które zaczęły wydziobywać ziarno zasiane... Chór zaś śpiewał dalej: *Venerunt aves coeli, sustulerunt frumentum et reliquerunt zizaniam.*

Rzuciłem okiem wkoło: uderzało mnie zachowanie się kleryków. Ten z rękoma założonymi patrzył obojętnie przed siebie, tamten gawędził z kolegami, inni baraszkowali między sobą lub załatwiali jakieś osobiste interesy, ale żaden z nich nie ruszył się nawet, żeby odpędzać ptactwo. Oburzony zwracam się do nich i wołam:

Od czego tu jesteście? Czy nie widzicie, jak kury wyłuskują ziarno?

Nie rozumiecie, że zniszczą cały zasiew, jedyną nadzieję poczciwych tych wieśniaków? Cóż potem będzie się zbierać? No, no, cóż tak stoicie milcząc? Czemu nie płoszycie szkodników?

Klerycy wzruszali tylko ramionami i spoglądali na mnie tępyimi oczami. Niektórzy nawet nie raczyli obrócić się ku mnie i zgoła nie interesowali się polem, ani moim upomnieniem.

Doprawdy jesteście bezmyślni - karcilem dalej. Kury już wole mają pełne, a wy nie możecie ich spłoszyć, choćby samym klaśnięciem w dłonie, ot tak... To mówiąc, zacząłem sam klaskać w ręce... Nareszcie kilku ruszyło się i odpędzili ptactwo. A wtedy pomyślałem: No tak, ale teraz, to już za późno, skoro ziarno zostało wydziobane...

A do moich uszu doleciał śpiew wieśniaków: *Canes muti nescentes latrare* - psy nieme, co nie umieją szczekać... Zwróciłem się do starca trochę zdumiony i równocześnie oburzony:

Dalejże, staruszku, objaśnij mi, to, co tu widzę, gdyż nic z tego nie pojmuję. Co oznacza ziarno?

Bardzo to proste: *Semen est verbum Dei.*

No, ale co to miało znaczyć, że je kury wydziobały?

Starzec, zmieniając ton głosu ciągnął dalej: Och, jeżeli koniecznie chcesz dokładniejszego wytłumaczenia, to zaraz wyjaśnię wszystko.

Pole - to Winnica Pańska, o której wspomina Ewangelia, może również oznaczać serce ludzkie. Robotnikami są pracownicy ewangeliczni siejący słowo Boże,

które przyniosłoby obfity owoc w duszach, gdyż gleba ta jest podatna. Lecz cóż się dzieje? Przylatują ptaki niebieskie i wydziobują je.

Co oznaczają ptaki?

Chcesz wiedzieć, co oznaczają ptaki? Zaraz ci powiem. Ptaki, to symbole szemrania i wygadywania. Po wysłuchaniu kazania, które wielki mogłoby przynieść owoc w duszy, idzie się z kolegami; z tych jeden krytykuje gesty, czy głos kaznodziei, inny jakąś jego ułomność fizyczną, czy cechy charakteru; jeszcze inny drwi sobie ze stylu... i tak cały owoc kazania przepada. To samo należy powiedzieć o czytaniu dobrych książek. Wszelki skutek dobrej lektury zostaje zniweczony przez jakieś ujemne uwagi na jej temat. Takie wygadywanie tym jest niebezpieczniejsze, że przeważnie odbywa się w skrytości i szerzy się tam, gdzie się najmniej go spodziewamy. Ziarno, chociażby padło na glebę mniej urodzajną, zakiełkuje i zawsze coś przyniesie owocu. Gdy burza przejdzie nad łąkami, choć je poniszczy i powichrzy, zawsze coś pozostanie: nawet gołe ziarno zasiane jest kiepskie, może mało, ale przecież zawsze z niego coś wyrośnie. Lecz, gdy je kury wydziobią, sytuacja jest beznadziejna. Podobnie dzieje się z kazaniem, naukami, upomnieniami. Jeżeli natrafi na przeszkody, jak roztrzępanie lub pokusy, może mniej, ale zawsze coś dobrego w duszy z nich pozostanie, ale jeśli spotkają się ze złośliwym szemraniem, krytyką lub czymś podobnym, to wszystko przepadnie, cały plon zostaje zniszczony. Kto zaś ma klaskać w dłonie, ploszyć i czuć, by takie rozmowy nie miały miejsca, to dobrze wiesz.

Cóż się jednak stało owym klerykom, że nie przeszkadzali złu? - zapytałem.

Niestety, nic nie przeszkadzili - potwierdził i ciągnął dalej.

Stali, gapili się, jak nieme posągi, bezmyślni, obojętni, z założonymi rękoma, a inni nie mieli odwagi przeciwstawić się złu. Niektórzy nawet, ale na szczęście tych było niewiele, przyłączyli się do szemrzących i brali udział w złych rozmowach, niszcząc tak do krzyku działanie Słowa Bożego. Ty, co jesteś kapłanem, nie zapominaj nalegać, upominać, pouczać, nakłaniać bezustannie, nie obawiaj się, że tego może być kiedykolwiek za wiele. Niech wszyscy głęboko przekonają się, jak wielkim złem jest krytykowanie kazań, nauk, pożytecznych rad i wskazówek. Kto jest bierny na widok szerzącego się zła i nie przeciwstawia się mu, zwłaszcza jeśli może, a tym bardziej, jeśli powinien, ten staje się uczestnikiem grzechów cudzych.

Przejęty tymi słowami, chciałem jeszcze zobaczyć, co się dalej dzieje na polu, chciałem upomnieć kleryków i zachęcić ich do pełnienia swego obowiązku. Rzeczywiście niektórzy ruszyli się i przepędzali kury. Ja zaś zrobiwszy kilka kroków naprzód, zawadziłem o porzucone grabie i... przebudziłem się.

A teraz pomijając wszystko, przejdźmy do nauki moralnej.

Księżę Barberis, co ksiądz ma do powiedzenia na temat tego snu? Mam do powiedzenia - odpowiedział ks. Barberis, iż w nim, kto zasłużył otrzymał porządną burę /bastonata/.

Całkiem słusznie - ciągnął dalej Ksiądz Bosko. Ów sen jest lekcją, która powinna wszystkim posłużyć. Zapamiętajcie sobie, moi drodzy chłopcy, byście trzymali z dala od siebie wszelkie szemranie i unikali go, jako wielkiego zła, jak prawdziwej zarazy. Unikajcie go nie tylko sami, ale dopomagajcie w tym drugim. Dobre rady, usługi, nie sprawią tyle dobrego, ile uczyni ten, kto przeszkodzi szemraniu, czy złym rozmowom. Zdobądźmy się na odwagę i zwalczajmy je śmiało. Nie masz większego nieszczęścia, jak marnowanie słowa Bożego, a wystarczy nieraz półsłówko, nieroztropny żart ...

Opowiedziałem wam sen, jaki miałem przed paru nocami, ale miałem jeszcze inny ubiegłej nocy, który również chcę wam opowiedzieć, tym bardziej, że jeszcze nie jest tak późno, bo dopiero dziewiąta. Postaram się jednak być krótkim.

Wydawało mi się, że znajduję się w jakiejś miejscowości, już nie przypominam sobie, w jakiej. Ale nie było to ani Castelnuovo, ani Oratorium. Wtem nadbiegł ktoś i woła do mnie:

Księżę Bosko, niech Ksiądz idzie... Księżę Bosko, Księżę Bosko, prędeż, prędeż...

A cóż tak pilnego - zapytałem.

Ksiądz nie wie, co się dzieje?

Nie wiem, wytłumacz się jaśniej - odparłem niespokojny.

Proszę Księdza, ów chłopak tak dobry i pełny życia, leży ciężko chory i już jest prawie konający.

Eh, żartujesz chyba... Przecież dzisiaj rano z nim rozmawiałem.

Nie żartuję bynajmniej, ale mówię szczerą prawdę. Chłopak ten wzywa gorąco Księdza Bosko. Pragnie się z Księdzem widzieć i porozmawiać...

Prędeż, bo może być za późno...

Pospieszyłem więc za wołającym, choć nie wiedziałem dokąd. Gdy zaś doszliśmy na miejsce, ujrzałem ludzi smutnych i płaczących, którzy mówili: Proszę się spieszyć, już kona...

Ale cóż się stało? - pytam. Wprowadzono mnie do jakiegoś pokoju, gdzie ujrzałem chłopca śmiertelnie bladego, podobnego raczej do trupa. Silny kaszel dręczył go nieustannie, a z piersi wydobywało się stłumione rżenie tak, iż chory nie mógł nawet słowa wykrztusić.

Czy to ty jesteś ten a ten? - zapytałem.

Tak, to ja.

Jak się czujesz?

Ach, bardzo źle...

Co ci się stało? Przecież wczoraj, owszem dziś rano, przechadzałem się z tobą pod portykami?

Tak, odrzekł chłopczyk. Wczoraj i dziś rano przechadzałem się pod portykami, lecz proszę nie zwlekać. Pragnę się wypowiedzieć. Pozostaje mi już bardzo mało czasu.

Bądź spokojny, nie obawiaj się. Spowiadałeś się przecież przed paru dniami.

To prawda i zdaje mi się, że nie mam nic ciężkiego na sumieniu. Jednakże pragnę otrzymać rozgrzeszenie, nim stanę przed Boskim Sędzią.

Wysłuchałem jego spowiedzi. Równocześnie zauważyłem, że stan jego pogarsza się z każdą chwilą, bo dech mu zapierało. Trzeba się spieszyć - pomyślałem sobie, jeżeli chory ma przyjąć Wiatyk i otrzymać Ostatnie namaszczenie. A kto wie, czy będzie mógł przyjąć Wiatyk święty z powodu kaszlu... A więc trzeba wziąć przynajmniej oleje święte. Wyszedłem, więc z pokoju i posłałem natychmiast po oleje święte. Chłopcy obecni w pokoju pytali niespokojni: Czy doprawdy grozi mu niebezpieczeństwo? Czy już jest konający? Niestety - odparłem. Nie widzicie, że oddech staje się coraz cięższy i kaszel dech mu zapiera?

Może by było jeszcze możliwe przynieść mu Wiatyk i tak posilonego na duszy oddać w ręce Maryi Najświętszej?

Gdy byłem zajęty przygotowaniem potrzebnych rzeczy, słyszę głos: skonał. Wróciłem do pokoju i zastałem chłopca z oczyma postawionymi w słupek, już martwego.

Umarł ? ... - odezwał się do dwóch, co przy nim czuwali.

Umarł, umarł - odpowiedzieli.

Ale jakżeż tak prędko, tak nagle, czyż to doprawdy on?

Tak, to on - odrzekli mi.

Wierzyć nie mogę własnym oczom: wczoraj jeszcze przechadzał się ze mną pod portykami...

Tak, tak, wczoraj chodził, a dziś leży martwy, przytaknęli smutno.

Całe szczęście, że był to chłopak wzorowy - powiedziałem do otaczających mnie chłopców. A pomyślcie, że nie miał nawet możliwości przyjęcia Wiatyku i Ostatniego Namaszczenia. Podziękujmy Bogu, że zdołał się wyspowiadać. Dobry był i przystępował dość często do sakramentów świętych. Możemy mieć nadzieję, że już jest w niebie lub przynajmniej w czyśćcu. A gdyby jego los spotkał któregoś z was, co się działooby z niektórymi?... Uklękliśmy wszyscy i odmówiliśmy psalm: „Z głębokości” - za duszę zmarłego.

Kiedy, wracałem do pokoju, natknąłem się na biegnącego mi naprzeciw z księgarni Ferrarisa, który zatrwożony pyta:

Czy Ksiądz Bosko wie, co się przed chwilą stało?

Niestety, wiem. Umarł chłopak N - odparłem. Nie o niego chodzi, ale umarli dwaj inni. Cóż znowu, którzy ?

Ten i ten...

A kiedy? Nic nie rozumiem.

Tak, dwaj inni zmarli, wcześniej, zanim Ksiądz przybył.

A dlaczego nie wezwaliście mnie ?

Nie było czasu... Ale niech Ksiądz powie, kiedy ten pierwszy umarł?

W tej chwili, co dopiero - odpowiedziałem.

A czy Ksiądz wie, którego dzisiaj mamy - pytał dalej Ferraris.
Pewno, że wiem. Dzisiaj mamy 22 stycznia, trzeci dzień nowenny do św. Franciszka Salezego.

Nie - odrzekł Ferraris. Ksiądz Bosko się myli. Niech Ksiądz lepiej zobaczy...
Spojrzałem na kalendarz: był 26 maja.

To niemożliwe – wykrzyknąłem. Przecież teraz jest styczeń dopiero.

Poznaję to choćby z tego, jak jestem ubrany: w maju nikt by się tak grubo nie ubierał. W maju nie ogrzewa się kaloryferów.

Nie wiem, co na to powiedzieć, ale dzisiaj rzeczywiście jest 26 maja.

Przecież wczoraj dopiero umarł nasz towarzysz, a to był styczeń.

Myli się Ksiądz, wyjaśniał Ferraris. To było w czasie Wielkanocnym.

Tego już za wiele: co jedno zdanie, to większa niedorzeczność.

A jednak było to w czasie wielkanocnym. Miał wielkie szczęście, że umarł na Wielkanoc, większe niż ci dwaj, co zmarli w miesiącu maryjnym.

Chyba drwisz sobie ze mnie. Mów jaśniej, gdyż nic z tego nie rozumiem.

Bynajmniej nie żartuję. Rzecz ma się tak, jak mówię. Jeżeli zaś Ksiądz chce się przekonać, to proszę uważać... Tu rozłożył ramiona i mocno zaklaskał w dłonie, a ja się przebudziłem. Co za szczęście - zawołałem - że to był sen, a nie rzeczywistość. A ja się tak przeraziłem...

Taki sen miałem ubiegłej nocy. Nie chcę przypisywać mu szczególniejszej wagi... Wystarczy mi, że ci, których widziałem martwych we śnie, są żywi i zdrowi. Oczywiście nie wypada podawać teraz nazwisk. Będę ich jednak miał na oku, służąc im radą i zachętą według potrzeby, by mogli być na śmierć przygotowani. Niechże jednak nikt nie mówi sobie: to ten lub tamten, ale niech każdy myśli o swej duszy. A nie potrzebujecie z tego powodu posepnieć. Jedyne wnioski, jakie obecnie powinien wam się nasunąć, to ten podany przez samego Boskiego Zbawiciela w Ewangelii: „Estote parati, quia qua hora non putatis, Filius hominis veniet - bądźcie gotowi...”. Ten, co jest nieprzygotowany, by umrzeć dobrze, stale narażony jest na śmierć nieszczęśliwą. Ja przygotowuję się na tę chwilę jak najstaranniej; i wy czyńcie to samo, abyśmy w każdej chwili gotowi byli na wezwanie Boże przejść do wiecznej szczęśliwości. Dobranoc.

Słów Księdza Bosko słuchano zawsze w religijnym skupieniu. Ale kiedy opowiadał te nadzwyczajne rzeczy, wśród setek chłopców zgromadzonych koło Niego, nikt nie kaszlnął, ani szurgnął nogą. Wrażenie, jakie one wywierały, trwało całe tygodnie i miesiące, a wraz z tymi przeżyciami następowały poważne zmiany w zachowaniu się nawet wielkich łobuzów. Całe gromady chłopców oblegały wtedy jego konfesjonał... Jakieś przypuszczenie, że zmyśla te opowiadania, by nastraszyć i pobudzić młodzież do poprawy życia, nikomu nawet nie przyszło do głowy, gdyż przepowiednie śmierci sprawdzały się zawsze, a sny odpowiadały rzeczywistości.

Ale czyż niepokój wywołany podobnymi ponurymi przepowiedniami, nie był dla owej młodzieży gniołącą wszystkich zmorą?... Nie wyglądało. Najpierw, na tak

wielką ilość ośmiuset chłopców, jacy wtedy byli w Oratorium, za dużo nasuwało się kombinacji i możliwości, by poszczególne jednostki miały się tym zbytnio niepokoić. Poza tym panowało wśród nich ogólne przekonanie, że kto umiera w Oratorium, idzie na pewno do raju i że Ksiądz Bosko przygotowuje ich do śmierci tak, iż się nawet o tym nie spostrzegą.

Takie są zgodne wszystkie świadectwa z owych czasów Oratorium.

Kiedy chłopcy poszli spać, niektórzy współbracia otoczyli Księdza Bosko, wypytując natarczywie, czy to nie, który z nich ma wkrótce umrzeć. Ale Święty uśmiechając się swym zwyczajem i potrząsając głową żartował: No, no, niechbym powiedział kto jest, a jeszcze umarłby przed czasem...

Ci widząc, że na ten temat nic nie wskórają, zaczęli z innej beczki pytając, czy są wśród nich tacy, którzy należeli do kur w pierwszym śnie, czyli do szemrających. Ksiądz Bosko spojrzawszy po wszystkich z uśmiechem, rzekł: Może się tam jakiś znalazłby... i zamilkł. Wówczas pytali, czy są między nimi psy nieme. Odpowiedział ogólnikowo i zalecił unikać szemrania i złych rozmów oraz przeszkadzać im.

Biada takiemu księdzu czy klerykowi - mówił Ksiądz Bosko - który przeznaczony do czuwania nad innymi, choć widzi nieporządki, a nie przeszkadza im. Trzeba wam wiedzieć, że przez szemranie nie rozumiem tylko właściwego szemrania, czy obmawiania /Włosi mówią obcinania sukni na plecach / ale wszelkie rozmowy, słowa, dowcipy, które ubliżają w jaki bądź sposób Słowu Bożemu. W ogóle pragnę zaznaczyć, że wielkie jest to zło stać obojętnie wobec nieporządków a nie przeszkadzać im według możliwości. Ktoś odważniejszy zapytał jeszcze, co odnosi się we śnie do ks. Barberisa, bo było w nim ponoć coś i dla niego. A ponieważ widać było, że ksiądz Barberis nie miał nic przeciw, by mu to powiedzieć publicznie, a obecni byli tylko sami księża, Ksiądz Bosko tak odrzekł:

Eh, ks. Barberis nie kładzie na ten punkt dostatecznego nacisku w swoich kazaniach. Ten rzeczywiście potwierdził, że przez cały rok na temat szemrania nie miał ani raz konferencji do nowicjuszków. Oczywiście z uwagi bardzo skrętnie skorzystał. Tak rozmawiając weszli po schodach pod pokój Księdza Bosko i ucałowawszy go w rękę udali się na spoczynek. Pozostał tylko ksiądz Barberis, który jeszcze towarzyszył Księdzu Bosko do jego sypialni, gdzie niespodziewanie nawiązała się dalsza rozmowa przez jakieś pół godziny. Nie było to w zwyczaju Księdza Bosko, ale w tym wypadku był widocznie mocno przejęty tym, co widział i rozmową z księdzem Barberisem chciał się jakoś uspokoić. Między innymi tak mu się zwierzał:

We śnie widziałem wszystkich i widziałem stan duszy każdego. Poznałem, kto kura, kto pies niemy, czy upomniany zabrał się do roboty czy nie. Tym posługuję się przy spowiedziach, przy napominaniu czy publicznym, czy prywatnym, dopóki to nie odniesie skutku. Z początku nie przypisywałem większej wagi podobnym snom, ale z biegiem czasu przekonałem się, że są one skuteczniejsze od niejednego kazania, a nawet od kolekcji i dlatego z nich korzystam. A czemuż nie miałbym korzystać? Czytamy w Piśmie świętym: Probate spiritus; quod bonum est tenete. Widzę,

że chłopcy z nich korzystają, że słuchają ich z przyjemnością, czemu więc miałbym je taić? Owszem, przekonuję się, że one przywiązują ich tym bardziej do Zgromadzenia.

I ja przekonałem się o tym - przerwał ks. Barberis - jak wielce pożyteczne i zbawienne są te sny. Nawet opowiadane gdzie indziej robią dużo dobrego. Gdzie Ksiądz Bosko jest znany, tam się je opowiada, jak jego sny, a gdzie jest nieznany, tam służą one dobrze, jako symboliczne przypowieści. O gdyby tak można sporządzić ich zbiór i wykorzystać właśnie, jako przykłady alegoryczne w kazaniach. Byłyby one poszukiwane i czytane tak przez małych jak wielkich, przez młodych i starych z wielką korzyścią dla ich dusz.

Tak, tak zrobiłyby dużo dobrego, jestem o tym głęboko przekonany. Wielka szkoda - zauważył z żalem ks. Barberis - że ich nikt nie spisuje.

Ja, ciągnął dalej Ksiądz Bosko- nie mam czasu, a wielu już nie pamiętam nawet.

Te, które ja sobie przypominam - podchwycił ks. Barberis – to są sny, które odnoszą się do rozwoju Zgromadzenia pod płaszczem Madonny...

Ach tak - zawołał Ksiądz Bosko - i zaraz kilka z nich przypomniał.

Następnie z miną poważną i z pewnym niepokojem dodał:

Kiedy myślę o swej odpowiedzialności w warunkach, w jakich się znajduję, cały drżę... Jakiż straszny rachunek będę musiał zdać przed Bogiem z tych wszystkich łask, jakich nam udziela dla rozwoju naszego Zgromadzenia.

ROZDZIAŁ III

KONFERENCJE NA ŚWIĘTEGO FRANCISZKA SALEZEGO

Po uroczystości św. Franciszka Salezego, która w tym roku z soboty została przeniesiona na niedzielę, odbyły się konferencje dyrektorów poszczególnych domów. Trwały one od poniedziałku do soboty i w ten sposób ich uczestnicy mogli na niedzielę być w swoich domach.

Zapiski z owych czasów świadczą, że zebrania te były dla wszystkie zbudowaniem i podniesieniem na duchu. Nic w nich nie było sztywnego, ale między wszystkimi starszymi i młodszymi w Oratorium panował duch serdecznej, braterskiej zażyłości, wzajemnego zrozumienia i gotowość ustępstw ze swoich zapatrywań, a przy tym wszędzie odczuwało się bezgraniczne przywiązanie i cześć względem wspólnego wszystkich Ojca - Księdza Bosko. Wszyscy prześcigali się, by odgadywać Jego myśli i spełniać życzenia. Godna też była podziwu bezpretensjonalność zebranych; żadnych nie było dla nich wyjątków przy stole, prócz pierwszego dnia, kiedy Ksiądz Bosko chciał uczcić tych swoich miłych gości lepszym obiadem. Mieszkali w małych pokoikach na poddaszu, w niektórych nawet po dwóch, wygodniejszych nie było. Obsługi żadnej nie mieli i każdy musiał sam utrzymywać porządek w pokoju. Konferencje trwające całymi godzinami od rana do wieczora nie pozostawiały im czasu wolnego na wyjście do miasta, czy odwiedzenie krewnych. Na zebraniach jednak nie brakło humoru, który rozpraszał znużenie. Dowcipy, żarty, homeryckie wybuchy śmiechu przerywały od czasu do czasu poważne obrady, dając im raczej charakter braterskiej wymiany myśli. Ksiądz Bosko w tym otoczeniu czuł się doprawdy w swoim żywiole jak dobry ojciec wśród swoich kochanych dzieci. W kronice z owych czasów taką czytamy notatkę: Tak przy odprawianiu Mszy świętej, jak i przygotowaniu do niej, czy dziękczynieniu przebijał duch skupienia i powagi, będącej wyrazem głębokich religijnych przeżyć.

A teraz zobaczmy jakie sprawy były przedmiotem na tych zebraniach do omówienia. Dobrze będzie przypomnieć tu dwa powiedzenia Księdza Bosko z roku 1875. Pierwsze jest takie: „Mądrość i wiedza, przewidywać i zapobiegać”. Pierwsi ci dyrektorzy na tych poufnych zebraniach dają nam przykład, jak należy skrzętnie wszystko przewidywać, bo to jest sekret dobrego rządzenia. A oto drugie powiedzenie Księdza Bosko, które wygląda na paradoks: „W domach naszych nie mamy zajmować się, jak tylko drobnymi rzeczami. Reszta przyjdzie sama przez się”.

A iluż to przecież sądzi, że trzeba postępować całkiem odwrotnie. A jednak życie codzienne jest niczym innym, jak tylko splotem drobnych rzeczy, za którymi idzie wszystko. W każdym razie jak w poprzednim tomie, tak i w tym podamy dokładne sprawozdania z poszczególnych posiedzeń, jak też dyskusji i decyzji na nich

powziętych. Kogo by to interesowało i chciałby śledzić dalszy bieg wypadków, niech przeskoczy do następnego rozdziału. Czy nie zdziwi np. nikogo, że na pierwszym posiedzeniu, któremu przewodniczył ks. Rua, dyrektorowie zajmowali się rozdziałem personelu, co obecnie jest w kompetencji Kapituły Generalnej, czy Rad inspektorialnych? A jednak tak było. Ksiądz Bosko nie lubił występować zbyt autorytatywnie, ale raczej po ojcowsku, stąd też często radził się jakby współbraci o rzeczach, które już sam przestudiował i zdecydował. Chciał przez to wciągać swoich w tok bieżących spraw Zgromadzenia i tym bardziej ich z nim związać.

Otóż w Oratorium wskazane było zmienić księdza Ochiala ze stanowiska katechety rzemieślników. Mocno on już podupadł na zdrowiu i rzeczywiście w ciągu roku zmarł. Na to miejsce zaproponowano księdza Bran prefekta w Valsalice; ale właściwie był on tam tylko prefektem nominalnym, gdyż dyrektor, ks. Dalmazzo łączył w sobie wszystkie urzędy. Okoliczność ta wywołała żywą dyskusję, gdyż chodziło o zagadnienie zasadnicze. Zebranie, zazdrosne o utrzymanie przyjętych zwyczajów, mocno podkreśliło normę, która ważna jest po dziś dzień. Nie wolno wprowadzać nadużyć - powiedziano wtedy. Dyrektor nie ma prawa wyklądać Reguły jak mu się podoba, dając prefektowi tylko tyle władzy, jaką uzna za stosowne. Kiedy Kapituła Wyższa ustanowi razem z nim, aby ktoś taki był prefektem, to niechże ten ma i nazwę prefekta i jego władzę. Prawda, że dopóki żyje Ksiądz Bosko, wszyscy mu ulegają i każde jego życzenie jest natychmiast spełniane. On rzeczywiście może swobodnie naznaczać na urzędy, kogo uważa, powiększać, czy zmniejszać ich zakres, według tego, jak uzna za stosowne, ale jest także prawdą, że już nadszedł czas, ażeby tworzyć taką tradycję, która zapewniłaby normalne funkcjonowanie domu, nawet, gdy zabraknie Księdza Bosko.

Przy dyskusji tej wyłoniła się inna uwaga, a mianowicie, żeby dyrektor nie brał na siebie obowiązków prefekta, a to z dwóch powodów: najpierw, dlatego, że w takim razie musiałby wziąć na siebie całe odium związane z utrzymaniem karności, przez co straciłoby do niego wielu zaufanie, te mu potrzebniejsze, jako spowiednikowi domu; po wtóre, jeśli dyrektor będzie wszystko sam robił to inni nie będą wiedzieć, co oni mają robić. Na razie nie chodzi o to jakby w tej chwili trzeba się było obawiać jakichś większych nieporządków, ale te będą możliwe w przyszłości, jeżeli się zaraz od początku nie podtrzyma zasady, że prefekt ma mieć swój wyraźny zakres działania według tego, co przepisują Reguły.

Wracając do konkretnego wyżej wspomnianego wypadku, dyskutowano nad osobą najodpowiedniejszą na stanowisko prefekta do owego kolegium szlacheckiego w Valsalice. Ostatecznie wybór padł na księdza Marengo, przyszłego biskupa. Ten doprawdy mógł zaimponować każdemu i postawą i swoją dystynkcją.

Następnie omawiano sprawę rekolekcji, które odbywały się zazwyczaj przy końcu roku szkolnego. Doświadczenie nauczyło, że nie jest to czas odpowiedni, że raczej byłoby wskazane, by się odbywały w marcu lub w kwietniu. Wszak rekolekcje mają poprawić to, co jest niedobrego wśród wychowanków. Jeżeli się

odbywają z końcem roku, to ci nie mają już sposobności wprowadzić w czyn swoich postanowień, natomiast będą mieli czas okazać swoją dobrą wolę i umocnić się w postanowieniach, jeżeli po ćwiczeniach duchownych pozostaną jeszcze parę miesięcy w zakładzie. Po wymianie myśli na ten temat ustanowiono kaznodziejów na bieżący rok szkolny i na tym zamknięto posiedzenie przedpołudniowe. Na posiedzeniu popołudniowym również pod przewodnictwem księdza Rua omawiano zdatność kleryków, mających otrzymać święcenia. Ks. Cerruti był zdania, że do święceń mniejszych można być względniejszym i dopuścić do nich tych z pierwszego i drugiego roku teologii, co ich zachęci do tym większych wysiłków w pracy nad sobą, a równocześnie jest zgodne z duchem Kościoła, który przewiduje między poszczególnymi święceniami dłuższe odstępy.

Omawiana była także sprawa kleryków proszących o dopuszczenie do ślubów. Oczywiście dyrektorzy mieli tylko głos doradczy i informujący, gdyż właściwe dopuszczenie należało do członków Kapituły Wyższej.

Następnie ks. Rua polecił dyrektorom, ażeby, o ile wydalają jakiegoś aspiranta, czy nowicjusza, a tym bardziej współbrata, zawiadomili o tym zawsze Kapitułę Wyższą. Gdyby zaś mniej odpowiednie indywidua odsyłali do Oratorium, jak się to nieraz zdarzało, żeby równocześnie zawiadomili Przełożonych o przyczynach takiego kroku.

Dalszym punktem omawianym było pisanie historii Zgromadzenia, które z każdym rokiem nabierało coraz większego znaczenia w Kościele i społeczeństwie. Ksiądz Bosko miał wielki zmysł historyczny i przechowywał skrzętnie najdrobniejsze nawet dokumenty, nic, więc dziwnego, że zalecił wyznaczenie kogoś, którego obowiązkiem by było przygotować materiały do takiego dzieła. Na razie chodziło o kroniki lokalne. Każdy, więc dyrektor został zobowiązany zapisywać najważniejsze wydarzenia w swoim kolegium, dbając w szczególniejszy sposób o to, by nie poszło w zapomnienie nic z tego, co Ksiądz Bosko czynił, czy powiedział w czasie swoich wizytacji. Jeśliby tego nie mogli uczynić sami dyrektorzy, niechże do tego wyznaczą kogoś ze swoich współpracowników, ułatwiając mu zebranie potrzebnych informacji. Zacząć trzeba od dotychczasowej treściwie ujętej historii zakładu, w której by zaznaczone było dokładnie, kiedy i w jakich warunkach został otwarty, co wpływało na zwiększenie lub zmniejszenie liczby wychowanków i wreszcie przejść do kroniki wydarzeń. Cóż by to było za szczęście, gdyby wszyscy tego zalecenia usłuchali, gdyby gorliwsi byli w nim wytrwali, gdyby z biegiem czasu nie było to zalecenie zaniebane, gdyby niedbalstwo nie doprowadziło do zatracenia tego, co było już zrobione. Pewno, że można się wymawiać nawałem pracy, ale to nie zmniejsza żalu, że tak się stało i nie zabrania także, by tu wyrazić gorące życzenie, aby się więcej po domach myślało o ich historii, której pisanie nie jest żadną bezwartościową rozrywką leniuchów, lecz jest ostoją tradycji, szkołą doświadczenia i bodźcem, aby się dobrze zasłużyć.

Na zakończenie zebrania ks. Rua przedstawił uporządkowane różne uchwały i postanowienia z poprzednich kapituł, z których wiele już poszło w zapomnienie. Po pewnych zmianach zadecydowano włączenie ich do regulaminu i wydrukowanie.

Uchwały dotyczące jedynie dyrektorów, nie zostały podane do publicznej wiadomości. Ich kopie - wręczono tylko zainteresowanym. Nie były to żadne „monita secreta”, ale raczej wskazówki poufne dla dyrektorów, które dzisiaj już są znane wszystkim, a które mają orientować przełożonego, jak sobie postąpić w różnych sytuacjach, także in fero interno.

Do poprzednich uchwał dołączone zostały normy odnośnie do korespondencji współpraci. Kiedy jakiś salezjanin udaje się do innego zakładu, albo z niego wyjeżdża, nie powinien zabierać ze sobą listów bez wiedzy dyrektora, ani też przyjeżdżając do miejsca przeznaczenia, oddawać ich bezpośrednio adresatowi, ale ma je wręczyć prefektowi czy dyrektorowi danego domu, by ci, jeżeli zechcą, mogli je skontrolować. W ogóle każdą rzecz, którą się przywozi do zakładu, powinna przejść przez ręce Przełożonego, tak samo i to, co się chce z zakładu wysłać, dokąd indziej. Sprawa korespondencji dała okazję do poruszenia innej dość ważnej rzeczy, a mianowicie, że współpracia pisują za rzadko do siebie, co jest poważnym niedociągnięciem. W innych zakonach nawet nalega się na częstszą wymianę myśli jego członków, bo to przyczynia się do utrzymania jedności ducha, poznania się wzajemnego, ożywienia prawdziwego braterstwa, a równocześnie ułatwia zaradzenie różnym możliwym nieporządkom. W zasadzie wszyscy się na to zgodzili, ale gdy się przeszło do praktyki, powstał cały szereg wątpliwości: jak to przeprowadzić, jak często pisywać?, do kogo?, jak? Bez trudności zgodzono się na to, iż wypada, by każdy członek napisał do Księdza Bosko, względnie do Kapituły Wyższej, przynajmniej trzy razy w roku, a to z okazji uroczystości św. Franciszka Salezego, NMP Wspomożycielki i rekolekcji w Lanzo. Uznano przy tym za wskazane, by notować, kto pisze, aby w razie czego zachęcić opieszłych do pisania. Ale tu znowu powstała trudność: gdyż na podobne listy wypadałoby, żeby adresaci odpisali, tymczasem członkowie Kapituły Wyższej mieli dosyć zajęć, a żeby ich podobnym obowiązkiem obarczać. Przerwano więc dyskusję, pozostawiając decyzję Księdzu Bosko i w jego imieniu o późnej godzinie konferencję zakończono.

Konferencja następnego dnia dotyczyła uzupełnień, jakie miały być włączone do regulaminu. Będzie rzeczą interesującą zapoznać się ze sposobem myślenia owych pierwszych dyrektorów naszego Zgromadzenia ze Sługą Bożym, księdzem Rua na czele, który zawsze był wiernym tłumaczem myśli Założyciela. Sześć punktów zasługuje tutaj naszym zdaniem na podkreślenie.

1. Zmiana rozkładu dnia. W pierwszych latach lekcje śpiewu odbywały się po wieczery. Z biegiem czasu prawie wszystkie zakłady przeniosły je na czas przed wieczerną. Tylko Dyrekcja Oratorium nie chciała zmienić pierwotnego rozkładu godzin bez aprobaty Księdza Bosko. Wywołało to dłuższą dyskusję. Doświadczenie bowiem wykazywało, iż chłopcy więcej korzystają z lekcji przed wieczerną i

nauczyciele chętniej ją prowadzą o tej porze. Traciło się także mniej czasu, ponieważ chłopcy przechodzili zaraz ze studium do szkoły śpiewu, względnie na korepetycje, które były urządzone dla słabszych w nauce. Po wieczery najtrudniej było zebrać wszystkich z łatwo zrozumiałych powodów, zwłaszcza, że część pozostawała na rekreacji. Ostateczne, więc rozstrzygnięcie pozostawiono Księdzu Bosko.

2. Sprawozdanie miesięczne. Wypada, czy nie wypada wchodzić w sprawy sumienia? Dzisiaj ta sprawa jest zadecydowana Kodeksem Prawa Kanonicznego kan. 530. Kwestia ta była już negatywnie załatwiona, kiedy indziej przez naszych także. Uznano jednak za rzecz dobrą zainteresować się skłonnościami i zdolnościami poszczególnych jednostek o ile by to nie wchodziło w zakres spowiedzi, aby tak łatwiej i lepiej dysponować zajęciami członków, a także zorientować się, jakie podejście względem nich będzie więcej wskazane: czy łagodne czy stanowcze. Położono też wielki nacisk na regularne przyjmowanie sprawozdań, bo te ułatwiają wielce kierownictwo zakładem.

3. Druga konferencja miesięczna. Niektórym zdawało się, że to jest za często, bo skąd znaleźć tematy do omawiania w tak krótkich odstępach? Inni podkreślali brak czasu na podobne zebrania. W ciągu dnia nie było wprost możliwości zgromadzenia współbraci, a po modlitwach byli wszyscy już senni, a nie wypadało przecież rzeczy zbywać. Ktoś zaproponował, ażeby się zgromadzić o godzinie 5.00 po południu, pozostawiając asystencję osobom z poza Zgromadzenia. O tej godzinie przecież urządzało się konferencję dla nowicjuszków. Czemuż nie można by tak samo postąpić i w innych zakładach? Na to ks. Rua zauważył. Pewnie, że i konferencja o piątej po południu pociągnie za sobą pewne niedogodności i asystencję w studium na ten czas musi przejąć ktoś obcy. Ale można by ją zlecić także jednemu z naszych, byle nie zawsze temu samemu. O treści konferencji może się także dowiedzieć od jej uczestników. Ksiądz Bosko kładzie wielki nacisk na podobne konferencje.

4. Kwestie liturgiczne. Zwrócono uwagę, by księża przestudiowali sobie dobrze ceremonie. Ktoś zwrócił uwagę na pośpiech, z jakim niektórzy szli do ołtarza i wracali od niego. Ks. Rua zaś takie dał uwagi: niestety wśród księży świeckich ogólnie zauważa się zbyt ni pośpiech w odprawianiu świętych obrzędów; może tylko Filipini w Turynie pod tym względem zachowują należyłą powagę przy tej świętej czynności. Na razie podobnego zarzutu zbytniego pośpiechu nie można naszym księżom zrobić, owszem zdaje się, że poza Filipinami nigdzie indziej nie odprawia się z taką powagą jak u nas. Jednakże u niektórych można już zauważyć pewne tendencje przyspieszania, dlatego niech każdy dyrektor zwraca na to uwagę w razie potrzeby. Może się komuś zdawać to mniej ważne, a przecież sposób zachowania się kapłana przy ołtarzu jest wielkim zbudowaniem dla wiernych, no i wymaga tego świętość samego obrzędu. Właściwie byłby to obowiązek katechety czuwać nad świętymi ceremoniami, ale na razie są oni jeszcze za młodzi i nie mają na tyle powagi wobec innych księży, niektórzy nawet są jeszcze klerykami. Niechże, więc dyrektorzy

przejmą na siebie ten obowiązek i postarają się, ażeby tak in recessu, czy w ogóle przy świętych ceremoniałach wszystko odbywało się z należną dostojnością. Szczególną naganę z przywołaniem do poprawy siebie i innych otrzymali ci, którzy czy to idąc do ołtarza, czy odbywając preparacje, względnie dziękczynienie albo odmawiając brewiarz, mamroczą. Cóż to za brzydki sposób modlenia się, który na dodatek przeszkadza innym.

5. Oddawanie do druku. Czytamy w regulaminie: Nie wolno oddawać nic do druku bez pozwolenia Kapituły Wyższej. Z tego wynikła potrzeba wyznaczenia odpowiedniego cenzora. Nie ma on jednak decydować według własnego widzimisie, ale rzecz referować Przełożonym wyższym. Ostatecznych w tym względzie wskazówek oczekuje się od Księdza Bosko.

6. Nasze wydawnictwa po zakładach. Był zwyczaj, że książki wydrukowane na nasz koszt własny, rozsyłało się w dwóch kopiach do poszczególnych zakładów. Ale nie czyniło się tego z książkami wydrukowanymi na koszt autorów obcych. „Letture Cattoliche” będzie dobrze wysyłać po jednym egzemplarzu każdemu współbratu; z Biblioteki zaś Klasyków wystarczy pewna ilość egzemplarzy dla profesorów.

Zapowiedź, iż o godz. 5.00 po południu odbędzie się zebranie ogólne pod przewodnictwem Księdza Bosko, zakończyła posiedzenie.

Bardzo uroczyste było to zebranie popołudniowe. Wzięli w nim udział wszyscy współbracia w Oratorium, nowicjusze i aspiranci w liczbie 156. Odbyło się ono w kościele świętego Franciszka. Członkowie Kapituły Wyższej i dyrektorzy zasiedli półkolem w prezbiterium zwróceniem twarzą do zgromadzonych. Ksiądz Bosko stał w środku u stóp ołtarza i sam osobiście tak rozpoczął zebranie: Bracia moi drodzy, otośmy zebrani według zwyczaju lat ubiegłych z okazji uroczystości św. Franciszka Salezego, aby orientować się, w jakim stanie jest nasze Zgromadzenie tak pod względem zdrowotnym, materialnym, jak i naukowym oraz moralnym. Przedstawią nam to poszczególni dyrektorzy domów tu obecni. Pierwszy przemówi dyrektor najstarszego domu, a potem inni w kolejności powstawania zakładów. Nastąpi potem sprawozdanie o stanie Oratorium, ja na zakończenie będę mówił o ogólnym postępie Zgromadzenia i o najważniejszych wydarzeniach z minionego roku. A teraz ma głos dyrektor z Borgo S. Martino.

Ks. Jan Bonetti zaczął od podkreślenia, że jego zakład jest za szczupły na tę wielką ilość zgłoszeń o przyjęcie, jakie stale otrzymuje. Chorych w domu nie ma. Współbraci trzeba hamować w pracy, gdyż ci sami profesorowie, którzy cały dzień prawie spędzają w klasach, wieczorami jeszcze rwą się do korepetycji, za to ich wysiłki wynagradzane są licznymi powołaniami do stanu zakonnego i kapłańskiego, do czego waleń przyczyniają się również i towarzystwa religijne. Szkoły komunalne powierzone salezjanom dla swoich pięknych wyników zyskały ogólne uznanie miejscowych władz i społeczeństwa. Uczniów w nich jest 130. Gdy zachorowała

nauczycielka z miasta, Siostry nasze tak się je wtedy nazywało ze swojego domu, który otwały ubiegłego roku przy naszym kolegium, chodziły uczyć dziewczęta ku wielkiej radości ich rodziców, którzy koniecznie chcą, by całe wychowanie ich córek przeszło w ręce Sióstr. Także i w kolegium wszyscy są z pracy Sióstr w szatni zadowoleni, a ich modlitwy spraszają błogosławieństwo Boże na zakład. Doprawdy trzeba Bogu dziękować za wszystkie łaski, jakich nam użycza. Skończył, polecając swój dom modlitwom współbraci.

Ks. Jan Lemoyne chwalił swoich współbraci z Lanzo już to za to, że tworzyli serce jedno i duszę jedną, jak też i za to, że i oni pracowali - i pracowali bardzo wiele. Od dwóch lat stan zdrowotny chłopców jest bardzo dobry, do czego zdaje się przyczynił się zakaz picia wody po wieczery i zalecenie odbywania rekreacji pod portykami. Internistów było 230, a eksternistów 130, którzy uczęszczali do naszych szkół komunalnych, a tym samym i na zebrania świąteczne. Brak miejsca dla Oratorium na rekreację, ale o tym pomyśli wikariusz Albert. Trzech księży chodziło na Mszę świętą do kościołów na miasto. Dobry postęp moralny kolegium zawdzięcza dyrektor doborowemu personelowi, jakim go Przełożeni obdarzyli.

Ks. Jan Francesca - mówi o swoim kolegium w Varazze. Zdrowie chłopców godne pozazdroszczenia, pilność wystarczająca, żywy duch pobożności, rekreacje ruchliwe. Wychowanków było tylu, ilu ich tylko dom mógł zmieścić, czyli 130. Wiele podać trzeba było załatwić odmownie. Bardzo pięknie idą szkoły komunalne przez naszych prowadzone i szkoła wieczorowa dla dorosłych. W Oratorium św. Bartłomieja rano i wieczór odbywały się zebrania dla chłopców nie uczęszczających do szkół. Ks. Francesca chwalił bardzo swój personel i polecał się modlitwom współbraci.

Ks. Franciszek Cerruti - mówił o swoim kolegium i liceum w Alassio. Do tych szkół uczęszczało 500 uczniów, z których 160 do konwiktów należało, to jest tylu, ilu można było z biedą pomieścić. Chwalił się ogólnym postępem tak materialnym i moralnym domu. Niestety musiał opłakiwać szkody, jakie wyrządzały młodzieży wakacje. Było to zjawisko, doprawdy groźne. Wielu wyjeżdżało, których można by postawić za wzór pobożności i zachowania się, a wracali ze wstrętem do wszystkiego, co ma styczność z Kościołem. Nie mogąc naprawić tego zła ludzkimi środkami, uciekł się do modlitwy i mógł namacalnie przekonać się o jej skuteczności. W czasie nowenny do Niepokalanej i Bożego Narodzenia udało mu się obudzić w zakładzie nową gorliwość i założyć wszystkie towarzystwa religijne, za czym przyszła większa frekwencja do sakramentów świętych. Duch wśród Współbraci jest dobry, eksterniści chętnie przychodzą do Oratorium świątecznego, interniści uczą się pilnie, jest nadzieja, że i tego roku wśród nich zakwitną powołania duchowne. Przy czym niepłonną żywi nadzieję, że dzięki modlitwom współbraci nadal utrzyma się w domu w Alassio duch miłości i gorliwości o zbawienie dusz.

Ks. Franciszek Dalmazzo - z przyjemnością podkreślił, że w jego domu w Valsalice liczba wychowanków wzrosła z 30 do 60 - ciu. Ale niestety rozchody nie mogą dorównać dochodom, a to z powodu wysokich pensji, jaką trzeba płacić

profesorom obcym. Nauka, pobożność, uczęszczanie do sakramentów świętych, towarzystwa, praca salezjanów - nie pozostawiają nic do życzenia, jak dotąd nikt nie chorował. Niech Bogu będą dzięki - zawołał na końcu, gdyż prawdopodobnie tego roku będziemy mieli jakieś powołanie.

Ks. Paweł Albera - przedstawił, jak w Sampierdarena budowa nowego gmachu została ukończona i obecnie można w nim pomieścić dwa razy więcej, niż dotąd wychowanków, których obecnie jest 120. Praca i nauka rozwija się tam bardzo intensywnie, na stan zdrowotny nie ma się co żalić, pomimo, że dom wystawiony jest na ciągle wichry. Dobry przykład współbraci i wychowanków pociągnął już nawet do owczarni jakąś zgubioną owieczkę z miasta; ludność jest tam życzliwa dla salezjanów. Niektórzy współbracia wychodzą na miasto w niedzielę uczyć katechizmu. Eksterniści chętnie przychodzą do zakładu na naukę uzupełniającą katechizmu, po której są prowadzeni na błogosławieństwo Najświętszego Sakramentu do kościoła. Synów Maryi Wspomożycielki jest 30. Zakończył prośbą o modlitwę, aby jego dom mógł wydać obfite owoce.

Ks. Jakub Costamagna - dyrektor Córek Maryi Wspomożycielki w Mornese – przedstawił słuchaczom wspaniały rozwój tego Zgromadzenia: prawdziwe to ziarnko gorczyczne rozrastające się w wielkie drzewo. Liczba sióstr przekracza już setkę, podania o przyjęcie stale napływają, ale na razie odczuwają jeszcze potrzebę pomocy z Oratorium. Siostry te mogą doprawdy służyć za wzór ducha pokory i zaparcia się samych siebie. Będą one wielką pomocą także na misjach. Stan zdrowotny jednak zostawia dużo do życzenia. Dwie z nich już prawie dogorywają. Komunia święta każdy dzień jest generalna. Mają 35 wychowanek, poza tym prowadzą szkołę żeńską komunalną; także i męskie szkoły zostały oddane kierownictwu salezjanina. Monsignore Sciandra zatwierdził w tych dniach Reguły Sióstr. Także i on na zakończenie polecił się modlitwom współbraci.

Ks. Józef Ronchail - dyrektor hospicjum w Nizza Mare żalił się na szczupłość środków, jakie miał do dyspozycji. Całego personelu - 9 osób, to jest 5 chłopców, 2 kleryków i kucharz i dyrektor. Przyjęciu więcej chłopców przeszkadzały prawa francuskie. Każdy, kto by chciał uczyć jakiegoś chłopca zawodu, powinien naprzód postarać się, aby ten nauczył się czytać i pisać. Ksiądz obcokrajowiec może uczyć we Francji języka łacińskiego dopiero po dwuletnim tamże pobycie. Żaden ksiądz nie może mieć więcej uczniów, jak czterech. Jakże, więc można w takich warunkach prowadzić szkołę? Aby móc zbierać w niedzielę chłopców i uczyć ich katechizmu, aby móc trzymać w domu kilku chłopców i uczyć ich, salezjanie zwrócili się do prefekta protestanta, który dopiero po wielokrotnych naleganiach udzielił im żądanego pozwolenia. Obawiał się on, że salezjanie noszą się z ukrytymi zamiarami politycznymi, a mianowicie chcą popierać przyłączenie Nizy do Włoch. Byli więc na tym punkcie bardzo skrupulatnie przepytывani. Komisarz przysłany dla przeprowadzenia śledztwa, zastawszy chłopców na podwórzu, a dyrektora w łóżku, zreferował, że nie prowadzono szkoły. Wobec czego kilka dni potem przyszło pisemne

pozwolenie od prefekta na otwarcie szkoły i na nauczanie katechizmu. We Francji - mówił ks. Ronchail - pracuje się wiele w niedzielę, ale prawo zabrania w tym dniu pracować młodzieży poniżej lat szesnastu. Prefekt jest gotów dopatrzeć przestrzegania tego artykułu prawa. Ludność a także i urzędnicy są z nas zadowoleni. O naszym domu jedni mówią źle, inni dobrze, a inni są obojętni. Wielu przyrzekło nam pomoc, ale my nie mamy opierać się na ludziach, lecz na Bogu. Polecamy się modlitwom wszystkich, gdyż Nizza potrzebuje bardzo tych, którzy by jej czynili dobrze.

Po księdzu Ronchail zabrał głos Ksiądz Bosko :

Ponieważ już jest bardzo późno i za chwilę dzwonek wezwie nas do kościoła, odłożymy omawianie stanu domu turyńskiego Oratorium na jutro o tej samej godzinie, a ja ograniczę się tylko do kilku słów na temat jednak bardzo ważny. Otóż chcę polecić wszystkim dyrektorom, ażeby powróciwszy do swoich domów, zwrócili uwagę współbraciom i wychowankom na sposób pisania listów. Niestety widać, że nie umie się ich pisać. A trzeba zauważyć, że kto takie listy ogląda, to nie tyle wyrabia sobie pojęcie o danym indywiduum, ale raczej o całym Zgromadzeniu. Nie mówię o tym dlatego, żeby ogólnie zauważyło się podobne braki, ale raczej, by zapobiec możliwym nieprzyjemnościom. Pisanie listów jest rzeczą poważniejszą, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Wielu wyrabia sobie taką, czy inną opinię o danym zakładzie tylko według listów, jakie z niego wychodzą. Pochwała lub nagana należą właściwie jednostce, rozciągana bywa na cały dom czy zgromadzenie, jakby tam nie umiano nauczyć nawet napisania marnego listu. Nie tylko więc trzeba zważać przy pisaniu listu na treść, ale i na formę. Trzeba unikać błędów nie tylko gramatycznych ale i ortograficznych, starać się o czytelną kaligrafię. Wielki to nietakt wysyłać listy, które adresat tylko z biedą może odszyfrować. Na liście kładzie się przede wszystkim u góry w pierwszej linii miejsce i datę, a nie pisze się tego między tytułem i treścią; nie zaczyna się zaraz listu od: Drogi przyjacielu, zawiadamiam ciebie w tej samej linijce, ale tytuł umieszcza się wyżej a dopiero pod nim rozpoczyna się treść listu.

Ważną też rzeczą przy pisaniu listu jest oddać każdemu, do kogo się pisze, należyty tytuł; na początku listu wypisuje się tytuł pełnymi słowami, a nie skrócony i to bardziej od lewej strony, datę zaś po prawej stronie: jeżeli ją się zaś umieszcza na końcu tekstu, to wtedy po lewej stronie. Jeżeli się pisze do osób wysoko postawionych, należy rozpocząć pisanie mniej więcej w połowie arkusza a nie od samego wierzchu. Podpis umieszcza się zawsze w pewnym odstępnie od treści listu po stronie prawej. Zakończenie grzecznościowe za „pozostaję z wyrazami itd.” pisze się od nowej linijki.

Te i inne podobne szczegóły uważam za bardzo ważne, zwłaszcza dla naszych kleryków i członków naszego Zgromadzenia.

Polecam więc bardzo dyrektorom, ażeby na to zwracali uwagę. Zachowując to, zyskuje się na tym wiele.

Dyrektorzy i inni księża w owych dniach, kiedy tylko mogli otaczali ich wspólnego Ojca. On zaś ze swej strony korzystał z każdej chwili, by porozmawiać z dyrektorami i dać każdemu potrzebne wskazówki. Wszystko to bardzo pokrzepiało na duchu Księdza Bosko, przy tylu przykrościach, jakich doznawał, które nam są znane. Wieczorem, 2 lutego rozmowa z nim padła na temat historyka, o którym była mowa na rannym posiedzeniu. Uwagi na ten temat Księdza Bosko przechował nam ks. Barberis. Oto jak Święty miał się o tym wyrazić: Sprawa to nagła i warto się od razu do niej zabrać. Każdy z dyrektorów niech napisze historię swego zakładu od założenia aż do obecnej chwili, notując potem w formie kroniki wszystkie ważniejsze w nim zdarzenia. W pierwszej części dotyczącej przeszłości, uwzględnić trzeba na pierwszym datę założenia, rozbudowę zakładu, jego rozwój, liczbę chłopców z roku na rok, przy czym podać ich ogólną charakterystykę, jaka frekwencja do sakramentów świętych i ich ogólne zachowanie, kto przywdział suknie klerycką, kto wstąpił do Zgromadzenia, jakie były stosunki z władzami miejscowymi i ludnością. Po tym powinny przyjść uwagi o eksternistach, kursach wieczornych, oratorium świątecznym i też podając o ile można, jaki one wpływ wywierały, jakimi środkami się posługiwano, by otrzymać to czy owo, na jakie napotykało się trudności i jak zostały przezwyciężone.

A potem dalej kontynuować podobne zapiski z roku na rok, jak wyżej powiedziałem, podając ilość wychowanków, czas rozpoczęcia roku szkolnego, jak też zakończenia, podkreślając równocześnie wartość personelu, który w danym roku pracował itd.

Tak prowadzonej kroniki należy zrobić wierną kopię dla archiwum domu, a oryginał odesłać do Turynu, ażeby Przełożeni mogli zorientować się w działalności każdego naszego domu.

Ja ze swej strony napisałem już treściwie wiele rzeczy dotyczących Oratorium od jego zaistnienia aż do dzisiaj. Owszem, do roku 1854, wiele rzeczy przekazałem bardzo obszernie. W roku 1854 zaczyna się już mówić o Zgromadzeniu, jego historia się wzbogaca bardzo i nabiera nowego aspektu. Uważam, że taka praca posłuży dla naszych następców i przyczyni się do większej chwały Bożej, dlatego jej nie zaniecham kontynuować. W tym wypadku nie trzeba mieć względu ani na Księdza Bosko, ani na innego. Życie Księdza Bosko jest ściśle związane z rozwojem Zgromadzenia i dlatego trzeba o nim mówić. Dla większej chwały Bożej, dla zbawienia dusz i dla dalszego rozwoju Zgromadzenia, potrzeba, aby wiele rzeczy było znanych.

Otóż tu, w naszym ścisłym gronie, możemy sobie wyraźnie powiedzieć, że inne zgromadzenia, czy zakony też powstawały pod jakimś wyższym natchnieniem, czy po jakiejś wizji, które pobudzały do ich założenia, ale zazwyczaj ograniczało się to do jednego, a w każdym razie, niewielu podobnych faktów nadprzyrodzonych. U nas działo się całkiem inaczej. Nie było wypadku, którego by się z góry nie wiedziało: Zgromadzenie nie uczyniło jednego kroku, który by nie był doradzony z nieba. Nie

było zmiany ani ulepszenia, ani rozbudowy bez wyraźnego nakazu Bożego. Wobec tego z całą słuszością zdaje mi się mogę stwierdzić, iż człowiek tu nie wchodzi. Cóż mi więc zależy, że o tym będą mówić dobrze lub źle? Cóż mi zależy, że ludzie będą mnie osądzać tak lub inaczej. Tak czy tak, nie będę niczym więcej, jak tylko tym, czym jestem w oczach Bożych. Ale potrzeba, aby dzieła Boże się ujawniły. I tak moglibyśmy pisać wszystkie wypadki, które przeżyliśmy wcześniej, zanim nastąpiły i to bardzo drobiazgowo i precyzyjnie. Rzeczywiście niektóre spisałem dla własnego pokrzepienia.

Trzeci dzień. Posiedzenie ranne odbyło się pod przewodnictwem księdza Rua. Dyskutowano nad uwagami wyjaśniającymi regulamin. Uwzględnimy tutaj sześć z nich.

1. Podwieczorek kleryków - czy należy pozostawić podwieczorek dla kleryków czy nie? Zebrani byli pod wrażeniem, że Ksiądz Bosko jest za „nie”. Na jednej konferencji do nowicjuszków zalecając im nie jeść i nie pić poza posiłkami wspólnymi, miał powiedzieć: Jeżeli jesteście głodni, to idźcie spokojnie na podwieczorek, ale... Kapituła pozostawiła tę rzecz nierozstrzygniętą, zauważając przy tym, że podwieczorek jest niepotrzebny, gdyż obiady są dość obfite. Zresztą po zakonach podwieczorek nie jest we zwyczaju. Różnica zdań jednak pozostała.

2. Urząd katechety - na ten temat dyskusja była bardzo ożywiona. Sprawa była delikatna. Czyż katecheta nie powinien być dyrektorem kleryków? Czyż nie był on drugą władzą w zagładzie? Czyż w rzeczach duchowych jego władza nie jest analogiczna do władzy prefekta w rzeczach materialnych? Z drugiej strony po zakładach katecheci byli zbyt młodzi, a czasem kolegami niektórych kleryków. Brakowało im przeto należytej powagi. Zdawało się, iż najlepiej będzie ustalić, by dla współbraci funkcję katechety sprawował dyrektor. Prawda, że z tego powodu będą mogły łatwo powstać zadziory między dyrektorem a danym współbratem, ale w owych warunkach nie było innego wyjścia. Z czasem, gdy członkowie Zgromadzenia będą już dojrzałsi, można będzie temu zaradzić.

3. Wchodzenie do celek współbraci - Regulamin tego zabrania. Każdy, więc powinien sam sprzątać cele swoją z wyjątkiem dyrektora i prefekta, którzy nie mają na to czasu, zajęci przejmowaniem interesantów. Lecz do tego dyrektor, czy prefekt nie powinien posługiwać się wychowankami. Co zaś dotyczy Valsalice, gdzie służba zaścielała łóżka uczniów, to może ona także porządkować cele kleryków, ponieważ inaczej asystenci byłiby w upokarzającym położeniu w stosunku do chłopców.

4. Teksty do nauki religii. Jako najbardziej dostosowany dla liceum i wyższego gimnazjum uznano podręcznik napisany przez kanonika Giovannini, który mocnymi argumentami zwalczał błędy współczesne i należycie wyjaśniał świeżo ogłoszone dogmaty.

5. Ubrania i obuwie. Jeden z artykułów regulaminu stanowił: Nikt nie będzie miał więcej jak dwa ubrania i dwie pary obuwia. Niektórzy zauważyli, że to zbyt wielkie ograniczenie. Inni twierdzili, że to całkiem na miejscu, bo tak zapobiega się możliwym nadużyciom. Artykuł pozostał niezmienny.

6. Osobisty rejestr wydatków dyrektora. W jednym artykule regulaminu jest zaznaczone, aby dyrektor prowadził osobny rejestr swoich wydatków. Czy taki duplikat nie jest zbyteczny? Przecież na prefekturze jest ogólna księga dochodów i rozchodów i to powinno wystarczyć. Ks. Rua jednak wykazał konieczność takiego rejestru, choćby dlatego, by dyrektor nie był zobowiązany tłumaczyć się ze swoich wydatków osobistych. Na tym posiedzenie się zakończyło.

Ponieważ poprzedniego dnia było święto MB Gromnicznej i funkcje kościelne uniemożliwiły konferencję generalną, odbyła się ona w tym samym składzie i w tym samym kościele, 3 lutego po południu.

Pierwszy zabrał głos ks. Alojzy Guanella, dyrektor Oratorium św. Alojzego przy Porta Nuova. Gromadziło się tam 250 chłopców, biednych, ale dobrych i pobożnych. Kółko św. Alojzego, jakieś nagrody, co miesiąc, wycieczki, pociągały chłopców i pobudzały skutecznie do dobrego. Dyrektor prosi, aby przysyłani mu z Oratorium wychowankowie, jako katecheci, lepiej przygotowywali się do rozwiązywania najważniejszych trudności i tak mogli z łatwością odpowiadać na zarzuty im stawiane.

Ks. Dominik Milanese, dyrektor Oratorium św. Franciszka dla eksternów, zajął swym przemówieniem prawie pół konferencji. Wśród jego oratorianów są trzy grupy: gimnazjaliści, uczniowie szkół zawodowych i młodzież przychodząca tylko w niedzielę. Szkoła dla gimnazjalistów funkcjonuje w dzień, dla rzemieślników wieczorem. Praktyki pobożne są te same, jakie wprowadził do Oratorium Ksiądz Bosko. Każdej niedzieli, dzięki gorliwości niektórych księży, do Komunii świętej przystępuje blisko 200 chłopców. Wielką troską otaczane są stowarzyszenia Małego kleru i św. Alojzego. Co tydzień dla katechetów jest osobna konferencja; o sposobie traktowania chłopców i odpowiedniego oddziaływania na nich przedstawił trzy praktyczne wnioski:

1. Podzielić katechizm na części, wykładając malcom rzeczy podstawowe, starszym rozszerzyć wiadomości według ich rozwoju i wieku, aby z biegiem czasu mogli rozumieć i znać cały katechizm.

2. By utrzymać milczenie w kościele, niech katecheci rzadko odchodzą ze swego miejsca, mówią po cichu, upominają spokojnie i zamiast kogoś wydaleć z kościoła lub stawiać na klęczki, niech go zostawią na miejscu, a po nabożeństwie niech zawiadomią o jego zachowaniu, kogo należy.

3. Doświadczenie wykazało, iż dobrze jest przed wejściem do kościoła ustawić chłopców przed drzwiami. Katecheci powinni już czekać w kościele. Przy wchodzeniu do kościoła dobrze jest śpiewać, by stłumić nieunikniony wtedy hałas.

Do szkół dziennych było zapisanych 120 uczniów. Nie wszyscy jednak uczęszczali pilnie na lekcje z powodu niedbalstwa rodziców. Ale ci zawiadomieni o tym, czuwali coraz bardziej nad swymi dziećmi.

Uczniowie ze szkoły wieczornej byli bardzo dobrzy, z początkiem roku szkolnego przystąpiło ich około 50 - ciu do Komunii świętej. Uczono ich katechizmu, czytania, pisania, arytmetyki i śpiewu. Co tydzień zachęcało się ich do przystępowania do spowiedzi. Zdawało się - oświadczył ksiądz Milanesio - że ich to będzie drażnić, ale okazało się, że to doprawdy osiągnęło swój skutek. We większe święta komunikowało około trzystu.

Zakończył swe przemówienie podziękowaniem i prośbą. Dziękował swym przełożonym za pomoc materialną, którą okazywali Oratorium świątecznemu i prosił, aby go nadal mieli pod swą bezpośrednią opieką, polecając się przy tym ich modlitwom.

Na koniec przyszła kolej na dom macierzysty, czyli Oratorium dla internistów. Właściwie powinien był referować o jego życiu ks. Józef Lazro, ponieważ w tym roku on był dyrektorem, ale na jego własny wniosek, Kapituła Wyższa, na posiedzeniu 22 stycznia zgodziła się, żeby i nadal ks. Rua składał sprawozdanie. Oto w krótkości, co powiedział o czterech kategoriach osób, zamieszkujących Oratorium:

1. Salezjanie - postępują zgodnie z duchem Reguł. Trzeba to przypisać gorliwie odprawianemu co miesiąc ćwiczeniu dobrej śmierci, codziennej medytacji, dla jednych o piątej, dla drugich o dziewiątej, czytaniu duchownemu po południu i stałej lekturze przy obiedzie i wieczery.

2. Nowicjusze - w tym roku mają już oddzielne lokale, tak kościół, sypialnię, studium jak i podwórze; jest ich 60-iu; liczba dawniej nie widziana. Rokują jak najlepsze nadzieje.

3. Gimnazjaliści - bardzo liczni i dobrzy. Wyniki egzaminów zadowolające tak

w Oratorium jak i poza nim. Bardzo aktywna ich pobożność; na 45 - ciu uczniów ostatniej klasy przywdziało suknię klerycką - 40. Z tych niektórzy wyrażają chęć wyjazdu na misje. Wydatnie do tego przyczyniły się towarzystwa religijne. Kółko Niepokalanego Poczęcia może pozostawia nieco do życzenia pod względem regularności konferencji. Jest uważane za ostatni stopień drabiny, po której wchodzi się do Zgromadzenia.

4. Rzemieślnicy - szkoły te pięknie się rozwijają. Większa w nich regularność, niż w zeszłym roku. Młodzież chętnie uczy się katechizmu i jest pobożna, co zgodnie wszyscy podkreślają. Mam nadzieję – kończył ks. Rua, że doczekamy się z nich pięknych owoców i to nie mało... Za przykładem wszystkich innych polecam ten dom szczególniejszym modlitwom zebranych.

Po skończonych sprawozdaniach poszczególnych dyrektorów, zabrał głos sam Ksiądz Bosko, mówiąc:

Po tym wszystkim, cośmy tu usłyszeli, wczoraj i dziś, doprawdy wypada nam cieszyć się i Bogu dziękować za tyle łask. Zakłady nasze są przepełnione młodzieżą i to dobrą, współpracą pełni są najlepszych chęci, gotowi do pracy i do poświęceń dla dobra wychowanków, a wszędzie widać coraz większy rozwój naszych dzieł. Wszystkich członków w Zgromadzeniu jest 330 według katalogu, który się właśnie drukuje; z tych 112 - jest profesorów wieczystych, 83 - trzechletnich. Znaczna jest liczba nowicjuszków i aspirantów.

Tu zauważył Ksiądz Bosko, iż prócz tego, co już było powiedziane o działalności salezjanów w Turynie, trzeba jeszcze dodać, iż salezianie pracują, jako siły pomocnicze w dwóch innych ośrodkach, a mianowicie w Oratorium św. Józefa i w szkole zawodowej, również pod tymże wezwaniem blisko Oratorium. Następnie mówił o Zgromadzeniu Córek Maryi Wspomożycielki, których wtedy było przeszło sto, co razem ze salezjanami stanowi poważną cyfrę 450 osób, które pracują na chwałę Bożą i pożytek bliźnich, ożywione jednym duchem, pod jednym kierownictwem i jednym sztandarem, a pracują nie tylko we Włoszech i Francji, ale już stanęły mocno w Ameryce. Stale przychodzą nowe wezwania do otwierania domów w Urugwaju, Paragwaju, w Chinach, w Indiach, a nawet są zaproszenia do Australii i Oceanii. A wszędzie chcą prawdziwych salezjanów, ożywionych duchem Bożym i skorych do poświęceń. Także w tym roku rozpoczęliśmy Dzieło Synów Maryi Wspomożycielki, które mimo pewnych przeszkód, również pięknie się rozwija.

Jeślibym tu miał powiedzieć otwarcie, jak ja się na ten rozwój zapatruję i na ogólny stan Zgromadzenia, to muszę oświadczyć i nie bez pewnej dumy, że jestem zadowolony. Liczba członków wzrasta w postępie geometrycznym i doprawdy, gdybym nie miał bezgranicznej ufności w Opatrzność Bożą, która wszystkim rządzi, byłbym zaniepokojony takim wzrostem.

Pociesza mnie przy tym gorliwość, z jaką współpracownicy nabywają prawdziwego ducha Zgromadzenia. Widzę urzeczywistniający się w nich ideał, który mi przyświeca od chwili, gdy zacząłem myśleć o zorganizowaniu przyszłych swoich współpracowników w Zgromadzenie. Widzę wszędzie bezinteresowność iście bohaterską, zaparcie się własnej woli, posłuszeństwo, które mnie wzrusza. A trzeba tu jeszcze wziąć pod uwagę i warunki, w jakich się to wszystko odbywa i rozwija. Kiedy porównuję przeszłość z teraźniejszością, to przytłacza mą wyobraźnię.

No i cóż było przed trzydziestu pięciu, czy sześciu laty na miejscu, gdzie teraz jesteśmy zebrani? Co było? Właściwie nic, nic nie było. Biegałem za chłopcami swawolnymi i roztrzepanymi, którzy nie chcieli słyszeć o jakimś porządku, czy dyscyplinie; śmiali się z religii, o której nie mieli pojęcia, przeklinali i bluźnili. A ja byłem sam... Byli to chłopcy z ulicy... obrzucali się kamieniami i toczyli zawadiackie bójki pomiędzy sobą. Wszystko, co dziś widzicie, istniało wówczas w zamierzeniach, nie w rzeczywistości. Na tym miejscu, w tej okolicy, tutaj, były pola zasiane gryką,

obsadzone kapustą, kilka ogrodów warzywnych i nic więcej. Rudera jakaś stała wśród nich, nędznie wyglądająca z zewnątrz, a jeszcze gorzej wewnątrz. A co najsmutniejsze, był to rzec można lupanar... a tu biedny Ksiądz, sam, opuszczony przez wszystkich, owszem, więcej niż opuszczony, bo lekceważony i prześladowany, marzył o jakiejś pracy, tu na tym miejscu, o pracy dla biednych chłopców. Myśl ta nurtowała mnie i nie wiedziałem, jak ją urzeczywistnić. Jednakże nie opuszczała mnie nigdy i kierowała każdym moim krokiem, całą moją działalnością. Chciałem czynić dobrze, jak najwięcej dobrego i to tutaj. Zdawało się to wówczas tylko marzeniem biednego Księdza, a jednak Bóg je urzeczywistnił i spełnił pragnienia tego biedaczyny.

A jak się to stało? Doprawdy nie umiem sam zdać sobie z tego sprawy. Wiem tylko, że Bóg tak chciał. Widziałem kościoły zbudowane, uruchomione liczne warsztaty, wielką liczbę chłopców bawiących się tutaj, całe szeregi księży i kleryków i dyrektorów domów, którzy mieli być moją koroną i chlubą. A jakże to wszystko? Wiedziałem, że potrzebne będzie poświęcenie się i ofiara, że nieustraszonymi muszą być ci, co pójdą ze mną. Jeżeli mają wytrwać... i oto po wszystkich tych trudach i wysiłkach, dziś już możemy oglądać ich owoce. Tysiące chłopców mają chleb codzienny i ten Słowa Bożego. Reguły są zatwierdzone. Zgromadzenie ustabilizowane, liczba członków wzrasta. Dobry duch wśród nich się utrzymuje i pomnaża się chwała Boża.

Tak... Ale tu staje przede mną poważny zarzut: Księżę Bosko wszystko może pójdzie dobrze... ale na razie grozi krach finansowy... Wszędzie się buduje, wszędzie koszty ogromne, a środki? Jakżeż można tak działać, posuwać się naprzód bez środków? Skąd będą pieniądze? Wyraźnie staczamy się ku bankructwu.

Och – muszę powiedzieć, że gdybym brał rzeczy po ludzku, to z tym, co mam do dyspozycji wypadłoby mi zarzucić sobie na głowę białą chustę, przebrać się, pójść na pustynię w Tebaidzie, by już nigdy nie pokazać się nikomu na oczy, ponieważ nie widzę wyjścia z honorem z obecnej sytuacji. Ale my jesteśmy przyzwyczajeni wznosić oczy w górę i ufać Opatrzności. Opatrzność nas nigdy nie zawodzi. A jaki na to dowód? Z tego, co było, możemy wnioskować o tym, co będzie. W przeszłości pomagała nam Opatrzność, wolno nam wnioskować, że pomoże i na przyszłość. W podobnych warunkach, jak obecnie, znajdowaliśmy się już dużo razy, a właściwie możemy powiedzieć, że jest to nasz stan chroniczny, owszem dodam: bywaliśmy w gorszych opałach. Czyż zawiodła nas wtedy Opatrzność? Nigdy. Zawsze honorowaliśmy nasze zobowiązania. Ufajmy nieograniczenie Boskiej Opatrzności. Ona i teraz nas nie zawiedzie.

W jednym tylko wypadku mogłoby nam jej zabraknąć, a mianowicie, gdybyśmy stali jej niegodni, gdybyśmy trwonili pieniądze, gdyby słabnął duch ubóstwa. Wtedy doprawdy mogłyby sprawy zacząć iść źle. Ale ja długo będę widział, to co widzę, te wasze poświęcenia, wysiłki, by oszczędzać na wszelki sposób, będę widział waszą pracę wielką i bezinteresowną i ducha ofiary, tak długo jestem

spokojny, a i wy bądźcie pewni, że Opatrzność nie da na siebie czekać. Losy nasze złożyliśmy w ręce Boga i wszystko będzie doprowadzone do wytkniętego nam celu. Choć jednak stawiamy na Opatrzność Bożą z niezachwianą wiarą, zalecam dlatego, by wszyscy nadal oszczędzali. Oszczędzajmy, ile się da, oszczędzajmy na wszelki sposób:

w podróży, w ubraniu, w jedzeniu, na papierze, na kolejach. Niech się nie marnuje ani jeden sold, ani jeden centym, ani arkusz papieru. Polecam to gorąco wszystkim; niech nauczyciele i asystenci sami oszczędzają i niech uczą oszczędności podwładnych, Jednocześnie trzeba na wszelki sposób rozbudzać wśród wiernych ducha miłosierdzia chrześcijańskiego. Mówi Pan Bóg: Pomagaj sobie, żebym Ja ci pomógł. Rozwijając więc trzeba żywą propagandę naszych dzieł a nie czekać biernie i apatycznie pomocy Opatrzności. Wzrusza się ona, ale dopiero na widok naszych uczciwych wysiłków ku chwale Bożej. Z otrzymanej jałmużny należy robić dobry użytek. Nie zaraz myśleć o podniesieniu naszej stopy życiowej, ale trzymać się zasady świętego Hieronima, który wziął ją od św. Pawła: Habens victum et vestitum, his contentus ero - i nic po nad to.

Jeśli tak będziemy postępować, Bóg nas nigdy nie zawiedzie. Bo oto patrzcie: Gdybyśmy z góry chcieli obliczyć koszty wyprawy naszych misjonarzy do Ameryki, to przy najoszczędniejszej kalkulacji potrzeba by na to było dobre sto, jeśli nie więcej, tysięcy lirów. Nie zrobiliśmy tego kosztorysu. Powiedzieliśmy tylko sobie: tego wymaga większa chwała Boża, Bóg chce, byśmy tam poszli, a więc?... A więc modliliśmy się, prosiliśmy o błogosławieństwo Ojca świętego i środki się znalazły i na niczym nie zbywało tym, co wyjechali na misje. A także i my nie ponieśliśmy na tym uszczerbku. Dlatego ze wzruszeniem powinniśmy zawołać: To są prawdziwe cuda Opatrzności Bożej, to są dowody, że Bóg chce posłużyć się nami dla objawienia swojego miłosierdzia. A teraz, co powinniśmy uczynić z naszej strony, by wywdziękzyć się Bogu za tyle Jego dobroci? Oto, co... Zgromadzenie jest ustabilizowane. Reguła nasza została zatwierdzona. Otóż tą rzeczą, jaką powinniśmy uczynić, jest zachowanie najskrupulatniejsze tych Reguł. W tym celu trzeba koniecznie Reguły poznać i pogłębić ich ducha.

Otóż obecnie minął już czas, gdy nie Reguła, lecz tylko Zgromadzenie było zatwierdzone i rządziło się w sposób tradycyjny, rzekłbym patriarchalny. Minął ten czas - powiadam. Teraz trzeba stosować się ściśle do tego naszego kodeksu, studiować go we wszystkich szczegółach, rozumieć go, objaśniać i wcielać w życie praktyczne. Dyrektorowie powróciwszy do swoich domów, niechże postarają się zapoznać swych podwładnych z wielką starannością z tą naszą Konstytucją, niech podkreślają całą powagę Reguł i najwyższy ich autorytet, który naprawdę posiadają. Jest w nich bowiem pełnia majestatu prawa; niech to przede wszystkim podkreślają, tłumacząc je z miłością i dobrocią.

W każdej okoliczności, zamiast powoływać się na własny autorytet, niech opierają się na autorytecie Reguły. Reguła tak mówi; Reguła rozstrzyga daną kwestię

w ten sposób; chciałbyś tak zrobić, ale Reguła zabrania; chciałbyś się od tego wykręcić, ale Reguła to nakazuje...

Zawsze i we wszystkim niech podstawą będzie autorytet Reguły. W ten sposób rządy dyrektora będą mogły mieć ten tak ze wszystkich miar pożądaný charakter ojcowski. Nikt do niego nie będzie mógł mieć pretensji, widząc, że to nie dyrektor czegoś chce, czy zabrania, lecz Reguła i tak usunięty będzie wszelki pretekst do sarkania lub nieposłuszeństwa. Jednym słowem: **głównym środkiem do podtrzymania naszego ducha jest obserwacja naszej Reguły.**

Nawet rzeczy skądinąd dobre i pożyteczne tracą na wartości, jeżeli są przedsiębrane przeciw Regule lub poza nią. Bo jeżeli nawet się chce pracować z najlepszą intencją, lecz nie w kole zakreślonym przez Regułę, to co stąd wyniknie? Każdy będzie pracował, może nawet i dużo, lecz to będzie praca indywidualna, nie zbiorowa, przecież dobro, którego słusznie można oczekiwać od zakonów, pochodzi właśnie stąd, że pracują one zbiorowo. Zresztą bez tego nie byłoby w ogóle możliwe rozpocząć jakieś lepsze przedsięwzięcie. Wszak wyłamując się spod Reguły, pracując według własnego „widzi mi się”, jeden zacznie wycofywać się stąd, drugi stamtąd, tym samym nastąpi rozluźnienie, ale też zabraknie i błogosławieństwa Bożego, a co za tym idzie, nastąpi upadek i zupełna ruina. Obserwacja Reguły jest jedynym źródłem doskonałości każdego Zgromadzenia.

Wśród nas niech Przełożony będzie wszystkim. Wszyscy niech spieszą z pomocą Przełożonemu Generalnemu, wszyscy niech podtrzymują go, współpracują z nim, niech on będzie centrum koła, jakim go otaczają. Przełożony Generalny ma Regułę, niech się z nią nie rozłącza nigdy, gdyż inaczej nie będzie jednego centrum, ale dwa: Reguła i jego wola. Trzeba przeciwnie, żeby w Przełożonym Generalnym była jakby wcielona Reguła, żeby on a Reguła byli jednym i tym samym.

To co dotyczy Przełożonego Głównego w stosunku do całego Zgromadzenia, to samo odnosi się do dyrektora w każdym domu. Musi działać w zupełnej jedności z Przełożonym wyższym, a wszyscy członkowie jego domu powinni pracować w zupełnej jedności z nim. I on również powinien być, jakby wcieleniem Reguły; będzie ona dla niego wielką pomocą. Wszak wszyscy wiedzą, że Reguła jest wolą Boga, a kto się sprzeciwia Regule, sprzeciwia się doskonałości i Bogu samemu.

Do współbraci dobrze będzie odzywać się w ten sposób: Trzeba zrobić to czy owo, niezbędnym jest, aby każdy dołożył się do tej pracy, gdyż Reguła w rozdziale takim to nakazuje; obecnie powinniśmy zgodnie przyłożyć się do tego czy owego, gdyż Reguła kładzie na to nacisk.

Dyrektor więc, ile razy ma coś przedsięwziąć, czy zadecydować, niech się zawsze zastawi tarczą Reguły, a nie działa według własnej woli, czy na podstawie własnego autorytetu. Takie postępowanie dyrektorów wielce będzie korzystne dla Zgromadzenia. Trzeba dalej starać się utrzymać łączność między Przełożonym a podwładnymi, a powinno to odbywać się samorzutnie, nie zaś wymuszenie. Podwładni niech dyrektora otaczają serdecznością, podtrzymują go, bronią, gotowi

śpieszyć mu w każdej chwili z pomocą. Niech nic nie robią niezależnie od niego, a tak będą zawsze pełnić posłuszeństwo względem Reguły. Nie chcę przez to powiedzieć, by zgoła nic nie działo się w każdym szczególe bez dyrektora, gdy np. ktoś zamiata, nie ma potrzeby, by po każdym zamieceniu jednego pokoje, szedł pytać się do której teraz podłogi ma się zabrać. Albo ci, co uczą, po skończeniu jakiegoś autora, czy rozdziału, nie muszą pytać Przełożonego, czy mają zacząć rozdział następny, ani też kucharz nie ma potrzeby codziennie pytać się jakie potrawy ma przygotować na obiad czy wieczerzę, względnie przyprawić. Przez tę łączność z dyrektorem rozumiem, że wszyscy mają kierować jego wskazówkami i normami przez niego podanymi, a w całej swej działalności, czy wypadkach nagłych i nieprzewidzianych, nie rządzić się własnym kaprysem, ale mieć wzrok skierowany do ośrodka jedności.

Zresztą w sprawach zwyczajnych a codziennych każdy wie, co do jego kompetencji należy i nie potrzebuje w tym względzie zwracać się do Przełożonego. Wszyscy mają w ręku Reguły i każdy niech stara się spełnić własny obowiązek jak przystoi na dobrego chrześcijanina i zakonnika.

Zaraz kończę. Otóż musimy się rozstać. Cóż ma, zatem Ksiądz Bosko wam powiedzieć na pożegnanie, co by mogło wam być pożyteczne zaraz i w dalszej przyszłości? Niech myśl, którą wam pozostawię, będzie zawarta w jednym słowie: **POSŁUSZEŃSTWO**. Tak:

Każdy przy swoich zajęciach niech jest posłuszny czy to Regule, czy doraźnym zleceniom Przełożonych. Tak niech każdy postępuje i to niech się zaleca współbraciom. Tę cnotę niech się wpaja w podwładnych oraz w wychowanków; słowem zalecać ją wszystkim. Z tą cnotą w każdym domu, a rzecz można w każdym zakonie, wszystko pójdzie dobrze. Życie zakonne - powiadał jeden wielki święty - polega na posłuszeństwie, które rodzi i zachowuje wszystkie cnoty. Bądźmy posłuszni, a będziemy posiadać i cierpliwość, i miłość, a na pewno i czystość, która jest szczególniejszą nagrodą pokory. Niech, więc posłuszeństwo będzie tematem naszych czytań, kazań i częstych konferencji. Niech każdy odczytuje, mówię to z naciskiem, rozdział naszych Reguł o posłuszeństwie, owszem, dobrze będzie wyuczyć się go na pamięć.

Ale punktem najważniejszym, dokoła którego powinno się skupiać nasze posłuszeństwo, są praktyki pobożności. One są pokarmem, podporą, każdej cnoty. Niech więc i na ten rozdział dyrektorzy zwrócą szczególniejszą uwagę, niech go przestrzegają i jego zachowania dopilnują. Wierność w zachowaniu praktyk pobożności jest zwornikiem gmachu naszego Zgromadzenia. Ale już dosyć na ten temat. Na zakończenie jeszcze jedna refleksja, która powinna nam dodać bodźca, by z tym większą gorliwością kroczyć raz obraną drogą. Jeżeli jeden ksiądz, biedaczyna, z niczym, właściwie mniej niż z niczym, bo ze wszystkich stron rzucono mu pod nogi kłody, mógł doprowadzić do tego stanu dzieło przez się zamierzone, w jakim się ono obecnie znajduje; jeżeli, powtarzam, jeden człowiek mógł dokonać tego, co widzicie i to z niczego, to ileż dobrego będzie Bóg oczekiwał od 330 osobników, zdrowych

i silnych, pełnych dobrej woli, wspartych zasobami, jakimi obecnie rozporządzamy? Czegóż teraz nie powinniśmy dokonać wsparci Opatrznością?

Bóg oczekuje od nas wielkich rzeczy. Ja to widzę bardzo jasno i mógłbym po drugich wyliczyć, ale na razie nie wypada. Jeśliby ktoś przypomniał mi słowa teraz wypowiedziane w roku przyszłym, wówczas będę mu mógł powiedzieć, jak wielkich rzeczy Bóg w swej dobroci raczył przez nas dokonać, między którymi jedna napęłni wszystkich zdumieniem: Pan Bóg rozpoczął i On poprowadzi dalej swoje dzieło, w którym i wy wszyscy będziecie mieli udział. Będzie ono pozostawać w ścisłej łączności z dalszym rozkwitem naszego Zgromadzenia i gdy ja już będę w wieczności, przyczyni się ono przedziwnie do chwały Bożej, dla ogólnego dobra Kościoła i będzie tytułem /pozwólcie użyć tego słowa/ do chwały naszego Towarzystwa. I zaiste cuda, dla spełnienia których Bóg chce się posłużyć nami, biednymi salezjanami, są naprawdę wielkie. Sami będziecie zdumieni na widok tego, co zdołaliście uczynić w oczach świata dla ogólnego dobra.

Powtarzam, że od Boga wszystkie te rzeczy wzięły początek: On nadał im kierunek i iście cudowny wzrost. On w przyszłych latach je podtrzyma. On doprowadzi je do pełni rozkwitu. A wszystko to oczywiście przyczyni się do zwiększenia liczby członków. Ale jednej rzeczy Bóg od nas żąda, żebyśmy rosnąc nie stali się niegodnymi Jego łaskawości i miłosierdzia. Dopóki będziemy odpowiadać Jego łaskom przez pracę, cnotę i wzajemny dobry przykład, dopóty będzie się nami posługiwał i trudno wam będzie uwierzyć, że mogliście aż tyle zdziałać.

Jeżeli wasza działalność rozwijać się będzie w duchu słodyczy i aktywności św. Franciszka Salezego, świat musi ustąpić, a wasz triumf będzie chwałą Bożą i wielką korzyścią dla całej ludzkości. A wtedy naturalnie wyrwie się z naszych piersi okrzyk: *Omnia possum in Eo, qui me confortat* - wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia.

Przy końcu swego przemówienia Ksiądz Bosko widocznie był bardzo wzruszony, a słowa jego nabierały szczególniejszej mocy. Owa zapowiedź „wielkich rzeczy” na rok przyszły zaskoczyła całe audytorium. Widać to zresztą z notatnika księdza Lazzero, w którym po krótkiej wzmiance, iż „2 - go i 3 - go lutego odbyła się konferencja w małym kościele ze sprawozdaniami dyrektorów domów” - dodał jeszcze charakterystyczną uwagę: Zakończył ją Ksiądz Bosko przepowiednią, że w tym roku rozpocznie się w Zgromadzeniu takie dzieło, które dla niego będzie w przyszłości chwałą, a wielką korzyścią dla Kościoła.

Jak wynika z tego, co Ksiądz Bosko powiedział później w roku 1877, na dorocznych konferencjach, miał on na myśli wielką ideę Pomocników Salezjańskich, która dojrzewała powoli, a ostatecznie zaktualizowana została w tym roku. Zasięgu tego dzieła nie wszyscy jednak umieli docenić i dopiero z biegiem czasu ujawniła się cała jego wartość i wielkość.

Warto tu zaznaczyć, że idea Pomocników Salezjańskich jest oryginalną myślą Księdza Bosko, chociaż znany nam już ks. Guanella, chciał ją sobie przypisać i z tego przed innymi się chwalił. Ale jeszcze księdza Guanelli nie było nawet w Oratorium,

do którego, jak wiemy, wstąpił w r. 1875, a już Księdzu Bosko zwierzał się księdzu Barberisowi, w lutym 1876, że od kilku lat nad tą organizacją przemyśliwał. A być może, że rozmawiał na ten temat z księdzem Guanellą, jak to miał zwyczaj czynić ze swoimi, zasięgając ich rady w różnych swoich projektach, a ks. Guanella swoje uznanie dla tej myśli uważał za jej autorstwo.

Byłoby to to samo, jak uważać ministra Razazziego za założyciela Zgromadzenia św. Franciszka Salezego, bo on raz na ten temat rozmawiał z Księdzem Bosko. Ale wróćmy do konferencji.

Ostatnia konferencja, ale już tylko dla samych dyrektorów i członków Kapituły Wyższej, odbyła się 4 lutego do południa, w obecności Księdza Bosko. Celem jej nie była żadna dyskusja, ale raczej wysłuchanie ojcowskich słów świętego Założyciela. Na początku jednak przedstawiono mu, co było omawiane na konferencjach, którym przewodniczył ks. Rua. Wszystko, co przyjął on do zatwierdzającej wiadomości, polecając tylko, aby przed oddaniem do druku, przedstawiono mu to do ostatecznej aprobaty. Chodziło mu głównie, by usunąć pewne wyrażenia, raczej ostre. Dopóki można – mówił – trzeba unikać wszelkich zadrażnień i postępować powoli i z wyrozumiałością. I tak dalej ciągnął: Postanowiłem powiedzieć wam dwie rzeczy, zanim się rozjedziecie. Pierwsza uwaga byłaby taka. Kiedy przejeżdżam do was z wizytacją, niech dyrektorzy postarają się, bym mógł pomówić ze wszystkimi współbraćmi. Niech się nigdy nie zdarzy, by któryś został pominięty. Trzeba ich powiadomić o moim przyjeździe i o tym, że pragnąłbym ze wszystkimi zetknąć się osobiście. Dobrze też będzie zachęcić ich, by każdy bez żadnych skrupułów, z całą otwartością, powiedział mi, co mu leży na sercu. Głównym celem w czasie takiej wizytacji jest usunąć wszystkie żale, jakie ktoś mógłby mieć do swego dyrektora. Po zachęcie z waszej strony będą oni tym szczerzy wobec mnie i wtedy wszystko się wygładzi.

Zdarzy się czasem, że jakiś współbrat uważa, iż dyrektor jest mu niechętny i podejrzewa go nie wiadomo, o co, podczas gdy dyrektorowi nawet nic podobnego na myśl nie przyszło. I tak ciągnie się przez całe miesiące. Jeżeli tacy nie docisną się do mnie na sprawozdanie, to znowu będą podejrzewać, że to sprawka dyrektora. Zdarzyło mi się już kilka razy, iż po takim przeoczeniu otrzymywałem listy pełne wyrzutów żalów od takiego, który właśnie przede mną nie mógł się wygadać.

W warunkach, w jakich pracują nasze zakłady, życie współbraci uosabia się w przełożonym. Jedno jego spojrzenie może ich podnieść na duchu, jak też może ich przygnębić. Trzeba, zatem, aby każdy z was bardzo uważał na siebie i dla wszystkich był pełen delikatności i serdeczności. Dobrze będzie, żeby mi w czasie wizytacji przedłożyć listę współbraci, abym sobie mógł zanotować, z kim już rozmawiałem, a z kim jeszcze nie. Dobrze nawet będzie przy każdym zanotować, co by w rozmowie z nim było do poruszenia. Ja postaram się spełnić życzenia dyrektora tak, żeby współbrat nie odniósł wrażenia, iż się robi na niego jakieś donosy. W ten sposób wizytacje doprawdy odniosą upragniony skutek.

A teraz drugo sprawa. Powróciwszy do waszych zakładów, zawiadomicie współbraci, iż się szykuje nowa ekspedycja misjonarzy do Ameryki. Kto by chciał wziąć w niej udział, niech mi napisze, nawet gdyby to już wcześniej uczynił. Wystarczy, że mi napisze krótko na bileciku: „W razie potrzeby chętnie wyjadę na misję”. W ten sposób zaopatrzymy placówki misyjne w jednostki odpowiednie, które wyraźnie sobie życzą pracować na misjach. Także i klerycy mogą wnieść to podanie, o ile są doprawdy całkowicie w tym względzie zdecydowani. My z naszej strony jednak będziemy ostrożni, by nie przerywać im studiów. Uważam, że nie potrzeba tu powtarzać zalecenia, by pielęgnować powołanie kapłańskie. To jest główny cel, jaki sobie stawia obecnie nasze Zgromadzenie. To, co chciałbym wam teraz powiedzieć, posłuży wam, jako wskazówki do pielęgnowania z korzyścią powołań. Najpierw więc trzeba zorientować się, którzy to mają skłonność wstąpić do Zgromadzenia, na żadnego nie wywierać presji. I ci, co chcą iść do seminarium diecezjalnego, mogą tam dużo zrobić dobrego.

No, a co robić, gdy ktoś zapyta się o poradę w sprawie powołania? Chodzą głównie o tych, co są niezdecydowani i skłaniają się raczej do pracy w diecezji. Oto moja rada: kiedy się widzi, że jakiś chłopak jest bardzo dobry w zakładzie, ale w czasie wakacji zapomina się i uchybia przeciw moralności, po powrocie zaś naprawia wszystko i przez cały rok nie ma mu nic do zarzucenia, a przy tym chce zostać księdzem - to ja dałbym mu taką radę: Jeżeli chcesz zostać księdzem i żyć w świecie, to się mylisz; albo nie idź na księdza, albo pozostań w zgromadzeniu lub idź do innego zakonu. Powód tego jest jasny. Pójdzie do seminarium, potem będzie miał długie wakacje a już wiemy, co mu się przydarza w czasie wakacji. Jeżeli zaś pozostanie z dala od świata wówczas będąc mniej narażony na różne niebezpieczeństwa i mając większe pomoce duchowe, będzie mógł łatwiej utrzymać się w łasce uświęcającej.

Dla upewnienia się w powołaniu do kapłaństwa, uważam, że trzeba wziąć pod uwagę trzy rzeczy: skłonność, postępy w nauce, morum probitas. Jeżeli ktoś nie ma w tym kierunku chęci, nadaremne są wszelki zabiegi, z wyjątkiem, gdyby ten brak chęci pochodził z obawy, a wtedy trzeba zachęcić, by szedł naprzód spokojnie. Co dotyczy postępów w nauce, to o zdolnościach jego zadecydują egzaminy.

Pozostaje jeszcze morum probitas. Ta jest bezwzględnie potrzebna... Teraz powiem o kilku sposobach, które mogą wielce dopomóc w pielęgnowaniu powołań duchownych, choć niektóre same przez się mogą wydawać się błahe.

1. Zachęta do sakramentów świętych; nad tym się nie zatrzymuję, gdyż ta praktyka kwitnie w naszych zakładach.

2. Trzeba okazywać chłopcom dużo życzliwości i obchodzić się z nimi dobrze. Dobroć i uprzejmość w obejściu niech będzie cechą charakterystyczną wszystkich bezwzględnie salezjanów. O jakżeż przywiązuje się chłopiec, kiedy się

widzi traktowanym odpowiednio. Oddaje się on doprawdy całkowicie w ręce Przełożonych.

3. Nie tylko traktować chłopców dobrze, ale starszym, którzy dają oznaki powołania, niech Przełożony okaże dużo zaufania. Można takiego przyjąć na osobności i tak do niego przemówić: Widzisz, mój drogi, potrzebuję od ciebie małej przysługi. Może byś mi przepisał tę stronicę /może być to rzecz całkiem niepotrzebna/. Ale chciałbym, żeby o tym nikt nie wiedział. Jeżelibyś chciał to zrobić w uczelni, kiedy jest próżna, to możesz się zatrzymać. Zresztą porozmawiaj z tym, czy innym Przełożonym niech ci do tego wyznaczy miejsce, a gdy będziesz miał to napisane, to mi przynieś. Pewno, że jest to drobiazg, ale to, że chłopak został zawołany na osobności, że poczuł się ważnym, ta pewna tajemniczość, sprawią, że chłopiec będzie się czuł pociągnięty do Przełożonego i gotów dla niego na wszelkie poświęcenie. Kiedy indziej może być praktyczne takie np. podejście: Słuchaj, mój drogi, ja w tych dniach potrzebuję szczególniejszej przysługi od ciebie: czy mógłbyś w mojej intencji przyjąć kilka Komunii świętych, ale takich doprawdy gorliwych. Odpowie oczywiście, że tak. A jakie dni sobie wybierzesz? Zostawiam to do twej woli. Chciałbym tylko pierwszej wiedzieć, abyśmy mogli obaj złączyć swoje modlitwy. No to wybrałbym takie dni... Dobrze. Po Komuniach świętych przyjdź mi powiedzieć, wtedy ewentualnie powiem ci, o co modliliśmy się.

Chłopiec tak potraktowany jest już prawie w połowie pozyskany. Kiedy następnie się zgłosi po przyjętych Komuniach świętych, można mu tak np. powiedzieć: A wiesz, o jaką łaskę chodziło. Odpowiada: Nie. A chcesz wiedzieć? Otóż ja modliłem się w szczególniejszy sposób i chciałem, żebyś i ty się pomodlił, byśmy obydwaj zostali świętymi, aby teraz na ziemi przebywając razem, mogliśmy kiedyś cieszyć się wspólnie w niebie. Czy jesteś z tego zadowolony? Czy chcesz w tym kierunku popracować nad sobą? Odwagi, ja będę się nadal modlił, ażebyśmy szczęśliwie mogli dokonać tego, cośmy rozpoczęli. A ty chyba również pomodlisz się w tej intencji, nieprawdaż?

Podobne chwytły działają bardzo dobrze po naszych zakładach. Zasilają one nasze Zgromadzenie w personel. Wielu chłopców zdecydowało się pozostać u nas właśnie po takich objawach zaufania.

W tej chwili wybuchnął wśród zgromadzonych ogólny śmiech, bo każdy powtarzał: tak, to prawda, przecież i mnie w podobny sposób chwycono... zdaje się, że my wszyscy w podobny sposób na nasze szczęście zostaliśmy nabrani. Obyśmy również umieli łowić innych na ten sposób do naszych sieci...

Gdy się uspokoiło, Ksiądz Bosko mówił dalej:

4. Dobrze wykonywane ceremonie są również skuteczną lekcją, z jaką statecznością należy zachowywać się w stanie kapłańskim.

5. Popierać Kółko Małego kleru. Mnie się zdaje, że to towarzystwo jest prawdziwym posiewem powołań kapłańskich. Kto się ubiera jak kleryk, czy widzi

swego kolegę w takim stroju - widzi, jak ładnie wygląda, jak w skupieniu usługuje do ołtarza, wyróżniony między innymi, ech, trudno przypuścić, by się nie poczuł choć trochę pociągnięty do tego stanu. A co najmniej, widok ten przełamie odrazę, z jaką niektórzy patrzą na księży. A trzeba otwarcie powiedzieć, że i wśród naszych wychowanków są tacy, którzy po tym, co słyszeli w domu pod adresem księży, mają ich w pogardzie, bo niestety sami mogli przekonać się zaocznie o prawdzie tego, co mówiono, A wielu ludzi ma uprzedzenia do księży, bo nigdy się z nimi z bliska nie zetknęli. Ale skoro tu mają sposobność podziwiać pracę kapłańską, a lepszych kolegów oglądają, jako uprzywilejowanych w ubraniu kleryckim, zaczynają poważniej zastanawiać się nad tym, co słyszeli i cenić stan duchowny.

Warto tu przytoczyć przeżycie jednego z chłopców, w jakim sam brałem udział. Był to chłopiec doprawdy wzorowy, który w pierwszych miesiącach pobytu w Oratorium, wyraził przede mną chęć zostania księdzem. Zagadnięty po pewnym czasie na ten temat, odpowiedział z grymasem na to: Przenigdy, nie chcę więcej być księdzem.

O, a coż się stało? - spytałem - wszak mówiłeś, że masz powołanie.

Tak, ale już nie mam i księdzem nie chcę być.

Byłem zaskoczony tym bardziej, że chłopak nadal zachowywał się wzorowo. Zagadnąłem go więc, czyby poufnie nie powiedział mi przyczyny zmiany. Po chwili wahania zdobył się na odpowiedź, która dała mi dużo do myślenia.

Pewien kolega - mówił zagadnięty - nareszcie otworzył mi oczy, jacy są księża. Krótko mówiąc, to hipokryci. On ma krewnego kanonika i słyszał, jak tenże opowiadał o życiu wielu proboszczów, którzy biorą do domu swego pewne osoby i prowadzą się niemoralnie... Mam być księdzem łajdakiem, to wolę nim nie zostać wcale... Ja doprawdy chcę zbawić swoją duszę!

Zwróciłem mu spokojnie uwagę, by tak bezmyślnie nie wyrzekał się swego powołania. Wykazałem równocześnie zupełny fałsz tego, co słyszał o kapłanach, a kończąc dodałem: Postaraj się zapomnieć o tym, co ci opowiadał ten przewrotny kolega. Przy okazji zaś zrób tak: uklęknij przed Krucyfiksem i rozważ: Gdybym był konający, co chciałbym, bym w życiu uczynił? Który stan wtedy uważałbym za najodpowiedniejszy, aby pewniej zbawić swą duszę i zebrać więcej zasług na niebo? Pomyśl o tym, a w swoim czasie dasz mi odpowiedź. Chłopak postąpił, jak mu poleciłem, a wróciwszy do mnie powiedział: Księdzem tak, ale nie w świecie. Zostanę zakonikiem... Tego właśnie chciałem.

6. Dobrze jest także niekiedy podejść do chłopca z pewną poufałością: wziąć go ze sobą na przechadzkę, porozmawiać z nim, wypytać o jego dawne przeżycia, o rodzinę, o przygody, zainteresowania itd. Gdyby w trakcie rozmowy, poruszył sprawę powołania, to raczej skierować go do spowiednika, względnie do Księdza Bosko, kiedy ten przyjedzie na wizytację. A wtedy ja go zagadnę: Co ci powiedział twój dyrektor? Powiedział mi, bym się poradził Księdza Bosco. Sam jednak nie widzi przeszkód, bym mógł obrać sobie stan kapłański. Dalsza rozmowa z

nim potoczy się już sama przez się. Jeśliby wypadło zdecydować odmiennie od opinii dyrektora, bądźcie spokojni, bo to nie przyniesie najmniejszego uszczerbku waszej powadze.

Warto tu jeszcze poruszyć sprawę spowiedzi generalnych, wielce pomocnych do skierowania chłopca na dobrą drogę. Uważam je na podstawie własnego doświadczenia, nieraz wprost za konieczne dla młodzieży przychodzącej do naszych zakładów. Można w tej sprawie tak mniej więcej zagadnąć nowo przybyłego: Czy odbyłeś już spowiedź z całego życia? Nie! Czy nie mógłbyś oznaczyć mi dnia, w którym chciałbyś ją odprawić? Pomyśl o tym poważnie, czy byłbyś całkiem spokojny, gdybyś miał umrzeć tej nocy...

Nie... No, więc kiedy odbędziesz spowiedź, by się uspokoić?

Kiedy Ksiądz zechce.

No, to ładnie. Przyjdź wtedy, kiedy będziesz usposobiony, by wszystko powiedzieć z całą szczerością, ale wszystko...

Gdy zaś chłopak przyjdzie do spowiedzi, wówczas zaraz go zapytać, czy doprawdy przyszedł godowy wszystko szczerze powiedzieć, ale wszystko, czy ważne, czy mniej ważne, czy może ma coś na sumieniu, co by go specjalnie krępowało... Zależnie od odpowiedzi rozwiną się dalsze pytania.

Wierzcie mi i może niektórym wyda się to przesadnym, że na stu chłopców zapisanych do naszych zakładów, pięćdziesięciu potrzebuje odbyć spowiedź generalną. Ażeby zaś naszych chłopców prowadzić na dobrą drogę, to trzeba miłości, miłości i to bardzo wiele miłości, a przy spowiedzi, to trzeba nieraz siłą wyciągać to, co krępują się wyznać.

Jeszcze jedno zalecenie. Każdy dyrektor niech w swoim zakresie, ile tylko może, rozpowszechnia naszą „Bibliotekę”, a szczególnie „Letture Cattolice”.

Po ukończeniu tej pięknej konferencji, rozpoczęła się całkiem swobodna, w duchu rodzinnym prowadzona, wymiana myśli na temat różnych kwestii, poruszanych na poprzednich posiedzeniach. Tak Ksiądz Bosko miał sposobność wiele wątpliwości rozwiązać. Szczególnie interesowała wszystkich dyrektorów, jak ustosunkować się do „Letture Cattolice” jak i do „Biblioteca della gioventu italiana”. Chodziło o to, czy każdy współbrat ma otrzymywać osobny numer, czy też tylko nauczyciele, czy wystarczy jeden, albo dwa na cały dom. Różnie w różnych domach w tym względzie postępowano. Ksiądz Bosko zdecydował, by na razie nic nie zmieniać. Ale w zasadzie to poszczególne numery tych wydawnictw dawać tylko tym, którzy o nie będą prosić, względnie są im potrzebne dla celów naukowych. W ten sposób usunie powód do zażaleń, a uniknie się również tego, by numery leżały u kogoś nawet nierozcięte. „Biblioteca” będzie głównie aktualna dla profesorów łaciny i włoskiego.

Przy czym wyraził swoje zadowolenie ze zwiększającej się coraz bardziej liczby prenumeratorów, zwłaszcza „Letture Cattolice”. Wydawanie „Biblioteki” zalecił prowadzić, dopóki będzie choćby tysiąc prenumeratorów.

Posiedzenie ostatnie zamknięte zostało w południe modlitwą i życzeniem ze strony Księdza Bosko wszystkim dyrektorom szczęśliwej drogi, z poleceniem, aby chłopcom po zakładach powiedzieli od niego wiele pięknych rzeczy, pozdrawiając ich przy tym serdecznie od wszystkich Przełożonych i chłopców z Oratorium w Turynie.

W naszych archiwach znajdujemy zestawienie owoców, jakie te konferencje przyniosły. Ujęte one są w jedenaście punktów. Ponieważ napisane były na pewno pod wpływem Księdza Bosko, to nimi zakończymy niniejszy rozdział.

A oto ich sformułowanie: „Konferencje z dyrektorami przynoszą następujące korzyści:

1. Usprawiedliwiają podróże w oczach współbraci poszczególnych domów, którzy nie zawsze dobrze tłumaczą sobie wyjazdy dyrektorów.
2. Odkłada się na ten czas załatwianie wielu spraw, a tym samym zaoszczędza się na podróżach.
3. Uzgadnia się na nich zapatrywania dyrektorów.
4. Zjazdy takie są podkreśleniem rozwoju Zgromadzenia.
5. Zachęcają do wstępowania do nas i do trwania w swym powołaniu.
6. Podtrzymują ducha braterstwa między dyrektorami, którzy poza tym rzadko się widują.
7. Słowa Księdza Bosko przyczyniają się zawsze do podtrzymania jedności ducha.
8. Na nich wyjaśnia się coraz lepiej regulamin.
9. Zapobiega się różnym wkradającym się nieporządkom.
10. Dyrektorzy mogą przedłożyć swoje pomysły.
11. Sprawozdania z poszczególnych zakładów są dla wszystkich wielce interesujące i potem przez dłuższy czas stanowią przedmiot rozmów między salezjanami.

ROZDZIAŁ IV

SALEZJANIE W ARGENTYNIE

Misjonarze salezjańscy wylądowali w Buenos Aires 14 grudnia 1875 r. Jeszcze, zanim wysiedli z okrętu, mieli już dowody, z jakim upragnieniem oczekiwano ich przybycia do stolicy Argentyny. Gdy statek zawinął do portu, rozległa się salwa artyleryjska. W pierwszej chwili strapili się, biorąc to za złą wróżbę. Wnet jednak kapitan statku uspokoił ich: Nie lękajcie się, ojcowie. To Argentyna wita misjonarzy salezjańskich.

Gdy zarzucono kotwicę, podpłynęła motorówka, z której na pokład wdrapał się ks. Ceccarelli, by powitać salezjanów i doprowadzić ich do miasta. Przy bratnich uściskach zawiązała się serdeczna nić przyjaźni. Na molo oczekiwała tłumnie zgromadzona ludność włoska, wśród której nie brakło i byłych wychowanków z Turynu. Oklaskom i wiwatom nie było końca. W czasie przejazdu ulicami miasta, przechodnie przestawali i pozdrawiali misjonarzy. W przeznaczonym dla nich tymczasowym mieszkaniu zastali już oczekującego ich arcybiskupa Fryderyka Aneyros. Dostojny prałat witał ich z ojcowską dobrocią, uściśkał serdecznie, zasiadł między nimi, wypytując szczegółowo o Księdza Bosko i Zgromadzenie. Gdy zaś w następnym dniu misjonarze przyszli do niego z rewizytą, wyszedł im na przeciw w towarzystwie swego wikariusza generalnego i członków kapituły, przedstawił ich swemu otoczeniu, potem oprowadził wszędzie z wielką uprzejmością i dobrocią. Wreszcie zaprosił do salonu, pragnąc usłyszeć ich muzykę i śpiew. Za szczęśliwe uważał te diecezje, które będą mogły mieć salezjanów.

Również wszyscy miejscowi przełożeni zakonów pospieszyli odwiedzić świeżo przybyłych, okazując im dużo sympatii. Nie pozostali w tyle i księża proboszczowie, którzy obiecywali wszelką potrzebną pomoc. Wśród osób prywatnych, które ze szczególniejszą serdecznością odniosły się do synów Księdza Bosko, trzeba wymienić Franciszka Benitez, czcigodnego staruszka, który pomimo sędziwego wieku, przybył z dalekiego S. Nicolas de los Arroyos, by ich przywitać. Pokorny, miły, dobrotliwy - oświadczał się zawsze i wszędzie przyjacielem salezjanów, potwierdzając to czynami, tak iż w pełni zasłużył sobie wśród nich na zaszczytny tytuł „ojca”. Echo tego radosnego przyjęcia dotarło do Księdza Bosko za pośrednictwem listów, wysłanych po paru dniach przez księdza Cagliero. Ks. Ceccarelli, nawiązując do podróży trwającej cały miesiąc, odpowiadający miesięcowi maryjnemu w Europie, określił ją, jako kierowaną cudownie przez Matkę Boską, dając tak wyraz radości mieszkańców tamtejszych z przyjazdu misjonarzy. Z równym entuzjazmem wyrażał się o przybyciu salezjanów wikariusz generalny, doktor Spinoza. Uradowany zaś

arcybiskup oświadczył po kilkakroć gotowość udzielenia im wszelkiej jurysdykcji, potrzebnej do wykonywania czynności kapłańskich obiecując przy tym, że znajdują w nim zawsze ojca troskliwego o ich dobro duchowne i doczesne. Wreszcie ks. Benitez, nie władający językiem włoskim, po łacinie ułożył wspaniałą list, pełen pochwał i wysłał do Księdza Bosko. Łatwo wyobrazić sobie, jak wiele pociechy sprawiły Świętemu te objawy serdeczności względem jego synów.

Misjonarze byli przekonani, że zatrzymają się tylko przejściowo w Buenos Aires i wyruszą zaraz do S. Nicolas. Lecz arcybiskup zdecydował, by otwarli dom również i w tym mieście, obejmując kościół pod wezwaniem MB Łaskawej, zwany kościołem włoskim. Liczba wiernych sięgała 30 tysięcy. Była to opatrnościowa propozycja, gdyż dawała naszym możliwość zajęcia się własnymi rodakami, pozbawionymi opieki duchowej. Wobec tej propozycji podzielili się na dwie grupy, urządzając się, jak można było najlepiej, zanim by nadeszła nowa pomoc Turynu. Kościół MB Łaskawej, wybudowany został przez emigrantów Włochów, jako „Capilla Italiana” i przy nim koncentrowała się konfraternia „Mater Misericordiae”. Kościół jednak nie miał swego rektora. Bardzo więc wszyscy włoscy ucieszyli się, że ich pragnieniom stało się zadość. Chcieli wyjść procesjonalnie na powitanie misjonarzy i wprowadzić ich uroczyście do kościoła, lecz ks. Ceccarelli odradził im to, podsuwając myśl wysłania tylko delegacji. Na temat pracy salezjanów w Buenos Aires tak pisał wspomniany arcybiskup do Księdza Bosko: „Twoi synowie zapewne wiele zdziałają dobrego nie tylko w S. Nicolas, lecz i tu w stolicy, gdzie byłoby pożądanym, by otwarli dom, skąd im łatwiej będzie komunikować się z Waszą Wielbnością, a przy tym będą mogli tu zdziałać więcej dobrego niż w S. Nicolas. Wszak samych emigrantów włoskich liczy się do 30 tysięcy, a większość księży włoskich przyjeżdża tu jedynie po to, by podreperować swoje finanse. Uważam, więc za stosowne, by jego synowie objęli pieczę nad tym kościołem, a w ten sposób będą pomocni nie tylko swoim rodakom, ale w ogóle całej tutejszej ludności”.

Ks. Cagliero nie spoczywał. Urządził zaraz nowennę do Bożego Narodzenia, w czym pomagał mu ks. Baccino, który pozostał w Buenos Aires z koad. Belmonte. Tłumy oblegały konfesjonały tak, że chcąc zadowolić wszystkich, trzeba było przedłużyć te jakby misje na całą oktawę Bożego Narodzenia. Przez swe kazania ks. Cagliero zdobył sobie imię głośnego kaznodziei, a jego tytuł doktora św. teologii i kompozytora muzyki przyczyniły mu powszechnego szacunku i poważania, jako przełożonemu de los Saleses.

W związku z powitaniem salezjanów w Buenos Aires biskup Alberti z La Plata opowiadał często epizod, w którym sam, jako chłopaczek brał udział. Oto spora zawsze gromadka niesfornych łobuziaków tłoczyła się w zakrystii kościoła MB Łaskawej. Niestety nie odbywało się to bez hałasu, za co gromili ich członkowie bractwa mówiąc:

„Poczekajcie, wnet tu zjadą salezjanie, oni z wami zrobią porządek”.

Słuchając takiej zapowiedzi, chłopcy ci wytworzyli sobie pojęcie, że salezianie to chyba jakieś ludojady, którzy nie wiedzieć, jak się do ich zabiorą.

Cóż więc dziwnego, że gdy na powitanie misjonarzy dzwony odezwały się, by zgromadzić wiernych, to im się zdawało, że to wydzwanianą na ich pogrzeb. I cóż się nie dzieje? Oto grupa największych urwisów wdrapała się na dzwonnice i korzystając z przerwy w dzwonieniu, odpięli powrozy, które spadły na dół, a nikt nie umiał sobie wytłumaczyć jak się to mogło stać. Misjonarze zaś zdziwieni byli, nie widząc żadnych chłopców na ulicy, ani w kościele. Malcy stali za plecami starszych lub zerkali ciekawie gdzieś z poza węgła domów. Wreszcie ks. Cagliero zauważył ich, a przywoławszy do siebie, wziął po ojcowsku za rękę, podarował medaliki, czym ujęci malcy, wśród których był i mały Alberti, odpowiedzieli o tym kolegom, mówiąc:

Nie ma tak źle, księża są do rzeczy i można z nimi gadać.

Tak zaczęło się Oratorium świąteczne, które było polem działalności księdza Baccino nie tylko wśród malców, lecz i wśród dorastających czeladników. Z tej to młodzieży wyszły pierwsze miejscowe powołania na koadiutorów i kleryków. Do nich należał wspomniany ks. biskup Alberti, ks. proboszcz Ani Brasesco, późniejszy dyrektor Pomocników Salezjańskich, monsignore Carranza i biskup S. Juan de Cuyo Józef Orzali.

Także jedna siostra, Córka Maryi Wspomożycielki Wiernych, Emilia Matis, Argentynka, zachowała żywe wspomnienia z owych dni. Jako dziesięcioletnia dziewczynka, uczęszczała do szkoły świeckiej, gdy przyjechali nasi misjonarze. Biorąc później udział w beatyfikacyjnym pochodzie ku czci Księdza Bosko, tak z tej okazji opisała swoje wrażenia z dawnych lat księdzu Generałowi Filipowi Rinaldiemu:

My, jako uczennice szkoły świeckiej, słuchałyśmy pięknych nauk ks. Cagliero i ks. Baccino, spowiadałyśmy się u nich, uczęszczałyśmy na naukę katechizmu z wielką przyjemnością i korzyścią. Oni dawali nam wiele skutecznych rad i napomnień oraz przygotowując nas do pierwszej Komunii świętej, wypielęgowali w naszych sercach ziarno powołania aż do chwili, kiedy zostałyśmy Córkami Maryi Wspomożycielki i Księdza Bosko. O, jak dobrzy są ci kapłani... - mówiłyśmy między sobą ileż korzyści z ich nauk odnoszą nasze dusze. Przedtem nikt o nas nie pamiętał. A gdy przyjechały następnie siostry i otwały zakład w Almagro w 1878, zaraz podałyśmy się na aspirantki i byłyśmy pierwszymi argentyнками, które złożyły śluby. Drogi Ojcze, te najmiłsze wspomnienia, wyciskają nam łzy wdzięczności i pociechy, gdyśmy towarzyszyły falangom naszych dzieci za obrazem Księdza Bosko. Ale nie trzeba sądzić, że wszyscy tamtejsi Włosi podobnie życzliwie odnosili się do salezjanów. Elementy masońskie usiłowały utrzymać swe wpływy na kolonistów i w zмовie ze swymi kolegami z Włoch, pracowali chytrze i zacięcie na ich całkowitą laicyzacją. Chcieli koniecznie rozsądzić mającą wielkie wpływy ową konfraternię „Mater Misericordiae”. Lecz przyszło im zmierzyć się z księdzem Cagliero. Ten spostrzegłszy się o ich zakusach i wsparty powagą Kurii archidiecezjalnej, wyciągnął wszystko na światło dzienne: odnowił statuty bractwa, zreformował zarząd, wrzucił do

pieca dawne spisy. Swoją świetną, iście włoską wymową, sprawił, iż ustały oszczerstwa kalające imię katolika włoskiego, przeszkodził ekscesom motłochu wygrażającego arcybiskupowi i gradem kamieni obrzucającego Kościół. Choć wzniecono pożar w kolegium Salvador, ks. Cagliero nie uląkł się tej machinacji masońskiej. Z ambony publicznie ogłosił, że kto pragnie należeć do konfraterni, winien złożyć osobiście kartkę z poświadczeniem odbytej spowiedzi i Komunii św. wielkanocnej, gdyż to jest jedyne wejście do owczarni Jezusa Chrystusa. Odważnie przewodniczył wyborom do nowej rady, pomimo, że na ścianach ukazały się napisy: „Śmierć Cagliero”. Prezes konfraterni został napadnięty i uderzony kastetem. Był to niejaki Romolo Finocochio, katolik w całym tego słowa znaczeniu, nieugięty i nieustraszony wobec masonerii. Dnia 15 stycznia 1876 r., arcybiskup Buenos Aires mógł donieść Księdzu Bosko co następuje: Błogosławieństwo Ojca świętego przynosi owoce, gdyż synowie Waszej Wielbności działają bardzo dużo dobrego dla swoich rodaków w tej stolicy.

Dnia 21 grudnia 7 salezjanów przeznaczonych do S. Nicolas de Los Arroyos, pożegnało się ze swymi współbraćmi, pozostającymi w Buenos Aires. Towarzyszili im ks. Ceccarelli i czcigodny ks. Benitez. Ludność przyjęła ich entuzjastycznie: pięciu z nich zatrzymało się u księdza Ceccarelli na plebanii, dwóch innych zamieszkało u księdza Beniteza. Wiele trzeba było starań i zachodów, by uruchomić tam zakład wychowawczy. Ale tu trzeba się cofnąć do początków tej fundacji.

Zakład w San Nicolas został ofiarowany Księdzu Bosko przez księdza Ceccarelli, proboszcza tego miasta, lecz nie miał on solidnych podstaw rozwoju. W pertraktacjach, prowadzonych między księdzem Ceccarelli a Księdzem Bosko, nie chodziło tyle o subtelne finanse prawne. Zamiarem tego ostatniego było - hic et nunc - zorganizowanie stacji misyjnej w miejscu stosownym do przeprowadzenia podwójnego zamiaru, a mianowicie: rozpoczęcie misji wśród dzikich tubylców oraz niesienia pomocy uchodźcom włoskim, pozbawionym opieki duchowej, materialnej. S. Nicolas nadawało się do przeprowadzenia tych planów, tak z powodu bliskości siedzib Indian, jako też dla wielkiej liczby kolonistów przybyłych z Ligurii, którzy prowadzili tryb życia patriarchalny, uprawiając tereny nabyte za ciężko zapracowany grosz. Trzymali się oni raczej z dala od ludności miejscowej, a było ich coś 70 rodzin.

Kiedy salezjanie przyjechali do S. Nicolas de los Arroyos, spotkało ich rozczarowanie: gotowego kolegium nie zastali, a to, co było, to kilka zaledwie pomieszczeń parterowych bez żadnych urządzeń i sprzętów. Wobec takiej sytuacji ks. Fagnono nie stracił animuszu i zabrał się, przy pomocy kolonistów i księdza Ceccarelliego do zaopatrzenia zakładu w rzeczy niezbędne. Całe szczęście, że kościół był w niezłym stanie. Wzniósł go własnym kosztem Benitez i ufundował ołtarz z pięknie rzeźbioną statua MB Niepokalanej. Kościół co dzień gromadził sporo ludzi, wśród których pojawiali się coraz częściej miejscowi chłopcy. Nabożeństwo odprawiało się jak najuroczyściej na wzór tych w Turynie, ze śpiewem młodych

synów kolonistów. Ci oddając swe dzieci do szkoły, pragnęli, by one zamieszkały w internacie. Ale nie było miejsca. Trzeba więc było pomyśleć o rozbudowie szkoły i internatu, do czego koloniści przyrzekli swą pomoc. Ks. Fagnano obrotny i biegły w budowach, jeszcze z czasu swego pobytu we Włoszech, od razu zaczął wznosić portyki, a nad nimi i nad budynkiem istniejącym skonstruował sypialnie 60 m długości i 16 szeroką. Na nieszczęście z powodu słabych fundamentów, w czasie jesiennych deszczów, niektóre filary obsunęły się i część budynku runęła. Lecz ks. Fagnano nie upadł na duchu. Już w roku 1877 kolegium zostało uruchomione. Młodzież rekrutowała się ze sfer bogatych i uboższych. Wprowadzono regulamin stosowany w Alassio i Lanzo. Doskonała kapela uświetniała uroczystości, urozmaicała rekreacje i wycieczki. Ks. Ceccarelli pisze do Księdza Bosko 10 czerwca: Kolegium w S. Nicolas rozwija się doskonale; salezjanie cieszą się ogólnym wzięciem, a ich imię rozbrzmiewa już po całej Ameryce Południowej.

Doktor Guido Lavalle, minister sprawiedliwości, nasz były wychowanek, w mowie wygłoszonej 2 czerwca 1929 roku, z okazji uroczystości beatyfikacyjnych Księdza Bosko, przypomniał życie ówczesnego kolegium, odtwarzając z pamięci postacie ówczesnych przełożonych, współkolegów oraz zwyczaje, panujące w zakładzie. Dla uzupełnienia podanych wiadomości o początkach zakładu w S. Nicolas, dodamy, że kolegium to nie opierało się na żadnej darowiźnie w budynkach, czy terenie, ani nie zawarto żadnej umowy z miejscową komisją rządową, której poparcia nasi oczekiwali i na nie najwięcej liczyli. Komisja ta przyznała jedynie „cabana de ovejas”, obiecała jeszcze inne rzeczy, lecz wcale nie dotrzymała słowa. Rząd zgodził się oddać nie na własność, ale tylko na użytek 3 ha pola.

Całą więc podporą dla salezjanów był niezrównany ich pomocnik Franciszek Benitez. Kiedy zaś Komisja została rozwiązana, wszystkie jej uprawnienia przeszły na magistrat wrogo do salezjanów usposobiony - bo masoński. Haec olim meminisse iuvabit.

Korespondencja między Księdzem Bosko, a misjonarzami była bardzo żywa. Niestety niewiele z niej zostało dochowane. Listy misjonarzy budziły entuzjazm tak, że jak notuje kronika, na stu salezjanów osiemdziesięciu gotowych było natychmiast wyjechać do Ameryki. Dnia 12 lutego pisze Ksiądz Bosko do księdza Cagliero: Mój drogi księżu Cagliero! Otrzymaliśmy listy od ciebie i innych współbraci. Wznieciły one wielki entuzjazm wśród naszych oraz zainteresowanie się nimi w prasie. Bogu niech będą dzięki, że ci błogosławi w twojej pracy. Otrzymałem list od księdza Fagnano ze S. Nicolas, w którym opisuje ich przybycie i aktualne zajęcia. Wynika z niego, że dom jest za szczupły, lecz zdaje się, że magistrat im coś dopomoże do powiększenia go. Wszyscy wołacie o pomoc, lecz ja oczekuję konkretnych wniosków od ciebie, a wówczas zabierzemy się do dzieła..

W tej chwili, gdybym tylko pozwolił, wszyscy salezjanie wybrali się do Buenos Aires. Ks. Tomatis napisał list do Varazze, w którym wyraził się, iż tam nie żyje

ze wszystkimi w zgodzie. List ten pisany do księdza Francesii, zrobił złe wrażenie i w Varazze i tutaj. Powiedz mu dwie rzeczy:

1. Misjonarz musi słuchać, cierpieć dla chwały Bożej i skrupulatnie zachowywać śluby, przez które poświęcił się Bogu;
2. Jeżeli ma jakiś powód do niezadowolenia, niech pomówi z przełożonym lub napisze wprost do mnie.

Wczoraj, to jest 10 lutego, otwarliśmy dwa małe domy we Ventimiglia. Dyrektorem został ks. Cibrario; Cerruti - nauczycielem; Martino - gospodarzem; na jego miejsce w zakrystii wszedł ks. Bodra, też liczba Synów Maryi Wspomożycielki wzrasta cudownie i rokuje wielkie nadzieje. To dzieło należy rozwijać możliwie z największym wysiłkiem. Mam skąpe wieści o komandorze Gazzolo. Czyżby znowu jakaś chmura? Siostry, Córki Maryi Wspomożycielki, przyjdą na Valdocco w początkach marca. Czy mamy także niektóre z nich przygotować na wyjazd do Ameryki? Ukłoń się nisko ode mnie księdzu arcybiskupowi, doktorowi Spinosa, księdzu Ceccarelli, no i „papieżowi” Benitezowi. Temu powiedz, że jego list po łacinie był wszędzie czytany po naszych zakładach. Przyjęto go z aplauzem i dla jego stylu i dla układu i przejrzystości. Odpiszę mu wkrótce. Moc pozdrowień. Pozdrawiają cię szczególnie: rodzina Radicati, Appiani, Fassati, Calori, Corsi, Marengo, Margotti i milion innych, razem z księdzem Picco, prof. Bonzanino, Roasenda. Drogi ks. Cagliari, szanuj swoje zdrowie i innych. Polecamy cię tutaj i wszystkich twoich dobroci Bożej, a ty módl także za mnie, który będę zawsze dla ciebie w Panu najbardziej przywiązany przyjacielem Ksiądz Jan Bosko - 12 lutego 1876 r.

PS. Przedstaw mi także wasz stan finansowy. Dom w Nizy dobrze sobie poczyną: Ks. Ronchail - dyrektorem; Rebagliati - pianistą; Peret - nauczycielem; Cappelano - kucharzem; Guelfi Henryk - jego gwardia przyboczna.

Monsignore Fratejacci, adwokat a teraz kanonik Menghini, kochany Aleksander Sigismondi, kawaliere Bersani, kardynał Antonelli i kardynał Berardi przysyłają swoje uszanowanie itd. Omnia in nomine D. N. I. C. Amen.

Gorliwy ks. Tomatis, jeden z tych naszych misjonarzy, któremu jeszcze, jako chłopczykowi Ksiądz Bosko przepowiedział, że miał z nim długie lata dzielić chleb, nie mógł ścierpieć przykrego charakteru koad. Molinari, dyrygenta kapeli. Ten rzeczywiście z powodu swego temperamentu, był często nieznośny, do tego stopnia, że w następnym roku musiał opuścić zakład. Ksiądz Bosko, który swą wielkodusznością i uprzedzającą miłością potrafił przywiązać do siebie jednostki nawet dość wichrowatego usposobienia i wychować ich na pożytecznych pracowników, pragnął, by jego synowie naśladowali go w tym duchu tolerancji. Dlatego nie zadowolając się poleceniem pośrednim, napisał osobno list do księdza Tomatisa: Mój drogi księżu Tomatis! Otrzymałem wiadomości od ciebie i ucieszyło mnie, że miałeś podróż szczęśliwą i że zabierasz się gorliwie do pracy. Śmiało idź

naprzód. Jeden z Twoich listów pisany do Varazze wspominał, że nie żyjesz w zgodzie z pewnym współbratem. To wywarło ujemne wrażenie, zwłaszcza, że czytało się o tym publicznie. Posłuchaj mnie, drogi księżu Tomatis: Misjonarz musi być każdej chwili gotów poświęcić swe życie dla chwały Bożej. Jakżeż, więc miałby nie umieć przetrwać jakiegoś uczucia antypatii do swego współbrata, choćby ten miał największe i widoczne wady? Pamiętaj o słowach świętego Pawła: „Jeden drugiego brzemiona noście, a tak wypełnicie prawo Chrystusa. Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest, wszystko znosi... A jeśli ktoś nie dba o swoich, zwłaszcza o domowników, gorszy jest od poganina”. A więc mój drogi, zrób mi tę przyjemność, Ksiądz Bosko cię o nią prosi, niech na przyszłość Molinari będzie twoim przyjacielem. A jeśli nie możesz pokochać dla jego wad, to kochaj go dla miłości Boga i dla miłości, jaką masz ku mnie. Uczynisz to, nieprawda? Zresztą jestem zadowolony z ciebie i w każdej Mszy świętej polecam Bogu twoje trudy.

Nie zapominaj o przetłumaczeniu podręcznika arytmetyki, dodając miary i wagi przyjęte w republice argentyńskiej. Powiedz Czcigodnemu Księdzu Ceccarelliemu, że nie otrzymałem katechizmu tamtejszej archidiecezji, a potrzebuję go gwałtownie, by włączyć do książeczki „Giovane proveduto” - akty wiary, nadziei itd. zgodnie z brzmieniem ustalonym w tamtejszej diecezji. Niech ci Bóg błogosławi, drogi księżu Tomatis, a nie zapominaj w modlitwie i o mnie, który itd. Ksiądz Jan Bosko – Alassio - 07.03.1876 r.

Musimy jeszcze nadmienić o owym punkcie listu do księdza Cagliariera zawierającym wyrażenie: „Czy zaszła jakaś chmura?”, który to zwrot nie był rzucony na próżno.

Dla zrozumienia tego zwrotu, wypada nam uświadomić sobie bliżej pewną, nierzadko występującą przypadłość w ludzkich stosunkach. Opatrzność Boska w swoich zamierzeniach posługuje się nieraz ludźmi, bynajmniej nie zainteresowanymi chwałą Bożą i dobrem dusz, lecz poklaskiem i osobistym interesem. Tacy ludzie zaślepieni miłością własną, nawet nie zwracają uwagi, czego dokonują inni dla wyższych wprost przeciwnych motywów. Wolno nam ufać, że tego rodzaju współpracowników modlitwa Księdza Bosko naprowadzała na właściwą drogę, wyprasząc im światło z nieba w odpowiednim momencie. Otóż komandor Gazzolo nie był zadowolony. Nie podobało mu się, że tyle mówiono o misjonarzach a o nim tak mało. I pewne jego twierdzenie trzeba tutaj sprostować. W jednym ze swoich listów utrzymuje on „rotundis verbis”, że ufundował kościół MB Łaskawej. Wprawdzie występował on na zlecenie stowarzyszenia w pertraktacjach o kupno terenu pod kościół. Ale przy tej okazji dobrze zarobił, bo nabył tak rozległy teren, że starczyło i na kościół i dla niego. Zatrzymał sobie dwie parcele przyległe i wybudował tam kamienice, z których jedną kupili później salezjanie, płacąc słono jego spadkobiercom... Skąd inąd nadchodziły do Księdza Bosko pomysły wieści. I tak wikariusz, monsignore Spinoza, pisał do Księdza Bosko: Jego synowie działają wiele dobrego dla miasta. Głoszą kazania, katechizują aż radość patrzeć. Biedni

koloniści włoscy nie mieli dotąd nikogo, kto by się nimi zajął, a teraz kościół jest przepełniony. Byłoby bardzo pożądane, ażeby p. Gazzolo oddał salezjanom teren obok kościoła, który sobie zatrzymał. Dom, który obecnie zamieszkują, jest za szczupły, a brak miejsca, by go powiększyć.

Również ks. Ceccarelli wypisał panegiriki na cześć salezjanów w S. Nicolas: Zdrowie wszystkich doskonale, zapał do pracy w Winnicy Pańskiej nie do opisanego, pragnienie przysporzenia chwały Zgromadzeniu - przedziwne, życie ich godne misjonarza, który jest gotów nawet na męczeństwo.

A oto jeszcze dwa listy napisane przez Księdza Bosko do księdza Cagliero, świadczące o ojcowskich uczuciach, jakie żywił względem swych odległych synów: Drogi księże Cagliero! Ks. kanonik Vogliottii ma bratanka, który udaje się do Buenos Aires i prosiłbym ci go polecić. Odsyłam, przeto jego list do ciebie. Dopomóż mu w czym możesz, zwłaszcza w tym, co dotyczy spraw religijnych. Wczoraj było przedstawienie. Odegrano dysputę między adwokatem i duchownym protestanckim, która wypadła świetnie. Wychowanek Mino odśpiewał romancę „Syna Wygnańca” z wielkim sukcesem. Ale myśl o autorze tak daleko przebywającym od nas, wzruszyła mnie głęboko. Dlatego w ciągu śpiewu, jak i całego przedstawienia, myślałem tylko o swoich drogich salezjanach w Ameryce. Ks. Cibrario i ks. Ronchail piszą, że ich domy zapowiadają się dobrze na przyszłość. Pozdrowienia itd. Ksiądz Jan Bosko - 16.02.1876 r.

A oto drugi list: Drogi księże Cagliero! Dodaję parę słów do tego, co inni piszą. Dziś poświęcono kaplicę dla sióstr w zakładzie Catellino. Jest ich na razie 7. Wszystkie zasyłają ci moc pozdrowień i wielu innych przysyła ci tysiące pozdrowień. Dziś postanowiliśmy otworzyć nowy dom pod wezwaniem Świętych w Trinita. Powiedz o tym księdzu Tomatisowi, który stamtąd pochodzi. Jest to schronisko razem ze szkołą. W poniedziałek jadę do Rzymu, gdzie mnie czeka wiele spraw do załatwienia. Wśród nich kupno jednego domu. Stamtąd napiszę doktorowi Ceccarelli i do papy Benitez. Pozdrów wszystkich naszych drogich salezjanów i przypomnij wszystkim owo: „Alter alterius onera portate et sic adimplebitis legem Christi”.

Kochajcie mnie i módlcie się za mną, który jestem etc. – Turyn, 30.03.1876 r.
Ksiądz Jan Bosko

W miarę jak rozchodziła się wieść o Salezjanach w republice argentyńskiej i poza nią i docierała do państw sąsiednich, zaczęło napływać wiele próśb o otwarcie tam zakładów młodzieżowych. Wobec tego Ksiądz Bosko poważnie myślał o przygotowaniu drugiej ekspedycji misyjnej. W dniu 3 marca podał księdzu Chiala bilecik, na którym spisane było, co ma poruszyć w liście do księdza Cagliero: W waszych listach zawiadamiacie mnie o pilnej potrzebie personelu – pragniemy przyjść wam z pomocą – trzeba, by ks. Cagliero szczegółowo przedstawił zapotrzebowanie, co do ilości i jakości pracowników. Wszak raz się prosi o dwóch,

czy czterech, kiedy indziej zaś o trzydziestu misjonarzy. Po otrzymaniu odpowiedzi przystąpimy do zorganizowania nowej ekspedycji.

Warto tu wspomnieć o pewnym projekcie Księdza Bosko, który wywołał wiele komentarzy. Mianowicie po pierwszej podróży salezjanów do Argentyny rozważał on myśl, czyby nie było wskazane nakłonić rząd włoski do utworzenia tam własnej kolonii autonomicznej. Że ten pomysł był całkiem nierealny, tego on wcale nie przypuszczał, pewien, że w Ameryce Południowej istniały obszary nie należące wtedy jeszcze do żadnego państwa. Wynika to z jego rozmów, w lutym 1876 roku, w czasie których wyraził się, że w Ameryce czekają terytoria na „primum occupantem” - kto je pierwszy zajmie. Temu przekonaniu dał również wyraz w memoriale przesłanym do ministra spraw zagranicznych włoskiego Melegari, w którym mówi o terenach rozciągających się od rzeki Rio Negro aż do Cieśniny Magellana, gdzie nie ma portów, ani ludności cywilizowanej, ani przedstawicieli jakiegokolwiek rządu, mogącego sobie rościć do tych ziem pretensje.

W ten błąd wprowadzili go autorzy włoskich podręczników geograficznych, nieścisłe encyklopedie i mapy geograficzne błędnie sporządzone. W Italii miało się jeszcze czekać czterdzieści lat, by stanęła na odpowiednim poziomie wiedza o świecie współczesnym. Oczywiście, że Ksiądz Bosko, zorientowawszy się o faktycznym stanie rzeczy, więcej do tego tematu nie wracał. Plan swój pojmował on jako środek skuteczny do osiągnięcia dwóch celów: ewangelizacji szczepów Indian oraz kierowania w sposób właściwy nurtem emigracyjnym Włochów.

Nie ma więc co lekceważyć tego pomysłu, który wychodzi raczej na chwałę Księdzu Bosko, bo już sama chęć dokonania wielkich rzeczy, godna jest podziwu: *in magnis et voluissesat est.*

ROZDZIAŁ V

W ORATORIUM I W INNYCH ZAKŁADACH

Ilekcio obserwujemy Księdza Bosko, wybierającego się na wizytację swoich domów, to mimo woli nasuwa nam się na myśl obraz boskiego siewcy z Ewangelii: Wyszedł, który sieje, siał nasienie swoje. Jakżeż pożyteczną rzeczą byłoby mieć zebrane szczegóły tych odwiedzin. Wprawdzie ówczesni księża dyrektorzy doceniali to i powzięli uchwałę, by w kronikach zakładowych przekazać potomności, co Ksiądz Bosko mówił i robił w czasie wizytowania domów. Bogaty byłby to zbiór pouczeń i przykładów dla następnych pokoleń, gdyby ta uchwała była wprowadzona w czyn. Ale niestety skończyło się na *pium desiderium*. Zebrawszy, więc skrzętnie wszystko z kronik zakładowych z miesięcy lutego i marca 1876 roku, uzupełnimy to zapiskami, jakie znajdujemy w „*cronachine i cronechette dell' Oratorio*”.

Od 20 lutego do 11 marca, Ksiądz Bosko wizytował zakłady w Ligurii, rozpoczynając od Nizy, dokąd został wezwany telegraficznie. Patronage St. Pierre był w przededniu swego pięknego rozwoju. Dotąd jego warunki były ciężkie: lokale znajdowały się na parterze i w suterrenach dawnej tkalni; z okien sąsiednich kamienic obserwowano wszystko, co działo się wewnątrz domu. Rzecz to była wprost nie do zniesienia. Trzeba było koniecznie wybrnąć z tej sytuacji.

O tym stanie rozmawiał dyrektor zakładu z Księdzem Bosko w czasie konferencji w Oratorium, zwracając mu uwagę, że jest do kupienia w pobliżu Placu Broni willa Gautier, która by się nieźle nadawała na zakład. Był to budynek, położony poza miastem, ale dostępny i dla eksternistów, dość obszerny, z przyległym ogrodem, mogącym służyć za boisko dla chłopców. Słowem miejsce wymarzone i zdrowotne. Tylko cena nie dostosowana do finansów Księdza Bosko. Żądano za nią ni mniej ni więcej, tylko 100 tys. franków. Ksiądz Bosko długo się nie namyślał i polecił księdzu Ronchail rozesłać listy do wybitniejszych dobrodziejów w Nizy, z prośbą o pomoc w zakupieniu tejże willi. Opatrzność zaś ze swej strony nie zawiodła. Ks. Roetti z Nizy wpadł na szczęśliwy pomysł: otóż w owych dniach miał przejeżdżać przez Nizę monsignore Mermillod, wikariusz apostolski z Genewy, udający się do Rzymu, by złożyć hołd następcy św. Piotra i orędować za ogłoszeniem św. Franciszka Salezego doktorem Kościoła świętego.

Dostojny ten prałat przebywał na wygnaniu od trzech lat na skutek wicherzeń miejscowych sekt. Znany był szeroko, jako głośny kaznodzieja. Otóż wspomniany ks. Roetti zaproponował na zebraniu stowarzyszenia św. Wincentego zaprosić owego

prałata, by w przejeździe przez Nizzę, raczył wygłosić kazanie o miłosierdziu chrześcijańskim dodajmy od siebie - na korzyść zakładu Księdza Bosko w tym mieście. Projekt ten został jednogłośnie przyjęty i wysłano zaproszenie do Monsignora, który zgodził się przybyć po południu, 23 lutego. Na jego kazanie zebrała się cała elita miejscowych katolików tak, że kościół nie mógł wszystkich pomieścić. W zakrystii, przed kazaniem dostojny mówca zapytał, na jaki temat miałby przemawiać. Dowiedziawszy się, że chodzi o sierociniec, kierowany przez salezjanów, dał wyraz swemu zadowoleniu, iż, jako następcy biskupa genewskiego, dane mu jest przemawiać na korzyść Zgromadzenia, którego święty Franciszek Salezy jest Patronem. Słuchacze, z biskupem Nizy Sola, z niecierpliwością oczekiwali słów natchnionego kaznodziei. Monsignore Mermillod wziął za motto kazania słowa psalmu /9.14/: „Tibi derelictus est pauper, orphano tu eris adiutor - Tobie zostawiony jest ubogi, sierocie ty będziesz pomocny”. Mówca wykazał stosunek zachodzący pomiędzy macierzyństwem niewiasty, a macierzyństwem Kościoła, podkreślając, jak Kościół spieszy na pomoc rodzinie we wychowaniu dzieci. W końcu położył nacisk na obowiązek, jaki ciąży na bogatszych, niesienia pomocy dzieciom opuszczonym, które dzięki temu wyrosną na pożytecznych obywateli. Pozostawione zaś własnemu losowi, bez opieki duchowej, ulegną wpływom niepożądanym i - zamiast w bogatszych widzieć swych braci i dobroczyńców - uznają ich za wyzyskiwaczy i dadzą posłuch propagandzie komunistycznej.

Jaki skutek wywarło kazanie na słuchaczach, dała poznać zbiórka, która dosięgła sumy 4 i pół tysiąca franków. Dzienniki francuskie i włoskie również rozpisywały się przychylnie o tym, nie szczędząc pochwał pod adresem kaznodziei, jak również i dla „godnego podziwu Księdza turyńskiego, którego imię było wszystkim znane”. Spowodowało to wielki napływ listów z całej Francji, domagających się otwarcia nowych zakładów, z których uwzględniony został dotyczący Marsylii. Ksiądz Bosko odpowiadał wszystkim, że jest to zgodne z jego intencjami, ale na razie nie dysponuje personelem i wobec tego trzeba czekać.

Oczywiście brał on także udział w konferencji monsignora Mermilloda, ale - jak opowiadają - to w czasie, gdy słuchacze podziwiali cudowne wyniki jego akcji charytatywnej, to on się zdrzemnął spokojnie. Tak był pewny Boskiej Opatrzności i ta nie zawiodła go, jak o tym świadczą następujące wypadki, które nam dają coraz lepiej poznać tego prawdziwie Bożego Męża.

Przy omawianiu kontraktu kupna wspomnianej willi, notariusz Sajetto, który załatwiał mu gratisowo związane z tym formalności, zwrócił mu uwagę, że zarejestrowanie tego aktu pociągnie za sobą 6 tys. franków na stemple. Wówczas Ksiądz Bosko odpowiedział, że przecież nie ma tyle pieniędzy, bo zbiórka wyniosła zaledwie cztery tysiące, wobec czego decyduje się załatwić sprawę bez formalności prawnych. Słyszając to prezes stowarzyszenia św. Wincentego, nie mógł powstrzymać się od nazwania takiego kroku wprost lekkomyślnym, by nie powiedzieć gorzej.

Człowiecze małej wiary - odpowiedział Ksiądz Bosko. Zobaczycie, że w ciągu trzech miesięcy zbierzemy tu przeszło 18 tysięcy franków, a wtedy będzie można załatwić wszystkie formalności. Ale najpierw trzeba napisać do Papieża Piusa IX: Jego imię na czele ofiarodawców będzie miało swoje znaczenie. Myśli tej się uchwyciono i rzeczywiście Ojciec święty przez kardynała Antonelli przysłał zaraz zapomogę w sumie 2 tysięcy franków. W następstwie tego Rada Najwyższa Stowarzyszenia św. Wincentego ofiarowała tysiąc, drugi tysiąc dał monsignor Sola, naśladowali ich też inni członkowie towarzystwa; a znalazł się i taki, który sprzedawszy swoje papiery wartościowe, ofiarował osiem tysięcy. Po upływie trzech miesięcy zapowiedziane 18 tysięcy franków znalazły się w ręku Księdza Bosko i kontrakt mógł być spisany ze wszystkimi formalnościami. Podobnie przy innej okazji, gdy tenże prezes Stowarzyszenia zagadnął Księdza Bosko, czy mu się nie wydaje ta wille trochę za kosztowna, biorąc pod uwagę cel, na jaki ma być przeznaczona. Ale Święty przerwał mu mówiąc: Pan Bóg w działalności swojej występuje zawsze z wielką okazałością. Niech pan spojrzy na niebo, wspaniałe są te miriady gwiazd, a głębie oceanu jakże przepaściste, jak nieprzeliczone jest mnóstwo ryb, jaka różnorodność stworzeń na ziemi, jakie na niej wszędzie bogactwa i piękność wszelkiego rodzaju. I ten zakład niech będzie również godnym tych wszystkich jego dzieł. Nie miejmy zbyt wielu skrupułów. Jeśli nam pieniędzy naten zakup pięknego domu zabraknie, Bóg w swojej hojności się o nie postara.

Tu zrobmy skok naprzód i przenieśmy się myślą już do chwili powrotu Księdza Bosko z wizytacji po domach w Ligurii, do Oratorium, aby wziąć udział w jego rozmowie ze swoimi na temat, co dopiero opisanych przez nas zdarzeń w Nizy. Przechował nam ją ks. Barberis, którego skromne zapiski, częstokroć dają odczuć żywo charakter wypowiedzi Świętego. Rozmowa ta toczyła się po kolacji na różne tematy. A wtedy jeden z księży odezwał się tymi słowami: Czy Ksiądz Bosko był na kazaniu monsignora Mermillod'a? Co za pytanie? Oczywiście, że byłem. Biskup Nizy ciągnął mnie wprost za sobą i kazał usiąść w prezbiterium obok siebie wśród kanoników, wobec zgromadzonych wiernych.

Czy ksiądz znał przedtem monsignora Mermilloda?

Znałem go już dawniej i prowadziłem z nim stale korespondencję. Jest bardzo życzliwy dla Oratorium, nawet odwiedził nas już tutaj swego czasu i wszystko mu się bardzo podobało.

Musiał być nader szczupły kościół św. Franciszka w Nizy? Nieprawdaż?
W obszerniejszym zbiórka byłaby lepsza.

Pewno, że był za szczupły i tak zatłoczony, że kolektorzy nie mogli się przepchać w ciżbie. Co gorsza taca nie dotarła do wszystkich. Mówiono nawet, i to nie bez racji, że we większym kościele to zbiórka wyniosłaby nie 4 tysiące, lecz piętnaście tysięcy franków. Wiele jednak osób, nie mogąc wtedy złożyć ofiary, przynosiło później koperty zawierające czterdzieści, pięćdziesiąt i sto franków na rozbudowę tamtejszego zakładu. W Nizy jesteśmy bardzo mile widziani. Nawet władze

miejscowe nas popierają. Sam prefekt, choć protestant ustosunkował się życzliwie do nas.

Razu pewnego przyszedł do niego jakiś z jego współwyznawców ze skargą na nas. Chodziło mu o dwóch chłopców, którzy uciekli z przytułku protestanckiego i schronili się do naszego zakładu, gdzie - jak ów osobnik twierdził - gwałci się sumienia, zmusza się chłopców do przejścia na katolicyzm. Żądał, więc, by prefekt wydestał stamtąd owych chłopców. Na to ten mu odpowiedział: Skoro od was - jak pan mówi - uciekli owi chłopcy, to nie widzę racji, by ich stamtąd zabierać, wszak to by właśnie było wywieraniem na nich przymusu. Zabraniać zaś Księdzu Bosko przyjmować chłopców przyprowadzonych przez swoich rodziców, tego absolutnie nie mogę i nie chcę uczynić. Idźcie, idźcie sobie. Chłopcy pozostać mogą równie dobrze tam, jak i was. I na tym stanęło. Tu Ksiądz Bosko zaczął opowiadać o nowym domu i jego położeniu. Gdy zakład przeniesie się do nowej willi, miał będzie wspaniałe pomieszczenia. Cała zabudowa obejmuje 9 tys. metrów kwadratowych powierzchni, ma na tyle obszerne dziedzińce, że wystarczą dla tysiąca eksternistów. Wewnątrz będzie mogła pomieścić, skoro się wykorzysta wszystkie kąciki, jak to zwykle u nas się dzieje, około 150 internistów.

Na przyszłość znajdują się środki na rozbudowę, w razie potrzeby. Sam budynek jest doprawdy, może aż za okazały. Schody są z białego marmuru, marmurowe są również posadzki. Kupiliśmy go za 90 tysięcy franków. Ale zaraz ofiarowano nam za odsprzedanie danego ogrodu bez budynku - dwa razy tyle. Ogólne koszty całej tej transakcji wyniosą w sumie 100 tysięcy już ze wszystkimi formalnościami, które we Francji są droższe niż u nas. Po tym, co się już zebrało i z tym, co mamy przyobiecane, suma ta jest już zapewniona.

Także rejent idzie nam całkiem bezinteresownie na rękę, starając się oczyścić hipotekę tej realności trochę obciążoną. Tak on jak i nasz adwokat oświadczyli, że nie chcą ani grosza, jako honorarium, pragną, bowiem w ten sposób przyczynić się do rozwoju tego zakładu. Niech Bogu będą za wszystko dzięki...

Co prawda, kosztowało mnie to nie mało trudów i zachodów, ale sprawy doprowadzone są już do tego stanu, że zakład może już pracować samodzielnie. Dodam więcej: mamy zamiar otworzyć jeszcze jedno Oratorium świąteczne przy kościele, gdzie odprawia nasz ksiądz Guelfi. Przy końcu tej rozmowy dorzucił ks. Durando:

Tam we Francji doprawdy rozumieją lepiej, co naprawdę jest korzystne dla społeczeństwa. A kiedy widzą, że jakiś instytut jest odpowiedni, to nie żałują grosza.

Wprawdzie Ksiądz Bosko wyraził się, że zakład może już rozwijać się samodzielnie, ale przez to nie wykluczał swojej współpracy. Stąd też już po dwóch miesiącach pisał do dyrektora, podając mu sposoby zdobycie środków potrzebnych dla dalszego funkcjonowania zakładu. Z listu tego wyczytać można zasady, którymi kierował się Święty Założyciel przy zakładaniu swoich dzieł, a są nimi: stanowczość, konsekwencja w działaniu, gotowość do spełnienia zawsze woli Bożej. Oto jak pisze:

Drogi księżę Ronchail! Gdyśmy przyszedli na bal, to trzeba tańczyć do końca. Trzeba więc pomyśleć o rozwiązaniu dalszych trudności, jakie napotyka nasz zakład św. Piotra. Jeśli nasz zacny notariusz, p. Sajetto, zdoła uzyskać pożyczkę 60 tys. franków dla nas, to my postaramy się o 30 tys. - i tak spłacimy całą należność za wilłę. A zatem: Powiedz adwokatowi Michel i baronowi Heraud, aby ubique terrarum szukali pieniędzy, a dodając ziarnko do ziarnka, to znaczy grosz do grosza, zwrócili się do /tu wylicza Ksiądz Bosko cały szereg osób, do których by wypadało zapukać i tak list kończy/. Pan Bóg chce, byśmy przyłożyli rękę do tego dzieła i nie wolno nam zatrzymywać się bez sprzeciwiania się Jego świętej woli. Ale możemy być spokojni o dobry wynik sprawy, bylebyśmy tylko wiernie współpracowali z Opatrznością. Oczywiście, że i diabeł włoży tu swój ogon, ale postaramy się mu go odciąć. Będzie dobrze powiadomić o tych rzeczach również biskupa, o nic go jednak nie prosząc. Pozdrowienie dla wszystkich etc. /List ten jest bez daty/.

Nie upłynęło dużo czasu, a ks. Ronchail znowu zwracał się do swego przełożonego i to w bardzo delikatnej sprawie, która zakłócała spokój w całej nieomal diecezji. Chodziło o sławne sanktuarium, miejsce licznych pielgrzymek, które nazywało się Laghetto. Przed rewolucją francuską należało do Karmelitów bosych. Wypędzeni w czasie rewolucji stamtąd, wrócili ci zakonnicy do swojej siedziby po uspokojeniu się kraju. Ale kościół i konwent pozostawały własnością państwa na podstawie rewolucyjnych praw o konfiskacie dóbr kościelnych. Rząd gotów był to sprzedać i Karmelici chcieli odkupić, ale Kapituła w Nizza oparła się, przelicytowała i nabyła obiekt, naznaczając tam kapłana diecezjalnego. Ten wprowadził się do konwentu mimo protestu ze strony Karmelitów. W tym stanie rzeczy zwrócił się biskup do Księdza Bosko. Ten oczywiście nie spieszył się z przyjęciem, gdyż sprawa była zbyt zaogniona. I duchowni i świeccy podzielili się na dwa stronnictwa: jedni za Karmelitami, drudzy za Kapitułą. Między tymi dwoma obozami znalazł się biedny ks. Ronchail, który zakłopotany tak pisze do Turynu: W tych sprawach pragnę być neutralny. A muszę zachować największą ostrożność, by się nikomu nie narazić, bo wszystkich potrzebuję. Jestem zewsząd śledzony i nie mogę nawet składać wizyt za dnia, gdyż podglądają mnie, chcąc wywnioskować, do jakiej partii należę, dlatego zmuszony jestem wychodzić nocą. Debatuje się o tym już nawet w parlamencie i nie wiadomo, jak się to wszystko zakończy.

Także i członkowie Konferencji św. Wincentego dzielą się na dwa stronnictwa. Ciągłe muszę lawirować, by się nikomu nie narazić. Na list ten Ksiądz Bosko odpowiada mu z Rzymu: Otrzymałem twój list i odpisuję na niego z wiecznego miasta, gdzie jestem od paru dni. Cieszy mnie, że pan Audoli krząta się w sprawie naszego hospicjum. Okaż mu wszelkie możliwe względy, by niczym nie krępowany, zaopatrzone był we wszystko, czego mu potrzeba. Pozdrów go serdecznie ode mnie i zapewnij, że pamiętam o nim, zwłaszcza we Mszy św., jak o moim przyjacielu i bracie, a gdy będę na audyencji u Ojca świętego, poproszę dla niego o szczególniejsze błogosławieństwo. Co natomiast dotyczy naszego budynku Gautier, to aprobuję, co

przedsięwzięć. Zabiegaj nadal o zebranie potrzebnej sumy przy podpisaniu kontraktu. A my tu sporządzimy listę dobrodziejów, którzy złożyli ofiary na ten cel. Na pierwszym miejscu umieścimy p. Heraud i adwokata Michel. Dopóki będzie istniał ten zakład, będzie się o nich pamiętało w modlitwach rannych i wieczornych.

Sprawa Laghetto, jak widać, staje się coraz bardziej zawiła. Oto kilka wskazań do twojej normy: 1. z nikim nie rozmawiaj o tym; 2. gdy zejdzie rozmowa na ten temat, udawaj, że się nie orientujesz lub, że w ogóle ciebie to nie interesuje; 3. gdy zajdzie potrzeba wypowiedzenia się, to najlepiej będzie powiedzieć: nie czytam gazet; życzę wszystkim dobrze; zależy mi na pomocy wszystkich; nie jestem kompetentny w tych sprawach. Gdy władze kościelne w tej rzeczy się wypowiedzą, to ja zgodzę się na to całkowicie itd. Powiedz księdzu proboszczowi z Villa Franca, że dziękuję mu za życzliwe ustosunkowanie się do naszych potrzeb. Myślę, że będzie zadowolony z uzyskanych dla niego łask duchowych, które mu wkrótce nadeślę. Proszę jednak o dalsze „cegiełki” na zakup willi Gautier. Co do Pereta, należałoby dobrze sprecyzować, o co mu właściwie chodzi i na sprawozdaniu miesięcznym zapytać, co do tych wątpliwości, jakie masz. Jeśli zaprzeczy, możesz poprzestać na tym, a potem zobaczymy. Po audiencji u Ojca świętego napiszę ci ponownie. Pozdrów mych drogich wychowanków i swoją mamusię etc.

Rzym, 12.04.1876 r.

PS. Czy Rabagliati grywa? Peracchio i stolarz Ronchail - czy wstępują do Zgromadzenia?

Ks. Cartier, który długi czas przebywał w Nizy, utrzymuje, że odmowa Księdza Bosko przyjęcia peir Laghetto, umożliwiła powrót OO Karmelitów do swej własności, a stosunki ich z Kurią diecezjalną stopniowo się poprawiły. Ale w roku 1901, na mocy nowego prawa znów zostali stamtąd przepędzeni.

Stosownie do obietnicy danej w poprzednim liście, Ksiądz Bosko pisze znowu z Rzymu do księdza Ronchaila: Dobrze tak wszystko, jak urządziłeś. Powiadom naszych dobrodziejów o szczególnym dla błogosławieństwie Ojca świętego i że niektórym z nich przyznane będą szczególniejsze łaski i przywileje, jakie nadejdą później. Napisz do Barale /księgarz w Oratorium/, by ci posłał 50 egzemplarzy naszego modlitewnika po francusku, w ozdobnej oprawie jako podarunek dla dobrodziejów. Każ również wydrukować bileciki według wzoru załączonego, które włożysz do każdej książki przy pierwszej stronicy. Są przeznaczone dla pań kolektorek i dobrodziejów. Przyjmij patronat św. Alojzego i zażądaj z Turynu, co ci będzie potrzebne. Szczególniejsze pozdrowienia etc.

Dnia 22.04.1876 r.

PS. Czas podpisania kontraktu się zbliża miej, więc w pogotowiu pieniądze. Staraj się również o swoje zdrowie.

Na razie tyle na temat Nizy. Załączamy tu jeszcze własnoręcznie napisany bilecik przez Księdza Bosko, zawierający pięć norm praktycznych w zarządzaniu zakładem. Jest on bez daty i bez adresu. Czytamy w nim, że: „Konieczne jest potrzebne:

1. Miesięczne sprawozdanie;
2. Co tydzień przeczytać część Reguł, względnie uchwał na kapitule;
3. Odpowiedni rozdział urzędów. Prefekt powinien być odpowiedzialny za karność i za refektarz;
4. Konieczny jest ceremoniarz dla wielkiego i małego kleru;
5. Niech każdy prowadzi szkołę, jak umie najlepiej.

Następnie Ksiądz Bosko przeprowadził krótką wizytację w Ventimiglia, skąd pisząc do księdza Rua o terminie swego przyjazdu do Oratorium, załącza bilecik do księdza Lemoyne. Ten zgłosił się na misje do Argentyny, podobnie jak i ks. Francesia. Sympatyczna jest odpowiedź, jaką dał Ksiądz Bosko temu ostatniemu, spotykając go przygodnie:

Wiesz, co? Czytałem twoją piękną poezję w ostatnim liście... Podobnie w żartobliwym tonie utrzymany jest bilecik do księdza Lemoyne: Drogi księżu! Otrzymał list od ciebie, zaraz posłałem specjalne błogosławieństwo dla chłopca Martino, który może już w tej chwili przeniósł się do wieczności. Fiat voluntas Tua.

Skoro tylko z Argentyny zasygnalizują, że im potrzeba dzielnego poety, natychmiast twoja czcigodna osoba pójdzie w ruch. Serdeczne pozdrowienia dla naszych drogich chłopców. Powiedz im, że nawet we Francji o nich nie zapominam. Również niech oni pamiętają pomodlić się za biednego ks. Bosko etc.

PS. Nabyliśmy wspaniały gmach w Nizza, którego koszt wynosi bagatela: 100 tysięcy franków tylko. Przygotuj, więc forszę.

Z Ventimiglia udał się Ksiądz Bosko do Vallecrosia, gdzie naocznie stwierdził nie tylko potrzebę, ale wprost konieczność wybudowania nowego kościoła i zakładu. Liczba uczniów rosła z dnia na dzień. Biedne siostry, by zadowolić i dziewczęta, zgodziły się uczyć wieczorem - starsze już panny - czytania i pisanie oraz zajęć gospodarczych kobiecych.

Także do Salezjanów chłopcy garnęli się ochotnie. Trzeba było pomyśleć o zwiększeniu liczby personelu. Ks. Dyrektor Cibrario cieszył się ogólnym poważaniem. Sam biskup wielce go cenił i stawiał za wzór swoim kapłanom. Trzech było tam wszystkich salezjanów, a musieli pracować za ośmiu. Zresztą zwykły to był sposób postępowania Księdza Bosko, który nie rozporządzając większą ilością współbraci, na zapoczątkowanie jakiegoś domu posyłał nieraz paru tylko, ale gorliwych. Ci zdani na własne siły z pomocą Bożą kładli jednak solidne fundamenty pod przyszły rozwój danej placówki.

Wszyscy obywatele tego miasteczka pragnęli poznać osobiście Księdza Bosko. Nie mniej zainteresowani byli i tamtejsi protestanci. On znowu nie spieszył się zbyt, by się tam pokazać. Zakład stał przy ulicy bardzo uczęszczanej, gdzie ruch panował nieustanny od rana do wieczora. Wolał więc zajechać na miejsce w powozie krytym i również tak wyjechał przez nikogo nie zauważony, by nie drażnić niepotrzebnie heretyków. Odjechał przekonany, że jego salezjanie zdołają wyrwać tamtą miejscowość ze szpon protestanckich, gdyż widział, jaką sympatią darzyła ludność ich pracę.

Wobec tego polecił, po swoim powrocie do Turynu, księdzu Ghivarello przygotować plany dalszej rozbudowy. Projektowało się wzniesienie kościoła o skromnych raczej rozmiarach wraz z budynkiem mieszkalnym dla salezjanów i szkołą dla chłopców, z jednej strony; a z drugiej - takiejże budowli dla siostr. Budynki miały być dwupiętrowe. Na piętrze - sypialnie i pokoje prywatne; na parterze klasy, jadalnia i kuchnia. Wejście nie od ulicy, lecz z boku na przeciw „kirchy” protestanckiej.

O Księżu Bosko - przerwał w tym punkcie ks. Barberis, obecny przy omawianiu projektu. Widać, że Ksiądz lubi bardzo protestantów. Tu w Turynie koniecznie się chce usadowić w pobliżu nich. Brakuje jeszcze, żeby i w Pinerolo wszedł z nimi w komitywę.

Tak, tak - odrzekł Ksiądz Bosko - oto właśnie chodzi, by dotrzymać im kroku. A tak się składa, że obecnie w Rzymie wystawia się na sprzedaż kościół protestancki i już dałem zlecenie do wykupienia go na naszą własność.

I rzeczywiście protestanci w Rzymie budowali wtedy kościół, lecz w trakcie tego wybuchły spory między nimi i prace zawieszono.

O pobycie księdza Bosko we Vallecrosia jest wzmianka w liście pisanym do ks. Cagliero z Varazze : Drogi ks. Cagliero! Wysyłając stąd plik listów i ja dorzucam parę słów. Wizytuję obecnie domy na Riwierze i stwierdzam ich bardzo piękny rozwój. Dom w pobliżu Bordighera najlepiej prosperuje. Wydarto tam już protestantom około 200 chłopców i dziewcząt. Od dwóch niedziel uczęszczają do nich co 4 osoby. Ogół ludności przychodzi do księdza Cibrario. Cały gniew heretyków kieruje się przeciw Księdzu Bosko, jako mścicielowi sumień ludzkich. Ostatecznie mają racje... Może nim otrzymasz ten list, zdążyłeś już wysłać odpowiedź na poprzednie. W każdym razie daj mi znać, co tam u was słychać. W kwietniu wyjadę do Rzymu. Wtedy zdołam może coś uzyskać dla księdza Ceccarelli. Stamtąd ci napiszę. Kochaj mnie w Panu etc. Varazze, dnia 12.03.1876 r.

O pobycie Księdza Bosko we Varazze świadczy jego list pisany do ks. Barberisa. Ten kończył właśnie książkę pt. „Dzieje Wschodu i Grecji”, którą polecił mu pisać sam Ksiądz Bosko i naglił o jej dokończenie. Drogi księżu Barberis!, dobrze, że już kilka zeszytów zapisałeś. Wyślij je, zatem do p. Lanfranchi, z którym pozostajemy w kontakcie. Po ukończeniu wyślesz następne. W międzyczasie już

można rozpocząć druk. Bardzo dobrze, żeś przyjął wygłoszenie rekolekcji, no ale... Co do Chiary - powiedz księdzu Rua, by polecił zrobić, co najpilniejsze. Co do Veronesi i Soldi - dobrze, niech będzie, ale jeszcze o tym pomówimy. Pozdrów Pioton, Giovanetti i innych, którzy mi pisali, a których listy czytałem z prawdziwą przyjemnością. Messis nostra crescit de die in diem et centuplicatur. Perfice operarios sanctos atque stranos. Niech Bóg błogosławi tobie, twoim kandydatom, a moim drogim synom. Pozdrów księdza Guanellę i Antoniego Bruno kucharza. Módlcie się za mnie etc. Alassio, dnia 05.03.1876 r.

Pomijając rzeczy, o których była, kiedy indziej mowa, zamieszczamy dosłowny cytat wyjęty z kroniki Oratorium, wzmiankującej o tym, co się w nim działo podczas nieobecności Księdza Bosko: „Gdy Ksiądz Bosko zmuszony był na jakiś czas oddalić się z Turynu, to i z dala ciągle myślał o swoich, pamiętał o wszystkim, kierował biegiem spraw. Pisywał bardzo często o rzeczach ogólnych - do księdza Rua; do księdza Barberisa - w sprawach nowicjatu; do księdza Durando - w sprawie Synów Maryi Wspomożycielki. W listach wymienia tyle osób, jakby tylko o nich miał do myślenia. Nie zapominając przy tym i o dobrodziejach, którym posyła swoje ukłony”. Dotąd kronika.

Niestety kroniki innych zakładów o wizytacjach Księdza Bosko w tym roku w Ligurii - milczą. Spróbujemy zapłacić tę lukę „słówkiem wieczornym” Księdza Bosko w Oratorium, w którym wspomina o swej podróży. Było to w trzeci dzień po jego powrocie do domu macierzystego. Gdy tylko pokazał się we drzwiach, gdzie byli zebrani chłopcy po modlitwach, zahuczało od entuzjastycznych oklasków.

Buona sera, buona sera - odpowiadał na nie z uśmiechem.

Grazie, grazie - zawołali wszyscy z jeszcze głośniejszym aplauzem.

Było zwyczajem w Oratorium, że na początku słówka, nawet, gdy przemawiał Ksiądz Bosko, chłopcy znosili na katedrę znalezione rzeczy, by poszkodowani mogli podjąć swoją zgubę. Tym razem jakiś chłopiec podał mu ołówek czerwony.

Czerwony ołówek - ogłosił Ksiądz Bosko. Żądam za niego, co najmniej trzy liry. Kto kupuje? Gdy się wyśmiali dowoli, tak dalej, mówił:

Moi drodzy synowie, w tych dniach zwiedziłem nasze zakłady w Ligurii. Praca idzie tam rzeczywiście pięknie. Brak tylko personelu. Gdzie się zwrócę, wszędzie proszą o pomoc. A wtedy pomyślałem sobie : gdyby tak wszyscy nasi chłopcy z Oratorium byli już księżmi, to doprawdy dla wszystkich znalazłoby się zajęcie. Wierzcie mi, moi drodzy, prawdziwie nie byłbym w kłopotcie jak was zatrudnić. Tak Bóg błogosławi nasze wysiłki.

Widzieliście, że niespełna miesiąc temu wyjeżdżali z Oratorium ks. Cibrario, kleryk Cerruti, koadiutor Martino - do Bordighera, miejscowości, którą obsiedli protestanci. Trzy osoby, a właściwie dwie: ksiądz i kleryk - cóż tam zrobią? Zaledwie od dwóch tygodni rozpoczęli uczyć w szkole, gdy ich odwiedziłem. I co tam zastałem?

Około 100 dziewczynek uczęszcza do szkoły naszych sióstr i tyleż prawie chłopców do kleryka Cerrutiego na naukę katechizmu. Te wszystkie dzieci dawniej uczęszczały do szkoły protestanckiej a inne nie uczyły się niczego, bo szkoły katolickiej nie było. A w niedzielę chodziły niestety na nabożeństwo protestanckie. A teraz, gdy został otwarty nasz kościół, od dwóch już niedziel pastor protestancki zmuszony jest przemawiać zaledwie do 4 osób, pomstując na Księdza Bosko i jego księży, gdyż - według nich - salezianie są przyczyną pustoszejącego coraz bardziej ich zakładu. A jeśli tak dalej im pójdzie, to mam nadzieję, że zbankrutują i odejdą, skąd przyszedli. Otóż widzicie, co może dziać dwóch, albo trzech pracowników ewangelicznych, ale gorliwych. Pomyśleć, co by się stało, gdyby nie nasz kościół i szkoła. Wszak niewiele by brakło a całe rodziny przeszły by na protestantyzm. A wtedy, gdy heretycy usadowiliby się na dobre, to trudno by było ich stamtąd wykurzyć. Obecnie trzeba naszym posłać jakąś pomoc, bo kleryk Cerruti sam nie zdoła obsłużyć szkoły. A gdy zwiększa się robota, trzeba zwiększyć personel.

Dzielę się z wami, moi drodzy, tymi wiadomościami, by was zachęcić do pracy nad sobą, gdyż chciałbym widzieć z was jak najwięcej księży i to jak najprędzej. Powiem wam jeszcze coś, co widziałem w czasie swojego pobytu nad morzem. Otóż w owych dniach szalał tam, coś przez 5 dni, silny sztorm. Czegoś podobnego nie widziałem dotąd. Wyobraźcie sobie, że stoicie na brzegu morskim, a przed wami piętrzą się bałwany, wysokie jak nasz, do, które opadają to wydymają się tworząc puste leje. Szalejące morze szumi strasznie, wyrzucając wysoko fontanny spienionej wody. Wyobrażam sobie, że gdyby znalazł się między tymi falami jakiś okręt, to zostałby ciśnięty w powietrze tak wysoko, że marynarze mieliby czas umrzeć po drodze /ogólna wesołość/. Lecz statku żadnego nie było na morzu, a tylko ryk nieustanny kłębiących się fal wypełniał powietrze. Stałem na brzegu, jakieś 300 metrów od morza, cofając się, co chwila przed napierającym żywiołem, by nie być obryzganym.

Obserwując to zjawisko, podziwiałem wszechmoc Boga, która jednym słowem zdolna by była uspokoić te odmęty, czy wzburzyć je nowo. Niechby nasi władcy, senatorowie i posłowie pokazali wobec tego, jak daleko ich władza sięga nad żywiołami. Gdy tak obserwowałem ten sztorm, przyszło mi na myśl, że to obraz chłopca, znajdującego się w stanie grzechu. Taki nie ma nigdy spokoju. Chłopiec dobry jest pogodny, gdyż sumienie nic mu nie wyrzuca. Ale kto żyje w grzechu ciężkim, miota się zawsze niespokojny: raz jak fala unosi się pychą, to znów opada, poddając się przygnębieniu. Poprosić go o jakąś przysługę, odpowie zbywająco.

Upomniany zachowa się arogancko. Widzicie go na rekreacji jakby przygniecionego. Jego wesołość nie jest szczerą. Chętnie oddala się od drugich i przechadza samotnie. Zaproszony do gry wzrusza ramionami. I uczyć się nie może, bo sumienie wciąż mu wyrzuca: jesteś nieprzyjacielem Boga. W kościele nie czuje

pociągu do modlitwy, bo nie ma nadziei, że Bóg go wysłucha. A głos wewnętrzny mu stale powtarza: Nie jesteś w przyjaźni z Bogiem. Czasem próbuje stłumić ten głos, zachowując się zbyt hałaśliwie, śmiejąc się nienaturalnie, dogadzając sobie w jedzeniu. Lecz głos wciąż się odzywa: A gdybyś jedząc, umarł, dokąd by poszła twoja dusza? Gdzie ciemno, boi się przechodzić; idąc spać, nie może zasnąć i w łóżku wraca natrętna myśl: a jeśli już nie wstaniesz... jeśli umrzesz tej nocy?... Myśli, że jego łóżkiem w piekle będą ogniste węgle, napawa go to trwogą. Powieki nie chcą się kleić. Gdy wreszcie zasypia, w strasznych snach ogląda szatanów, czyhających na jego duszę - i budzi się, i znów ten sam głos wewnętrzny: tej nocy umrzesz - a wtedy co? Czyż to nieprawdziwa burza w sercu takiego chłopca? Sprawdzają się na nim słowa Pisma świętego: „Nie ma pokoju dla bezbożnych”.

Mieście to na uwadze, jeśli chcecie żyć wesoło i spokojnie. Owszem, jeśli pragniecie żyć długo, zachowajcie się w łasce Bożej i trwajcie w niej. Grzech to sprowadził śmierć na ludzi: „Stimulus mortis peccatum”. I Duch Święty gdzie indziej przestrzega, że bezbożni nie osiągną połowy dni swoich.

Mówiąc o tym, chciałem was pobudzić do gorliwego starania się o czystość sumienia i tak byście zostali kapłanami z prawdziwym powołaniem. Odwagi - polećmy się wszyscy świętemu Józefowi w czasie tej nowenny, prosząc go o łaskę spokojnego i długiego życia w przyjaźni z Bogiem.

Z dniem 29 lutego kończył się karnawał i zaczynał post. W czasie karnawału były przedstawienia; w poście katechizacja. Wśród okolicznościowych rozrywek kronika wspomina o akademii urządzonej dla dobrodziejów Oratorium, w dniu 17 lutego. Wśród innych był tam i dziennikarz, teolog Margotti, redaktor Unita Cattolica. Przybyli też alumni z Valsalice. Odegrano sztukę pt. „Perła ukryta” kardynała Wisemana z muzyką w antraktach. Przedstawienie podobało się wszystkim. Aktorzy grali doskonale.

Warto tu zatrzymać się nad tym, jak Ksiądz Bosko w ogóle zapatrywał się na teatrzyk młodzieżowy oraz jaką mu rolę wyznacza w swym systemie wychowawczym. Otóż kładł wielki nacisk, by aktorzy w czasie prób byli dobrze asystowani; nie godził się nigdy, by dostawali jedzenie osobno od innych. Co do rodzaju sztuk, to pragnął, by były proste, krótkie i by im nic nie można zarzucić pod względem moralnym. Pochwalał wieczorki literackie, przeplatane deklamacjami i muzyką. Pewnie, że nie łatwo o repertuar sztuk dostosowanych dla naszych zakładów. Utrzymywał, więc, że mając w zapasie jakieś dziesięć numerów, która to liczba zresztą z biegiem czasu będzie wzrastała, starczy to na parę lat. Utwory lubiane przez młodzież, można powtórzyć kilka razy w ciągu tego samego sezonu. Oczywiście, że zdarzy się, iż niektóre sztuki „nie biorą” młodej publiki. Lecz kiedy? Wtedy, kiedy rzecz jest albo źle przygotowana i lichy grana, albo też, kiedy chłopcom zepsuło się smak przez sztuki wybredne. Dialogi i deklamacje nie wnoszą zbyt wiele urozmaicenia, ale mogą stać się interesujące przez odpowiednią inscenizację i stroje aktorów. Z początkiem

lutego ks. Paglia zainterpelował Księdza Bosko, czy klerycy mogliby wystawić na scenie Kajusa Grakusa, którą to sztukę przerabiali w klasie. Mieli ją grać w sutannach w celu ćwiczenia się w deklamacji i inscenizacji. Święty nie zgodził się między innymi i dlatego, że uważał za niestosowne, by na scenie w stroju duchownym recytowano role żeńskie; nadto ujemne wrażenie wywołałoby, że klerycy występują na scenę ze swoim Kajusem Grakusem, sztuką pogańską, która do tego kończyła się samobójstwem, podczas, gdy w owych dniach wychowankowie grali dramat o świętym Aleksym. Zresztą w ogóle nie jest według jego myśli, by klerycy występowali na scenie przed publiką. Na pewno Arcybiskup - dodał znacząco Ksiądz Bosko - jeszcze tego samego wieczora nie omieszkałby napisać do Rzymu, co zaszło w Oratorium.

Zastrzeżenia, co do występowania kleryków na scenie, odnosiły się tylko do zakładów młodzieżowych, a nie gdzie byli sami klerycy, którym bez trudności na wystawianie sztuk pozwalał w swoim gronie.

W tym roku – 1876, nowością było, że po raz pierwszy wystawiali dramat rzemieślnicy, pt. „ Casa della fortuna” i farsę "Oca". Popisali się znakomicie, także odtąd ich zespół już stale się produkował.

Na przedstawienia teatralne posługiwano się salą wielkiego studium. Przedstawienia nie zawsze odbywały się o tej samej godzinie. Ale gdy nie było zaproszonych gości, zaczynały się o godzinie 6.00 wieczorem. Pół godziny przedtem zbierali się po swoich klasach wychowankowie, następnie w rzędach udawali się do zaimprovizowanej na teatr sali. Na 9.00 było wszystko skończone, po czym następowała wieczerza, rekreacja, modlitwy i spoczynek.

Na tych przedstawieniach sala była zawsze zatłoczona i groziła nawet zawaleniem. Ksiądz Bosko kazał więc ją mocno podstępować, byle tylko teatrzyki mogły się nadal odbywać.

Myślę, że czytelnicy radzi dowiedzą się, co sądzili o podobnych imprezach najbliżsi współpracownicy Księdza Bosko i powiernicy jego idei. Czytamy o tym w kronice ks. Barberisa, pod datą 17 lutego, którego wywody można ująć w następujące punkty: Teatrzyk pozostawiony na odpowiednim poziomie, co do treści i gry aktorów :

1. Jest szkołą moralności, życia towarzyskiego i nawet świętości;
2. Rozwija umysłowo i wyrabia pewność siebie u młodych aktorów;
3. Rozwesela młodzież i absorbuje jej uwagę na wiele dni przedtem i potem. Miłe przeżycia w teatrzyku zadecydowały u niektórych o ich powołaniu;
4. Ściąga do naszych zakładów nowy narybek, gdyż w czasie wakacji wychowankowie opowiadając swoje miłe przeżycia w zakładzie, tym samym pociągają do niego swych kolegów.

Szczególną troską Księdza Bosko, tego wielkiego i świętego wychowawcy, byłoby umysłem i wyobraźni młodzieży podawać urozmaiconą strawę, odwracając ich zainteresowania ku rzeczom wielkim i świętym. Podobnie jak przedstawienia

teatralne, zmierzały do tego, uroczystości kościelne i różne obchody, które urządzał z wielką okazałością w nastroju radosnym, w niezbyt długich odstępach czasu. Chodziło o to, aby przemijające wrażenia jednej uroczystości zastąpione były zaraz oczekiwaniem nowych przeżyć.

W tym także celu urozmaicał swoje przemówienie opowiadaniem wypadków i zdarzeń interesujących, tajemniczych snów. Kiedy indziej budził zainteresowania nadchodzącymi egzaminami. Tematy do słówek wieczornych czerpał z aktualnych przeżyć mieszkańców Oratorium. A od chwili, gdy misjonarze rozpoczęli swą pracę za oceanem, ich listy były niewyczerpaną kopalnią różnych wiadomości i anegdotek sensacyjnych, o których mówiło się potem całymi dniami. W rozmowach ze starszymi uczniami posługiwał się Ksiądz Bosko bogatym zasobem swych wiadomości z literatury, naświetlając różne dzieła tak, by w umysłach młodzieńczych osłabić to, co mogłoby im zaszkodzić.

Innym bardzo miłym czynnikiem, utrzymującym pogodny nastrój w życiu zakładowym, była muzyka i śpiew dla tych, którzy byli do tego zdolni. Nasi kompozytorzy, z księdzem Cagliero i Doglianim na czele, pisząc nieraz doprawdy świetne kompozycje muzyczne, napełniali Oratorium odgłosem trąb i śpiewem. Kapela złożona z uczniów szkół zawodowych, robiła furory; ale był także okres, kiedy mocno kaprysiła ku wielkiej przykrości Księdza Bosko, który był zmuszony chwilowo ten zespół rozwiązać i wyeliminować elementy wicherzące. Zorganizowana od nowa funkcjonowała nadal ku ogólnemu zadowoleniu, jak już o tym była poprzednio mowa. W tym roku mistrz Dogliani rozpoczął także dawać lekcje gry na pianinie pewnej grupie wychowanków. Krótko mówiąc, chodziło zawsze o to temu przewidującemu wychowawcy, aby w Oratorium było jak najmniej dni szarych, monotonnych, które szczególnie sprzyjają rozluźnieniu karności i ogólnej apatii do wszystkiego. Szczególną troską otaczani byli zawsze uczniowie klas wyższych. Wszak wiadomo, iż jeśli duch niezadowolenia i krytyki ogarnie klasy najstarsze, to już wtedy ani prośby, ani groźby nie przeszkodzą rozszerzaniu się niezadowolenia na cały dom. Stąd też Ksiądz Bosko często rozmawiał z księdzem Piotrem Guidazio, wychowawcą klasy najstarszej, od którego chciał mieć dokładne informacje o każdym uczniu. Podawał mu wtedy różne wskazówki, jak na nich wpływać i jak budzić powołania do Zgromadzenia. Od roku 1869 weszło w zwyczaj, iż wzorowi uczniowie z klasy piątej, wyróżniający się sprawowaniem i pilnością, w nagrodę zasiadali, co niedziela, w jadalni przełożonych. Księdzu Bosko bardzo się to podobało i podtrzymywał ten zwyczaj, nawet pomimo pewnych sprzeciwów. Ci chłopcy jednak nie byli sadzani tuż obok Księdza Bosko. Miało to miejsce tylko we czwartek, kiedy wybranych dwunastu „apostołów” po ceremonii obmywania nóg, w czasie wieczerzy zasiadali wszyscy tuż przy Księdzu Bosko. Po kolacji zaś podchodzili do niego, by mu podziękować i przy tej okazji usłyszeli zwykle kilka serdecznych, ojcowskich słów, dotyczących ich przyszłości. Podobne przeżycie na długo utkwilo w pamięci tych szczęśliwców.

Wspomnieliśmy o katechizacji w czasie Wielkiego Postu. Gimnazjaliści mieli katechizm dwa razy w tygodniu i w niedzielę, a z końcem semestr zdawali z niego pierwszy egzamin, który odbywał się uroczyście wobec zaproszonych z miasta wybitniejszych duchownych, z proboszczem miejscowym na czele.

Specjalny kurs katechizmowy urządzano dla młodzieży robotniczej; prowadzili go z zapalem klerycy z Oratorium. Wykłady odbywały się dla większej wygody tej młodzieży o godzinie 8 wieczorem. Frekwencja nie zawodziła. Cieszyli się wszyscy widząc około 200 młodzieńców, przybywających wprost z warsztatów, umorusanych jeszcze, w bluzach roboczych, którzy po krótkiej rozrywce już wraz ze swoim katechetą, udawali się do kościoła na 3 – kwadransowe wykłady katechizmu.

Koroną tych wykładów były 3 - dniowe rekolekcje, jako najbliższe przygotowanie do spowiedzi wielkanocnej. Ksiądz Bosko nie szczędził na to wszystko ani wydatków, ani trudu, zdając sobie sprawę z ważności wychowania religijnego młodzieży, z tej warstwy społeczeństwa. W tym roku - 1876, jakaś sześćdziesiątka została przygotowana do bierzmowania, które otrzymali w katedrze. Byli to chłopcy od 12 do 14 lat, pracujący przy różnych majstrach w dzielnicy Valdocco. Niektórzy z nich dopiero wtedy przystąpili po raz pierwszy do spowiedzi. Podpadało wszystkim ich pobożne zachowanie się, czy w czasie ćwiczeń rekolekcyjnych, czy bierzmowania.

Najbardziej uroczystym świętem w tym okresie roku szkolnego był dzień świętego Józefa, poprzedzony całomiesięcznym przygotowaniem. Zwyczaj ten nie był wtedy jeszcze ogólnie przyjęty, a Ksiądz Bosko wprowadził go na razie głównie dla rzemieślników, którzy powoli z tym nabożeństwem się oswoili. Do nich przyłączyli się również i uczniowie gimnazjum. Liczba Komunii świętych rano zwiększała się z dnia na dzień; wieczorem na błogosławieństwie śpiewano „Te Joseph celebrant”, poprzedzone odpowiednią lekturą o świętym Patriarsze. W owych dniach szczególnie nawiedzany był w czasie rekreacji podwieczorkowej ołtarz tego Świętego przez gimnazjalistów, gdyż rzemieślnicy czynili to raczej po wieczery, zresztą bez żadnego nacisku z góry. Wszystko to przygotowywało umysły do triduum, kiedy to już było i kazanie i uroczyste śpiewy. W ostatnim dniu triduum tak odezwał się Ksiądz Bosko do swoich księży: Mamy namacalne dowody, że św. Józef doprawdy jest z nas zadowolony, gdyż w czasie tej nowenny na nasz dom sprosił obfite błogosławieństwa. Kilku otrzymało nadzwyczajne łaski, uciekając się do Najświętszej Maryi Wspomożycielki przez przyczynę świętego Józefa. Działo się to w moim pokoju. Nasze finanse były w stanie opłakanym. A w tym właśnie tygodniu otrzymałem poważne zapomogi. Mało pamiętam takich tygodni, gdyby jeszcze nastąpiły dwa lub trzy takie, to splącalibyśmy prawie wszystkie nasze długi. Codziennie wpływał tysiączek lirów, albo i więcej.

W samej uroczystości oczywiście prym wiedli rzemieślnicy. W przeddzień odbyło się ich plenarne zebranie, które nazwano konferencją. Na niej miały się odbyć wpisy nowych członków do Towarzystwa św. Józefa. Program oprócz okolicznościowego przemówienia wypełniły deklamacje, muzyka i śpiewy. W sam

dzień święta śpiewacy wykonali mszę okolicznościową, skomponowaną przez początkującego muzyka Giovanni Pelazzo, byłego wychowanka Oratorium.

Na wieczornym nabożeństwie odśpiewano „Tantum ergo” Doglianiego. Oczywiście sam przebieg uroczystości jak i utwory, w czasie niej wykonane interesowały wszystkich i przez szereg dni były komentowane. Zakończeniem uroczystości była akademie w pierwszej części poświęcona uczczeniu świętego Patriarchy, a w drugiej przemieniał się w hołd wdzięczności dla dyrektora rzemieślników księdza Józefa Lazzero. Pokazał się wtedy na scenie wielki napis: „Viva Don Giuseppe Lazzero, D. Bologna, D. Bertello, Buzzetti, Dogliani; viva tutti Giuseppe”. Pod napisem zasiedli solenizanci mając w środku dyrektora rzemieślników - ks. Lazzero. Nastąpiły okolicznościowo śpiewy i serdeczne wypowiedzi w hołdzie dla ukochanego swego przełożonego. A oto jak komentuje to uroczystość kronikarz Oratorium: „... Przekonałem się o dwóch rzeczach, a mianowicie, że podobne akademie dobrze przygotowane, udają się rzeczywiście pięknie i sprawiają wiele dobrego w duszach młodzieży; a dalej ostatnia akademie wykazała wielki postęp rzemieślników w Oratorium. Dawniej nie zdobyliby się nawet na to, ażeby publicznie odczytać modlitwę do św. Józefa, tym mniej, by przed jego statua uklęknąć, a to właśnie oglądaliśmy w czasie ostatniej akademie. By zrozumieć tę uwagę, trzeba uświadomić sobie, że pomiędzy rzemieślnikami był cały szereg podrostków wziętych wprost z ulicy, którzy pozostawali bez żadnej opieki, bez żadnego wykształcenia religijnego.

Dla podkreślenia tej uroczystości Ksiądz Bosko osobiście jakby uhonorował ją specjalną konferencją, na którą zaprosił oprócz współbraci i nowicjuszków, także aspirantów, Synów Maryi oraz starszych gimnazjalistów. Jego konferencje były zawsze sensacją dnia.

Zebrało się wszystkich 205. Jako temat przemówienia wziął Święty tekst ewangeliczny: „Messis quidem multa, operarii autem pauci”. O tym przemówieniu tak pisze ks. Barberis: Ksiądz Bosko przemawiał bardzo prosto, ale z wielkim zapałem i patosem. Następstwem tego, że w dniach najbliższych zgłosiło się bardzo wielu kandydatów do Zgromadzenia, a jest nadzieje, że ich będzie jeszcze więcej. Przedziwna doprawdy jest zmyślność Księdza Bosko, który stale potrafi wynajdywać nowe chwytły, by zapoznać chłopców ze Zgromadzeniem i pociągnąć ich do niego. Warto tu zwrócić jeszcze uwagę na jeden szczegół. Ksiądz Bosko zwykle święta spędzał razem ze swoimi w Oratorium. Tym razem jednak poszedł do bursy „Artigianelli” na obiad, który to zakład również uroczysto obchodził święto Patriarchy Nowego Testamentu. Stosunki między tym zakładem, a Oratorium były zawsze bardzo serdeczne. Dyrektor jego Don Murialdo uważał się za ucznia Księdza Bosko. Dwóch Salezjanów, co sobotę chodziło tam spowiadać chłopców. Ksiądz Bosko był tam zapraszany już od kilku lat, ale zawsze wymawiał się. Tego roku jednak uznał za stosowne zaproszenie przyjąć. Ks. Murialdo był to bardzo świątobliwy kapłan. I on również pracował nad założeniem zgromadzenia zakonnego, którego

celem byłoby wychowanie opuszczonych młodocianych rzemieślników i nauczanie prostaczków katechizmu.

W ostatnich dniach marca Ksiądz Bosko miał trzy słówka wieczorne, które na szczęście dochowały się do naszych czasów. Pierwsze miał 26 tego miesiąca do studentów i większej części współbraci. Kiedy po modlitwach zjawiły się pomiędzy nimi, został przyjęty okrzykami radości. Jeden chłopak podszedł do Niego, podając mu dwa soldy, które znalazł na podwórzu. Kiedy wszyscy się ucieszyli, Święty ogłosił tę wielką zgubę, mówiąc żartobliwie: Oto 10 centesimów, zapłacimy nimi wszystkie długi Oratorium. Przyjęte to zostało ogólnym wybuchem śmiechu. Potem tak mówił dalej: No a teraz przejdźmy do naszych spraw. Przede wszystkim jutro po południu będzie dłuższa i piękna przechadzka /wybuch nowych okrzyków radości/. Należy się wam. W sobotę skończyliście rano egzaminy, a ponieważ padał deszcz, trzeba było przechadzkę popołudniową odłożyć. A jeśli nie będziecie się zanadto głośno dziwić, to powiem wam jeszcze jedną rzecz. Projektuje się ponadto wycieczkę o wiele większą. Chciałbym, ażebyśmy wszyscy bez wyjątku w niej wzięli udział, od najwyższych do najmniejszych, od Księdza Bosko począwszy, a kończąc na odźwiernym i na tym, co gotuje makarony - /ogólny śmiech/.

Oczywiście, pójdzie i kapela. Pojedzie specjalna platforma z różnymi dobrymi rzeczami: a wyruszymy w czas rano, o świcie i pójdziemy do Lanzo /nowe oklaski i okrzyki radości/. No, ale pozwólcie mi skończyć. Nie powiedziałem jeszcze rzeczy najważniejszej. Pójdziemy, więc z wizytą do zakładu w Lanzo i tam spędzimy cały dzień. Dyrektor tamtejszy, ks. Lemoyne zapewnia mnie, że zrobi wszystko, co możliwe, ażeby dzień ten upłynął nam wesoło, a brzęk talerzy i szklanek wytworzy miłą harmonię. Późnym wieczorem wrócimy do Turynu, et unusquisque redibit in locum suum. Ta wycieczka odbędzie się zaraz, jak tylko skończą budowę toru kolejowego /ogólny pomruk /. Ale jest nadzieja, że przy obecnym tempie wszystko będzie gotowe na połowę czerwca. Ta rozrywka, drodzy chłopcy, ma posłużyć, jako wytchnienie po trudach całego roku szkolnego. Ale to nie jest jej jedyny cel: och, nie! To co krzepi ciało, powinno tylko przyczyniać się do tego, aby ono było zdolniejsze pracować intensywniej na większą chwałę Bożą, a nie żeby miało nad duchem panować. Nie pozwalajcie nigdy na to i w ciągu tych dalszych dni postu nie zapominajcie o umartwieniu, naśladując św. Pawła, który pisze: „Castigo corpus meum et in servitute rewdigo. Ut spiritui inserviat”. Nie chodzi o surowe pokuty, czy długie posty, czy biczowanie się, jak to czyniło wielu świętych. Nie o to chodzi. Wasz organizm jest jeszcze za słaby i ucierpiałby z tego powodu. Jeżeli chcecie, bym wam podsunął sposób, jak się umartwiać stosownie do waszych warunków, zaraz to uczynię. Polega on na poście, który wszyscy możecie praktykować, a mianowicie, stojąc na straży waszego serca i waszych zmysłów. Każcie pościć diabłu, nie popełniając żadnego grzechu. Strzeżcie waszych zmysłów zewnętrznych. Niech poszczą wasze oczy. Przez nie to łatwo szatan wchodzi do duszy. Trzeba, więc je

zamknąć. A więc niech wzrok wasz nie zatrzymuje się nigdy na przedmiotach, obrazach lub fotografiach przeciwnych cnocie skromności. Inny sposób umartwiania oczu, to panować nad własną ciekawością, przenigdy nie czytać książek, które występują przeciw religii, względnie moralności, choćby tylko z daleka. Takie książki, jak wam już raz mówiłem, rzućcie do ognia, jeśli wam wpadną w ręce, by się tak nie zarazić nimi. Bardzo mi zależy, abyście się dostosowali do tego, co wam z takim naciskiem zalecam.

Jest również i umartwienie słuchu, kiedy odwracamy się od słuchania rozmów nieskromnych, czy przeciwnych miłości bliźniego, jakimi są szemranie, krytyka przełożonych itp. Umartwiać trzeba i język, by nie wymawiał słowa, które by mogło być zgorszeniem, by nie docinać kolegom, słowem nie prowadzić rozmów, których by się nie odważyli prowadzić w obecności przełożonego.

Umartwiajcie i smak, nie starając mu się ponad miarę dogadzać, ale zadowalać się tym, co podają do stołu. Nie chcecie należeć do liczby tych, co tylko myślą nad sposobem, jak zdobyć jakiś smakołyk, względnie kieliszek wina. Jest także umartwieniem cierpliwe znoszenie różnych doraźnych nieprzyjemności, jak zimna, ciepła i zmian pogody. Nie pisać zaraz do domu, by przysyłali to, czy owo, jako niby niezbędną rzecz, ale zastanowić się, czy doprawdy coś tam jest koniecznie potrzebne z ubrania, czy z przyborów szkolnych.

Umartwiajcie się także, znosząc z miłością i spokojnie różne wady swoich kolegów, jakieś niewygody w sypialni czy w szkole; słowem umartwiajcie się, nie czyniąc nic takiego, co by nie było przykładowym dla otoczenia.

Choć to będą drobne rzeczy, to jednak mogą wam posłużyć, jako prawdziwa pokuta dostosowana do waszego wieku i osiągną cel, dla jakiego ustanowiony został Wielki Post. To wam pomoże wykorzenić złe skłonności i zgromadzić wiele zasług na niebo.

Jeszcze jedną rzecz chcę z naciskiem zalecić. Przystępujcie często, a gorliwie do Komunii świętej. Przystępując często do Stołu Pańskiego, zostaniecie wzmocnieni łaską uświęcającą tak, iż ciało wasze nigdy nie weźmie góry nad duchem. Dobranoc.

Po słówku 30 marca karciał ks. Bosko nieporządek, jaki miał miejsce na ostatniej przechadzce. Opowiedziawszy całe zajście, napiętnował z ojcowską stanowczością niewłaściwość takiego postępowania, zalecając usilnie zachowanie regulaminu i nakazów przełożonych. Głównie chodziło o to, by chłopcy nie trzymali pieniędzy przy sobie. W tym celu wydał zarządzenie, aby w zakładzie był sklepik, w którym by chłopcy mogli nabywać jakieś drobne rzeczy czy do jedzenia, czy do swej rozrywki. Chodziło głównie o to, by tak gimnazjaliści jak i rzemieślnicy doręczali pieniądze księdzu prefektowi, a nie prowadzili handlu pokątnie między sobą, względnie nie wypadali na miasto na zakupy, albo naprzykrzali się rodzicom o przysłanie paczek.

A oto treść słówka: Dzisiaj czwartek, dzień przechadzki i rozrywki. Myślę, że wszystko odbyło się w należyтым porządku. Także w poniedziałek była przechadzka, ale zdaje się, że niektórzy zasłużyli sobie na poważne skarcenie. Otóż, jak słyszałem, wychodzili z rzędów, zatrzymując się przy kioskach i kupując sobie owoce. Byli i tacy, co poszli na jednego i, o ile miałbym wierzyć temu, co się mówi, to aż zataczali się w drodze powrotnej. Ktoś inny ponoć kupił sobie papierosy i palił. Na razie nie chcę dochodzić, kto to był. Ale pytam: Czyż nie wiecie, że trzymanie pieniędzy jest bezwzględnie zabronione przez regulamin.. A jakże można czynić rzeczy zakazane? Przecież regulamin ustanowiony jest tylko dla waszego dobra... Aha, może ktoś powie: Ja nie mam pieniędzy, lecz wręczam je komuś innemu... Czyż myślicie, że to jest zachowanie regulaminu? Ty dajesz pieniądze innym do przechowania, a ci inni dają tobie swoje, abys je przechował, a potem mówicie, zapytani o pieniądze, że to niby nie wasze te, które trzymacie i to się nazywa szczerłość wobec przełożonych? Ja tam nie daję nikomu pieniędzy na przechowanie – powie inny. Leżą sobie spokojnie na samym dnie mego kufierka. Mogą pytać i nawet obszukiwać mnie i kieszenie: nic nie znajdują, bo przecież nie mam ich przy sobie. Oczywiście, gdy nadarzy się sposobność, to się wyciągnie, załatwi się, co potrzeba i dalej wszystko w porządku. Przy sobie nic nie mam ... Sami widzicie, moi drodzy, niedorzeczność i bezczelność podobnego rozumowania. Najlepiej by taki zrobił, gdyby wprost powiedział: Ja chcę mieć pieniądze do własnej dyspozycji... Tutaj tego nie wolno, więc jadę z powrotem do domu. Szczęśliwej drogi, odpowiedziałbym. O to nie będziemy się gniewać... Doprawdy, nie rozumiem, jak tacy mogą ze spokojnym sumieniem przystępować do Stołu Pańskiego i modlić się z nadzieją, że będą wysłuchani... Ale to znowu nie jest żaden grzech. A ja powtarzam, iż nie mogę pojąć, jak można komunikować z tak ciężkim nieposłuszeństwem na sumieniu. Lepiej by było, gdyby ci wcale nie szli do Komunii św. Cóż, bowiem z niej może być za korzyść, gdy tacy, jakby mówią do Jezusa: A ja chcę dalej Cię obrażać... Tak! Pieniądze są prawie zawsze przyczyną różnych nieporządków na przechadzkach. Chcę tu podkreślić jeszcze jedną rzecz i to na zawsze: Przechadzka niech będzie przechadzką a nie postojem. Jeśli ma być postój, to nie trzeba wychodzić poza miasto. I w domu można sobie postać.

Inny bardzo ważny przepis, dotyczący przechadzki, jest ten, by nikt nie wydalął się z szeregów. Od tego biorą początek dalsze nadużycia. I zaraz tu zaznaczam, że żaden asystent nie ma prawa udzielać na to pozwolenia. Jego obowiązkiem jest towarzyszyć wychowankom, prowadząc ich na miejsce przeznaczone, bronić, gdyby ktoś chciał im zrobić krzywdę, a równocześnie dopilnować, by i chłopcy nikogo, nie zaczepiali. Słowem, baczyć, by wszystko odbyło się w porządku. Ale nigdy, bezwzględnie nigdy nie wolno im pozwolić na to, by ktoś miał się oddalić z rzędów. A wy, drodzy chłopcy, ani nie próbujcie o to prosić, gdyż byłoby to bardzo przykre dla waszego wychowawcy, słuchać waszych nalegań, próśb, czy grymasów. Reasumując, co było powiedziane, ustala się: Przechadzka nie ma być postojem. Niech nikt nie

wydala się ze szeregów. Asystenci nie mogą dawać na to pozwoleń. A przede wszystkim nie wolno trzymać pieniędzy przy sobie.

Wspomniałem, że kto ma pieniądze, a nie chce ich oddać, nie powinien przystępować do sakramentów świętych. Ale tu może ktoś rzuciłby: Czyż jest jakieś przykazanie boskie, albo kościelne zakazujące trzymać pieniądze? Nigdzie czegoś podobnego się nie czyta... Nie czyta się? A ja stwierdzam, że to Duch Święty nakazuje: „Oboedite praepositis vestris et subiacete eis” - słuchajcie waszych przełożonych

i bądźcie im poddani. Czyż to nie sam Boski Zbawiciel, mówiąc o przełożonych, powiedział: „Qui vos audit, me audit” - kto was słucha mnie słucha? Mógłbym cytować jeszcze inne miejsca Pisma świętego, ale nie chcę przedłużać. Otóż, jeżeli Przełożeni uznali za stosowne włączyć taki przepis do regulaminu, mają pełne prawo do waszego posłuszeństwa, a wy macie ścisły obowiązek do przepisów się stosować. Czyż myślicie, że takie rzeczy ustala się dla kaprysu? Przełożony, zanim coś zadecyduje rozważa w obecności Bożej, co ma uczynić, prosząc o natchnienie Ducha Świętego i po poważnym rozpatrzeniu sprawy, dopiero decyduje.

„Omnis potestas a Deo” - czytamy jeszcze u św. Pawła. I nie mogę pojąć, jak niektórzy tak lekceważą sobie posłuszeństwo, które przecież bardzo miłe jest Bogu. Kto słucha, nigdy nie błądzi, kto zaś nie słucha, zawsze się myli. Zapamiętajcie to sobie dobrze. Nieraz Przełożeni coś mówią, dają jakąś radę, która zdaje się, że jest nie do rzeczy; ale przecież oni widzą ogólny bieg spraw i stąd najlepiej mogą osądzić, co wypada, a co nie. I zawsze źle wychodzą ci, którzy nie słuchają. Zaufajcie, więc Przełożonym, korzystajcie z ich rad bez zbytniego rozumowania i bez krytyki, a wyjdziecie zawsze na tym dobrze. Przecież oni są starsi od was, mają więcej doświadczenia i wiedzy niż wy, a przy tym życzą wam dobrze.

Przy tej sposobności opowiem, co się wydarzyło jednemu gimnazjaliście z czwartej klasy. Mogę mówić całkiem otwarcie, bo zresztą nikt go z was już nie zna. Otóż pewnego dnia przyszedł do mnie i mówi : Niech mi Ksiądz da odpowiednie wskazówki względem mego powołania. Jestem gotów ślepo słuchać tego, co mi Ksiądz powie. Popatrzyłem na niego z uśmiechem i trochę niedowierzająco, ale ten ponownie zapewnił mnie, że oddaje się całkiem w moje ręce i bezwzględnie spełni, co mu powiem.

No to dobrze, jeżeli jest tak - mówię mu - to skończ czwartą klasę, a potem zaraz poddaj się egzaminowi na kleryka i na Wszystkich Świętych przywdziejesz suknię klerycką.

A gdzie będę przerabiał filozofię i teologię?

Tu, w Oratorium.

No tak... Ale..., ale.... Moi rodzice, mój proboszcz chcieliby, abym ja poszedł do seminarium.

Do seminarium, nie! W takim wypadku lepiej w ogóle nie idź na księdza. Kończ piątą klasę, jeśli nie tu, to gdzie indziej, ale nie idź na księdza. Obierz sobie inny zawód.

Chłopak schylił głowę i odrzekł: Dobrze, zrobię, jak Ksiądz mi mówi. Powiedziałem, że będę słuchał i usłucham.

Ale ten biedaczek był na tyle fagiuolo /głębem/, że ten dialog między nami opisał swoim rodzicom i proboszczowi. Na wakacje wyjechał z Oratorium i proboszcz nie pozwolił mu już więcej do nas powrócić, mówiąc mu: Cóż to za różnica tu, czy tam. Jeżeli po czwartej możesz wdziąć suknię w Oratorium, no to chyba wystarczy ta klasa także i do seminarium. Jeśli masz powołanie na księdza, to obojętnie – tu czy tam. I chłopak ten wstąpił do seminarium, gdzie zachowywał się tak skandalicznie, że ostatecznie musiał zdjąć sutannę. Odtąd stał się utrapieniem swoich rodziców. Mino, że to jego proboszcz załatwił mu przyjęcie w Oratorium i tu za niego płacił, to teraz chłopak nabrał do niego takiej strasznej niechęci, ile razy go spotykał, to mu powtarzał: Jestem zrujnowany i ksiądz temu winien, nie pozwoliwszy mi pójść za radą Księdza Bosko. Och... Ksiądz Bosko mi to powiedział. Jeżeli zostaniesz tutaj z dala od świata, wszystko ułoży się dobrze, ale pozostając wśród rozrywek świeckich na pewno się zgubisz...

Weź pod uwagę swoje zachowanie tu w Oratorium: jest ono dosyć dobre. A jak było na wakacjach? Prawda, że sprawy twej duszy nie były wtedy w porządku? „I właśnie ks. proboszcz sprawił, że Księdza Bosko nie usłuchałem i jestem teraz zrujnowany.”

I rzeczywiście ten nieszczęśliwiec staczał się coraz niżej, dając wszystkim zgorszenie. Uwziąwszy się na proboszcza, doprowadził do tego, że ten musiał uciekać z tej wioski. A mimo to jeszcze mu nadal nie dawał spokoju. Taką czarną niewdzięcznością płacił swojemu dobroczyńcy. Młodzieniec ten żyje jeszcze, spotkałem go przed paru dniami. Wyraźnie mi oświadczył, że całkiem zmylił kierunek życia, gdyż mnie nie usłuchał. Starłem się pokrzepić go dobrym słowem, ale on spuścił głowę i nie było widać, że sobie moje słowa wziął do serca.

Otóż gdyby został tu w Oratorium, z dala od okazji i niebezpieczeństw tego świata, byłby utrzymał się w swym powołaniu i prowadził wzorowe życie. Opowiadając ten przykład, nie mam zamiaru mówić wam o powołaniu. Na to przyjdzie jeszcze czas. Chciałem tylko podkreślić, iż kto słucha wskazówek Przełożonych i do nich się stosuje, zawsze wychodzi na tym dobrze. Przeciwnie ten, kto występuje przeciw Przełożonym, zawsze poniesie szkodę.

A przecież Pan Bóg ustanowił Przełożonych, jako swoich zastępców, daje im odpowiednie łaski, by mogli odpowiednio radzić i prowadzić do zbawienia tych, którzy im są powierzeni. Chcę zatem, ażeby podwładni słuchali ich głosu, który właściwie od niego pochodzi. Niechże też nikt nie myśli, że Przełożeni, udzielając rad, działają we własnym interesie. Chcecie przypuścić, że narażą swoją duszę na szkodę,

udzielając wam rady, która nie byłaby według woli Bożej? Zdajcie się więc bezpiecznie na to, co wam radzą Przełożeni i starajcie się do tego wiernie stosować. Powtarzam: że nie wiem i nie chcę nawet dochodzić, którzy to ostatnio tak poważnie wyłamali się z przepisów regulaminu, gdyż jestem przekonany, że doprawdy wszyscy postaracie się, by więcej podobnych wykroczeń nie było.

A wspomnę jeszcze o jednej rzeczy, która mi bardzo leżała na sercu, a która stała się przyczyną, że wielu z was miało słabe stopnie z zachowania. Przyczyną tego są książki zakazane. Otrzymali niektórzy niski stopień, gdyż chcieli koniecznie ukryć podobną książkę i nie podali jej w wykazie tych, jakie posiadali. Zapamiętajcie sobie to dobrze, że bezwzględnie trzeba powstrzymać się od lektury pism, których wartości nie znacie. W takim wypadku trzeba zawsze poradzić się osób o zdrowym kryterium w tym względzie. Bardzo was proszę, nie czytajcie złych książek... Ja wiem, że nawet po moim ostatnim upomnieniu, jeszcze niektórzy oddawali się lekturze, która zabija duszę i szkodzi nawet ciału. Niechże tacy zdobędą się na trochę odwagi, niech książki dla nich nieodpowiednie odniosą Przełożonym, a względnie sami je zaraz spalą.

Reasumując, co powiedziałem, zalecam: Nie wychodzić z szeregów w czasie przechadzki, nie urządzać na niej postojów, nie trzymać pieniędzy, pozbyć się złych książek, a tak będzie wszystko dobrze. Dobranoc.

Trzecie słówko, jakie mamy z owych dni, skierowane było do samych rzemieślników. Nabiera ono większego znaczenia przez to, iż na nim Ksiądz Bosko publicznie przedstawił, jak jeszcze nigdy dotąd, swoją ideę o posłannictwie koadiutora salezjańskiego i młodym adeptom różnych zawodów podsunął wyraźnie myśl o powołaniu zakonnym.

Dawno już - mówił do nich - nie miałem sposobności porozmawiać sobie z wami tak całkiem osobno w tej tu waszej sali. Od czasu, jak ostatni raz do was przemawiałem, zaszły też różne zmiany. Między innymi nastąpiło rozwiązanie kapeli i jej reorganizacja. Powody tego są wam zresztą już znane. Główny był ten, iż wśród dobrych grajków, którzy grali dla naszej wspólnej radości i na chwałę Bożą, dając nam zakosztować tych harmonii, jakimi cieszyć się będziemy w niebie, znaleźli się niestety i tacy, którzy grali, ale tak, że cieszył się z tego tylko diabeł. A ponieważ pragnę, by wszyscy nasi muzycy mogli kontynuować swój zawód muzyczny i w niebie, dlatego dotychczasowy zespół kapeli został rozwiązany, a obecny nowy zapowiada się dobrze. Ufajmy, że bodzie mógł potem w niebie uprawiać dalej muzykę ku większej chwale Trójcy Przenajświętszej.

Ale to, co największą przyniosło wam szkodę, a mnie boleść sprawiło niezmierną, to było, że pomiędzy wami znaleźli się prawdziwi złodzieje, cisi buntownicy i tacy, co prowadzili rozmowy niemoralne. Wobec tego niektórzy musieli opuścić Oratorium. A było to tym boleśniesz, że wydaleniem nie mieli, gdzie się udać

i pozostali, rzecz można, na bruku. Ale cóż było robić? Gdy ktoś nie chce uporczywie słuchać Przełożonych i uprawia rzemiosło wilka drapieżnego, to ja w sumieniu nie mogę go trzymać ze szkodą innym. Na tym punkcie zapamiętajcie to sobie dobrze, nie wolno mi być ustępliwym. Gorszydzieli nie będzie się tolerować. Strzeżcie się zatem.

Ci zaś, co by na swoje nieszczęście już mieli do wyrzucenia sobie występki przeze mnie wymienione, niechże, na miłość Boską nie trwają w złym, lecz niech się poprawią. Jeśli to nastąpi, to mogą nawet zataić dotychczasowe swe sprawy, by tak nie stracili dobrego imienia wśród kolegów i nie narazili się na gorsze konsekwencje. Jeśliby zaś, kto absolutnie nie chciał zastosować się do przepisów regulaminu, to wiecie, co mu poradzę? Niech przyjdzie i powie otwarcie, że mu się tutaj nie podoba i że pójdzie poszukać sobie innego warsztatu. Bez trudności otrzyma nienajgorsze świadectwo odejścia i... pozostaniemy przyjaciółmi. Inaczej wyglądałoby takie zaświadczenie, gdyby musiał szkołę opuścić przyłapany na gorącym uczynku. A z niepoehlebną opinią nie łatwo przychodzi znaleźć pracę.

Ale tego wieczoru nie przyszedłem tu, by mówić wam o rzeczach nieprzyjemnych. Owszem, chcę wyrazić swoje zadowolenie, że wielu z was często zbliża się do mnie nie tylko do spowiedzi, ale i na podwórzu i w pokoju. Nie zdarza się już to, co może zachodziło dawniej, iż niektórzy patrzeli na Księdza Bosko, jakby na jakie straszdyło i unikali go. Wtedy to mój konfesjonał otaczali wyłącznie prawie gimnazjaliści, a rzemieślników nie było widać. Teraz już jest znacznie lepiej, choć znajdują się jeszcze jednostki bardzo opieszale. Zawsze mi jest przyjemnie służyć wam radą i zachętą.

A teraz przejdźmy do innej sprawy. Otóż niektórzy z was w tych dniach pytali mnie, czy mogą się zapisać do Towarzystwa świętego Franciszka Salezego. Im już odpowiedziałem. Ale uważam, że dobrze będzie poinformować was wszystkich w tej sprawie. Przypuszczam, że chyba wiecie, co to jest Towarzystwo Salezjańskie. Nie jest ono wyłącznie przeznaczone dla tych, co chcą zostać księżmi, ale otworem stoi i dla rzemieślników. Mogą do niego należeć: kapłani, klerycy, laicy, biegli w jakim zawodzie, którzy chcą wspólnie pracować dla dobra swej duszy i bliźniego. Kto z was, zatem czuje, że opuszczając Oratorium, łatwo by zeszedł na manowce i naraził duszę na potępienie, to niech złoży podanie o przyjęcie do Zgromadzenia.

A może ktoś zapyta: Czy nie zabraknie nam w Zgromadzeniu pożywieni, czy odzieży? Ufając zawsze Boskiej Opatrzności, która okazuje się stale troskliwą dla nas matką, mogę was zapewnić, że nie zabraknie wam niczego, co potrzebne tak w zdrowiu jak i w chorobie, tak za młodu jak i w starości. Przecież wielu zatrzymuje w Zgromadzeniu myśl, że gdy przyjdzie choroba, albo starość, to w świecie łatwo mogą być opuszczeni i pomiatani, podczas gdy w Zgromadzeniu niczego im nie zabraknie. Kto więc pragnie zapewnić sobie chleb i mieszkanie na całe życie, ten może śmiało złożyć prośbę o przyjęcie. Tym bardziej może to uczynić każdy, kto poważnie myśli o zbawieniu swej duszy.

Zauważcie również, że wśród członków Zgromadzenia nie ma żadnych różnic: wszystkich traktuje się jednakowo, czy rzemieślników, czy księży, czy kleryków: wszyscy jesteśmy braćmi. Tę samą zupę, którą ja jem, jedzą wszyscy inni; ta sama potrawa, to samo wino, które podają Księdzu Bosko, czy innym księżom, otrzymują wszyscy, którzy należą do Zgromadzenia.

Ale może jeszcze ktoś zapyta: Czy Księdzu Bosko bardzo zależy na tym, byśmy zostali salezjanami? Czy zrobimy mu tym przyjemność? Nie, moi drodzy. Niech nikt nie wstępuje do Zgromadzenia z myślą sprawienia przyjemności Księdzu Bosko. Nie, ja was nie namawiam, byście ze mną zostali. To, co wam powiedziałem, powiedziałem dla waszego pouczenia, byście wiedzieli, jak sprawy stoją. A każdy niech postąpi wedle swego sumienia. Kto chce, niech się zapisze do Zgromadzenia. Kto nie, niech najspokojniej kończy swe wykształcenie w zawodzie.

A może ktoś z was pragnąłby pojechać do Ameryki? Wstąpiwszy do Zgromadzenia, miałby podróż ułatwioną. Ale zaraz tutaj zauważam, że nikogo się nie wysyła, kto nie ma ochoty, a na wyjazd pozwala się tym tylko, którzy gorąco sobie tego życzą.

W zeszłym roku byli tu wśród was tacy, którzy są obecnie misjonarzami i teraz wyjechawszy na misje, czują się tam bardzo dobrze i działają wiele dobrego. Wszyscy znaliście koad. Gioia, szewca. Otrzymaliśmy w tych dniach wiadomości o nim, mianowicie, że został wielkim przedsiębiorcą, bo będąc nadal szewcem, jest przy tym kucharzem i katechistą.

Znaliście też stolarza Scaviniego, który co dopiero ukończył egzamin czeladniczy a teraz już jest kierownikiem pracowni, mając pod sobą coś z 20 uczniów. A Belmonte? Zdawało się, że do dwóch nie zliczy... a teraz słyszymy, że jest kościelnym, muzykantem, katechistą; rzecz można, iż on jest w pełnym tego słowa znaczeniu gospodarzem domu w Buenos Aires. Tak samo Molinari... Wszyscy oni byli tu zwykłymi robociarzami, na których nikt nie zwracał uwagi, a teraz są jednostkami pełnowartościowymi, przez wszystkich bardzo cenieni. Słowem, kto sobie życzy, ma przed sobą pole otwarte do pracy.

A teraz podaję do wiadomości, że nim wyjadę do Rzymu, napisze się prośbę do Ojca świętego w imieniu was wszystkich i poprosi się go o szczególne błogosławieństwo dla was. Niech ono posłuży do waszego postępu w dobrym, dla zdrowia i pomyślności waszej doczesnej, a zwłaszcza, byście zwyciężyli szatana i wszystkie pokusy, na które w waszym wieku natraficie, głównie przeciw cnotcie skromności.

Odwagi! Zobaczycie, że Łaska Zbawiciela sproszona błogosławieństwem Jego Zastępcy, dopomoże wam przezwyciężyć wszelkie pokusy szatańskie. No i cóżby wam jeszcze powiedzieć?... W tym momencie Ksiądz Bosko przerwał i z ojcowskim uśmiechem ogarnął swym spojrzeniem zasłuchanych chłopców. Po krótkiej pauzie tak ciągnął dalej: Gdy będę w Rzymie, módlcie się w mej intencji, bym pomyślnie załatwił sprawy, które tam mam do załatwienia. Gdy wrócę, jeśli wszystko uda się

pomyślnie, to was pochwałę żeście dobrze się modlili i że jesteście dobrzy. Inaczej, musiałbym was nazwać „sciappini” /po polsku nazwać ciapy/ i nie zdołalibyście nic wyprosić. Ufam jednak, że wszystko będzie dobrze, zwłaszcza jeśli do modlitw dodacie Komunię świętą. Tymczasem niech was Bóg darzy zdrowiem, świętością i wytrwaniem w dobrym, byście zawsze byli szczęśliwi.

A teraz jeśli macie jakieś zlecenia do Rzymu, to jestem na wasze rozkazy. Jeśli kto ma list do Papieża, to go zabiorę. Tylko polecam, by były napisane bez błędu. Kiedy parę lat temu wręczyłem Ojcu świętemu listy od naszych chłopców, to Papież czytając je, wskazał mi kilka błędów gramatycznych i powiedział: Widać, że to rzemieślnicy mi piszą: Niech Ksiądz powie temu, że w tym wyrazie są dwa „S”, a tu w tym znowu dwa „R” itd. No już kończę. Obchodziliście niedawno uroczystość św. Józefa. Nie mogłem być na waszej akademii, ale gdy wrócę, będzie święto Opieki tego Wielkiego Patriarchy i urządzicie chyba drugą akademię, a na pewno na nią przyjdę.

Wszystkie te słowa Księdza Bosko tak jakby zelektryzowały młodzież Oratorium, że choć wyjechał w następnych dniach do Rzymu, to chłopcy stale, pozostawali pod wrażeniem Jego obecności. O swoim bliskim, wyjeździe do Rzymu zawiadomił dwie wielkie dobrodziejki Oratorium. Ksiądz Bosko tak dla ich podeszłego wieku, jak i dla ich świętości życia zwykł dawać im tytuł „matki”. I do księżnej Calori tak pisze: „Mia buona Mamma!”. Przed wyjazdem do Rzymu piszę telegraficznie: Wyjeżdżam dziś wieczór. Zabawię trzy tygodnie. Spodziewam się złożyć uszanowanie. Szczęśliwej podróży także dla Pani i całej rodziny. Amen. Wynika z tych słów, iż zapraszał on księżną, aby przyjechała także do Wiecznego Miasta, zanim on stamtąd miał wyjechać.

Do p. Eurozji Monti posłał list przez księdza Barberisa:

„Cara Mamma!”.

Wasz syn wybiera się do Rzymu. Wyjeżdża jutro rano o siódmej. Ale jeśli mu pozwolicie wyjechać z próżnymi kieszeniami, to nie będzie mógł przeprowadzić tego, co zamierza.

Owa pani przeczytawszy liścik, załączyła do swej odpowiedzi na bilecie wizytowym trzy setki... Mamma buona e madama Monti – jakże zacna jest ta pani - zawołał Ksiądz Bosko otwierając kopertę. Nieco wcześniej zawiadomił o swoim przyjeździe p. Matyldę, żonę p. Sigismondi. W ich to domu zatrzymywał się zawsze Ksiądz Bosko w czasie swoich pobytów w Rzymie. Miał tam i tę wygodę, że mógł odprawiać w kaplicy domowej Mszę świętą. Pierwszy list skierował do tej pani na wiadomość o śmierci jej ojca: „Stimabilissima Signora Matilde!”. Bardzo często tu o Wielmożnej Pani rozmawiamy i tylekroć już chciałem do niej napisać, by jej dać znać, iż mimo nawału spraw i zajęć, nigdy nie zapominamy o niej w swych modlitwach prywatnych i wspólnych, jak i o jej przezacnym mężu, panie Aleksandrze. Więc teraz mając chwilkę czasu, choć na moment chcę porozmawiać z moimi tak życzliwymi dobrodziejami i gospodarzami. Zapewniam o moim serdecznym współczuciu dla

boleści, jaka Szanowną Panią spotkała z chwilą śmierci jej ojca. I nie zaniedbałem zarządzić specjalnych modlitw o spokój jego duszy, jak i o to, by Bóg Wielmożną Panią pocieszył w jej smutku. To samo uczyniliśmy wobec niespodziewanej straty Śp. Matki Galeffi. Całą pociechą naszą przy tych smutnych przeżyciach była myśl, iż umierali oni zaopatrzeni wszystkimi pociechami naszej św. religii.

W kwietniu będę w Rzymie, gdzie mam odczytać referat na zebraniu Akademii „Arcadia” w Wielki Piątek. Oczywiście najpierw zapukam do bramy na ulicy Sykstyńskiej 104, gdzie doprawdy zawsze znajduję tak serdeczną gościnę. Nie chciałbym spowodować żadnego kłopotu i w razie czego, prosiłbym o i wskazanie mi innej rodziny, gdzie bym się mógł spokojnie zatrzymać. Wkrótce wybiera się jedna osoba z Turynu do Rzymu i też ma zlecenie wyrównać wszelkie długi, jakie mam u zacnego p. Aleksandra za przesłane mi reskrypty. W pierwszej połowie tego miesiąca otwierany dwa nowe domy. Trzy inne zostaną otwarte w marcu. Jak widzi Szanowna Pani, Pan Bóg błogosławi nasze biedne Zgromadzenie, dla którego proszę o jej modlitwy. W jednym liście świeżo otrzymanym z Argentyny, tamtejsi Salezjanie przesyłają dla Wielmożnych Państwa swoje najserdeczniejsze pozdrowienia. Ukłony ślę również ks. Berto, ks. Lemoyne i inni. A również i ja, który etc,...

Dnia 05.02.1876 r.

Drugi list wysłany został miesiąc później, z okazji imienin wspomnianej pani Matyldy. W roku uprzednim osobiście składał jej życzenia. Obecnie prosi, by mu wolno złożyć je choć trochę spóźnione. Księdzu Durando zaś przez księdza Rua polecił przywieźć ze sobą do Rzymu „una bottiglia” z roku 1815, „jako podarek, który chce złożyć pani Matyldzie”. A oto tekst listu: niestety pojutrze nie będę miał przyjemności obchodzić świętej Matyldy w domu Szanownej Pani. Niech mi więc pozwoli Pani to odłożyć do pierwszych dni kwietnia, a wtedy spełnię osobiście swój obowiązek. Dnia 14 bieżącego miesiąca odprawi się Mszę św. u ołtarza Najświętszej Maryi Wspomożycielki w intencji przezacnej solenizantki. Niech Bóg błogosławi itd. Dnia 17.03.1876 r.

Ważne interesy czekały Świętego w Rzymie. Nie mniej spraw miał też do załatwienia w Turynie i poza nim. Jedno po drugim załatwi się powoli i wszystko się ułoży.. - mówił do swoich. W przeddzień wyjazdu napisał coś z 20 listów, niektóre z nich do Francji. Podczas wieczerzy i po niej omawiał z Przełożonymi cały szereg spraw. Z niektórymi zatrzymał się na osobności. Między innymi ks. Cipriano zwrócił uwagę, by nie przedłużał odprawiania Mszy św. ponad pół godziny chyba, żeby było więcej oracji. Msza święta normalnie ma trwać 22 do 25 minut. Kleryka Obertiglia, który prosił o pozwolenie wyjazdu do krewnych na parę dni - odesłał do księdza Rua. Ks. Bosko nigdy nie załatwiał spraw, które trzeba było załatwić odmownie. Ks. Rua ze swej strony bardzo przestrzegwał, by takie sprawy do księdza Bosko nie dochodziły.

Po załatwieniu jeszcze kilku spraw z innymi współbraćmi, pożegnał on wszystkich, do każdego zwracając się zyczliwym słówkiem i udał się do swej sypialni.

ROZDZIAŁ VI

W RZYMIE 1876 ROK

O pobycie Księdza Bosko w Rzymie towarzyszący mu sekretarz pozostawił dzienniczek z krótkimi notatkami, które robił z nadzieją obszerniejszego opracowania go. Ale do tego nie doszło i pozostał on w takim stanie, w jakim był napisany 1876 roku na wiosnę. Inne wiadomości z tego czasu czerpiemy z korespondencji Świętego i z jego przemówień, przekazanych nam przez naocznych świadków.

Ksiądz Bosko, mimo, że bardzo pragnął, by jego księża zetknęli się z życiem Rzymu i z Papieżem, nie mógł przecież za każdym razem zmieniać swego sekretarza, bo to mu bardzo utrudniałoby korespondencję i układanie pism do różnych Kongregacji, w czym ks. Joachim Berto już miał wprawę; a przy tym znał dobrze miasto Rzym, co mu ułatwiało załatwianie interesów po różnych urzędach.

Wystarczyło, że Ksiądz Bosko podał mu zasadniczy szkic jakiegoś pisma, a ten już na drugi dzień, po nieprzespanej nocy, oddawał mu je odpowiednio wystylizowane. Jeden z powodów tegorocznego wyjazdu Księdza Bosko do Wiecznego Miasta, było zobowiązanie podjęte poprzedniego roku. Oto już w roku 1874 został on, przy poparciu swoich przyjaciół rzymskich, zaliczony w poczet członków włoskiej Akademii „Arcadia” jako Clistene Cassiopeo, którą to nazwę nosił ongiś kardynał Altieri. Przez kurtuazję generalnego kustosa tejże akademii, monsignora Ciccolini, przyrzekł wygłosić odczyt przy nadarzającej się okoliczności, która teraz nadeszła.

Członkowie akademii zwykli byli odbywać doroczne posiedzenie w Wielki Piątek w auli Serbatoio, pałacu Altemps, dla uczczenia Męki Pańskiej. Otóż kustosz wysunął wniosek, ażeby tym razem wygłosił referat okolicznościowy Ksiądz Bosko. Komunikując mu o tym, monsignore Fratejacci pisał do Świętego: Wywiązując się chętnie z danego mi zlecenia, zapraszam niniejszym Przewielebność Waszą z tym odczytem i uważam, że jego przybycie do Rzymu w tym czasie jest i wskazane i będzie na pewno korzystne. A i sam temat do omówienia jest bardzo na czasie i na pewno Księdzu odpowiada.

Wobec tego Ksiądz Bosko zgodził się wystąpić raz w roli akademika i zobaczymy zaraz, jak święci czują się w takiej sytuacji.

„Arcadia” oceniła przyjęcie zaproszenia z referatem, jako piękny gest z jego strony i dla członków bardzo miły. Także Ksiądz Bosko spodziewał się z tego i dla siebie korzyści. Dawało mu to bowiem okazję zetknięcia się z nowym środowiskiem i zapoznania się z różnymi osobistościami. A przy tym wyjazd do Rzymu, nie

z własnej jego inicjatywy, lecz na formalne zaproszenie akademii, usprawiedliwiał ten pobyt w Rzymie, tak w oczach kurii Turyńskiej i innych nieprzychylnie usposobionych do niego osób, jak i ułatwiał mu dostęp do prałatów kurialnych w sprawach nam już znanych. Ta sama też okoliczność służyła mu za osłonę przed podejrzliwością tych, co śledzili jego kontakty z osobistościami politycznymi. Ksiądz Bosko przybył do Rzymu 5 kwietnia, o godz. 2 po południu, serdecznie przyjęty przez pana Aleksandra Sigismondi, który oddał do jego dyspozycji wygodne niekrępujące pokoje na ostatnim piętrze, gdzie z balkonu można było delektować się widokiem całego miasta.

Zaraz rozpoczęła się praca i wizyty nie tyle grzecznościowe, ile w sprawach urzędowych. Oto, co czytamy w dzienniczku ks. Berto w pierwszych czterech dni: Dnia 6 - środa - Msza św. odprawiona w domu; około godziny 10 wizyta u kardynała Antonelii; następnie u mistrza dworu, monsignora Macchi; powrót do domu; około 16 - u monignora Sbarretti, sekretarza Kongregacji Biskupów i Zakonników. /Następują notatki o kardynale Berardim, o których później/.

Dnia 7 – czwartek - Msza św. w domu i praca aż do obiadu. Po południu byliśmy u O. Jana B. de Genova, franciszkanina w sprawie zakupu domu położonego między świętym Janem Laterańskim a Kolosseum.

Dnia 9 - sobota - Msza św. w domu; po czym wizyta w Tor de Specchi; obiad w domu; około 16 z p. Vigliani i inż. Moglia pojechaliśmy obejrzeć budowlę wyżej wspomnianą.

Niedziela Palmowa - cały dzień w domu.

Jak widać z tego dziennika, jest to właściwie index rerum i niewiele się z niego można dowiedzieć. Załatwianie spraw w Rzymie nie absorbowowało jednak do tego stopnia uwagi Księdza Bosko, by zapomniał o Turynie. Nadmienimy tu dwie sprawy. Wyjeżdżając z Oratorium, martwił się trochę, bo nie była jeszcze załatwiona z Kurią turyńską sprawa święceń dwu subdiakonów salezjanów. Zgłoszeni oni zostali do święceń u arcybiskupa z początkiem postu na Wielką Sobotę. Kiedy przyszła odpowiedź, że święceń w tym dniu nie będzie, poproszono o pisemne zaświadczenie w tym. Ale odpowiedź na tę prośbę nie nadchodziła, mimo że już zbliżał się Wielki Tydzień i Ksiądz Bosko wyjechał do Rzymu. Biedny ks. Rua znalazł się w prawdziwym kłopotcie. Nie chciał drażnić przypominaniem sprawy arcybiskupa, ale też nie chciał odkładać święceń, bo wiedział, że to sprawi przykrość Księdzu Bosko. Napisał więc do niego, pytając, quid facieudum? Na to odpowiedział ks. Berto: Co do święceń kleryków Vota i Veronesi, jakie miałyby się odbyć we Wielką Sobotę, Ksiądz Bosko życzy sobie, by się one odbyły. W załączeniu przesyła dimisorie. Jeżeli wypadnie ich wysłać do Vigevano, trzeba w takim razie postarać się o pisemne zaświadczenie z Kurii turyńskiej, że we wspomnianym terminie święceń nie będzie i to przesłać do Vigevano. Jeśli zaś wysłani będą do Suza, to nie potrzeba takiego zaświadczenia, bo biskup już jest o tym poinformowany. Wystarczy zwykłe pisemne

zawiadomienie tamtejszego ordynariusza. Decyzje pozostawia się roztropności ks. Rua.

Odpowiedź od arcybiskupa nadeszła we Wielki Piątek po południu tej treści: „Knadydaci do święceń, Mojżesz Veronesi z Bovisio i Michał Vota z Rivarolo, nie mogą otrzymać od arcybiskupa turyńskiego, ani od kogo innego z Kurii zaświadczenia, o które proszą, jeżeli przed tym nie stawią się przed kan. Zanotti na egzamin z dwóch traktatów różnych od tych, które składali przed subdiakonatem i z traktatu o diakonacie oraz nie przyniosą arcybiskupowi zaświadczenia pisemnego, że zdali je cum laude”.

Wymienieni wyżej nie tracąc czasu na próżne lamenty, bez chwili namysłu udali się do kanclerza po delegację dla egzaminatorów i odszukawszy ich, zdali egzamin, wrócili do Kurii ze stopniami cum laude, a otrzymawszy nareszcie upragnione oświadczenie, popędzili na stację i zdążyli na Wielką Sobotę do Suza. Ojcowskie przyjęcie ze strony tamtejszego świątobliwego biskupa uspokoiło ich trochę, ale nie mogli przecież nie zauważyć na jego twarzy pewnego niesmaku, gdy mu przedstawili zaświadczenie ze zdanego egzaminu, do przeprowadzenia którego upoważniony jest biskup ordynariusz, a nie biskup rezydencji kandydatów. W każdym razie na Wielką Sobotę otrzymali święcenia, ale biedny Vota tak się tym przejął, że przy swojej słabszej kondycji odchorował to prawie przez rok.

Nie będzie tu od rzeczy zaznaczyć, że podobne stałe wyjazdy kandydatów do święceń poza Turyn, pociągały za sobą poważne wydatki. Ale Ksiądz Bosko z miłości dla swoich i Zgromadzenia, z tym się nie liczył. Również dla świętego spokoju nie zwracał się do Kurii po sumę 1.000 lir rocznie, która dla niego wpłacana była na konto arcybiskupa przez Królewski Zarząd beneficjów wakujących. I tak suma ta zalegała tam przez 28 lat.

Nieco odmiennej natury była druga kwestia, interesująca Księdza Bosko w Turynie. Chodziło o chłopców w Borgo S. Martino, do których ks. Barberis w Niedzielę Palmową miał rozpocząć rekolekcje. Pisał mu więc, ażeby zbliżył się serdecznie do uczniów klasy IV i V oraz zorientował się, czy wśród nich nie ma jakiejś „cegiełki do budowy w Turynie”? i przekonał się, czy wśród tzw. eks - nowicjuszów nie trzeba kogoś podtrzymać w powołaniu i zachęcić do większej gorliwości. Eks - nowicjuszami nazywano wtedy tych aspirantów, którzy przerwali swój nowicjat pod kierunkiem księdza Barberisa w Oratorium, a odbywali go dalej pod kierunkiem dyrektora zakładu, do którego ich przeznaczono, gdzie przeplatali praktyki nowicjackie zajęciami im przydzielonymi. Właśnie w Borgo S. Martino było takich dwóch kleryków i dwóch koadiutorów. Zrobiłem względem nich, co mogłem, notuje w swojej kronice ks. Barberis. Eks - nowicjusze byli już całkiem zdeklarowani co do swej przyszłości. Co do wychowanków - zaznacza, że nie wiele znaleźć można kolegów, gdzie by była większa pobożność i tak wzorowe ogólne zachowanie się. Co

do powołań, to miał pewne spostrzeżenia, o których zresztą napisał Księdzu Bosko. Ale wróćmy do przedmiotu.

W Wielki Poniedziałek, rano Ksiądz Bosko prosił o audiencję u Papieża. Na tę audiencję przygotował kilka specjalnych prośb, dotyczących jego najgorliwszych dobrodziejów. Na pierwszym miejscu pamiętał o Don Benitezie i księdzu Ceccarelli.

Ojcze święty! Ksiądz Bosko ścieląc się do stóp Waszej Świątobliwości, ma zaszczyt przedstawić dwóch zasłużonych dla Zgromadzenia Salezjańskiego, katolików z Argentyny: Don Franciszka Beniteza i ks. Doktora Piotra J. B. Ceccarelli. Don Benitez jest człowiekiem wykształconym pod każdym względem, a mimo swych osiemdziesięciu i jeden lat, nie ustaje w pracy dla dobra religii św., którą sam przykładowo praktykuje, zawsze gotów pomagać dziełom miłosierdzia. Dopomógł salezjanom osiedlić się w tamtejszej okolicy, współpracował z nimi w budowie kościoła i kolegium w S. Nicolas de los Arroyos, zaopatrując ich we wszystkie rzeczy potrzebne. Oddany Stolicy św., w dostojnej Osobie Namiestnika Apostolskiego, doznałby w swej starości nie małej pociechy, gdyby otrzymał tytuł komandora, czy inny według uznania Waszej Świątobliwości...

W podobnym stylu podkreśla Ksiądz Bosko zasługi księdza Ceccarelli przy organizowaniu placówki salezjańskiej w Argentynie i prosi dla niego o godność szambelana papieskiego, czy inny odpowiedni tytuł, oraz kończy: /.../ Te dwie łaski szczodroblewości monarszej Waszej Świątobliwości posłużą z pewnością do utwierdzenia tych wybitnych działaczy dla dobra Kościoła w ich zapale do pracy. Ścieląc się do stóp itd. ...

Druga suplika dotyczyła komandora Gazzolo. Jest w niej mowa o „ofiarach pieniężnych”: ale ze strony konsula argentyńskiego nigdy takich nie było. Wprawdzie z początku zdawało się, że on coś daje, ale to wynikało stąd - że to, co inni dawali dla misjonarzy, zwłaszcza hojność ks. Ceccarelli - umiał on bardzo zręcznie przekazywać pod swoją firmą. Z biegiem czasu chytrą ks. Lasagna podpatrzy to i tak te rzeczy wyjdą na jaw. Ale któż by mógł, choć z dala podejrzewać, że nawet wspaniały jego uniform z zawieszonymi na nim odznaczeniami jest oszustwem. Ksiądz Bosko, pomimo to uspokajał gorętszych i nie pozwolił nikomu, by go traktował mniej delikatnie i grzecznie. My ze swej strony umiemy uwzględnić te słabości ludzkie, pomimo których Opatrzność Boża jednak - in sua dispositione non fallitur.

W prośbie poniższej będzie wzmianka o Urugwaju. Odnosi się to do zakładu w Colon, o którego fundację toczyły się wtedy dość daleko posunięte pertraktacje.

Ojcze Święty! Do gorliwszych katolików, którzy w ostatnim czasie wyróżnili się swym przywiązaniem do Głowy Kościoła, uważam, że słusznie zaliczyć można Komandora Jana Gazzolo, konsula argentyńskiego w Sawonie. Wśród innych jego zasług pragnę podkreślić ze swej strony wielkie przysługi, jakie nam oddał przy organizowaniu naszej placówki misyjnej w Argentynie i w Urugwaju. Wielkie i liczne nasuwały się przy tym trudności, on jednak swą zapobiegliwością, podróżami i pomocą pieniężną dopomógł wielce do ich przezwyciężenia. Sam podjął się uczenia

języka hiszpańskiego naszych Misjonarzy, towarzyszył im do Rzymu, a następnie na własny koszt pojechał z nimi do Ameryki, gdzie tak długo służył im radą i pomocą, aż ci usadowili się na dobre i rozpoczęli normalną pracę duszpasterską.

Wobec czego, Ojciec Święty, choć wspomniany Komandor Gazzolo, jako dobry chrześcijanin, nie zabiega o honory doczesne, to jednak uważałby sobie za wielki zaszczyt, jeśliby Świątobliwość Wasza tak ze względu na Rząd Argentyński, który on we Włoszech reprezentuje, jak i ze względu na przywiązanie jego do Stolicy Piotrowej, a także, by mógł zostawić swej rodzinie jakiś dowód swego oddania sprawie Kościoła, raczył w swej łaskawości odznaczyć go orderem, jakim by uznał za stosowne.

Oczywiście to wyróżnienie tym bardziej zachęciłoby go do wspierania dzieł miłosierdzia, a zwłaszcza misji.

Będzie to również jeden powód więcej do wdzięczności Wszystkich salezjanów względem Waszej Świątobliwości i przysporzy im nowe zastępy pomocników. Z wyrazami najgłębszej czci..., itd.

Ksiądz Jan Bosko

W trzeciej prośbie prosił Ksiądz Bosko o ordery dla dwóch wybitnych dobrodziejów zakładu w Sampierdarena, w czwartej o pozwolenie, by księża proboszczowie diecezji genueńskiej mogli cedować na korzyść tego domu stypendia mszy niedzielnych.

We wtorek przyjechali do Rzymu ks. Durando, ks. prof. Pechenino. Przyjazd ks. Durando pozostawał w związku z tym, co powiedział Ksiądz Bosko, gdy tenże przedłożył mu drugi tom swego słownika łacińskiego: Teraz odpocznij nieco, rzekł Święty. W swoim czasie sprezentujesz kopię tej pracy Ojcu świętemu. Słowa te nie były wypowiedziane na wiatr. Z tym to właśnie słownikiem przyjechał ks. Durando; ksiądz zaś Pechenino przywiózł słownik grecki wydrukowany w Oratorium. Nie mogli oni przyjechać razem z nim, gdyż musieli przeprowadzać egzaminy w Sampierdarena i Varazze. Ksiądz Durando zastał Księdza Bosko pochłoniętego sprawami Zgromadzenia, ale między nimi zawsze na pierwsze miejsce wysuwało się Oratorium. I zaraz też otrzymał on zlecenie zakomunikowania księdzu Rua, by rekolekcje dla wychowanków odłożono aż do jego powrotu. Spełniając to zlecenie, dał równocześnie upust swoim myślom godnym wielkiego ucznia ze szkoły Świętego, bo pisał: Mówiąc szczerze, nie jestem z siebie zadowolony i czuję wyrzuty sumienia, że tracę czas i pieniądze na wyjazdy, a właściwie nic nie robię, podczas gdy tam w Turynie jest tyle do pracy; uspokajam, się tylko uświadamiając sobie, że tak zarządził Ksiądz Bosko, więc niech on za to odpowiada.

Dowiadujemy się też od niego, że ksiądz Bosko wyrobił mu jurysdykcję do spowiadania w Rzymie. W oznaczonym za tym dniu przychodzi on do domu p. Sigismondi /bo mieszkał u innego dobrodziejstwa Księdza Bosko, p. Colonna/ i spowiadał

się u Księdza Bosko, który następnie spowiadał się przed nim z niemałym dla niego zakłopotaniem, jak sam pisze w jednym liście.

W Turynie ks. Bosko spowiadał się zwykle w poniedziałek, gdyż wtedy było najmniej penitentów. Wtedy to o godz. 8.00 przychodził ks. Giacomelli, który wyspowiadał się u Świętego, sam następnie go spowiadał.

Ale wróćmy do referatu w „Arcadii”. Przygotowanie tego referatu kosztowało Księdza Bosko dużo trudu. Ostatecznie wyszedł on dosyć obszerny, zawierał głębsze myśli, poparte licznymi cytatami. Żywe też było nim zainteresowanie wśród członków Akademii. Żywo komentowano wiadomość, jako o niezwykłym zdarzeniu, że jakiś tam ksiądz piemoncki, stale pochłonięty pracami apostolskimi, nieznany w świecie literackim, ale z opinią świętego, ma zjawić się w Rzymie i wygłosić odczyt na forum przywykłym słuchać utworów głośnych literatów.

Ksiądz Bosko zaraz ujął sobie słuchaczy swoją bezpośredniością, szczere, serdeczne słowa, zwrócone na wstępie do audytorium, skromne wyrażenia, nie naszpikowane wyszukаныmi frazesami, prostota stylu, nie licząca wcale na tani efekt, pozyskały mu słuchaczy.

Wrażenie zrobił również sam temat, który nikomu z uczestników nie byłby, przyszedł nawet do głowy, a mianowicie: „Siedem słów Chrystusa na Krzyżu”. Jak dobrze odpowiadał on duszy głęboko religijnej, która w wieczór wielkopiątkowy nie znajduje innego przedmiotu godnego do rozważania, jak właśnie trzygodzinne konanie Zbawiciela na Krzyżu. Rozwinięcie podobnego tematu w owym dniu godnym było kapłana, który zawsze i wszędzie niczym innym nie chciał być i innym się okazywać, jak tylko kapłanem. Zmierzało ono wyraźnie od początku do końca, bez niedomówień i eufemizmów, by przynieść pożytek duchowy słuchaczom. Zakończenie referatu zabrzmiało nutą rzymskiej prawowierności - całkowitego oddania Papieżowi.

Z wielką mianowicie swadą przeszedł Ksiądz Bosko na temat koniecznej łączności wszystkich wierzących z Piotrem i jego następcami, zagrzewając obecnych, by zwarcie stanęli przy Osobie nieustraszonego Namiestnika Jezusa Chrystusa, wielkiego, niezrównanego Papieża Piusa IX. I tak z emfazą kończył: W każdej wątpliwości, w każdym niebezpieczeństwie udawajmy się do Papieża, jako do kotwicy zbawienia, jako do wyroczni nieomyłnej. Niech nikt nie zapomina o tym, że na tym chwalebny Papieżu spoczywa fundament i ośrodek wszelkiej prawdy i zbawienia świata. Kto z nim gromadzi, ten buduje gmachy niebosiężne, kto bez niego się trzodzi, ten trwoni i zaprzepaszcza wszystko do piekieł. Qui mecum non colligit dispergit. Pragnąłbym teraz, by słowa moje doszły do uszu wielkiego Anioła - Pocieszyciela na Watykanie: Ojcze święty! - wołam - racz posłuchać i przyjąć słowa pokornego i najbardziej oddanego Tobie syna. Pragniemy zapewnić sobie drogę, która by nas zaprowadziła do prawdziwej szczęśliwości: dlatego wszyscy garniemy się do Ciebie, jako Ojca najukochańszego i nieomyłnego Nauczyciela. Słowa Twoje będą pochodnią naszym krokom, normą naszego działania; Twoje myśli i odezwy przyjmowane będą przez nas z największą czcią i przekazywane naszym rodzinom, rozsiewane w naszym

otoczeniu, owszem, o ile to możliwe, po całym świecie. Twoje radości będą radością Twoich dzieci, które dzielić będą również serdecznie Twoje smutki i ciernie. A jak chwałą okrywa się żołnierz, który na polu walki umiera w obronie swego władcy, tak samo i dla nas najpiękniejszym będzie ów dzień, kiedy w obronie Twojej, Ojczyźnie świętej, będziemy mogli oddać mienie i życie, umierając dla Ciebie, pewni jesteśmy, że umieramy dla Boga, który koronuje chwilowe cierpienia tego życia wieczną nagrodą w niebie.

Nie mamy oryginału tego odczytu. Ale posiadamy za to kopię starannie przepisaną przez księdza Berto, tu i tam opatrzoną własnoręcznymi poprawkami Świętego. Wśród nich jedna zwraca uwagę: a mianowicie czterokrotnie powtarzające się słowo: Zbawiciel - zastąpione zostaje imieniem Jezus, które już i tak nierzadko powtarzało się w tekście. Jakież więc był efekt referatu? Z uznaniem przyjęty był przez ogół słuchaczy; zawód spotkał kilku dyletanckich literatów; ktoś złośliwy czuł się nim obrażony. Posłuchajmy dwóch naocznych świadków. Pisze ks. Durando: Wczoraj byłem obecny na posiedzeniu „Arkadii” i słuchałem odczytu naszego kochanego Księdza Bosko. Sala była wspaniale udekorowana i oświetlona. Audytorium stanowiła sama inteligencja, około 400 osób. Wszyscy w religijnym skupieniu przysłuchiwali się prostemu, a zarazem głębokiemu wykładowi Księdza Bosko, który zebrał liczne oklaski... A oto wyjątek z listu księdza Berto do księdza Bologna: Wieczornica rozpoczęła się o godzinie 8 - ej... Wiele wybitnych osobistości ściągnęło imię Księdza Bosko, który miał wygłosić swój odczyt. Skromną moją osobę wprowadził na salę uprzejmy Kustosz „Arkadii” i posadził w pierwszych rzędach. Nieznany nikomu, cichutko obserwowałem zachowanie się audytorium, które niecierpliwie oczekiwało występu nowego członka „Arkadii”. Zaledwie pokazał się we drzwiach wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niemu, odprowadzając go aż do mównicy. Ucichły szmery i rozpoczął się wykład. Słuchano go z wielką uwagą. Ujął wszystkich swoją prostotą i łatwością traktowania przedmiotu o tak głębokiej treści. Kilka razy słyszałem na sali powtarzane półgłosem: „Bravo; bene”. Widziałem też takich, zwłaszcza księży, którzy ręką posyłali mu pocałunki. Często bywał oklaskiwany. Na końcu zebrania, które trwało do kwadrans na dwunastą - wielu wybitnych osobistości pospieszyło mu złożyć swe gratulacje... Trzeba jednak i to zaznaczyć, że wśród tylu przyjaciół naszego ukochanego Ojca, nie brakło i faryzeuszów, którzy, podobnie jak za czasów Zbawiciela, przyszli, by go podchwycić na słowach, ut accusarent eum. Chcieli oni zadenuncjować Księdza Bosko przed świętym Officjum... Ale mówca, uprzedzony o tych sidłach, wszystkie swoje wypowiedzi poparł autorytetem Ojców Kościoła i Ewangelii tak, że ci dwaj musieli przyznać następnie, że Ksiądz Bosko jest chytrzejszy od nich. Odczyt zrobił na wszystkich budujące wrażenie; a monsignore Sanmignattelli, jałmużnik Jego Świątobliwości, tak wyraził się na temat tego, co usłyszał: „Trzeba przyznać, że dobrze nas wszystkich obsłużył”.

Także O. Saccheri, dominikanin, w kilka dni potem chwalił bardzo odczyt twierdząc, że wszyscy mogli z niego odnieść jakąś korzyść i że warto by go wydrukować.

Wiemy również, jak inni zawyrokowali, że właściwie nic nie powiedział: Takie coś, to nie dla nas, ale dla księży - mówili... Komuś jeszcze nie podobała się długość referatu, który trwał ponad trzy kwadranse. Nic tu z głosów krytycznych nie chcemy przemilczać.

Wróciwszy, około północy do domu, nasi znaleźli bilet z zawiadomieniem o naznaczonej godzinie audiencji u Ojca św. Naznaczona została na dzień następny, na siódmą wieczór. Spraw do załatwienia miał Ksiądz Bosko tym razem siedem, ale z bileciku, na którym je zanotował, trudno właściwie domyśleć się, o co dokładnie chodziło. Umieścimy tu raczej wyjątek z zapisków księdza Barberisa, który przekazał nam rozmowę z Księdzem Bosko na temat przebiegu jego audiencji u Ojca świętego. Otóż w czasie tej rozmowy ktoś zauważył, iż ma wrażenie, że Ojciec święty bardzo chętnie przyjmuje Księdza Bosko. Owszem -odpowiedział tenże - bo ja zawsze prędko swoje sprawy załatwiam. Na posłuchanie trzeba iść z odpowiednim przygotowaniem i wiedzieć dobrze, o co się zamierza prosić. Niektórzy, by przedstawić, o co im chodzi, opowiadają długie historie, powtarzając stale jedno i to samo w kółko. Zwykle wtedy Papież im przerywa i mówi: Ale koniec końcem, o co właściwie chodzi?... I ja mam dużo rzeczy zwykle do poruszenia, ale je sobie zawsze zapiszę i odpowiednio ułożę. Stanąwszy przed Papieżem, w kilku słowach przedstawiam, o co mi chodzi. W razie, czego, gdy chodzi o rzeczy specjalne, co mi się często zdarza, to zacytuję równocześnie, że ten a ten Papież, taką a taką bullą, w takich okolicznościach postąpił tak i tak.. Wtedy w dwóch słowach mam wszystko załatwione przez Ojca świętego, który przy tym czasem zażartuje sobie, mówiąc: Ksiądz mało gada, by mnie nie męczyć, ale ja jeszcze gadam mniej... Czasem widząc bilecik w moim ręku, pyta:

Na którym to już numerze jesteśmy?

Na dwunastym. Zaraz go przedłożę Waszej Świątobliwości.

A ile jest wszystkich do załatwienia?

Osiemnaście, Ojciec święty.

No to jesteśmy na dobrym punkcie.

I owe osiemnaście spraw, a nie powiedziałbym, że błahych, załatwiłem w ciągu dziesięciu minut, podczas gdy inni na pewno każdą z nich omawialiby z kwadransem. Kiedy w ten sposób ja skończę swoje sprawy, wtedy Papież zaczyna rozmowę ze swej strony, która rzeczywiście już przeciąga się. To zaś, co najwięcej podoba się Ojcu świętemu jest to, że nigdy mu się nie sprzeciwiam, ani o nic nie nalegam. Jeśli coś uzna za stosowne mi udzielić, no to dobrze. Jeśli nie, drugie dobrze. Chcę jakichś wyjaśnień - to wyjaśniam. Zresztą, choćbym uważał za najbardziej wskazaną rzecz to, o co proszę, to nie pisnę ani słówka więcej, gdy zauważę na Jego twarzy, jakiś objaw niezadowolenia.

Życzliwość, jaką Pius IX przyjął Księdza Bosko tym razem, nie mogła być większa. Zaledwie go ujrzał, odezwał się życzliwie:

Słyszałem, że odczyt Księdza podobał się wszystkim bardzo - słuchano go z wielką przyjemnością... Czytam też bardzo chętnie listy od waszych misjonarzy drukowane w Unita Cattolica...

W dalszej rozmowie zapytał Papież, co by jeszcze mógł uczynić dla Zgromadzenia Salezjańskiego. Nie ma wątpliwości Ksiądz Bosko skwapliwie skorzystał z tak wielkiej dobroci, bo miał wiele różnych potrzeb.

Innych szczegółów z tej audiencji dowiemy się z jego własnych wypowiedzi po powrocie. Na razie zainteresujemy się korespondencją, rozesłaną nazajutrz po audiencji, czyli w samą Wielkanoc. Pierwsze dwa listy skierowane są do ks. Rua: jeden, lakoniczny jest raczej osobisty, drugi przeznaczony do odczytania go publicznie. Wzmianka o napiętej sytuacji w Rzymie, o której mowa w pierwszym liście, odnosi się do stosunków między państwem a Kościołem, zaostrożonych po upadku gabinetu prawicowego. A oto listy:

Drogi ks. Rua! Wczoraj rozmawiałem z Ojcem świętym, który mnie zatrzymał blisko godzinę. Wyraźnie oświadczył mi, że chce być naszym protektorem w pełni tego słowa znaczeniu. Gotów jest udzielać nam szczególniejszego poparcia i na zakończenie zapytał: Proszę mi powiedzieć, w czym mogę wam służyć, a wszystko spełnię jak najchętniej. W sprawie otwarcia zakładu w Rzymie trwają nadal pertraktacje. Sytuacja jest jednak tu bardzo poważna i nie wiem, czy zabierać się do takiego przedsięwzięcia. Zresztą zobaczymy, co będzie dalej... Módlcie się. Załączony tu list możesz przeczytać chłopcom zebranych w małym czy wielkim kościele według swego uznania.

Dobrze będzie pomyśleć o nowennie do Najświętszej Maryi Wspomożycielki. Napisz w moim imieniu list z zaproszeniem do ks. biskupa w Pinerolo i do tego z Alby, którzy jednak prawdopodobnie nie przyjadą. Potem naradz się z Kapitułą i stosownie do ich odpowiedzi zadecydujecie, czy wypada prosić kogoś innego. Muszę się poinformować dobrze w sprawach madama Monti /zmarła ona w tych dniach, dokazywała mi kilka razy swój testament, który był dla nas bardzo korzystny. Nie wiem, czy go nie zmieniła. Pan Bacchialoni, wykonawca testamentu, jest o wszystkim poinformowany. Niejaka Klara Castelli ma pretensje do tego spadku, ale madama Monti bezwzględnie jej odmówiła. Gdy wrócę do domu, to o ile nic się w testamencie nie zmieniło, to postaram się i ją zadowolić. List załączony możesz skopiować i posłać do Lanzo, względnie do innych zakładów. Pozdrów Doglianiego, Audisio i Macagno magazyniera. Wkrótce napiszę ci znowu. Moi towarzysze są zdrowi, zwiedzają Rzym. Gdy nadejdą słowniki greckie, pójdę z nimi na audiencję do Ojca świętego, Niech Bóg Ci błogosławi etc.

Drugi list:

Drogi Ks. Rua!

Posyłam dobre wieści dla Ciebie i dla wszystkich chłopców w Oratorium. Myślę, że zrobię wam przyjemność, opisując wczorajszą audiencję u Ojca św. o godzinie siódmej wieczorem /Wielka Sobota /. Trwała ona blisko całą godzinę. Z ojcowską iście dobrocią czytał Papież skierowane do niego adresy: markiza Fassati, księdza Barberisa i jego nowicjuszków, księdza Guanelli i Synów Maryi. Następnie przeglądał inne listy małe i wielkie. W ostatnim, pisanym przez Garonne, zauważył wiele błędów ortograficznych i stylistycznych. Ten - odezwał się żartobliwie Ojciec święty - będzie musiał się jeszcze solidnie przyłożyć, zanim stanie do egzaminu z literatury... Pytał również, czy wielu jest chłopców tak dobrych, jak Dominik Savio. Ja oczywiście odpowiedziałem, że tak.

A dużo ich?

Myślę, że kilku by się znalazło, ale większość to dopiero usiłuje nadać za nim...

A wielu macie nowicjuszków?

Kleryków jest 61, koadiutorów 35.

To doprawdy cud dobroci Bożej... A Synów Maryi ile jest?

We wszystkich domach razem będzie blisko setka; spodziewamy się, że niektórzy przywdzieją sutannę w październiku.

Czy w innych zakładach też macie powołania do stanu duchownego?

Owszem, wielu jest i po innych zakładach, co zgłaszają się do nas. Ci z Turynu odkładają swą decyzję do rekolekcji, kiedy i ja znajdę się między nimi.

A czy i wśród rzemieślników trafiają się powołania na salezjanów?

Owszem, były i są nadal. Odważniejsi z nich pojechali już nawet na misje do Argentyny, a nie brak nowych zgłaszających się czy do Ameryki, czy chcących pozostać na miejscu.

Z wielką przyjemnością czytam zawsze listy od Misjonarzy salezjańskich i proszę Boga, by błogosławił ich pracy tak zbawiennej.

Lecz teraz proszę mi powiedzieć, jak poradzicie sobie, by znaleźć tylu kandydatów. Wszak żąda się w listach dziesięciu nowych salezjanów i trzydzieści Córek Maryi Wspomożycielki...

Już wiele sióstr i wielu salezjanów przedłożyło mi prośbę, by mogli pójść w ślady swych poprzedników tam do dzikich okolic Pampas i Patagonii.

Ale i w Australii, w Indiach i w Chinach jest również wielka potrzeba misjonarzy. A tam niestety niektóre placówki misyjne wymierają dla braku nowych ochotników. Pisze mi jeden biskup z Japonii, że ma w swej diecezji blisko trzy miliony dusz, a tylko sześciu kapłanów. Czy moglibyście wy przyjąć jakąś placówkę misyjną w tamtych krajach?

O ile Wasza Świątobliwość raczy pobłogosławić naszych wychowanków i pomodlić się za nich, to mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli podjąć się misji i w Azji. Jest już nawet wyznaczony na to jeden kapłan, który wraz z innymi uczy się języka angielskiego, a dość dobrze ma już opanowany język hiszpański i francuski.

Ależ tak, z całego serca, błogosławię waszym chłopcom i błagam Boga o światło dla nich, by ci, co czują powołanie do stanu zakonnego, poszli za nim, nabywając potrzebnej wiedzy i cnoty. W tym celu udzielam wszystkim szczególnego odpustu zupełnego na ten dzień, w którym odprawiają spowiedź i przyjmą Komunię świętą.

Po tym Ojciec święty skierował dłuższą rozmowę na temat Synów Maryi i nowicjuszków. Następnie kazał sobie drobiazgowo opowiadać o domach w Nizza, w Ventimiglia, w Sampierdarena, jak również o mającym się otworzyć zakładzie w Rzymie. Inne szczegóły opowiem, gdy wrócę do Turynu. Tymczasem wszystkich was, moi drodzy chłopcy pozdrawiam. Kochajcie mnie nadal i módlcie się za mnie. W Niedzielę Białą odprawię za was Mszę świętą, a wy przyjmijcie Komunię św. w mojej intencji. Na pewno uczynicie to wszyscy, nieprawda? Dobranoc, moi drodzy. Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa niech będzie zawsze z wami i dopomoże wam uniknąć największego nieszczęścia, jakim jest grzech. Amen. Wasz serdeczny przyjaciel.

Ksiądz Jan Bosko. Rzym

Wielkanoc, 16.04.1876 r.

Na audiencję Święty wraz ze wspomnianymi prośbami, przyniósł również zbiorowe adresy z Oratorium od aspirantów, Synów Maryi, gimnazjalistów i rzemieślników. Ostatnie trzy podpisane były tylko przez ich przedstawicieli. Lecz pismo od nowicjuszków Ksiądz Bosko chciał, by było podpisane przez nich wszystkich wraz z ks. Barberisem, jako dyrektorem nowicjatu. Powód był ten, że wśród wielu zarzutów, jakie wytaczano przeciw Księdzu Bosko i jego Zgromadzeniu, podawano brak w nim nowicjatu. Mógł, więc w ten sposób Ojciec święty naocznie stwierdzić imiona i nazwiska nowicjuszków i tego, który nimi kierował. Na liście widniało 96 podpisów. A oto, co pisze do ks. Barberisa o wręczeniu tychże adresów:

Drogi ks. Barbaris! Przynoszę dobre wiadomości, a ty jesteś pierwszy, który je odbierasz. Wczoraj o godzinie siódmej byłem na godzinnej prawie audiencji u Ojca św. Mówiło się wiele o Zgromadzeniu i o naszych drogich nowicjuszach. Przy czym Ojciec święty przeczytał od początku do końca ich pismo a przy podpisach dowiadywał się szczegółów o każdym z osobna. Próbowałem Go zadowolić. Ojciec święty był z mojego sprawozdania bardzo zadowolony i wyraził się, że tak wielka liczba nowicjuszków jest prawdziwym cudem dobroci Bożej. A następnie tak dosłownie ciągnął dalej:

Są to nowe oliwki, które trzeba pielęgnować. Ale trzeba, żeby roślinki pozwoliły ogrodnikowi poobcinać korzenie czy pędy zbyt wysokie i szkodliwe, by pozwoliły wyrwać koło siebie perz i wytępić robactwo, które by je mogło niszczyć. Ksiądz to dobrze rozumie, niech się postara im to wytłumaczyć szerzej. Delikatne te roślinki niech naprzód same się rozrosną, by później zdolne były przynieść plon swemu właścicielowi. Bo biada gdy drzewko pozostanie płonne nie przynosi owocu.

Staje się ono całkiem bezwartościowe. Niechże Bóg błogosławi te roślinki, niechże nimi kieruje i niech sprawi, by owocowały, na Jego większą chwałę. Następnie wziął pióro do ręki i pod waszym pismem skreślił: Dominus vos benedicat etc, ... jak to możesz widzieć na oryginale, który zwracam, gdyż nosi na sobie firmę samego Ojca świętego. Pozdrów mi w szczególniejszy sposób Pelozo, Schiapino, Tosello itd. Więcej napiszę kiedy indziej. Niech was Bóg błogosławi itd. PS. Otrzymałem twój list i zgadzam się na wszystko, co piszesz. Pochwalam przechadzki urządzone dla nowicjuszków.

Tu potrzebna krótka uwaga odnośnie do postscriptum. Te dwa krótkie zdania nie odnoszą się jednak do tej samej rzeczy, jak na pozór wygląda. Otóż owo „zgadzam się na wszystko” jest odpowiedzią na zapytanie księdza Barberisa, który głosząc rekolekcje w Borgo S. Martino, stwierdził, że tam w ciągu roku nie mówiono nic młodzieży o powołaniu duchownym. Jego zdaniem, po kolegiach powinno się omówić z wychowankami trzy rzeczy :

1. Że w sprawie powołania nie powinni decydować sami, ale poradzić się spowiednika;
2. Uczniowie wyższych klas nie powinni zwlekać z podjęciem decyzji do samego końca roku szkolnego, lecz uważać czas rekolekcji, jako czas najbardziej stosowny do zastanowienia się nad swą przyszłością;
3. Starsi powinni omówić tę sprawę na spowiedzi.

Ks. Barberis utrzymywał nawet, że już w ostatnich klasach szkoły podstawowej trzeba sprawę powołania poruszać, gdyż ci chłopcy, po jej skończeniu staną na rozdrożu czy iść do gimnazjum, czy do szkoły zawodowej. Na temat tego właśnie chciał mieć decyzję Księdza Bosko, którego zapytywał nawet, czy nie byłoby stosowne jakim okólnikiem zwrócić na to wszystkim uwagę. Otóż lakonicznym „zgadzam się na wszystko” otrzymał pełne zatwierdzenie swojego punktu widzenia.

Ostatni list wielkanocny, zawierający pewne dane o audiencji u Papieża, skierowany był do rodziny Corsi spowinowaconej z hrabią Cezarem Balbo.

Przezacna pani hrabino! Wczoraj byłem na audiencji u Ojca świętego i miałem sposobność dłużej rozmawiać o jej rodzinie. Poprosiłem go przy tym o szczególniejsze błogosławieństwo dla wszystkich jej najdroższych, którego udzielił z całego serca słowy: Niech Bóg błogosławi i hojnie obdarzy łaskami hrabinę Corsi, o której mi Ksiądz mówi, niech ją umocni na duchu i w miłości. A jej rodzina niech wzrasta w zdrowiu, bogacąc się obfitością skarbów świętej bojaźni Bożej. Spieszę, więc niniejszym to błogosławieństwo jej zakomunikować, bym nie zapomniał. Czy pani hrabina będzie w najbliższym czasie w Rzymie? Ja się tu zatrzymam jeszcze dwa tygodnie. Ostatnio otrzymałem smutną wiadomość o śmierci madama Monti. Pomagała nam ona i materialnie i duchowo. Polecam ją modlitwom pani hrabiny.

Proszę w nich nie zapominać i o tym biedaku, który o niej wzajemnie będzie pamiętał w swych pacierzach i pozostaje zawsze uniżony sługa w Chrystusie Panu. Ksiądz Jan Bosko podobne listy wysłał w owych dniach jeszcze do hrabiego Eugeniusza De Maistre i do baronowej Ricci.

Warto tu przytoczyć jeden szczegółik dotyczący formuły zakończeniowej listów pisanych przez Księdza Bosko, o czym zachował pamięć ks. Józef Vespigniani, który był sekretarzem księdza Rua do 1877 roku.

Otóż, kiedy on kończył listy wyrażeniem: „devotissimo” - ksiądz Rua zwrócił mu uwagę, ażeby ten zwrot zastąpił wyrazem „obligatissimo”, albo innym podobnym, zaznaczając przy tym, że takie wyrażenia, jak „devozione, devoto i devotissimo” Księdzu Bosko zdawały się za zbyt święte, by można nimi posługiwać się odnośnie do świeckich. Przy tym i to zaznaczył, że unikał on także i przymiotnika „divino” w odniesieniu do przedmiotów nie mających nic do czynienia z bóstwem.

W Oratorium listy Księdza Bosko, czy ks. Durando i Berto, były odczytywane publicznie, oczywiście z pominięciem spraw bardziej delikatnych, dotyczących np. jakichś nieporozumień ogółowi mniej znanych. Jeszcze mamy oryginały tych listów z zakreśleniami, co przy publicznej lekturze miało być opuszczone. Łatwo sobie wyobrazić, jakie te listy robiły wrażenie i jak wszystkich podnosiły na duchu. Wielu wtedy odpisywało na nie Księdzu Bosko, inni nawet układali listy do Ojca świętego z podziękowaniem. Tak uczynili nowicjusze, dziękując za słowa zachęty i Księdzu Bosko, i Papieżowi. Ks. Barberis ze swej strony tak pisał:

Radości nie było granic. Zebraliśmy się zaraz z nowicjuszami na konferencję, na której odczytałem im słowa z listu Księdza, które Ojciec święty do nas raczył skierować. Odczytaliśmy też wspólnie adres skierowany do Jego Świątobliwości, by tak wszyscy czuli się bardziej zobowiązani do zachowania tego, co w liście było przyrzeczone. Prosimy na następnej audiencji podziękować Ojcu świętemu w naszym imieniu.

Wśród listów przeznaczonych dla Papieża, znajdował się również list od członków Towarzystwa Niepokalanej, zawierający podpisy 31 chłopców, z których bezwzględna większość została później salezjanami. Widać z tego, że Ksiądz Bosko osiągał w pełni cel, dla którego powołał do życia Towarzystwo Niepokalanej. Komentuje to w swej kronice ksiądz Barberis pod datą 23 kwietnia:

Przyjmuje się do tego towarzystwa szczególnie starszych, którzy mają bezpośrednio powziąć decyzję o swej przyszłości. Według myśli Księdza Bosko, jest ono uważane, jako ostatni stopień przed przyjęciem do Zgromadzenia, o czym członkowie nawet nie spostrzegają się. Należy to do sekretów Oratorium, że wciąż się nieznanie młodzież na różne konferencje i do stowarzyszeń, by ją odpowiednio urobić duchowo i zainteresować sprawami Zgromadzenia tak, że ona następnie samorzutnie wstępuje do niego, uważając przyjęcie za szczególną łaskę.

Obecnie przechodzimy do dalszych spraw, pozostających w związku z pobytem Księdza Bosko w Rzymie w owym roku, a mianowicie do kłopotów z Kurią turyńską, kontaktów z osobistościami politycznymi, nowych fundacji, wreszcie łask duchownych uzyskanych od Ojca świętego.

Kłopoty turyńskie towarzyszyły Księdzu Bosko i do Rzymu. Ks. Berto, pod datą 20 kwietnia, pisał do ks. Rua: „Arcybiskup turyński przysporzył mi pracy. My budujemy, a on stara się zburzyć”.

A ks. Durando dopisuje w innym liście: - Wojna zacięta trwa przeciwko naszemu Zgromadzeniu, ale z pomocą Boską, przy łaskawości Piusa IX wszystko się przezwycięży.

A znowu kiedy indziej - ks. Berto: Tu w Rzymie nieprzychylnie nastawienie arcybiskupa względem nas jest znane we wszystkich zgromadzeniach i o czym nas uprzedzają, żebyśmy się mieli na baczności i bronili się przed atakami.

Wspomniana wyżej robota dla sekretarza Księdza Bosko polegała najprawdopodobniej na wypracowaniu odpowiedzi urzędowej przeciw zarzutowi, jakoby Ksiądz Bosko pozmieniał samowolnie czy nawet sfalszował tekst autentyczny Reguł. Prócz tego musiał jeszcze zbierać argumenty na obiekcje z Turynu przeciwko przyznaniu przywilejów Zgromadzeniu, o czym była już mowa w rozdziale XXI poprzedniego tomu.

Zresztą dla zorientowania się w sytuacji, wystarczy wziąć pod uwagę następujący wyjątek z listu arcybiskupa do jego adwokata, będącego zarazem rzecznikiem Księdza Bosko przy Kongregacji Biskupów i Zakonników: Napisałem list do św. Kongregacji, w którym żądam, by mnie powiadomiono, o jakie przywileje ubiega się Ksiądz Bosko dla swego Zgromadzenia, gdyż mam wszelkie dane po temu, by przypuszczać, iż:

1. przytaczane przez niego motywy zawierają skargi na mnie;
2. że moja jurysdykcja biskupia może przez nie doznać uszczerbku. Dotąd na to pismo nie otrzymałem odpowiedzi, a chciałbym ją mieć, by wiedzieć, jak sobie postąpić i ewentualnie, co napisać w tym względzie do Ojca świętego.

Jutro Ksiądz Bosko udaje się do Rzymu w tej sprawie...

Że łaskawość Piusa IX nie była tylko urojeniem księdza Durando, to poza tym, co się wyżej powiedziało, potwierdza to jeszcze świadectwo monsignora Andrzeja Scottona,

z którym na prywatnej audiencji Ojciec święty rozmawiał wiele o „sprawach salezjańskich”

i o pożałowania godnej niezgodzie turyńskiej. Między innymi wspominając o wysiłkach monsignora Gastaldiego nad uaktywnieniem rosminianizmu, tak się wyraził: No tak... Rosminianie robią coś dobrego, lecz proszę mi wierzyć, nie są oni tak przywiązani do Stolicy świętej, jak Ksiądz Bosko i jego salezianie.

W owych dniach arcybiskup Gastaldi zdecydował się napisać do Ojca świętego, że ma zamiar zrezygnować z biskupstwa, gdyż nie może nieść nadal uporczywych ataków na niego i innych przykrości jeszcze gorszych. I tak pisze: Mam tu w mieście jednego kapłana, który, jeśli zrobił i robi dużo dobrego w mej diecezji, to jednak przy tym utrudniał mi i utrudnia wielce moją pracę, wygadując na mnie tak wśród duchowieństwa miejscowego, jak przed biskupami sąsiednimi. Ponieważ ma on otrzymać nowe przywileje, chciałbym wreszcie raz skończyć te ciągle z nim się borykanie. Jestem zwalczany przez niedowiarków i bezbożników, przez liberałów, nie wykluczając niegodnych kapłanów, a teraz spostrzegam się, że nawet w centrum chrześcijaństwa nie ma się do mnie zaufania, które przecież jest mi niezbędne przy pełnieniu moich obowiązków w tych smutnych czasach, w których to przewrotny duch buntu opanował także część kleru. Wolałbym zatem usunąć się i ostatnie lata życia spędzić na najbliższym przygotowaniu się na sąd Boży. Turyn, 3 kwietnia 1876 r.

Papież odpowiedział mu, że nie podziela tej myśli i radzi dłuższe zastanowienie się i modlitwę przed ostatecznym powzięciem decyzji.

Odnosnie do żalów arcybiskupa, jakoby do niego w Rzymie nie miano zaufania, Ojciec święty tak się wypowiedział przed monsignorem Sbarretti: Nie wiem, czym właściwie mogłem dotknąć arcybiskupa turyńskiego. Chyba tym, że pisząc do niego, zwróciłem mu uwagę, by był powolniejszym w nakładaniu kar kościelnych. Tenże monsignore taką raz zrobił uwagę księdzu Berto: „... Papież udzielił Księdzu Bosko władzy, o którą prosił ad tempus: na trzy lata we Włoszech, a na pięć poza nią; a udzielił jej ustnie, nie drogą reskryptu, po pierwsze, dlatego, że urzędnicy Kongregacji Biskupów i Zakonników byli na feriach wielkanocnych, a po wtóre, by nie dowiedział się o tym arcybiskup. Możecie z tego przywileju korzystać tak, jak był podpisany przeze mnie

Przywilej, o którym tu mowa, to przywilej udzielania święceń extra tempora. Z tych samych powodów, z jeszcze większą ostrożnością, otrzymał Ksiądz Bosko dyspensę od litterae testimoniales. Ale do tego jeszcze powrócimy.

W tym czasie wyszła także na jaw nowa próba przejednania monsignora Gastaldiego, a to ze strony monsignora Galietti, biskupa z Alby. On sam napisał o tym do Księdza Bosko, zawiadamiając go, że nie będzie mógł wziąć udziału w uroczystości ku czci M B Wspomożenia Wiernych:

Czcigodny i drogi Księżu Bosko! W pełnym zaufaniu, odpowiadając na jego zaszczytne zaproszenie, muszę wyjawić, że w obecnej sytuacji, z mej strony byłoby rzeczą nieroztropną zjawić się w Turynie, w charakterze kaznodziei, na nowennę MB

Wspomożenia Wiernych. A to z następującego powodu: Parę tygodni wstecz ufając w swoje słabe siły, napisałem list w obronie drogiego nam wszystkim Księdza Bosko do arcybiskupa, próbując zbliżyć tych dwóch Mężów Bożych, których - jak wiadomo - nie łączą dobre stosunki wzajemne. Lecz Bóg mnie upokorzył i nie potrafiłem uzyskać nic innego, jak tylko bardziej rozgoryczyć tego, którego chciałem przejednać. I tak powiększyłem jeszcze to rozdarcie nie tyle serc ile umysłów. Bonum. Domine, quia humiliasti me, ut discam iustificationes tuas... Tyle w największym sekrecie. Może biskup z Pavia godniej mnie zastąpi podczas waszych uroczystości. Wyrazy uszanowania i pozdrowienia w Panu.

Oddany mu sługa Eugeniusz, biskup,

/Alba, 28.04.1876 r./

Pod tą samą datą mamy list adwokata Menghini, będący najchlubniejszym świadectwem dla Księdza Bosko. Należy mieć na uwadze, iż Menghini był również adwokatem arcybiskupa turyńskiego, a umiał bardzo pięknie połączyć te dwa zadania w granicach dyktowanych mu przez honor i sumienie. Tak on pisze: Ksiądz Bosko stoi twardo i utrzymuje, że niczym nie ubliżył w swoich pismach własnemu zwierzchnikowi. I rzeczywiście mówiąc prawdę, we wszystkich listach kierowanych do władz kościelnych zachowuje należyty umiar, co wywiera bardzo dodatnie wrażenie na niektórych kardynałach.

Ks. Bosko broni się, nie atakuje - powiedział on razu pewnego o sobie księdzu Francesia - gdy była mowa o tych, którzy go podzegli do ostrzejszych wystąpień: Zakończymy ten nieprzyjemny temat wzmianką o incydencie odnośnie do święceń. Ks. Rua wysłał do Kurii listę kleryków, z prośbą o wyświęcenie ich na suche dni Zielonych Świąt. Pismo, to zwrócone zostało, jako nieformalne. Ks. Rua ponowił prośbę, stosując się skrupulatnie do zakomunikowanych mu uwag, ale mimo to odpowiedź była negatywna. Łatwo pojąć, jak przykre były dla Księdza Bosko podobne odmowy.

A oto dwa sny, jakie Ksiądz Bosko opowiedział w kwietniu swojemu sekretarzowi:

W nocy z 6 na 7 kwietnia ks. Berto słyszał, jak Ksiądz Bosko we śnie wołał: Antoni, Antoni. Rano więc zapytał Świętego, czy mu się coś śniło, że tak wołał. Zdawało mi się - odpowiedział tenże - że stoję na schodach bardzo wąskich, a oto zjawia się przede mną hiena, nie pozwalając mi ruszyć się z miejsca. Wtedy to widocznie usłyszałaś, jak wołałem na pomoc Antoniego, mojego brata zmarłego już dawno. Na ten krzyk hiena posunęła się ku mnie, rozdziawiając swą paszczę. Ja nie widząc innego wyjścia, wetknąłem jej rękę w gardło i w tak ciężkiej opresji nikt nie spieszył mi z pomocą. Aż nareszcie ujrzałem schodzącego z gór pasterza, który odezwał się do mnie: Pomoc musi przyjść z nieba, lecz by ją otrzymać, trzeba najpierw zejść na dół. Im więcej się

kto uniża, tym pewniejsza pomoc. Ta bestia nie wyrządza szkody, jak tylko temu, kto się sam naraża. Na te słowa obudziłem się.

Innej nocy śnił powtórnie i tak to opowiedział: Zdawało mi się, iż jestem w swej miejscowości rodzinnej, gdzie naraz ujrzałem Papieża. Nie mogłem jakoś przekonać się, że to on we własnej osobie i dlatego zagadnąłem go:

Jakże to, Ojczyści, tak bez karocy?

Owszem, owszem, pomyślę o niej. Moją karocą będzie: wierność, męstwo i słodycz. Papież widocznie jednak był wyczerpany z sił i wzdychał: Już się kończę.

Och, nie, Ojczyści - zaoponowałem. Dopóki sprawy naszego Zgromadzenia nie zostaną ukończone, to nie można umierać.

Wtem zjawia się karoca, lecz bez koni. Któżby ją, więc miał ciągnąć? Aż tu zjawiają się trzy zwierzęta: pies, koza i owca, które pociągnęły karocę papieską. W pewnym jednak miejscu nie mogły już ruszyć dalej. A Papież wyraźnie tracił siły. Wyrzucałem sobie, że nie zaprosiłem Go do domu i nie pomyślałem o jakimś posiłku dla Niego. Lecz uspokoilem się tym, że gdy staniemy przed mieszkaniem wikarego w Murialdo, zrobi się wszystko. Widząc, że powóz stoi nieruchomo, ująłem za deskę wystającą z tyłu, by go popchnąć. A wtedy Papież zawołał:

Gdyby tak Księdza widziano w Rzymie, to by się dopiero śmiano z niego... I obudziłem się.

Z osobistościami politycznymi tym razem Ksiądz Bosko miał mało do czynienia w Rzymie. Złożył tylko wizytę p. Melogari, ministrowi spraw zewnętrznych, polecając mu swoje misje obecne i przyszłe. Minister, który okazał się bardzo grzeczny, obiecywał złote góry, ale skończyło się tylko na słowach.

Do tematu misji powrócił także Ksiądz Bosko w rozmowie z premierem Dopretis w Lanzo. Także i on obiecał poprzeć jego wnioski o zasiłki, przyrzekł wydać polecenia do podległych sobie urzędników, i że sam się tym osobiście zajmie, słowem, że zrobi się wszystko itd. Ale kiedy wpłynęła prośba z Oratorium o konkretną subwencję, otrzymał w odpowiedzi kilka komplementów i ogólnikowi usprawiedliwianie się, że na razie to niemożliwe. I na tym koniec.

Wysłał też księdza Durando, celem złożenia wizyty p. Coppino, ministrowi oświaty. Ten, mimo że wiele osób czekało w przedpokoju na swoją kolejkę, rozmawiał z nim z wielką uprzejmością przeszło 20 minut, nie szczędząc superlatywów pod adresem Oratorium i innych zakładów salezjańskich, które znał bardzo dobrze. Chwalił sprezentowane słowniki, przeglądał je, przeczytał wstęp, wyrażając pełne swe uznanie.

„Wszystko to było bardzo piękne - pisał potem ks. Durando - ale można wątpić, czy całkiem szczerze”

Niestety w czasach rządów sekciarskich stale trzeba było mleć na uwadze, że po grzecznych słowach mogą nastąpić zgoła przeciwne czyny. Ksiądz Bosko pomimo

to respektował i chciał, by szanowano władze państwowe w przekonaniu, że uzyskał już wiele, jeśli uniknął z ich strony szykan i wrogich ataków. Kierując się tym pojednawczym usposobieniem, ułatwiał sobie nieraz przeprowadzenie swoich planów, czy łagodzenie oporów przeciw działalności Kościoła. Jego zdaniem na radykalne pociągnięcia nie był wtedy czas odpowiedni. Wszelkie zabiegi, by sprawy między państwem a Kościołem doprowadzić do normalizacji, wywoływały zastrzeżenia z obu stron. Podobne wysiłki uważano wprost za naiwne.

Co dotyczy otwarcia nowych zakładów, zarówno w Rzymie, jak i poza nim, to takich propozycji było kilka. Już w roku 1875 była mowa o oddaniu pod kierownictwo salezjanów kolegium w Ceccano. Pośredniczył w tym kardynał Berardi. Propozycja zaś wyszła od jego brata. Wywołała ona zacięte sprzeciwy ze strony duchowieństwa rzymskiego, które czuło się urażone tym, że tak piękny zakład oddawano w zarząd jakiemuś tam księdzu z Piemontu. Oczywiście trzeba tu mieć na uwadze owe czasy, w których do wielu spraw podchodzono z innymi kryteriami, niż obecnie. Wszak dopiero pięć lat upłynęło od 20 września 1870 roku, kiedy to Piemontczycy zabrali Rzym Papieżowi. To też przez ogół Rzymian uważani byli, jako „buzzurri”, czyli po prostu mówiąc czyścibuty, czy kominiarze, którzy spadli z deszczem z północy półwyspu. Powtarzano sobie na ich temat różne dowcipy, a ich stosunek do Rzymian można by przyrównać do tego, jaki był między Samarytanami a Żydami. Nic więc dziwnego, że w takich okolicznościach Ksiądz Bosko usłyszał od hrabiny Altieri, która go bardzo ceniła, iż wniosek na zebraniu Towarzystwa dla spraw katolickich oddania mu szkół papieskich pod kierownictwo, nawet nie był omawiany, gdyż uważano, że to przyniosłoby ujmę klerowi miejscowemu. To samo powtórzyło się w roku 1880, kiedy to brat kardynała, widząc, że pijarzy zdołali zaledwie zwerbować do tego zakładu im powierzonego siedmiu uczniów, chciał na nowo nawiązać pertraktacje z Księdzem Bosko i sądował w tym względzie teren. Ale wtedy Ksiądz Bosko, zbyt dobrze zorientowany w sytuacji, wymówił się od objęcia tego zakładu tym, że już jest mocno gdzie indziej zaangażowany.

Razu pewnego zainterpelował go kardynał Prefekt Propagandy:

Dlaczego Ksiądz Bosko myśli o dalekich misjach, a nie chce otworzyć zakładu w Rzymie ?

A dlaczego - odpowiedział tenże - Wasza Eminencja nie stara się o znalezienie mi tutaj jakiegoś lokalu? Ja nie żądam nic więcej jak tylko jakiegoś baraku, gdzie bym mógł zbierać chłopców.

O, jeśli tylko to wystarczy, to proszę zdać się na mnie. Tyle to ja już wynajdę. Sądziłem, że Ksiądz będzie żądał wielkich kapitałów, ale taką drobnostkę, to już na pewno się wykombinuje.

Już wielu mi tak mówiło, ale jak dotąd skończyło się zawsze tylko na obietnicach. Nie wątpię o dobrej woli Waszej Eminencji, lecz z powodu tylu zajęć, po prostu wypadnie to z Jego pamięci, a względnie zabraknie czasu...

Niech Ksiądz będzie spokojny, już ja o tym pomyślę.. I stało się, jak Ksiądz Bosko przewidywał. Już więcej o tym nie było mowy.

Podobny wynik miała rozmowa, jaką Ksiądz Bosko przeprowadził ze znaną nam już hrabiną Altieri, która również mu stawiała propozycję: Jeżeli Ksiądz Bosko zechce otworzyć dom w Rzymie, wówczas moja sakiewka i moja osoba będą całkowicie na jego usługi.

Na początku, czy na końcu każdego miesiąca – zagadnął Ksiądz Bosko.

To obojętne, kiedy.

Dla mnie nie obojętne - zaznaczył Święty. Na początku miesiąca sakiewka jest pełna, a przy końcu... przy końcu sakiewka będzie próżna, bo Wasza Ekscelencja rozdaje tyle jałmużn, że...

Na początku, w środku... przy końcu...

No jeżeli tak, to dobrze.

Pewno, że nie był to czczy komplement ze strony tej zacnej pani, która nawet listownie potwierdziła tę swą obietnicę. Lecz Ksiądz Bosko znając jej szczodrość i wiedząc, jak wiele innych instytucji dobroczynnych na nią liczyło, niewiele sobie z tego wszystkiego obiecywał. I dlatego też wymijająco odpowiadał.

Silny nacisk wywierał na niego kardynał Franchi, Prefekt Propagandy w sprawie misji na wschodzie. W tym właśnie czasie zawakowały trzy wikariaty apostolskie w samych Chinach, a już w ciągu paru lat miała się ich liczba powiększyć do piętnastu. Gdyby wtedy Ksiądz Bosko miał gotowych do dyspozycji pracowników ewangelicznych, to zaraz mógłby ich wysłać do Azji i to nie na własny koszt, lecz Kongregacji Propagandy. Sam Ojciec św. wyraził w tym względzie gorące swe życzenia. Ksiądz Bosko przyrzekł, że zrobi wszystko, co będzie mógł, ale na razie musi jeszcze poważnie myśleć o utrwaleniu misji przyjętej już w Ameryce. Odnośnie do działalności salezjanów w Argentynie, przedłoży konkretne wnioski tak Kongregacji Propagandy, jak samemu Papieżowi. Żądał utworzenia Prefektury apostolskiej w Patagonii i prosił o wydatną pomoc, celem przyspieszenia ewangelizacji tamtejszych ludów.

Środkami stosownymi do tego miało być otwieranie wokół granic Patagonii schronisk i zakładów wychowawczych, celem ściągnięcia tam dzieci Indian, nawiązania w ten sposób kontaktu z ich rodzinami i naczelnikami plemion i wychowanie tubylczych misjonarzy, zdolnych oddziaływać na swoich współplemieńców. Ojciec święty wziął bardzo poważnie te projekty, nalegając na kardynała Franchi, by je przestudiował i następnie mu zreferował. Dla ułatwienia tej pracy Święty przesłał na piśmie do Kongregacji szczegółowe informacje o sytuacji współczesnej tamtejszych krajów uzupełnione danymi historycznymi

i geograficznymi, gdyż zauważył, że o tych terenach miano w Rzymie bardzo słabe pojęcie.

Najwięcej jednak zabiegów kosztowała księdza Bosko sprawa przywilejów. Ale o tych jego staraniach mało wiemy. Widać, że wobec wrażliwości kwestii, nie wtajemniczał nawet swych najbliższych o przebiegu pertraktacji. Gdy zawiodły nadzieje na otrzymanie przywilejów in corpore, nie zaprzestał starań o zdobycie ich z osobna wraz z różnymi odpustami. Uzyskał w ten sposób dwa brewe papieskie, zatwierdzające Dzieło Synów Maryi Wspomożycielki i Pobożny Związek Pomocników. Uzyskał również na stałe dla Przełożonego Generalnego Zgromadzenia władzę udzielania pozwoleń na czytanie ksiąg zakazanych swoim podwładnym. Najważniejsze dla niego było to, co uzyskał na audiencji 3 maja, a mianowicie, że wszyscy przebywający w jego zakładach, byli zwolnieni od proszenia biskupów o litterae testimoniales, który to przywilej następnie rozciągnięty został na wszystkich wstępujących do Zgromadzenia. Wtedy także otrzymał przywilej extra tempora, o którym już była wzmianka.

O innych łaskach jest wzmianka w poniższym liście do ks. Cagliero:

Mój drogi ks. Cagliero! Piszę ci z Rzymu, a mając wiele spraw do zakomunikowania, będę je numerował.

1. Ojciec św. wyraził wielkie zadowolenie z naszej misji w Argentynie i chwalił przy tym ducha prawdziwego katolicyzmu, jakim ożywieni są salezjanie. Czytuję - powiedział mi - wszystkie listy stamtąd przychodzące i doprawdy bardzo mi się podobają. Udzielił wam wszystkim błogosławieństwa apostołskiego, oświadczając przy tym gotowość dopomagania nam w każdej potrzebie.

2. Wśród przyznanych licznych przywilejów i łask duchowych jest i przywilej extra tempora i ten, że wszystkie nasze domy mają prawa parafialne i ten, że spowiednicy zatwierdzeni w jednej diecezji, mogą spowiadać wszędzie indziej.

3. Załączam list do p. Beniteza z błogosławieństwem Ojca świętego, który mu przyznał tytuł komandora.

4. List dla ks. Ceccarelli zawiera słowa zwrócone przez Ojca św. pod jego adresem i równocześnie tytuł „Ekscelencji” przysługujący mu jako tajnemu szambelanowi papieskiemu. O tym jednak na razie nic nie mów. Dopiero, gdy otrzymasz pisma papieskie, porozumiej się z ks. Fagnano i wręczycie je uroczyście, zaprosiwszy na te chwile Komitet Opiekuńczy kolegium i przyjaciół naszych wspólnych. Ks. Tomatis niech napisze okolicznościowy dialog, a potem wręczą na tacy dyplomy, przy czym ty i ks. Fagnano będziecie obecni. Uroczystości tej należy nadać jak największy splendor.

5. Ojciec św. wyrażał się bardzo życzliwie o arcybiskupie w Buenos Aires i zdaje się, że ma względem niego jakieś wyróżniające zamiary. Napiszę mu o tym osobno. Papież proponuje nam objęcie trzech wikariatów w Indiach, jednego

w Chinach i jednego w Australii. Przyjąłem jeden w Indiach, ale zażądałem przynajmniej 18 miesięcy czasu dla przygotowania odpowiedniego personelu. Kardynał Franchi zapewnił mnie, że to nie będzie żadnym ciężarem dla Zgromadzenia.

6. Wobec tego potrzeba, abyś wrócił do Europy. Podaj mi zaraz, jakie tam są potrzeby personelu, czy salezjanów, czy siostr, abyś mógł czym prędzej powrócić na Valdocco i pomyśleć o otwarciu domu w Rzymie, a następnie zrobić wycieczkę do Indii.

7. Sprawa otwarcia domu w Rzymie jest już zadecydowana. Być może, że gdy powrócisz, to już będziesz mógł w nim zamieszkać. I tak idziemy powoli naprzód, jak przystoi na porządnym Bougianen / tak nazywano Piemontczyków, którzy w przeciwstawieniu do południowców trzymali się zasady: va piano, va sano — co po polsku znaczyłoby: jak ci pilno, to sobie siądź /.

8. Przedłóżysz również arcybiskupowi, że jest życzeniem Ojca świętego, byśmy otwierali schroniska i zakłady wychowawcze, możliwie w pobliżu szczepów patagońskich, by w ten sposób nawiązać z nimi kontakt.

9. Zmarła p. Orselli Felicyta, jak również madama Monti. Tę ostatnią wedle tego, co pisze ks. Rua, zmuszono do zmiany testamentu w czasie mej nieobecności. Załatwiamy tu cały szereg projektów wprost bajecznych, które jednak z chwilą, gdy zostają urzeczywistnione, cieszą się szczególnym błogosławieństwem Bożym i tak nasze sprawy idą całą parą naprzód. Powód to poważny, by się modlić, dziękować, ufać, czuwać.

10. Czekam sprawozdania finansowego ze zaznaczeniem, jak wykorzystaliście inwentarz ze sobą przywieziony i czy otrzymaliście to, co było wam wysłane później.

11. Nie wyobrażasz sobie, ile pozdrowień zasyłają stąd tobie i twoim: kard. Antonelli, Berardi, Sbarreti, Fratejacci, Menghini, Sigismondi Aleksander i Matylda, Bersagni

i tylu innych łączą życzenia i błogosławieństwa. Ks. Berto jak zwykle sekretarzuje. Ks. Durando i ks. Pecchino są tutaj w Rzymie. Przywieźli egzemplarze swoich słowników Ojcu świętemu. Jutro będą na audiencji. Zasyłają ukłony.

12. To, co piszę do ciebie, zakomunikuj również księdzu Fagnano i pro rata parte - innym. Pozdrów ode mnie wszystkich przyjaciół i dobrodziejów, zawiadamiając ich o błogosławieństwie Ojca świętego. Kiedy zaś będziesz miał konferencje do salezjanów, zapewnij ich, że ich kocham bardzo w Chrystusie Panu i modlę się codziennie za nich. Niech i oni kochają się wzajemnie, niech każdy robi, co może, by zyskać sobie przyjaciół i usunąć coram Domino jakikolwiek motyw do sprzeczek, czy nieporozumień. Oczekujemy zawsze z niecierpliwością wiadomości od was.

Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa niech będzie z wami. Amen.

Rzym, dnia 27.04.1876 r.

Na audiencję, 3 maja, udał się ks. Bosko ze swym sekretarzem i z księżmi: Durando i Pecchino, mającymi ofiarować Ojcu świętemu swoje słowniki ładnie oprawione. Ks. Berto złożył na ręce Ojca świętego dwa listy: jeden od Towarzystwa Najświętszego Sakramentu; drugi od Małego Kleru. Papież rzuciwszy na nie okiem, odłożył je na bok, mówiąc: Przeczytam je jutro, gdy będzie widniej. Gdy zaś poinformowano go o celu tych stowarzyszeń, zawołał:

Bravo - bardzo to stosowne środki dla pomnożenia ducha pobożności wśród młodzieży. Następnie udzielił błogosławieństwa towarzyszom Księdza Bosko i pożegnał ich kilku miłymi żarcikami, zatrzymując przy sobie na blisko jeszcze godzinę Księdza Bosko.

Trzecia i ostatnia audiencja w czasie tego pobytu księdza Bosko w Rzymie, odbyła się 11 maja, o pierwszej po południu. Czekać w przedpokoju, Ksiądz Bosko dowiedział się od monsignora Sanmignattelli, jak go Ojciec św. wysłał na posiedzenie „Arcadii” pragnąc dokładnie wiedzieć o jego przebiegu. Wszystko było piękne - zauważył monsignore, ale zakończenie przeszło oczekiwania wszystkich i wszystkim się wysoce podobało, najwięcej zaś zadowolony był Ojciec święty.

W otoczeniu Papieża przybyli kardynałowie Franchi i Bartolini. W sali oczekiwały różne osobistości, między nimi arcybiskup z Barcelony. Oto kwiat z waszego ogrodu - rzekł do Księdza Bosko Pius IX, wskazując mu sekretarza. A wtedy Ksiądz Bosko tak przemówił: Ojciec święty, pozwól, bym złożył u twoich stóp hołdy i życzenia całego Zgromadzenia Salezjańskiego. Raczy Wasza Świątobliwość również przyjąć i modły, które salezjanie zanoszą do Boga o jego zdrowie i długie lata życia.

Fiat, fiat - odpowiedział Ojciec święty - abyśmy mogli skutecznie nasze zamiary. Następnie pobłogosławiwszy obecnych, oddalił się powoli, a za nim szedł Ksiądz Bosko, rozmawiając przez chwilę z kardynałem Bartolini, następnie z kardynałem Franchi, który z woli Ojca świętego, wyznaczył mu posłuchanie u siebie na popołudnie w sprawie misji.

Po tej pożegnalnej audiencji Ksiądz Bosko zaczął przygotowania do odjazdu. Tu nie od rzeczy będzie załączyć niektóre listy pisane przez niego z Rzymu.

1. Do ks. Lemoyne.

W liście będzie wzmianka o śmierci jednego z internistów, który zmarł w Niedzielę Palmową bez pociech religijnych z powodu czego dyrektor był nieutulony w smutku.

Mój drogi ks. Lemoyne!

List otrzymałem. Śmierć chłopca sprawia Ci wielką boleść i masz rację. Ale po fakcie na cóż zda się zbyteczne zmartwienie? Zresztą był to chłopak dobry, do spowiedzi był

parę dni przedtem, więc nie ma co wątpić o tym, że zmarł w Łasce Bożej. W sumieniu możesz być całkiem spokojny.

W Rzymie załatwiłem wiele spraw, inne są jeszcze w toku. Dlatego modląc się za zmarłego wraz z chłopcami, pomódlcie się, by wszystko wyszło na większą chwałę Boga. Ks. Rua na pewno wysłał Wam list pisany przeze mnie do Ciebie i do Twoich i moich drogich chłopców. Państwo Sigismondi chętnie cię wspominają i cieszą się, gdy im przysyłasz pozdrowienia, które odwzajemniają całym sercem.

Powiedz wszystkim drogim nauczycielom, prefektowi, katechecie, asystentom, chłopcom wszystkich klas, że uprosiłem dla nich szczególniejsze błogosławieństwo Ojca św, aby byli zdrowi, postępując w wiedzy i świętości. W najbliższy czwartek odprawię Mszę św. w waszej intencji, a wy pomódlcie się również na moją intencję w sprawie bardzo ważnej. Dnia 24 kwietnia 1876 r.

2. Do ks. Rua i ks. Lazzero.

Moi Drodzy!

1. Zgadzam się, żeby Gastini ze swoimi przyjaciółmi, mógł obchodzić święto Opieki św. Józefa w Oratorium. Ale pod dwoma warunkami: by mnie zaprosili na obiad, oczywiście na mój koszt; drugie, żeby kto może z nich przystąpił do sakramentów św. /NB. Gastini był człowiekiem świeckim, mistrzem introligatorów i prezesem byłych wychowanków. Ich to właśnie miał przyprowadzić na nabożeństwo do Oratorium /.

2. Dajcie wydrukować Tantum ergo i polkę Doglianiego, ale pod warunkiem, że będzie on tak dobry jak Barale. /NB. Barale to koadiutor - księgarz, o którym ks. Barberis pisze, że zdolny był wśród rzemieślników zastąpić sześciu asystentów/.

3. Opiekujcie się bardzo księdzem Chiala, ewentualnie wyślijcie go do Valsalice, czy gdzieindziej, stosownie do jego życzenia, nie szczędząc niczego, co by mogło mu przynieść ulgę, lub sprawić przyjemność. /NB. Ks. Chiala katecheta rzemieślników, poważnie wówczas chorował i w parę miesięcy po tym liście umarł /.

4. Niech nie myśli o odmawianiu brewiarza bez mojego polecenia.

5. Na dzień św. Józefa mam nadzieję być z wami, si Dominus dederit.

6. Zdaje się, że śmierć za wiele pozwala sobie w czasie mej nieobecności. Widocznie powinienem przyspieszyć swój powrót, przywożąc wam błogosławieństwo apostolskie. /NB. W czasie nieobecności Księdza Bosko, prócz chłopca w Lanzo, zmarło w Oratorium trzech gimnazjalistów i jeden koadiutor /.

7. Ileż przeróżnych spraw mam tu do załatwienia. Wygląda to wszystko na bajkę. Ale o tym potem. Już wnet będę mógł zawiadomić o terminie swego powrotu.

Pozdrawiam wszystkich ze swoimi towarzyszami itd. Dnia 24.05.1876 r.

3. Do ks. Rua.

Drogi Ks. Rua!

Na razie nic nowego. Sprawa przywilejów jest w biegu. Wszyscy czujemy się dobrze. Nawał pracy po prostu mnie oszalał. Módlcie się dużo. Powiedz Doglianemu, Buzzettiemu i ks. Lazzero, ażeby zatarłszy ręce, zabrali się do roboty i przygotowali piękną muzykę na uroczystość Najświętszej Wspomożycielki, której ma przewodniczyć Madama Bricherasio. Czekam jej odpowiedzi. Wychowankowi Dompe /uczeń V klasy/ powiedz, że chciałbym, aby był D. D. S. S. Otrzyma ładny medalik, jeśli zgadnie, co to znaczy. Niech Bóg wam wszystkim błogosławi. Amen.

4. Do tego samego.

Drogi ks. Rua!

Jeżeli zdrowie kleryka Vigliocco pozwala, by udał się do Madama Agnelii, to nie mam nic przeciw. Jest to osoba bardzo pobożna. /NB. Swych chorych salezjanów Ksiądz Bosko wysyłał czasem do rodzin zamożniejszych, gdzie by mogli odpocząć i powrócić do sił. Wspomniany kleryk zmarł potem w miesiącu sierpniu/.

Po nim pójdzie Massinelli, a potem Giulitto, który jednak powinien przygotować się do swoich prymicji. /NB. Giulitto zmarł po paru miesiącach kapłaństwa we wrześniu/.

Co dotyczy Bruna, to należy zasięgnąć opinii ks. Alberty, względnie prosić o świadectwo moralności jego proboszcza.

Ileż tu mam roboty. Nie wiem, czy zdążę na uroczystość opieki św. Józefa. A może by ją odłożyć do następnej niedzieli. Wtedy będę już na pewno. Zresztą zróbcie jak uważacie. Co tam słyhać nowego? Tu jesteśmy wszyscy zdrowi. Módlcie się dużo. Pozdrówcie ks. Bertelio, który dotąd jeszcze nie pisał. Pan Bóg niech nam wszystkim błogosławi. Amen.

Dnia 30 .04.1876 r.

5. Do ks. Perino.

Był to były wychowanek Oratorium. Gdy je opuszczał, Ksiądz Bosko przepowiedział, że zostanie proboszczem, ale jego parafia zostanie spustoszona i rzeczywiście Piedicavallo, gdzie właśnie został proboszczem, protestanci zdewastowali de populo barbaro. Warto w tym liście zwrócić uwagę na program działalności duszpasterskiej, jaki w nim wytycza swemu wychowankowi Ksiądz Bosko.

Drogi ks. Perino!

Cieszę się wielce z twej promocji na proboszcza w Piedicavallo. Będziesz miał szersze pole do pracy dla zbawienia dusz. Programem twoim niech będzie: opieka nad dziećmi chorymi i starcami. Ważne dla ciebie zaś: częsta spowiedź, codzienne rozmyślanie

choćby krótkie, co miesięczne ćwiczenie dobrej śmierci. Ważne dla Księdza Bosko: Rozszerzanie „Letture Cattoliche” i byś przyszedł na obiad zawsze do Oratorium, ilekroć będziesz w Turynie. Resztę przy okazji. Niech Bóg cię błogosławi i twoje trudy i twoją przyszlą parafię i módl się za mnie, który będę zawsze w Jezusie Chrystusie twoim najbardziej przywiązanym przyjacielem. Dnia 08.05.1876 r.

5.Do ks. Lemoyne, dyrektora w Lanzo.

Drogi ks. Lemoyne!

Własnymi rękami oddałem Ojcu świętemu tak adres jak i obol św. Piotra w kwocie 700 franków. Bardzo mile to przyjął. Ponieważ było wtedy już pod wieczór i z trudnością odczytywał wasze pisma, więc ja, choć na pół ślepy, wyręczyłem go w czytaniu, którego słuchał z wielkim zadowoleniem, a na końcu tak się odezwał dosłownie: Proszę podziękować pocziwym wychowankom w Lanzo i powiedzieć im, by się za mnie modlili. Błogosławię im z całego serca, i udzielam tamtejszym tak salezjanom i ich chłopcom apostolskiego błogosławieństwa wraz z odpustem zupełnym na dzień, kiedy przystąpią do Komunii świętej. A gdy zapytałem, czy te łaski można by rozciągnąć także na krewnych chłopców i salezjanów oraz na proboszcza w Lanzo i wychowanków dochodzących, Papież chętnie na to przystał. Byłoby dużo rzeczy do pisania, ale o tym później. Dziękuję drogim naszym wychowankom za modlitwy na moją intencję i zapewniam ich o swojej stałej pamięci o nich u ołtarza. Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa niech będzie zawsze z nami. Za wolą Bożą, 16 bieżącego miesiąca, będę w Turynie. Amen.

Rzym, dnia 01.05.1876 r.

7.Do ks. Rua.

Drogi ks. Rua!

Jutro wyjeżdżam do Pizy i zatrzymam się aż do poniedziałku w Salviati. W poniedziałek wieczorem będę w Sampierdarena, gdzie zatrzymam się do środy. Gdybyś mógł tam przyjechać na ten dzień, to moglibyśmy resztę podróży odbyć wspólnie i porozmawiać. Piszę do Bodrato. Nie wiem, czy tam jeszcze jest. W każdym razie dopatrz, ażeby odchodząc, nie zabrał czegoś z Oratorium i by nie nosił sutanny poza Zgromadzeniem, nie otrzymawszy do tego szczególnego upoważnienia.

Multa facta, multa sunt opere complenda. Uważaj na swoje zdrowie, jak również na zdrowie ks. Chiala i ks. Guidazio. Dla tego ostatniego mam pismo do przetłumaczenia z łaciny na język włoski. Niech was Bóg błogosławi itd. Dnia 12.05.1876 r.

8.Do ks. Barberisa.

Drogi ks. Barberis!

Rozpocznę od zakomunikowania ci, że mam dla ciebie nową pracę. Chodzi mi o szkic geograficzny Patagoni, w którym by było podane wszystko, co o niej dotąd się

wie, mianowicie: jej obszar, granice, jakie ludy z nią sąsiadują. Dalej tamtejsze zwyczaje i obyczaje, wygląd Patagończyków i ich ujęcia, wreszcie religia, obchody religijne ze szczególnym uwzględnieniem prób, jakie dotąd czynili misjonarze dla nawrócenia tego kraju. Do tego pomocnym ci może być książka niejakiego Ferraria: *Usi e costumi di tutti i popoli*, a także encyklopedia, *Cezare Cannie* i jeszcze jakiś autor świeży, którego imię powiem ci w Turynie. Pozdrów księdza Chiala itd. Piza, 14.05.1876 r.

Jest jeszcze kilka innych listów z tego czasu, w których jednak nie ma nic szczególniejszego po za tym, cośmy już w wyżej przytoczonych czytali.

Zanim będziemy wracać z Księdzem Bosko do Turynu, nie od rzeczy będzie dowiedzieć się, co działo się w Oratorium, podczas jego nieobecności. Wszak na pewno wszyscy zgodzimy się, iż będzie to rzeczą wielce korzystną nie dopuścić, by poszły w niepamięć, choć najdrobniejsze szczegóły życia tej kolebki Zgromadzenia, gdzie żyło się tylko duchem Księdza Bosko, gdzie on wychował pierwsze generacje salezjanów.

I tak ks. Barberis w swej kronice, pod datą 24 kwietnia, zamieszcza uwagę już gdzie indziej przytoczoną: Oratorium postępuje na przód spokojnie, chociaż nie ma w nim Księdza Bosko. Nie jak byśmy się o tym nie spostrzegali, ale dzieje się to dlatego, że nadał on mu tak już ustalony tryb życia, iż może się ono rozwijać dalej bez niego. Bez niego – chwilowo - i bez jego obecności fizycznej; bo duch jego jest zawsze pomiędzy nami.

A oto, jak wyglądało to w praktyce. W tym czasie obchodzono w Oratorium dwa święta: Wielkanoc i opieki św. Józefa. Między jednym a drugim zaś rozpoczął się miesiąc Najświętszej Maryi Wspomożycielki, który w roku 1876 po raz pierwszy rozpoczęto 23 kwietnia.

Komunia św. wielkanocna odbyła się jak po inne lata. Rzemieślnicy przystąpili do niej we Wielki Wtorek, gimnazjaliści we Wielką Środę, klerycy zaś i księża we Wielki Czwartek. Przygotowanie do niej trwało trzy dni, bez zawieszenia zajęć szkolnych. Eksterniści przystąpili do Komunii św. w Wielką Sobotę. Robotnicy domowi na Wielkanoc. Dzieci do pierwszej Komunii św. - w Poniedziałek Wielkanocny. Malcy, którzy jeszcze nie przystąpili do Stołu Pańskiego, byli wypowiedani w ciągu Oktawy wielkanocnej. Eksterniści, oprócz katechizmu wielkopostnego, mieli jeszcze osobne rekolekcje, w ciągu których głoszono im po pięć kazań dziennie; na trzech każdy musiał być obowiązkowo. W samą Wielkanoc odegrano interesujący dramat „Krzysztof Kolumb”, pióra księdza Lemoyne. Te dodatkowe zajęcia nie zwalniały księży Oratorium od ich prac zwykłych.

Czy ks. Bosko nie chce zbyt wiele pieczeni upiec przy jednym ogniu? - zagadnęła raz Księdza Barberisa markiza Fassati. Odpowiedź, jaką miał dać ks. Barberis dużo nam wyjaśni, bo tak jej powiedział: Roboty oczywiście zawsze mamy bardzo dużo. I pracujemy doprawdy niezmiernie, można powiedzieć do ostatniego tchu. Ale właśnie, dlatego Ksiądz Bosko jest zadowolony, że nam jej nie

brakuje. Praca ta przyczynia się, że wśród nas panuje nadzwyczaj dobry duch. Przez pracę stajemy się zdolni do wielu rzeczy. Nawet taki o miernych bardzo zdolnościach, rzucony od kleryka w wir różnych zajęć, nabiera wprawy i staje się zdolny do podjęcia tysiącznych obowiązków, do których bez tej zaprawy nigdy by nie dorósł. Ksiądz Bosko widząc, jak wiele jest pracy w Winnicy Pańskiej, że tylu w niej nie pracuje, którzy do tego byliby zobowiązani, zamiast dopuścić do tego, by się tam miało nic nie robić, chce, ażeby robiło się w niej to trochę, co można. Wszak jest to błąd pożałowania godny, że wielu nawet zakonników widząc, że nie mogą czegoś przeprowadzić z pełnym sukcesem, zamiast robić tyle, ile mogą, nie robią nic. U nas nie zabiega się o chwałę ludzką, ani nie zważa się na to, co inni powiedzą. Jeśli nie można opanować całego alfabetu, a można nauczyć się pierwszych czterech liter, dlaczego nie ma się ktoś zabrać do sylabizowania pierwszych liter z wymówką, że nie dojdzie do zet?

Normą Księdza Bosko było, że gdzie nie można zrobić wszystkiego, należy zrobić, to co się da. Absolutnie nie podzielał zasady niektórych: albo wszystko, albo nic. Z tego też powodu bolał nad tym, że wielu francuskich katolików wycofywało się z urzędów w czasie awantur antyklerykalnych za trzeciej republiki. Uważał, że powinni byli stać na posterunku, choćby dlatego, ażeby przeszkadzać złu i nie dopuścić, by wszystkie aktywa przeszły w ręce sekciarzy.

Ale wróćmy jeszcze do kroniki ks. Barberisa; wprawdzie odbiega ona trochę od przedmiotu omawianego przez nas w tym miejscu, ale za to daje nam lepszy wgląd w tajniki życia w Oratorium. Oto, jak je w dalszej rozmowie przedstawiał markizie Fassati: Do tego czasu – mówił on - pracowało się w Oratorium raczej w ukryciu, jakby pod korcem, ale w tym zaciszu przygotowywały się wielkie rzeczy. I teraz już możemy oglądać, jak rodzina duchowa Księdza Bosko rozrasta się liczebnie, krzepnie i nabiera coraz większego znaczenia. Jesteśmy wprawdzie wszyscy młodzi, ale wychowani w szkole Księdza Bosko, z roku na rok nabieramy doświadczenia i hartu do pracy. To prawda, trzeba było i dziś oczywiście potrzeba wiele czasu na formację kleryków. Ale ci już w drugim roku filozofii zaczynają angażować się do pracy wychowawczej i administracyjnej i tak z biegiem czasu nabierają doświadczenia i roztropności życiowej; rozszerza się ich horyzont myślowy i stają się następnie zdolni do obejmowania bardzo odpowiedzialnych stanowisk. Dotąd ks. Barberis.

W pierwszym dniu miesiąca Maryi Wspomożycielki prawie wszyscy chłopcy przystąpili do Komunii św. Odtąd zaznaczył się wśród nich wzrost pobożności. Ogólna ta gorliwość pociągała i tych, co trzymali się jakby na uboczu, bo opornych złośliwców oczywiście nigdy nie brakowało. Lecz byli oni nieliczni. Przełożeni ich znali i mogli neutralizować ich wpływ na drugich, mogli oddziaływać na nich zachęcająco, przestrzegać, a w beznadziejnych wypadkach, eliminować.

Z początkiem miesiąca maja wchodził w życie rozkład letni. Wstanie wtedy było o pół godziny wcześniej, czyli o piątej. O pół do drugiej sprzątanie sali; o drugiej studium wolne i próby śpiewu; pół do ósmej - kazanie. Ustawy korepetycje

wieczorne. Przechadzka była rano, zaraz po Mszy św. aż do śniadania. Wzmogły się też przygotowania do wielkiego święta Wspomożycielki. Śpiewacy mieli częstsze próby śpiewu. Tak samo kapela. Z początku obawiano się, że wobec wyjazdu ks. Cagliero muzyka w Oratorium podupadnie. Lecz Dogliani bardzo godnie go zastąpił. Zorganizował nawet małą orkiestrę smyczkową złożoną z dwunastu grajków z pomiędzy starszych rzemieślników wzorowych pod względem zachowania. Tak, więc muzyka i śpiew rozbrzmiewały po domu przez cały niemal dzień, wnosząc do niego nastrój godny miesiąca kwiatów. Nie było niebezpieczeństwa, żeby nad tymi chłopcami Księdza Bosko zawisła ciężka nuda zwana przez O. Fabera „monotonią pobożności”. By dobrze usposobić rzemieślników, ich katecheta wykombinował akademię sui generis, urządzoną w sali pod kościołem. Nazwano ją akademią katechetyczną. A oto jej przebieg: Na podwyższonym podium zasiedli Ks. Rua, ks. Chiala i inni przełożeni. Po jednej ich stronie zajęli miejsca kierownicy pracowni, instruktorzy, asystenci i koadiutorzy wraz z kapelą; po drugiej młodzież rzemieślnicza; wśród tych dwu jakby skrzydeł była wolna przestrzeń prostokątna ze stolikiem w środku. Przy nim siedział koadiutor Barale mając przed sobą kasetkę z pytaniami katechizmowymi. Wywołani uczniowie podchodzili do niego w grupach po czterech lub pięciu i odpowiadali na pytania wyciągane przezeń ze szkatułki. Przełożeni siedzący na estradzie oceniali odpowiedzi notując to sobie każdy z osobna. Po danych odpowiedziach, podczas gdy ci ustalali ostateczne oceny, kapela zagrała kilka utworów i recytowano parę wierszy. Wreszcie nastąpiło ogłoszenie zwycięzców i rozdanie przyznanych nagród i dyplomów.

Na wzmiankę przy tym zasługuje jeden jeszcze szczegół, a mianowicie, że ostatni

z pytanych poprosił Barala, ażeby stosownie do zwyczaju na zakończenie katechizacji opowiedział jakiś przykład. Ten zgodził się i przytoczył niektóre zdarzenia z życia Cezara de Bus z wyraźnymi aluzjami do księdza Cezara Chiala. Nie szczędzono oklasków dla kochanego dyrektora /katechety/ rzemieślników. A ponieważ był on bardzo słabowitego zdrowia, w wierszach ku jego czci życzone mu zdrowia i zapewniano go o modlitwach w tej intencji. Na koniec ofiarowano mu wiązanek sztucznych kwiatów, na płatkach, których były wypisane nazwiska tych, co przyjęli o jego zdrowie Komunię św. W owych dniach wielu z rzemieślników wniosło podanie o przyjęcie do Zgromadzenia. Wobec takich nastrojów urządzono dla nich kilka konferencji na temat powołania. Ksiądz Bosko czując wielką potrzebę dobrych koadiutorów, bardzo był z tego zadowolony.

W ogóle warto tu podkreślić troskliwość i zainteresowanie ze strony wychowanków Oratorium wobec chorych przełożonych. Także gimnazjaliści dawali tego nieraz piękne dowody. I tak, gdy ksiądz Guidazio pomimo, iż czuł się niezdrów, jednak nie chciał opuszczać lekcji w klasie piątej, wówczas ci uczniowie strapieni jego stanem, współzawodniczyli w modlitwach o jego wyzdrowienie. Każdego zaś dnia na pauzie podwieczorkowej cała ich czterdziestka zbierała się w kościele

Najświętszej Maryi Wspomożycielki, by odmówić koronkę do Serca Jezusowego w jego intencji. Podobne modlitwy powtarzały się częściej w ciągu roku i to nie tylko w intencji przełożonych, ale również chorych kolegów, względnie za różne potrzeby domu.

W powyżej przytoczonych listach są wzmianki o kilku wypadkach śmierci wychowanków Oratorium. Z tej okazji kronikarz opisuje przebieg takich pogrzebów: Od paru lat Oratorium otrzymało pozwolenie urządzania obrzędu pożegnania zmarłych we własnym zakresie. Odtąd po złożeniu zwłok w odpowiednim miejscu, o ustalonej godzinie gromadzili się chłopcy parami i orszak pogrzebowy, z krzyżem na przedzie, kierował się przez szerokie portyki ku kościołowi. Jest to widok wzruszający, gdy blisko 800 chłopców z klerykami towarzyszy zmarłemu koledze, który niedawno był z nimi w szkole, w refektarzu i bawił się na podwórku. Po wejściu wszystkich do świątyni, odprawia się egzekwie z odpowiednimi modlitwami. Po skończonym żałobnym nabożeństwie chłopcy wracają do swoich zajęć, czy to do studium, czy do pracowni, a nieboszczyka odwozi się na cmentarz. Dotąd kronika.

Ks. Vespignani, który, jako kapłan - nowicjusz brał udział w takim pogrzebie, odniósł wtedy tak głębokie wrażenie, że jeszcze 50 lat później pisał: „Ta procesja chłopców i kleru, ich żałobne śpiewy psalmów, Towarzystwa św. Alojzego i Najświętszego Sakramentu, postępujące za trumną zmarłego, dziwne budziły uczucia i pociągały do szczerej pobożności. Był to jeden z ważnych czynników prawdziwie chrześcijańskiego wychowania i salezjańskiego”.

Około połowy miesiąca Maryi Wspomożycielki przypadła uroczystość Opieki św. Józefa, obchodzona ze szczególną okazałością przez rzemieślników. Kronikarz zaznacza, iż spodziewali się oni Księdza Bosko na ten dzień. Ponieważ jednak nie przybył, uroczystość zewnętrzną odłożono na następną niedzielę. Do zewnętrznego jej uświetnienia przyczyniło się przybycie panów przewodniczących Konferencji św. Wincentego a Paulo we Włoszech, którzy zapowiedzieli swój przyjazd właśnie na niedzielę 7 maja. Chcieli oni zwizytować działalność Konferencji św. Wincentego, przyłączonej regularnie do paryskiej, która w Oratorium istniała już od kilku lat. Jej celem było otoczenie opieką biednych chłopców uczęszczających na katechizm. Aby im udzielić pomocy stosownie do statutów, nie potrzebowali członkowie oratoryjnej Konferencji wyszukiwać takich chłopców po domach, bo ci mieszkali w internacie. Przy rozdzielaniu zapomogi brali raczej pod uwagę pilność i zachowanie się podopiecznych, których obdarowywali bielizną, odzieżą itp. Wizytującym panom, między którymi byli prezesi Rad Wyższych w byłym Państwie Kościelnym: w Genui, Bolonii, Mediolanie, Wenecji, Florencji itd. - przewodniczył pan Falconnet, prezes Rady Wyższej w Turynie i hrabia Cays jego poprzednik na tym stanowisku, zwany „Papa”, gdyż był promotorem wszystkich konferencji św. Wincentego w Piemoncie.

Konferencja naszych odbyła się o godzinie drugiej po południu, w obecności tych panów, którzy na końcu okazali się z niej bardzo zadowoleni, a co im sprawiło

szczególniejszą przyjemność, to wiadomość, iż byli członkowie tejże konferencji, opuściwszy Oratorium, zakładają gdzie indziej podobne konferencje, a ks. Cassini zabiega w Argentynie nad rozbudzeniem zainteresowania się podobnymi konferencjami. Po skończonym zebraniu goście zwiedzili kościół, studia, pracownie i inne lokale Oratorium.

W miarę zbliżania się uroczystości Najświętszej Wspomożycielki wzmagały się przygotowania do niej. Codziennie opowiadane łaski rozbudzały pobożność, próby śpiewu i muzyki następowały jedne po drugich. W kościele przygotowywano specjalną estradę dla śpiewaków. W domu odświeżano lokale, bieląc je. Rekreacje były pełne ruchu. A nie trzeba myśleć, że wszystkie te przygotowania przerwały normalny bieg lekcji, gdyż, o ile kronika pisze prawdę, nauczyciele umieli takie wzbudzić współzawodnictwo między uczniami, iż trzeba było bardzo często hamować ich wysiłki. Rzemieślnicy zaś wysilali się, by odpowiednio przygotować akademię ku czci św. Józefa, która - choć z opóźnieniem, miała się jednak odbyć po powrocie Księdza Bosko z Rzymu. Niewiele już brakowało do tej chwili, gdy niespodziewany wypadek spowodował wielkie zamieszanie w Oratorium.

Otóż chłopcy gromadnie brali udział w nabożeństwie majowym, gdy przez otwarte okna doleciał swąd spalenizny i ujrzano ciemne kłęby dymu. Nabożeństwo właśnie się kończyło. Niepokojni wybiegli wszyscy z kościoła i ku swemu przerażeniu przekonali się, iż stoi w płomieniach fabryka manufaktury Tensi, znajdująca się parę metrów za magazynami Oratorium, na które wiatr pędził iskry i płomienie. Buchające języki ognia raz po raz oświeślały groźnie nasze budynki i podwórze. Pierwszą myślą było pobiec i pozamykać wszystkie okna, by zapobiec przedostaniu się iskier do wnętrza, zwłaszcza do sypialń. Każdy asystent obowiązany był strzec swej sypialni. Przenoszono, więc łóżka ku ścianie oddalonej od ognia, okrywając je kocami umoczonymi w wodzie. Coś dwieście takich koców zarzucono na dach i na okna, których szyby pękały od żaru. Całe kierownictwo nad akcją ratowniczą objął ks. Bertello z całą właściwą mu zimną krwią i energią. 20 chłopców starszych postawił na dachu, innych czterdziestu miało im stale podawać wodę, by ją lali na kocy. Był to prawdziwy cud, że spadające dachówki nikogo nie zraniły. Chłopców niepotrzebnych kazał bezwzględnie usunąć od zagrożonych budynków i wysłał ich do kościoła, ażeby tam odmawiali litanie do Wszystkich Świętych. I rzeczywiście po skończeniu litanii wiatr zmienił kierunek i już tak bezpośrednio nie zagrażał domom. Wreszcie zjawili się i strażacy, którzy zdołali opanować wkrótce ogień od strony Oratorium. Cała akcja ratownicza trwała blisko godzinę. Szkody poniesione przez Oratorium, na dachu i w oknach, sięgały około tysiąca lirów. To, że nie było większych jakichś nieszczęść należy przypisać tylko Opiece Madonny.

Ks. Barberis, który był świadkiem całego tego zamieszania, słyszał z ust chłopców różne ich uwagi i zanotował je. Bardzo dobrze one świadczą o duchu, jaki wtedy panował w Oratorium. Oto ich komentarze: Teraz widzimy, co znaczy pracować w niedzielę i dni świąteczne... Tak, idź pracować w święto, a zobaczysz,

co ci się przydarzy ładnego; Wszak mówiliśmy między sobą, że chyba Pan Bóg ukarze kiedyś strasznie takie szkandale; Wstyd... żeby między dwoma instytucjami zakonnymi, gdzie zachowuje się dni świąteczne i przykazania kościelne, koniecznie trwać w swym uporze i przekraczać przykazania Boskie ; Oto masz, co znaczy gwałcić święta ; Raz przecież trzeba zapłacić za tyle nadużyć.

W trzy dni po tych groźnych wypadkach turyńskich, w sobotę 13 maja, Ksiądz Bosko żegnał się z państwem Sigismondi, od których doznał tyle względów i wybrał się w podróż powrotną do Oratorium. Po drodze zatrzymał się w Migliarino u księdza Salviati.

Do Genui przybył 15 maja, gdzie go oczekiwał ks. Albera. Wieczorem tego dnia był już w Sampierdarena. Tu powitano go uroczyście piękną akademią, w czasie, której wręczono odznaki kawalerskie panom Conte i Borgo, zaproszonym specjalnie na ten dzień.

Dnia 17 maja wyjechał do Turynu.

Tu poprzedził jego przyjazd o cztery dni ks. Durando. Chłopcy, gdy go zobaczyli, przekonani, że z nim przyjechał i Ksiądz Bosko, zaczęli wznosić okrzyki radości, a wybiegłszy ze szeregów polecili rozradowani ku portierni. Gdy to zauważyli ci, co już weszli do jadalni, na złamanie karku pobiegli za kolegami. Ale wszystkich spotkał gorzki zawód jeszcze na parę dni. Lecz o pierwszej po południu, 17 maja, po miesiącu i dwunastu dniach nieobecności, Ksiądz Bosko już naprawdę powracał do swojego królestwa. Zagrały fanfary, którym odpowiedziała kapela i okrzyki młodzieży. Oczekiwała ona uszeregowana w rzędy, ale nie było rady utrzymać ją w takim porządku. Chłopaki ustać nie mogły na miejscu i za ukazaniem się ukochanego Ojca, hurtem rzucili się ku niemu, byle go z bliska widzieć, byle ucałować mu rękę. A on dla każdego miał uśmiech i jakieś życzliwe słówko. Pół godziny trwał przemarsz od portierni do mieszkania. Tymczasem muzycy stanęli pod portykami. Ksiądz Bosko podszedł do nich, by wyrazić im swoje zadowolenie i udał się na obiad. Ale tu dopiero nastąpiło prawdziwe jego obłężenie, tym razem już przez starszyznę zakładową. Pytania na temat Papieża, Rzymu, misji, przywilejów, odpustów krzyżowały się jedno przez drugie. Spokojny i pogodny jak zawsze, odpowiadał wszystkim - i serdeczna ta scena trwała przeszło godzinę.

Wątpić należy, czy Ksiądz Bosko sobie doprawdy pojadł, bo kiedy znalazł się nareszcie w swym pokoju, czuł się bardzo zmęczony i miał silny ból głowy. Mimo to zasiadł przy biurku, zabrał się do załatwiania opóźnionej korespondencji. Pracował do w pół do szóstej wieczorem. Nie czując się już zdolnym do niczego, wyszedł do biblioteki, przechadzał się z księdzem Barberisem, rozmawiając z nim na temat Patagonii. A mówił o niej z takimi szczegółami, jak gdyby geografię tego kraju studiował dłuższy czas. Zwracał przy tym wagę księdzu Barberisowi na pomyłki przez niego popełnione w pracy nad tym krajem. Mam już sześćdziesiątkę blisko - powiedział mu - i słyszałem tyle, co nic o Patagonii. Kto by mi to kiedyś powiedział, iż przyjdzie czas, że będę musiał studiować te okolice w najdrobniejszych

szczególach? A rozwinąwszy dwie mapy: jedną Patagonii, a drugą Ameryki Południowej, bacznie im się przyglądał. Ale, wnet je odłożył, gdyż ponowiły mu się zawroty głowy. Powrócił, więc do siebie.

Chociaż ten rozdział przedłużył się nadmiernie, nie możemy przecież pominąć tu trzech dokumentów, które, jak nam się zdaje, będą najlepszym jego zakończeniem. Są to: jedno słówko wieczorne, jeden okólnik i konferencja.

Zaraz, 17 maja, miał słówko wieczorne, na którym najpierw podał wiązanekę ku czci Najświętszej Wspomożycielki, a następnie mówił o swej podróży, słuchany w największym skupieniu:

Wiązanka: Uświadomię sobie, co dla mnie jest najbliższą okazją do grzechu i będę się trzymał od niej z dala. Niechże, więc każdy zastanowi się, co było dla niego tą oplakaną przyczyną utraty łaski Bożej i tego, że zasłużył na piekło i niech doloży wszelkich starań, by nigdy już się na nią nie narazić. Dla jednych może to była książka, dla innych kolega; może dla kogoś butelczyna jakaś, czy inny brak umartwienia itd.

Ale pomówmy teraz o mojej podróży. Pojechałem do Rzymu, aby porozmawiać z Ojcem świętym, mimo że byłem tam dłuższy czas, nie mogłem się nikogo z was doczekać, aby mnie odwiedził. Wprawdzie przyjechał ks. Durando i za to go chwaleb, ale z was nikt nie zajrzał. No dosyć. Teraz chcę was wtajemniczyć w to, co robiłem w Rzymie. O wielu rzeczach już napisałem wam i myślę, że je tu z tego miejsca odczytano. Przez Ojca świętego byłem przyjęty dwa razy. Pierwsza audiencja trwała blisko godzinę, druga trzy kwadransy, mówiliśmy o Oratorium, o Synach Maryi Wspomożycielki i o chłopcach. A szczególnie o was to Ojciec święty zawsze się pyta:

A czy dobrzy to są chłopcy ?

Ależ tak, Ojciec święty.

Ale, czy są tacy o wielkiej cnocie ?

Wszyscy są bardzo dobrzy, proszę Waszej Świątobliwości. Chociaż u niektórych byłoby coś do poprawienia. Tę ostatnią uwagę powiedziałem półgłosem, by jej Papież nie dosłyszał.

A jak tam zdrowie chłopców - pytał dalej Pius IX.

Dobre.

Następnie rozmowa przeszła na misje, z których Ojciec święty jest bardzo zadowolony. Zachęcał mnie, byśmy śmiało posuwali się wśród Pampas do Patagonii. Zaproponował mm także wikariat w Indiach, a wtedy ja mu przerwałem:

Ależ Ojciec święty, na takie przedsięwzięcie, to potrzeba tysięcy misjonarzy, a moi chłopcy, choć dobrzy, chętni i odważni, gotowi na wszystko, są przecież jeszcze mali i potrzeba czekać, aż wyrosną, zapuszczą brodę, no i zmądrzeją. A na to trzeba trochę zaczekać.

W takim razie, powiedział Ojciec św. trzeba jakoś tak skombinować, by rośli prędzej i w jednej chwili stali się dojrzałymi.

Jest potem i ta trudność - dodałem - że Pan Bóg często odwiedza nas w Oratorium, powołując do siebie to tego, to owego z naszych. W tym roku już kilku poszło z wizytą do Nieba, a inni wybiorą się tam jeszcze przed końcem grudnia. A ci, co umierają, czy są dla Księdza pociechą? Można mieć nadzieję ich wiecznego zbawienia? A czy może był taki, co niechętnie chciał przyjąć ostatnie sakramenty?

Niech Wasza Świątobliwość jest przekonany, że ci, co za życia przystępują często do Sakramentów św., tym bardziej pragną ich w godzinę śmierci. A gdyby nawet, który nie prosił o nie wcześniej, to Przełożeni widząc jego stan poważny, przypomną mu o tym, a ten natychmiast z wielką chęcią na nie się zgadza. I tak długo rozmawialiśmy o was, drodzy chłopcy, a Ojciec święty słuchał wszystkiego z takim zainteresowaniem, jakby o niczym innym nie myślał na świecie, jak tylko o Valdocco. A w końcu odezwał się:

W tych tak ciężkich czasach dla Kościoła wasi chłopcy będą mogli zdziałać dużo dobrego. Na razie niech się modlą gorąco za Kościół święty ze wszystkich stron napadany. Niech im Ksiądz poleci, by się dużo modlili i za mnie, aby Pan Bóg dodał mi siły i męstwa do odparcia wszelkich niebezpieczeństw, na jakie narażony jestem, jako Głowa Rodziny Jezusa Chrystusa.

Również na drugiej audiencji rozmowa zeszła na misje i na nasze zakłady. Na niej też udzielił mi wiele odpustów dla was. Są to prawdziwe skarby duchowne, jakie nam podarowuje Ojciec święty. Zostaną one wydrukowane wkrótce i niechże każdy z was stara się z nich korzystać przez całe swoje życie. A teraz przechodząc od spraw rzymskich do bezpośrednio naszych, oświadczam wam, iż czuję się bardzo szczęśliwy, mogąc znowu znaleźć się między wami. Liczyłem po prostu dni, godziny i minuty, dzielące mnie od powrotu do was i oto jestem nareszcie.

Cóż wam mam jeszcze powiedzieć? Chyba nie będę znów mówił o Pampas, czy o Indiach. Raczej wspomnę, iż zbliżamy się do rekolekcji, jakie odbędą się po uroczystości Najświętszej Maryi Wspomożycielki dla was wszystkich. Bardzo wam kładę na sercu, byście postarali się odprawić je dobrze, zwłaszcza ci, co są w ostatniej klasie. Wypada, by ci zastanowili się nad swoją przyszłością, nad swoim powołaniem. Niech się modlą gorąco, ażeby mogli poznać prawdziwą wolę Bożą. Ale o tym będę jeszcze mówił, kiedy indziej.

Zależy mi jeszcze na jednej rzeczy, a mianowicie, iż trzeba, abyśmy trochę pogimnastykowali się w jadalni. Dobrze że biegacie i bawicie się na pauzie, ale trzeba również i w jadalni od czasu do czasu więcej się pomęczyć. Oczywiście nie chodzi o to, byście mieli z niej wyjść in cymbalis benesonantibus, ale jednak dobrze będzie, że tam znajdziecie coś więcej, niż codziennie tak co do potraw, jak i napojów, abyśmy mogli, jak mówi Pismo św. *servire Domino in laetitia*. Polecam, więc księdzu Lazzero, aby w najbliższym czasie wybrał jeden dzień na taką gimnastykę. Dogodziwszy tak trochę ciała w tym, co mu się słusznie należy, będziemy mogli od niego wymagać, ażeby tym bardziej było posłuszne duchowi.

Jesteśmy teraz w nowennie Najświętszej Wspomożycielki. Odprawiajcie ją nadal jak najgorliwiej, a wiedźcie, że Maryja Najświętsza przygotowała dla każdego z was jakąś szczególną łaskę, byleście się tylko o nią serdecznie pomodlili.

Oczywiście miałbym wam wiele do powiedzenia o Rzymie, o Papieżu o misjach i na pewno, by się wam to podobało. Ale na dzisiaj dosyć. Dobranoc.

Pod datą 24 maja skierował ks. Bosko do dobrodziejów zakładu w Nizza pismo, komunikując im o łaskach duchownych, jakie wyjednał dla nich u Ojca świętego: **Do dobrodziejów i zelatorów Patronatu św. Piotra w Nizza Marittima!**

Wasze zainteresowanie, okazywane naszemu patronatowi, powstałemu niedawno w tamtym mieście wzruszyło mnie do głębi i pragnąłem znaleźć sposobność do okazania wam choćby niewielkiego dowodu głębokiej mojej wdzięczności. Tę sposobność znalazłem w czasie audiencji u Ojca świętego Piusa IX, który z wielkim zainteresowaniem słuchał, co mu mówiłem o waszym miłosierdziu. W dowód swego uznania raczył wam udzielić następujących odpustów: /tu wylicza Ksiądz Bosko wszystkie odpusty, jakie zwykł był wypraszać dla swoich wybitnych dobrodziejów i zapewnia, iż ze swoimi wychowankami, codziennie będzie wypraszał błogosławieństwa Boże z Nieba dla tych, którzy chętnie stają się narzędziami Opatrzności Bożej/. Konferencja do Współbraci, nowicjuszów i aspirantów odbyła się w Zielone Świąta, 4 czerwca, po modlitwach wieczornych, w kościele św. Franciszka Salezego. Zwykle takie konferencje odbywały się o pół do siódmej po południu, gdy wychowankowie byli w studium i wystarczał do ich asystowania jeden ksiądz lub kleryk. Tym razem jednak studium było zamienione na salę teatralną, gdyż odgrywano Phasmatonices, wobec tego chłopcy musieli odrabiać lekcje po klasach i trzeba było przynajmniej siedmiu asystentów dla utrzymania porządku, wobec czego zaistniała konieczność odłożenia konferencji na tak późną godzinę. Obecnych było około 160 słuchaczy. Ksiądz Bosko widocznie zmęczony, mówił wolno i tak cicho, że obawiano się, że lada chwila zemdleje. Słuchany z przejęciem przez zebranych tak rozpoczął:

Dobrze to, moi drodzy synowie, że możemy się od czasu do czasu zebrać, a ja mam przyjemność podzielić się z wami tym, co myślę i zamierzam. Na pewno i wam miło będzie posłuchać słów tego, który jest waszym szczerym przyjacielem i wszystkich was kocha jak ojciec. Chciałem się z wami już spotkać bezpośrednio przed wyjazdem do Rzymu, potem zaraz po powrocie, ale stale coś stawało na przeszkodzie: to brak czasu, czy u was, czy u mnie, to powiedzmy wyraźnie brak sił z mej strony... Ale ostatecznie robi się to, co można.

Tym razem chcę wam mówić o celu i o wynikach mej podróży do Rzymu. Jesteśmy tam dobrze widziani, przyjmowano nas wszędzie jak najlepiej. Od Ojca świętego uzyskałem dla Zgromadzenia przywileje niezbędne, byśmy mogli pracować swobodnie na chwałę Bożą; otrzymałem nawet więcej, niż można się było spodziewać. Mówię wam szczerze, że czuję się zmieszany, uświadamiając sobie, jak

Bóg obsypuje nas swoimi łaskami, które powiedziałbym, że wprost zlewa na nas strumieniami.

Oto kilka rzeczy, które uzyskałem w Rzymie, bo wszystkie wyliczać byłoby za długo, a więc:

1. Nasi dyrektorzy mają władzę trzymania i czytania ksiąg zakazanych oraz mogą udzielać pozwolenia na to swoim podwładnym. Dlatego kto potrzebowałby posługiwać się takimi książkami, może to uczynić bez żadnych przykrych następstw.

2. Każdy dyrektor domu ma władzę poświęcania krzyżów, koronek, medalików, z nakładaniem odpustów.

3. Wszyscy kapłani mogą udzielać błogosławieństwa papieskiego in articulo mortis.

4. Przywilej ołtarza prywatnego, uprzywilejowanego, itd. - to już dostaliśmy w roku ubiegłym.

5. Każdy z naszych kapłanów mając jurysdykcję w jednej diecezji, może spełniać funkcje kapłańskie, bez żadnych dalszych formalności, w jakimkolwiek domu, czy kolegium naszego Zgromadzenia.

6. Papież przyznał nam również prawo święcenia kandydatów do święceń extra tempus i bez zachowania wymaganych interstycjów.

7. Każdy nasz dom ma prawa parafialne na wewnętrzny użytek, a więc prawo głoszenia kazań, udzielania Sakramentów św., Wiatyku, odprawiania pogrzebów ze wszystkimi innymi prawami przysługującymi parafii. Dodajcie do tego jeszcze łaski poprzednio otrzymane, a jasnym wam się stanie, jak wielki skarb otrzymaliśmy. Do niego wliczyć jeszcze trzeba wszystkie odpusty, które otrzymaliśmy doprawdy abundanter. Mamy, więc wszystkie przywileje tercjarzy św. Franciszka z Asyżu, nie wyłączając Porcjunkuli, który to odpust zyskać możemy w naszych kościołach. Zyskujemy odpust zupełny wstępując do Zgromadzenia, składając śluby czy trzyletnie, czy wieczyste, czy odnawiając je na końcu rekolekcji. Możemy zyskać odpust zupełny we wszystkie święta Madonny, których jest przeszło trzydzieści, we wszystkie święta Chrystusa Pana i Apostołów, w każdą niedzielę, przystąpiwszy do spowiedzi i Komunii św. itd. Umiejmy docenić wielkość tego daru ze strony Ojca świętego, umiejmy go wykorzystać dla swego uświęcenia i drugich, a Ojcu świętemu odwdzięczamy się gorącą modlitwą w jego intencji. Mam wrażenie, że żaden zakon, czy Zgromadzenie nie był tak ubogacony przez Stolicę świętą, jak nasze, które jest dopiero na początku swego rozwoju. Ojciec św. przyznał też wielu naszym dobrodziejom tytuły honorowe komandora, kawalera, monsignora, itd.

Pomyślnie ukończona zostały również zabiegi o zatwierdzenie Dzieła Synów Maryi, w których Papież pokłada wielkie nadzieje, jak też i Pomocników Salezjańskich, dla których drukuje się regulamin. Ojciec św. doprawdy bardzo przy

tym odnosi się przychylnie do naszych spraw. Między innymi tak mi powiedział: Jestem z was bardzo zadowolony. Wiem, że tam u was pracuje się dużo. Czytam bardzo chętnie listy od waszych misjonarzy z Ameryki drukowane w Unita Cattolica. Widzę, że robi się tam wiele dobrego i to mnie bardzo cieszy.

A kiedy poprosiłem go, by nam wyznaczył kardynała protektora, jak to mają inne zakony, to z uśmiechem zauważył:

Ale jakichże to protektorów jeszcze chcecie. Czy nie wystarczy wam jeden? Przez to dał mi do zrozumienia, że on sam chce być naszym protektorem, po cóż, więc jeszcze szukać innych. Usłyszawszy te słowa tak dobrotliwe ze strony Ojca świętego, podziękowałem za nie z całego serca i dodałem:

Jeśli tak, Ojciec święty, to już w takim razie nie będę szukał innych opiekunów.

W czasie rozmowy o misjach, zaofiarował nam 12 wikariatów apostolskich, w których przydałby się jeden biskup z odpowiednią liczbą kapłanów misjonarzy. Myślałem sobie wtedy, że przecież wszyscy moi księża są jeszcze młodzi, a do takiej pracy potrzebni by byli starsi, wytrawni kapłani. Ale i to prawda, że jeżeli młodzi nie nadają się do czego innego, to za to w jadalni spisują się nie najgorzej... Wobec jednak poważnych nalegań ze strony Papieża, ostatecznie oświadczyłem: Jeżeli takie jest życzenie Namiestnika Chrystusowego, to ja podejmuję się tej pracy, zastrzegając sobie jednak przeciąg 20 miesięcy na przygotowanie odpowiedniego personelu. Czas ten zacznie się liczyć, od chwili, gdy otrzymam wszystkie dokumenty, dotyczące tych spraw.

Papież zaaprobował cały projekt i odesłał te sprawy do ostatecznego załatwienia kardynałowi Franchi, Prefektowi Kongregacji Propagandy. Kto z was, zatem chce jechać do Indii ma jeszcze dwa lata czasu.

Przechodząc teraz do spraw Zgromadzenia, z radością mogę zaznaczyć, że wzmagą się w nim duch prawdziwie zakonny, powiększa się liczba członków, wzrasta chęć do pracy, a przez to i żniwo staje się bogatsze. Zaledwie, który z naszych podrośnie, już Opatrzność ma przygotowane dla niego stanowisko, na którym może rozwinąć swoje talenty i zdolności. A tymczasem gdzie indziej wielu, co pokończyło seminarium i nauki, nie wie, gdzie się obrócić. Wielu podejmuje się różnych dzieł, a nie potrafi ich doprowadzić do szczęśliwego końca. Wielu doprawdy gorliwych musiało wycofać się z zamierzonej drogi na widok piętrzących się trudności i wobec złej woli i oszczerstw ze strony ludzi przewrotnych. Podobnie dzieje się także i po niektórych zakonach. My natomiast idziemy naprzód, jesteśmy w ciągłym rozwoju i od wszystkich na ogół mile widziani. Jest to zjawisko doprawdy zastanawiające. Pan Bóg chce jakby skonfundować nas obfitością swoich darów, a więc błogosławi nam, podnosi na duchu i wskazuje drogę. Naszym, więc obowiązkiem jest dziękując Mu za wszystko, godnie odpowiadać łaskom, jakie na nas zsyła.

Rozmawiając następnie z Papieżem o Patagonii, zaznaczyłem, że można by cały ten kraj otoczyć siecią kolegów i przyjmować do nich dzieci krajowców, które

zostawszy następnie kapłanami, nawracałaby swe rodziny i swoich współplemieńców. Ojcu świętemu myśl ta nadzwyczaj się spodobała, a wznosząc ręce ku Niebu, zawołał:

Niech Bóg będzie uwielbiony. W ten sposób Patagończycy nawrócą Patagończyków. Niech tylko zostaną wyświęceni kapłani z pośród tubylców, a wierzę, że dzieło nawrócenia Patagonii wkrótce się dokona.

Wiele jeszcze spraw miałbym do poruszenia, ale to byłoby za długo i zresztą nie mam do tego sił. Ale na zakończenie chcę was ze szczególniejszym naciskiem wezwać i zachęcić, abyście wobec tylu względów ludzkich i łask niebieskich całym sercem przykładali się do tego, by być prawdziwymi salezjanami; byście przynosili owoce wszelkich cnót godne tego imienia. A rzeczą największej doniosłości jest, ażebyśmy żyli w serdecznej jedności, złączeni doskonałym posłuszeństwem. Tak, drodzy synowie bądźcie zawsze posłuszni. To posłuszeństwo niech się rozciąga nie tylko na codzienne spełnianie zleceń Przełożonych, ale niech obejmuje wszystkie nasze Reguły i Tradycje; niech będzie skore i chętne non coacte ded sponte i pogodne. Nic nie czynić, co by mu było przeciwne. Niechże nie znajdzie się wśród nas taki, którego posłuszeństwo - według wyrażenia Apostoła - zmuszałoby jego przełożonych do rozkazywania mu z płaczem. Pragnę, zatem, by wszyscy salezjanie byli posłuszni z miłości do Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Jeszcze jedna rzecz - i chciałbym żebyście jej wysłuchali ze szczególniejszą uwagą. Otóż to, co ma wyróżniać nas od innych, co ma być cechą charakterystyczną naszego Zgromadzenia, to cnota czystości. Niechże wszyscy usiłują zdobyć ją w stopniu doskonałym, do niej wdrażać i zaszczepiać ją w sercu innych. Wszak do niej słusznie stosować można słowa Pisma świętego: „Venerunt mini omnia bona pariter cum illa”. Gdzie jest ta cnota, tam będą inne, ona wszystkie przyciągnie do siebie. Gdzie jej zabraknie, tam wszystkie się rozproszą. Ona ma być oparciem dla wszystkich naszych poczynań. Miejmy to głęboko wryte w naszym sercu. Świećmy w tym względzie przykładem młodzieży. Niechże, broń Boże, nigdy się nie zdarzy, by ktoś z naszych miał być kamieniem zgorszenia dla jakiegoś chłopaka. Niechże nigdy nie zdarzy się, by jakiś salezjanin miał zatracić poczucie piękna skromności i swym nieoględnym postępowaniem, czy słowami, czy podsunieniem jakiejś książki miał zakłócić spokój duszy niewinnej. W czasach, w których żyjemy, potrzebna jest cnota wypróbowana i nieskazitelna. Kochając tę cnotę i praktykując ją, eritis sicut angeli Dei. Aniołowie kochają Boga, wielbią Go i służą Mu. I wy, lubując się w tej cnocie, tym godniej Go będziecie wielbić i Mu służyć wierniej. Będziecie mieli pokój w sercu, wolnym od wyrzutów sumienia i gotowi będziecie do znoszenia wszelkiej przykrości dla Niego. Posiadając tę cnotę, bezpiecznie będziecie postępować drogą prostą, a każda wasza czynność, choćby najmniejsza, przyjemna będzie Bogu. Uzbieracie sobie obfite zasługi i z całą pewnością dojdziecie do nieśmiertelnej chwały w Ojczyźnie Niebieskiej. Usiłujmy, zatem trzymać z dala od nas wszelką myśl, która by mogła choćby przyćmić tę cnotę; strzeżmy się jakiegokolwiek spojrzenia, czy pieszczoty, czy względem siebie, czy w stosunku do innych. A to, co nam najwięcej

dopomoże do ustrzeżenia tej cnoty, jest posłuszeństwo w najdrobniejszych rzeczach. Dwie te cnoty uzupełniają się wzajemnie i kto jest posłuszny, ten zdolny będzie zachować nieoszacowany skarb czystości.

Prośmy gorąco Boga, by nam tej łaski udzielił, a wtedy niczego nam nie zabraknie. Wszelkie dobro, wszelka pociecha przyjdzie nam z Nieba, jeśli ją tylko będziemy praktykowali. Ona zapewni triumf Zgromadzeniu i będzie najlepszym wyrazem wdzięczności względem Boga za tyle łask nam udzielanych.

Na zakończenie rzućmy okiem jeszcze na dzienniczek ks. Berto. Wynika z niego, że Ksiądz Bosko w ciągu swego pobytu w Rzymie miał trzy posłuchania u Papieża, złożył 10 - wizyt kardynałom, 19 - prałatom niższym, 13 - osobom, czy zespołom zakonnym, 12 – ludziom świeckim różnego stopnia; dwa razy oglądał lokal, jaki chciał nabyć, co jednak nie doszło do skutku i zwiedził dwa kościoły: mały św. Benedykta i odnowiony świętego Andrzeja; przyjął siedem zaproszeń na obiad. Jakie sprawy omawiał z kardynałami i prałatami w czasie swoich u nich wizyt, trwających nieraz od dwóch do trzech godzin? Na podstawie dzienniczka nie można wywnioskować. Ksiądz Bosko w tym względzie zachowywał zawsze wielką rezerwę. Raz miał się wyrazić, że nikt nie będzie nigdy wiedział, co on właściwie robił w Rzymie; kiedy indziej zaś po ostatniej podróży do Paryża, wyraził się, że miał w czasie niej do rozwikłania sprawy tak wielkiej wagi, iż tylko jedna z nich byłaby wystarczającym powodem jego wyjazdu do stolicy Francji.

Wspomniana konferencja z 4 czerwca, tak swą treścią, jak i przez podejście bezpośrednie do współbraci, do których przemawiał, jako ojciec biorący udział we wspólnych radościach i sukcesach rodzinnych, wywarła oczywiście magiczny wpływ na wszystkich słuchaczy, budząc w nich powszechny entuzjizm.

Gdy rozeszła się po mieście wiadomość o powrocie Księdza Bosco, wiele znakomitych osób przyszło do niego z wizytą. A nie były to same tylko konwencjonalne wizyty, jak to przynajmniej wnosić można z niektórych odbytych z udziałem współbraci. I tak 18 maja przybył monsignore Durio, kanonik z Novary, literat o poglądach, jak mówiono, nieco liberalnych. A ponieważ była to pora obiadowa zaproszony został do jadalni, po czym długo rozmawiał ze Świętym przechadzając się z nim pod portykami. W kilka dni potem zjawił się biskup ze Suzy, który konferował z Księdzem Bosko coś trzy godziny. Musieli oni mieć sprawę bardzo poważną do omówienia, gdyż na ogół Ksiądz Bosko krótko załatwiał interesantów, czy to gdy chodziło o powzięcie decyzji, czy o jakąś poradę. Przybył także profesor uniwersytetu Bacchialoni, wielki przyjaciel Świętego. Wyznaczony na egzekutora testamentu niedawno zmarłej pani Eurozji Monti. Każdy przypuszczałby, iż rozumowa zejdzie zaraz na temat spadku. A tym czasem Ksiądz Bosko zaprosił swego przyjaciela na czarną kawę i długo gwarzyli na temat misji i Patagonii. Wtedy mógł się ów profesor przekonać naocznie, jeśli dotąd tego nie zauważył, jak jego Święty przyjaciel ma serce oderwane od dóbr tej ziemi. A testament mógł budzić tym bardziej ciekawość, bo wiadomą było rzeczą, iż został zmieniony w ostatniej chwili.

Przy tej okazji kronikarz robi taką uwagę: Charakterystyczne jest u Księdza Bosko, że gdy zamierza się zabrać do jakiegoś dzieła, to zdaje się, jakby prócz tego nie miał nic do załatwiania, choć czeka na niego mnóstwo innych spraw. Rozważa on wtedy swój zamiar, roztrząsa go, omawia na rekreacjach, słuchając zdania innych. Gdy zaś znajdzie się przy swoim biurku, bez trudności odrywa się od wszystkich tych rozważań i najspokojniej załatwia sprawy bieżące.

Po skończonej rekreacji, spędzonej właśnie na pogawędce o Ameryce, zatrzymał się sam na sam z profesorem, który dopiero mógł go poinformować o przykrej sprawie wyżej wspomnianego testamentu.

Takie ważniejsze sprawy, jak znów zaznacza kronikarz, Ksiądz Bosko zwykł sam załatwiać. Nikt z jego księży, za wyjątkiem ks. Rua, nie miał się mieszać do tych rzeczy.

Po południu tegoż dnia wyszedł Święty po raz pierwszy od powrotu do Oratorium, do miasta, by odwiedzić księżnę Callori, która powracała do zdrowia po przebyciu poważnej choroby. Ale nie wyszedł sam. Miał, bowiem we zwyczaju, nawet idąc przez miasto, załatwiać różne sprawy. Tym razem miał do omówienia sprawę wydawniczą. Wziął, więc ze sobą koadiutora Pelazzo, kierownika drukarni i księgarza Barale.

Tak powoli włączał się znowu w nurt życia Oratorium, z którym częściowo stracił kontakt w czasie swego pobytu w Rzymie.

ROZDZIAŁ VII

NOWENNA I UROCZYŚCIE NAJŚWIĘTSZEJ MARYI WSPOMOŻYCIELKI

W czasie nowenny kazania głosił ks. Fogliano, pobożny kapłan z Biella, które bardzo podobały się Księdzu Bosko. Ponieważ zaciekało nas, które to zalety u tego kaznodziei najwięcej zaimponowały naszemu Ojcu, swego czasu zagadaliśmy O. Caracciolo, dziś już zmarłego, przełożonego Filipinów turyńskich, na temat ks. Fogliano. Ten posłyszawszy to nazwisko, nawet nie wiedząc, co nam chodzi, zawołał: O, ksiądz Fogliano... Znam go, pamiętam dobrze. Jako chłopiec słuchałem jego kazań, a słuchałem ich z wielką przyjemnością, ponieważ wykladał prawdy Boże jasno, ilustrował je pięknymi, ciekawymi przykładami, a mówił tak spokojnie, jak Ksiądz Bosko. To właśnie był styl kazań tego ostatniego.

W rozmowie o kazaniach wspomnianego księdza, Ksiądz Bosko wyraził swe zadowolenie i z tego także, że ten przytaczał zawsze jakieś cuda i łaski otrzymane za przyczyną Najświętszej Wspomożycielki. Gdy byłem swego czasu w Rzymie - mówił dalej - wstąpiłem do pewnego kościoła już pod koniec kazania i usłyszałem imię Księdza Bosko i przykład z książki pt. „Maria Ausiliatrice col racconto di alcune grazie”. No, a tutaj, w Turynie - zauważył wtedy ks. Barberis - bardzo mało mówi się o tych faktach, które przecież są nasze. Moim zdaniem, wypada więcej o nich mówić, tak prywatnie, jak i z ambony. Przecież to prawdziwie nasz skarb, a tak mało się go wykorzystuje.

Dzieło o Matce Najświętszej Wspomniane przez Ksiądz Bosko, wywołało już swego czasu wielką burzę w Kurii turyńskiej, jak o tym była mowa w rozdziale XIX t. 11. Ale ponieważ fakt opowiedziany przez kaznodzieję rzymskiego, związany jest ściśle z biografią Księdza Bosko, więc go tu przytoczymy. Otóż pewnego razu stanął przed Księdzem Bosko pewien lekarz biegły w swym zawodzie, ale nie wierzący i tak się do niego odezwał:

Słyszałem, że Ksiądz ponoć uzdrawia ludzi ze wszelkich chorób?

Ja? Bynajmniej.

A przecież zapewniano mnie o tym i podawano nazwiska osób i rodzaj choroby.

No, to niestety wprowadzono pana w błąd. Owszem, przychodzą do mnie osoby, pragnące otrzymać jakąś łaskę dla siebie i swych najbliższych, za przyczyną Najświętszej Wspomożycielki. Odprawiają wtedy tridua i nowenny, odmawiają specjalne modły i przyrzekają specjalne ofiary, jeśli otrzymają łaskę, o którą proszą. Ale w tych wypadkach uzdrowienia następują za pośrednictwem Madonny, a nie moim.

No to niech Ksiądz uzdrowi także i mnie, a wtedy uwierzę w te cuda.

A na co pan cierpi?

Doktor chorował na padaczkę. Od roku ataki powtarzały się tak często, że nie odważył się wychodzić z domu bez opieki. Żadne zabiegi lekarskie na nic się nie zdały. Widząc swój stan beznadziejny, zdecydował się przyjść do Księdza Bosko, w nadziei, że zostanie uleczone.

No dobrze, powiedział Ksiądz Bosko. Niech pan postąpi tak samo, jak inni. Proszę uklęknąć, pomodlić się ze mną, przygotować się do spowiedzi i Komunii świętej, a zobaczy pan, że Madonna go pocieszy.

Proszę mi rozkazać coś innego, ponieważ tego, co mi Ksiądz w tej chwili zaleca, uczynić nie mogę.

A to czemu?

Z mej strony byłaby to hipokryzja. Przecież ja nie wierzę ani w Boga, ani w żadną Madonnę, ani w modlitwy, ani w cuda.

Ksiądz Bosko był głęboko przejęty nieszczęśliwym stanem duszy tego człowieka.

Z pomocą jednak łaski Bożej, zdołał tyle uzyskać, że ten ukląkł, przeżegnał się, a powstając rzekł:

Sam zdumiony jestem, że potrafię jeszcze zrobić znak krzyża, którego już od czterdziestu lat nie robiłem. Przyrzekł równocześnie, że się przygotowuje do spowiedzi i dotrzymał słowa. Zaledwie się wyspowiadał, odczuł, że jest uzdrowiony. I rzeczywiście ataki epilepsji ustały, które przedtem, jak stwierdziła jego rodzina, były tak groźne, że należało się obawiać tragicznych następstw. W parę dni później przyszedł do kościoła Najświętszej Wspomożycielki, przystąpił do Komunii świętej nie tając swojego szczęścia, z powodu otrząśnięcia się z niedowiarstwa i odzyskania wiary i zdrowia

Wieczorem, przed triduum, Ksiądz Bosko, długo spowiadając, późno już bardzo przyszedł na kolację. Ta jego niby wieczerza, notuje kronikarz, składała się ze skodeli zupy i pół szklanki wina, jak zwykle. Później rozmawiał do blisko pół do dwunastej o nadchodzącym święcie i Patagonii.

W pierwszym dniu triduum, w niedzielę, była podwójna uroczystość. Obchodzono święto Opieki św. Józefa, na ten dzień odłożone, jak już o tym była wzmianka i powrót Księdza Bosko. Do obiadu, przygotowanego w bibliotece, zasiedli, oprócz majstrów, także goście zaproszeni z miasta, między nimi profesorowie Pecchenino, Terreo, Allievo, Lanfranchi i Bacchialoni. Takie uroczyste rodzinne obchody - notuje kronikarz - robią wiele dobrego. Urządzano je względnie często, bo jednały sympatię u przyjaciół zakładowych, zwłaszcza wśród duchownych i profesorów. Przyjęcia takie były, choć bez luksusu i rozrzutności, jednak z pewnym gestem, tak że goście odchodzili zadowoleni.

Wieczorem Ksiądz Bosko wziął udział w akademii rzemieślników, ku czci św. Józefa, a odłożonej specjalnie do jego przyjazdu. Szczególnie podobały się ożywione dialogi, w których wypowiadali się przedstawiciele poszczególnych rzemiosł. Rozpoczęli szewcy. Na scenę wystąpił jeden z parą butów podartych, a drugi z nowymi kamaszami w ręce. Po wymianie pozdrowień, pierwszy zapytany tłumaczył, jak się naprawia zdarte obuwie, posługując się przy tym odpowiednimi wyrażeniami w dialekcie. W podobny sposób tłumaczył drugi technikę szycia nowych kamaszy. Na zakończenie wpadł trzeci i wesołymi dowcipami zakończył szewską dyskusję.

Następnie wystąpili ci z branży krawieckiej, potem ślusarze itd. Nie brakło przy tym i pouczeń moralnych. Leniwca zachęcano do intensywniejszej pracy, niedbalucha do sumiennego wypełniania obowiązków, a gadułów do trzymania języka za zębami. Od czasu do czasu słyszałeś także i aluzje ewangeliczne, jak np.: O, patrzcie go, święty Józef w czasie ucieczki do Egiptu więcej cierpiał od ciebie; święty Józef o ileż więcej trudził się przy warsztacie niż ty; Posłuszeństwo Jezusa Józefowi i Maryi o ile więcej ochotniejsze było niż nasze.

Deklamacje kończyły się modlitwą odmawianą na klęczkach przed figurą św. Józefa.

Ksiądz Bosko był zadowolony z przebiegu akademii jak jeszcze nigdy. Dał temu wyraz w swym końcowym przemówieniu, oświadczając: Chciałbym, aby podobne akademie, z takimi dialogami, odbywały się codziennie. Jeśli tylko będę mógł, zawsze w nich wezmę chętnie udział. Z tej ostatniej jestem doprawdy bardzo, bardzo zadowolony. Urządzając coś podobnego, sprawicie mi zawsze wielką przyjemność. Następnie zalecił księdzu Lazzero, by przechował wspomniane dialogi na inne podobne okoliczności.

Ale i w tym dniu nie brakło przykrości. Pragnąc mieć chłopców z Alassio na uroczystości Maryjnej, wniesiono podanie o zniżkę 75 % do dyrekcji kolei. Odpowiedź przyszła odmowna z umotywowaniem, że powinna wystarczyć 50% - owa, jaką posiadano.

Stosunki kościelne, jak i położenie Papieża, pogarszały się z dnia na dzień we Włoszech tak, że dobrzy katolicy czuli potrzebę uciekania się znowu z większą żarliwością o pomoc do Najświętszej Dziewicy. Kardynał Patrizi, wikary Rzymu, zwrócił się ze specjalnym apelem do wiernych, by przed świętem Wspomożycielki wzięli udział w triduum urządzanym w kościele Santa Maria sopra Minerva, obsługiwanym przed Dominikanów. Podkreśliwszy machinacje bezbożników, zwracał się do tych Rzymian, którzy są katolikami z wiary i czynów, następującymi słowy:

„Nadeszła znowu konieczność zanoszenia modłów publicznych i czynienia szczególniejszych pokut dla uproszenia pomocy od tej, która jest Auxilium Christianorum. Ten tytuł Najświętszej Maryi Panny przypomina nam, że nigdy Ona nie opuściła w potrzebie Kościoła ani jego najwyższego Sternika”. Wyliczywszy następnie praktyki pobożne, przewidziane na triduum i udzielone z tej okazji odpusty kończył:

„Niech te modły publiczne będą choć skromnym wynagrodzeniem Bogu za ciężkie krzywdy i bluźnierstwa miotane ku oburzeniu katolików przeciw Najświętszej Maryi Pannie”.

Między aktami z owego czasu znajduje się dokument podpisany przez markiza Andrzeja Lezzani, a noszący datę tak ujętą: /„Rzym, w dniu 24 maja, poświęconym czci Niepokalanej pod wezwaniem Auxilium Christianorum – 1876” /. Była to odezwa młodzieży katolickiej rzymskiej do wszystkich katolików we Włoszech, ażeby w dniu 17 stycznia 1877 roku, uczcili 500 - lecie powrotu Papieża z Avignonu. Także Unita Cattolica, organ katolików włoskich, pisał w podobnym stylu, przypominając powrót Piusa VII do Rzymu, 24 maja 1814 roku, po pięciu latach niewoli, do „swojego Rzymu”, jako „Papieża i Króla”.

W Turynie rocznica ta z roku na rok stawała się więcej popularną i obchodzono ją z coraz większym zapalem i żarliwszą wiarą. Do bazyliki Najświętszej Wspomożycielki napływały tłumy wiernych, którzy potem cisnęli się do zakrystii, by otrzymać błogosławieństwo Księdza Bosko. I Najświętsza Wspomożycielka nie skąpiła łask przez ręce swojego wiernego sługi. W samym roku 1876 otrzymano jak

czytamy w „Letture Cattoliche” - 59 nadzwyczajnych łask, a ileż musiało być takich, które nie zostały zanotowane?

Opowiemy tu jedną, w której brał udział Ksiądz Bosko. W maju zachorował niejaki Mazzucco, starzec 82 - letni. Oczywiście mała była nadzieja jego wyzdrowienia. Zbolała jego córka Marcelina w tej niepewności pospieszyła do Najświętszej Wspomożycielki i modliła się gorąco o uzdrowienie ojca. Następnie udała się do Księdza Bosko z prośbą o błogosławieństwo dla niego. Ksiądz Bosko bardzo chętnie uczynił zadość jej prośbie, a żegnając ją powiedział:

Błogosławiąc panią, błogosławię jej ojca. Niech pani od dzisiaj aż do Bożego Ciała odmawia codziennie 3 razy Ojcze nasz..., Zdrowaś Maryjo..., Chwała Ojcu i... ku czci Najświętszego Sakramentu i jedno Salve Regina... do Najświętszej Dziewicy. I może pani być pewna, że łaskę otrzyma.

Córka powróciła pocieszona do domu, ale ponieważ upragnione uzdrowienie nie nadchodziło, powróciła zasmucona do Księdza Bosko, który jej zwrócił uwagę, że czas modlitwy jeszcze się nie skończył. Przecież, trwa jeszcze nowenna do Bożego Ciała, która właśnie się dzisiaj zaczęła. Módlmy się, zatem dalej z całą ufnością. Resztę proszę zostawić Madonnie. Jak zapowiedział, tak też się stało. Rankiem, w święto Bożego Ciała staruszek poczuł się całkiem zdrów.

Oratorium, jak się to mówiło żargonem domowym, było się w „Terracinie” - to jest we wielkich opałach finansowych. Ksiądz Bosko już blisko od dwóch miesięcy, nie chodził za jałmużną po Turynie, a w Rzymie nie miał na to czasu i nie uważał też za właściwe. A przecież na nim spoczywał cały ciężar zaopatrzenia domu. Wypadki więc swoje rozpoczął rankiem przed wigilią uroczystości.

Około 10 zajechał po niego z kareta baron Bianco di Barbania. Był to dżentelmen z krwi i kości, jeden z najwybitniejszych panów piemonckich, postawny, charakteru jowialnego, nie liczący się wiele ze słowami, a przy tym bardzo życzliwy Księdzu Bosko. Oczywiście, że tego poranku nie wiozł on swego przyjaciela tylko na przejażdżkę, ale też nie pozwolił mu wrócić przed wieczorem oczywiście z próżnymi rękami.

Niepodobna opisać szczegółów wzmagającego się z dniem każdym ruchu przedświątecznego w Oratorium. Przeplatające się próby muzyki i śpiewu trwały nieraz do późnej nocy. W czasie rekreacji przygotowywano ceremonie z Małym klerem. Zaimprovizowani sekretarze pisali zaproszenia do dobrodziejów i wybitnych osobistości. Po domu kręcili się malarze, robotnicy gazowi, dekoratorzy, stolarze przygotowujący stoiska do zbierania składek. Ks. Rua kilkakrotnie zbierał na narady przełożonych, by zapobiec możliwym nieporządkom i kronika notuje, że zawsze, ilekroć zbliżało się większe święto, odbywały się podobne narady. W tych naradach brali udział także koadiutorzy kompetentni w pewnych sprawach, czy zaangażowani do różnych zajęć z uroczystością związanych.

Nie dziw, przeto, że już we wigilię święta panował wśród młodzieży nastrój iście świąteczny, gwarny i wesoły. Po południu miała być jeszcze wprawdzie tzw.

lectio brevis, ale w praktyce nie udało się nawet ta brevissima. Zjeżdżali się dyrektorzy z delegacjami swoich zakładów. Zjawił się też monsignore Masnini, sekretarz biskupa z Casale oraz konsul Gazzolo, świeżo przybyły z Ameryki. Widok napływającego duchowieństwa diecezjalnego i osób przybyłych nawet z dalekiej Szwajcarii dla uczczenia Najświętszej Wspomożycielki spowodował, rzec można, proroczą notatkę w kronice Oratorium, gdzie kronikarz pisze: „Nie zdziwiłbym się, gdyby w ciągu paru lat kościół nasz Najświętszej Wspomożycielki stał się celem tłumnych pielgrzymek”.

Ksiądz Bosko przyjmował nieustannie całe tłumy napływających wiernych, co przeciągało się do godziny pierwszej po południu. Wtedy nadszedł telegram z Genui, zapowiadający przybycie dwu znakomitych dam, które prosiły o obiad w Oratorium. Ksiądz Bosko przyjmował wszystkich z uprzejmością i spokojem dobrego gospodarza.

Na wieczerzę zszedł po ukończonych spowiedziach, a więc już bardzo późno. Po przejściu oczekiwał go konsul Gazzolo. Czytywał on pilnie korespondencję misjonarzy, zamieszczaną w Unita Cattolica, interesując się również tym, co o Argentynie pisały i inne periodyki misyjne i nie był z tego zadowolony. Według niego należało mu się więcej uznania i podkreślenia jego zasług. Użalał się już na to przed księdzem Francesia, ale to mu nie wystarczało. Czuł potrzebę wywnętrzenia się przed Księdzem Bosko. Ten, gdy go zobaczył, zdjął biret, uściśkał serdecznie i posadziwszy go koło siebie, rozmawiał z nim, mimo zupełnego wyczerpania przeszło godzinę.

W czasie tej konwersacji, nie szczędził dla niego najzaszczytniejszych tytułów, przypisując jemu całą zasługę tej tak szczęśliwie udanej wyprawy misyjnej w Argentynie. Zasadą jego było, by nikt nie odszedł od niego, choćby z kropelką gorzkości w sercu. W samą uroczystość Msze święte odprawiały się od samego ranka, przy nieustannych tłumach komunikujących aż do południa. We Mszy św. wspólnej wzięli udział wychowankowie z Valsalice. Muzyka i śpiew - zauważa kronikarz - były w tym roku więcej spokojne niż w latach uprzednich, ale za to wykonane było wszystko z większą dokładnością. Wychowani przez ks. Cagliero śpiewacy zbierali pochwały i pod nieobecność mistrza, który tak ich umiał wykształcić, że i pod nowym dyrygentem wszystkim zaimponowali. Zasługuje tu też na uwagę to, co pisze „Invito Sacro” : W hymnie „Saepe dum Ochristi” autor usiłował odtworzyć akordami głośną bitwę zwycięską stoczoną przez chrześcijańskie wojska pod Lepanto z hasłem „Auxilium Christianorum”. I rzeczywiście dramatyczny ten utwór samorzutnie przez wszystkich słuchaczy ochrzczony został „Bitwa pod Lepanto”. Taki to wtedy był styl muzyki religijnej. Hymn powtórzony został w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego, przy udziale jeszcze większych tłumów, mało też, co mniejsza była wtedy frekwencja i do Komunii świętej.

Ksiądz Bosko zaledwie odprawił Mszę świętą i wrócił do zakrystii, otoczony został przez cizbę proszących o błogosławieństwo, którzy przetrzymali go dobre półtora godziny. Wychodząc z zakrystii, niezdolny był prawie słowa wymówić. Mimo to nie stracił zwykłego mu spokoju i pogody ducha. Kto go mógł w owych dniach z

bliska obserwować, pełen musiał być podziwu dla swobody, z jaką brał udział w przygodnych rozmowach, w których nawet drażliwe tematy umiał z maestrią skierować na właściwe tory. Nieraz zdawało się, jakby wyjmował z ust swoich rozmówców pewne słowa, czy zdania, aby im potem nadać tę treść, jaką chciał, by utkwiała im w pamięci. Przejawiał się w tym nieznacznie jego talent, jako dawnego sztukmistrza, który znał sekret, jak pociągać ku sobie i zawładnąć nad otoczeniem, by na nie zbawiennie wpływać.

Ale w tym uroczystym dniu nie zabrakło chmury. Funkcje ranne celebrował wspomniany monsignore Masnini. Zaproszono wprawdzie arcybiskupa, ale ten odmówił. Nie zgodził się również na celebrę innego. Ludność oczywiście, niczego się nie domyślając, nawet nie zauważyła nieobecności biskupa, gdyż celebrans przybrany był we fiolety i używał bugii. Nie uszło to uwagi Kurii. Zaraz bowiem po nabożeństwie nadszedł zakaz ostry, żeby coś podobnego nie powtórzyło się na niesporach.

Nazajutrz zaś wpłynął pod adresem; Ks. prefekt domu Oratorium Ksiądz Bosko - list, w którym stało: „Jego Eksceleńcja Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup zlecił mi wyrazić Waszej Przewielebności swoje żywe niezadowolenie z tego, że wczoraj w kościele Maryi Wspomożycielki został dopuszczony do uroczystej celebry kapłan obcy i to w insygniach prałackich, bez wyraźnego zezwolenia księdza arcybiskupa, co było konieczne, by nie wykroczyć przeciw przepisom kościelnym. Tym bardziej jest to godne napiętnowania, gdyż jest sprzeczne z panującym zwyczajem w archidiecezji, według którego duchowny nie będący biskupem, nie może używać w uroczystych, czy nieuroczystych funkcjach odznak prałackich. I faktem jest, że wielu kapłanów w tutejszej archidiecezji, mających tytuł monsignora i prawo do wynikających z tego honorów, jednak insygniów prałackich nie używają, gdyż nie mają na to zezwolenia arcybiskupa. Wobec czego przypomina się Przewielebności Waszej i jego współpracownikom, że „melior est oboedientia quam victimae /1 Kr.15,22/. Jego Eksceleńcja wyraża nadzieję, że w przyszłości nie będzie musiał zwracać się z podobnym zażaleniem”.

Warto tu dodać, że monsignore Santo Masnini gwoli uszanowania dla władzy, był u arcybiskupa w sprawie tego zezwolenia, lecz nie został przyjęty.

W parze z tym dokumentem idzie zarządzenie z 2 czerwca, według którego żadnemu z neoprezbiterów Księdza Bosko nie wolno celebrować ani pierwszej Mszy św., ani następnych, przynajmniej w przeciągu dni piętnastu po święceniach w żadnej parafii archidiecezji turyńskiej.

W tymże czasie, kiedy Księdzu Bosko przychodziło połykać po tak gorzkiej pigułce, jeden z biskupów Włoch południowych, prosi ordynariusza turyńskiego o wyrażenie Księdzu Bosko jego szacunku. Był to biskup S. Agatha dei Gothi, który zauważywszy u biskupa z Castellamare historię kościelną Księdza Bosko, „a nie znając adresu tego tak gorliwego kapłana”, prosił swego arcybiskupa, aby zarządził mu wysyłkę przynajmniej dwudziestu egzemplarzy tego dzieła, gdyż jest jego

zamiarem zachęcić swój kler, by je czytał i propagował w diecezji. Arcybiskup wykonał punktualnie zlecenie przez swego sekretarza.

Gorliwość, pobożność, ożywiająca wszystkich podczas uroczystości maryjnych, wywarły zbawienny wpływ na pewnego protestanta, przebywającego wtedy w Oratorium i przyspieszyły jego nawrócenie. Jest ono tym bardziej dla nas interesujące, że daje nam nowy aspekt gorliwości Świętego.

Wilhelm Hudson, urodzony z rodziców protestanckich, a wychowany w kalwinizmie, przybył do Szwajcarii, celem studiowania języków nowożytnych. Miał lat 20. Zarzuty stawiane ciągle katolicyzmowi w jego otoczeniu rozbudziły w nim zainteresowanie nauką katolicką. Im więcej ją studiował, tym więcej miał zastrzeżeń, co do wartości kalwinizmu. Bóg zrządził, iż zaprzyjaźnił się z pewnym gorliwym katolikiem, któremu też zwierzył się ze swoich wątpliwości religijnych. Wyraził przy tym chęć zetknięcia się z życiem katolickim we Włoszech. Aby tam mieć jakieś oparcie, starał się o posadę nauczyciela prywatnego w jakiejś rodzinie, lecz na razie bezskutecznie. Wówczas przyjaciel wspomniał mu o Księdzu Bosko, zapewniając, że tam zostanie życzliwie przyjęty. Hudson napisał, więc do Oratorium, z zapytaniem warunki przyjęcia. Otrzymałszy przychylną odpowiedź, wybrał się do Turynu i tu czekała na niego łaska Boża. Zwycięstwo jej przecież nie zaraz nastąpiło. Po dwóch tygodniach Hudson popadł nawet w dawną swoją obojętność religijną, a zapominając, po co przyjechał, myślał tylko o uczeniu się języka włoskiego.

Ksiądz Bosko, który go bacznie obserwował, nie tracił jednak nadziei, lecz unikał zbytniego pośpiechu. Rozmawiając z ks. Bologna, prefektem zakładu, tak dał mu co do Hudsona informację: Powiedziałem mu jasno, że tu nikt nie będzie go zmuszał do zmiany religii, lecz zawsze traktować go będziemy z całą życzliwością, jakkolwiek miałby podjąć decyzję. Jeśli sam dobrowolnie zostanie katolikiem, uważać go będziemy jakby brata i niczego mu nie zabraknie, dopóki pozostanie z nami. Ale też, co powiedziałem drugim, powtórzyłem i jemu, że, jeśli opuścił Oratorium, to ja do niczego nie będę czuł się zobowiązany względem niego i nie ma, co liczyć na dalszą pomoc z naszej strony. Uważałem za konieczne to mu oświadczyć, by później się nie żalił, że katolicy go opuścili. Oświadczenie moje przyjął on całkiem spokojnie i zapewnił mnie, że całkowicie podziela moje zdanie i godzi się na wszystko. Wobec tego teraz ty, Bologna, dopilnuj, by uczył się katechizmu, by brał udział we wspólnych modlitwach i udzielał mu chętnie różnych wyjaśnień, o jakie będzie pytał.

Nadzieje Księdza Bosko ziściły się: Łaska Boska zwyciężyła. Nastąpiło to jednego poranka, w czasie nowenny. Wilhelm znajdował się wówczas sam, w sali muzyki, ćwicząc się w grze na skrzypcach. Wtem wzrok jego padł na statuę Matki Najświętszej Wspomożycielki, ustawionej na małym podwyższeniu. Widywał Ją tam często, lecz tym razem zrobiła na nim dziwne wrażenie. Fala nowych, nieznanym mu dotąd myśli ogarnęła jego umysł: wątpliwości obok pewności wiara i niewiara

walczyły, że sobą w jego duszy, aż wreszcie postawił sobie pytanie: Jakże można wytłumaczyć tyle miłości i czci, tyle modlitw, tyle kazań, tyle ksiązek, tyle ślubowań ku czci Najświętszej Dziewicy, gdyby to wszystko nie miało sensu?... Przez następne dni modlił się i rozważał. Coraz bardziej pociągało go i przejmowało nabożeństwo do Madonny, a równocześnie zbudził się w nim nieprzemierzony pociąg, by zostać katolikiem

i gorliwym czcicielem Matki Bożej. W końcu udał się do Księdza Bosko, przedstawił mu stan swej duszy i prosił o przyjęcie na łono Kościoła świętego. Oczywiście nie natrafił na żadne trudności w tym względzie, zaczął więc poważnie przysposabiać się do tego wielkiego aktu.

Arcybiskup Gastaldi tym razem bez trudności udzielił potrzebnych upoważnień Księdzu Bosko. Hudson przyjął chrzest święty w dniu 4 czerwca i pod tą datą zapisał sobie, co następuje:

„Dzisiaj, właśnie dzisiaj, zostały zmasowane wszystkie moje dawne przewiny. Dzisiaj odrodzony zostałem w wodzie Chrztu świętego, stając się silnym i mężnym, gotów stanąć z otwartym i jasnym czołem wobec niewiernych, schizmatyków i heretyków. Dzisiaj Najświętsza Maryja Panna uznała mnie za syna, dzisiaj przyrzekłem kochać Ją, czcić i wzywać, jako Matkę najczulszą. Dzisiaj otrzymałem Jej Syna, Jezusa i obiecałem iść za Nim wszędzie, choćby wśród największych niebezpieczeństw. Za łaską Bożą pozostanę wierny katolickiej wierze, złączony z Zastępcą Jezusa Chrystusa, nieomylnym Piusem IX i wolę raczej śmierć choćby najokrutniejszą niż wyrzec się kiedykolwiek obietnic dzisiaj uczynionych”.

Nie był to ogień słomiany. Wyjechał on następnie do Ameryki, gdzie znalazł sobie niezłą posiadłość. Kiedy zaś później starał się, by go w jednym z kolegów katolickich irlandzkich przyjęto na profesora, wtedy okazało się potrzebne zaświadczenie o jego przejściu na katolicyzm. Zwrócił się po nie do Oratorium, za pośrednictwem swego wuja, który pisząc do ks. Rua z Brunswiku, pod datą 17 listopada 1892 r., wspominał, że pod kierunkiem „Świętego Księdza Bosko” jego „siostrzeniec nawrócił się na katolicyzm bez żadnego nacisku ze strony czy księży, czy zakonników”, wyłącznie pod wpływem „widzenia”.

Wypadki tego rodzaju, że protestanci przychodzili do Oratorium z zamiarem nawrócenia się, zdarzały się dość często. Nie wszyscy oni wprawdzie wracali do Owczarni Chrystusowej, ale zawsze z pobytu u boku Księdza Bosko odnosili jakąś korzyść duchową.

Skoro już mowa o protestantach, warto tu przytoczyć jeden szczegół. Otóż jeden protestant z Florencji, pod koniec marca, zwrócił się z prośbą, by mógł w Oratorium złożyć wyznanie wiary (przejść na katolicyzm) i tam zatrzymać się przez jakiś czas. Z treści jednak jego listu można było podejrzewać, że wchodzi tu w grę jakieś uboczne, mniej szlachetne pobudki. Wobec tego ks. Rua, odpisując mu, użył nieco silniejszych zwrotów. Urażony tym protestant zwrócił się rozżalony do Księdza Bosko, zapewniając go o swej najlepszej woli. Wtedy Ksiądz Bosko w rozmowie z księdzem

Rua zrobił następującą uwagę: Nowicjuszom w sprawach religijnych, niezdolnym do spełnienia jakichś aktów cnoty, trzeba odpowiadać zawsze z łagodnością i wyrozumiałością, nawet, gdy zachodzi uzasadniona obawa, że oni chcą nadużyć naszego zaufania. Po tych słowach podał mu sposób ujęcia owego listu, jaki miał znowu napisać do Florencji, w odpowiedzi na zażalenie. Podziwu godna była zręczność Księdza Bosko, z jaką w mig układał różne pisma i to zawsze w tonie odpowiadającym danej osobistości.

Gdy skończyły się uroczystości maryjne, Oratorium wróciło do normalnego życia. Ks. Rua, według zwyczaju, zwołał wszystkich bliżej zainteresowanych świętem, by każdy przedstawił napotkane trudności. Notowano je i na przyszłe lata służyła, jako przestroga

w podobnych okolicznościach. Wystarczyłby ten szczegół, by zamknąć usta wszystkim, którzy, nie znając ducha, ni tradycji Oratorium, wszędzie chcieliby dopatrywać się samych nieporządków. Owszem, był ruch i rozmach życia, ale zawsze pod okiem Przełożonych; bacznie czuwających nad tym pozornym zamieszaniem, wywołanym żywiołowością młodzieńczą, którzy umieli utrzymać go w należytych ryzach i nadać mu właściwy kierunek.

Cytujemy tu dwie uwagi ze wspomnianego sprawozdania poświętecznego:

1. W kościele należy zadbać o asystencję nad każdą klasą, a w przeddzień powinno się wyznaczyć chłopcom miejsca.

2. Ksiądz Bosko życzy sobie, by goście mieli również dostęp do zakrystii, na chór, by każdy zakątek mógł być wykorzystany.

Jeszcze jeden szczegół. Ks. Bonetti z Borgo S. Martino, okolicy słynącej z uprawy truskawek, posłał Księdzu Bosko na święto Maryi Wspomożycielki prezent z tych aromatycznych owoców. Odtąd weszło to w zwyczaj, który przetrwał do dzisiaj, że dyrektorzy z tej samej okazji przysyłają do Oratorium truskawki. Święty, dziękując mu za tę niespodziankę, w liście wspomina o przebiegu święta i zachęca tamtejszych współbraci do dalszej gorliwej pracy.

Drogi Ks. Bonetti! Dziękuję za miły list. Truskawki, tym smaczniejsze, że ich mało było, bardzo pięknie o was świadczą. No ładnie. Pisał mi kleryk Anzini. Powiedz mu, że może zrobić, jak pisał, a będę bardzo zadowolony, jeśli w najbliższej przyszłości będzie mógł działać cuda. Pozdrów go ode mnie.

W czerwcu wybiorę się na parę dni do was, by się zobaczyć z tamtejszymi wychowankami, o których tyle rozmawiałem z Ojcem świętym. Na pewno będzie to dla mnie wielką pociechą, gdyż, jak mi piszesz, zastanę połowę z nich już, jako świętych, a drugą połowę na drodze do świętości. Bądź pewien, że dla mnie największą pociechą jest, gdy się dowiaduję, że nasi chłopcy są pilni i cnotliwi. Tymczasem powiedz memu kochanemu Adamowi /kucharz/, że zbliża się czas dyń i skoro tylko będzie mógł mi przygotować z nich jeden talerz, to zaraz się zgłoszę. Tamtemu zaś powiedz, że tak długo nie będę z niego zadowolony, dopóki nie nabędzie

trzech „S”, ale wszystkie wielkie. Pozdrów go ode mnie /trzy „S” = Sanctitas, Scientia, Sanitas/. Wszystkim księżom, klerykom i asystantom życzę darów Ducha Świętego, a zwłaszcza męstwa. Uczniom z czwartej i piątej klasy powiedz, że jestem im bardzo życzliwy i zadowolony z tego, co mi o nich powiedziano. Zrobię im mały podarunek. Z każdym chciałbym na osobności pomówić o jego powołaniu. Wszystkim innym wychowankom życzę, aby wzbogacili się według słów Piusa IX, w prawdziwe bogactwa świętej bojaźni Bożej. Choć piszę krótko, to ty rozwiń od siebie moje myśli. Święto Matki Boskiej wypadło wspaniale. Zdarzyło się wiele cudów, między innymi nagłe uzdrowienie nowicjuszki z Mornese. Niech was Bóg błogosławi, etc. Turyn, 26.05.1876 r.

ROZDZIAŁ VIII

KSIĄDZ BOSKO W ŻYCIU CODZIENNYM

Rozdział ten w oryginale nosi tytuł: *Modi e linguaggio del Beato in alcuni incontri*. Czy dobrze został przetłumaczony, osądzą czytelnicy. Oczywiście obejmuje on tylko zdarzenia z roku 1876 i to z pierwszej jego połowy. Godną podziwu była zręczność Księdza Bosko, z jaką skierowywał rozmowę na tematy duchowne, jak również z pewną swadą, z jaką umiał powiedzieć prawdę bez urażenia osób, do których się to odnosiło.

Pięknym przykładem tego jest zajście, jakie miało miejsce 15 lutego. Otóż miał on zwyczaj raz na rok odwiedzać dwie starsze niezamężne panie Bonnie, mieszkające w Turynie, zatrzymując się tam na obiad. We wspomnianym dniu udał się do nich w towarzystwie ks. Rua i ks. Barberisa. Po skończonym obiedzie przyszli do tych dwóch siostr dalsi krewni, z którymi one absolutnie nie mogły się zgodzić na punkcie religii. Byli to państwo Tovaglia bezdzietni, a bardzo bogaci, a mimo to nie dali nigdy ani solda na cele dobroczynne, tym mniej na kościół. Wprowadzeni do salonu, spotkali się z Księdzem Bosko i jego towarzyszami. Po wstępnych komplementach powitalnych rozmowa zesłała na temat pana Turletti, który był dobrze znany państwu Tovaglia.

Jest to pan doprawdy wielkiej zacności - zauważył Ksiądz Bosko.

Tak, to prawda, odpowiedział pan Tovaglia. Trudno znaleźć podobną rodzinę w dzisiejszych czasach.

Rzecz to bardzo pocieszająca, że w dzisiejszych czasach spotyka się jeszcze tak zacne i pobożne rodziny. On chodzi regularnie do kościoła, przystępuje do sakramentów, słucha kazań mimo licznych i ważnych obowiązków, jakie na nim ciążyą.

A jakże wytworny jest w obejściu - przytakiwał Tovaglia. Jak gościnnie przyjmuje, a przy tym zawsze skory do przysługi...

Właśnie to - podchwycił Ksiądz Bosko - jest godne uwagi, że tak praktycznie stosuje się do wskazówki ewangelicznej: *Quod superest, date pauperibus*. W tym względzie bywa aż skrupulatny. A ma przecież liczną rodzinę i ostatecznie w pieniądzech nie pływa. Jak wtedy, gdy mieszkał jeszcze we Florencji, tak i teraz zaledwie coś zaoszczędzi, zaraz przychodzi mnie odwiedzić i mówi: Księżu Bosko, ziema się zbliża. Trzeba pomyśleć o ciepłej bieliźnie dla chłopców.

Kiedy indziej znowu pomyśli o bucikach i wręczając mi poważną sumkę mówi: śniegu dużo, Księżu Bosko, trzeba pomyśleć o lepszym obuwiu dla chłopaków. Niechby się i poślizgali trochę... I tak stale się powtarza. Pewnego razu nawet poczuwałem się do obowiązku zwrócić mu uwagę, że w ten sposób przynosi uszczerbek na majątku swej rodzinie i że mimo moich potrzeb, nie powinien

przekraczać miary w dawaniu jałmużny... Och, ładnie Księżę Bosko - odpowiedział. Chciałby Ksiądz sam tylko dostać się do nieba? Przecież zaniedbując tego, jakbym spełnił zalecenie Chrystusowe dawania wedle możliwości jałmużny? Ależ to tylko rada, nie nakaz - zauważyłem. Dla mnie obojętne czy rada czy nakaz. Jakkolwiekby było, to są jeszcze inne słowa Zbawiciela, że łatwiej wielbłądowi wejść przez ucho igielne, niżli bogaczowi dostać się do nieba. To nie są żarty. Ja pragnę się zbawić i dlatego chcę mieć serce oderwane od dóbr tego świata. Pewno, że kto myśli tylko o sobie, temu zawsze brak dla biednych. Im więcej jest się bogatym, tym więcej ma się urojonych potrzeb, to niby aby żyć odpowiednio do swego stanu, to znowu by sobie zabezpieczyć przyszłość, względnie mieć gotówkę na szarą godzinę. Ale wszystko to są wymówki chciwców i skąpców. Wobec prawdziwości tych jego wywodów, nic mu już nie odpowiedziałem. A jasnym mi się stało, że mam przed sobą człowieka wielce wspaniałomyślnego, przejętego głęboko duchem wiary.

Pewno, pewno. Przecież on za młodu chciał iść na księdza. A ponoć nawet był już klerykiem...

Tego szczegółu nie słyszałem; lecz znałem go zawsze, jako człowieka świętego, bezinteresownego, o głębszym wykształceniu.

I rozmowa zesłała na temat misji salezjańskich, na wielki brak księży w Ameryce, na konieczność niesienia cywilizacji tamtejszym jeszcze dzikim szczepom. A to wszystko – zauważył Ksiądz Bosko - wymaga wielkich nakładów.

No i brak ochotników do takiej pracy - wtrąciła jedna z pań Bonnie.

Pewno, że nie ma ich wiele. Gdyby jednak były środki, gotówka, to by można kształcić kandydatów i tych by się następnie wysłało. Właśnie gotuje się nowa wyprawa misjonarzy, ale odczuwamy jeszcze skutki pierwszej, która nas kosztowała z górą trzydzieści sześć tysięcy lir. Łatwo państwo się zgodzą, że na takiego biedaka, jakim jest Ksiądz Bosko, to trochę za dużo. Na szczęście Opatrzność Boża, skoro ma w swych zamierzeniach przeprowadzenie jakiegoś dzieła, to porusza szlachetne serca i sprawy Boże idą naprzód. Wszyscy i wszystko jest w rękach tej tak łaskawej Opatrzności Bożej.

W dalszej konwersacji wspomniano o świeżym samobójstwie niejakiego pana Monti. Takie załamanie się wobec przeciwności losu, nazwał Tovaglia podłością. Ech, gdzie nie ma religii - wtrącił jeden z obecnych - to nic dziwnego, że coś podobnego się zdarza... i dalej padały uwagi na temat śmierci. To nie odpowiadało pani Tovaglia, która wprawdzie zaznaczyła, że śmierci znowu tak bardzo się nie lęka; ostatecznie jak nadejdzie, to trzeba będzie umrzeć... ale za wcześniej tym się przejmować, to szkoda nerwów...

To prawda - podchwycił Ksiądz Bosko. Tak zawsze mawiał świątobliwy kapłan, jakim był ksiądz Cafasso. Na śmierć trzeba być zawsze przygotowanym, jakby dziś miała nastąpić, a wtedy nie ma racji, aby się jej obawiać i nadwyręzać sobie nerwy. Kiedy kto ma czyste swoje sumienie, bo albo nie ma grzechów, albo się z nich już dobrze wyspowiadał i za nie odpokutował, to czemuż by miałby się obawiać śmierci.

Tylko ci, co źle żyją i nie przystępują nigdy, albo bardzo rzadko przystępują do sakramentów świętych, ci doprawdy mają powód, by obawiać się chwili zgonu. Słusznie boją się tego momentu, bo ich dręczy sumienie. Myśl o gotowości na śmierć często spotyka się w Ewangelii. „Estote parati” - zaleca Boski Zbawiciel - „quia qua hora non putatis, Filius hominis veniet” - i to przyjdzie, jako złodziej...

Żegnając się, Ksiądz Bosko bardzo grzecznie zaprosił państwo Tovaglia, aby zechcieli odwiedzić Oratorium, którego przecież dotąd nie widzieli. Na pewno ci państwo przez długi czas pamiętali tę rozmowę ze Świętym.

Spotykając się z nowo przybyłymi do Oratorium, Ksiądz Bosko nie poprzestawał na oddaniu im ukłonu, lecz ich zawsze zagadywał i przywodził im na pamięć myśl o duszy.

W marcu pewnego dnia przyniósł mu śniadanie przebywający w Oratorium dopiero od paru tygodni, 30 - letni młodzieniec. Święty, przypatrzwszy mu się uważnie zapytał:

A jak wam na imię?...

Pesce.

A skąd ?

Niedaleko od Mondovi.

A coście dotąd robili ?

Byłem za służącego w kolegium Mondovi. Mam tu zaświadczenie podpisane przez syndyka i kanonika Ighina.

Przeczytaj je. - Ten wyciągnął zaświadczenie i przeczytał je. Natenczas Ksiądz Bosko pytał dalej:

Czy chcesz tu zostać na stałe w Oratorium, czy też tylko czekasz na lepszą posadę?

Prawdę mówiąc, to chciałbym tu pozostać.

A czy jesteś zadowolony? A może zdaje ci się, że to miejsce nie dla ciebie?

Na ogół podoba mi się, ale wołałbym, by mnie wysłano do innego kolegium, Turyn nie dla mnie.

A co chciałbyś robić?

To co mi każą. Mogę sprzątać pokoje, refektarz itp.

Jeśli tylko o to chodzi, to możemy cię posłać gdzie indziej.

A chciałbym jeszcze wiedzieć, czy chcesz tylko zarobić sobie pieniędzy, czy też raczej tak sobie myślałeś: Byle mi nie zabrakło tego, co potrzebne dla ciała i duszy, to tutaj zostanę. Jeślibyś powiem przyszedł tylko dla zarobku, to tu nie ma miejsca dla ciebie.

Eh, dla mnie wszystko jedno. Tak przecież jestem sam na świecie.

Więc dobrze, posłuchaj:, Jeżeli chcesz tylko, by ci niczego nie brakło tak dla duszy jak i dla ciała, w zdrowiu i chorobie; jeżeli chcesz zdobyć sobie dobrą pozycję w tym i przyszłym życiu, to możesz zostać. W tym ci bardzo chętnie dopomogę. Ale trzeba się wyraźnie zdecydować i powiedzieć sobie: Ja koniecznie chcę zbawić swoją duszę...

Cóż na to powiesz Pesce? Chciałbyś mieć się dobrze na tym świecie i na drugim?

Owszem, owszem, bardzo mi się to podoba... Prawie, prawie. Dosyć na razie jestem zadowolony.

W takim razie dobrze... Jest tu ks. Barberis, pogadaj jeszcze z nim. Porozumieście się. Z mej strony będę bardzo zadowolony, jeśli będę mógł zrobić coś dobrego dla ciebie.

Rzadko się zdarzyło, by i ci domowi przeszli koło niego bez usłyszenia jakiegoś życzliwego słowa. Pewnego wieczoru spotkał ich coś sześcioro pod rząd i każdemu miał coś do powiedzenia. I tak do ks. Monateri: O, ksiądz Manateri na pewno chciałby zadziwić Księdza Bosko cudami, jakie zaczniesz działać, nieprawda? Do klero, któremu było na imię: Podesta : Tremunt potestates. Potestas et imperium in manu eius. Słowem tym towarzyszył serdeczny uśmiech ojcowski. Do klero Ghigliotto Varazze: Tyś mi się jeszcze nie wyświadczył z twojego życia przeszłego. Trzeba, żebyś sobie obrał jeden dzień i przedstawił mi, co będziesz robił na przyszłość. Do koadiutora Giuseppe Rossi: O, hrabia Rossi; wielki przyjaciel Księdza Bosko.

O, ksiądz Bosko zawsze musi żartować ze swoich - zawołał Rossi.

Co, ja żartować? A przecież chętniej posłyszałeś to, co ci powiedziałem, a niżeli gdybyś coś ode mnie oberwał?

Do klero Bodratti, który miał uczyć w „Scuola di fuoco”: Przygotuj się dobrze, bo naśle ci tylu uczniów, że aż się przerazisz, ale postaraj się, by pod twoją ręką wyrosły z nich piękne roślinki, godne Winnicy Bożej.

Do innego klero: Zdaj się na mnie. Na razie pojedziemy do Ameryki pomagać księdzu Cagliero. Będziesz miał sposobność nawrócić Patagonię.

Kto nie miał szczęścia znać Księdza Bosko, nie może sobie wyobrazić, ile dobrego robiły podobne odezwania się. A teraz wypada nam zapoznać się ze sposobem traktowania tych, co byli przy ustalaniu różnych zamierzeń przeciwnego zdania od Księdza Bosko. Otóż nie zwalczał nigdy wprost opinii odmiennej od swojej, lecz słuchał jej z dobrocią, okazując, że bierze ją poważnie pod uwagę, że nie wykluczone, iż zostanie wykorzystana, słowem nie dawał swemu rozmówcy do zrozumienia, że jego zdanie podziela. W konkluzji zaś decydował wedle zasady, że skoro się nie da zrobić tego, co by się chciało, to zrobi się to, co potrzeba i co się da. Od tej chwili nie odstępował już ani o jotę od powziętego zamiaru, kierując się własną głową, nie pomysłami innych. Zostawiając wolne pole każdemu do dyskusji, miał w tym wyraźny swój cel: wszak w ten sposób dana sprawa została lepiej naświetlona, ujawnione zostały ewentualne trudności, podsunęte środki do jej urzeczywistnienia, a przy tym dyskutanci nabierali doświadczenia. Takie podchodzenie do ludzi najlepiej się ujawniło w długich rozmowach jego z konsulem Gazzolo. Ksiądz Bosko kładł główny nacisk na ewangelizowanie Patagonii, co zresztą było wyraźnym życzeniem Ojca świętego, konsul zaś o tym nie chciał słuchać, ciągle zawracając do Buenos Aires, gdzie chciał widzieć olbrzymi zakład wychowawczy, podobnie jak w Turynie, przy którym, by oparcie duchowne znaleźli tamtejsi włosy. Właściwe misje wcale go

nie interesowały. Święty nie sprzeciwił mu się, słuchał jego wywodów, czasem zrobił jakąś uwagę lub zastrzeżenie, jednak bez upierania się przy swoim zdaniu. Z biegiem czasu wszakże powoli, powoli przeprowadził to, co sobie zamierzył.

A teraz wypadnie, nam towarzyszyć Księdzu Bosko w krótkiej jego podróży poza Turyn. Dnia 31 maja w towarzystwie ks. Barberisa udał się do Villafranca d'Asti do ks. Messidonio, dawnego wychowanka Oratorium, ciężko chorego. Spotkania, jakie miał po drodze, to rzeczy same w sobie zwykłe, lecz u niego zwyczajne nie było zwyczajnym. Pociąg odjeżdżał o 8 rano. On spowiadał do ostatniej chwili, tak, że nie zdążył nawet wypić filiżanki kawy. Wsiadając do wagonu, spotkał dawnego przyjaciela, ks. Dassano z Cambiano.

Nawiązała się zaraz serdeczna rozmowa. Ksiądz Bosko zaprosił go do Oratorium na komedię łacińską, jaka tam miała być odegrana, ale ten nie mógł skorzystać, zajęty duszpasterzowaniem chorych. Ksiądz Bosko gratulując mu tak zbożnego zajęcia, wspomniał na zasadę ks. Guala, że kapłan, który chce mieć konfesjonał oblężony przez penitentów, wystarczy, że się zajmie chorymi. Opieka nad jednym chorym pociągnie wnet całą rodzinę do kościoła i tu zesza rozmowa, jak pocieszać rodziny, które oplakują swych zmarłych. W pewnym punkcie ks. Dassano odzywa się smutny: A moja rodzina zejdzie do grobu z chwilą mojej śmierci. Wszak pozostałem tylko ja i mój brat, obecnie przełożony misjonarzy w Chieri. Z naszym zgonem do widzenia. Wszyscy Dassano skończyli się. Nawet bratanka nie mam żadnego, który by objął po nas drobny spadek.

O, jeżeli chodzi o spadkobierców - odezwał się Ksiądz Bosko to ja ich mogę dostarczyć, ile ksiądz zechce. A pozostawione patrimonium doprawdy będzie procentowało, jeszcze jak? Przed paru dniami żalił się baron Catella, że nie ma, komu pozostawić swego majątku. Niech pan baron zda się na mnie - powiedziałem, a zobaczy, jak w kilku dniach jego majątek przyniesie sto na jeden. Wszystko zamieni się w bułki dla naszych chłopców, a dalej w prześcieradła, w koszule, serdaczki itd... Księżę proboszczu, niech ksiądz spróbuje zgadnąć, ile trzeba wydać, ażeby zakupić dla każdego z wychowanków Oratorium parę prześcieradeł? Niech ksiądz mi wierzy, to będą bajeczne sumy.

No, jakie 600, może 800 lir - odpowiedział ks. Dassano, przestraszony zresztą, czy nie powiedział za wiele.

O, zaraz, zaraz, niech ksiądz posłucha prostego rachunku: jedno prześcieradło kosztuje około 8 lir, dwa na każdego z 880 chłopców; prawda, że razem uczyni to ponad 14.000 lir? A teraz inne rzeczy?... , jak spodnie, koszule, marynarki, skarpetki itd. dużo, prawda.

W taki to sprytny sposób podchodził Ksiądz Bosko do osób, zwłaszcza bogatszych, by przedstawić im potrzeby Oratorium. Przytaczał najprostsze rachunki za koce, odzież, żywność, stosownie do pory roku i wykazywał, jak wielkie są potrzeby jego instytucji. Nie zaczynał tego tematu tak ni stąd, ni zowąd, by nie wyglądało, że się narzuca, czy prosi o wsparcie, lecz nawiązywał do słów swego rozmówcy

i kierował tak konwersacją, by dojść do konkluzji, o którą mu chodziło. Gdy ks. Dassano wysiadł, Święty zabrał się do korekty arkuszy „Dziejów Starożytnych” pisanych wtedy przez ks. Barberisa, przeglądając, że zwracał uwagę na mniej odpowiednie wyrażenia, na hipotezy za śmiałe i inne niewłaściwości, jakie zauważył. Tak dojechali do stacji Viliafranca.

Tu można było przekonać się, jakim wzięciem cieszył się Ksiądz Bosko u tamtejszego duchowieństwa, które gremialnie wyszło na jego spotkanie, z oznakami największego uszanowania. Proboszcz staruszek 60 - letni, nie posiadał się z radości. Ciągłe mówił o Oratorium, o Buenos Aires, o misjach, o których był widocznie dobrze poinformowany. Nie mniej względów okazywali mu wikary i nauczyciel miejscowy. Z nimi udał się Ksiądz Bosko do ks. Messidonio, gdzie zatrzymał się na przyjacielskiej pogwarce, aż do czwartej po południu. Informował obecnych o Synach Maryi, przekonany, że słuchający będą mogli mu zwerbować odpowiednich kandydatów. I rzeczywiście jeden z domowników proboszcza, już wolny od wojska, wyraził chęć Księdzu Bosko, że chce się uczyć na księdza. Ksiądz Bosko pochwalił jego zamiar, ale nie dał ostatecznej decyzji. Także proboszcz wspominał o dwóch swoich parafianach, którzy w tym kierunku wyrazili chęć. Ksiądz Bosko i co do nich nie mógł zdecydować, bo właśnie wtedy toczyła się dyskusja na temat przeniesienia Synów Maryi do Sampierdarena.

Mówił dalej o Córkach Maryi Wspomożycielki, wyjaśniając ich cel i przedstawiając rozwój tego instytutu. Jedna dziewczyna, która już o nich słyszała, dowiedziawszy się o możliwości przyjęcia do nich, zaraz się zgłosiła. Za jej przykładem poszły inne dwie do Mornese.

W czasie obiadu przyszedł na plebanie ojciec ze swym synem, prosząc o przyjęcie do Oratorium. Ponieważ proboszcz dawał o nim najlepsze informacje, tak samo i nauczyciel, więc kandydat został przyjęty.

Wreszcie zeszedł Ksiądz Bosko na temat Pomocników, który to argument bardzo leżał mu na sercu. Podkreślił, jak bardzo to dzieło podobało się Ojcu świętemu i jakimi szczególnie łaskami zostało przez niego wzbogacone. Zwrócił uwagę zrećnie, iż uzyskał odpust zupełny dla wszystkich dobrodziejów Oratorium, ilekroć przystąpią do Komunii św., względnie odprawią Mszę św. Wtedy to zwracając się do proboszcza, oświadczył mu, że mówił o nim z Papieżem i uzyskał tenże odpust dla niego, nie tylko dla niego osobiście, ale i dla całej rodziny. To samo oznajmił ks. Messidonio, dodając, że dla niego zyskał także odpust in articulo mortis. Łatwo wyobrazić sobie, jak dodatnie wrażenie zrobiła na tych dwóch godnych kapłanach ta wiadomość, że Ksiądz Bosko o nich pamiętał w Rzymie i takie łaski dla nich otrzymał. To, co uzyskał on dla wszystkich razem, zaraz rozdawał poszczególnym, jako przywilej osobisty: Sic totum omnibusquod totum singulis.

Biedny ks. Messidonio trawiony suchotami, nie mógł już opuszczać łóżka. Gdy Ksiądz Bosko żegnał się z nim, pragnął on podnieść się i mówił, że chętnie poszedłby do Turynu i wstąpił do Zgromadzenia, jak to już dawno było jego pragnieniem. Na to Ksiądz Bosko bez zakłopotania odpowiedział: Ja od tej chwili już przyjmuję księdza i po powrocie do Turynu zapiszę go w poczet naszych współbraci. A ksiądz, skoro będzie mógł tylko wstać, choćby jeszcze nie całkiem zdrow, może przyjechać do Oratorium, a przyjmiemy go a otwartymi ramionami. Wystarczy nas tylko zawiadomić pół dnia naprzód, byśmy mieli czas przygotować pokój. Oczywiście każdy z obecnych, nie pomijając Księdza Bosko, był przekonany, że aby tego biednego suchotnika uzdrowić, potrzeba by na to cudu pierwszej klasy. Ale w ten sposób Święty chciał go podnieść na duchu, a przy tym zapewnił go o modlitwach swoich i chłopców w jego intencji.

Gdy Ksiądz Bosko wszedł do pociągu, nie mógł nic robić z powodu bólu głowy; rozmawiał więc ze swoim towarzyszem podróży o nowicjuszach i gimnazjalistach z czwartej i piątej klasy, omawiając postępowanie każdego z osobna. Przy tym zrobił ciekawe spostrzeżenie: Obecnie nasi chłopcy zdaje się, że stanowią prawdziwą rodzinę, w której oni są panami domu. Interesy Zgromadzenia uważają za swoje. Często słyszy się jak mówią: Nasz kościół, nasz zakład w Lanzo, Alassio w Nizza. Cokolwiek dotyczy salezjanów, uważają za „nasze”.

Gdy rozmowa schodzi na temat misji, zakładów, naszych interesów, to biorą w niej żywy udział i czuje się, że są tym sprawom całym sercem oddani. A gdy słyszą o tym, że trzeba pójść w to, czy tamto miejsce, że otwierają się nowe zakłady, że nas zewsząd wołają do Włoch, do Francji, Anglii, czy Ameryki, to zdaje im się, że są już panami świata. Rozmowa ta skończyła się podkreśleniem ducha, jaki ożywia Zgromadzenie Salezjańskie, którego charakterystyką jest wielka aktywność, a równocześnie względne traktowanie przeciwników. Nie upierać się przy pracy tam, gdzie nie można nic zrobić, ale raczej przenieść się tam, gdzie można odpowiednio wykorzystać własne siły.

Ks. Barberis z przyjemnością słuchał tych wywodów i zapisywał sobie skrzątnie w pamięci, ale Księdza Bosko głowa nie przestawała boleć. Gdy przyjechali do Turynu, tenże wziął swojego towarzysza na filiżankę kawy do restauracji, przy czym kronikarz dopisuje: I to podkreślało ducha naszego Zgromadzenia. Nie zabiegać o wygody i zbytki, ale kiedy zajdzie potrzeba, zbytnio się nie krępować. O tej godzinie stoliki były wolne. Rozmowa potoczyła się o rzemieślników, przebywających w Oratorium.

Uważam, mówił Ksiądz Bosko, że ten dział idzie dobrze teraz, owszem, mógłbym powiedzieć, w żadnym zakładzie wychowawczym moralność nie stoi tak wysoko jak wśród nich. Gdy ja byłem klerykiem, to byliśmy wszyscy już dojrzały, dobrze zdawałem sobie sprawę z tego, co się wśród nas działo. Nie było tam tak dobrze, jak obecnie jest w Oratorium.

Wyszedłszy z restauracji, Ksiądz Bosko mówił o powołaniach, zaznaczając, że oznaką powołania do stanu duchownego i zakonnego, to szczerść wobec spowiednika. Równocześnie wspominał, że nie wszyscy, co nadają się do kapłaństwa w zakonie, mogą zostać kapłanami w świecie. W zakonie jest mniej okazji, wobec czego słabsi utrzymają się, podczas gdy w świecie, narażeni na tyle niebezpieczeństw, bardzo łatwo upadają.

Po drodze napotkali księdza Giuganino, pracującego przy kościele świętego Karola. Ponieważ ks. Barberis spostrzegł się, że mają do omówienia rzeczy poufne, zatrzymał się i przepuścił ich naprzód samych. Po rozstaniu się z owym księdzem natknął się jeszcze Ksiądz Bosko na teologa Murialdo, który towarzyszył mu aż do Oratorium. Rozmawiali o synagodze żydowskiej /mole antonelliana/, którą Żydzi chcieli odsprzedać katolikom, nie mogąc jej wykończyć. Proponowano Księdzu Bosko jej nabycie za 250 tysięcy lir. Z początku zainteresował się on tą propozycją, ale po lepszym rozglądnięciu się, zrezygnował z niej.

Bardzo charakterystyczny u Księdza Bosko jest jego sposób traktowania swych antypodów pod względem religijnym. Interesujące będzie spotkanie z panem Provera, w San Salvatore /Monferrato/. Otóż raz pewnego Ksiądz Bosko przechodził przez tę wioskę, prowadząc żywą rozmowę z kilku panami, między którymi znajdował się także ks. proboszcz. Tematem było otwarcie kolegium salezjańskiego w tejże miejscowości, tak bardzo życzliwej salezjanom.

Tylko jeden jest - informowano Świętego - co mu się sprzeciwia. Najbogatszy to pan we wsi, lecz od lat nie chodzi do kościoła. Na pewno jest masonem. To cavaliere Provera. Ledwie padły te słowa, gdy oto, lupus in fabula. Z przeciwka nadchodził pan Provera we własnej osobie.

Idzie księżożerca — odezwał się ktoś z towarzystwa. Ksiądz Bosko puścił mimo uszu tę złośliwą uwagę. Gdy się już mieli wyminąć, Święty uchylił kapelusza, a Provera odpowiedział ukłonem, zatrzymując się i - jak zwyczaj każe - powitali się obaj wzajemnie, wymieniając zwykłe przy pierwszym spotkaniu konwenanse.

Powiedziano mi, że Szanowny Pan jest cavaliere Provera?

Do usług Waszej Przewielebności.

U nas to nazwisko jest ogólnie szanowane. Nosił je pewien świątobliwy kapłan z Turynu, wielki nasz dobrodziej. Czy może pan wywodzi się z owych Provera z Mirabello?

Tak właśnie. Mój dziadek przyszedł tutaj z Mirabello. Należymy do tamtej rodziny.

Rozmowa w tym tonie potoczyła się jeszcze parę minut, aż Provera ujęty serdecznością Księdza Bosko, zaprosił go do siebie na szklanekę wina. Towarzyszący Księdzu Bosko protestowali, mówiąc:

Może kiedy indziej, przecież ma Ksiądz przed sobą już umówione wizyty... Lecz Ksiądz Bosko przeprosiwszy ich, poszedł z owym mniemanym masonem

opowiadając mu przez cały czas wesołe historyjki, które go wielce ubawiły. Przy pożegnaniu, chcąc utrwalić zawartą świeżo z nim przyjaźń, powiedział otwarcie:

Proszę pana, w tej chwili pragnąłbym zapewnić sobie pańską życzliwość i opiekę. Z taką serdecznością odniósł się pan do mnie, że ośmielałem się prosić go o małą przysługę. Powiem otwarcie - przyszedłem do San Salvatore w sprawie wyszukania, jakiegoś lokalu, który by był przydatny na zakład wychowawczy. Pragnąłbym, aby to kolegium pozostawało pod jego opieką i cieszyło się jego poparciem.

O, jeśli o to chodzi, to proszę bardzo - odpowiedział ujęty słowami Księdza Bosko. Chętnie uczynię zadość życzeniu Księdza, a nawet, ponieważ Ksiądz zwrócił się z całą otwartością do mnie, to ja z tą samą szczerością, z ręką na sercu zrobię mu pewną propozycję: Proszę zwiedzić mój dom, oglądnąć wszystko dokładnie, a jeśli Ksiądz uzna, że nadałby się na kolegium, to gotów jestem natychmiast go odstąpić.

Ksiądz Bosko dziękował serdecznie i przeprosił, że w tej chwili nie może skorzystać z tak wspaniałomyślnej oferty, aż się nie rozglądnie po mieście... I rozeszli się obaj bardzo zadowoleni z zawartej między sobą znajomości.

ROZDZIAŁ IX

MISJONARZE I MISJE

Dwa cele przyświecały Księdzu Bosko przy wysyłaniu swoich misjonarzy do Argentyny: opieka duchowa nad emigrantami włoskimi i ewangelizacja Patagonii i Pampas.

Pierwszy cel był już osiągnięty. Emigranci włoscy w pełni korzystali z opieki duchowej salezjanów. Co dotyczyło zaś misji wśród dzikusów, wszystko jeszcze było do zrobienia i Ksiądz Bosko stale nad tym myślał. Tymczasem zewsząd nadchodziły różne propozycje, pozostające w związku z nawracaniem tubylców, które równocześnie świadczyły, jak wielkie nadzieje pokładano w pierwszych salezjanach, którzy wylądowali w Ameryce łacińskiej.

Arcybiskup z Buenos Aires zamierzał oddać salezjanom parafię w Carmen de Patagones, położoną na krańcu rozległej jego diecezji, a przytykającą od południa do Patagonii. Ufundowane tam hospicjum mogłoby się stać ośrodkiem skupiającym koło siebie mieszkańców z Rio Negro.

Antoni Oneto, genueńczyk, komisarz kolonii galleńskiej, tak nazwanej, gdyż była skolonizowana przez ludność pochodzącą z Galles, pertraktował z księdzem Cagliero o dwóch salezjanów, którzy usadowiwszy się w owej kolonii, mogliby pracować nad Indianami z Chubut. Posiadamy dość obszerny list z dnia 1 marca 1876 roku, w którym ten pan, opisując stan kolonii, warunki miejscowe, udziela ponadto ks. Cagliero następujących informacji:

„U stóp Kordylierów ciągnie się urodzajny teren, zajmowany przez szczep Pampas. Około połowy lutego, 41 członków tego szczepu przybyło tu do mnie wraz ze swym kacykiem Foielem, w celu sprzedaży skór guanaków i lisów. Lud ten jest na pół cywilizowany i zdaje się nie ma w nim skłonności do jakowys okrucieństw. Przedłożyłem kacykowi zamiary względem nich rządu argentyńskiego i pytałem, czy zgodzą się przyjąć misjonarzy katolickich do siebie, na co ten odpowiedział mi twierdząco. Szczep ten jest dość liczebny i skłonny do zaniechania życia koczowniczego. Odległość swych siedzib od kolonii Chubut liczą na 13 dni drogi, robiąc po 20 mil dziennie, co wyniesie razem 260 mil.

Widocznie ich osada nie znajduje się bezpośrednio u stóp Kordylierów, jak oni twierdzą. Wielu włada nieco językiem hiszpańskim; odżywiają się stosunkowo dobrze. W odległości o 50 do 60 mil od Kolonii jest inny szczep o ludności patagońsko-pampaskiej. Na czele stoi niejaki Ciquecian, bardzo dobry człowiek. Pozyskawszy go sobie, można by wiele wśród nich zdziałać. Jest uczynny, spieszył z pomocą kolonistom z Galles, posyłając im żywność. Niech tylko przyjdą wasi dwaj ojcowie,

a działy tu cuda i Chubut zostanie pozyskany dla wiary i cywilizacji przez ziemiaków odkrywcy Nowego Świata. Trochę odwagi i wiary a zwyciężymy.

Rząd jest życzliwy. Małżonka prezydenta, madama - jest arcykatolicka; tak samo najdosłójniejszy pan Juan Dillon, komisarz generalny dla imigrantów. Zaś artykuł 113 ustawy imigracyjnej, orzeka: „El poder Ejecutivo procurara por todos los medios posibles el establecimiento en las Secciones, de las tribus indigenas, creando misiones para traerlas graduaimente a la vida civilizada, auxiliandolas en la forma que crean mas conveniente y estableciendolas por familias en lotes de cien hectarcas, a medida que vayan manifestando aptitudes para el trabajo”. /Rząd postara się wszelkimi możliwymi środkami wciągnąć szczepy tubylcze do życia cywilizowanego, organizując dla nich misje, udzielając zasiłków i przydzielając po kilka hektarów rodzinom, które okażą chęć do życia osiadłego/.

Zatem, jak Wielebność Wasza widzi, są warunki po temu i czas sprzyja, aby wasze Towarzystwo św. Franciszka Salezego, pod auspicjami Księdza Bosko, mogło wykazać się, że w ciągu paru lat zdołało ucywilizować szczepy między Desiderado, Chubut i Rio Negro.

Mieszkańcy Kolonii byli protestantami, podzieleni na cztery sekty, z czterema duchownymi na 800 osób. Pan Oneto zaofiarował się wszelkimi sposobami ułatwić tam pracę misyjną salezjanom.

Rząd zaś argentyński zamierzał utworzyć kolonię na południu Patagonii, koło Rio Santa Cruz. Misjonarzom gotów był udzielić wszelkich środków dla ucywilizowania Patagończyków w tamtych okolicach.

Pod datą 3 lipca, pisał ks. Cagliero do Księdza Bosko z Buenos Aires: Wszyscy ci Indianie są stosunkowo łatwi do opanowania, ale przy tym są bardzo podejrzliwi i w razie, czego mordują bez litości. Jakkolwiek jest, trzeba przygotować personel dla Patagonii. Kandydaci niech się uzbroją od początku w cierpliwość, roztropność i odwagę.

Z tymi Indianami, gdy się nie postępuje ostrożnie, to w jednym dniu można popsuć wszystko, co się działo przez całe lata. Misjonarz, który by tylko wspomniał o poddaniu się rządowi w Buenos Aires, zostanie bezwzględnie zamordowany; tak samo, gdyby im groził użyciem przemocy. By móc coś działać w danym szczepie, trzeba najpierw zjednać sobie kacyka darami i miłym obejściem, pociągając go tym samym do religii i życia cywilizowanego. Dobrze też by było zaprzyjaźnić go z jakimś dobrym chrześcijaninem. Można by następnie z nim mówić o rządzie argentyńskim, ale tylko o tyle, o ile ten udzieliłby im jakiejś pomocy. Broń Boże wspominać o poddaniu mu się. A resztę zróbi Opatrzność.

Arcybiskup również pragnął posłużyć się salezjanami, w celu stworzenia dzieła bardzo potrzebnego w Dolores, na południe od Buenos Aires, poza Rio Salado. Projekt ten popierało wiele wysoko postawionych osobistości. Początkowo błędnie przypuszczano, jakoby Dolores było ostatnią osadą w tej części Patagonii, najdalej

wysuniętą wśród Indian. Było ono tylko bardzo odległe od osad cywilizowanych. To błędne mniemanie tłumaczy nam, dlaczego Ksiądz Bosko tak usilnie nalegał na księdza Cagliario, żeby obsadzić tę placówkę.

Także z Cordoba, leżącej w środku republiki, wzywano salezjanów, by otwarli tam swoje kolegium. Ile zabiegów nie czynił tamtejszy profesor Poulson, by zjednać dla tej myśli ks. Cagliario, lecz do Cordoba mieli salezjanie przyjść dopiero w roku 1905.

Potem, co powiedziano łatwo już zrozumiemy list pisany przez Księdza Bosko do ks. Cagliario, pod koniec maja:

Księżę Cagliario! Nie nadeszły mi jeszcze oczekiwane breve z Rzymu, mam tylko to dotyczące księdza Ceccarelli, które chciałbym wysłać z tym dla pana Beniteza, którego spodziewam się z dnia na dzień. Podaję ci do wiadomości, czego ode mnie żądał Ojciec święty, który jest bardzo zainteresowany misjami w Patagonii i Pampas. Otóż on sam chce kierować tą misją i zaleca, ażeby wszelkim kosztem, czym prędzej otworzyć kolegium, czy hospicjum w Dolores. Komandor Gazzolo przesłał swoje urzędowe sprawozdanie do Stolicy świętej, dostosowane do projektu, który tutaj załączam, a o którym dobrze by było, by wiedział również ks. Fagnano, byśmy wszyscy postępowali jednomyślnie i nic nie zmieniali w naszych projektach bez wspólnego porozumienia. Gdy tylko nadejdzie pismo z Rzymu, zaraz cię o tym powiadomię.

Wspomniany komandor zwrócił mi owe 200 franków, które mu pożyczyłeś - w złocie - plus drugie 2.000 franków. Gotów jest odstąpić swój teren na cele kościoła MB Łaskawej, za cenę do mego uznania. Napisz mi zatem, ile tam u was płaci się za metr gruntu.

Nalega również o wysłanie nowej ekspedycji misjonarzy. Według niego potrzeba by ich było dwunastu: pięciu księży, trzech koadiutorów, takich, co by mogli prowadzić szkołę i czterech do posługi w kuchni, w kościele, ogrodzie itd.

Uroczystość MB Wspomożycielki upłynęła przy wielkim udziale wiernych. Nie brakło nadzwyczajnych łask i cudów. Nie brakło i wina z Mendozy, przy aplauzach na cześć misjonarzy. Uchwalono do was wysłać list, który ci pośle ks. Chiala; resztę kiedy indziej. Nowa ekspedycja nastąpi chyba z końcem września. Kiedy nowi przybysze tam się zainstalują, to powrócisz na Valdocco.

Gazzolo zapewnia mnie, że prezes Stowarzyszenia św. Wincentego a Paulo ofiaruje 80.000 franków do twojej dyspozycji na wybudowanie szkoły dla ubogiej młodzieży rzemieślniczej. Jakie twoje zdanie w tym względzie? Dowiedziałem się również od niego, że jesteś wyczerpany i źle wyglądasz. Miej, więc staranie o siebie i innych, a w najgorszym razie pakuj manatki, a ja pomyślę o twoim następcy. Pozdrowienia dla wszystkich moich kochanych synów itd. Dnia 30.05.1876 r.

Gdy rozwiało się marzenie o założeniu odrębnej kolonii dla Włochów, Ksiądz Bosko tym energiczniej zakrzętał się koło akcji misyjnej wśród szczepów Pampas

i Patagończyków. Zależało mu bardzo na utworzeniu tam prefektury apostolskiej, o której już swego czasu konferował z kardynałem Franchi.

W relacji podpisanej przez Gazzolo, dotyczącej misji, nie ma nic nowego poza tym, co już wiemy. Chodziło głównie o to, aby w Rzymie wiedzano, co robią salezjanie w Ameryce, a tym samym, aby łatwiej było uzyskać poparcie w Kongregacjach. Wzmianka o pieniądzech zwróconych przez Gazzolo Księdzu Bosko dotyczy pożyczki, jaką ten otrzymał na podróż od salezjanów. Co dotyczy owego terenu, który Gazzolo chciał odstąpić pod kościół, to ks. Cagliario ocenił go na 18.000 lir włoskich, tyle też ofiarował mu Ksiądz Bosko. Konsulowi jednak wydała się ta suma śmiesznie niska. Ze swej strony zażądał 40.000 lir. Wywody, jakie przytoczył na poparcie tego żądania, zostały bez trudności przez ks. Cagliario obalone. Pertraktacje stanęły więc w martwym punkcie i nigdy ostatecznie nie zostały zakończone.

Tymczasem w Buenos Aires przygotowywała się piękna szkoła zawodowa na wzór tej w Oratorium. O jej początkach tak mówił Edward Carranza, prezes Konferencji św. Wincentego na odprawie jej członków, w obecności Nuncjusza Apostolskiego, w roku 1880. Na tej odprawie był obecny ks. Józef Vespignani.

Otóż pewnego dnia - tak mówił wspomniany Prezes - dwóch ludzi szło ulicami Buenos Aires, zastanawiając się nad otwarciem jakiegoś zakładu dla młodzieży biednej

i opuszczonej, wałęsającej się po ulicach stolicy. Obaj mieli najlepsze chęci, ale żaden nie miał do tego środków wystarczających. Jednym z nich, to był kapłan z Turynu przysłany do Ameryki przez Założyciela nowego Zgromadzenia, mającego na celu ratowanie młodzieży zaniedbanej. Z nim przyszli majstrowie i instruktorzy i także kilku kapłanów zdolnych kierować zakładem wychowawczym, ale nie mieli ani pieniędzy, ani domu. Był to ks. Cagliario ze swoimi współpracownikami - drugi, to byłem ja sam, jako Prezes Konferencji. Otrzymałem właśnie wtedy legat od jednej zacnej pani na założenie schroniska dla ubogiej młodzieży. Był on jednak za szczupły na wzniesienie budynku odpowiedniego, a już bezwzględnie nie było mowy o utrzymaniu sierót. Wynosił 600.000 pesos, co na liry równało się około 60.000. Można więc było najwyżej wynająć jakiś budynek, tak aby coś zacząć. Otóż zrzędzeniem Opatrzności Bożej, ci dwaj ludzie spotkali się, podali sobie rękę, mówiąc: Dobrze, a więc w Imię Boże, zaczynamy. I rzeczywiście zaczęli. Wydzierżawiono dom dość obszerny przy ulicy Tacuari y San Juan, w parafii Concepcion. Pierwsze sieroty przyjęto z zakładu prowadzonego przez siostry, przy ulicy Mejico. Ich rodzice padli ofiarą żółtej febry, która grasowała w Buenos Aires w roku 1871. Byli, więc już owi chłopcy w wieku, w którym trudno było siostrom ich prowadzić. Innych 25 chłopców przyjęto od rodzin biednych, pozostających pod opieką Konferencji. Tak powstały pracownie: krawiecka, szewska, stolarska i introligatorska; prowadzone były według systemu salezjańskiego, z kapelą, chórem i wszystkimi innymi dodatkami. Umowa jednak będąca podstawą tego dzieła między Towarzystwem Salezjańskim a

Konferencjami miała poważne niedomówienia, co z biegiem czasu stało się przyczyną poważnych nieporozumień.

Kierownictwo tej szkoły objął ks. Bodrato, który równocześnie był rektorem kościoła MB Łaskawej i przyległej parafii. Drugim dzielnym pomocnikiem ks. Cagliero był ks. Baccino, którego gorliwości i poświęceniu zawdzięczają swój rozwój dzieła salezjańskie w tamtym mieście.

Ale było jeszcze inne dzieło, do którego zabrali się salezjanie po przybyciu do Buenos Aires. Bardzo przykre wrażenie na nich zrobiła dzielnica miasta, zwana Boca, zamieszkała przez emigrantów z Ligurii. Im to przypisywano sekciarskie manifestacje skierowane przeciwko Jezuitom, którym podpalono wielkie ich kolegium Salwador. Ks. Cagliero w swoich kazaniach w kościele MB Łaskawej, piorunował strasznie na tę hańbę ściągniętą na imię włoskie. Porwany gorliwością apostolską, postanowił osobiście zbadać, co to jest ta osławiona Boca, o której tyle złego się słyszało. Nabrawszy więc do kieszeni pełno medalików Matki Boskiej Wspomożycielki, w które zaopatrzył się w Turynie, udał się na rozstaje oddzielające to przedmieście od stolicy. Tu napotkał gromady dzieci i wyrostków, wałęsających się wśród nędznych chałupin, którzy zdziwieni, skąd się tam wziął jakiś klecha, zaczęli mu podrzeźniać. Ale jakież było ich zdziwienie, gdy usłyszeli, że mówi do nich narzeczem genueńskim i podchodzi z uśmiechem życzliwym w ich stronę.

Ks. Cagliero w stosownej chwili sięgnął po medaliki i całymi garściami zaczął je rozrzucać dokoła. Cała zgraja tych uliczników rzuciła się na nie w przekonaniu, że to pieniądze, a wtedy on szybko się oddalił i znikł im z oczu. Przebiegł jeszcze ulice w dzielnicy portowej i kilka innych wszędzie rozsiewając medaliki. Poruszenie zwłaszcza wśród dzieciarni było wielkie. Zebrane medaliki przynieśli do swych domów pokazując je mamom, babkom, siostram, braciom, dziadkom, ciotkom słowem każdemu, czy kto chciał, czy nie chciał. O niczym innym po tych zaułkach miejskich nie mówiono, jak tylko księdzu, nazwanym przez nich „księdzem medalikowym”. Cóż, kiedy ten dziwny medalikowy kapłan im znikł, nie wiadomo gdzie...

Nazajutrz ksiądz Cagliero był u arcybiskupa. Wczoraj - referował mu - odbyłem wspaniałą przechadzkę. Byłem w Boca i zlustrowałem ją wszędy i wzdłuż.

Popełnił ksiądz wielką nieroztropność. Ja sam w tamtym kierunku nigdy się nie zapuszczam i zabraniam tam chodzić swoim księżom, by nie oberwali kamieniami po głowie.

A ja - odpowiedział ksiądz Cagliero - mam wielką pokusę powrócić tam raz jeszcze, by przekonać się, jaki był skutek mej pierwszej wizyty. Bo widzi Ekscelencja, ja tam zasiałem... więc wypada, bym poszedł żniwować...

Tylko niech się ksiądz ma na baczności i nie naraża się... Ksiądz Cagliero nie tracąc humoru, pożegnał arcybiskupa. Coś na drugi, czy trzeci dzień szedł znowu ulicami wspomnianej dzielnicy.

Dzieci biegły za nim wołając: O ksiądz, ksiądz z medalikami... Wówczas powtórzyły się sceny, tak dobrze znane z życia Księdza Bosko: to z was jest najlepszym?... Kto najgorszy? ...

Umiecie się przeżegnać?... A Zdrowaś Maryjo...?.. Oczywiście ten, czy ów próbował wykazać, że coś tam umie. Niektórzy z nich mieli już nawet owe medaliki na szyi i prosili o nowe, by je dostarczyć rodzeństwu. Ks. Cagliero słuchał, obdarowywał proszących, żartując przy tym wesoło. Słowem drugi wypad do Boca zamienił się na mały triumf. Mężczyźni i kobiety wychodzili z domów, aby zobaczyć Księdza, który zdobył sobie sympatię ulicy i swoich młodych przyjaciół zapewniał, że będą mieli wkrótce boiska, gry, śpiewy, muzykę i tyle pięknych rzeczy.

Arcybiskup, usłyszawszy od ks. Cagliero, co zaszło w Boca, zdziwił się niepomniernie, ale i uradował tym wielce. W przypiływie entuzjazmu zawołał: Jeżeli już ksiądz się pali do Boca, to ja oddaję salezjanom tamtą parafię, gdzie dotąd właściwie nic nie udało się zrobić na polu religijnym. Ks. Cagliero podziękował i oświadczył:

Właśnie do tych naszych Włochów i ich dzieci posłał nas Ksiądz Bosko. W Jego też imieniu najserdeczniej dziękuję Waszej Ekscelencji za tę propozycję i zaraz napiszę do Turynu o tym pięknym podarunku, jaki otrzymaliśmy.

Arcybiskup, co obiecał, tego dotrzymał. Ks. Bodrato, który będzie przewodniczył drugiej ekspedycji misjonarzy do Ameryki, zastąpi tu, po odjeździe ks. Cagliero, obejmie również administrację parafii św. Jana Ewangelisty w dzielnicy Boca, dokonując tam prawdziwych cudów na polu pracy duszpasterskiej.

Ci pierwsi pracownicy na polu misyjnym w Ameryce, to prawdziwi tytani pracy; jedni szeroko znani, inni pozostali raczej w cieniu, ale wszyscy na równi godni są wiecznej pamięci i naśladowania.

Pod datą 29 marca tak znowu pisał Ksiądz Bosko do swoich ukochanych synów w Patagonii:

Mój Drogi księżu Cagliero!

1. Rozpocznę wiadomością o twoich najbliższych. Była tu twoja mama, po tym brat i chcieliby jechać za tobą do Ameryki. Tak są zachwyceni twoją tam pracą. Czują się dobrze. Jeden twój bratanek chorował na oczy, ale już mu przeszło przy troskliwej opiece doktora Sperini.

2. Wczoraj rano, we Feletto zasnął w Panu drogi nasz ks. Chiala, pozostawiając nas wszystkich w głębokim smutku. Jest to wielka strata dla naszego Zgromadzenia, której obawialiśmy się już od dłuższego czasu. Przy śmierci była jego matka. Dzień przed zgonem jeszcze chodził. Niestety płuca już więcej nie wytrzymały.

3. Posyłam dwa dyplomy: ten Beniteza i Ceccarelli. Zalecam, aby jak już pisałem o tym z Rzymu, wręczenie odbyło się uroczyście. Biskup został uprzedzony, ale dobrze będzie, że jeszcze osobiście mu o tym przypominisz. Warto także podać do prasy.

4. Jedzie tam do was markiz Spinola, minister pełnomocny rządu włoskiego w Buenos Aires. Przywiezie wam specjalną paczuszkę. Jest on dobrym katolikiem i można z nim mówić otwarcie. Pragnie tam zrobić jak najwięcej dobrego. Bardzo życzliwy dla szkół włoskich. Przedstawcie mu, więc, co się robi w Buenos Aires, w S. Nicolas i przedłóżcie mu wasze plany. Rząd włoski upoważnił go do finansowania poczynąń dla dobra naszych rodaków. Proś go zatem, by pokrył wydatki podróży i dopomógł nam do uzyskania odpowiednich lokali na szkoły i schroniska. Będzie też wskazane uświadomić arcybiskupa o jego rzetelności i nastawieniu religijnym.

5. Ojciec św. gorąco popiera nasz projekt skierowania swych wysiłków w stronę Pampas i Patagonii. Ja sądzę, że otwarcie domu w Dolores byłoby bardzo wskazane. Drugi przydałby się w Cordobie, a możliwie jeszcze bliżej siedzib tubylców.

W tym tygodniu piszę do biskupa Concepcion w Chile w sprawie otworzenia placówek w tamtych stronach. Taka zdaje mi się jest wola Boża w tej chwili względem nas: Domy i zakłady dla uboższych, schroniska dla tubylców półdzikich; wielka troska o zdobycie nowych powołań.

6. Przygotowuje się jakaś dwunastka salezjanów do wyruszenia do was, z ks. Bodrato na czele. Czy są widoki otrzymania biletów gratisowych na przejazd? Naszych Sióstr jest już 150. Trzeba im zorganizować dwie zmiany rekolekcji. Sestri Levante, Trinita di Nondovi, Biella będą miały nasze zakłady itd. To się nazywa rozmach. W tym roku będziemy mieli przeszło 75 kleryków nowicjuszów; wszystkich powołań razem będzie 200. Napisz mi coś o ks. Baccino i ks. Belmonte i o los otros, do których na razie nie mam czasu pisać. Oczekuję niecierpliwie twego przyjazdu. Niech Bóg nam błogosławi itd.

PS. Przygotuj także dom na nowicjat w Ameryce. Już w tym względzie pisałem do Rzymu i sądzę, że nie będzie trudności

Słusznie przewidywał nasz święty Założyciel, że w Rzymie nie będzie trudności co do otwarcia nowicjatu w Ameryce. Domu tam odpowiedniego jeszcze nie było, nawet prowizorycznego, ale przykład nowych apostołów budził sympatię dla ich nowej formy życia apostolskiego i wpływały podania o przyjęcie do Zgromadzenia Salezjańskiego. Czy można było wymagać od tych kandydatów podróży aż do Europy, by tam odprawić nowicjat? A czy można było patrzeć, jak marniały w zarodku cenne powołania? Dlatego to Ksiądz Bosko zabiegał o otwarcie nowicjatu na miejscu, choć nawet nie miał jeszcze na to upatrzonemu domu. W zasadzie chodziło o samo zezwolenie. Po otrzymaniu tego urządzi się wszystko, jak będzie można najlepiej w oparciu o nadzwyczajne przywileje udzielone Księdzu Bosko przez Piusa IX.

Wspomina ks. Cartier, że za jego czasów odprawiać nowicjat znaczyło w istocie odprawiać spowiedź u Księdza Bosko i często z nim rozmawiać; a mimo to zapewne żadnemu magistrowi nowicjuszów nie udało się uformować tak wzorowych zakonników, jak byli owi, co wyszli spod ręki Księdza Bosko, który obdarzony był nie

tylko rzadkimi zaletami wielkiego wychowawcy, lecz również i specjalnymi charyzmatami. Wszystkie przepisy kanoniczne zostały z biegiem czasu wprowadzone w czyn, gdy już fundamenty Zgromadzenia były mocno osadzone, a duch Księdza Bosko dokładnie określony i pogłębiony, działał na młodsze pokolenia przez starszych jego synów.

A oto prośba skierowana do Rzymu: Ojczyści święty! Błogosławieństwo, którego Wasza Świętobliwość raczył udzielić misjonarzom salezjańskim, przed odjazdem do Ameryki, przyniosło już wielkie owoce. Ostatnio dowiadujemy się, że zdołano tam otworzyć pięć domów: kolegium w Montevideo; kościół MB Łaskawej de los Italianos w Buenos Aires, hospicjum dla opuszczonych chłopców w tejże stolicy; kolegium S. Nicolas de los Arroyos, które liczy przeszło 100 wychowanków, przy kolegium rozpoczęto budowę kościoła. W osobnym memoriale przedstawiam swój projekt, co by było do zrobienia dla ucywilizowania tamtejszych dzikich szczepów.

Na razie konieczną rzeczą jest pomyśleć o domu dla nowicjatu. W ciągu pięciu miesięcy pobytu tam salezjanów już kilku młodzieńców wyraziło chęć wstąpienia do Zgromadzenia Salezjańskiego. Chcieliby pracować, jako misjonarze wśród tubylców. Lecz ponieważ podróż do Europy jest zbyt daleka i pociąga za sobą poważne wydatki, dlatego niniejszym ośmielam się pokornie prosić Waszą Świętobliwość, by zechciał zezwolić tamże na otwarcie nowicjatu, zgodnie ze zatwierdzonymi Ustawami salezjańskimi. Również proszę o pozwolenie, by ten dom można zorganizować w tym mieście i tej miejscowości, gdzie warunki będą na to bardziej odpowiednie, tak pod względem zdrowotnym, jak i moralnym.

Misje te rozpoczęły się pod auspicjami Waszej Świętobliwości. Bardzo, zatem proszę darzyć nas nadal swoją życzliwością i poparciem, a na pewno z pomocą Boską zdziała się dużo dobrego tak dla Kościoła, jak i tamtejszej ludności. Ścieląc się pokornie itd., ...

W parę dni po wysłaniu tej prośby, pisze znowu do ks. Cagliero, tak pochłonięty był myślami o swoich misjonarzach i ich działalności obecnej i przyszłej:

Drogi ks. Cagliero! Sprawy poszły w ruch. Prośba do Ojca świętego w sprawie nowicjatu w Ameryce już została złożona. Dwudziestu salezjanów przygotowuje się do wyjazdu w październiku. Nie trać z oczu Dolores. Sądzę, że jest to i w interesie rządu, by tam powstał zakład na wzór tego w Turynie. Ta sprawa leży bardzo na sercu Ojcu świętemu. Wkrótce prześlę ci błogosławieństwo Ojca świętego na piśmie dla kolegium w Colon, co będzie dla niego najlepszą reklamą.

Ty jesteś muzykiem, ja zawodowym poetą. Dlatego zrobimy tak, by sprawy Indii, czy Australii harmonizowały z argentyńskimi. Ty pozostaniesz tam, dopóki rzeczy się ostatecznie nie skryształizują i osądzisz w swej „głębokiej mądrości”, że już bez szkody dla tamtejszych placówek możesz powrócić do Valdocco. Czyń, co możesz, by zbierać ubogich chłopców i to raczej tych z pośród tubylców. Może dałoby

się których przysłać do Oratorium. Przyjąłbym ich bardzo chętnie. Niech Bóg nam błogosławi itd. Turyn, 13.07.1876 r.

Przychylna odpowiedź, jaka nadeszła z Rzymu, i to w bardzo krótkim czasie, świadczy najlepiej, jak tam interesowano się naszymi misjami. Ksiądz Bosko bardzo się tym ucieszył i tak mu pisał:

Drogi ks. Cagliari! Otrzymałem twój list, kilka razy go sobie przeczytałem. Te wasze pisma, które po większej części są ogłaszane we wszystkich dziennikach, robią dużo dobrego tak wśród naszych salezjanów, jak i wśród innych czytelników. Naszym zalecam, by nigdy nie opuszczali ćwiczenia dobrej śmierci, to jest podstawa naszego życia...

Pamiętaj zawsze, że jest wolą Bożą, byśmy nasze wysiłki skierowali w stronę Pampas i Patagonii i zajmowali się młodzieżą ubogą i opuszczoną.

Posyłam ci kilka kopii „Cooperatori Salesiani”, które wyszły co dopiero z druku. Przeczytaj i jedną przedłóż arcybiskupowi. Powiedz mu, że pragnąłbym go mieć wśród naszych Pomocników, zaraz po Ojcu świętym, lecz nie chcę czynić tego bez jego wyraźnej zgody. Po nim umieścimy wikariusza generalnego, monsignora Ceccarelli, don Beniteza itd. Jeżeli potrzeba będzie nowych egzemplarzy, to napisz. A pamiętaj, że odpusty tam wymienione, są również dla wszystkich salezjanów.

Mamy szerokie upoważnienia z Rzymu na otwarcie nowicjatu i studentatu w Ameryce, w jakiegokolwiek miejscowości lecz de consensu ordinarii dioecesanii.

Drogi księżę Cagliari, ileż tu mamy pracy, ale napiszą ci to inni. Pozdrów serdecznie księdza Baccino i powiedz mu, że jestem z niego zadowolony; niech pracuje tak dalej. Ksiądz Bazzani jest tu u mnie w pokoju, gdy ci piszę. Przesyła swoje pozdrowienia i czeka rozkazu na wyjazd z innymi do Pampas. Pozdrów itd., ...

Do listu dołączony był bilecik, w którym komunikował błogosławieństwo Ojca świętego dla pierwszego domu poza Argentyną, pod imieniem Piusa.

Krótki postój misjonarzy salezjańskich w Montevideo nie pozostał bezowocny. Władze kościelne zainteresowały się nowym Zgromadzeniem, a wiadomości o placówkach otwartych w Buenos Aires i S. Nicolas, utwierdziły je w pozytywnym ustosunkowaniu się do działalności salezjanów. Stąd też już od początku roku 1876 tamtejsza Kuria biskupia rozpoczęła pertraktacje z Księdzem Bosko o ich sprowadzenie do Urugwaju, który oderwawszy się wtedy świeżo od Argentyny, ogłosiło swą niepodległość.

Hierarchia kościelna była tam reprezentowana przez wikariusza apostolskiego w osobie monsignora Vera, który usiłował ożywić działalność katolicką, fundując w tym kraju szpitale, schroniska i szkoły. Bardzo odczuwało się brak zakładów wychowawczych. Temu właśnie mieli zaradzić salezjanie, a okoliczności sprzyjały. Bo właśnie były do nabycia wspaniałe pomieszczenia na kolegium.

A chodziło głównie oto, by tam rozpoczęły swą pracę szkoły katolickie zanim protestanci opanowali by teren. Otóż w roku 1868 bracia Korneliusz, Adolf i Aleksander Guerra założyli osadę pod nazwą Villa Colon. Później w roku 1873 miejscowość ta przeszła pod zarząd Towarzystwa Lezisa, Lamis i Fynn, z Montevideo, założonego w roku 1866 w celu zaopatrywania stolicy w wodę do picia. Inwestycja uwieńczona została uruchomieniem wodociągu w r. 1871. Lecz sytuacja finansowa wspomnianego Towarzystwa zachwiała się z powodu rozruchów rewolucyjnych w Urugwaju w 1875 r., skutkiem czego dobra Towarzystwa zostały likwidowane, a samo Towarzystwo musiało się rozwiązać. Wtedy to pan Fynn skomunikował się z monsignorem Vera i za jego aprobatą zaofiarował księdzu Cagliero kościół pod wezwaniem św. Róży z Limy wraz z przyległym do niego kolegium, pod warunkiem, że salezjanie będą tam odprawiać nabożeństwa i prowadzić gimnazjum i liceum według swoich programów. Ostateczna cesja zabudowań i terenu została podpisana 24 maja 1886 roku. Odtąd Ksiądz Bosko szukał między swoimi dziesięciu, którzy by razem z drugą ekspedycją wyjechali w tamte okolice.

Ksiądz Bosko, jak zawsze, tak i w tym wypadku nie stawał w połowie drogi, owszem rozszerzał swoje plany w miarę tego, jak podjęte dzieło krzepło i dawało nadzieję trwałości. Więc i teraz widząc pomyślny rozwój misji argentyńskich, pomyślał o przetruceniu swoich synów na wybrzeże Pacyfiku z drugiej strony Andów. W związku z tym pozostaje jego list z 1876 do biskupa z Chile w Concepcion, z prośbą o pomoc i radę w tym względzie. Nie wie nawet, jak on się nazywa, ani jakim językiem się posługuje, więc pisze do niego po łacinie. Przedstawiwszy siebie i swoje Zgromadzenie, rozwija przed nim swój plan odnośnie do ewangelizacji tamtejszych plemion jeszcze nieucywilizowanych. Nie wiemy, jaka była odpowiedź, ale widocznie niezachęcająca. W tamtych okolicach pracowali już OO Kapucyni. Salezjanie weszli do Concepcion dopiero w roku 1887, a więc jeszcze za życia Księdza Bosko.

Uroczyste otwarcie kolegium w S. Nicolas nastąpiło w dniu Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny. W uroczystości wzięły udział wszystkie władze cywilne i kościelne. Arcybiskup celebrując Mszę św. płakał ze wzruszenia na widok tak wielkiej liczby młodzieży przystępującej do Komunii św. Czegoś podobnego nie widziano dotąd w tamtych stronach. Ks. Cagliero przyjechał parę dni wcześniej, by przygotować odpowiednią muzykę. Cały obchód trwał dwa dni wśród wielkiego entuzjazmu ludności. Po obrzędach religijnych w dniu 25 marca, w następnym dniu odbyły się manifestacje cywilne, w których punktem kulminacyjnym była akademie z udziałem władz i co przedniejszych obywateli miejscowych. Muzyka, śpiew, deklamacje stanowiły część artystyczną, którą poprzedziły okolicznościowe przemówienia. Uczczono w nich ze strony salezjanów szczególnie zasłużonych Pomocników, a więc: 80-letniego staruszka Beniteza, monsignora Ceccarelli i innych. Na końcu przemówił sam Arcybiskup. Gratulował ludności Arroyero, iż zdołała wznieść tak wspaniałą świątynię wiedzy i wychowania chrześcijańskiego młodzieży. Dziękując zaś salezjanom, nazwał ich swoją „awangardą” na polu pracy nad zbawieniem dusz.

Chłopcy, którzy w owych dwóch dniach, byli koroną arcypasterza, zyskali dla niego sympatię, towarzysząc mu przy odjeździe aż do portu Parana, wznosili entuzjastyczne „Evviva”.

Salezjanie nie ograniczyli swojej działalności tylko do kolegium i miasta S. Nicolas, ale żywo zainteresowali się również oko licznymi kolonistami włoskimi. Do rozbudzenia wiary w mieście i w okolicy przyczyniło się następujące dziwne zdarzenie. Otóż w tym czasie nawiedzała tamtejsze okolice straszna plaga szarańczy. Olbrzymie wprost chmury jej spadały na pola, niszcząc wszystko aż do cna ku rozpaczy bezradnych rolników. Przez trzy lata z kolei powtarzała się ta klęska, doprowadzająca ludność do nędzy; także w roku 1876 gruchnęła wiadomość, że szarańcza leci. Wówczas salezjanie tamtejsi przypomnieli sobie jeden z upominków dany im przez Księdza Bosko na odjeździe: „Znajdując się w jakiejś trudnej sytuacji, uciekajcie się do Jezusa w Najświętszym Sakramencie i do naszej Najświętszej Wspomożycielki, a bądźcie pewni, że ufność wasza nie zostanie zawiedziona”. Oparci na tej obietnicy, wezwali ludność do schronienia się pod płaszczy Madonny i rozpoczęli uroczyste triduum w swoim kościele. Nie brakło oczywiście i wtedy niby tych postępowych, którzy drwili sobie z pobożności ludu. Jednak kościół był pełen pobożnych, zwłaszcza Włochów. I oto nadlatuje langosta /szarańcza/. W pół godziny całe miasto i okoliczne pola zostały nią pokryte: drzewa, łąki, ulice, domy, ściany, wszystko to znikło pod szarą masą rojących się owadów. A było ich o wiele więcej, niż w latach poprzednich. Gdyby się były zatrzymały kilka dni, ani jeden listek, ani jedna trawka nie ostałyby się w całej okolicy. Drwiny złośliwców wzmogły się jeszcze bardziej, lecz wierni podwoili swe modły. I oto dnia następnego niespodziewanie całe to żarłoczne wojsko wzbiło się w górę i odleciało w nieznanym kierunku. Dużo jednak tego plugastwa jeszcze pozostało i to mogło wyrządzić mimo wszystko poważne szkody. Lecz w nocy zerwała się gwałtowna burza, powodując mocne oziębienie się powietrza, co zmusiło niedobitki szarańczy do ucieczki. Szkody wyrządzone były minimalne i wegetacja nie została wstrzymana, a nawet była jeszcze bujniejsza niż w latach poprzednich.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie to wrażenie wywarło na wszystkich wiernych, którzy dla okazania swojej wdzięczności dla Najświętszej Maryi Wspomożycielki na jeden raz zebrali 50 tysięcy pesos /10 tys. lir włoskich/ na kościół do wystawienia ku Jej czci.

Z okazji imienin Księdza Bosko współbracia i chłopcy ze S. Nicolas wysłali mu swojej życzenia, na które tak im odpowiedział:

Carissimi Bigliuoli! Ku wielkiej pociesze mego serca otrzymałem wasze życzenia i dziękuję Bogu, że posłał wam ks. Fagnano wraz z innymi salezjanami, by otwarli kolegium dla was, gdzie, jak ufam wraz z nauką nabywacie świętej bojaźni Bożej. Wasi Przełożeni twierdzą, że jesteście grzeczni, i to mnie najwięcej cieszy.

Postępujcie nadal drogą cnoty, a będziecie zawsze mieć spokój w duszy, życzliwość ludzi i błogosławieństwo Boże.

A teraz chcę z wami podzielić się jedną, bardzo miłą wiadomością. Kiedy byłem w Rzymie, długo rozmawiałem z Papieżem o was i o waszym dobrym zachowaniu się. W końcu Ojciec święty tak mi oświadczył: Z wielką chęcią błogosławię wychowankom kolegium S. Nicolas tak konwiktorom, jak eksternistom i udzielam im odpustu zupełnego w godzinę śmierci i w innym jeszcze dniu, który sobie obiorą. Odpust ten mogą także zyskać wszyscy krewni aż do trzeciego pokolenia. Niech Bóg was błogosławi wszystkich, bądźcie weseli, tylko nie obrażajcie Pana Boga. Przystępujcie do Komunii św., od czasu do czasu napiszcie mi co i módlcie się za mnie. Turyn, 01.07.1876 r.

Od 15 dni ks. Bosko o niczym innym nie mówi, jak tylko o misjach i Patagonii - pisze ks. Barberis w swojej kronice, pod datą 12 sierpnia. Bo też podchodził on do rozwiązania problemu misyjnego wszechstronnie. Już wtedy zajmował go problem kleru tubylczego, mimo że misja dopiero była zapoczątkowana. Uważał, że da się to osiągnąć w przeciągu siedmiu lat. Z upragnieniem wyczekiwał on tego dnia, w którym dane mu będzie móc wysłać współplemieńców do ewangelizowania tych opuszczonych szczepów. Według niego byłby to dzień doprawdy epokowy w historii misji.

Najlepszym według niego środkiem do nawrócenia pogan, to nie jest wysyłanie do nich kapłanów z Europy, ale raczej należy w pobliżu tych plemion stworzyć placówki misyjne, z których by powoli docierało do nich światło Ewangelii, a w których równocześnie można by sposobić sobie z młodych dzikusów przyszłych współpracowników ewangelicznych. Oczywiście żaden pojedynczy kapłan nie uczyni tego, ale co innego zakon, który rozporządza odpowiednimi środkami i stawiał, jako przykład monsignore Comboni, który w Afryce środkowej zastosował właśnie tę metodę. Niestety był sam.

W podobnych wypadkach wychowawcy takich chłopców rzadko posługują się metodą odpowiednią, albo brak im ducha, a niekiedy w ogóle są do takiej pracy niezdolni. Czasem trzeba posłużyć się pomocą obcych jednostek na misjach. A ileż trzeba ponieść ogromnych wydatków, by wykształcić jednego kapłana misjonarza – mawiał, to potrzeba mieć z jaką pięćdziesiątkę kandydatów w małym seminarium i zaopatrzyć ich we wszystko. Prywatny człowiek nigdy na to się nie zdobędzie. My jednak, jak to widziałem we śnie, pewni jesteśmy, że sprawy pójdą dobrze i że będzie mógł zdziałać wiele dobrego misjonarz otoczony gromadą młodzieży.

Na tym kontakcie z młodzieżą opierał Ksiądz Bosko swe piękne nadzieje odnośnie do rozwoju własnych misji. Kto obierze ten kierunek młodzieżowy w pracy misyjnej - twierdził on - ten nigdy nie będzie musiał się wycofywać. Gdyby się tego kierunku uchwycili misjonarze w Chinach, którzy i tak dużo dobrego tam działali,

gdyby byli weszli między tamtejszą ludność przez jej dzieci, nigdy by się nie potrzebowali wycofywać z pola swej działalności.

W swej działalności misyjnej, jak w każdym innym przedsięwzięciu, Ksiądz Bosko nie oddzielał wysiłków ludzkich od bezgranicznej ufności w pomoc Bożą. Ufajmy Bogu - mawiał. Od Niego spodziewajmy się pomocy, ale równocześnie z naszej strony zrobmy wszystko, co do nas należy. Nie zaniedbujmy żadnego środka, żadnego wysiłku, nie poniechajmy świętej zapobiegliwości, nie skąpmy wydatków, byle tylko dzieło rozwijało się. Ile radzi roztropność, stosujmy wszystkie możliwe ostrożności, by nie narazić swego życia. Wprawdzie męczennik zdobywa sobie niebo, ale równocześnie ubywa jeden pracownik, który przecież mógłby tyle przyczynić się do zbawienia wielu dusz. W tym względzie trzeba naśladować takich świętych, jakim był św. Atanazy. Tacy nie lękali się prześladowców, nie szczydzili trudów, ale też świętą chytrąścią wykorzystali wszystkie środki możliwe, by osiągnąć swój cel.

ROZDZIAŁ X

DUCH W MORNESE

Ksiądz Bosko często przypominał swoim, aby dziękowali Boskiej Opatrzności za utwierdzenie i za cudowny rzecz można, rozwój Instytutu Córek Maryi Wspomożycielki. Widocznym dowodem tej opieki Nieba był fakt, że choć nowo przyjęte do Zgromadzenia kandydatki nie przynosiły posagów, nie brakło w nim jednak chleba powszedniego dla wszystkich. Po ludzku mówiąc, tak liczna rodzina zakonna nie mogła by spokojnie patrzeć w przyszłość bez odpowiednich funduszków. W innych zakonach żeńskich od kandydatek wymagało się bezwzględnie posagu, dzięki któremu mogły się utrzymywać w nowicjacie. Tymczasem dziewczęta zgłaszające się do Zgromadzenia Córek Maryi Wspomożycielki bardzo rzadko, bo zaledwie dziesięć na sto wносиły posag, a wiele z nich nie miało nawet pełnej osobistej wyprawy. Mimo to były przyjmowane i jakoś pchało się naprzód. Doprawdy sprawdzała się w tym wypadku obietnica Chrystusa Pana, że kto szuka tylko Królestwa niebieskiego i sprawiedliwości jego, temu inne rzeczy, niezbędne do utrzymania, będą przydane.

W tym przedmiocie mamy piękne powiedzenie naszego świętego Ojca:

Pewnego razu spotkawszy się w Borgo S. Martino z matką Petronillą wikarią generalną Zgromadzenia, odpowiedzialną za administrację tego, zapytał ją, czy są powołania.

Postulantek zgłasza się wiele, Drogi Ojcze, odpowiedziała siostra, lecz wszystkie lub prawie wszystkie przychodzą z próżnymi rękoma. Będzie doprawdy kłopot z ich utrzymaniem. Cóż wtedy mamy robić?

Ksiądz Bosko podniósł wzrok w niebo, jak zwykł czynić, gdy miał dać jakąś poważniejszą odpowiedź, czy radę i wyrzekł te natchnione słowa: -O gdybyście wiedziały, jak wielkiej ceny są powołania... Nie odrzucajmy nigdy żadnej kandydatki z powodu jej ubóstwa. Jeśli będziemy umieli cenić powołania, Opatrzność Boska zatroszczy się o nas. Czasem może przycisnie nas bieda, lecz Bóg nie opuści nas nigdy. Powiedzcie to w Mornese, powiedzcie wszystkim: powołania, chociaż ubogie wzbogacą wasze Zgromadzenie.

Wzrost liczebny nie wpłynął ujemnie na ducha sióstr w Mornese, gdyż ubóstwo, wiele pracy, gorąca modlitwa, były to zawsze trzy cechy ożywiające tamtejszy dom. Przy tym nie brakło też kandydatek z rodzin zamożniejszych a nawet szlacheckich. Tym zlecono przygotować się do egzaminów publicznych i zdobyć potrzebne dyplomy nauczycielskie. Mimo tych studiów bez żadnych trudności poddawały się one wszystkim rygorom życia wspólnego, ochoczo pomagając w zwykłych domowych zajęciach. Do Matki Mazzarello odnosiły się z największym

szacunkiem i miłością, przyjmując z pokorą od niej wszelkie rady i wskazówki, chociaż nie była uczona, ale za to swoją cnotą i pokorą czyniła cuda. Pełna ducha Bożego praktykowała sama ascezę bardzo prostą ale nie mniej głęboką i do takiej zaprawiała swoje córki duchowe. Oto kilka przykładów pouczeń, jakie im dawała:

Dopóki w nas przejawia się miłość własna w mówieniu i całym zachowaniu się, dopóty nie będziemy prawdziwie pobożne. Nie zazdroście tym, które w kościele wzdychają i wylewają obfite łzy, a tymczasem nie umieją się zdobyć na żadne, nawet małe poświęcenie i unikają niskich zajęć. Ale jeśli komu miałybyście zazdrościć, to tylko tym, co potrafią z prawdziwą pokorą zabrać się do jakiegokolwiek pracy i są zadowolone, gdy mogą być miotłą w domu. Tak mawiała ta skromna Przełożona. A czyż pokora, umartwienie, zamiłowanie do poświęceń nie stanowią istoty prawdziwie zakonnej ascetyki?

Co do ducha zakonnego, jaki panował w Mornese, mamy autorytatywne świadectwo monsignora Scotton, który w roku 1876 głosił tam rekolekcje dla pań. Zanim wyjechał, czuł się zobowiązany odwołać to, co powiedział przed trzema laty, kiedy to wizytując ten zakład, odniósł wrażenie, że nie ma widoków, aby początkujący instytut sióstr doszedł do większego rozwoju. Te swoje wątpliwości uznał za stosowne wtedy przedłożyć i Księdzu Bosko. Święty ograniczył się tylko do powiedzenia: No, zobaczymy, co zdołała Madonna. Obecnie po trzech latach przekonał się wspomniany monsignore, jak wielkimi zaletami moralnymi odznacza się ta, którą przed tym uważał za niezdatną do rządzenia klasztorem. Widząc piękną liczbę sióstr, jako też ich dobrego ducha, uświadomił sobie, że Ksiądz Bosko dając mu wspomnianą wyżej odpowiedź, czytał w przyszłości.

Czytelnicy przypominają sobie, jak w sierpniu 1875 roku Ksiądz Bosko będąc w Ovada, nadał Regułom swoich Sióstr ich ostateczną formę i złożył je w Kurii biskupiej w Acqui do kanonicznego przeegzaminowania. Otrzymałszy od rewizorów opinię przychylną, przesłał je biskupowi do zatwierdzenia z następującą prośbą: Ekscelencjo! Wiadome jest Waszej Ekscelencji, że w Mornese został zainicjowany przez księdza Dominika Pestarino Instytut pod nazwą Dom czyli Kolegium Maryi Wspomożycielki w celu wychowania chrześcijańskiego biednych, opuszczonych dziewcząt pod kierownictwem sióstr zwanych Córkami Maryi Wspomożycielki.

Wasza Ekscelencja raczył zostać Protektorem tego nowego Instytutu i w dniu 5 sierpnia 1872 roku był łaskaw zapoznać się z jego Regułami, czyniąc przy tym odpowiednie uwagi. Urządził tam następnie pierwsze oblóczyny i przyjął profesję nowych sióstr, a ubogaciwszy Instytut różnymi łaskami i cennymi przywilejami, doprowadził do tego, iż zaczął on istnieć już de facto, jako ciało moralne w obliczu Kościoła.

To, jak owo ziarno gorczyczne, stało się zaczątkiem nowego Zgromadzenia. Liczba zakonnice dosięga obecnie już setki, tak, że siostry mogły objąć kilka szkół żeńskich w okolicy, a przy swoim domu w Mornese otworzyć internat dla dziewcząt

średniej klasy, prowadzony według załączonego regulaminu. Drugi dom otwarto niedawno w Borgo S. Martino, trzeci w Alassio, a czwarty w tym roku zostanie uruchomiony w Lanzo. Zewsząd też napływają prośby o podjęcie się coraz to nowych dzieł.

Oprócz tego do dalszego rozwoju tego Zgromadzenia potrzebne jednak jest koniecznie zatwierdzenie kanoniczne ze strony władzy kościelnej, co daje zakonowi rękojmię, że ich praca wychodzi na większą chwałę Bożą. Otóż właśnie w tym celu przedkładam

z uszanowaniem Waszej Ekscelencji Reguły Zgromadzenia Córek Maryi Wspomożycielki już w ostatecznej ich redakcji, prosząc go o ich ponowne przeglądnięcie, a następnie, jeśli tak Bóg Go natchnie, o łaskawe udzielenie temu Instytutowi i jego Regulom aprobaty diecezjalnej. Do prośby tej dołącza się ks. Jakub Costamagna, dyrektor Sióstr w Mornese i wszystkie zakonnice. Uwzględnienie powyższej prośby będzie jeszcze jednym więcej motywem do naszej trwałej wdzięczności i do tego, byśmy codziennie wnosili wspólne i prywatne modły do Najświętszej Dziewicy Niepokalanej Wspomożycielki, aby nam zachowała Waszą Ekscelencję na długie lata szczęśliwego życia... Z najgłębszą wdzięcznością: Ksiądz Jan Bosko, ks. Jakub Costamagna, S. Maria Mazzarello Przełożona.

Wyrażenie w powyższej prośbie: „został zainicjowany instytut przez księdza Dominika Pestarino instytut pod nazwą Dom, czyli Kolegium Maryi Wspomożycielki” - jest skrótem stylistycznym a psychologicznie aktem pokory ze strony Księdza Bosko. Wyrażenie to trzeba rozumieć w tym sensie, że ksiądz Pestarino zainicjował dzieło, z którego Ksiądz Bosko wziął pierwsze elementy, by założyć zgromadzenie zakonne pod nazwą Córek Maryi Wspomożycielki, a przeznaczone do chrześcijańskiego wychowania młodzieży żeńskiej na całym świecie. Ani nazwa ta, ani cel i zakres działalności tegoż Instytutu nigdy by nie zaświtały w głowie zacnego księdza Pestarino, gdyby nie opatrnościowe zetknięcie się jego z Księdzem Bosko. Zresztą kto ofiaruje teren i materiał pod budowę, by inny założył fundamenty według własnych planów, ten słusznie uchodzić może za inicjatora tego, co w przyszłości powstanie. To, że Ksiądz Bosko siebie stawia raczej w cień, a na pierwszy plan wysuwa zacnego kapłana z Mornese, to nas nie zdziwi, gdyż taki to już jest styl świętych. Niewykluczone też jest, że właśnie w celu łatwiejszego uzyskania aprobaty diecezjalnej wydawało mu się stosownym przedstawić Instytut, jako Dzieło nie tylko powstałe na terenie diecezji, ale również, jako zainicjowane przez kapłana diecezjalnego.

Dekret zaś aprobaty biskupiej wydany 23 stycznia stawia rzeczy we właściwym świetle i w części pierwszej uzasadniającej decyzję aprobującą Instytut, która musi opierać się na faktycznym stanie rzeczy, przypisuje wyraźnie inicjatywę założenia w Mornese Kongregacji Córek Maryi Wspomożycielki, Księdzu Bosko. Wynika to z tych słów Dekretu, które mówią o zamiarze powziętym ab admodum reverendo Domino sacerdote Joanne Bosco Taurinensi, Fiae Societatis Superiore

istituendi nempe in hac diocesi loco Moronisii Congregationem Filiarum Mariae Auxiliatricis.

Przy obłóczynach w sierpniu tegoż roku wprowadzono w ubiorze sióstr ostatnią zmianę. Welon dotąd prostokątny został nieco zaokrąglony, aby zebrany we fałdy i przypięty szpilkami do czepka, lepiej przystawał do głowy, spadając równomiernie koło twarzy na ramiona. Wprowadzono również pelerynkę z białym kołnierzykiem, którą zaczęto stosować już od obłóczyn w maju 1875 roku. Dodano też mankiety długie i obszerne - takie pozwalały na nieskrępowane ruchy ramion. Pomysł wprowadzenia tej zmiany zrodził się na widok sióstr innych zgromadzeń w mieście, które powodując się względami skromności zakonnej, wychodziły na ulicę, czy względnie do rozmównicy z rękoma wsuniętymi do rękawów, a do Komunii św. przystępowały z rękami całkowicie zasłoniętymi.

W czasie tych obłóczyn przyjęło habit siedemnaście postulantek. W zastępstwie Księdza Bosko ceremonii tej dokonał ksiądz Rua. On też słuchał spowiedzi sióstr i był wykładnikiem myśli świętego Założyciela w różnych kwestiach życia wewnętrznego i zewnętrznego.

Niedostatek i różne braki domowo musiały na nim zrobić głębokie wrażenie, skoro pewnego dnia, gdy mu podano do stołu poncz, wymówił się grzecznie od wzięcia go i okazywał zawsze niezadowolenie, gdy mu te dobre siostry chciały ofiarować cokolwiek lepszego.

Przed odjazdem odwiedził jedną ze sióstr chorą na tyfus w ostatnim stadium, udzielił jej ostatniego namaszczenia i stosownie do jej prośby przyjął od niej profesję wieczystą. Wyjechał w towarzystwie kaznodziejów rekolekcyjnych: monsignora Scotton i teologa Ascanio Savio, brata księdza Anioła, salezjanina. Obaj kuzyni świętego Dominika Savio.

W roku 1876 wyjechało z Mornese 29 sióstr i postulantek skierowanych do różnych miejscowości, aby tam zapoczątkowały swoją działalność. Polecenie, jakie dała im Matka Mazzarello na pożegnanie, było następujące: zachowywać Reguły, strzec ducha zakonnego, starać się przyciągać dziewczynki, by wychowywać je dla Boga. Pierwsze trzy siostry wyjechały do Vallecrosia 9 lutego. Zdawało im się jak i innym siostrom opuszczającym Mornese, że jadą chyba na koniec świata. Bardziej jednak niż odległość przejmowała te trzy siostry myśl, iż dostają się wprost w paszczę protestantów. Powiększyło wrażenie zarządzenie księdza Costamagna odprawienia trzydniowej adoracji Najświętszego Sakramentu, celem uproszczenia szczególniejszych łask dla tych wtedy tak zwanych, „misjonarek, co było w Instytucie zupełną nowością. Matka Generalna i Wikaria odprowadziły siostry odjeżdżające drogą przyprószoną śniegiem aż do Gavi, gdzie w świątyni Matki Najświętszej jeszcze raz wspólnie się pomodliły i pożegnały się ze łzami w oczach. Ks. Costamagna towarzyszył im aż do Sampierdarena, gdzie oddał je pod opiekę księdzu dyrektorowi Cibrario, udającemu się również do tej samej miejscowości.

Wielką pociechą było dla nich ojcowskie przyjęcie, jakie im zgotował ksiądz biskup Biale rezydujący we Ventimiglia, który podejmował siostry obiadem w swojej rezydencji, po czym odprowadził je do domu dla nich przeznaczonego.

W niedzielę, 13 lutego, wikariusz generalny kanonik Viale, poświęcił im kaplicę, przy której zapoczątkowane miało być oratorium świąteczne, a następnie i szkoły. Oratorium nie posiadało ogrodu ani podwórza. Dlatego siostry postępowały według tego, co słyszały od swej Matki w Mornese: zbierały dziewczynki gdzie bądź na polu, przeprowadzały z nimi pogadanki katechetyczne, potem prowadziły na przechadzkę, śpiewając i zabawiając się z nimi. Następowало nabożeństwo wieczorne, po czym na pożegnanie dawały im jakąś małą pamiątkę i odsyłały do domu. Takie to były skromne początki tego wspianalego dzieła, jakie dziś w Vallecrosia prowadzą salezjanki.

Na Valdocco przybyły Siostry dnia 29 marca w towarzystwie księdza Rua. Było ich sześć. Przeznaczono dla nich był dom, który Ksiądz Bosko nabył w pobliżu kościoła Maryi Wspomożycielki, a o którym się już tyle mówiło. Dzień przed tym arcybiskup wydał uroczysty dekret, w którym, stosownie do prośby Księdza Bosko złożonej w ubiegłym roku, polegając na roztropności księdza biskupa Sciandra z Acqui, który je zatwierdził na terenie swojej diecezji, pozwalał im zamieszkać na Valdocco. W tymże samym dokumencie równocześnie zastrzegał, że nie zamierza przez to bynajmniej zatwierdzić Zgromadzenia w swej diecezji, co jednak mogłoby nastąpić po odpowiednich miesiącach próby.

Kronika Instytutu podkreśla, że owe szczególne wybranki, przeznaczone do Oratorium w Turynie, były przedmiotem świętej zazdrości wszystkich sióstr z powodu szczęścia, jakie im dostało się w udziale, że mogły z bliska współpracować z Księdzem Bosko.

Na stacji w Turynie przywitała ich matka księdza Rua. Później zaś nieco przedstawił je Ksiądz Bosko wielce zasłużonej hrabinie Callori, która tak bardzo przyczyniła się do zniszczenia diabelskiego gniazda w miejscu obecnie przeznaczonym dla Sióstr Córek Maryi Wspomożycielki, o czym była mowa w poprzednim tomie. Pobożna ta pani chciała osobiście usługiwać im podczas obiadu w obecności Księdza Bosko, po czym odprowadziła je do ich mieszkania. Dom ten tak był ubogi, że nie miał nawet własnej kuchni i pożywienia. Siostron jedzenie dostarczała kuchnia Oratorium. Obecne mieszkanie Domu Generalnego Sióstr Salezjanek, kierując wzrok na drugą stronę placu Maryi Wspomożycielki, na stare stojące tam jeszcze zabudowania, mogą słusznie zawołać: oto gdzie było swego czasu nasze Betlejem...

Pod względem duchowym były jednak pewne wygody dla nich. Dnia 30 marca, za wyraźnym upoważnieniem arcybiskupa, proboszcz miejscowy poświęcił im kaplicę wewnętrzną. Wprawdzie chciał on do tego subdelegować Księdza Bosko, lecz ten uznał za wskazane, żeby zarządzenie przełożonego diecezji było wykonane dosłownie. Ksiądz Rua został spowiednikiem zwyczajnym sióstr. Ksiądz Bosko ze swej strony

pomagał im na wszelki sposób, wygłaszając przy tym do nich często konferencje miesięczne.

Siostry zaledwie się zainstalowały, nie pozostały bezczynne, gdyż natychmiast uruchomiły Oratorium świąteczne, szkołę bezpłatną, kurs robót ręcznych dla dziewczynek oraz katechizację co niedzielą.

Ksiądz Bosko nie skąpił im pouczeń, jak ośmielać dzieci, by się do nich zbliżały, jak ośmielać je rozmową, drobnymi podarunkami, czy cukierkami, by przychodziły do Oratorium. W tymże Oratorium chciał on, aby dwie rzeczy mówiły dziewczętom o wdzięczności należnej tym, którzy świadczą im dobrodziejstwa. Przede wszystkim nazwa domu, która brzmiała: Dom świętej Anieli Merici, a to na pamiątkę pani Anieli Bianco, która w roku uprzednim bardzo hojnie odpowiedziała na jego okólnik. W kaplicy zaś umieszczony został obraz św. Karola Boromeusza, a to na pamiątkę hrabiny Callori, która się nazywała Carlotta.

Trzecią placówką sióstr była Biella. W czasie jednej ze swoich podróży Święty spotkał się z księdzem biskupem Bazylim Leto, a dowiedziawszy się od niego, że poszukuje sióstr dla obsługi swego seminarium, odezwał się: Ekscelencja potrzebuje sióstr? To pošlę mu swoje.

To ksiądz już ma siostry zakonne?

Tak, Ekscelencjo i mam wrażenie, że nadadzą się do pracy, o jakich mówi Wasza Ekscelencja.

Tak za jednym zamachem zdecydowane zostało otwarcie placówki sióstr w Bielli.

Przeznaczone tam Siostry w liczbie siedmiu przyjechały z Mornese 7 września. Biskup osobiście na nie oczekiwał na stacji kolejowej. Dopatrzył też po ojcowsku, aby miały odpowiednie pomieszczenie, by im niczego nie brakło, co by było potrzebne do ich pracy. Wyzначył dla nich osobną kaplicę domową, chociaż mieszkały zaledwie kilka kroków od katedry. Siostry oglądały się wszędzie za obrazem swej ukochanej Madonny Wspomożycielki, ale na darmo. Biskup dowiedziawszy się o tym, zaraz polecił jednemu malarzowi, by wykonał obraz na płótnie taki, jaki sobie życzą siostry. Przez pewien czas pozostawały one bez opieki duchowej salezjanów, ale to zastępowała im ojcowska życzliwość księdza biskupa.

W marcu 1877 roku wizytowała je Matka Mazzarello. Biskup nie miał słów pochwały dla tego zespołu dobranego, lecz święta Matka odjeżdżała z kolcem w sercu, bo zdawało się jej, że siostry tamtejsze miały za wiele wygod. Pracy doprawdy im nie brakło, ale wikt i pomieszczenie były według niej zbyt „pańskie”, niezgodne z duchem ubóstwa w Mornese. Odjeżdżając nie pominęła oczywiście świątyni Matki Najświętszej w Oropa, tak miłej również i Księdzu Bosko.

Po uregulowaniu spraw w Biella przyszła kolej na Alassio, dokąd siostry w liczbie siedmiu przybyły 12 października, w towarzystwie księdza Costamagna. Zastały tam lokal szczupły, nieprzystosowany, pozbawiony umeblowania, brakło nawet stołu, przy którym mogłyby usiąść do posiłku. Oczywiście było, że ich

pospieszny przyjazd nie pozostawił dość czasu na odpowiednie przygotowanie mieszkania, tym nie mniej ich dobra wola została na razie wystawiona na twardą próbę.

Dnia 8 listopada inna grupa trzech sióstr otwarła swój dom w Lu Monferrato. Małżonkowie Józef Rota i Maria Ribaldone nie posiadali się z radości, iż nareszcie po wielu natarczywych prośbach uzyskali od Księdza Bosko, że Córki Maryi Wspomożycielki podjęły się w ich miejscowości prowadzenia sierocińca, otwarły pracownię robót ręcznych dla dziewcząt i Oratorium świąteczne. Co tylko było potrzebne na ten cel, dostarczyli oni z własnych funduszów.

Skromniejsze jeszcze niż gdzie indziej były początki placówki naszych sióstr dobrodziejki. W tych warunkach pozostawały aż do września roku następnego, gdy już i dom dla nich odpowiedni został urządzony i więcej sióstr przyszło do pomocy. Bliskość Turynu, dokąd co tydzień dojeżdżały, czyniła im znośniejsze ich odosobnienie. Ponieważ Lanzo znajduje się na terenie archidiecezji turyńskiej, Ksiądz Bosko czuł się zobowiązany prosić o potrzebne pozwolenie arcybiskupa:

Ekscelencjo! Wielkie korzyści materialne i duchowe dla seminariów czy innych domów wychowawczych, gdzie pracują siostry zakonne, skłaniają również i mnie, by je sprowadzić do naszego kolegium w Lanzo. Dlatego niniejszym proszę Waszą Ekscelencję o łaskawe zezwolenie dla Sióstr Córek Maryi Wspomożycielki, by mogły zamieszkać przy naszym tam kolegium, na tych samych warunkach, pod jakimi została im dane pozwolenie na prowadzenie szkoły dla dziewcząt w Turynie. Nadmieniam się, iż siostry pracować będą wyłącznie na terenie kolegium. Co do praktyk pobożnych, to będą brały udział w tych, które odprawiają się dla wychowanków tamtejszych. Pełen ufności etc. Turyn, 10.09.1876 r.

Odpowiedzi na to pismo wprawdzie nie mamy, ale widocznie była przychylna, skoro Siostry się w Lanzo ulokowały.

Pisząc o tych fundacjach, Matka Mazzarello tak kończy swój list do księdza Cagliari: Zapomniałam jeszcze o domu, jaki mamy w Niebiosach, który zawsze jest otwarty. Jego Dyrektor nie ma żadnego względu ani na przełożonych ani na kapitułę. Bierze, kogo chce. Ma ich już siedem. Z ówczesnej kroniki nie można, by twierdzić, że tak liczne wypadki śmierci w przeciągu jednego roku spowodowały jakieś zniechęcenie wśród żywych. Są tylko częste wzmianki o budujących przykładach cnót pozostawionych przez zmarłe siostry.

W ciągu lata 1876 roku Córki Maryi Wspomożycielki dały chlubne dowody swego ducha przedsiębiorczości, podejmując się zajęcia wykraczającego poza ramy ich normalnej działalności, a mianowicie objęły opiekę nad dziećmi skrufulicznymi, przebywającymi na Riwierze w Sestri Levante. Matka Mazzarello oczywiście nie podjęła się tego, dopóki nie usłyszała przychylnego zdania Księdza Bosko. Tak, więc od początku czerwca do końca września siedem sióstr pełniło tę miłosierną posługę chrześcijańską, mimo laickiej obojętnej religijnie administracji owej kolonii. Siostry na nic nie zważając, uczyły te podrastające dzieci katechizmu, odmawiały z nimi

paciorki, śpiewały nabożne pieśni, prowadząc je do kościoła na nabożeństwo. Duszą wszystkiego była siostra Henryka Sorbone - bystra, przedsiębiorcza, obeznana ze światem. Łatwo wyobrazić sobie, ile przykrości trzeba było znosić od tej rozpuszczonej łobuzerii. Lecz na końcu kolonii dzieci były już nie do poznania. Nawet sami administratorzy, mimo swego nastawienia ateistycznego, wyrazili z pracy sióstr pełne swoje zadowolenie.

W roku 1876 dom w Mornese stał się widownią niezwykłych zjawisk, które na kilka miesięcy zakłóciły spokój jego przeciętnego życia. Wstąpiła tam pewna postulanka polecona przez Księdza Bosko, nazwiskiem Augustyna Simbeni. Przyjechała z Rzymu. Uchodziła za córkę skazańca politycznego ze Syberii. Chętnie się znajomościami wśród wielu prałatów. Twierdziła nawet, że pijała kawę z tej samej filiżanki, co Papież. Księdzu Bosko poleciła ją jedna z tych wysoko postawionych osobistości, którym nie można odmówić, ale nikt mu jej wprost nie przedstawił. Postulanka owa posiadała głos miły, włosy jasne blond, postać szczupłą, maniery gładkie i pociągające. Chociaż nie mogła kandydować na miss Europy, to jednak wprost oczarowywała każdego, kto się z nią zetknął bliżej. Wyglądało, że jest osobą inteligentną i całkiem normalną. To też w domu wszystkie ją pokochały, a niektóre uważały wprost za świętą. Także ksiądz dyrektor Costamagna skłaniał się ku temu, by w niej dopatrywać się nadzwyczajnych charyzmatów. Matka Mazzarello zaś obserwowała tylko i milczała. Wrodzony jej zdrowy rozsądek i doskonałe wyczucie rzeczy duchowych kazały jej trzymać się w rezerwie. Przestrzegał ją także w tym względzie proboszcz z Rossignano, ks. Bonelli, któremu zachowanie się panny Simbeni nie trafiało do przekonania. Temu zaś, co zwracał na pozytywne ustosunkowanie się księdza Sostamagna do owej postulanki, odpowiedział: Ksiądz Costamagna nie może jeszcze mieć tyle doświadczenia, co mieć mogą starsi; zresztą przebywał on zawsze w środowisku świętych.

W archiwum Sióstr znajduje się obszernie sprawozdanie napisane przez księdza Fassio, ówczesnego nauczyciela w Mornese, dotyczące przeżyć wspomnianej postulanki Simbeni. Jakież tam cudowności... Augustyna wyjawiała tajniki sumień, odgadywała, co się dzieje w odległych miejscowościach, przeżywała jakieś ekstazy, unosiła się nad ziemią, śpiewając po włosku, czy po francusku wprost anielskim głosem. Zachorowawszy na jakąś dziwną chorobę, która zdawało się, iż doprowadzi ją do grobu, naraz w jednej chwili odzyskała zdrowie. Zjawiała się przy niej jakaś dziewczynka, którą ona nazywała „sua bam-bina” i ta odkrywała jej wszelkiego rodzaju tajemnice. W końcu prorokowała, że w najbliższym roku wybuchną w Rzymie wielkie rozruchy, a to z powodu wojny, która miała lada dzień się rozpocząć. Przepowiednia ta dotarła i do Oratorium, gdzie wywołała niemałe zamieszanie. Wizjonerka napisała o tym nawet do Księdza Bosko, podając, jako dowód prawdziwości swego proroctwa to, iż w ciągu trzech dni ona dotąd zupełnie zdrowa, nagle umrze. W tym liście nalegała, by Ksiądz Bosko przyszedł asystować jej w agonii. Łatwo wyobrazić sobie, jaki był stan podniecenia w jej otoczeniu.

Ksiądz Bosko jednak nie ruszył się z Oratorium, a do księdza Costamagna, który się go radził, czy ma być obecny przy jej przejściu do wieczności, odpowiedział, by się tym wcale nie przejmował.

Nadszedł dzień trzeci, ale Augustyna nie umarła, a to z tego powodu, że jak twierdziła, nie zjawił się Ksiądz Bosko, któremu miała zakomunikować ważne wiadomości. Napierała się więc, by ją zaprowadzono do niego i to jak najprędzej. I tyle nalegała, że ją zawieziono do Borgo S. Martino, gdzie właśnie znajdował się Święty. Ten zobaczywszy ją, bez żadnych wstępów, w obecności większej liczby osób, zawołał:

Doprawdy trudno uwierzyć, by tyle złości i tyle pychy mieściło się w tej tak młodej jeszcze kobiecie. W tej chwili proszę stąd odejść... Bóg nie udziela się osobie tak nieposłusznej, jaką wy jesteście. Zwracając się do tego, co ją przyprowadził, powiedział stanowczo:

Proszę ją odprowadzić do domu i niech więcej mi się nie waży pokazywać na oczy, ani też nie chce jej widzieć w żadnym z naszych domów. Augustyna chciała jeszcze mówić, tłumaczyć się, wyjawić swoje prorocтва, lecz Ksiądz Bosko nie dał jej przyjść do słowa. Wtedy zażądała pieniędzy, by mogła pojechać do Rzymu do Ojca świętego. Ksiądz Bosko widząc, że ta nie ma zamiaru ustąpić, kazał jej zapłacić podróż, lecz nie dawać pieniędzy do ręki, ale wprost zaprowadzić na stację i wykupić jej bilet.

Usłyszawszy te dyspozycje, Augustyna nie chciała ruszyć się z miejsca, tak, że trzeba ją było wyprowadzić siłą.

Ostatecznie kupiono jej bilet do Rzymu. Dojechała do Sampierdarena, skąd wróciła do Mornese... Stąd znowu wyjechała i powróciła, aż wreszcie wyniosła się nie wiadomo dokąd i już więcej nie było o niej słyhu.

Trudno się zorientować, co to właściwie było... Czy prawdziwe diabelstwo, czy jakowaś zasadzka, by zniszczyć Instytut Sióstr. W każdym razie zawisło nad nim prawdziwe niebezpieczeństwo zbiorowej sugestii, co mogło wyrządzić szkodę nie do powetowania. Pomimo pewnych momentów niezdecydowania, św. Maria Dominika okazała w tym wszystkim wielki rozsądek i bystrość umysłu. Ksiądz Bosko zaś swoją stanowczością w jednej chwili rozciął cały skomplikowany węzeł gordyjski.

Mówiąc o tego rodzaju ludziach tak on przestrzegwał swoich: Trzeba się mieć na baczności. Trafiają się, bowiem i takie ciemne kreatury, które mają gotowe różne wybiegi i oszustwa, zdolne wprowadzić w błąd poważnych ludzi. Odnosi się wtedy wrażenie, że doprawdy te osoby opętał diabeł i nauczył ich wszystkiego tego, co sam umie. W takich wypadkach żadna chytryść nie pomoże. Wykażecie im ich uchybienia, znajdą tysiące wymówek i dobrze upozorowanych wywodów i wydawać się będą jeszcze bardziej świętymi. Przyłapiecie je na kłamstwie, udowodnią wam, że są najbardziej prawdomównymi ludźmi na świecie. Najroztropniejszy człowiek, nawet kapłani, nie mają środka, by im się oprzeć. Takie przewrotne niewiasty, jak doświadczenie uczy, trafiają się i dzisiaj i nie ma złego, do którego byłyby niezdolne,

gdy oddała się od Boga i poddała się szatanowi. Gdy się więc u nich zauważy objawy pychy, nieposłuszeństwa, czy kłamstwa, nie należy im dawać najmniejszej wiary, choćby czynił cuda.

Ksiądz Bosko trzymając się tych zasad, nigdy nie dał się podejść. Około roku 1880, pewna dziewczyna, jak mówiono, została opętana przez diabła za dopustem Bożym dla wypróbowania jej cnoty. Wtedy również miały miejsce dziwne i niewytłumaczone zjawiska. Ksiądz Bosko zbadawszy wszystkie okoliczności im towarzyszące stwierdził, że w tym nie ma nic nadprzyrodzonego. Ci zaś, co się nią opiekowali, odnosili się do niej z wielkim szacunkiem, ślepo wierząc wszystkiemu, co mówiła. Kiedy ją przyprowadzili do Księdza Bosko, ten po kilku pytaniach utwierdził się w swoim przekonaniu, ale i teraz nie chciano mu wierzyć. Dziewczyna kłamała tak bezczelnie, że przeczuła najoczywistszym faktom, a to z taką subtelnnością, iż wyglądało, że jej się robi krzywdę i że ją się oczernia, co tym bardziej świadczyło o jej świątobliwości. Gdyby jej wielbiciele wtedy usłuchali Księdza Bosko i zwrócili uwagę na to, co wskazywał, a mianowicie na brak u niej pokory i posłuszeństwa, byłiby potem uniknęli tyłu nieprzyjemności, jakie ich nie ominęły.

W międzyczasie Madonna dała wyraźny dowód swej macierzyńskiej opieki nad swymi córkami w Mornese. Był to pierwszy dzień triduum do uroczystości Najświętszej Wspomożycielki. Siostra Teresa Laurentoni, chora już od dłuższego czasu, z woli Matki Mazzarello brała udział w nabożeństwie w kościele, siedząc we wózek poza wszystkimi siostrami. Obok niej stała siostra Agnieszka Ricci. W chwili wystawienia Najświętszego Sakramentu, chora uczuła się niespokojna, cała poczerwieniała na twarzy i zaczęła drżeć na ciele. Siostra Agnieszka przerażona zawołała na Matkę Mazzarello. Ta zwracając się do siostry Laurentoni, odzywa się do niej stanowczym głosem: Odwagi... wstawaj i biegnij na piętro ubrać się. Siostra Teresa bez żadnej pomocy zeszła ze swej lektyki, pobiegła po schodach do sypialni i wróciła lekko, uszczęśliwiona, czując się zdrową jak przed chorobą.

Dnia 8 lipca tak na ten temat pisze święta Przełożona do księdza Cagliero: Siostra Teresa Laurentoni całkowicie wyzdrowiała. Siostra ta została następnie przełożoną domu sióstr w Turynie i żyła do roku 1920. Urodziła się w 1857 r. w Massignano, jako córka pułkownika wojsk papieskich.

Gdy minęły wichrzenia diabelskie wewnątrz domu, powstały nowe kłopoty od zewnątrz. Głucha niechęć obywateli Mornese przeciwko zamierzonemu Dziełu Sióstr nie ustępowała. Tym razem wystąpił na widownię magistrat. Bardzo błahe były powody rozognienia tego zatargu. Wszystko przyczyniało się do tego, by rozbudzić niechęć u dobrze myślących i tak przyspieszyć exodus sióstr z miejscowości, w której one się zorganizowały i rozpoczęły swoją działalność. Otóż niejaki pan Pastore, radca gminy Mornese, niestety był wychowanek salezjański, chciał dostać się na jakiś urząd, w tej chwili nie wiemy, jaki i prosił Księdza Bosko o interwencję w tym względzie. Ksiądz Bosko, co mógł zrobić, zrobił ze swej strony, ale jemu nie wszystko

zawsze się udawało, jak to miało miejsce i w tym wypadku. Pana radcę bardzo to zdenerwowało i całą winę niepowodzenia przypisał Księdzu Bosko. Chcąc się zemścić, zaproponował, by zwolniono salezjanina i siostrę Córkę Maryi Wspomożycielki z posady nauczycielskiej w miejscowej szkole. Wniosek przeszedł. Poczciwi ojcowie miasta nie zdawali sobie sprawy, że to jest właśnie na rękę salezjanom i siostram, którzy nie tylko skłonni byli wycofać się ze szkół, ale nosili się z myślą stałego opuszczenia domu w Mornese.

Ks. Bodrato, ekonom generalny Zgromadzenia, rodem z Mornese, otrzymał zlecenie od Księdza Bosko załagodzenia na razie tej sprawy. Równocześnie miał magistratowi dać jasno do poznania, że jeżeli podobne wypadki się powtórzą, to Dzieło Salezjańskie w Mornese zostanie zamknięte. Takie miejscowości jak Gavi i Serravalle, a nawet Novi, o wiele lepiej nadają się na rozwinięcie działalności sióstr niż Mornese.

Po wysłuchaniu sprawozdania księdza Bodrato Ksiądz Bosko zdecydował zamknięcie placówki, której wartości nie umieli docenić tamtejsi obywatele. Podczas, gdy Opatrzność kierowała biegiem wypadków, które ostatecznie miały doprowadzić do rozwiązania tego problemu, pod czujnym okiem Matki Mazzarello z dnia na dzień utwierdzał się i formował dobry duch wśród sióstr, który ożywił pierwszą generację Córek Maryi Wspomożycielki, a który przez następne pokolenia nazwany został „Spirito di Mornese” i uważany jest zawsze, jako ideał ducha ożywiającego całe Zgromadzenie. Nim ożywione Córki Maryi Wspomożycielki tak wszędzie pracowały, że Ksiądz Bosko mógł o nich napisać godną pozazdroszczenia pochwałę: „Córki Maryi Wspomożycielki, gdziekolwiek się udają, wszędzie spisują się bardzo dobrze”.

ROZDZIAŁ XI

PRZYGOTOWANIE DO DRUGIEJ WYPRAWY MISJINEJ

Rozwój dzieł zainicjowanych w Ameryce zmuszały Księdza Bosko do niezwłocznego przygotowania drugiej wysyłki misjonarzy, która miała być liczniejsza od pierwszej. Ks. Cagliero prosił, o co najmniej dwudziestu nowych pracowników. By zebrać taką grupę, trzeba było mocno uszczuplić personel po zakładach we Włoszech, co oczywiście nie było na rękę dyrektorom i tak już narzekającym na braki w personelu. Pewnego dnia święty jadąc z Lanzo do Albengi w towarzystwie księdza Cerrutiego rozwodził się na temat olbrzymich obszarów, jakie stały otworem przed Salezjanami, dla ich pracy nie tylko w Ameryce, ale i w Oceanii, Afryce itd. Lecz ksiądz Cerrutti nie bardzo przejmował się tym opowiadaniem i dość wyraźnie dawał do zrozumienia, że to go nie zachwyca. Co spostrzegłszy Ksiądz Bosko trącił go i pyta:

Ma capisci? Nic cię to nie interesuje?

No tak, coś niecoś, ale...

Gia, gia... No pewno, skoro nie uważasz na to, co mówię, to ci się to zdaje obojętne...

Mimo wszystko Święty nie postępował na oślep i zdawał sobie sprawę z tych nastrojów. Dlatego już z dalsza snuł swe plany i kombinował, by luki w personelu były dla zakładów jak najmniej bolesne. Pocieszała go przy tym myśl, że może liczyć na dobrą wolę i ducha poświęcenia u dyrektorów przez niego wychowanych. Nie wzrosli oni wszyscy bowiem w Oratorium prawie od swego dzieciństwa? Na ten temat takie mamy przechowane jedną z jego wypowiedzi:

Bardzo to dla nas korzystne, że ci, co dziś stanowią trzon Zgromadzenia, wszyscy prawie byli wychowankami Oratorium od najmłodszych lat. Tu oni wzrastali i nie zdając sobie sprawy przyzwyczajali się do trudów, zapoznając się równocześnie z całą strukturą Zgromadzenia i nabierali wprawy do każdego zajęcia właściwego naszemu życiu. Zostawali następnie dobrymi asystentami, nauczycielami, bez dłuższych studiów, posługując się tą samą metodą, jaką poznali, jako wychowankowie. To stanowi rękojmię utrzymania w przyszłości naszego ducha bez potrzeby ciągłych zmian i reform. Bo bywa i tak, że gdy w zakonie znajdzie się jednostka o większych zdolnościach i już z pewnym autorytetem, a nie ma wyrobionej cnoty, to nie umie ona naginać swej woli do woli przełożonych w różnych sytuacjach i dlatego więcej czyni złego niż dobrego w swym otoczeniu!

Nie jest to łatwa rzecz wyzbyć się całkowicie starego Adama, gdy chodzi o poważne wady lub ciężkie wykroczenia, lecz o takie, których można dopuszczać się ze spokojnym sumieniem.

Takie nieodpowiednie przykłady wypaczają powoli ducha Zgromadzenia i powodują przykre następstwa. Jestem przekonany, że aż dotąd nie było zakonu, który by miał tak swobodny dobór kandydatów dla siebie najodpowiedniejszych.

Inna rzecz, która daje mi rękojmię, że zachowamy ducha salezjańskiego na dalsze lata i w dalekich krajach jest ta, że na przełożonych bywają naznaczani obecnie tacy, co już dłuższy czas przeżyli w Zgromadzeniu i przeszli w nim różne urzędy. Otworzy się jeszcze wiele domów, a jako personel kierujący będą do nich wyznaczani siłą rzeczy ci, którzy wyszli tu z Oratorium, za nim będzie można przydzielić im personel, który już będzie uformowany w tamtych stronach. Otóż ci, co przez dłuższe lata przebywali tu z nami i przejęli się naszym duchem, będą z kolei krzewić tego ducha w tych odległych krajach, jak na przykład w Ameryce i kiedy tamtejszy personel dojdzie już do głosu, to duch Zgromadzenia będzie tam już mocno zakorzeniony.

Przygotowanie do drugiej ekspedycji misjonarzy wymagało nie mniej trudów i zachodów jak do pierwszej. Mało jednak wiemy o nich w szczegółach. Domyślać się ich tylko możemy z niezbyt zresztą obfitej korespondencji Księdza Bosko w ciągu trzech miesięcy: sierpnia, września i października. Oto na przykład, co czytamy w liście Świętego do księdza Cagliero: Carissime Don Cagliero! Wszystko jak zwykle. Zabiegamy o przygotowanie potrzebnej wyprawy. Wszak trzeba wszystko mieć w porządku przed wyjazdem dwudziestki, która już jest wytypowana. Kłopot jest z biletami.

Z powodu wielkich wydatków na dom w Nazza, w kasie są pustki. Ale ostatecznie według naszego stylu „na pif i pa” jakoś damy sobie radę. Ochotników na misjonarzy jest około dwustu. Wszyscy chcą jechać do Patagonii. I we Włoszech i w Europie, tak w sferach politycznych, jak religijnych mówi się o naszej inicjatywie w Patagonii. Bóg tego chce i niechże nam dopomaga w tym, co od nas zależy – oczekuję pozytywnych wiadomości.

Powiedz wszystkim moim drogim, że zawsze stanowią oni będą gaudium meum et coronam meam.

Niech nam wszystkim Bóg błogosławi. List od arcybiskupa otrzymałem i wkrótce mu napiszę, co o tym myśli Ojciec święty. Amen. Pozostają itd.

Turyń, 13.08.1876 r.

W sprawie biletów pertraktował ksiądz Cagliero z Kurią biskupią w Montevideo. Za interwencją rządu otrzymano dziesięć biletów, czyli tyle ilu było salezjanów przeznaczonych do Villa Colon. Wiele dopomógł w załatwieniu formalności przejazdowych znany nam już sekretarz wikariusza apostolskiego. Z listu arcybiskupa z Buenos Aires, o którym wspomina Ksiądz Bosko, wywnioskować można, że sympatie tego gorliwego prałata dla salezjanów wcale nie oziębiały się.

Zamierzał on nawet, stosownie do planów Świętego względem dzikich plemion, wybrać się do odległego Carmen de Patagones w towarzystwie księdza Cagliero, by zorientować się na miejscu, co by można zrobić dla tych tubylców.

Aby zyskać pomoc w przygotowaniu nowej wyprawy, Ksiądz Bosko poruszył wszystkie sprężyny. Przez dzienniki zainteresował najpierw opinię publiczną. Następnie zwrócił się do wyższych sfer społeczeństwa, nie zaniedbując zabiegać o pomoc u osób zamożniejszych. Szczególnie skuteczne były zawsze listy pisane przez niego osobiście.

Oto tekst okólnika rozesłanego w sprawie misji:

Benemerito Signore

Bóg dobry i miłosierny raczył pobłogosławić pracy misyjnej rozpoczętej w republice argentyńskiej i w ciągu paru miesięcy mogli misjonarze salezjańscy otworzyć tam kolegium w Montevideo, uaktywnić sierociniec dla opuszczonej dziatwy, wznowić nabożeństwa w kościele Matki Boskiej Łaskawej i zainicjować szkoły i Oratorium świąteczne w Buenos Aires dla tamtejszych licznych włoskich emigrantów. W końcu otwarto też kolegium w S. Nicolas de los Arroyos, do którego uczęszcza już 120 chłopców, między nimi kilku ze szczepów Indian. Przy kolegium istnieje kościół publiczny. W ten sposób staramy się przybliżyć do dzikich jeszcze tubylców. Ojciec Święty raczył pobłogosławić temu przedsięwzięciu. Chcielibyśmy jeszcze otworzyć zakład w mieście Dolores, a drugi w Carmen, która to miejscowość sąsiaduje bezpośrednio z Patagonią. Z otrzymanych ostatnio wiadomości wynika, że już trzy plemiona dzikie prosily o przybycie do nich misjonarzy, którzy by ich pouczali o Królestwie Niebieskim. Ostatnio mamy widoki otwarcia naszych placówek w Chile, a mianowicie w Santiago i Valparaiso. Uruchomienie tych placówek podtrzyma moralność w tamtych krajach i uprzystępnia poznanie naszej świętej wiary tubylcom. Wychowując zaś tamtejszą młodzież w duchu chrześcijańskim, równocześnie będziemy mieli sposobność budzić wśród niej powołania duchowne, co ułatwi niepomniernie dalszą pracę misyjną. Tym naszym zamiarom widocznie Bóg błogosławi, gdyż już dziesięciu młodzieńców tamtejszych zgłosiło się do nas misjonarzy. Oczywiście pociągnie to za sobą wydatki na ich utrzymanie i wykształcenie.

Lecz salezjanów, którzy podjęli się tej wyczerpującej pracy misyjnej, jest jeszcze w Ameryce bardzo mało i nie mogą sprostać nagłym potrzebom. Palącą, więc rzeczą jest posłać im pomoc, aby nie ulegli pod ciężarem tych zbożnych trudów ewangelicznych. Wyznaczonych, więc zostało nowych dwudziestu żniwiarzy do pracy na polu Chrystusowym. Wyjeżdżają oni z największą chęcią, aby dopomóc swoim współpracownikom w zdobywaniu dusz dla Boga.

Lecz podobnie jak w ubiegłym roku potrzebowalem pomocy ludzi dobrej woli w zorganizowaniu pierwszej ekspedycji misyjnej, tak samo potrzebuję jej i teraz. Pożądane, więc były by książki, naczynia święte, pomoce szkolne, meble domowe, wyprawa osobista dla wyjeżdżających. Wielkie są również potrzeby i tych, co już pracują na misjach, gdyż w tamtych odległych krajach brakuje wszystkiego. Koszty obecnej wyprawy nie będą mniejsze niż 60 tysięcy franków. Aby zebrać potrzebną

sumę, nie mam innego sposobu, jak tylko zwrócić się do wszystkich dobrych katolików, a zwłaszcza do łaskawości WP Dobrodzieja.

Podczas, gdy Salezjanie poświęcają swe życie dla zbawienia dusz, równocześnie z tamtych stron zwracają się do łaskawości WP z prośbą o pospieszenie im z pomocą. Niech, więc WP uczyni, co może ze swej strony i poleci nas także łaskawości osób ze swego otoczenia. Wszelkie ofiary proszę przesyłać na adres niżej podpisanego.

Litościwy nasz Zbawiciel, który umarł na Krzyżu za zbawienie wszystkich, niech błogosławi i hojnie wynagradza naszych Dobrodziejów. Misjonarze zaś tak wyjeżdżający, jak i ci, co są już w Ameryce, zapewniają o pamięci w codziennych modlitwach za swych Dobrodziejów.

I ja również w imieniu wszystkich wyrażam największą wdzięczność, podczas gdy mam zaszczyt kreślić się zobowiązany sługa etc.

Dnia, 25.08.1876 r.

Nie zaniedbał Ksiądz Bosko zwrócić się wprost do rządu włoskiego, choć nie łudził się, co do skutku. Owszem wyraził się nawet, że to będzie miało taki sam skutek, jak robić dziurę w wodzie. Na nic, bowiem zdały się wszystkie dotychczas skierowane do władz włoskich pisma i osobiste zabiegi. Ale tym się nie przejmował. Wiedział, bowiem, że taka prośba dwa osiągnie cele, a mianowicie: poinformuje rząd, co robią salezjanie dla Włochów poza granicami państwa, a równocześnie uświadomi go, że nie są to żadne tajne niebezpieczne machinacje.

Panowie ci – tłumaczył Święty – widząc naszą najlepszą wolę i naszą działalność, są zadowoleni i pozostawiają nas w spokoju. Z tego też powodu urządziliśmy piękną uroczystość dla kolejarzy w Lanzo. Tak będziemy postępować teraz i zawsze, skoro tylko nadarzy się sposobność to manifestujemy, rozpowiadajmy wszystko, co u nas się robi, gdyż ci wielcy urzędnicy odnoszą się do nas zawsze z obawą i podejrzewają nas we wszystkim. Wystarczy, że jakieś Zgromadzenie zabiera się do pracy, a oni nie mogą zorientować się, o co właściwie chodzi, to zaraz się niepokoją i zaczynają je podejrzewać, kto wie, o co. Z nami niech nie mają tego kłopotu. Ogłaszajmy wszystko, co robimy i tym, co chcą o tym wiedzieć i tym, co nie chcą. Zresztą to zwykle podoba się publiczności, choć niekiedy trzeba i w tym być ostrożnym, by nie drażnić innych zgromadzeń zakonnych. Ale ostatecznie powiemy zawsze wszystkim szczerze, że my doprawdy jesteśmy może za wiele ekspansywni.

Ministerstwem, z którym można było mówić o misjach, było ministerstwo spraw zewnętrznych. Ksiądz Bosko kontaktował się z ministrem przez komandora Malvano, jego sekretarza, który choć był wyznania mojżeszowego, to jednak Księdzu Bosko okazywał bezgraniczne zaufanie. Za jego, więc pośrednictwem przesłał ministrowi Melegri następujący memoriał:

Ekscelencjo!

W miesiącu ubiegłym - w kwietniu - miałem zaszczyt przedłożyć Waszej Ekscelencji pismo, przedstawiające pożałowania godny stan, w jakim żyją Włosi rozproszeni w Ameryce Południowej. Podałem wtedy również niektóre środki, za pomocą, których można by zapobiec potrzebom tych naszych współplemieńców i tak trochę dla próby posłałem tam dziesięciu salezjanów, czyli członków Towarzystwa dobroczynnego pod wezwaniem św. Franciszka Salezego, którzy za główny cel mają zajmować się biedną i opuszczoną młodzieżą.

Ekscelencja był łaskaw zainteresować się tym projektem i zapewnić pomoc ze strony rządu. Równocześnie skierował mnie do markiza Spinola, który wybierał się do Buenos Aires w charakterze ambasadora rządu włoskiego. Tenże pan docenił powagę sytuacji, przyobiegał energicznie tym się zająć, skoro tylko obejmie urząd, a tymczasem poradził mi pertraktować nadal z Waszą Ekscelencją. Obecnie mam zaszczyt powiadomić, że już zostały uruchomione szkoły dla Włochów w Buenos Aires i zapewniona obsługa religijna. Wkrótce zostanie tam otwarty również sierociniec, jako też i kolegium w Montevideo.

Co do potrzebnych inwestycji i zaopatrzenia tych szkół będę mógł traktować osobiście z Waszą Ekscelencją, gdy otrzymam odpowiednie pismo za pośrednictwem markiza Spinola. Obecnie chciałem tylko prosić o udzielenie subwencji na pokrycie wydatków połączonych z drugą ekspedycją dwudziestu salezjanów do Ameryki. W nadziei etc.,...

Memoriał powyższy wysłał Ksiądz Bosko ministrowi za pośrednictwem pana Malvano, do którego załączył następujący list:

Carissimo Signor Commendatore!

Serdecznie dziękuję za informację dotyczące Patagonii i autorów, którzy o niej piszą. W dalszym ciągu liczę bardzo na poparcie memoriału do pana ministra, który tu załączam. Misje przez nas podjęte w Ameryce, to przedsięwzięcie bardzo poważne, którego prywatny człowiek nie zdoła własnymi siłami dokonać, ale jest ono wielce korzystne dla tysięcy tamtejszych rodzin włoskich. Byłoby to chlubą dla Italii, gdyby została pierwszym krajem, który poważnie przyczynił się do ucywilizowania Patagonii i sąsiednich szczepów. Zechce WP przyjąć zapewnienie modlitwy od kapłana, który życzy mu wszelkich błogosławieństw niebieskich i wszelkiej pomyślności i ma zaszczyt kreślić się itd.,...

Dnia, 12.08.1876 r.

Odpowiedź sekretarza ministerialnego była w każdym razie odwołująca, jeżeli już wprost nie zdradzała pewnego zakłopotania u ministra. Wszak w owym czasie mężowie stanu włoskiego, którzy by nie patrzeli na księży przez okulary czarne, byli rzadkością jak białe muchy. Odpowiedź, więc ministra, dotycząca skoncentrowania

Włochów na obszarach Patagonii w formie kolonii osobnej zwracała uwagę, że w ostatnich czasach wybuchły zadawnione spory między Chile i Argentyną, co do podziału władzy nad tym terytorium i że zatem roztropną będzie rzeczą odłożyć cały plan na późniejsze czasy. Zresztą o tym będzie chciał minister porozmawiać swobodnie z Księdzem Bosko w Oratorium na Valdocco, o ile Turcja i Serbia pozwolą mu na chwilę odetchnąć trochę świeżym powietrzem Piemontu. /NB. W roku 1876 Serbia zbuntowała się przeciw Turcji, ale w następstwie tego została pobita, to jednak za interwencją Rosji uzyskała niepodległość w traktacie berlińskim w 1878 roku/.

Malvano zaś ze swej strony dodawał:, Co dotyczy sprawy subsydiowania przejazdu młodych misjonarzy do Argentyny i ewentualnego poparcia ich działalności w tym kraju, to minister pragnie najpierw skomunikować się ze swoim ambasadorem Buenos Aires, by usłyszeć jego zdanie. Zaczekamy tedy na odpowiedź markiza Spinoli, który już powinien być na miejscu. I na tym list się skończył frazesem, że nie chce się za dużo zajmować cennego czasu Księdzu Bosko...

Mimo tak wymijającej odpowiedzi Ksiądz Bosko za dwa miesiące ponowił atak i pisał do tegoż komandora:

Carissimo Signor Komandore!

Zbliża się czas wyjazdu moich misjonarzy do Argentyny i doprawdy koniecznie potrzebuję zapomogi na podróż. Rząd argentyński zapłacił przejazd dla ośmiu, pozostaje jeszcze dwunastu, dla których nie wiem skąd wziąć pieniądze. Proszę, więc okazać swą łaskawość względem biednych Włochów rozproszonych wśród republik Ameryki Południowej i dopomóc mi opłacić koszty podróży tej ekspedycji. Na razie nie nalegam o subwencję na szkoły już otwarte, co do tego zaczekamy opinii markiza Spinoli. Proszę Boga, by Wielmożnemu Panu udzielił szczęśliwego życia itd.

Turyń, 12.09.1876 r.

Z powyższego listu dowiadujemy się, więc o pomocy rządu argentyńskiego na osiem biletów podróży. Ksiądz Bosko nie wiedział jeszcze wtedy, że Argentyna przewyższona została przez rząd Urugwaju, który opłacił bilety dla dziesięciu misjonarzy. Włoskie ministerstwo zdobyło się po tych wszystkich listach Księdza Bosko zaledwie na tysiąc lir z uwagą, iż „z przykrością wielką nie może dać więcej”.

Oczywiście, że Ksiądz Bosko nie pominął i Kongregacji Propagandy. W tym celu pisał długi list do kardynała Franchi, prefekta Kongregacji, który prosił o szczegółowe informacje o Patagonii. Razem z listem wysłał mu broszurę skompilowaną przez księdza Barberisa o tym kraju. A terytorium Patagonii Stolica święta chciała utworzyć jak już wspomnieliśmy Prefekturę Apostolską, która miała zostać powierzona salezjanom.

Eminencjo!

Z pewnym opóźnieniem przesyłam zebrane wiadomości dotyczące Patagonii i proszę o łaskawe wybaczenie zwłoki. Rozliczne zajęcia, których nie można było odłożyć, brak autorów piszących o Południowej Ameryce, utrudniły i opóźniły tę pracę. Nie jest ona jeszcze doskonała i gdyby miała iść do druku, trzeba by ją ponownie przejrzeć i ewentualnie uzupełnić. Najtrudniej przychodzi znaleźć jakieś źródła, w których by była mowa o dotychczasowych usiłowaniach ewangelizacji Patagonii.

Ale to, co teraz najważniejsze, to znalezienie środków na pokrycie drugiej ekspedycji misjonarzy, w której to potrzebie zwracam się z gorącą prośbą o pomoc do Waszej Eminencji.

Sekretarz zmarłego księcia Modeny pisał mi, że tenże suweren w testamencie zapisał znaczną sumę Papieżowi na cele misyjne. Proszę, zatem o łaskawe zainteresowanie Ojca Świętego naszymi potrzebami, a gdyby coś jeszcze było do dyspozycji, proszę gorąco o polecenie naszych potrzeb jego dobroczynności. Salezjanie chcieliby działać dużo dobrego, lecz brak im środków materialnych. Jego Świątobliwość zawsze okazywał wielką przychylność dla naszych poczynań.

Powołania do stanu duchowego w S. Nicolas i w Buenos Aires już zaczynają się budzić wśród tamtejszych mieszkańców. Mam nadzieję, że za niewiele lat nie będzie już tak wielkiej potrzeby wysyłania tam tak często jak dotąd ekspedycji misyjnych. Polecam się również Waszej Eminencji o różne przedmioty liturgiczne dla naszej misji, jak to: mszały, kielichy itd. Tego wszystkiego potrzebują misjonarze, zwłaszcza dla domów, które mają zamiar otworzyć.

Raczy Wasza Eminencja wybaczyć zbytnią swobodę, z jaką się do niego zwracam, Ale jestem przekonany, że powodzenie tego przedsięwzięcia po Bogu zawisło dużo od życzliwego poparcia, którego niech Wasza Eminencja raczy mu szczerze udzielić.

Stosownie do jego życzenia przyjąłem szkoły w Aricia i prawdopodobnie w najbliższym czasie otwarte zostaną i te w Albano. Ścieląc się do ucałowania świętej purpury itd.

Turyń, 23.08.1876 r.

Nie wiemy, jaki był skutek tej prośby. Wiemy natomiast, że analogiczna prośba wniesiona do Ojca świętego, miała bardzo pomyślny rezultat. Pius IX za pośrednictwem kardynała Bilio, nie tylko wyraził swoje najwyższe zadowolenie z powodu nowej ekspedycji, ale przesłał na koszty z nią związane pięć tysięcy lir sumę wysoką, jak zauważył sam kardynał, jeśli się weźmie pod uwagę ogromne wydatki, jakimi wówczas obciążona była Stolica święta.

Dwa następne listy do księdza Cagliero rzucą nam wiele światła na wszystkie zabiegi Księdza Bosko związane z tą drugą ekspedycją misjonarską. I tak, 1 września 1876 roku, pisze do niego: Jeśli możesz, postaraj się ażeby bilety podróży były tu u nas

kupowane i na ten cel przyślij przeznaczone pieniądze nam. Konsul argentyński zapewnił nam wielką zniżkę. Księdzu Bazzani powiedział, że on zamawia miejsca w pierwszej klasie po 500 franków. Spodziewamy się też zapomogi i od rządu i od Papieża. W tej chwili otrzymuję twój list ze S. Nicolas. Zaraz wszystko puszcze w ruch. Czy nie byłby lepszy zamiast księdza Tamietti ksiądz Daghero? Myślę, że do połowy września będę ci mógł podać dokładnie personel do Villa Colon. Twój itd.,...

A oto drugi list:

Carissimo Don Cagliari!

Jesteśmy w Lanzo i studiujemy personel do zakładów we Włoszech, Europie i w Ameryce. Mam nadzieję, że wszystko ułoży się dobrze.

Do was najlepiej by było posłać dwudziestu pięciu współbraci i wtedy byłoby już wszystko bez zarzutu, ale cała trudność polega na wydatkach podróży. W każdym razie na pierwszego października otrzymasz już spis dokładny wszystkich wyjeżdżających i ich przeznaczenie. Z zakonnicami musimy poczekać aż do kwietnia. Nasz drogi kleryk Vigliocco uleciał do raję. Pomódlmy się za niego. Wielkie tu jest poruszenie w związku z naszymi misjami: adwokaci, notariusze, proboszczowie, profesorowie zgłaszają się ad hoc.

Zróbcie wszystko możliwe, by pozyskać chłopców czy dorosłych, którzy żyli między tubylcami. Gdyby tacy chcieli jechać do Europy na naukę, to pošlij ich. Napisz mi zaraz coś o wizycie arcybiskupa w Carmen czy w Patagones, jeśli ona dojdzie do skutku. Powiesz mi, że Ojciec święty pragnie na wszelki sposób nawrócenia Indian i przyklaskuje naszym wysiłkom otwarcia domów wychowawczych w pobliżu ich siedzib z widokami wychowania sobie kleru tubylczego.

Tysiączne pozdrowienia dla wszystkich przyjaciół i dobrodziejów i dla wszystkich naszych drogich synów księdza Baccino, księdza Belmonte itd.

Lanzo, 12.09.1876 r.

Nieustanne starania w sprawie zorganizowania Związku Pomocników Salezjańskich i Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki, nowe fundacje w obu Zgromadzeniach, zarząd zwyczajny Oratorium i innych domów, kierowanie szkołami i warsztatami w ciągu roku szkolnego, przygotowania do drugiej wyprawy misyjnej, zajmowały Księdzu Bosko dużo czasu. Ale jednak przy tym wszystkim myśl jego stale ulatywała za ocean i na wszelki sposób okazywał tym swoim dalekim synom całą czułość swego ojcowskiego serca. To właśnie można wyczytać pomiędzy linijkami jego korespondencji, nazwijmy ją misjonarskiej.

Pod datą 13 października pisze znowu do księdza Cagliari: Jestem w Vignale u hrabiny Callori, która co dopiero podniosła się z długiej choroby. I ona napisze ci coś osobno.

U nas pospiesznie czyni się przygotowania do odjazdu misjonarzy, który nastąpi prawdopodobnie 15 listopada. Liczę na osiem biletów od rządu argentyńskiego, resztę

będziemy musieli sami kombinować. Pisałem do ministra spraw zagranicznych, który obiecał mi złote góry i morza. Ja mu je chętnie pozostawię na własność, byle on mi dopomógł je przebrnąć.

Z listy personelu, jaką ci przesłałem na początku tego miesiąca możesz się łatwo zorientować w sytuacji. Z początkiem listopada otrzymasz dalsze informacje o całym personelu Zgromadzenia i o zmianach, które, jak sądzę będą dla wszystkich zadowalające.

Mamy w domu czterech księży, którzy odbywają aspirantat, by iść na misje. Bardzo są nimi przejęci. Jeden z nich, Bourlot Stefan mógłby jechać i zaraz. Co do innych zobaczy się jeszcze. Na Wszystkich Świętych ma się zgłosić innych czterech. Zobaczmy.

Kardynał Bilio, za poparciem Ojca świętego, prosi o nauczycieli naszych do swego seminarium w Sabino. Kardynał Franchi do Aricia; kardynał di Pietro do małego seminarium w Albano; magistrat w Albano do swego gimnazjum. Mam ci powiedzieć wszystko? W tym roku otwieramy 20 domów, biorąc pod uwagę i te na nowym kontynencie i te Sióstr Córek Maryi Wspomożycielki, „che fanno assai bene dove vanno”...

W Nizza Monferrato zakupiliśmy wspaniały gmach, gdzie będzie można pomieścić z górą 100 rzemieślników i tyluż Synów Maryi.

Jeżeli byś mógł objąć oczyma to wszystko, co teraz dzieje się w naszym Zgromadzeniu, to powiedziałbyś, że to bajeczki. Niechże Bóg nam dopomaga, byśmy godnie odpowiadali jego łaskom. Twój weksel na cztery tysiące franków w złocie, został honorowany i posłużą one na zaznaczony cel.

Misjonarze uczą się po hiszpańsku. Niektórzy robią dobre postępy inni secundum quid, ale i ci chyba nadgonią. Otrzymałem list od pana Benitez i w najbliższym czasie mu odpowiem.

Hrabina Callori jest w rekonwalescencji, ale jeszcze na razie nie może pisać i upoważnia mnie, bym ci podziękował za dwa listy jej przysłane. Bardzo jej się podobały i zastrzega sobie, że na nie odpowie, skoro tylko głowa będzie jej należycie dopisywała.

Nowym proboszczem w Lanzo został ks. Dalfi, dotychczasowy proboszcz z Casanova, mój kolega ze seminarium. Spodziewam się, że nadal będziemy przyjaciółmi.

Hrabina Bricherasio przygotowuje wspaniały komplet parametrów kościelnych, które już są prawie na ukończeniu. Oczywiście pojedą one do was z drugą wyprawą. Nie mam czasu pisać innym. Podziel się z nimi wszystkimi wiadomościami i zapewnij ich o moim przywiązaniu i moich modlitwach. Niech będą silni jak kolumny, a święci jak nasz Patron św. Franciszek Salezy. Niech was wszystkich Bóg błogosławi itd.

Pod koniec miesiąca pisał znowu ujmując jego treść w ośmiu punktach:

Mio Caro Don Cagliero!

1. Kontynuujemy przygotowania do wysyłki personelu, jak ci przedstawiłem z małymi zmianami. Z jego przyjazdem otrzymasz list z uwagami o kwalifikacjach każdego i zajęciach, jakie dotąd spełniał.

2. Fakt wypędzenia owych pięciuset jest poważny. Uważaj, więc bardzo i trzymaj się z dala. Możliwe, że owe rozruchy w Buenos Aires były w związku z tymi wypadkami.

3. Przypuszczam, że otrzymałeś już moją zgodę na przyjęcie Bocca del diavolo i parafii św. Karola. Mam już wytypowanych trzech „tomi” /osobniki/; z nich dwóch dla tych placówek, trzeci dla Patagones. Bardzo palą się do tej roboty i myślę, że się nadadzą. Czy arcybiskup wybierze się do Patagones?

4. Dobrze by było byś w roku 1877 przyjechał do Europy, a następnie wybrał się do Ceylonu, aby i tam otworzyć misje bardzo ważne, do czego nadaje się tylko ktoś z Castelnuovo.

5. Konieczne jest zbudowanie domu lub przynajmniej część jego przeznaczyć na nowicjat. Jeśli potrzeba, masz już gotowego magistra nowicjuszów.

6. W najbliższym roku będziesz miał 4 kleryków, którzy mogliby otrzymać święcenia. Trzeba to jednak na czas zgłosić. Na razie na przeciąg 21 miesięcy możemy korzystać z dyspensy.

7. Otrzymałem weksel na 4 tysiące franków, oczekuję dalszych dziewięciu tysięcy. Należy się liczyć z tym, że „fervet opus” a finanse wyczerpane.

8. Wczoraj wieczorem wyjechało 6 salezjanów do Aricia i do Maglino, by uruchomić tam szkoły. W najbliższą niedzielę wyjedzie innych sześciu do Albano. Zaraz po nich wyjadą ci Trinita, a następnie ci do Argentyny, którzy jednak najpierw udadzą się po błogosławieństwo do Ojca Świętego.

Doprawdy brak mi czasu na pisanie: może więcej później. Niech wam Bóg wszystkim błogosławi. Dotąd nie otrzymałem jeszcze ani listu, ani weksli, ale zastosuję się do tego, co mi napiszesz. Wasz w Chrystusie Jezusie itd.

Dnia 31.10.1876 r.

Dnia 4 lipca wybuchły groźne rozruchy w Buenos Aires pod hasłem „Viva la liberta”.

Władze chciały przeszkodzić manifestacji na cześć Stanów Zjednoczonych, zorganizowanej przez najbardziej poczytne dzienniki stołeczne. Ksiądz Bosko widział w tym odwet za wypędzenie przez rząd argentyński pięciuset cudzoziemców, mścicieli pokoju publicznego. Ponieważ większość tych cudzoziemców była narodowości włoskiej, łatwo sobie wyobrazić, w jak delikatnej sytuacji znalazł się ks. Cagliero, by się nikomu nie narazić. Właśnie o tym jest wzmianka w powyższym liście. Pomysł wyjazdu do Ceylonu zrodził się w następujących warunkach W sierpniu 1876 roku bawił w Oratorium u Księdza Bosko niejaki ks. Piccinelli z Bergamo, który pracował, jako misjonarz na tej wyspie. W czasie dłuższej rozmowy o misjach

zagranicznych, zwłaszcza na Ceylonie, Ksiądz Bosko dał swemu rozmówcy do zrozumienia, że nie jest wykluczone, by za dwa lata mógł tam wysłać swoich misjonarzy, ale pod warunkiem, że mieszkaliby w jednym miejscu. Wobec tego ksiądz Piccinelli, przez nikogo nieupoważniony do pertraktacji w tej sprawie, napisał do swego biskupa, od którego zaraz otrzymał odpowiedź, że chętnie przyjąłby kapłanów zdolnych do nauczania w języku angielskim, łaciny, greki, fizyki, i innych przedmiotów.

Wyraził przy tym życzenie, ażeby to mogło jeszcze nastąpić przed rokiem 1878.

Księża ci zamieszkaliby w rezydencji biskupiej, mając tak zapewnione utrzymanie, a uczyliby w przyległym kolegium diecezjalnym. Spełniwszy w ten sposób warunki stawiane przez Księdza Bosko, ksiądz Piccinelli nalegał ażeby ten dotrzymał obietnicy. Chciał nawet od razu zabrać ze sobą dwu salezjanów i byle ich tylko mógł dostać, gotów był opóźnić swój powrót na Ceylon o parę miesięcy. Na razie pracowaliby w jego misji liczącej około osiem tysięcy katolików rozproszonych wśród o wiele liczniejszych mahometan, buddystów i protestantów. W jednym liście zapewniał: I ja dostosuję się do waszych Reguł i Waszego ducha. Będziemy żyli wspólnie. Niczego nie zabraknie, co będzie potrzebne. Podróż zapłacę. Jeśli tylko Ksiądz Bosko zechce, jestem pewien wszystko dobrze się ułoży. Niech, więc powie ostatnie słowo, a ja będę śpiewał Te Deum.

Ksiądz Bosko w zasadzie godził się na te propozycje, ale nie mając zwyczaju załatwiać spraw zbyt pospiesznie, miał zamiar wysłać na miejsce księdza Cagliero, by zorientował się w sytuacji o tym właśnie wspomina mu w przytoczonym liście.

Oprócz okólników kwestujących na rzecz misji pisał on także listy prywatne do ważniejszych swych dobrodziejów. I tak do markiza Fassati pisał:

Carissimo Signor Marchese!

Doniósł mi kleryk Bonora, że zdrowie Szanownego Pana markiza idzie ku lepszemu. Dziękuję za to Bogu i proszę Go, aby nam pana markiza zachował na najdłuższe lata. Załączam dla pana i Jego Szanownej małżonki dyplom pomocnika salezjańskiego, o którym już była mowa. Tak będą mogli Szanowni Państwo korzystać z odpustów i licznych łask duchownych przyznanych naszym dobrodziejom przez Piusa IX. Załączam również kopię okólnika w sprawie misji. Niech pan markiz wspomóż, ile będzie mógł naszych misjonarzy, a dobry Bóg wynagrodzi obficie niebem nie tylko tych, co życie swe poświęcają dla ratowania dusz, ale i tych, co w tym zbożnym dziele im pomagają. Życzę zdrowia i pomyślności w żniwach, w czasie, których mam nadzieję, iż będę mógł pana odwiedzić. Jutro wybieram się do Alassio. Polecając się etc...

W trzy miesiące potem w październiku/ wysłał znowu list do tejże rodziny, ale skierowany tym razem do markizy, z całą prostotą i otwartością przedstawiając jej swe potrzeby:

Benemerita Signora Marchesa!

Kiedy zeszłego roku przedstawiłem pani potrzeby naszych misjonarzy, to otrzymałem odpowiedź, iż państwo nie zobowiązujecie się do żadnych terminowych składek, ale że zawsze, ilekroć zwrócę się w krytycznej dla mnie sytuacji do Szanownych Państwa, to nie będę zawiedziony.

Otóż właśnie w tych dniach jestem w opałach, a to z dwu powodów: Pięćdziesięciu kleryków chodzi jeszcze w cywilu i czeka opatrnościowej pomocy, by mogli przywdziać suknię zakonną i zacząć regularnie rok szkolny. Przy tym jest i drugi kłopot, a mianowicie wyjazd misjonarzy do Argentyny. Wyprawę dla nich jakoś zdołałem skompletować, ale nie mam gotówki na podróż. Rząd tamtejszy płaci bilety dla ośmiu; pozostaje jeszcze piętnastu, dla których 12 tysięcy franków z biedą wystarczy. Obszedłem już rodziny, gdzie spodziewałem się większej pomocy, lecz to nie wiele przyniosło. Ojciec święty zapomogi tym razem odmówił.

Wiem, że i Szanowna Pani markiza ma swoje i to nie małe wydatki. Nie widząc jednak innego wyjścia zwracam się do niej, jako do jedyne go jeszcze portu ratunku. Chodzi przecież o niesienie pomocy duszom nieśmiertelnym, które oczekują światła Ewangelii. Ja ze swej strony będę się modlił i modlitwy zalecę szczególniejsze w jej i jej męża intencji o długie dla nich i szczęśliwe życie i obfitą nagrodę w niebie przyrzeczoną sprawiedliwym. Z wyrazami pełnymi wdzięczności mam zaszczyt kreślić się zobowiązany sługa...

Trzeba tu zaznaczyć, iż Papież następnie zmienił swe zdanie i zapomogę na misje przysłał, choć z pewnym warunkiem, o czym kardynał Bilio tak pisał do Oratorium: *Do tej ofiary Ojciec święty dołącza warunek, który ponieważ jest wyrazem wielkiej z jego strony dla Wielebności Waszej miłości i zaufania, sprawi, że przyznana ofiara tym będzie mu miłsza. Chodziło o to, by Salezjanie podjęli się kierownictwa jednego zakładu w Rzymie /dei concettini/ o czym będzie jeszcze mowa.*

Pisał też Ksiądz Bosko i rozsyłał okólniki do innych swych wypróbowanych dobrodziejów, nie zapominając nigdy podziękować za otrzymane ofiary bilecikiem, albo pismem odręcznym.

Wspomnieć tu jeszcze trzeba o paramentach kościelnych, przygotowywanych przez różne siostry zakonne. W niektórych klasztorach spędzały one całe noce bezsenne, aby tylko mieć udział w wyprawie misjonarzy. Ksiądz Bosko nie mogąc osobiście za to podziękować, polecił wysłać tym zacnym Siostrom w upominku rzeczy, o których wiedział, że im sprawią przyjemność. Na wizyty nie miał absolutnie czasu zajęty całymi dniami korespondencją i organizacją wyprawy. Chociaż Córki Maryi Wspomożycielki już od roku mieszkały o cztery kroki od Oratorium, a on jeszcze ani razu nie był ich odwiedzić.

Wyjazd misjonarzy naznaczony został na listopad. Na tę drugą wyprawę wytypowanych zostało 23 gorliwych współbraci. Z tych ośmiu miało otworzyć zakład wychowawczy w Villa Colon, dwóch zająć się sierocińcem dla malców włoskich w Buenos Aires; innych dwóch prowadzić w tymże mieście Oratorium; dalszych dwóch miało się przyłączyć do współbraci pracujących przy kościele Matki Boskiej Łaskawej; a jeszcze dwóch objąć parafię Della Boca. Czterech przeznaczonych zostało do S. Nicolas, a ostatni trzej mieli próbować wejść w kontakt na pograniczu Patagones. Wśród tylu zajęć biedny Ksiądz Bosko był doprawdy wyczerpany: ale nic nie szkodzi Bóg nam pomaga – napisze wtedy do księdza Cagliero.

ROZDZIAŁ XII

SPRAWY ORATORIUM OD REKOLEKCJI DO KOŃCA ROKU

Miło zawsze jest słuchać opowiadania tych, co pamiętają dawne życie Oratorium, kiedy to sam Ksiądz Bosko nim kierował. W zasadzie wszyscy oni mówią to samo; ale tak salezjanie, jak obcy księża czy świeccy, obecnie wszyscy przyciśnięci wiekiem /oczywiście, kiedy to pisał ksiądz Ceria/ gdy wspominają te czasy, spędzone u boku Księdza Bosko, to zdaje się, iż odmładzają się i powtórnie przeżywają owe niezapomniane dla nich lata. Wprawdzie nie mieli wtedy dzisiejszych wygod, ale któżby w ogóle o nich myślał. Wszędzie panowała beztroska i wesołość miarkowana pobożnością, nauką i pracą; wszyscy odczuwali na każdym kroku obecność ukochanego Ojca i czuli się zachęceni do cnoty jego dobrotliwym uśmiechem. Urokowi tej pogodnej atmosfery ulegali też zaraz w pierwszych dniach swego pobytu w Oratorium nowi przybyli wychowankowie. Opowiadał nam o tym nie dawno ksiądz Cartier, salezjanin już staruszek, przebywający od dłuższych lat w Nizza Marittima otoczony ogólną czcią i miłością.

Dostał się on do Oratorium nie umiejac ani słowa po włosku; nic dziwnego, więc, że czuł się w swym nowym otoczeniu oszołomiony. Ale wnet zjawił się przy nim Ksiądz Bosko, kilku serdecznymi pytaniami pozyskał jego zaufanie i zachęcił, aby go od czasu do czasu odwiedzał. Rzeczywiście biedaczysko dopóki się trochę nie oswoił z otoczeniem i nie nabrał wprawy w języku włoskim, codziennie przychodził do Świętego, który z nim po ojcowsku rozmawiał, jakby nic innego nie miał do roboty jak tylko słuchać jego chłopięcych wynurzeń

W tym rozdziale będzie mowa o życiu Oratorium w czasie trzech miesięcy letnich 1876 roku. W tym okresie roku szkolnego Ksiądz Bosko zwykle nie oddalał się ze swego Oratorium, bo wtedy odbywały się rekolekcje dla młodzieży i trzeba ją było z dalsza przygotować na wakacje, by je z jak najmniejszą szkodą dla swej duszy spędziła.

Rekolekcje poprzedziło przedstawienie teatralne, które stało się głośnym ewenementem nie tylko w zakładzie, ale i na mieście. Dnia pierwszego czerwca we środę odegrali gimnazjaliści komedię, jakiej nikt by się nie spodziewał w Oratorium. Miała być grana wcześniej, lecz czekano powrotu Księdza Bosko z Rzymu. Był to utwór pod tytułem PHASMATONICES czyli LARVARUM VICTOR – ZWYCIEŻCA UPIORÓW. Napisał go w języku Cycerona monsignor Karol Rosini, biskup z Puzzuoli, zmarły w r. 1836. Pewne przeróbki wprowadził do niego jezuita ojciec Alojzy Palumbo, wybitny latynista. Treść komedii jest następująca:

Cremetes bogaty patrycjusz rzymski udaje się w dalekie kraje, powierzając swój majątek i pieczę nad dorastającym synem Callidorusem, staremu przyjacielowi

Szymonowi. Skąpiec ten trzyma w ryzach goniącego za rozrywkami pupila. Wobec tego Callidorus za namową podobnych sobie koleżków wmawia w swego opiekuna, że dom ojcowski jest zaczarowany i nie ma innego wyjścia, jak tylko trzeba go sprzedać. Reflektant na kupno zapewnił mu sporą sumkę za nastęczenie tak pożądanego obiektu.

Przed podpisaniem ostatecznym aktu miała się odbyć uroczysta ofiara, złożona bóstwom domowym dla przebłagania ich gniewu. W tej właśnie chwili wraca niespodziewanie ojciec i zastaje wszystkich przy komedianckiej ceremonii. Wszyscy dostali za swoje, ale ostatecznie Cremens daje się tak synowi jak i przyjacielowi przebłagać.

Próba generalna po dłuższych przygotowaniach przeprowadzona wobec samych gimnazjalistów Oratorium wypadła dobrze. Aktorzy byli zgrani i pewni siebie. Można było śmiało zaryzykować wystawienie komedii przed szerszą publicznością. Nadzieje nie zawiodły. Owszem powodzenie sztuki przeszło wszelkie oczekiwania. Wśród widzów wielu było profesorów tak szkół średnich, jak i wyższych, którzy nie mogli się nadziwić brawurze młodych aktorów, władających łaciną, jakby rodzimym dialektem. Nie przemilczały tego faktu i dzienniki. Unita Cattolica nazwała to przedstawienie „akademią plautyńską”. „Akademią”: może, dlatego, że był to wspaniały popis tych uczniów w języku łacińskim, klasycznym – plautina - gdyż wiersze utrzymane były w stylu Plauta. Inny periodyk pt. Baretti redagowany przez prof. Perosino, tak pisał: „Opanowanie na pamięć około 50 stron łącin, pewność siebie w dykcji, swoboda gestów, poprawność prozodii, deklamacja bez żadnego zająknięcia czy żenady, o co przecież tak łatwo zawsze, gra pełna swady to rzeczy, jakich nie spotyka się tak łatwo w podobnych zespołach. A jednak trzeba otwarcie przyznać ku pochwałę uczniów, a tym bardziej profesorów Oratorium, iż gra była tak piękna, że wielu z widzów wprost nie posiadało się z zadowolenia, iż mogli uczestniczyć w tak sympatycznym widowisku. Wielu miało ze sobą książeczki z tekstem komedii, ale o nich zapomnieli, tak wyraźnie i dobitnie wypowiadali się poszczególni aktorzy”.

Zbiorowa opinia domagała się, by występ został powtórzony w najbliższą środę. Przybyli na to „bis” jeszcze liczniejsi księża i profesorowie. Profesor Królewskiego Uniwersytetu Allievo przechodził wśród gości, zapraszając, co wybitniejsze osobistości na pierwsze miejsca, gdyż wiele z nich w Oratorium jeszcze nie znano. Po skończonym przedstawieniu tematem ogólnym rozmów było, iż ten jeden występ wystarczał, aby zamknąć usta tym, co ujemnie wyrażali się o studiach w Oratorium, jakoby te były zbywane i nie stały na należyтым poziomie. Do wyrazów ogólnego uznania przyłączył się dziennik powszechny: Emporio popolare pisząc między innymi: „Przemily ten dramat, prawdziwe capolavoro literackie doskonale był interpretowany i grany przez tych dzielnych uczniów gimnazjalnych tak, że całe audytorium złożone prawie wyłącznie ze sfer wykształconych wyrażało się o nim jak najpochlebniej”.

Na obydwu seansach przygrywała w antraktach kapela. Odśpiewany został również i „il Marinaio” słuchany z rozrzewnieniem przez wszystkich przyjaciół

bawiącego wtedy w Ameryce autora. Ksiądz Bosko był obecny dopiero na drugim seansie i wyszedł z niego soddisfatissimo, jak notuje kronikarz. Zakończmy te wspomnienia teatralne słowami jednego z owych trzech dzienników, który tak zakończył swój artykuł o owym przedstawieniu: Moje gratulacje a tuto le monde. Łatwo sobie wyobrazić, jak podniósł się prestiż Oratorium w opinii publicznej z okazji tej udatnej imprezy.

Gdy życie Oratorium wróciło do normalnego trybu, co zresztą tak wtedy, jak i dziś nie potrzebuje dużo czasu, rozpoczęły się zaraz rekolekcje dla chłopców. Miały one być wcześniej, a nie już na samym końcu roku szkolnego, ale nieobecność Księdza Bosko, który jak zawsze chciał im przewodniczyć, kazała się z tym opóźnieniem pogodzić. Na szczęście pogoda dopisała: mżył deszcz, aura, więc była świeża, co razem ułatwiało pracę przełożonych, a także młodzieży nie zabrakło dobrej woli. Rekolekcje trwały od 11 do 18 czerwca. Kaznodzieją tak dla uczniów gimnazjalnych jak i tych szkół zawodowych był teolog Belasio, wybitny kaznodzieja ludowy i młodzieżowy. Szczególnie interesująca była nauka o Mszy świętej przeprowadzona w czasie sprawowania się świętej Ofiary. Między jednym, a drugim kazaniem słuchał spowiedzi. O nim tak pisze ksiądz Barberis w swej kronice: Cóż to za zacny kapłan! Miałem sposobność zetknąć się z nim bliżej. Jakżeż on oddany Księdzu Bosko! Przywiązany do niego jak syn do ojca. Bardzo się cieszy, iż Ksiądz Bosko zapisał go między pierwszych swych Pomocników, w której o organizacji pokłada wielkie nadzieje.

W pierwszy dzień rekolekcji dnia 11 czerwca tak Ksiądz Bosko mówił do studentów gimnazjalnych na słówku wieczorny: Cieszę się widząc was i serdecznie pozdrawiam was w Panu. Dziś wieczorem zaczęły się dla was rekolekcje, które głosi stosownie do waszego życzenia teolog Belasio. Myślę, więc, że jesteście z tego bardzo zadowoleni. Pamiętajcie, że to ważne w waszym życiu chwile, gdyż przez te rekolekcje możecie sobie zapewnić niebo. Pragnąłbym, aby większość z was pomyślała w ciągu nich o wyborze stanu na dalsze swe życie. Wielu kończy w tym roku 5 - tą klasę, inni myślą o jej przeskoczeniu: wszyscy ci powinni zastanowić się nad swoim powołaniem.

Pomódlcie się gorąco o poznanie woli Bożej, a na pewno nie będziecie zawiedzeni. Resztę zostawiam księdzu Belasio, który poda wam w tym względzie odpowiednie rady i wskazówki. Niech każdy przy tym porozumie się ze swoim kierownikiem duchowym i niech zastosuje się do jego rad. Starajcie się również zachować skupienie i badajcie się dobrze. Wszystko zależy od należytego wyboru.

O sposobie należytego odprawienia rekolekcji będzie wam mówił kaznodzieja: ja tylko zalecam skrupulatne przestrzeganie milczenia w czasie przepisany, jako to w uczelni, przed Mszą świętą i po modlitwach.

A teraz chcę tu opowiedzieć zdarzenie, które miało swój epilog dzisiaj o godzinie pół do czwartej. Oto syn zamożnej rodziny Callorich, dla nas bardzo życzliwej, uważał się za niezrównanego ujeżdżacza koni i takim był rzeczywiście.

Nawet najbardziej niesforne pod jego ręką stawały się potulne. To też skoro tylko usłyszał o jakimś rumaku nie do okiełzania, zaraz go kupował i nie było wypadku, by go nie poskromił. Ostatnio dowiedział się o źrebaku w Saluzzo, którego nikt nie chciał kupić, gdyż był niesamowicie narowisty. Była to prawdziwa gratka dla naszego berajtera. Zaraz go nabył i rzeczywiście po paru dniach zdawało się, iż rumak jest całkowicie opanowany. Zaprzął go, więc do kolaski, siadł do niej, a chwyciwszy za lejce popędzał wierzchowca do tym szybszego biegu. Działo się to w Saluzzo. Po chwili jazdy koń uderzony z nagłą biczem, rzucił się w bok wyrwijąc lejce z rąk zbyt pewnego siebie ujeżdźacza i popędził na zbity łeb przez pola. Przerażony panicz wyskakuje z kolasy, przy czym łamię nogę i kaleczy się mocno upadłszy na kamienie. Po udzieleniu mu pierwszej pomocy, przywieziono go do szpitala tu do Turynu. Wobec tego, że pojawiła się gangrena trzeba było nogę uciąć. Ale to go nie uratowało. Zbyt dużo czasu stracono na konsulty lekarskie i na przewyciężenie oporu młodzieńca i rodziców. Dziś właśnie po południu dusza jego zaopatrzona świętymi sakramentami, uleciała do Stwórcy.

W tej rodzinie było trzech braci, z których jeden już dawno umarł; drugi - to ten właśnie, o którym mówimy; trzeci żyje, ale jest chorowity. Boleść rodziny trudno da się wypowiedzieć, bo w tym, co dziś zmarł, pokładała wszystkie swoje nadzieje. Jedyłą dla niej pociechą, to budująca śmierć ukochanego syna i nadzieja jego wiecznego zbawienia. Bogata to rodzina, ale cóż pomogą bogactwa w takich okolicznościach. Ta myśl utwierdza mnie w przekonaniu, iż tylko religia zdolna jest przynieść człowiekowi ulgę w utrapieniach i zapewnić duszy spokój. Mówię wam to, dlatego, abyście się nauczyli cenić dobra tej ziemi tyle, na ile zasługują. Jedyne dobre uczynki są prawdziwym bogactwem, bo za nie zdobywa niebo. Dobranoc.

Młodzieńcem tragicznie zmarłym, był hrabicz Emanuel Callori, z którego imieniem często spotykamy się w korespondencji Księdza Bosko z jego matką. Święty był przy jego śmierci i zaopatrzył go na drogę wieczności. Wspomniany ostatni z trzech braci, choć słabego zdrowia, doczekał się sędziwej starości i licznej wzorowo wychowanej rodziny. Od śmierci Emanuela, co roku w bazylice Najświętszej Wspomożycielki ustalono uroczyste nabożeństwo za spokój jego duszy. /Warto tu przypomnieć sen Księdza Bosko, który opowiedział 23 stycznia, przytoczony w rozdziale drugim. Zdaje się, iż Eugeniusz jest owym trzecim zmarłym, pod datą 26 maja, w którym to dniu miało miejsce złamania nogi, a śmierć nastąpiła 15 dni później, czyli 11 czerwca, kiedy to w pierwszy dzień rekolekcji Ksiądz Bosko wypadek opowiadał/.

Rekolekcje gimnazjaliści odprawili bardzo gorliwie. Zalecenia dotyczące powołania, wzięli sobie do serca zachęceni do tego przez księdza Barberisa, który uczył religii w wyższym gimnazjum i na lekcji przed ćwiczeniami duchownymi takie dał swym uczniom wskazówki:

1. W czasie rekolekcji koniecznie zdecydować o swoim powołaniu;

2. Byłoby niedorzecznością szukać porady, u kogo innego poza Księdzem Bosko, który wszystkich zna dobrze i jest kierowany światłem z nieba.

Doprawdy szczęśliwie to były czasy. W rezultacie z piątej i czwartej klasy przeszło czterdziestu zdecydowanie zgłosiło się do Zgromadzenia; dwunastka jeszcze się chwiała.

Także spośród synów Maryi zgłosiło się dwudziestu. Z innych zakładów również spodziewano się znacznej liczby kandydatów tak, iż na przyszły rok przewidywano osiemdziesięciu nowicjuszków. Rzeczywistość przewyższała i te śmiało oczekiwania, jak to jeszcze zobaczymy.

Rozrost Zgromadzenia był, więc widoczny. O sposobie zdobywania nowych powołań i to tak licznych Ksiądz Bosko mawiał: Tak, szukamy ich, ale nie ruszając się nawet z domu. Kandydaci przychodzą do Oratorium, czy innych naszych zakładów bez żadnej zdecydowanej intencji powoli spodoba im się styl naszego życia i decydują się z nami pozostać: nam pozostaje tylko zrobić odpowiedni wybór. Kto daje nadzieję, iż nada się do naszego życia zatrzymujemy go; jeśli nie to odchodzi, dokąd indziej. Nasze Zgromadzenie nie jest przeznaczone jak inne o surowej regule, dla poprawienia obyczajów poszczególnych członków. Nie, ale suponuje się, iż kandydat na salezjanina jest nienaganny obyczajów i żadnego hańbiącego uczynku nie można mu zarzucić.

A oto jeden miły epizod z życia ówczesnych wychowanków Oratorium, uwypuklający, jak oni zapatrywali się na swe powołania.

Jeden z uczniów klasy piątej gimnazjalnej, o temperamencie żywym, ale statecznym, przechadzał się z innymi kolegami w towarzystwie Księdza Bosko pod portykami. Z jego zamyślenia widać było, że ma coś ważnego do powiedzenia swemu Wychowawcy. Ten zauważywszy to, zagadnął go:

Zdaje się, iż masz mi coś do powiedzenia, nie prawda?

Owszem, odgadł Ksiądz.

A cóż takiego chciałabyś mi zwierzyć?

Ech! Tylko nie tak, by inni słyszeli. To mówiąc odciągnął Księdza Bosko i szepnął mu do ucha:

Pragnąłbym zrobić Księdzu na pewno miły mu podarek....

A jakież to będzie podarunek?

Otóż – ciągnął dalej podnosząc się na palcach i czyniąc wymowny gest rękoma – pragnę Księdzu podarować siebie samego, aby Ksiądz mógł ze mną robić, co zechce, zatrzymując mnie na zawsze przy sobie.

Zaiste - odpowiedział Ksiądz Bosko – milszego podarunku nie mógłbyś mi zrobić. Przyjmuję go chętnie oczywiście nie dla siebie, ale by cię ofiarować całemu Panu Bogu.

Tenże sam chłopak w poprzednim roku wbił sobie w głowę, iż ksiądz prefekt chce go odesłać do matki, która jako uboga wdowa nie była w stanie opłacić na czas skromnej pensji miesięcznej za niego. Pobiegł, więc do Księdza Bosko i przedstawił

swe zmartwienie. Ten spojrział na niego znacząco i po chwili pocieszył tymi słowami: Słuchaj, gdyby cię ksiądz prefekt wysłał do domu, to ty wyszedłszy z portierni przejdź przez kościół i wróć tu do mnie. Chłopak uszczęśliwiony, pocałował rękę dobrego Ojca, przyrzekając zastosować się do polecenia. Lecz nie zaszła tego potrzeba.

O tym to chłopcu, którym był późniejszy inspektor sycylijski ksiądz Picollo, pisze w swej kronice ksiądz Barberis, iż nie chciał absolutnie przed nowicjatem jechać do domu rodzinnego na wakacje, obawiając się popełnienia w tym czasie, jakiegoś grzechu. Bał się widocznie swego krewkiego usposobienia, choć musiał go dobrze trzymać w ryzach, skoro jak wynika z rejestrów, na końcu roku szkolnego był pierwszym uczniem w klasie, a zachowania miał „dziesięć”, czyli bardzo dobrze. Z nim to w decydującej chwili o powołaniu tak rozmawiał Święty: Widzisz, mój drogi, masz przed sobą dwie drogi: na jednej chcieliby cię widzieć twoi rodzice i krewni; cieszyliby się gdybyś sobie obrał jakiś zawód w świecie, jak na przykład adwokata; a druga to ta, jaką wskazuje ci Ksiądz Bosko. W świecie mógłbyś może zrobić nie złą karierę i dobrze zarabiać, ale to połączone by było z ryzykiem twego wiecznego zbawienia; z Księdzem Bosko będziesz miał wiele pracy, a później i nie mało do wycierpienia, lecz przy tym zbierzesz sobie bogate zasługi na niebo. Słowa te prorocze były wielką pociechą dla księdza Picollo w ostatnich latach jego życia, kiedy dużo doprawdy przyszło mu cierpieć. Zmarł w 1930 roku w święto Niepokalanej.

Nie brakło mu w swoim czasie i kuszących propozycji. Monsignor Gastaldi, słysząc o nim same pochwały, kazał mu powiedzieć przez teologa Anioła Rho, jego kuzyna, że jeżeli opuści Księdza Bosko, to nie tylko darmo przyjmie go do seminarium diecezjalnego, ale zaopatrzy go i w książki potrzebne i w ubranie. Rezolutny młodzieniec odpowiedział na to, iż z Księdzem Bosko jest mu bardzo dobrze i że nigdy nie zdradzi tego, który do tej chwili go kształcił i wychował z troskliwością kochającego ojca.

Również brat wspomnianego księdza Rho, królewski Prowedytor studiów, po kilku latach, kiedy Picollo był już klerykiem ponowny na niego przypuścił szturm. Mianowicie kazał przez matkę oświadczyć mu, iż jeśli porzuci Księdza Bosko, to otrzyma posadę w szkołach publicznych, a po paru latach katedrę profesorską. Odpowiedź kleryka była zawsze ta sama. Na ten czas Prowedytor odezwał się sarkastycznie do matki: Dobrze, dobrze! Niech się trzyma sukni Księdza Bosko, a na pewno zostanie kardynałem! Pewno, że Księdza Bosko bolały bardzo podobne ataki na kleryków z Oratorium, ale równocześnie cieszyła go wierność jego młodocianych synów.

Skoro już mowa o powołaniach i zabiegach, by takie wzbudzić wśród młodzieży, warto tu wspomnieć o Józefie Mino, który w tym roku kończył piątą klasę gimnazjalną. W ciągu pięcioletniego pobytu w Oratorium nie dał nigdy powodu do żalów, mimo, że jako wybitny śpiewak wzbudzał ogólną sympatię i podziwiany przez wszystkich, zbierał oklaski na różnych występach i imprezach. Młodociane te jego triumfy nie zawróciły mu przecież w głowie. Stale myślał o kapłaństwie. Ksiądz

Bosko po rekolekcjach tak się o nim wyraził do swoich księży: Och, jakbym pragnął, by Mino pozostał, jako kleryk w naszym Zgromadzeniu! Zawsze się nim interesowałem i miałem go na oku. Muszę jednak przyznać, że wiernie odpowiadał moim staraniom i z rad moich korzystał. A teraz, gdy kończy piątą klasę i ma przywdziać suknię klerycką, jakbym pragnął, by pozostał z nami. Ale słaba nadzieja! Za silny jest atak na niego tak ze strony rodziny, jak jego księdza proboszcza, a nawet biskupa... Młodzieniec ten rzeczywiście opuścił Oratorium i wstąpił do seminarium w Biela bez najmniejszej przeszkody ze strony swoich dotychczasowych wychowawców. Wyświęcony na kapłana po paru latach umarł młodo na jakąś gwałtowną chorobę. Jeden zacny proboszcz mawiał, iż zaczął cenić i kochać Księdza Bosko, odkąd poznał swego nowego konfratra księdza Mino, którego postępowanie bardzo dodatnio wyróżniało się wśród innych księży diecezjalnych, co oczywiście wyniósł on z szkoły Świętego.

Zdarzył się w tym czasie jeszcze inny analogiczny wypadek, w którym jednak Ksiądz Bosko postąpił bardziej stanowczo, bo też chłopak mimo silnych oporów ze strony swoich najbliższych, stanowczo postawił sprawę swego powołania salezjańskiego i trzeba było bronić tej jego decyzji, a nie jego wolności krępowanej raczej z zewnątrz. Otóż Jakub Gresino, również z piątej, zdecydował się zostać z Księdzem Bosko. Tymczasem przychodzi stryj, żądając wydania dokumentów, potrzebnych przy zapisie do seminarium. Biedny chłopiec! Wszak i ojciec jego stanowczo sprzeciwiał się, by syn miał zostać w Oratorium, grożąc mu, iż się go wyrzeknie w takim wypadku. Nie mniejszy też był nacisk ze strony proboszcza i innego jeszcze kapłana turyńskiego, który mu walnie pomagał w czasie studiów. Na domiar tego wszystkiego także starsza siostra Jakuba, bardzo szanowana w swej miejscowości, napełniała dom lamentami na samą wzmiankę, że jej brat ma zostać salezjaninem.

Ksiądz Bosko odpowiedział, więc stryjowi, że nie może wydać żądanych papierów, gdyż jest w porozumieniu z chłopcem, który mu oświadczył, że nie ma zamiaru występować do seminarium, lecz pozostanie w Oratorium. Ale gdyby sam bratanek przyszedł i zadeklarował o zmianie swego postanowienia, wtedy z wydaniem dokumentów nie będzie trudności. Stryj ponawiał swe natarczywe żądania, ale Ksiądz Bosko był nie ustępliwy, powtarzając: Niech tu przyjdzie osobiście pański bratanek, niech oświadczy, iż zmienił swe zamiary, a wtedy bez trudności wystawię potrzebne zaświadczenie.

No i chłopak przyszedł. Nie wytrzymał ataku na swe powołanie... ustąpił! Oświadczył Księdzu Bosko, że idzie do seminarium... i żądane papiery bez trudności otrzymał. Nie mając jeszcze doświadczenia życiowego, pod namowami otoczenia myślącego tylko o korzyściach doczesnych, pozbawieni roztropnego doradcy biedni chłopcy ustępowali wtedy i ustępują dziś. Ale były wypadki i to nie rzadkie, że zwyciężali, nie dawali się obalamucić i wracali do Oratorium. W roku 1876 kilku opłaciło drogo swoje zwycięstwo: jeden na przykład musiał zrzec się na korzyść brata

swej części ze spadku po ojcu; drugiego ojciec się wyrzekł; inny tylko gwałtem mógł wyrzeć się z objęć rozżalonego taty.

Załamaniem się Gresina nie było jednak stałe. Po ukończeniu liceum, żałował bardzo, że tak łatwo ustąpił i postanowił wrócić. Okazja wnet się nadarzyła. Nie był jeszcze bierzmowany, a z końcem sierpnia tego roku, gdy już miał pójść do seminarium, miało być w Oratorium bierzmowanie. Napisał mu o tym Ksiądz Bosko podsuwając myśl, że może z tego skorzystać. Krewni nie mogli mu tego zabronić, bo bez tego sakramentu nie mógł być przyjęty do seminarium diecezjalnego. Przyjechał, więc do Oratorium i... już nie myślał więcej o powrocie do domu. Nie wskórały nic żadne prośby i groźby: przywdział suknię kleryka salezjańskiego i jako dzielny salezjanin pracował długie lata.

Tego rodzaju epizody, w których ujawniało się wielkie przywiązanie chłopców do Księdza Bosko i ich samodzielność w powzięciu decyzji odnośnie do swego powołania nie były rzadkie w Oratorium. Wielu nas – pisze ksiądz Barberis w swej kronice – co możemy to poświadczyć! Potwierdza to również ksiądz Lemoine w swych zapiskach osobistych.

Ale na temat powołań mamy jeszcze coś do powiedzenia. Nie zawsze ojcowskie rady Księdza Bosko znajdowały u chłopców posłuch należyty, mimo że rodzina nie stawiała i przeszkód w tym względzie. Wielu z takich jednak gorzko tego pożałowało. Z tego czasu wymienimy tu tylko trzy przykłady. W roku 1875 Ksiądz Bosko jednemu uczniowi z czwartej gimnazjalnej poradził, aby przeskakując piątą klasę, przywdział bez odwlekania suknię klerycką. Ten jednakowoż uznał za stosowne przerabiać piątą. Ukończył ją wprawdzie, ale wyjechawszy następnie do domu, już więcej o kapłaństwie nie myślał. Drugi, jeden z najlepszych uczniów czwartej, otrzymał podobną radę by nie odkładał swej decyzji, ale też nie usłuchał. Niestety w piątej tak zmienił swe postępowanie na gorsze, iż już w listopadzie myślano poważnie o jego wydaleniu. Innemu starszemu już wiekiem poradzono, aby z klasy regularnej przeszedł do tej tak zwanej klasy „ognia”. Na razie usłuchał. Wkrótce jednak, nabujany przez kolegów, wrócił do klasy regularnej i bardzo źle skończył.

Święty, gdy widział, iż ktoś z jego rad nie bardzo korzysta i szuka sobie innych jeszcze doradców, pozostawiał go w spokoju, przewidując, iż z niego nie będzie miał pociechy.

Nie brakło też wypadków, iż któryś z tych „marnotrawnych synów” po jakimś czasie powracał do Oratorium. Tak było z wychowankiem, który nazywał się Coccero. Po ośmiu latach tułaczki powrócił do Księdza Bosko. Ten, gdy z nim rozmawiał na temat jego powołania, powiedział mu: Ty nie jesteś stworzony do świata - tobie dobrze będzie w Zgromadzeniu. Chłopak nie usłuchał, powołując się na rodziców, którzy życzyli sobie, aby wstąpił do seminarium. Rób, jak chcesz – zakonkludował Święty, ale dobrym kapłanem to tylko w jakimś zakonie zdołasz zostać.... Chłopak przeniósł się do seminarium, gdzie starał się jak mógł, by tylko zadowolić tamtejszych przełożonych. Już doszedł do czwartego roku teologii, gdy pewnego dnia zawołał go

ksiądz rektor i bez ogródek oświadczył mu, iż on się do stanu kapłańskiego nie nadaje. Lekceważony i pomiatany w rodzinie, biedak nie widział wyjścia. Żył tak przez dwa lata zupełnie wytracony równowagi. Wreszcie przypomniał sobie słowa Księdza Bosko, jakie usłyszał na odchodnym. Wrócił wtedy z ufnością do niego i prosił o ponowne przyjęcie, Ksiądz Bosko zdecydował się przyjąć go z powrotem.

Coś podobnego! - Zawołali księży, którym to było opowiadane.

A wiecie, dlaczego? - ciągnął dalej Ksiądz Bosko. Te rzeczy można wytłumaczyć całkiem po prostu. Trafiają się chłopcy dobrzy, usposobienia spokojnego, ale na razie trochę jeszcze naiwni i myślą, że wszyscy są tacy: tymczasem świat, którego nie mieli sposobności poznać, jest chytry i przewrotny. Wśród jego intryg czują się bezradni. Ja widząc takich chłopców, przestrzegam ich życzliwie. Taka przestroga, choć jej zaraz nie usłuchają, to jeszcze po latach zdolna jest naprowadzić ich na dobrą drogę.

Także u rzemieślników rekolekcje przyniosły pożądaný owoc, czego dowodem była znaczna liczba tych, co zgłosili się do nowicjatu na koadiutorów. Święty, któremu leżał na sercu rozwój i tej gałęzi Zgromadzenia, bardzo się tym uradował.

Lecz w życiu Księdza Bosko radości jego stale były utkane kolcami. W tym roku tak jemu, jak i jego najbliższemu dokuczały różne choroby. Po powrocie z Rzymu stale odczuwał jakieś niedyspozycje. Pogorszyła je śmierć syna hrabiego Callori, bo wracając z domu żałoby do Oratorium cały spocony, zaziębił się i już nie mógł stać na nogach. W nocy dostał ataku kolki tak gwałtownego, tak, iż wił się z bóleści. Nie budził jednak nikogo, by nie zakłócać spokoju nocy. Wywiązała się przy tym gorączka z gwałtownymi potami, co osłabiło go do reszty.

Razem z nim zachorowało trzech jego wybitnych współpracowników. Barberis tylko siłą woli trzymał się na nogach i włókł się na lekcje, bo nie było zastępcy; ks. Guidazio, choć odporny fizycznie i bardzo przywiązany do swej piątej klasy, musiał na rozkaz lekarza wziąć urlop, tak był wyczerpany. Wyjechał do Nizza Monferato do „matusi” Oratorium hrabiny Corsi; ale najgorzej było z księdzem Chiala, gorliwym katechetą rzemieślników.

Ten przy swym denerwującym zajęciu tak podupadł na siłach, iż przyszło mu wycofać się ze swej pracy, by jakiś czas mógł odpocząć u swego stryja, proboszcza w Feletto, diecezji ivrejskiej. Ale tu spotkała go bolesna niespodzianka: Nie pozwolono mu odprawiać Mszy świętej. Dekret biskupa Moreno zabraniał celebrowania na terenie tej diecezji księżom, którzy z niej pochodzili, a następnie zamieszkali na stałe gdzie indziej. Wiadomą jest rzeczą, iż ten ordynariusz nie żywił sympatii do Księdza Bosko, ani jego Zgromadzenia. A tak się jeszcze złożyło, iż właśnie w owych miesiącach dwóch księży, braci Cuffia, zdezerterowało z Oratorium, a dalsze ich postępowanie budziło zastrzeżenia w Kurii biskupiej, co spowodowało zarządzenie z jej strony ujęte wprawdzie ogólnikowo, lecz dość wyraźnie wymierzone przeciw kapłanom Księdza Bosko. Ten wszakże kazał wysłać celebret księdzu Chiala, przy czym tak się wyraził: „Jeżeli biskup będzie upierał się przy swym zakazie, to

z przykrością będę zmuszony wrócić się do Rzymu. Nie można suspendować księdza a divinis tylko, dlatego, że należy do jakiegoś Zgromadzenia zakonnego.

Rekolekcje rzemieślników kończyły się 18 czerwca, w którym to dniu cały świat katolicki obchodził 30 - lecie Pontyfikatu Ojca Świętego Piusa IX. Rocznicę tak rzadko, a właściwie jedyną w dziejach Kościoła, uczczono oczywiście jak najokazalej w Świątyni Madonny Księdza Bosko: rano była Komunia św. generalna; o 10 - tej Msza święta śpiewana z doborową muzyką; po południu nieszpory z kazaniem teologa Belasio, który rozentuzjzmował swych młodocianych słuchaczy ideą papieżstwa i rozrzewnił ich, żegnając się z nimi na zakończenie ćwiczeń duchownych.

W czasie swego pobytu w Oratorium wspomniany ksiądz Belasio powziął bardzo szlachetny, choć ryzykowny plan. Oddany całkowicie Księdzu Bosko postanowił spróbować, czyby się nie dało usposobić życzliwiej względem świętego zakonodawcy ordynariusza turyńskiego, z którym pozostawał od dłuższego czasu w przyjaznych stosunkach. Nie wiadomo dokładnie, kiedy przyszło do tej rozmowy między Arcybiskupem a teologiem. W każdym razie w ciągu tej konferencji mógł Ksiądz Belasio łatwo wyczuć, gdzie leży punkt newralgiczny tego nieporozumienia. Monsignore był przekonany, że postępowanie Księdza Bosko uwłacza jego powadze, jako ordynariusza diecezji i obawia się by nie został zepchnięty do roli wykonawcy jego woli, jakby wikary, on, którego Pan Bóg postawił nad swoim Kościołem.

Oczywiście, że przy sposobności w Borgo S. Martino teolog podzielił się swymi wrażeniami z Księdzem Bosko, który bardzo boleśnie odczuł, że się go o podobne rzeczy posądza. Czy możliwe - odezwał się po chwili milczenia z westchnieniem, czy możliwe, by podobne podejrzenia rodziły się wśród osób, mających wyłącznie chwałę Bożą na celu? Ja nie, nie przenigdy niczym bym nie chciał zakłócać spokoju w diecezji, ani zrobić najmniejszej przykrości swemu arcybiskupowi. Ale proszę to jedno wziąć pod uwagę, iż jako Przełożony Generalny Zgromadzenia definitywnie zatwierdzonego, które z dniem każdym coraz piękniej się rozwija, muszę dbać o jego stabilizację i zapewnienie mu niezbędnej autonomii, jaką mają wszystkie zakony. Och drogi księżu Belasio! Gdyby tak można, gdyby się księdzu udało uzgodnić mój stosunek do arcybiskupa, tak jak ja mam uzgodnione i unormowane z innymi ordynariuszami, to bym nigdy nie przestawał za to Bogu dziękować z całego serca. Rozmowę tę z Księdzem Bosko teolog zreferował arcybiskupowi. Niestety nie usłyszał odpowiedzi, jakiej chciałby się od niego spodziewać.

Po rekolekcjach następowały prawie zaraz dwie uroczystości: świętego Alojzego i imieniny Księdza Bosko. Nie zatrzymując się nad tym, co się stale powtarzało w podobnych okolicznościach, przytoczymy tu tylko takie momenty, które nam lepiej zilustrują bezpośrednie relacje Świętego z jego najbliższymi współpracownikami.

Święto Patrona młodzieży przełożeni Oratorium uznali za stosowne przełożyć na 25 czerwca. Ksiądz Bosko jednak temu się sprzeciwił, a to z tego powodu, iż dzień 24 tego miesiąca, świętego Jana obchodzony jest w Turynie, jako świąteczny i nie

było by czasu na spowiedź, która przecież jest rzeczą ważną przed świętem patronalnym. Zaproponowano, więc 29 uroczystość świętych Apostołów. Wykluczone! - zaproponował znowu Ksiądz Bosko. Moim życzeniem jest, aby święto wielkich Ksiąząt Kościoła było obchodzone wyłącznie ku ich czci i to z jak największą okazałością, z odpowiednimi śpiewami i z panegirycznym okolicznościowym. Mamy przecież ich ołtarz w naszym kościele. A potem, jeśli kiedy, to w obecnych czasach ta uroczystość ma nabrać szczególniejszego charakteru: ma pokreślić godność Stolicy Apostolskiej, ma bardziej przywiązać wiernych do Namiestnika Chrystusowego, Następcy św. Piotra... Ostatecznie ustalono święto patronalne na pierwszą niedzielę lipca.

Przy tej sposobności dobry Ojciec takie dał swoim pouczenie. Nie podoba mi się, gdy decydujecie i ustalacie różne sprawy według swego widzimisię bez porozumienia się ze mną. Natomiast byłbym bardzo zadowolony i tak będzie najlepiej, jeśli to, co jest do przeprowadzenia, rozważcie sami pomiędzy sobą, a przed ostateczną decyzją przyjdźcie do mnie mówiąc: Uważamy, że byłoby dobrze zrobić to, czy owo; tak i tak; a środki do tego byłyby takie, a takie. Wtedy, ponieważ nic jeszcze nie zostało ostatecznie zadecydowane, można będzie zmienić coś w razie potrzeby bez żadnego zamieszania, choć zwykle pomysły wasze nie budzą większych zastrzeżeń. W ten sposób moje zadanie jest wielce ułatwione, bo redukuje się tylko do ogólnego dozoru, podczas gdy obmyślanie szczegółowych programów czy planów męczy.

Przy tej rozmowie obecny był wspomniany już teolog Belasio. Ten w pewnej chwili zagadnął Księdza Bosko na temat prorocत्व, jakie od dłuższego czasu krążyły po mieście odnośnie do niedalekich wielkich zdarzeń na świecie. Święty, nie chcąc widocznie rozvodzić się nad bezpodstawną gadaniną ludzką rzekł: Doprawdy od czasu do czasu zdarzają się między naszymi chłopcami dziwne rzeczy. Niektórzy z nich na modlitwie otrzymują nadzwyczajne łaski i później przychodzą do mnie, by mi opowiedzieć, jak rozmawiali z Panem Jezusem Eucharystycznym, czy Ukrzyżowanym, czy z Matką Najświętszą. Również i w tym roku nie brak wśród chłopców podobnych wypadków, a nie sporadyczne. Ksiądz Belasio przekonany, że rozmowa zejdzie na prorocत्व, zapytał, co by takiego ci chłopcy mówili, ale Święty tak ciągnął dalej. Całkiem, o co innego chodzi, nie o prorocत्व. I tak jeden przychodzi i mówi: Księżę Bosko, proszę zwrócić uwagę na tego czy tamtego; to są wilecy drapieżni; dają zgorszenie. Kiedy indziej otrzymuję wskazówki bardzo aktualne dla dobrego prowadzenia domu. Są także kapłani, którzy udzielając Komunii św., widzą, jak kto do niej jest przygotowany. Nie są to rzadkie wypadki.

Na podobny temat rozmawiał później w r. 1877 Ksiądz Bosko z księdzem Józefem Vespignanim wspominając chłopców, co byli godnymi rywalami świętego Dominika Savio. W tymże roku 1877 jak opowiada wspomniany ksiądz Vespignani, przyjechał do Oratorium biskup z Rio de Janeiro, monsignor Piotr Lacerda, by zasięgnąć rady u Świętego w pewnych wątpliwościach, jakie go trapiły. Nie

zadowolony z tego, co usłyszał, poprosił, by mu zawołano pięciu najlepszych chłopców z Oratorium, bo pragnie postawić im kilka pytań. Ksiądz Bosko zgodził się. Za chwilę stanęli przed Ekszelencją z pogodnymi twarzami, pełni szacunku tak dla niego, jak i dla Księdza Bosko, który ośmielił ich następującymi słowami: Ksiądz biskup przyjechał z Ameryki i pragnie dowiedzieć się od was, co myślicie o pewnych sprawach, które wam zaraz przedstawi; mówcie z nim z całą swobodą, jak czynicie ze mną. To rzekłszy wyszedł ze czterema do przedpokoju, pozostawiając jednego z monsignorem. Wszystkim z poszczególna biskup przedłożył tę samą kwestię: a mianowicie ciąży mu na sumieniu odpowiedzialność za zbawienie tylu dusz jego pieczy powierzonych, a dla których nie może więcej zrobić i dla braku gorliwych kapłanów i z powodu przeszkód, jakie stawia szatan i jego satelici. Przeraza go myśl o tylu duszach idących na potępienie. Czy on będzie za to odpowiedzialny przed Bogiem? Czy on sam się zbawi? Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie zrobiły podobne pytania na zaskoczonych nimi malców. Na nalegania jednak zainteresowanego odpowiedzieli z prostotą, że skoro przybył z tak daleka do Księdza Bosko z prośbą o gorliwych kapłanów, najlepszy to znak, że godnie spełnia obowiązki dobrego duszpasterza. Na zakończenie polecił biskup modlitwom chłopców, by mu uprosili u Najświętszej Wspomożycielki i Dominika Savio misjonarzy ze szkoły Księdza Bosko.

Wszyscy mnie rozgrzeszyli z wszelkiej winy – opowiadał w kilka lat później ten zany prałat księdzu Vespignaniemu i obiecali modlić się w intencji misjonarzy.

Ten fakt przypomina nam przepis z Reguły świętego Benedykta, który zaleca, aby w ważniejszych sprawach opat radził się także młodszym mnichów, „gdy często Pan Bóg młodym umysłom podsuwa dojrzałe pomysły”.

Ale wróćmy do codziennego życia Oratorium, w którym panował niepodzielnie duch Księdza Bosko. Raz zeszła rozmowa na temat zdrowia wychowanków i ich hałaśliwych zabaw. Ruch- podkreślił wtedy Święty – jest warunkiem nieodzownym dla zdrowia. Sam się o tym przekonałem na sobie. Jako kleryk i jeszcze, jako młody kapłan, stale słabowałem. Pamiętam, jak w jednym dniu wypadło nam zrobić z księdzem Giacomellim przeszło 50 km. Kiedy indziej z Turynu do Becchi zaszedłem w sześć godzin bez zatrzymywania się, a przecież to dobre 30 km. A także teraz gdy czuję jakąś niedyspozycję, czy ociążałość wybieram się na miasto odwiedzić kogoś chorego, czy załatwić jaką sprawę; przy czym nigdy nie posługuję się żadną dorożką, chyba że mi się specjalnie spieszy, lub bałbym się spóźnienia na czas umówiony. Mam wrażenie, że ogólne obniżenie się stanu zdrowotnego w społeczeństwie wynika ze zbyt dużych wygod w podróżowaniu. Te wszystkie omnibusy, powozy, koleje powodują, iż ludzie prawie stale siedzą i tak ich organizm po prostu mówiąc rdzewieje. Wprost nie ma sposobności przejść się, podczas gdy pięćdziesiąt lat temu przechadzka do Lanzo należała do miłych rozrywek. Wszak na pewno zdrową jest rzeczą wypocić się porządnie, rozruszać mięśnie i krew, czego nigdy nie osiągniemy ani w pociągu, ani w autobusach.

Po rekolekcjach zapanowała w domu podpadająca atmosfera spokoju i pogody ducha. Kronika stwierdza, iż u wielu chłopców przebijała pobożność, mająca w sobie coś nadprzyrodzonego. To podtrzymywało zwłaszcza w klasach wyższych nadzwyczajny, przedegzaminowy zapał do nauki.

Oczywiście nie zapomniano przy tym o imieninach ukochanego Ojca. Ale deszcz popsuł trochę uroczystość. Tylko capstrzyk udało się we wigilię urządzić na podwórzu: resztę programu trzeba było w domu kombinować, jak się dało; pewne imprezy odłożono na 29 czerwca. Byli wychowankowie przyszli ze życzeniami w sam dzień imienin, powitani u wejścia przez kapelę. Solenizant oczekiwał ich w jadalni. Ofiarowano mu w hołdzie gustowne ozdoby na ołtarz Najświętszej Wspomożycielki i tradycyjne bukiety kwiatów tych naturalnych i duchowych. W tym roku zrodziła się myśl, by wspominając tych kolegów, co w poprzednich latach składali życzenia, a obecnie już są we wieczności, odprawić za nich nabożeństwo żałobne. Ta myśl tak spodobała się Księdzu Bosko, który dopatrywał się w niej pięknego przejawu ducha żywej wiary, iż zaraz polecił, by nazajutrz odbyło się to nabożeństwo i to jak najuroczyściej. Projektodawcy ze swej strony zebrali na nie składkę, która wyniosła 20,50 lir - dowód, iż bogactwo nie zawsze chodzi w parze ze szlachetnością serca. Także interniści pamiętali o składce: gimnazjaliści zebrali 107 lir, rzemieślnicy 90. Zakupiono za nie dywany do kościoła.

W owych dniach dnia 28 czerwca tak Ksiądz Bosko mówił na słówku wieczornym: No nareszcie możemy sobie porozmawiać swobodnie. Ale powiecie może: Czyż nie rozmawiamy często i nie spotykamy się ciągu dnia? Owszem, tylko to często są rozmowy zdawkowe, a teraz możemy to uczynić swobodnie, no i trochę dłużej.

Najpierw pragnę wam wyrazić swoje zadowolenie z rekolekcji, jakie odprawiliście dość dobrze, zachowując milczenie przepisane i ogólne skupienie. Był z tego także ksiądz Belasio bardzo zadowolony i zbudowany. Mnie największą przyjemność sprawiło to, iż wielu z was poważnie zastanowiło się nad swoją przyszłością i to nie tylko z klas wyższych, ale i niższych i zgłosiło się do Zgromadzenia, chcąc później udać się na misje do Patagonii, czy innych krajów.

I słusznie cały świat do nas należy i na całym świecie ma być głoszona Ewangelia. Dla wszystkich was znajdzie się pole do działania.

A teraz przechodząc do moich imienin, muszę jasno powiedzieć, iż uroczystość ta była: „splendida ed ascura”. Splendida /wspaniała/ bo choć jej część udało się przeprowadzić na otwartym powietrzu; splendida przez cały swój świąteczny aparat, dary i wypowiedzi waszych życzeń. Była i oscura /ciemna/ bo czas był brzydki i trzeba się było przenieść i świętować w mrocznych salach, zamiast na słońcu. Ale bądźcie spokojni: za wszystko jestem wam bardzo wdzięczny; i tym, co przyozdabiali sale, i tym, co grali i śpiewali, i tym, co w imieniu swoim i swych kolegów wyrażali wasze, jak widziałem doprawdy szczere uczucia i życzenia. Również miłym dla mnie podarunkiem były listy tych, co nie mogli osobiście złożyć mi życzeń. Przeglądałem je

wszystkie; na potrzebujące odpowiedzi, odpowiem; ale darujcie mi, że nie na wszystkie, bo by mi to zajęło całe miesiące, a zajęcia moje na to nie pozwalają. Myślę, że będziecie dla mnie wyrozumiali. A teraz jedną dam wspólną odpowiedź, a mianowicie, o cokolwiek prosiliście, bezwzględnie postaram się was zadowolić, by wam tak okazać, jak sobie wasze zwierzeni cenię. Owszem niektóre listy zachowam, by je wykorzystać w przyszłości dla waszego dobra.

Na przyszłą niedzielę będziemy obchodzić święto świętego Alojzego. Tak interniści, jak eksterniści będą mogli zyskać odpust zupełny, przystępując do sakramentów świętych i nawiedzając nasz kościół. Niechże każdy z was postara się skorzystać z tych wielkich skarbów Kościoła świętego, a za wzór swego postępowania niech obierze sobie świętego Alojzego.

Na zakończenie wspomnę jeszcze o bolesnej stracie, jaką poniosło Oratorium przez śmierć księdza Cesare Chiala, tego świętego, nigdy nie strudzonego w pracy kapłana. Nie tracił chwili czasu, każdą minutę poświęcając dla dobra bliźnich. Słabował trochę na piersi, ale zdawało się, iż to nic groźnego. Niestety w ostatnim czasie naraz zaczął opadać z sił. Przynaglony, by trochę odpocząć, udał się w rodzinne strony, ale już było za późno. Trzy dni temu musiał się położyć i wczoraj, kiedy zdawało się, że choroba ustępuje, bo nawet mógł coś zjeść, nad ranem oddał Bogu swą piękną duszę. Pomódlmy się gorąco o spokój dla jego duszy. Niech wszyscy przyjmą w tym celu Komunię świętą i odwiedzą Najświętszy Sakrament. Ubył nam wielki pracownik, lecz ufamy, iż cieszy się już nagrodą wieczną. I nam trzeba pracować, a pracować ochoczo. Oczywiście, że trzeba dbać o swe zdrowie, by lepiej pracować dla Boga i zbawienia dusz, ale też i śmierci nie trzeba się obawiać. Och, nie! Jeśli Bóg ześle na nas śmierć, znak to, iż już dojrzali jesteśmy dla nieba, jak ksiądz Chial.

Zapomniałem jeszcze jedno, a mianowicie opowiedzieć wam sen. Ale już dziewiąta i jest późno: musiałbym go bardzo skrócić. /ogólne wołanie: prosimy opowiadać, opowiadać/. Jest on dosyć skomplikowany, chciałbym wam przedstawić go dokładnie. Odłożmy, więc na jutro. Będzie coś do śmiechu, ale też i trochę strachu, jaki i ja miałem, gdy oglądałem to widzenie. Zresztą to był taki sobie sen i niech go każdy oceni, jak mu się podoba. No, ale to jutro, a teraz – dobranoc!

Uroczystości religijne zwykle w domach salezjańskich kończą się wieczorem akademią, lub przedstawieniem teatralnym. To, co nie mogło odbyć się w dzień imienin Księdza Bosko, odbyło się w uroczystość świętych Apostołów. Akademia była bardzo udana; wystąpili najpierw nowicjusze, następnie gimnazjaliści i rzemieślnicy. Introligatorzy ofiarowali obraz przedstawiający wszystkie dzieła napisane przez ich świętego Dyrektora z podaniem ilości egzemplarzy, jakie już się rozeszły. Znając wagę, jaką on przypisywał dobrej prasie, łatwo sobie wyobrazić, jak mu było miłe podobne zestawienie realizujące już naprzód późniejszą wypowiedź papieską: Coraz więcej, a coraz lepiej!... Między deklamacjami przygrywała kapela. Z przemówienia końcowego Księdza Bosko przechowało się tylko suche streszczenie. Dziękował jeszcze raz wszystkim, którzy przyczynili się w jakikolwiek sposób do

uroczystości, przypisując wyniki dotychczasowej działalności Oratorium dobrej woli wychowanków i wspólnym wysiłkom wszystkich Przełożonych i Współbraci. Dłużej zatrzymał się nad wielkim polem pracy, jakie rozciąga się przed salezjanami tak w Europie jak i za oceanami, gdzie miliony dusz oczekują od nich światła wiary. Gdy kończył zachęcając młodzież, by trwała w swoim powołaniu, gotowa do największych poświęceń dla zbawienia dusz, głos mu zadrgał i nabrał takiej ekspresji, iż wszyscy wzruszeni, ogarnięci zostali jakimś dziwnym entuzjazmem. Odwagi, moi drodzy! Przyszły rok przyniesie ciernie, ale będą i róże! Jeśli wyciśnie łzę, to na pewno i uśmiechnie się do nas!

Ogólne było oczekiwanie opowiadania snu i to nie tylko ze strony samych chłopców. Ksiądz Bosko słowa dotrzymał, ale z opóźnieniem jednego dnia, opowiadając swe widzenie w Uroczystość Bożego Ciała 30 czerwca na słówku wieczornym. I tak rozpoczął:

Jakże ja się cieszę zawsze waszym widokiem. Ileż anielskich twarzyczek teraz patrzy na mnie /ogólna wesołość /. Obawiam się trochę, że sen was przestraszy. Och, gdybym i ja miał tak anielską twarz, jak wasze, to bym was łatwo uspokoił. Powiedziałbym: Patrzcie na mnie i strach by przeszedł. Niestety jestem tylko zlepek błota, jak wy wszyscy. Ale przecie jesteście dziełem Bożym, a wy jesteście, powtórzę za świętym Pawłem, *gaudium meum et corona mea*. Pewno, że i przy odmawianiu koronki niektóre Gloria Patri wychodzą trochę chrapliwie. Ale przejdźmy do snu. Wahalem się, czy sen opowiedzieć, bo może was przestraszyć. Ale ostatecznie pomyślałam sobie: Przecież ojciec nie powinien ukrywać przed synami tego, co wie zwłaszcza, jeśli to leży we wspólnym interesie. Zdecydowałem się, zatem opowiedzieć wszystko w najmniejszych szczegółach. Wy traktujecie to, jako sen, ale jeśli z niego możecie coś dla siebie skorzystać, to skorzystajcie. Otóż wiedźcie, że sny ma się wtedy, kiedy się śpi. /ogólna wesołość/. Wiedźcie też, że sen miałem już dawniej, to jest 15 dni temu, gdy kończyliście rekolekcje. Już dłuższy czas modliłem się, by mi Pan Bóg dał poznać stan dusz moich chłopców, co by należało zrobić jeszcze dla ich dobra i by z ich serc usunąć pewne wady.... Otóż dzięki Bogu rekolekcje poszły dobrze, a przy tym Pan Bóg dał mi tę łaskę, iż mogłem czytać w waszych młodych sercach, jakby, w jakiej książce i to nie tylko, co dotyczy terażniejszości, ale i ich przyszłości, a to z taką wyrazistością, jak jeszcze nigdy dotąd. Coś podobnego nie przeżywałem jeszcze nigdy. Prosiłem również Matkę Najświętszą, aby nam udzieliła tej łaski, by w żadnym naszym sercu nie miał siedziby szatan. Mam wrażenie uzasadnione, że i to zostało mi przyznane. Zajęty takimi myślami położyłem się na spoczynek i prawie zaraz zaczął się sen.

Opowiadanie rozpoczęło się od wyrażenia uczuć głębokiej pokory, a zakończyło się tym razem zwrotem tego rodzaju, iż wyklucza to wszelką wątpliwość co do nadprzyrodzonego pochodzenia tego fenomenu. Sen można by zatytułować: Wiara, naszą tarczą i naszym zwycięstwem /W „Snach Świętego Jana Bosko” ma tytuł: Tarcza Wiary str. 2 /.

Zdawało mi się, iż jestem w Oratorium wśród moich chłopców, będących moją chlubą i moją koroną. Zapadał już wieczorny mrok widoczność zmniejszała się z każdą chwilą. Ja szedłem spod portyków ku odzwierni, otoczony gromadą chłopców wesoło ze mną rozmawiających. I tak żartując, doszliśmy na środek podwórza.

Wtem słyszę jakieś żalosne: aj, aj! potem wielki łoskot zmieszany z krzykami chłopców i z jakimś dzikim wyciem od strony portierni. Chłopcy – gimnazjaliści pobiegli zobaczyć, co to się dzieje, ale wkrótce razem ze rzemieślnikami gwałtownie rzucili się do ucieczki i krzyżąc, biegli jedni ku mnie, inni rozpierzchli się we wszystkie strony po podwórku. Słyszając, że krzyki wzmagają się i to z wyraźnymi akcentami bólu i rozpacz, pytam zaniepokojony, co właściwie tam się dzieje i chcę iść w stronę, skąd hałas dochodzi. Lecz tłoczący się koło mnie chłopcy utrudniali mi drogę. Więc ja do nich:

Ależ pozwólcie mi iść i przekonać się, co jest powodem tych krzyków i jęków...

Nie, nie można! Na miłość Boską, niech Ksiądz tam nie idzie - wołali ostrzegając. Uciekajmy! Cofnijmy się! Tam jest jakiś potwór, gotów nas pożreć. Niech Ksiądz, czym prędzej ucieka! Z nami niech ucieka! Tam straszno się zbliżyć.

Nie zważając na te przestrogi, odsunąłem chłopców kierując się na podwórze rzemieślników przy ostrzegawczych wołaniach: Niech Ksiądz patrzy! O..., o..., o...

Co takiego?

No tam w głębi podwórka. Popatrzyłem we wskazanym mi kierunku i zobaczyłem jakieś monstrum, podobne na pierwszy rzut oka do olbrzymiego lwa, jakiego na ziemi tutaj nie ma. Przypatrzyłem się mu uważnie. Był doprawdy obrzydliwy, a morda jego przypominała pysk niedźwiedzia. Cielsko tego zwierza stosunkowo było szczuplejsze. Ale bary, no i brzuch, były wstrętnie rozrosłe. Olbrzymi był też jego łeb, a paszcza rozwarta wyglądała raczej na czeluść, która pochłonać by mogła za jednym razem całą masę narodu. Sterczały w niej dwa ostre, długachne kły jakoby szpady.

Na ten widok cofnąłem się pomiędzy chłopców, którzy tuląc się do mnie, pytali, co robić. Ale ja również miałem nie mniej strachu i stałem bezradny.

Chętnie bym wam powiedział, co tu robić, ale w tej chwili sam nie wiem co. Schrońmy się na razie pod portyki. Gdy to mówiłem, niedźwiedzisko przez podwórko człapało ciężkim krokiem ku nam pewne zdobyczy. My cofając się przerażeni, stłoczyliśmy się pod ścianą. Oczy wszystkich były zwrócone na mnie.

Księżo Bosko, co mamy robić? - wołali. W milczeniu spoglądałem po chłopcach niezdecydowany. Aż wreszcie mówię głośno...

Zwróćmy się ku statule naszej Madonny i klękajmy /na środku owego podwórza stała figura Niepokalanej/. Klękając zaś módlmy się gorliwiej niż zwykle, aby Ona dała nam poznać, co należy robić, co to jest za potwór i by przysłała nam z pomocą ratując nas w tej groźnej sytuacji. Jeśli to jest jakaś dzika bestia, to przecież wszyscy razem damy sobie z nią radę; jeśli zaś to jest szatan, to nie bójcie się. Nasza Matka Niebieska na pewno pospieszy nam pomocą.

Tymczasem ów niedźwiedź się czaił z wolna, sposobiąc się do skoku, a podszedł już tak blisko, że jednym susem mógł nas dosięgnąć... Wtem stało się coś takiego, czego sam sobie nie umiem wytłumaczyć. Oto naraz przez mur znaleźliśmy się z drugiej jego strony w jadalni kleryków. Wśród teje widniała statua Madonny. Nie umiałbym powiedzieć, czy była podobna do tej na podwórzu, czy do tej, co stoi w jadalni, czy tej, co jest na wieży kościoła. Zresztą mniejsza o to. Otoczona była świętymi i aniołami. Nadzwyczajnym swym światłem, silniejszym od słońca w południe, rozjaśniała całą tę jadalnię powiększoną setki razy, a lśniąca przepychem niebieskim. Było nas w niej rzesza olbrzymia. Na widok Madonny patrzącej na nas, jakby chciała coś przemówić, strach minął, a jego miejsce zajął podziw i zachwyt. Oczy nas wszystkich skierowane były ku Niebieskiej Pani, która tak się łagodnie odezwała: Nie bójcie się! Miejcie wiarę! To jest tylko próba, na jaką was pragnie wystawić mój Boski Syn.

Obserwowałem tych, co w pełni chwały niebieskiej otaczali Najświętszą Panienkę. Poznałem wśród nich księdza Alasonatti, księdza Ruffino, mego brata Józefa i jeszcze innych z naszego Zgromadzenia, którzy są już w wieczności, a byli między nimi, którzy jeszcze żyją.

Ale oto jeden z owego orszaku zawołał: Surgamus – wstańmy. Właściwie wszyscy staliśmy i stąd niejasnym dla nas było, co by owo „surgamus” miało praktycznie oznaczać. Surgamus – powtórzył jeszcze wyraźniej ten sam głos. Chłopcy nie ruszając się patrzyli na mnie, co ja na to. Zwróciwszy się w stronę, skąd ów głos dochodził, pytam: O co właściwie chodzi? Co znaczy owo SURGAMUS, skoro wszyscy stoimy. A głos jeszcze mocniej powtórzył: SURGAMUS. Stałem bezradny nie rozumiejąc wytworzonej sytuacji.

Wtedy inny z orszaku Matki Boskiej skierował się ku mnie, co stałem na stole, by lepiej panować nad chłopcami i zaczął donośnym głosem wobec zasłuchanych chłopców wyjaśnić owo tajemnicze SURGAMUS: Jak to ty, co jesteś Księdzem, nie rozumiesz, co znaczy - surgamus? Przecież ty odprawiasz Mszę świętą, codziennie mówisz: SURSUM CORDA. Czy to znaczy, byśmy dosłownie mieli wstać i iść w górę ze sercami? Czy też nie raczej, że mamy nasze uczucia goręcej skierować do Boga?

Po tych słowach oczywiście zaraz zawołałem do chłopców:

A więc chłopcy wzmocnijmy i ożywmy naszą wiarę, serca skierujmy ku Bogu, wzbudźmy akty miłości i żalu, pomódlmy się z większą gorliwością złożąwszy całą naszą nadzieję w Bogu.

Dałem znak i wszyscy uklękliśmy. Gdy tak modliliśmy się z całą gorliwością ducha, znowu odezwał się głos: SURGITE – wstańcie. W jednej chwili wszyscy byliśmy na nogach i co dziwniejsze, uczuliśmy się uniesieni w górę, nie zdając sobie sprawy, co nas podtrzymuje. Ja opierałem się o parapet okna, chłopcy czepiali się okien, drzwi, to jakiegoś gwoździa czy gzymsu. Wszyscy byliśmy w górze i dziwiłem się, że nie spadamy na dół.

Aż tu naraz ów potwór, którego oglądaliśmy na podwórku pełźnie do naszej sali, a za nim cały legion bestii różnego gatunku. Co jedna to dziksza. Zaczęły one myszkować po jadalni, rycząc przeraźliwie szukając zaczepki. Zdawało się, że lada moment rzucą się na nas. Jednak w pierwszej chwili pozostawiły nas w spokoju. Tylko raz po raz kierowały ku nam swe krwawe ślepie

Patrzyliśmy na nie z góry, a ja trzymając się okna, myślałem sobie: Ładnie bym wyglądał, gdybym tak teraz spadł na dół. Nie pozostałoby po mnie ani strzępka.

W tej dziwnej sytuacji Madonna zaczęła śpiewać słowa świętego Pawła: SUMITE ERGO SCUTUM FIDEI INEXPUGNABILE. Był to cudny śpiew, harmonią swą porywający. Słuchaliśmy go w ekstazie. W przedziwnej symfonii rozbrzmiewały nuty niskie i wysokie, którym towarzyszyły setki głosów, zlewających się w jeden niebiański akord.

A oto do Madonny zaczęły się schodzić przepiękne pacholęta ze skrzydełkami, które każdemu z nas zakładały na serca tarcze.... Tarcze te były wielkie, piękne i błyszczące; mieniły się kolorami światła, jakie wychodziło od Madonny. W środku tarcze te były jakby z żelaza. Około tego skrzyła się otoka z diamentów, a na brzegach tarcz najczystsze złoto. Był to symbol WIARY.

Kiedy już wszyscy byliśmy tak uzbrojeni w otoczeniu Matki Boskiej, rozpoczął się duet precudny. Nie mam słów na wyrażenie jego piękności, tak był przedziwnie melodyjny, melodią niebieską.

Gdy się temu wszystkiemu przypatrywałem wsłuchany w ów precudny śpiew, naraz słyszę donośne wezwanie: AD PUGNAM! W tej chwili dzikie bestie pod nami zaczęły się wściekle rzucać, a my w oka mgnieniu opadliśmy na dół wśród rozjuszonych potwory i tak wmieszani zostaliśmy w walkę z nimi, chronieni tylko ową tarczą Bożą. Czy ta walka toczyła się w jadalni, czy też na podwórzu, nie umiałbym tego powiedzieć a chór niebian nie ustawał śpiewać. Potwory rzucały się wściekle, ziejąc nam w twarz swym wstrętnym oddechem, ciskając na nas kule ołowiane, lance, strzały i co tylko. Ale te albo nas nie dosięgły, albo uderzając o tarcze, odbijały się z powrotem. Mimo to owe bestie nie ustępowały, chcąc nas rozedrzeć lub przynajmniej ranić. Lecz wszystko było daremne. Pociski kruszyły się o tarcze i opadały, nie czyniąc nam żadnej szkody, a jeśli bydlęta chciały nas kasać, łamały sobie na tarczach kły i uciekały skowycząc. Jak fale następowały ataki tych monstrów, ale załamały się jakby bałwany odbite od skały. Długa była to walka.

Aż nareszcie dał się słyszeć głos Najświętszej Dziewicy: HAEC EST VICTORIA VESTRA, QUAE VINCIT MUNDUM FIDES VESTRA. Na ten głos całe stado tych rozjuszonych potworów rzuciło się do bezładnej ucieczki i znikło. My zostaliśmy na placu boju, w owej jadalni niezranieni, wolni i zwycięscy, oblani blaskiem płynącym od Madonny. Rozglądałem się z ulgą, patrząc na tych, co dzierżyli w swym ręku ową zbawczą tarczę. A były ich tysiące. Oczy wszystkich nas nie mogły się oderwać od Madonny, która śpiewała hymn dziękczynny ku naszej

niewymownej radości. Wątpię, czy w Niebie będzie można usłyszeć coś piękniejszego.

Ale ta radość nasza prysła niespodziewanie prędko wobec nowych krzyków i jęków rozdzierających powietrze zmieszanych z piekielnym wyciem... Z nich zorientowałem się, że to nasi pozostający poza ową salą, napadnięci zostali przez potwory, co przed chwilą od nas uciekły. Biegnę, więc ku drzwiom, ale te zatarasowane były chłopcami, którzy na żaden sposób nie chcieli mnie puścić. Gwałtem tylko zdołałem się im wyrwać, krzycząc:

Puście mnie koniecznie, bym ratował napadniętych. Będę ich bronił do ostatka, choćby mi przyszło zginąć z nimi. Muszę zobaczyć, czy są zabici, czy ranni...

Co za straszny widok przedstawił się mym oczom. Całe boisko zasiane było trupami, konającymi i rannymi. Reszta przerażona schroniła się po wszystkich kątach i zakamarkach, ale potwory dopadały ich, rzucały się na nich, a wbijając w nich swoje dwa kły, darły na kawałki. Chłopak jeden po drugim padał, konając wśród strasznych jęków. Największe jednak spustoszenie czynił ów niedźwiedź z dwoma kłami, którymi jakby szpadą przebijał piersi chłopców na wylot, a każda taka rana była śmiertelną.

Wobec tego zacząłem głośno wołać: Odwagi, moje dzieciaczki... Wielu na to wołanie przybiegło ku mnie, a niedźwiedź za nimi. Ale ja na odważnego postąpiłem parę kroków naprzód ku niemu. Chłopcy, co byli w jadalni i już pokonali owe bestie, wyszli na podwórko i stanęli w pogotowiu do boju. Księżę piekiel rzucił się wtedy na nas, ale nie mógł nam szkodzić, gdyż uzbrojeni byliśmy w owe tarcze. Na ich widok przestraszony cofał się nawet jakoby z pewnym uszanowaniem. Wtedy mogłem lepiej przypatrzeć się jego kłom i dojrzałem na nich wyraźny napis: na jednym OTIUM, na drugim GULA. /Lenistwo – dogadzanie żołądkowi /.

Doprawdy zdziwiłem się. Bo jakże – myślałem sobie – w naszym domu, gdzie tyle jest pracy i wszyscy zajęci od rana do wieczora, jeszcze ktoś tu może grzeszyć lenistwem? Przecież i wychowankowie rzetelnie pracują, uczą się w studium i w klasach, a także i na pauzach nie są beczynni... Tego wszystkiego nie umiałem sobie wytłumaczyć.

A oto usłyszałem odpowiedź: A przecież traci się dużo czasu!

Albo obżarstwo, czyli dogadzanie żołądkowi - rozważałem dalej – nawet gdyby ktoś tu chciał zgrzeszyć wprost obżarstwem, nie miałby do tego dużo sposobności. Ani pokarmy, ani napoje nasze wcale nie są wykwintne a co do ilości, to tyle jest, ile zaledwie wystarcza. Jakże, więc mogą tu mieć miejsce nadużycia, które by doprowadziły aż do piekła? I znowu usłyszałem odpowiedź:

O kapłanie, co myślisz, że jesteś głęboko uczony w teologii moralnej i że masz dużo doświadczenia! A ty właściwie nic nie rozumiesz. Czy nie wiesz, że można zgrzeszyć obżarstwem i pijaństwem, pijąc wodę?

Chcąc mieć lepsze wytłumaczenie tego, wróciłem jeszcze do nadal oświetlonej jadalni podszedłem do swego brata prosząc go, by mi wszystko lepiej wyjaśnił. A ten powiedział: Widać, że się na tym bardzo mało rozumiesz. Więc chętnie wytłumaczę.

Otóż obżarstwem można zgrzeszyć, gdy się przy stole więcej je, czy pije niż potrzeba. To samo grzeszy nieumiarkowaniem, kto w spaniu, czy w czym innym dogadza sobie więcej, niż to jest ściśle potrzebne dla zdrowia. Co do lenistwa zaś to wiedz, że przez to słowo rozumie się nie tylko, że ktoś nic nie pracuje, ale jest lenistwem, gdy ktoś w chwili wolnej oddaje się myślom niebezpiecznym, w czasie nauki przeszkadza innym, czy w szkole, czy w uczelni, albo czas traci na lekturę frywolną, względnie rozgląda się bezmyślnie po kolegach. Grzeszy lenistwem, kto w kościele nie modli się, nudząc się na nabożeństwach. Lenistwo takie jest źródłem wszelkiego zła i pokus. Ty, jako dyrektor, masz obowiązek trzymać od chłopców z dala te dwa grzechy ożywiając w nich wiarę. Jeśli otrzymasz od wychowanków, aby byli umartwieni w małych rzeczach, o których wspomniałem, to zwyciężą oni szatana i w cięższych pokusach, a z umiarkowaniem przyjdzie im cnota czystości, pokory i inne. Mając czas zajęty jak należy, nie popadną nigdy w cięższe pokusy i będą żyć i umierać doprawdy świętymi.

Wysłuchawszy tych objaśnień, podziękowałem za to praktyczne pouczenie. Chcąc się zaś upewnić, czy to sen, czy jawa chciałem brata ująć za rękę, ale nic nie ścisnąłem. Próbowałem jeszcze raz i drugi, ale za każdym razem chwyciłem li tylko powietrze. A przecież tak jego, jak wszystkie inne osoby widziałem wyraźnie, rozmawiałem z nimi, jakby z żywymi. Wyprowadzony z równowagi, zawołałem: Ale czyż to wszystko prawda, co ja widzę, czy też nie? Czy to nie są normalne osoby? Czy nie słyszałem ich głosu?

A na to brat: Tyle to już powinieneś wiedzieć. Wszak uczyłeś się; dopóki dusza po śmierci nie złączy się z ciałem, to jej dotknąć nie można, bo duchów czystych nie da się uchwycić. Tylko by śmiertelnicy mogli nas rozeznąć, to przybieramy własną postać, a dopiero przy zmartwychwstaniu na sąd Boży złączymy się na powrót z ciałem nieśmiertelnym i uduchowionym.

Chciałem jeszcze podejść do Madonny, która jakby mnie wołała, ale gdy już byłem blisko, do uszu moich doszedł nowy hałas i krzyki z zewnątrz. Chciałem, więc wybiec z jadalni, ale w tej chwili obudziłem się.

Skończywszy swoje opowiadanie Ksiądz Bosko dodał jeszcze następujące uwagi i zalecenia:

Aczkolwiek sen jest tak powikłany, to jednak wyraźnie powtarzają się w nim powiedzenia św. Pawła, na które warto zwrócić uwagę. Po tym śnie czułem się bardzo wyczerpany i prosiłem Boga, by się więcej nie powtarzał. Ale mimo to następnej nocy wrócił ze zakończeniem, jakiego poprzednio nie widziałem. Tej drugiej nocy tak byłem nim wstrząśnięty, iż krzyczałem i tym swoim krzykiem obudziłem księdza Berto, który na drugi dzień pytał mnie, co się ze mną działo w ciągu nocy. Takie sny wyczerpują mnie bardziej niż gdybym całą noc spędził na czuwaniu i pracy przy biurku. Jak słyszeliście, jest to sen i nie chcę mu przypisywać większej powagi jak tylko tę, na jaką zasługuję. Nie chciałbym też, żebyście o tym pisali do domu, czy gdzie indziej, by ktoś obcy, nie rozumiejąc naszego współżycia nie wygadywał,

że Ksiądz Bosko kieruje swoich chłopców jakimiś snami. Zresztą to mnie mało obchodzi. Mogą mówić, co mu może zrobić dobrze. Na razie nie daję żadnych objaśnień. Tu wszystko jest samo przez się zrozumiałe; ale co wam bardzo polecam, to jest, byście ożywili swoją wiarę, którą się podtrzymuje zwłaszcza przez drobne umartwienia i unikanie próżnowania. Bądźcie wrogami lenistwa, a przyjaciółmi panowania nad sobą. Lecz o tym, kiedy indziej. Tymczasem dobranoc.

Często powtarzające się uroczystości w Oratorium nie tylko, że nie powodowały rozluźnienia karności wśród młodzieży, ale owszem pobudzały ją do pilności, gdyż Przełożeni umieli w swoim czasie i miejscu zwolnić lub przyciągnąć hamulce, a pogodna atmosfera domu przyprawiona pobożnością podtrzymywała karność i budziła entuzjazm.

Nadszedł wreszcie tak upragniony dzień 2 lipca, uroczystość świętego Alojzego, ze swoją tradycyjną uroczystą procesją i z rozdaniem nagród rzemieślnikom po nabożeństwie wieczornym.

Nagrody przyznawane były za trzy rzeczy:

1. Za dobry postęp w naukach;
2. Za wzorowe sprawowanie się;
3. Za pilność w pracy przez cały rok.

Na tę uroczystość zapraszał Ksiądz Bosko zwykle wybitniejsze osobistości. W roku 1876 zagaił ją profesor Lanfranchi, a w 1875 profesor Aleksander Fabre. Wznoszono wtedy dwie estrady: jedną zajmowali muzycy, drugą goście z Księdzem Bosko na czele. Po obu stronach estrad stali w półkołu wychowankowie. Podniosły nastrój tej uroczystości miał przyczynić się do wyrobienia u młodzieży słusznego pojęcia o stosunku zasługi do nagrody.

W owych dniach panowały w Turynie straszne upały. Święty, który z przeżyć codziennych umiał wznosić się do rzeczy wyższych, tak żartobliwie przemawiał na słówku wieczornym 5 lipca:

„Trzeba zwrócić uwagę temu, co rano rozparała w piecach, ażeby mniej dokładała drewna, bo inaczej to się wszyscy roztopimy. A może niektórzy z was, znane zmarzluchy, mimo wszystko będą jeszcze potrzebować koca lub kołdry. Niechże na czas powiedzą, to im się postaramy /ogólna wesołość/. My kochani chłopcy, przyjmujemy wszystko z ręki Bożej: zimno, upał czy inne przykrości nieodłączne od życia na tym łąz padole. Bo znosząc spokojnie wszystkie kaprysy aury i za to zyskujemy sobie zasługi na niebo...

Troska Księdza Bosko o dobro jak największej ilości młodzieży przyjmowała różne formy. I tak, kiedy młodzież zakładów jego turyńskich rozjeżdżała się na wakacje, przyjmował on do nich na czas wakacji młodzież lokalną na pewnego rodzaju kursy uzupełniające. W roku 1876 liczba tych wakacyjnych kursantów przekroczyła sześć setek. W tak wielkim mieście jak Turyn, było to naprawdę opatrnościowe dla tych rodzin, które przecież nie mogły trzymać dzieci zamknięte w domu, a równocześnie nie chciały je puścić samopas na ulicę. Prócz korzyści

umysłowej chłopcy ci odnosili z pobytu w Oratorium nie mniejszą korzyść moralną. Większość z nich zapytana: „Kiedy byłeś ostatni raz do spowiedzi?” – odpowiadała: na Wielkanoc. Gdyby, więc nie uczęszczali do owych kursów, to na pewno następna ich spowiedź byłaby dopiero na wiosnę przyszłego roku; a tak mieli sposobność częstszego przystępowania do sakramentów świętych, a ci, co nie byli bierzmowani, otrzymali odpowiednie do tego czcigodnego sakramentu przygotowanie. Pewno, że parotygodniowy pobyt w zakładach salezjańskich wszystkich nie nawrócił, ale na pewno dla wielu był początkiem lepszego zainteresowania się sprawami swej duszy i bliższego zetknięcia się z księżmi. Magistrat przez parę lat udzielał zapomogi na te kursy. W roku jednak 1876 wszelkie nalegania Księdza Bosko o pomoc zostały bez odpowiedzi.

Wówczas święty Wychowawca zdecydował się osobiście pójść do burmistrza i oświadczyć mu, co następuje:

My obywatele, panie burmistrzu, robimy, co można dla dobra miasta. Ale wydatki na ten cel przewyższają możliwości prywatnego obywatela. W każdym razie przy pomocy choćby szczupłej, jaką mi dotąd panowie świadczyli, gotów jestem i nadal podjąć się opieki nad znaczną częścią młodzieży w czasie wakacji. W tym roku jednak mimo nalegań tej pomocy nie mogę się doczekać.

Widać było, że burmistrz czuł się zaskoczony tymi słowy i nie wiedział, co w pierwszej chwili odpowiedzieć. Kiedy jednak Ksiądz Bosko nalegał o odpowiedź, skierował go stropiony opiekun miasta do hrabiego Riccardi, referenta do podobnych spraw.

Ja mam się udać do niego w imieniu pana burmistrza, tak?

Owszem, w moim imieniu. To jego rzecz załatwiać podobne sprawy.

Czy nie zechciałby, zatem pan posłać kogoś ze mną, który by poręczył, że jestem skierowany urzędowo do niego?

A kogo bym miał posłać?

A może być i woźny!

Burmistrz posłał woźnego. Pan referent był właśnie na jakiejś konferencji, ale zawiadomiony przez portiera, że przyszedł Ksiądz Bosko, wyszedł zaraz ze zebrania.

Jestem tu – zaczął bez wstępów Ksiądz Bosko – przysłany przez Burmistrza, co może poświadczyć towarzyszący mi woźny i prosiłbym o wyjaśnienie, czemu mimo moich nalegań, nikt nie przychodzi zwizytować naszych kursów wakacyjnych i czemu nie udziela nam się zwykłej subwencji.

No, bo widzi Ksiądz - bełkotał hrabia, szukając słów – właściwie to teraz zajęty jestem konferencją nie mogę, to znaczy niech Ksiądz przyjdzie innym razem albo może lepiej będzie, że napisze jeszcze.

Przecież już pisałem tyle razy i właśnie przyszedłem po odpowiedź. Nie mam wcale ochoty powracać tu znowu. Zaznaczam, że przychodzę w imieniu Burmistrza po odpowiedź, do udzielenia, której właśnie pan hrabia jest upoważniony.

Ach, ach, w imieniu Burmistrza, lecz to tak zaraz w tej chwili tak stante pede?...

Proszę pana, nie trzeba wiele słów. Ja pragnę tylko dowiedzieć się, dlaczego nie otrzymuję zapomogi; jaki w ogóle jest stosunek magistratu do mnie, ażebym wiedział, jak się do niego ustosunkować, gdyż często wypada mi zwracać się tu z różnymi sprawami. Czyżby dotychczasowe postępowanie władz miasta względem mnie miało być wyrazem braku zaufania do mnie, czy może są jakieś inne przyczyny?

A skoro już Ksiądz chce koniecznie wiedzieć wszystko, to powiem otwarcie. Otóż widzi Ksiądz: Ksiądz jest księdzem katolickim; magistrat w większości swej jest masoński. Ksiądz już teraz rozumie wszystko...

Rozumiem, rozumiem teraz bardzo dobrze i więcej niczego nie chcę. Zresztą o tym już skądinąd wiedziałem. Pragnąłem tylko, by mi to potwierdzono urzędowo. To mi będzie wytyczną w dalszym moim działaniu. Ale dziwi mnie to, że zarząd miejski, będąc w większości złożony z katolików i administrujący pieniędzmi katolickiej ludności, nie odnosi się do katolika przynajmniej na równi, jak traktuje Waldensów, czy Żydów. Skoro daje się subsydia dla tych ostatnich, to nie rozumiem, dlaczego się ich odmawia obywatelowi wyznania katolickiego.

Magistrat turyński nie występował wrogo przeciw Oratorium i tolerował jego funkcjonowanie: ale też nic mu nie przyznawał, czego nie musiał. To zaś, że nie przyszło do otwartej wojny, zawdzięczamy wielkiej roztropności Księdza Bosko. Nie będziemy tu dociekać, czy inni Święci znajdowali się w podobnych, jak on: na pewno jednak zasługuje na podkreślenie jego cierpliwość, spokój i słodycz. Zawsze, co mógł, robił dla dobra miasta, dla młodzieży turyńskiej i bez okazywania urazy uwzględniał rekomendacje ze strony tych tak mało mu zyczliwych panów.

Na Wniebowzięcie Matki Boskiej 40 świeżych urwisów zajmowało w Oratorium miejsce tych z piątej klasy, którzy po egzaminach wyjechali przed innymi na wakacje. Wielkie było wrażenie, jakie zrobiło na nich pierwsze święto ku czci Matki Boskiej, obchodzone uroczyście ze swoimi funkcjami liturgicznymi, śpiewem i muzyką. O jaki to piękny widok – pisze ksiądz Barberis wzruszony w swej kronice – patrzeć na tych chłopców spowiadających się z całą prostotą, przed tym, który tak bardzo interesuje się ich wiecznym zbawieniem.

W tym roku obchodzono uroczyście po raz drugi urodziny Księdza Bosko. Na obiad zaproszono kilku panów z miasta. Między nimi wymieniony jest dentysta dr Sistelli, który gratisowo obsługiwał Oratorium. Szkoda, że nie doszło do nas słówko wieczorne z owego dnia. Wiemy tylko, iż solenizant wyraził swoje uczucia, jakie budziły się w nim na przełomie sześćdziesiątego pierwszego na sześćdziesiąty drugi rok jego życia i wyraził nadzieję, że będzie mógł nadal swoje życie poświęcać dla dobra młodzieży.

Ale i przy tych radosnych przeżyciach nie zabrakło kropli goryczy, oczywiście ze strony Kurii turyńskiej. Od trzech lat Przełożeni Oratorium zabiegali, żeby arcybiskup przyszedł udzielić Sakramentu Bierzmowania wychowankom. Ponowiono prośbę na parę tygodni przed Wniebowzięciem i w pierwszej chwili zdawało się, że wizyta arcybiskupa w Oratorium dojdzie do skutku. Ale nie doszła. Ksiądz Bosko

zaś koniecznie chciał przed wakacjami, by zostali wybierzowani chłopcy, którzy jeszcze tego sakramentu nie otrzymali. Tym bardziej mu na tym zależało, że między nimi było kilku, którzy mieli iść w najbliższym czasie do nowicjatu. Wobec odmowy miejscowego ordynariusza, zwrócił się do arcybiskupa z Vercelli, monsignore Fissore, z prośbą, czy by nie raczył odwiedzić Oratorium. Zaproszony zgodził się. Wobec czego Święty wystosował następujący list do Kurii turyńskiej: Eccellenza Reverendissima! Arcybiskup z Vercelli byłby skłonny udzielić Sakramentu Bierzmowania tutejszym chłopcom w dniu 27 bieżącego miesiąca. Ponieważ już trzy lata upłynęły od czasu, gdy w Oratorium odbyło się Bierzmowanie, dlatego proszę pokornie Waszą Ekscelencję, by raczył zezwolić wymienionemu wyżej arcybiskupowi na spełnienie tej posługi religijnej względem tutejszej młodzieży. Równocześnie niech mi wolno będzie itd.

Na ten list przyszła odpowiedź 15 sierpnia zredagowana przez sekretarza arcybiskupa turyńskiego, ks. Chiuso:

Reverendissimo Signore!

Jego Ekscelencja ks. arcybiskup upoważnił mnie do napisania Waszej Wielbności, że nie sprzeciwia się, by arcybiskup z Vercelli udzielił Bierzmowania wychowankom Oratorium św. Franciszka Salezego. Zauważa jednak przy tym, że byłoby to publicznym aktem należnej deferencji względem arcybiskupa, gdyby mający być Bierzmowani, przyszli do katedry przyjąć ten Sakrament z rąk własnego Pasterza.

Zwracając uwagę na te życzenia mego Najczcigodniejszego Arcybiskupa, mam zaszczyt itd.

Ksiądz Bosko eksternistów wysłał do katedry, ażeby otrzymali Sakrament od swego ordynariusza, ale internistów chciał widzieć bierzmowanych u siebie, gdyż bardzo cieszył się, ilekroć mógł gościć najwyższych dostojników Kościoła i zdawał sobie dobrze sprawę, jak dodatnie wrażenie robiły na wychowanków majestatyczne ceremonie towarzyszące obrzędowi pontyfikalnym. Przykro mu, więc było, że tak opacznie jego najlepsze intencje były interpretowane. W każdym razie bierzmowanie odbyło się w naznaczonym dniu.

W owych czasach zakończenie roku szkolnego w Oratorium urządzało się zwykle we środę w czasie nowenny do Matki Boskiej Siewnej. Ksiądz Bosko umyślnie opóźniał wyjazd chłopców na wakacje, które nazywał żniwem dla diabła, aby tak jak najmniej mieli sposobności do załamania się na tej drodze, na którą wstąpili w Oratorium. Przed ich wyjazdem zaś przez kilka wieczorów z rzędu przestrzegał ich przed niebezpieczeństwami, na jakie mogliby być narażeni w czasie swego pobytu w domu.

Wieczorem dwudziestego trzeciego sierpnia tak do nich mówił: Jesteśmy na progu wakacji jesiennych i dlatego dobrze będzie podać wam kilka wskazówek

pożytecznych dla was na czas pobytu w rodzinie. Zaczę już mówić o tym dzisiaj, by nie być zbyt długim w ostatnim dniu.

Wielu mnie pyta: „Dlaczego to się dzieje, że tylu chłopców, a rzecz można wszyscy w ciągu roku szkolnego tu w Oratorium są dobrzy i pobożni, a potem w krótkim czasie wakacyjnym tracą cały owoc rocznych trudów i stają się nieznośni dla swoich rodziców, a często nawet popadają w grubsze występki?”

Odpowiedź na to jest prosta. Ptasek wyfrunawszy z klatki cieszy się wolnością. To prawda. Lecz gdy się tego najmniej spodziewa, staje się łupem powietrznych drapieżników. Wy jesteście tymi ptaszkami: póki przebywacie w Oratorium wszystko idzie dobrze; ale gdy je opuszczacie, to diabeł już czeka na was, by was doprowadzić do upadku. Dwie są tego przyczyny. Pierwsza to ta, że poza tym miejscem jest więcej podnieć do złego, a mniej środków do oparcia się pokusie. Podnieć do grzechu są towarzysze nieraz przewrotni i występni, okazje niebezpieczne, różne zgorszenia ze strony ludzi zepsutych. Chcąc nie chcąc słyszy się przekleństwa, rozmowy płoche, a często niereligijne i niemoralne. Łatwo spotkać osobę lekko ubraną; stykać się przychodzi z osobami drugiej płci. A przecież i sami rodzice i krewni w swej prostocie będą was zachęcać: jedz; jesz, nie żałuj sobie; napij się; tak dobrego dawno nie piłeś... jak tu można utrzymać się na odpowiednim poziomie wśród tylu niebezpieczeństw! A tym trudniejsze to dla was, chłopcy, którzy tak bardzo podatni jesteście na wzgląd ludzki. Druga przyczyna tych gwałtownych zmian, to jak wspomniałem jest, iż poza Oratorium mniej macie środków do utrzymania się w gorliwości w służbie Bożej. Tu w każdej chwili jest sposobność wyświadczenia się w razie jakiegoś upadku. Tam takiej sposobności nie ma. Tu modlimy się rano i wieczór, jest czytanie duchowne, błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem, sposobność do częstej Komunii św. Tam na ogół tego brak i z tego powodu zaniedbuje się tych praktyk, a powoli i pacierza i nic dziwnego, że słabnie opór szatanowi.

Jakie więc z tego wnioski? Kto chce zatrzymać się w Oratorium, to może spokojnie pozostać i przepędzić tutaj wakacje. Nie mam nic przeciw, żeby ci, co chcą pojechać do domu, odpoczęli sobie tam trochę. Ale na wszystkie świętości unikajcie wszelkich okazji do złego i nie zaniedbujcie tych praktyk pobożnych, które praktykowaliście w Oratorium. Nie zapominajcie o pacierzu rano i wieczór, uczęszczajcie możliwie na Mszę świętą codziennie a co jeszcze lepiej będzie, posłużcie do niej. Nikt wam też nie przeszkodzi przeczytać, co rano kilka stron książki duchownej, czy odwiedzić Najświętszy Sakrament. Przystąpcie do Spowiedzi, co tydzień, a już przynajmniej, co piętnaście dni. Tak postępując na pewno wakacje wam nie zaszkodzą.

Jeszcze jedno chciałbym wam polecić, a mianowicie trzymajcie się stale w pewnej rezerwie, czyli przebywajcie raczej w domu z waszymi rodzicami. Nie chciejcie wszystkiego widzieć i wszędzie być. Nie uczęszczajcie na festyny i inne zbiegowiska światowe. Z takimi postanowieniami wyjeżdżając na wakacje, wróćcie z nich zadowoleni i ze spokojnym sumieniem.

Następnego dnia tak dalej ten wielki Przyjaciel młodzieży mówił: Wczoraj zaznaczyłem, że kto chce się zachować dobrym w czasie wakacji, powinien odprawiać te same praktyki religijne, jakie odmawiał w Oratorium. Dalej zaznaczyłem, że trzeba zachować się w pewnej rezerwie. Nie chcę przez to powiedzieć, że cały dzień macie siedzieć gdzieś w kącie za piecem, oczekując, by „same gołąbki przyleciały do gąbki”. Ale chodzi mi o to, byście unikali pewnych osób. Wielu z was spotka się z towarzyszami, z którymi już prowadziliście złe rozmowy lub czyniliście coś nieodpowiedniego. Wdając się z nimi ponownie, na pewno upadniecie. Spotkanie się z takimi, co odważą się w waszej obecności wygadywać na religię, względnie prowadzić sprośne rozmowy. Bez namysłu zostawcie takiego, odejdźcie, a zostanie tym przygwożdżony. Nie będzie to żadną oznaką braku wychowania z waszej strony. Nie! To on jest bez wychowania, bo ośmiela się mówić o tym, co wam sprawia przykrość. Może zarzuci wam hipokryzję, obłudę! Ale wiedźcie, że rzecz ma się wręcz przeciwnie. To on jest hipokrytą; uważa się za chrześcijanina, a po chrześcijańsku nie postępuje. Możecie mu wyraźnie powiedzieć: Ja się imienia chrześcijanina nie chcę zaprzeć i dlatego przykazań Boskich nie będę przestępował.

Prócz pewnych osób trzeba jeszcze unikać i miejsc niebezpiecznych, jak festynów, teatrów, balów. Jest wprost rzeczą niemożliwą, biorąc w nich udział nie ponieść szkody na duszy. Przecież tam stale słyszy się klątwy, wyzwiska, brudne słowa. Widzi się tyle rzeczy, które zdolne są rozbudzić najgorsze namiętności. Niech jeszcze ktoś wypije przy tym parę kieliszków wina, co rozgrzeje jego fantazję, a wtedy katastrofa pewna. Także ja byłem jak wy chłopcem i też znalazłem się niestety w różnych niebezpieczeństwach podobnie jak wy. Wierźcie mojemu doświadczeniu i moim słowom. Szczęściem dla was będzie, jeżeli korzystając z mojego doświadczenia, zachowacie należyłą rezerwę, unikniecie tyłu niebezpieczeństw, utwierdziecie się w dobrym, zanim by was opanowały namiętności. A pamiętajcie, że to jest wielkie szczęście umieć wykorzystać doświadczenia drugich. Uczyć się na własnej skórze, nie należy do przyjemności.

Następne słówko 25 sierpnia, pozostawało w związku z pewnym rozluźnieniem karności, zresztą całkiem naturalnym w przeddzień wyjazdu na wakacje: Chciałbym upomnieć tych, co są już od dłuższego czasu w Oratorium, jak i tych, co dopiero tu przybyli, ażebyście wszyscy dobrze robili znak Krzyża świętego. Niektórzy, bowiem żegnają się, jakby odpędzali muchy; a przecież wszyscy wiecie, że trzeba przy tej świętej czynności prowadzić dłoń wyprostowaną od czoła do piersi, a następnie na ramiona, wymawiając znane dobrze wam słowa ku czci Trójcy Przenajświętszej. Także słowa modlitw porannych dobitnie i jednym tonem. Tego wieczoru nie będę was dłużej zatrzymywał. Pomówimy sobie jeszcze w następne dni. Tymczasem dobranoc.

Wreszcie 31 sierpnia odbyło się uroczyste rozdanie nagród gimnazjalistom. Po raz pierwszy w tym roku muzycy otrzymali nagrody specjalne. Na tej uroczystości dłuższą przemowę miał ks. Dalmazzo z Valsalice. W tymże dniu odbyło się również

ćwiczenie dobrej śmierci, czyli w praktyce spowiedź i Komunia św. generalna, która miała być jakby wiatykiem na drodze wakacyjnej.

Nie będzie to kazanie – mówił – ale raczej kilka norm, które chciałbym by kierowały waszym postępowaniem w czasie pobytu poza Oratorium. Nie myślcie, że ja jestem niechętny waszym wakacjom. Wcale nie. Owszem, niech one będą nagrodą za wasze trudy i równocześnie niech wzbudzą nowy zapał do dalszej nauki. Boję się tylko, żeby wam nie przyniosły szkody i dlatego przestrzegam was słowami Pisma świętego: „Unikaj złego a czyń dobrze”. Unikajcie grzechu i strzeżcie swej drogocennej duszy, którą zabieracie ze sobą na wakacje. Gdybyście ją mieli zostawić tutaj pod opieką Księdza Bosko, to byście mogli jechać spokojnie. Ale wy ją zabierzecie ze sobą. Czy będziecie jej strzegli z należytą troską? Będziecie się strzegli, by jej diabeł nie okradł? Zabieracie ze sobą środki skuteczne do jej wzmocnienia. Jednym z takich niech będzie książeczka z upominkami wakacyjnymi, którą wam rozdano, a którą odczytujcie sobie codziennie. Niektórzy może powiedzą, że nie będą mogli codziennie chodzić na Mszę świętą, ani przystępować do sakramentów świętych. Być może, ale koniecznie powinni znaleźć na to czas przynajmniej w niedzielę. Dobrze też będzie wyznaczyć sobie z góry, choć jeden dzień w tygodniu, ażeby pójść do kościoła. Kto miał sumienie niespokojne, niechże nie zwleka ze spowiedzią.

Oczywiście, gdy zapytałbym każdego z was, jak pragnie spędzić wakacje, to na pewno usłyszałbym taką odpowiedź: Niech Ksiądz Bosko będzie spokojny, ja nie dam się tym, co żyją w świecie.

Dobrze, dobrze, zobaczymy – odpowiadam. Bo co się nie zdarza przyszedłszy do domu, łatwo napotkacie kolegę, który dowcipnie będzie opowiadał rzeczy nieprzyzwoite... i na to uśmiechniecie się; na pewno za drugim razem będziecie mu sekundować. Ten pierwszy uśmiech był waszą klęską. Tego właśnie trzeba unikać. Kiedy indziej może wpaść niektórym do rąk książka pornograficzna. I tak najpierw popatrzą na okładkę i może przeczytają kilka linijek... Ale nazajutrz już kilka stron. Wreszcie pod wpływem wzmagającej się ciekawości może i całą noc spędzą zaczytani w tych brudach. Oczywiście nazajutrz już nie zdążą na Mszę świętą, ani też do modlitwy nie będą mieli najmniejszej chęci. Zainteresują go natomiast koledzy w podobnych rzeczach obznajomieni... a resztę dokona wzgląd ludzki. Cóż o takich wakacjach powiemy?

Tacy powrócą do Oratorium, a pierwsze ich pytanie będzie:

Gdzie jest Ksiądz Bosko?

A jest tam – odpowiedzą im.

Niech będzie! – muszę uważać, by mnie nie zobaczył.

A to, dlaczego?

Och, ja już wiem dobrze, dlaczego? Słuchaj no, czy w niedzielę będzie, jakiś spowiednik obcy?

Będzie! Ale, o co chodzi?

Ech, muszę załatwić niektóre sprawy swoje i pomówić z nim na osobności.

A czemu nie idziesz do Księdza Bosko?

Czemu, czemu...?

Na te wszystkie „czemu” łatwa odpowiedź: gdyż nie spędzili tacy dobrze wakacji. Abyście nie mieli podobnych przeżyć, dam wam dobrą radę. Po piętnastu dniach pobytu w domu napiszcie mi. Czy to zrobicie? Pamiętam, iż w zeszłym roku zanotowałem sobie czterdziestu takich, co, do których mało miałem nadziei, by wytrwali w dobrym i poleciłem im właśnie, by mi, co 15 dni napisali coś o trybie swego życia. Rzecz nie do wiary! Ani jeden z tych mi nie napisał. Po ich powrocie, gdy zapytałem ich, czemu nie dotrzymali obietnicy, odpowiedzieli: Nie wszystko z nami było wyraźnie. Baliśmy się.

Co, baliście się? A nie wiedzieliście, że to jest właśnie podstęp szatański? Czart cieszył się z waszego milczenia, z waszej opieszałości w przedsięwzięciu tego, co konieczne do zachowania się w łasce Bożej i mówił jakby do ciebie: Ty nic nie przedsięwierzysz? To będę działał ja. Ty milczysz? To będę ja mówił. I tak zamykał wam usta, ażeby powiększyć wasz wstyd.

A jeszcze jedna ważna uwaga: Niektórzy przyjechawszy do domu, zaledwie pozdrowią swoich najbliższych, usuwają się od nich, jakby nic im nie mieli do powiedzenia. Wygląda to na dziwactwo, a jednak nie rzadko zdarza się coś podobnego. Przecież tutaj uczyliśmy was także dobrego wychowania. Po przywitaniu się, więc w domu należy zainteresować się życiem rodzinnym, pracami w polu, najbliższymi zamiarami rodziców lub przyjaciół. Wówczas oni was zapytają o zdrowie, o promocje, a z was każdemu różną wypadnie dać im odpowiedź: jeden pochwali się nagrodą, jaką otrzymał za pilność; inny nie mogąc tego uczynić, pokaże stopnie świadczące, iż zrobił, co mógł; a inny jeszcze może powie: Walczyłem, lecz zostałem ranny; ale w czasie wakacji będę się leczył z tych ran, by się zablizniły na egzaminie powakacyjnym. Oczywiście taka wasza postawa tylko ucieszy rodziców, którzy przekonają się, że ich trudy i pieniądze nie poszły na darmo. Z podobną grzecznością odnoście się do tych wszystkich, których wam wypadnie odwiedzić. Oddajcie księdzu Proboszczowi list polecający, oświadczenie mu pozdrowienia od Księdza Bosko, który go równocześnie prosi, by podpisał załączoną karteczkę, kiedy będziecie wracać do Oratorium.

Może niektórzy z was obawiają się, że za nimi do domu pójdzie list od przełożonych, by już na przyszły rok nie wracali. Bądźcie spokojni. Przełożeni pragną tylko waszego dobra i podobnego pisma za tymi, co są dobrej woli, nigdy nie poślą. Tego roku jest takich o wiele mniej, to niechże zrobią odpowiednie postanowienie poprawy na przyszły rok i oświadczą to Przełożonym, a na pewno nie zrobi im się krzywdy.

Także o tych, co pozostają w Oratorium, czy to by podreperować się w naukach, czy to by przeskoczyć, jakąś klasę, będziemy pamiętać, żeby im wakacje uprzyjemnić. A teraz wskazówki, co do powrotu. Ci, co mają zdawać jakiś egzamin poprawczy,

niech wrócą 16 października, inni dziewiętnastego. Kładę nacisk, by każdy wrócił na czas, gdyż, jeżeli się spóźni, łatwo może zabraknąć dla niego miejsca.

Gdyby ktoś z bardzo ważnych przyczyn, jak z powodu choroby swojej, czy swoich najbliższych, albo gdyby był zatrzymany na przykład przez księdza proboszcza i nie mógł na czas się stawić, niechże uprzedzi nas o tym pisemnie za poświadczeniem osoby godnej zaufania. Bo gdyby ktoś sam pisał, to łatwo mogłoby powstać podejrzenie, że itd. Jeśli weźmiecie sobie do serca powyższe uwagi, to na pewno wakacje spędzicie dobrze. Polecam zabranie ze sobą książeczki do nabożeństwa i książeczki z upominkami. Mam jeszcze smutną wiadomość do zakomunikowania, a mianowicie, że kleryk Vigliotti jest ciężko chory i zdaje się, że Pan Bóg chce go już zabrać do Siebie do Raju. Poleca się waszym modlitwom. Pomódlmy się wszyscy, ażeby spełniła się wola Boża, tak w jego życiu, jak przy śmierci.

Również wy uważajcie na swoje zdrowie, ale nie tylko ciała, ale i duszy.

Jak już słyszeliście, w październiku nastąpi nowa ekspedycja misjonarzy do Patagonii. Jeśli powrócicie wszyscy, będziecie mogli ponownie uczestniczyć w uroczystości wspaniałej ich pożegnania, która się już raz odbyła. Przygotują oni tam w tych dalekich krajach i dla was miejsce. Pracy tam nie zabraknie. Możecie to powiedzieć także waszym rodzicom, jeśli chcecie. Pozdrówcie ich od Księdza Bosko, który o nich będzie pamiętał we Mszy świętej; niech się i oni w jego intencji pomodlą.

To samo powiedzcie waszym księżom Proboszczom. Z mej strony zawsze o was pamiętam, moi drodzy synowie, we Mszy świętej, abyśmy się znowu mogli pod tą naszą strzechą spotkać. Miłych wakacji.

Z górą 400 wychowanków rozjechało się w kilku godzinach. Notuje kronika: Młodzież rozjechała się w wielkim porządku. Wszystko było naprzód przewidziane: bilety kolejowe zakupione wcześniej, bagaże odstawione na stacje, wczasowicze podzieleni na grupy według kierunków podróży. Tak chłopcy, jak i ich rodzice, cisnęli się do księdza Bosko, by usłyszeć jeszcze słówko do niego, pożegnać go i za wszystko podziękować.

Z chwilą odjazdu chłopców Ksiądz Bosko jakby posmutniał: leżał mu bardzo na sercu los tych, nad którymi przez więcej jak 10 miesięcy z ojcowską iście pieczołowitością pracował.

Z wrażenia, jakie na chłopców robił Święty wychowawca ich, dopóki byli młodzi, nie całkiem zdawali oni sobie sprawę. Uświadomili to sobie dopiero w późniejszych latach życia. I tak ks. Franciszek Picollo, ów znany nam już pełen życia piątklasista, w późniejszych latach, w swoich cierpieniach, przenosząc się myślą do owych szczęśliwych dni młodości, przelewał te swoje wspomnienia na papier. Oto, co pisze o Księdzu Bosko z lat 1875 i 1876:

Osoba Księdza Bosko jawi się zawsze przed oczyma mej duszy, otoczona dziewiczą czystością, której blask przebijał z każdego jej gestu, z każdego słowa. Był to Anioł w ludzkim ciele. Gdy mówił o Niebie, to umiał przedstawić jego piękności, jak nie potrafią tego zwykli ludzie. Gdy zwracał on na nas swe spojrzenie, czynił to

z taką skromnością, iż tylko z trudem mogliśmy dojrzeć jego źrenice. Gdy na nas spoczęła jego ręka (a było to jedynie wtedy, gdy kładł dłonie swoje na naszych głowach, by nam błogosławić), to zdawało się, że owłada nami najczystszy duch miłości cnoty anielskiej. Odnosiliśmy wrażenie, że Ksiądz Bosko stale się modli, jego łączność z Bogiem była ustawiczna. Kto się do niego zbliżał, odczuwał, że zbliżał się do Serafina. Taki był jego wygląd, gdy modlił się na klęczkach; taki, gdy odprawiał Mszę świętą, taki gdy chodził z nami poważny ale serdeczny zarazem, taki gdy od rzeczy najzwyczajniejszych umiał skierować nasze myśli do Boga, a to bez żadnej pozy mentorskiej, ale z całą naturalną prostotą. Nad głową Księdza Bosko można by napisać świetlistymi literami z całą słuszością słowa: *Conversatio nostra in coelis est* – przebywanie nasze jest w niebiosach.

ROZDZIAŁ XIII

SPRAWY FAMILIJNE

Cóż bardziej może interesować rodzinę, jeśli nie ipsa res familiaris? Sprawy ekonomiczne zawsze dawały dużo do myślenia kierownictwu Oratorium. Około połowy sierpnia do tego stopnia zabrakło w domu pieniędzy, że gdy jeden współbrat miał pojechać do Borgo S. Martino, to w kasie centralnej nie było nawet tyle, by mu zapłacić podróż. Koadiutor Pelazza odpowiedzialny za drukarnię, miał 30 tysięcy długu w papierni, a koadiutor Rossi - dostawca, winien był 60 tys. lir we fabryce sukna za podjęte materiały. Oczywiście nie było mowy o dalszych kredytach. To też Rossi nie chciał nawet pokazywać się na oczy wierzycielom, aby nie robić przykrości Księdzu Bosko, nie wspominał mu nawet o tym. Ale pewnego wieczoru sam Święty przerwał to milczenie i mówi strapionemu dostawcy: Tak, mój drogi Rossi, trzeba na serio o tym powiedzieć. Otóż widzisz wszystkie pieniądze, jakie nadejdą w najbliższych dniach, będą dla ciebie. Napisałem już wiele listów w tej sprawie i mam nadzieję, że nie będą bez skutku. Na razie jednak trzeba mieć trochę cierpliwości jeszcze, ponieważ owi panowie wyjechali na wieś i obecnie żadnego z nich nie ma w Turynie.

Z końcem października tak pisał do księdza Cagliari: Nasze finanse są wyczerpane. A w piętnaście dni potem powtarzał:

Ta ekspedycja misjonarzy doprawdy pogrzyżyła nas w długi aż po szyję! Mimo tak ciężkich warunków nie tracił ducha. Bóg jest z nami i pomoże nam – powtarzał, akcentując tak swoją bezgraniczną ufność w Opatrzność Bożą. Oparty na niej nie skąpił wydatków, ilekroć chodziło o powołania. Nie brakło takich, co mu proponowali, by zobowiązał nowych kandydatów do nowicjatu do sprawienia sobie własnym kosztem sutanny, która kosztowała wtedy około dwieście lir. Według nich łożyć na wstępujących kandydatów od samego początku, znaczyło nie dostać od nich i w przyszłości ani jednego solda, ponieważ raz zaopatrzeni przez Oratorium, nie trapiłi się na przyszłość o jego potrzeby.

Ksiądz Bosko dobrze zdawał sobie sprawę z narastających trudności finansowych. Kandydatów do obłóczyn kłeryckich przewidywano osiemdziesięciu, ale też nie uszły jego uwagi przykre następstwa podobnych wymagań. Pierwszym byłaby strata nie mało jednostek, gdyż ci, nie mogąc skłonić rodziny do wypłacenia tak poważnej sumy, cofnęliby się w powołaniu. Drugi szkopuł był charakteru psychologicznego: wielu z pozostałych, widząc trudności rodziców w opłacaniu ich utrzymania, żyłoby w ustawicznym niepokoju ze szkodą dla własnej formacji. To prawda – mówił – że nasze finanse są w opłakanym stanie, lecz jakoś damy sobie radę, a stąd wyniknie wielkie dobro. Jeśli młodzieniec zostanie świętym kapłanem,

czyż przez to nasze trudy nie będą sownie wynagrodzone? Mamy tu w Oratorium chłopców, za których płacą dominikanie, jezuita, oblaci itd. a to tylko w nadziei, że ci młodzieńcy wstąpią do ich zakonu. A przecież tyłu z nich nie wstępuje potem; a niektórzy nawet wstąpiwszy tam, po jakimś czasie odchodzą. O ileż bardziej wypada podobnie postąpić nam, których to tak wiele nie kosztuje. Gdyż my prawie nie spostrzegamy się, czy mamy w jadalni jednego „mangiapagnotte” mniej lub więcej.

Inni uważali, że dla polepszenia sytuacji finansowej wypadałoby otworzyć więcej kolegiów (nakłady, gdzie płacą wszyscy pełną pensją), z których można by czerpać dochód. Niemniej jednak kategorycznie sprzeciwiał się temu Święty. Głównie musimy się zajmować młodzieżą ubogą. Owszem przydadzą się i kolegia. Ale gdzie najwięcej budzi się powołań i gdzie najlepsze przynosi owoce nasza działalność, to są oratoria, hospicja, domy dla młodzieży opuszczonej. Co najlepszego możemy zrobić, to zakładać jak największą liczbę takich domów, jak Oratorium w Turynie, hospicjum w Sampierdarena, czy Petronage w Nizza Marittima, dokąd uczęszczają uczniowie tak szkół ogólnokształcących, czy zawodowych całkiem ubodzy, względnie mniej niż średniego stanu; gdzie jest szkoła muzyki wokalne i instrumentalne oraz wszelkiego rodzaju zajęcia, gdzie różne temperamenty mogą się odpowiednio wyżyć i wykazać, do czego się nadają. Jeśli zaczynamy działalność takich właśnie domów, o skromnych wymaganiach, gromadząc chłopców opuszczonych, jesteśmy dobrze widziani przez wszystkich dobrych i złych i nikt nie stawia nam przeszkód. Łatwiej nam będzie prowadzić szkoły bez szczególnych dyplomów i według naszych programów i wychowywać młodzież dobrze uformowaną i przywiązaną do nas.

Ludzie przewrotni zaś, jeśli nie będą nas popierać, to w każdym razie na pewno nie będą nam przeszkadzać.

Były to miesiące gorączkowych przygotowań do wyjazdu misjonarzy. Z ubrań w Oratorium było tyle, ile było, to znaczy, ilość ledwie wystarczająca. A przecież na nowych placówkach nie wypadało, by współbracia wyglądali nędznie i byli lichy odziani. Prawdę mówiąc garderoba i inne rzeczy napływały nieźle do Oratorium, przysyłane przez dobroczynne osoby. Zdarzało się jednak nie raz, że gdy nadszedł komplet dla jednego, to trzeba było rozdzielić go między dwóch i tak niedostatek pokrywało się niedostatkiem. Deo gratias! – woła nasz kronikarz, opisując ten stan rzeczy.

Mimo tych wszystkich braków nie zaniechano prowadzenia robót murarskich, które choć niewidoczne, zawsze były kosztowne. Na pierwszym podwórzu Oratorium połączono filary portyku i tak powstała ładna, obszerna sala. Budowle te podniesiono następnie o dwa piętra. Przed pokojami Księdza Bosko, który na to zgodził się tylko na usilne nalegania swych synów, wybudowano balkon podłużny nakryty daszkiem. Cała ta ściana porośnięta była winną latoroślą, sięgającą aż do okien Świętego, z której tenże zwykł był jesienią wyborniejsze winogrona rozsyłać w dowód wdzięczności swym dobrodziejom, a czasem raczył nimi także starszych wychowanków z czwartej i piątej klasy.

Odnosnie do ekonomii Ksiądz Bosko miał za normę powiedzenie świętego Tomasza: „Neque largius neque parcius” – ani rozrzutnie ani skąpo. Stąd nie uważał za konieczne bielenie domu każdego roku, a 31 maja, mówiąc na ten temat z Przełożonymi, tak się wyraził:

Trzeba żebyście zgodnie pomagali mi. Pamiętajcie i powtarzajcie to wszystkim, że dzień, w którym nie ma murarza w domu, jest dniem złotym. Będę ja musiał się w te rzeczy osobiście wmieszać i nie pozwolę bez porozumienia się ze mną rozpocząć żadnej roboty, choćby najdrobniejszej.

Kiedy jednak uznał coś za potrzebne, wtedy odnosił się do tego doprawdy z gestem. Jako maksymę dla swoich powtarzał: Nie obawiam się, by Opatrzność nie przyszła nam z pomocą, kiedy przyjmiemy nawet ponadprogramową liczbę chłopców ubogich bezpłatnie lub kiedy organizujemy to, co wyjdzie na korzyść bliźnich; lecz obawiam się, że może nam jej zabraknąć, kiedy będziemy szastać pieniędzmi na rzeczy zbyteczne lub co gorsza luksusowe.

Rei familiaris procurator – czyli administratorem generalnym Oratorium i innych domów – był ks. Michał Rua. Był to człowiek niezwykle pracowitości, o talencie organizacyjnym, całkowicie oddany Księdzu Bosko dla dobra Oratorium i Zgromadzenia. Miał wtedy 39 lat, z których blisko trzydzieści przeżył przy boku Świętego. Rzadko, kiedy w historii spotyka się podobne dwie osoby, które doprawdy dosłownie stanowiłyby jedno serce i jedną duszę. Tak doskonała była zawsze zgodność ich myśli, poglądów i celów działania.

Zachowanie się księdza Rua względem Księdza Bosko, jakie po raz pierwszy zaobserwował on wieczorem w listopadzie 1876 roku, pozostało na zawsze niezmienione. Stał on wtedy obok Księdza Bosko siedzącego przy stole, jako ten, który oczekuje zleceń czy porady, gotów na każde skinienie. Jemu oddał wielki Wychowawca list polecający nowo przybyłego do zreferowania, a następnie zlecił mu, by nim się zaopiekował. Dla Vespignaniego stało się wtedy jasnym, że Ksiądz Bosko we wszystkim działa za pośrednictwem księdza Rua; że tak Oratorium, jak i całe Zgromadzenie pozostawało w bezpośredniej zależności od tego młodego, tak miłego i rozważnego kapłana; wreszcie, że ten nic nie przedsięwbrał, co by nie było w duchu Świętego, w którego imieniu spełniał wszystko, za wyjątkiem spraw przykrych. Te brał zawsze na swoją odpowiedzialność.

Jeszcze inne szczegóły z życia księdza Rua przekazuje nam ksiądz Vespignani. Widział, jak on zawsze w życiu wspólnym punktualnym był na swoim miejscu do tego stopnia, że przerywał rozmowę tak miłą dla niego z Księdzem Bosko, aby zdążyć na wspólne modlitwy wieczorne chłopców i współbraci. Czuwał dyskretnie nad lekturą w jadalni. W tym roku ukończono czytanie Historii Kościoła Rohrbachera. Potrzeba było 9 lat, aby przeczytać te 15 grubych tomów tym bardziej, że czasem wypadało czytać inne doraźne pisma. Od sierpnia zaś do listopada Ksiądz Bosko życzył sobie, by przerwano lekturę dzieł większych, a to z powodu wielkiego ruchu personelu, który nie mógłby iść za wątkiem opowiadania. Lekturę Rohrbachera uważał Ksiądz Bosko za

najodpowiedniejszą do jadalni za wyjątkiem paru stronic, które ze względu na młodszych kleryków i koadiutorów zalecił pominąć.

Wiemy jeszcze od księdza Vespignaniego, iż widywał księdza Rua, jak często z różańcem w ręku, który pobożnie odmawiał, przechadzał się sam poważnym krokiem pod portykami, a w razie potrzeby zwracał uwagę tym, co przekraczali przepisane milczenie lub wałęsali się po domu; wreszcie jak późną już bardzo godziną obchodził wszystkie zabudowania, kończąc swą lustrację w kościele przed Najświętszym Sakramentem. Jako spowiednik zwyczajny w domu spełniał ten obowiązek z wielkim przejęciem i gorliwością o chwałę Bożą i zbawienie dusz. Upominając penitenta przybliżał wargi do jego uszu, chcąc jakby tknąć w niego stosowne dla niego przestrogi zachęty.

Do obowiązków księdza Rua należało jeszcze upominanie i wydawanie rozporządzeń. Wszystko, więc bacznie obserwował, ale tak dyskretnie i z taktem, iż nikomu nie przychodziło na myśl, że mu nie ufa, albo, że go szpieguje. Na karteczkach dostarczonych mu z introligatorni notował sobie w razie potrzeby to nazwisko czyjeś, to jakieś słowo czy znak, a w czasie rekreacji poobiedniej zbliżał się do zainteresowanych, czy wołał ich do siebie i upominał, czy pouczał zupełnie w stylu Księdza Bosko, jak na przykład: Czy chciałbyś mi zrobić tę przyjemność?... Czy nie poszedłbyś tam i tam?... A jak ci idzie nauka?... Jakie napotykasz trudności na swoim urzędzie?... A może pomówimy o tym i o tym?... Rozmowa kończyła się również w tym samym stylu: Nie trać odwagi!... Bądź wesół a zawsze będziemy przyjaciółmi. Budziła podziw ta jego zapobiegliwość, a nawet pragnienie, by dostać się na jedną z tych karteczek, bo taka rozmówka z nim była prawdziwą przyjemnością, wpływała bardzo korzystnie na wezwanego, budziła entuzjazm do pracy i do wiernego spełniania swych obowiązków.

Do pomocy miał kilku sekretarzy, którym nie tylko rozdawał sprawy do załatwienia, ale badał ich zainteresowania i zdolności i wedle nich przygotowywał do późniejszych urzędów administracyjnych zaprawiając ich do pracy biurowej. Pod jego okiem mieli sposobność zaznajomić się z całą księgowością Oratorium, a więc z księgą stypendiów mszalnych i innych ofiar kościelnych, z księgą pensji, z księgą kasową: główną, inwentaryjną, z całą buchalterią poszczególnych pracowni, księgarni, zakrystii, magazynów, kuchni itd., itd. Z niewzruszoną cierpliwością pouczał coraz to nowych swych współpracowników jak zapisywać, jak przyjmować zamówienia, jak uzgadniać, jak zestawiać budżet, obliczać remanent i tym podobne, uświadamiając im przy tym ważność skrupulatności i dokładności w prowadzeniu rejestrów domowych.

Jemu też przypadło załatwianie większej części korespondencji. Przeczytawszy list, notował na nim swe wytyczne do jego załatwienia i oddawał sekretarzom do zredagowania. Niektóre listy przychodziły już z uwagami Księdza Bosko, który sprawy mniej ważne zostawiał jednak do decyzji swego Zastępcy. Do takich należały ulgi w opłatach, przyjęcia nowych kandydatów, podziękowania za drobniejsze ofiary i tym podobne. Mogę z całą odpowiedzialnością zaświadczyć – pisze ksiądz

Vespignani, który od pierwszych dni swego pobytu w Oratorium został zaliczony do sekretarzy księdza Rua – mogę zaświadczyć, iż pokój i biuro księdza Rua było dla mnie punktem wygodnym, z którego mogłem dokładnie obserwować charakterystyczne tętno życia Zgromadzenia Salezjańskiego.

Księdzu Rua powierzona została także troska o formację umysłową i moralną kleryków zbliżających się do kapłaństwa. Dla nich miał, co tydzień lekcje na temat Nowego Testamentu. On czuwał nad początkującymi nauczycielami; kapłanom zwracał uwagę na dokładne przestrzeganie rubryk mszalnych. Wzorem był zachowania zakonnego ubóstwa. Przy całej jego oszczędności posuniętej, rzecz można by, do ostatnich granic, nawet, co do małego skrawka papieru, czy innych materii, nie robiło to wrażenia jakiegoś niewłaściwego sknerstwa.

Ksiądz Vespignani, z którego zapisków większość tych wiadomości czerpiemy, otrzymał swego czasu dwie porządne nauczki od księdza Rua, świadczące, z jaką ten czią odnosił się do naszego świętego Ojca. Otóż swego czasu prosił o przyjęcie do naszego Zgromadzenia jeden starszy kapłan, z tej samej miejscowości, co pochodził Vespignani. Jemu właśnie odpowiedź gotową wręczył Ksiądz Bosko, by ją wysłał razem ze swoim listem. Ten wróciwszy do księdza Rua, ostrzegł go, iż ów kapłan przy całej swej zacności jest scherlałym suchotnikiem i dlatego wypadałoby list zatrzymać informując Księdza Bosko o niebezpieczeństwie, jakie groziłoby mieszkańcom Oratorium z chwilą jego przyjęcia. Ksiądz Rua słysząc to spoważniał na raz, a patrząc wzrokiem zdziwionym na mówiącego, odpowiadał:

I ty miałbyś odwagę zatrzymać list Księdza Bosko? Ty śmiałyś sprzeciwić się planom, jakie Bóg i Matka Wspomożycielka mieliby mieć względem tego kapłana, o którym już lekarze zwątpili? Nie wiesz, że Ksiądz Bosko pozostaje stale w kontakcie ścisłym z Madonną? Wobec podobnych natarczywych znaczących pytań Vespignaniemu nie pozostawało nic innego, jak pokornie przeprosić za swą śmiałość i czym prędzej list odnieść na pocztę, co też bezzwłocznie uczynił.

Kiedy indziej pewnego poranka podszedł do niego ksiądz Rua po cichutku, jak było u niego w zwyczaju, a trzymając w ręku plik papieru, odezwał się do niego tajemniczo: Mam tu piękną pracę dla ciebie. Ale najpierw musisz zapewnić sobie łaskę Bożą i wzbudzić szczerzy akt żalu, gdyż kaligrafia Księdza Bosko nie jest tak łatwa do odczytania. Są to regulaminy dla domów - poprawione, uzupełnione i przerobione prawie od nowa. Mają być ostatecznie oddane do druku: przepiszę, więc je, ale ładnie.

Skończywszy przepisywanie, wspomniany sekretarz oddając rzecz gotową, poprosił swego szefa, by pozwolił zatrzymać sobie jedną kartkę z tego oryginału, jako relikwie po Księdzu Bosko. A na to ksiądz Rua trochę oburzony: „Co ty mówisz! Nie wiesz, że najmniejsze pismo Księdza Bosko zachowuje się skrzętnie w archiwach Zgromadzenia? Tym bardziej to, które ma stanowić jakoby kodeks dla Salezjanów!

Młodociany sekretarz zrozumiał niewłaściwość swej prośby, a zarazem miał namacalny dowód, jak jego bezpośredni przełożony szanuje Męża Bożego.

W biurze księdza Rua pobożność i modlitwa uświęcały pracę, którą on ze swymi sekretarzami rozpoczynał id actiones i Ave Maria oraz odczytaniem, jakiejś myśli świętego Franciszka Salezego, a kończył podobnie modlitwą Agimus. Była to prawdziwa szkoła wszelkiej cnoty, katedra istotnej wiedzy i świętości, palestra formacji salezjańskiej. Ksiądz Rua, bowiem czy w biurze, czy poza nim, był mężem we wszystkim doskonałym. Nic, więc dziwnego, że wspomniany tyle razy ksiądz Vespignani, co go obserwował od rana do wieczora, mógł o nim napisać: Z dnia na dzień coraz bardziej podziwiałem u niego punktualność, nie zniechęcającą się wytrwałość, pełnię doskonałości zakonnej, zaparcie samego siebie, połączone z pogodą ducha i słodyczą. Pociągające było jego miłe podejście i takt, z jakim zaprawiał swych podwładnych do ich obowiązków! Zadziwiająca wnikliwość, z jaką badał ich uzdolnienia, aby ich następnie odpowiednio nastawić i zaprawić do pracy dla dobra Zgromadzenia. Takim był ten „alter ego”, którego sobie Ksiądz Bosko wychował i uformował, a którego Boska Opatrzność przeznaczyła na pierwszego jego następcę.

Dynamiczna aktywność Księdza Bosko i jego wiernego naśladowcy, elektryzowała wprost personel Oratorium, żywo odtwarzający w praktyce ich zachęty i wskazówki. To też w sierpniu, mimo gorąca, jakie wtedy panuje w Turynie, nauczyciele mimo zmęczenia, nie schodzili z katedry. Lekarz wspominał coś o kąpielach; Ksiądz Bosko jednak jakoś na to ucho nie słyszał: owszem, kiedy niektórzy w Varazze, gdzie zakład nasz wznosi się parę kroków od morza, nalegali, aby im zezwolono na to odświeżenie się, usłyszeli od Świętego kategoryczne: NIE! I pracowało się, pracowało się bez wytchnienia. Nic dziwnego, że o takim stylu życia nieraz współbracia rozmawiali ze sobą, aż pewnego razu wyszła dyskusja, czy to prawda, iż ta natężona praca przedwcześnie zapędza salezjanów do grobu. Święty słuchał spokojnie wywodów za i przeciw coś przeszło kwadrans. Wreszcie zabrał głos i wypowiadając się, co myśli na ten temat, nie tylko ogólnikowo na to odpowiedział, ale poparł swoje twierdzenia przykładami z życia ówczesnych zakładów i współbraci. Interesujące te wywody przechował nam na szczęście ksiądz Barberis, który pisze:

Każdy z nas – są to słowa Księdza Bosko – który by umarł od pracy, przyciągnął by stu innych do Zgromadzenia. Tak, jest prawdą i ja cieszę się z tego i z tego jestem dumny: u nas pracuje się dużo! Ale żeby, któryś z naszych księży umarł z nawału pracy, to podobne twierdzenie doprawdy według mnie nie ma podstaw. Owszem pracowali wiele; wartościowi byli to robotnicy we Winnicy Pańskiej; może nawet folgując sobie więcej przedłużyliby życie. Ale wszyscy oni już przed tymi mieli jakąś chorobę, którą lekarze uznali za nieuleczalną. I tak:

Ksiądz Alasonatti chorował na wrzód w gardle: próbował wszelkich środków i lekarstw. Doktorzy łudzili go nadzieją poprawy. W ostatnim roku na mocy posłuszeństwa poleciłem mu, by nie zważając na wydatki, stosował wszelkie możliwe zabiegi: niestety bezskutecznie: wrzód go udusił.

Ksiądz Rufino również był pracownikiem niezmordowanym. Początkiem jednak jego choroby i przyczyną później śmierci było silne przeziębienie. Szedł w deszczu z Turynu do Lanzo i nie zmieniawszy bielizny wsiadł do konfesjonau, spowiadał długo, bo to był Wielki Tydzień: nabawił się kaszlu: zaziębienie przeszło na płuca i umarł.

Ksiądz Croserio – też pracował gorliwie, ale już od młodych lat chorował na serce i to spowodowało jego śmierć.

Ksiądz Chiala otrzymał dymisję od władz państwowych z posady dyrektora z powodu zdrowia, jak wszyscy o tym wiemy. Coś podobnego można by powiedzieć i o innych, co już przenieśli się do wieczności: nie tyle praca intensywna była tego przyczyną, jak raczej nurtujące w nich od dłuższego czasu, jeszcze przed przyjściem do zgromadzenia choroby.

Kogo moglibyśmy nazwać ofiara pracy nad siły to ksiądz Rua: a przecież widzimy, iż Opatrzność Boska utrzymuje go przy niezłym zdrowiu.

Zresztą, niechby i było prawdą, co się rozgłasza: jakaż by to była chluba umierać męczennikiem pracy! Dla takich szczególniejsza jest przygotowana nagroda w niebie, a dla Zgromadzenia na ziemi, któremu Bóg zabierając jednego, zsyła setki innych. Nasze Zgromadzenie nie będzie się zmniejszać, owszem będzie nabierać prężności dopóki w nim będzie się z entuzjazmem pracować i dopóki będzie się zachowywać umiarkowanie. Jestem przekonany, iż, za jakie 50 lat będzie ono liczyć 10.000 członków. No tak!... Ale niestety daje się zauważyć już pewna tendencja do wygod i to mnie przeraża. Kiedy zaczynałem pracę w Oratoriach i zakładałem nasze Zgromadzenie, byłem sam: a jednak zrobiło się tyle! Teraz praca bywa podzielona i rozdrabniana. Pewno, że jej przybyło, a pracownicy są jeszcze na ogół młodzi i muszą myśleć o własnym wykształceniu i przygotowywać się do różnych egzaminów. Ale ta pewna skłonność do wygodnictwa daje się przecież zauważyć! Trzeba by tu jeszcze i dodać, iż póki żyć będą ci, co dłuższy czas współpracowali z Księdzem Bosko, co widzieli początki Zgromadzenia i przeżywali te bohaterskie czasy, to wszystko pójdzie dobrze... Ale potem?... Pan Bóg łaskaw! W nim złożmy nasze nadzieje.

Trzy są rzeczy, które rujnują organizmy zakonne. Pierwsza to ta, co dopiero wspomniana, a mianowicie próżnowanie, ociąganie się do pracy. Trzeba raczej zakreślać sobie program ponad nasze siły, a wtedy może wypełnimy to, co jest naszym ścisłym obowiązkiem!

Drugi szkopuł dla zakonów to wybredność w jedzeniu i picciu, połączona z nieumiarkowaniem. Biada nam, jeśli wejdzie w zwyczaj przechowywanie po pokojach prywatnych różnych likworów, biszkoptów czy słodyczy!... Biada, jeśli przy stole zacznie się wydziwianie i grymasy! Niestety na tej pochyłości już stanęliśmy i to mnie wielce niepokoi. Już słyszy się czasem: Przy stole nie powinno braknąć tego, co potrzebne. Kiedy indziej zaś: Wypada, by przecież znalazło się na nim to czy owo, bo

często mamy gości. I tak krok za krokiem. Najgorzej, gdy chodzi o wino... Po sutym dobrze zakrapianym obiedzie naturalnie, że trzeba odpocząć. Ciało będzie odpoczywać, ale nie fantazja, ani namiętności...

Wreszcie trzecia rzecz, co niweczy zakony, to egoizm, albo lepiej świerzbiczka reformy, czy jeśli kto chce tak nazwać - szemranie. Dla mnie jest to wszystko jedno. Kiedy podwładny patrzy niechętnym okiem na Przełożonego, wtedy zaczynają się utyskiwania, wysuwanie jakichś nowych, nieuchwytnych pomysłów, narzucanie swego zdania. A mówiąc o podwładnych, nie mam na myśli tyle nowicjuszków, czy innych niezaangażowanych w administracji domu, ale niższych przełożonych, odpowiedzialnych za różne działy. Zapamiętajcie sobie, iż jeśli wśród nas zakradnie się niezgoda i powstaną przeciwne sobie obozy, sprawy Zgromadzenia nie pójdą dobrze. Jeśli zaś złączeni będziemy w jedno, zrobimy więcej i lepiej.

To, iż Ksiądz Bosko tak bardzo wymagał od swoich wytężonej pracy, nie znaczy, że nie uznawał potrzeby wytchnienia. W połowie sierpnia 14 kleryków wróciło z Pinerolo, gdzie chlubnie zdali egzamin licealny przed komisją państwową. Napracowali się biedacy przedtem, co niemiara, bo i uczyć się musieli i pomagać w zakładzie. Z tym większą, więc radością przybiegli do swego Ojca, by ucałować mu rękę i pochwalić się tak pozytywnymi wynikami. Znaleźli go w jadalni, gdy kończył swój skromny posiłek. Przywitał ich serdecznie, gratulując tak pięknych stopni i zalecił, by sobie urządzili dłuższe wakacje, dobrze zasłużone, poczynając od Matki Boskiej Zielnej. Do kleryka zaś Rinaldiego Jana, który szczególnie był wyczerpany na siłach, bo chorowity, odezwał się: Teraz, gdy dokonałeś tak herkulesowych wysiłków, widzę, że jesteś przemęczony i na pół chory. Należą ci się wakacje i to takie doprawdy wedle twego gustu. Wybierz sobie, zatem jeden z naszych domów, który ci najlepiej odpowiada, gdzie powietrze najlepiej by ci służyło i tam możesz pojechać od zaraz na odpoczynek. Zostawiam ci zupełną swobodę. Poczciwy kleryk wołał pozostać w Turynie, aby tylko nie oddalać się od Księdza Bosko.

Czego absolutnie nie mógł ścierpieć nasz święty Założyciel było to, gdy klerycy prosili go o pozwolenie na wyjazd do domu rodzinnego. Ale i w tym wypadało postępować roztropnie i powoli. Rozumiał dobrze, iż raz z takimi wakacjami trzeba skończyć; ale wyczuwał niemniej, że bezwzględność mogła, by niejednego załamać w powołaniu. Nowości – mawiał – należy wprowadzać powoli, tak by się zainteresowani prawie o nich nie spostrzegli. Gdy się je już raz zaprowadzi, dla nowo wstępujących będą rzeczą naturalną, nie do dyskusji, a starsi nie będą mieć żalu.

Ze wzrostem liczby zakładów, łatwiej już było zapewnić współbraciom odpowiedni wypoczynek, rozsyłając ich czy w góry, czy nad morze wedle potrzeby każdego. I tak nowicjusze mieli wyjechać na miesiąc do Lanzo. Żeby to zaś był odpoczynek, nie próżnowanie, zarządził Ksiądz Bosko nieco szkoły i inne zajęcia raczej rozrywkowe. W tym względzie z jego polecenia takie daje wytyczne ksiądz Barberis dyrektorowi tamtejszego domu, księdzu Lemoyne:

Molto Reverendo Direttore!

Ksiądz Bosko zalecił mi napisać do Przewielebności Waszej w sprawie wakacji kleryków, co następuje:

1. Ponieważ aby był porządek w domu, musi ktoś rozkazywać, a inni słuchać, dlatego Ksiądz Bosko wyznacza dyrektora tamtejszego kolegium, również na dyrektora przyjeżdżających tam kleryków, by normował ich zajęcia wakacyjne.

2. Bezpośrednio zaś zajmie się nimi ksiądz Profesor Rossi, obowiązany do asystowania ich na każdym miejscu. Ksiądz Bosko uważa, iż obecnie po skończeniu lekcji, będzie to mógł spełnić bez trudności.

3. Żeby zaś, jak to jest pożądané, wypoczynek fizyczny nie był ze szkodą moralną, ale w miarę wzmocniania się ciała, nabierała sił i dusza, należy, by wszyscy wspólnie w przepisany czas odprawiali nasze zwykłe praktyki pobożne.

4. Ażeby zaś każdy czuł się pobudzony do posłuszeństwa i wiernego odprawiania praktyk pobożnych, ksiądz Rossi jest upoważniony codziennie dać każdemu klerykowi notę z zachowania jego i to przesłać Księdzu Bosko.

Niech wszyscy usilnie starają się być „lux mundi” i „sal terrae”. Niechże nie będzie ani chwili w naszym życiu, w której byśmy zapomnieli o tym zleceniu Boskiego Mistrza, danym tak kapłanom, jak i wszystkim do niego dążącym. Owszem starać się należy, by nasze światło jaśniało coraz bardziej, przyświecając tym, co są w domu naszym. Sól zaś nasza niech staje się coraz lepszą zaprawą i niech strzeże od zepsucia tych, co do nas się zbliżają.

Oto, co nasz kochany ojciec Ksiądz Bosko polecił mi napisać wielce czcigodnemu księdzu dyrektorowi, a co bezzwłocznie z wielką przyjemnością spełniłem. Nie ma, bowiem dla mnie większej przyjemności, jak natychmiast wykonywać rozkazy tego, który dla mnie i dla nas wszystkich jest przedstawicielem Boga samego.

Proszę zawsze mieć mnie, księżę dyrektorze, di vostra signoria illustrissima e molto reverenda obligatissimo servo e fratello in Gesu Christo

sacerdote Giulio Berberis.

Turyń, 17.08.1876 r.

Tymczasem nadszedł czas rekolekcji jesiennych, a dla nowicjuszków termin składania próśb o dopuszczenie do ślubów. Aby w tym decydującym momencie służyć radą i pomocą ksiądz Barberis wybrał się do nich do Lanzo, skąd napisał do Przełożonego informując go o stanie rzeczy. Z listu przebijał pewien żal wobec zawodu, jaki mu niektórzy kandydaci zrobili. Na to mu Święty odpowiada następującym bardzo interesującym pismem:

Mio caro Don Barberis!

Zapraszasz mnie razem z księdzem Lemoyne do was na przechadzkę. Niestety sprawy bieżące, a także i stan mego zdrowia, który wymaga pewnych względów,

choćbym ich chętnie się wyrzekł, przynajmniej na razie na to nie pozwalają. Każdy nowicjusz może mi jednak bez żenady napisać, w razie potrzeby przyjechać do Turynu. Ale zdaje mi się, iż trudności większe powinny występować przy zapisaniu się do nowicjatu, niż teraz przed ślubami, których składanie uzależnione jest wyłącznie do wolnej woli każdego indywidualnie.

Dobrze będzie, abyś wyraźnie powiedział zainteresowanym, iż złożenie podania o ślubę do niczego jeszcze nie zobowiązuje i że po rekolekcjach każdy może postąpić, jak będzie ostatecznie uważał. Trzeba się było zastanowić w ciągu roku, jak słusznie większość zrobiła: obecnie nie pozostaje nic innego, jak dać światu kopniaka, powtarzając za świętym Alfonsem:

Nie dla ciebie żyję świecie,
Nie ku tobie tęskni dusza,
Bo przedmiotem mej miłości
Boskie Serce jest Jezusa.
Jego dobroć mnie pociąga,
K' niemu zwracam swe powieki,
Mym największym szczęściem będzie
Boga kochać po wsze wieki.

A teraz opowiem ci sen, przypowieść, czy anegdotkę, jak tam chcesz, która przyśniła mi się w nocy przed uroczystością świętej Anny.

Widziałem pasterza, który napracował się długo, aby wyhodować swe owce, wykarmić je odpowiednio i strzec od niebezpieczeństw. Pracował cały rok i trudił się nie mało. Ku jego wielkiemu zadowoleniu owce chowały się pięknie, dawały dużo mleka a wełna zapowiadała się bujna.

Kiedy nadszedł dzień strzyżenia, pasterz zadowolony zaprosił celem wspólnej radości kilku ze swoich przyjaciół. Z nimi poszedł do owczarni, a ku swemu wielkiemu przerażeniu spostrzegł, że kilku owiec brak. Co się stało? – pyta.

Odpowiedziano mu: Jakiś człowiek przyszedł, zawrócił im głowy, obiecując lepsze pastwiska i poszły za nim. Więcej nie wiemy. Otóż pech – westchnął pasterz. Tyle się natrudził, by mieć wełnę i bryndzę... a wszystko na darmo!

Nie! – odpowiedziały pozostałe owce językiem zrozumiałem. Nie na darmo! My, pozostałe wynagrodzimy ci to, co tamci zabrali, bo gotowe jesteśmy oddać nie tylko wełnę, ale i skórę dla ciebie.

Pasterz bardzo uradowany, obsypał wierne owieczki pieścizkami a te nie dały się już uwieść żadnym wyyskiwaczom.

Piękna nagroda zapewniona temu, kto ten sen wyłoży... Niech nas Bóg wszystkich błogosławi, módlcie się za mnie, który zawsze jestem w Chrystusie Panu waszym najbardziej przywiązanym przyjacielem

Ksiądz Jan Bosko

Nie będzie od rzeczy przytoczyć tu jeden list, którego treść nie wykroczy poza ramy niniejszego rozdziału. Piątoklasista Alojzy Piasco pisze do jednego z Przełożonych, zdaje się księdza Barbeisa, jak wynika z notatek poczynionych na liście, dziękując w nim za uwzględnienie jego prośby, by mógł wakacje spędzić w Lanzo, gdzie powietrze mu lepiej służyło. Skromny ten dokument jakże pięknie świadczy o delikatnych iście rodzinnych uczuciach tego młodzieńca względem przełożonych, a zwłaszcza Księdza Bosko.

Signor Superiore!

Dzięki za wszystko bardzo za tak przychylne i prędkie załatwienie mej prośby, abym mógł jakiś czas spędzić w Lanzo. Ani nie mogłem się tego spodziewać, bo przecież nawet rodzice nie troszczyliby się tyle o swe dzieci, ani tak łatwo nie uwzględniali ich zachcianek. Namacalny to dowód, jak nas Przełożeni kochają. Także tutaj traktują nas /widocznie przejętych było więcej/ ze wszystkimi możliwymi względami tak, iż nic więcej nie możemy sobie życzyć. Ale jakże my się za to odwdzięczymy? Chyba tylko odpowiadając z najlepszą wolą ich staraniom koło nas. Proszę powiedzieć Księdzu Bosko, że ja go kocham i zapewnić go o mojej wdzięczności, gdyż zdaję sobie sprawę, iż tylko jemu mam do zawdzięczenia, iż znajduję się w tak wyśmienitych warunkach, itd...

A oto jeszcze jeden miły epizodzik. Antoni Aime, jedenastoletni uczeń drugiej klasy gimnazjum, był sierotą. Nie mając nikogo z bliskich, chciał pozostać na wakacjach w Oratorium. Ksiądz Bosko nie zapomniał o nim i z Lanzo, gdzie był na rekolekcjach salezjanów, napisał do księdza Berto swego sekretarza, ażeby tego chłopca, z jakimś innym przysłał tam na jakiś czas. Aime przyjechał do Lanzo z Piotrem Furno, który skończył pierwszą klasę. Dwaj ci mali wczasowicze zobaczywszy na miejscu, iż odprawiają się rekolekcje, chcieli również w nich wziąć udział. Lecz kaznodzieja, ks. Dalmazzo sprzeciwił się temu, gdyż to nie były rekolekcje dla chłopców. Poszli, więc uzalić się do Księdza Bosko, który śmiejąc się tak im odpowiedział: No dobrze! Jeżeli ksiądz Dalmazzo nie pozwala wam odprawiać ćwiczeń duchownych, to Ksiądz Bosko urządzi wam ćwiczenia dla ciała. Idźcie do księdza prefekta zakładu i poproście go w moim imieniu, ażeby codziennie rano dał każdemu z was 4 soldy i bułkę. To samo także po obiedzie. I dopóki pozostaniecie tu w Lanzo, śniadanie i podwieczorek pójdziecie jadać w góry, gdzie nie będzie wam trudno kupić sobie świeżego mleka.

Następnie ustalił im porządek dzienny, który był bardzo urozmaicony i odpowiadający obydwu chłopcom, jak świadczy za nich późniejszy ksiądz Aime, który był inspektorem w Hiszpanii i w Ameryce, pozostawiając wszędzie po sobie jak najlepszą pamięć. Również Furno został salezjaninem i był pierwszym dyrektorem zakładu w Trydencie.

Wrzesień i październik to miesiące, kiedy przyjmowano zgłoszenia do nowicjatu. Niewiele zdarzeń ocalałych ze zapomnienia oświetla nam, jak

w poprzednim tak i w obecnym tomie kryteria, którymi kierował się Ksiądz Bosko w przyjmowaniu nowych kandydatów do swej duchowej rodziny.

W owym czasie było w Oratorium trzech uczniów ze szkoły zawodowej, którzy czując pociąg do naszego życia, pragnęli brać udział w rozmyślaniach i konferencjach nowicjusów.

Owszem – powiedział Ksiądz Bosko – ci trzej chłopcy są zrównoważeni i dobrze mi znani. Jestem zadowolony, że biorą udział w praktykach pobożnych odprawianych przez nowicjusów. Nawet chciałbym, żeby więcej chłopców brało w nich udział; wszak są to praktyki, które powinien spełniać każdy dobry chrześcijanin. Wyjątek stanowić mogłyby konferencje, na których zwraca się uwagę na pewne błędy popełniane przez salezjanów.

Nie wspominając o dwóch pierwszych, któż z nas nie zna trzeciego. Był on żywym dowodem niezwykłej skuteczności pracy formacyjnej Księdza Bosko nad nowymi kandydatami. Naturalnie skłonności tego młodzieńca mogły się łatwo przerodzić w ekstrawagancje, czyniąc z niego jednostkę o małej wartości moralnej, podatną na najgorsze wpływy otoczenia. A przecież pod ręką Księdza Bosko opanował on do tego stopnia wady swego temperamentu, iż w ciągu pięćdziesięciu lat działał dla Oratorium święteckiego tak wiele, że trudno w to uwierzyć, a Zgromadzeniu oddał wprost nieocenione usługi. Dla Księdza Bosko gotów był skoczyć choćby w ogień, ale też wielki wychowawca potrafił ocenić jego wierność i miał do niego pełne zaufanie, do tego stopnia, że z całym spokojem pewnego razu wręczył mu otwarcie 30 tysięcy lir, by zapłacił, co było do zapłacenia. Wzruszył ten akt zaufania 30 - letniego Garbellone, który wobec niego nie mógł powstrzymać łez. Wspominał go zawsze ze wzruszeniem.

Między innymi zgłosili się do nowicjatu i dwaj klerycy pochodzący z różnych diecezji. Z oczu patrzyło im dobrze. Zostali, więc przyjęci, ale tylko na zwykłych aspirantów. Ksiądz Bosko był bardzo ostrożny w przyjmowaniu tych, którzy nie uczęszczali do jego szkół i chciał się najpierw upewnić, czy zdołają dopasować się do naszego stylu życia.

Kiedy indziej zgłosił się na koadiutora młodzieniec wprawdzie dość inteligentny, lecz na nieszczęście o szpetnej twarzy. Wobec tego Święty nie uwzględnił jego prośby, a księdzu Barberisowi podsunął słowa, którymi miał zakomunikować mu negatywną odpowiedź. Miała ona być ujęta w ten mniej więcej sposób: Widzisz, mój drogi! Przełożeni życzą ci dobrze i nie mają zamiaru oddalać się z Oratorium. Będą nawet zadowoleni, jeżeli pozostaniesz z nami. Jednak ze względu na osoby obce, nie wypada, byśmy cię przyjęli do Zgromadzenia. W naszych zaś warunkach często wypada wychodzić z domu dla załatwienia różnych interesów a przez twój wygląd Zgromadzenie mogłoby ponieść ujmę. Bądź jednak spokojny a spotkasz się zawsze z należnymi względami. Istotnie całe życie spędził on w Oratorium. Nazywał się Doda.

Trzech księży wiedząc o tym, że Ksiądz Bosko z zasady nie był przeciwny skróceniu okresu próby, chcieli złożyć śluby wieczyste w uroczystość Niepokalanej, po trzech zaledwie miesiącach nowicjatu. Mimo całej ich zacności i ducha zgodnego z naszym, nie zostali jednak przez Kapitułę Wyższą dopuszczeni.

Kanoniści współcześni, co do dyspensy, gdy chodziło o śluby czasowe, nie byli zgodni i choć raczej opowiadali się za pewnym rygoryzmem, to jednak ostateczną decyzję uzależniali od uznania Przełożonego głównego. W naszym wypadku Ksiądz Bosko, mimo swoich specjalnych upoważnień, jakie miał od Piusa IX, zatwierdził decyzję Kapituły.

W napływie kandydatów do Zgromadzenia widoczna była ręka Opatrzności Bożej. W miesiącu listopadzie 23 salezjanów, księży, kleryków i koadiutorów, wyjeżdżało na misje i tylu nowych kandydatów zgłosiło się do Oratorium. A oto jeszcze inny fakt wskazujący, iż Opatrzność wyraźnie popierała działalność Księdza Bosko. Prosi on wtedy Rzym o pewne dyspensy i przywileje doraźne dla Zgromadzenia, które w tej chwili były sprawą piekącą. Otóż 19 listopada rano, kiedy już skończył odpowiedni memoriał do Ojca świętego i miał go nadać na pocztę, wówczas doręczono mu z poczty, w którym właśnie Papież udziela mu tych wszystkich dyspens i przywilejów, o które w memoriale prosił. Ależ to doprawdy opatrnościowe! – zawołał Ksiądz Bosko. Widać, że Ojciec Święty żyje nie w naszej atmosferze, ale tej zaziemskiej.

Sława Zgromadzenia rozszerzała się coraz bardziej tak, że księża, proboszczowie, a nawet monsiniorzy zwracali się albo osobiście lub pisemnie, prosząc o przyjęcie. Lecz Ksiądz Bosko bynajmniej z tym się nie kwapił i zwykł był mawiać: Tacy mając swoją posadę w diecezji, napotkają tysiące przeszkody, by ją opuścić i dlatego nie wierzę, by wielu z nich do nas wstąpiło. Jeżeli zaś ostatecznie zdecydują się i przezwyciężą trudności, to po krótkim pobycie u nas czują się zde gustowani, gdyż ich przyzwyczajenia przeciwne są naszym regułom i tradycjom, od których my nie możemy absolutnie odstąpić. Ich zniechęcenie i nasza nieustępliwość powodują, że bardzo mało ich wytrwa. Jestem zdania, iż oni, jako dobrzy księża mogą wiele zdziałać w pracy duszpasterskiej, zwłaszcza teraz, gdy taki ogólny brak księży. Choć ja nie zamykam drzwi naszych zakładów przed dorosłymi, to przecież bynajmniej nie mam zamiaru za nimi się oglądać.

Jeden z księży, który wstąpił w roku 1876 z Lugo, to późniejszy generalny radca szkolny ks. Józef Vespignani. Zaraz w pierwszej chwili pobytu w Oratorium zorientował się w atmosferze nowego ambientu. Było to już późnym wieczorem. Święty spowiadał coś do 10 - tej bo nazajutrz było ćwiczenie dobrej śmierci i odjazd misjonarzy.

Ksiądz Vespignani zastał go przy wieczerzy w otoczeniu kilku księży swobodnie z nim rozmawiających. Zaproszony, by usiadł po jego prawej stronie, podał mu list polecający od księdza Cerrutiego. Święty podał go księdzu Rua, stojącemu tuż

przy nim. Ten przeczytawszy go, przedstawił nowo przybyłego swemu Przełożonemu, mówiąc: To jest nowy kapłan, który przychodzi tu, aby pozostać z Księdzem Bosko.

No tak, tak! – odzywa się Ksiądz Bosko, patrząc z uśmiechem na świeżego kandydata. Ksiądz tu przychodzi na jakiś czas, może i na rok, aby podglądać jak się to robi po naszych zakładach, a potem powróci do swej miejscowości, by tam coś podobnego zainicjować.

Tymi słowy ksiądz Vespignani został wprost oszołomiony. Wszak, gdy opuszczał Lugo, jego proboszcz, usłyszawszy, dokąd jedzie, dosłownie podsunął mu tę samą myśl. Otrząsnąwszy się z wrażenia, jakie na niego zrobiły słowa Księdza Bosko, żywo temu zaprotestował, zapewniając go, jeśli zostanie przyjęty na zawsze z nim pozostanie. A na to święty: No dobrze, na razie widzimy się przy świetle tej lampy, ale jutro zobaczymy się przy świetle dziennym i porozmawiamy. Ksiądz już jest kapłanem, prawda? Jutro, zatem rano odprawi nam Mszę świętą dla naszych misjonarzy, którzy wyjeżdżają do Argentyny. To rzekłszy pożegnał go na dobranoc i polecił księdzu Rua, by się nim zajął. Ten z wszystkimi atencjami zaprowadził go do pokoju, przysposobił łóżko do spania i wskazując napis na kropielnicze życzył dobrej nocy. Napis brzmiał: Niech Bóg kosztuje, ile chcecie, nigdy nie będzie za drogi! Złota sentencja, o której znaczeniu wkrótce miał się przekonać.

Od księży i kleryków wstępujących do Zgromadzenia wymagane były zawsze litterae testimoniales od ich biskupów, lecz ci nie bardzo chętnie je wystawiali, a często wręcz odmawiali. Dlatego Ksiądz Bosko zastosował metodę Barnabitów, drukując formularze odpowiednie i przesyłając je zgłaszającym się, by podpisane przekazali swojemu ordynariuszowi. Bez względu na to czy on na nie odpowiedział, czy nie, kandydaci byli bez dalszych dochodzeń przyjmowani. Wychowanków ze swoich zakładów Ksiądz Bosko miał wszelką władzę przyjmować w każdym wieku. Mimo przestrzegania tych wszystkich przepisanych formalności z Rzymu przyszło upomnienie ujęte w następujących słowach:

Reverendissimo Signore!

Doszło do wiadomości do tutejszej Kongregacji Biskupów i Zakonników, że Wielebność Wasza przyjmuje kandydatów do swego Zgromadzenia bez żądania od odpowiednich ordynariuszów przepisanych zaświadczeń. W następstwie tego, jak nam doniesiono, został dopuszczony do święceń młodzieniec usunięty ze seminarium za swoje niemoralne zachowanie się. Wobec czego święta Kongregacja wzywa Przewielebność Waszą, aby ją poinformował, czy w tym względzie ma, jakąś szczególniejszą dyspensę od zachowania odnośnych dekretów, gdyż w przeciwnym razie winien się zastosować do tego, co jest przepisane odnośnie do przyjmowania nowych kandydatów do instytutów religijnych. Tyle dla jego normy na przyszłość. Niech Bóg ma Waszą Wielebność w swej opiece.

Rzym, 28.11.1876 r.

kardynał Ferrieri

A oto odpowiedź Księdza Bosko /w skrócie/:

Eminenza Reverendissima!

Otrzymałem przypomnienie, które Wasza Eminencja raczył przesłać mi i dziękuję za ojcowski ton, w jakim ono zostało ujęte. Dwóch rzeczy żąda się ode mnie, a mianowicie, czy przyznana została mi jak dyspensa odnośnie do littera testimoniales od ordynariuszów, jakich wymaga dekret „Romani Pontifices”, a następnie czy przyjąłem jakichś młodzieńców wydalonych ze seminarium turyńskiego.

Na pierwsze odpowiadam twierdząco. Ojciec św. w swej łaskawości, vivae oraculo, na audiencji, 10 listopada 1866 roku, zgodził się by wszyscy wstępujący do Zgromadzenia zwolnieni byli od wspomnianych zaświadczeń. Jednak z naszej strony, ilekroć zgłaszali się do nas księża, czy klerycy zapisani już in albo clericorum w jakiejś diecezji, zawsze zwracaliśmy się po wymagane dokumenty do ich ordynariuszów, którzy na ogół nie robili trudności w ich wystawianiu. Wyjątek stanowi arcybiskup Turynu, który uznał za stosowne takich testimoniales dla naszych nie wystawiać. Wobec czego byliśmy zmuszeni zwracać się w tej sprawie do Stolicy świętej.

Na drugi zarzut, jakoby się przyjmowało kleryków usuniętych ze seminariów, a następnie przedstawiało ich do święceń, muszę odpowiedzieć negatywnie, jak to zresztą już tyle razy powtórzyłem naszemu arcybiskupowi, także w obecności arcybiskupa Vercelli. Chyba, że chodzi o tych kilka wypadków, kiedy przyjęliśmy kleryka usuniętego ze seminarium, który z tego powodu znalazł się wprost na ulicy bez środków do życia. Ale ci przyjęci byli nie do Zgromadzenia, ale tylko by ich uchronić od ruiny tak materialnej, jak i moralnej. Proszę wtedy niniejszym naszego najczcigodniejszego arcypasterza, aby był łaskaw podać imiennie owych kleryków wypędzonych ze seminarium, a u nas wyświęconych.

A teraz odpowiedziawszy na stawiane zarzuty, ośmielam się prosić Waszą Eminencję, aby w swej łaskawości raczył skłonić arcybiskupa turyńskiego do podania mi przyczyny różnych sekatur, jakie nas od niego stale spotykają. I tak:

1. Dlaczego zasuspendował od spowiedzi niżej podpisanego, odmawiając mu odnowienia jurysdykcji bez podania powodów?;
2. Dlaczego nie pozwala na urządzenie rekolekcji dla nauczycieli w czasie wakacji?;
3. Dlaczego nie pozwala na głoszenie kazań naszym księżom pracującym dla dobra młodzieży opuszczonej?;
4. Dlaczego zapraszany tylekroć na uroczystości kościelne z celebrą, stale odmawia. Odmawia także udzielenia naszym wychowankom sakramentu bierzmowania i nie pozwala na zaproszenie innych biskupów?;

To wszystko rzeczy, które suponują poważne motywy do takiego traktowania Oratorium, a jednak nie chce się nam im podać.

Wyłuszczając ten stan rzeczy nie mam zamiaru oskarżać, tylko chciałbym zapobiec temu, co przynosi szkodę dla dusz nieśmiertelnych. Niech mi się przedstawi rzeczy jasno, a zapewniam, że zrobię wszystko, cokolwiek zdaniem Stolicy świętej, może przyczynić się do większej chwały Bożej. Dołączam jeszcze jedną prośbę. Kiedykolwiek Waszej Eminencja uznałby za stosowne dać nam, jakąś radę, czy upomnienie, zawsze będziemy to uważać, jako wielkie dla nas dobrodziejstwo i z wdzięcznością je przyjmiemy. Moglibyśmy powiedzieć, że założycielem naszym jest sam Ojciec święty i jego wytycznymi kieruje się nasze Zgromadzenie, dlatego też wszyscy pragniemy pracować na chwałę Kościoła aż do ostatniego tchu życia. Każda myśl podsunięta przez Ojca świętego, czy którą z Kongregacji, będzie dla nas prawdziwym rozkazem, jakiego nie wolno przekroczyć.

Z wyrazami głębokiej wdzięczności etc...

Turyń, 16.12.1876 r.

W pewnym okresie czasu także i z inteligencji pracującej była większa ilość zgłoszeń do Zgromadzenia, jak to adwokatów, urzędników państwowych, a nawet lekarzy. Powstała wtedy myśl, by dla nich otworzyć osobny dom, w którym by oni poznali bliżej życie zakonne i sami przez Przełożonych mogli być poznani. Ale to nie doszło do skutku, gdyż liczba kandydatów w dojrzałym już wieku wkrótce zaczęła szybko maleć.

Lecz co najbardziej leżało na sercu świętego naszego Założyciela, to młodzi jego klerycy nowicjusze i ich formacja duchowa. Aby mogli swobodniej oddawać się praktykom nowicjackim, ograniczył zakres nauczania przedmiotów świeckich tak, że z łaciny zostały im do przerobienia tylko psalmy i Żywoty Świętych świętego Hieronima z języka włoskiego i jeden kantyk Dantego: z filozofii logika i ontologia.

Za to bardzo zależało mu na pedagogice i to ujętej w naszym duchu. Tym wykładom chciał, by dać tytuł: NAUCZYCIEL i ASYSTENT SALEZJAŃSKI. Podczas zajęć należało omawiać, jak ma zachować się młody wychowawca: w sypialni, w kościele, w szkole, na przechadzce: jaki ma być jego stosunek do karności, punktualności, do nagród, kar itd... Podobne wykłady życzył sobie, ażeby zostały spisane i wydrukowane, by w przyszłości służyły jako rodzaj podręcznika dla naszych.

Odgraniczając coraz bardziej nowicjat od reszty Oratorium, w tym roku pomyślał oddzielić im osobny refektarz. Nowicjusze - jak mawiał - na każdym miejscu i w każdym czasie powinni żywo mieć przed oczyma Regułę. Jeśli zaś stykają się ze starszymi profesami, łatwo zauważą różne odchylenia wynikające, czy z konieczności, czy z niedbalstwa współbraci i tracą gorliwość w wiernym przestrzeganiu naszych tradycji i trzymania się na tym poziomie ducha, który daje radość i entuzjazm do tego, co nasze. I jeszcze jedną rzecz uważał za stosowne zmienić odnośnie do jadalni. Dotąd Przełożeni Wyżsi jadali w refektarzu wspólnym: a przecież nie było to znowu tak bardzo właściwe, aby chłopcy, co dopiero ubrani za kleryków, siadali do stołu na

równi z Księdzem Bosko, księdzem Rua i innymi. Ostatecznie wikt mógł być wspólny: ale dla wielu starszych trzeba było robić wyjątki, o których nie koniecznie musieli zaraz wiedzieć ci najmłodszy i komentować te różnice. Wyraźnie, więc oświadczył, iż jest rzeczą wskazaną, aby jadalnia dla Przełożonych Wyższych była w osobnej sali, choćby, dlatego, by mieli większą swobodę w omawianiu spraw Zgromadzenia bez narażania się na możliwe niedyskrecje ze strony współbiesiadników.

Jak czytelnicy mogli zauważyć, jesteśmy jeszcze w czasach, kiedy to Ksiądz Bosko osobiście załatwiał sprawy wielkie i małe dotyczące personelu salezjańskiego. Świadczy o tym choćby bilecik skierowany do księdza Lemoyne w sprawie święceń:

Drogi Księżu Lemoyne!

Niech Varaja zaraz zacznie rekolekcje i potem uda się do Borgo S. Marino. Święcenia 3 września. Nie od rzeczy tu będzie ciekawy szczegół z życia tegoż Varaja Antoniego. W roku 1868 był on zmuszony opuścić kolegium w Lanzo ze względów rodzinnych. Strapiony tym bardzo, noc przed wyjazdem miał sen. Zdawało mu się, że wchodzi do rozmównicy, gdzie ku swemu zdumieniu i przerażeniu zastał samego Pana Jezusa, którego majestatem przejęty upadł na ziemię. Boski Zbawiciel ujął go za rękę, podniósł, a trzymając ją w swej dłoni powiedział: Nie bój się! Ja ci będę za ojca /młodzian ten był sierotą/ skoro ludzie cię opuścili, Zdaj się na mnie!

Wtedy Varaja klęcząc pokornie, zawołał: O Panie! Udziel mi łaski, bym został kapłanem i misjonarzem! Chrystus spojrział na niego z wyrazem niewypowiedzianej dobroci i w końcu rzekł: I jedno i drugie!

Obietnica sprawdziła się. W dwa lata później wrócił do kolegium przyjęty gratisowo. W roku 1876 został wyświęcony na kapłana; wkrótce potem wysłano go, jako dyrektora do St. Cyr we Francji. W roku 1891 wyjechał na pracę misyjną do Palestyny, gdzie zakończył swe świętobliwe życie w roku 1913.

A teraz przytoczymy cały szereg zdarzeń, jakże wymownie świadczących o cudownej wprost opiece Opatrzności Bożej nad poczynaniami, działalnością i otoczeniem Księdza Bosko. Dnia 25 listopada tego roku w otoczeniu grupy swoich księży podczas wieczornej pogawędki wyśpiewał on, rzec by można, za przykładem psalmisty, hymn wdzięczności Bogu i Matce Najświętszej za tyle i tyle dowodów ich życzliwości. Chętnie on wracał ze swoimi do tych pełnych dziwów przeszłych czasów nie dla próżnej chwały, ale aby wraz z nimi gartias agere Domino, Deo nostro.

Otóż dwa lata temu – tak zaczął we wspomniany wyżej wieczór – w uroczystość świętego Józefa, gdy dzwoniono we wielki dzwon, grupa chłopców stała tuż obok wieży. Na raz ci, nie wiadomo, z jakiej przyczyny, odskoczyli od dzwonnicy, a na ich miejsce spada odbiwszy się od portyku serce ogromne rozbujanego dzwonu. Na szczęście nikt nie odniósł żadnej szkody. Na krzyk chłopców nadbiega ksiądz Lazzero i widzi, jak ksiądz Ghione z fantazją dźwiga na barkach ten potężny kawał żelaza, żartując z całej tej przygody. Don Ghivarello biegły

w mechanice, iż siła rozpędu tego spadającego żelaza była równa sile wystrzelonej kuli armatniej.

Kiedy indziej 19 lutego, w pierwszy dzień miesiąca ku czci świętego Patriarchy, ksiądz Rua i Buzzetti zostali zbudzeni jakimś dziwnym hałasem na podwórzu w pobliżu ogrodu. Podejrzewając, że to złodzieje, zbiegli na dół i chodząc po podwórzu oglądali całe obejście. Wtem Buzzetti wskazuje księdzu Rua jakąś wielką plamę tuż koło nich i odciąga go gwałtownie od niej. A w tej chwili teren, na którym stali, obsuwa się i zapada do głębokiego na trzy metry zbiornika, wypełnionego po brzegi ściekami. Jeszcze moment wahania, a byłiby obaj marnie zginęli.

Swego czasu w pierwszym skrzydle nowego budynku runął wewnątrz mur: zapadły się, kiedy indziej trzy sufity jeden na drugi; piorun uderzył w sypialnię świętego Alojzego, ale w żadnym z tych trzech katastrof nie było wypadku w ludziach.

Aldroandi, chłopak z Guastala polecony przez monsignora Rota, spadł na ziemię z balkonu, z wysokości 7 metrów, przy czym zranił sobie poważnie brzuch. Ranę trzeba było zeszywać, ale chłopak nie tracił fantazji. Nie chciał nawet wyrzec się przechadzki na Superge, jaką Oratorium urządzało w trzy dni po tym wypadku. Wobec takiego wysiłku szwy pękły i trzeba było szyć od nowa. Wszystko jednak przeszło szczęśliwie... i chłopak był zdrow.

Przed paru dniami inny uciekający przy grze w tingolo przed kolegą, wpadł do otworu przeznaczanego na windę i zleciał z nowego refektarza do kantyny. Zerwał się jednak zaraz z miejsca, nie bacząc na niebezpieczeństwo i pobiegł dalej, aby tylko nie został przyłapany.

Wielki boczny portal naszego kościoła runął na posadzkę pod portykami między rozbawionych malców: nikomu nic się nie stało.

Przy zabawie w rozbójników jeden z uciekających ukrył się w zakamarku przeznaczonym na zsypywanie śmieci, a drugi dopadłszy go tam krzyczy: Ha widzisz! Wężem jestem i pożrę cię! Napadnięty tak się tym przeraził, że zemdłał. Zaniesiony do szpitalika nie odzyskał przytomności. Przywołany lekarz stanął bezradny... inni obecni myśleli o Ostatnim Namaszczeniu. A tu mniemany pół nieboszczyk zrywa się, przeciera oczy i oświadczając, iż czuje się dobrze, ucieka ze szpitaliku ku osłupieniu felczera i otoczenia.

W czasie wakacji w Trofarello, Fiore wpadł do głębokiego stawu. Jeden z kolegów rzucił się na ratunek. Za pierwszym razem nie odnalazł go. Wynurzył się więc dla złapania powietrza i zanurzył się ponownie. Tym razem wypłynął ciągnąc za sobą nieprzytomnego już topielca. Łatwo sobie wyobrazić przerażenie księdza Francesi i młodych wczasowiczów. Ale po dłuższych zabiegach zdołano Fiore'go docucić i nie było gorszych następstw.

Przy budowie kościoła Najświętszej Wspomożycieli nie było żadnego nieszczęśliwego wypadku. Raz tylko ksiądz Savio chodząc po rusztowaniach wieży, stanął na skraj deski, która się poddała, ale zdążył uchwycić się masztu i nie spadł.

Dwa razy spadły wagi zegara w małym kościele, rozbiły stopień, lecz nikt wtedy tam się nie nawinął.

A ogień? Raz wybuchł w pokoju koło Księdza Bosko i tylko z biedą zdołał go ugasić ksiądz Cagliero. Zajął się też siennik chłopca Menzio i tlił się parę godzin; wybuchł płomieniem, dopiero, gdy ktoś otworzył drzwi; lecz go zaraz ugaszono. A wypadek z kawą przygotowywaną przez chłopców ukradkiem w sypialni? Gdy wszedł asystent uciekli, by ich nie nakrył, zarzucając koc na walizkę, w której paliła się lampka spirytusowa. A jednak pożar nie wybuchnął.

A przy gaszeniu pożaru w fabryce Tensi tuż za naszymi budynkami mimo całego zamieszania nikt przecież wśród tylu chłopców nie ucierpiał.

A przecież przy grze stale się przewracają, a nic im nie jest! A ileż to razy w ferworze zabawy rozbijają sobie głowy o filary portyku, krew ciecze... a mimo to nieraz za chwil parę wracają do gry! Kiedy indziej dwóch zderzy się tak gwałtownie, że obaj padają na ziemię w przeciwnych kierunkach, a tu trzeci nadlatuje deklarując swe zwycięstwo i zawody nie ustają. A jeden, raz nogę złamał i to w dwóch miejscach, a jeszcze biegł parę kroków aż upadł. Po niedługim czasie znowu biegał, jak przedtem. Jakżeż mile bawią się ci nasi chłopcy. Jest w tym doprawdy coś poetyckiego.

A choroba i wyzdrowienie Księdza Bosko w Varazze! Gdy wrócił do Oratorium, byliście wszyscy wzruszeni, a on wtedy poprosił księdza Rua, by mu dał coś zjeść, bo jest głodny. Wieczorem zaś, gdy przemawiał swym słabym głosem, to wszyscy na widok jego wyczerpania i słabości mieli łzy w oczach.

A wybuch prochni? A dwa razy powtarzająca się epidemia cholery w Turynie. Przecież nikt nie zachorował, mimo iż księża i klerycy bardzo gorliwie opiekowali się zarażonymi. A napady tylokrotne na Księdza Bosko? /Święty opowiada o sobie w trzeciej osobie/.

W roku 1864 zachorował ksiądz Cerruti w Mirabello. Stosownie do otrzymanego rozkazu prowadzi mimo to dalej lekcje w piątej i czwartej gimnazjalnej. Stan jego zdrowia pogarsza się tak dalece, że ksiądz Rua prosi Księdza Bosko, by go zwolnił z tych lekcji, gdyż tu wchodzi w grę życie kleryka. Przychodzi odpowiedź, żeby Cerruti nie przerywał lekcji. Ten usłuchał. Na drugi dzień mdleje po lekcjach... ale na trzeci już ma się lepiej i szybko wraca do zdrowia. Na słowo Księdza Bosko codziennie chodzi na wykłady uniwersyteckie w Turynie i ta podróż go nie męczy. Kiedy zaś później został wysłany na dyrektora do Alassio, to myślał, iż po drodze zemdleje, tak się czuł chory. A jednak usłuchał rozkazu... pojechał... nie zemdlał... ale dojechał na miejsce całkiem zdrow. Kiedy mu przyjdzie mówić na kazaniach o posłuszeństwie, że *vir obediens loquatur victoriam*, to nie będzie musiał szukać przykładów po ksiązkach!

Gdyby na tych wzruszających wywodach Świętego był kleryk Herminjusz Borio, to mógłby ze swej strony dodać do tego, to co jemu się przydarzyło jesienią tego roku, a opisał on w jednym ze swoich listów kilka lat później. Otóż w lecie w Borgo S. Marino nabawił się febry malarycznej, która go strasznie wycieńczyła. Nie

pomogły ani kąpiele morskie w Alassio, ani powietrze miejscowości rodzinnej. A przecież miał zlecenie przygotować się do matury licealnej. Przybył, więc do Valsalice. Wysiłki przedegzaminacyjne i zdenerwowanie zwiększyły ataki febry. Pewnego dnia cały przygnębiony czując pierwsze dreszcze nowego ataku gorączki; wybrał się mimo to do Oratorium, aby tu u Przełożonych znaleźć słowa pociechy, no i trochę rozerwać się. W oczach mu się majaczyło, ale doszedł i szczęśliwym trafem zaraz u wejścia natknął się na Świętego i ucałował go w rękę. Ten widząc jak błądy cały chwieje się na nogach, zapytał go, co mu jest? Usłyszawszy wyjaśnienie, położył mu rękę na głowie i stał tak chwilę, jakby namyślając się, wreszcie odzywa się z tym właściwym mu akcentem życzliwości: Fatti coraggio! Odwagi! Kleryk po tych słowach odszedł, by chwilę odpocząć w przedpokoju księdza prefekta. I tu jakoś atak febry przeszedł i więcej się już nie powtórzył.

Do podtrzymania radosnego nastroju w życiu Oratorium wielce przyczyniały się łaski duchowne przyznane dla salezjanów przez Ojca świętego we wrześniu tego roku. Przyszło więc pozwolenie dla wszystkich naszych domów, by mogły otwierać dla swych domowników u siebie kaplice pół publiczne, przechowywać Najświętszy Sakrament i odprawiać z tym związane nabożeństwa eucharystyczne. Dotąd przywilej ten miało tylko Oratorium. W ten sposób Zgromadzenie zyskiwało te przywileje częściowo i powoli, których mimo starań jego nie chciano przyznać Księdzu Bosko per communicationem, jak o tym była mowa w poprzednim tomie.

ROZDZIAŁ XIV

PRZEŻYCIA INNYCH ZAKŁADÓW

O sprawach innych zakładów poza Oratorium mało mamy do powiedzenia z drugiej połowy tego roku. Zaczniemy od Ligurii, gdzie Ksiądz Bosko bawił dwa razy: raz w lipcu na wizytacji, drugi raz późną jesienią odprowadzając misjonarzy.

Z listu, jaki pisze nasz Założyciel do księdza Ronchaila w Nizzy pod datą 20 lipca, dowiadujemy się, iż wtedy był on w Alassio. W Nizzy były do załatwienia poważne sprawy finansowe w związku z zakupem nowego domu. Oto, jakie dyrektywy w tym względzie wysłała tam Ksiądz Bosko:

Carissimo Don Ronchail!

Po załatwieniu ważnych spraw tutejszych, przechodzę do waszych, które bardzo mi leżą na sercu.

1. Wnet otrzymasz breve, które jest w druku, a w którym będą wyliczone odpusty dla naszych wszystkich dobrodziejów...;
2. W sprawie domu Gautier porozmawiaj z baronem Heraud i wspólnie starajcie się zrobić ten cud, by zebrać odpowiednią kwotę. Zapytajcie notariusza Sajeto, czyby nie dało się zaciągnąć pożyczki na hipotekę, któregoś z naszych zakładów. Biorąc pod uwagę kurs na giełdzie lepsza byłaby pożyczka we Francji;
3. Gdyby nie dało się dostać tej pożyczki, to może by nam dano kredyt hipoteczny do wysokości 50 tys. franków na krótki termin;
4. W razie niepowodzenia tych projektów, niech mi dadzą formalnie dwa miesiące czasu, załatwię tę sprawę na miejscu... Ale najważniejszą rzeczą jest, aby ta nieruchomość była zabezpieczona i spłaty dokładnie oznaczone.

Uważam, że i biskup tamtejszy, tak nam życzliwy, nie zawiedzie, gdyby nam, jakiegoś tysiąca zabrakło. Czy adwokat Michel wrócił? Liczę bardzo na niego! W razie potrzeby on umie być hojny. A książe Sanguszko, czy zrobił coś w tym względzie? A Władze lokalne czy Państwowe nie mogą nic nam pomóc?

Z Bogiem, kochany książe Ronchail. Pozdrów wszystkich Współbraci i chłopców. Powiedz Rabagiatemu, że ksiądz Cagliario pyta, czyby nie przyjechał na organistę do Buenos Aires. Módlcie się za mnie. Niskie ukłony dla barona Heraud, pana Audoli... Twój w Jezusie Chrystusie najbardziej przywiązany przyjaciel

Ksiądz Jan Bosko

List ten był pisany jeszcze w Turynie pod datą: piąty czerwca. Uzupełnia go list pisany pod wspomnianą datą 20 lipca z Alassio, kiedy to sprawa kupna domu już całkiem dojrzała.

Mio car. mo D. Ronchail!

List twój otrzymałem w Alassio, gdzie zatrzymam się dwa dni i wracam do Sampierdarena. Chętnie odwiedziłbym i Nizzę, ale mi się nie składa.

Na pewno już wiesz o śmierci księdza Giulitto: przedwczoraj zaś dowiadujemy się o zgonie Piacentina w Alassio. Jest ciężko chory ksiądz Guidazio w Nizza Monferato. Źle jest także ze zdrowiem kleryków Vigliocco i Giovannetti. Jak więc widzisz Pan Bóg nas doświadcza bardzo, zatem trzeba się modlić. Za to błogosławi nam w innych rzeczach: Domy w Ameryce prosperują bardzo pięknie: w tym roku zapowiada się 80 kleryków do nowicjatu.

Będę się modlił i zalecę modlitwy za księcia Sanguszko i za księżną matkę, która na pewno jest pogrążona w głębokiej żałobie. Pociechą jest, że tak święcie umierał...

A teraz nasze sprawy:

1. Zawrzyj ostateczny układ odnośnie do kupna domu Gautier, z tym że zapłacony zostanie w całości w ciągu miesiąca;
2. w tym czasie będziesz miał ode mnie 30 tysięcy franków, a w razie potrzeby i więcej do twojej dyspozycji.
- 3.

Zaproś adwokata Michel i barona Heraud i powiedz im, że, skoro zaczęliśmy tańczyć za wzajemną zgodą, to trzeba trwać do końca choćby kosztem wielkiego trudu, potu, ziewania i czegoś więcej.

Bóg tego chce i to powinno wystarczyć. Rozmawiałem z monsignorem Sola. Poprze tę sprawę totis viribus i ma nadzieję znaleźć innych chętnych... Bądź spokojny, bo pewne wpływy mamy niezawodne... jest tylko kwestia czasu. Ale i pod tym względem upewniłem się. W swoim czasie nie zrobimy sobie wstydu!

Podziękuj serdecznie wspomnianym panom, dla których mam już przygotowane dyplomy. Sprawią im na pewno przyjemność. Nadeślę je przy sposobności. Zwracam uwagę, by przed kupnem domu upewnić się, czy ma czystą hipotekę. Uważaj na swoje zdrowie; ukłoń się nisko owym dwom panom ode mnie i innym wybitnym naszym dobrodziejom. Wszyscy cię tu serdecznie pozdrawiają, a ja będę zawsze itd.

Pod tą samą datą zawiadamiał księdza Rua o powyższym liście, zwracając mu uwagę, iż po domach panuje wielka susza... więc na nie ma co liczyć. Wyraża przy tym, swój żal z powodu zgonów tak zacnych współbraci i kończy, zalecając powiedzieć klerykom, iż w Chile proponują nam trzy wielkie zakłady, w których można by pracować dla zbawienia tysięcy dusz...

Z Alassio zrobił Ksiądz Bosko wypad do Albissola do pani Zuzanny Saettone, jego szczególniejszej wielbicielki i dobrodziejki. Odwiedziła go ona w czasie choroby

w Varazza 1871 roku, choć sama wtedy też nie domagała. Od niej to pisał on do hrabiny Corsi, u której przebywał schorowany ksiądz Guidazio.

Benemerita Sig. Contessa!

Dowiaduję się, iż nasz kochany ksiądz Guidazio coraz bardziej cierpi. Nie śmiem ani na chwilę wątpić o znanej mi już od dawna życzliwości jej dla nas i dlatego nie widzę potrzeby, bym go miał zalecać jej troskliwości. Ale wdzięcznym byłbym za wszelkie informacje dokładne, jak właściwie z nim jest, czy może odprawiać Mszę świętą? Przy czym proszę mu nie pozwalać na odmawianie, choćby najkrótszej horki brewiarza. Dla jej informacji dodaję, iż do soboty będę w Alassio, w niedzielę w Varazze, następnie aż do piątku w Sampierdarena. Piszę ten list z Albissola z domu pobożnej pani Zuzanny, która w tych stronach jest dla nas „nostra buona madre”. I ona załącza swe serdeczne pozdrowienia i ukłony... Proszę od nas pozdrowić bardzo mile księdza Guidazio i zapewnić go, że się za niego modlę. Niech się nie martwi swą szkołą, ani innymi dotychczasowymi zajęciami, ale niech myśli tylko o wyzdrowieniu, a z pomocą Opatrzności Bożej postaramy się o wszystko. Niech Bóg błogosławi... etc

Do Alassio przyjechał dyrektor z Nizy, o czym tak pisze do księdza Rua: List otrzymałem; mówiłem z księdzem Ronchail, który zbiera potrzebną sumę i jest pełen dobrej nadziei; domy pod względem forsy całkiem na czczo... W sobotę za wolą Bożą będę w Turynie, może uda mi się po drodze odwiedzić księdza Guidazio; potrzebne quibus i na Hospicjum świętego Wincentego... Możesz powiedzieć chłopcom, iż dwóch kacyków, czyli naczelników szczepów w Patagonii zwróciło się z prośbą do księdza Cagliari, aby im posłał jak najwięcej misjonarzy zapewniając go przy tym, iż ich na pewno nie zjedzą, lecz będą słuchać z wielką uwagą... Pozdrów itd.

Wspomniane wyżej hospicjum to zakład w Sampierdarena, dokąd Ksiądz Bosko wrócił z Alassio. Potrzeba tam była wielka pieniędzy i na rozbudowę i na utrzymanie Synów Maryi i na założenie drukarni, gdyż z powodu ciągłych utrudnień ze strony Kurii Arcybiskupiej nie można było nic spokojnie drukować w Turynie. I tak w tym czasie ksiądz Durando, redaktor „Biblioteki Młodzieży Włoskiej” oddał dwa numery tejże biblioteki do rewizji kościelnej. Sam arcybiskup zastrzegł sobie ich przeglądnięcie, aż wreszcie po dłuższym czasie odesłał z uwagą, że ponieważ w nich są wyjątki z dzieł, jakie są na Indeksie, to należy zwrócić się z tym do Rzymu. Nie było to wcale potrzebne, bo chodziło tylko o cytaty z książek zakazanych i cenzura Kurii całkiem wystarczała. Ale trudno!... Na szczęście ksiądz Durando miał inne zeszytiki już gotowe i tymi ratował sytuację wobec abonentów.

Wobec takiego stanu rzeczy, nic dziwnego, że nalegał on o uruchomienie drukarni w Sampierdarena, gdzie podobnych trudności z cenzurą ze strony Kurii w Genui nie trzeba było się obawiać.

Zakład tamtejszy rozwijał się bardzo pięknie. Liczba wychowanków z 40 wzrosła już do setki, a Ksiądz Bosko zapewniał stale, iż przekroczy ona 400, a placówka ta stanie wnet na równi z Oratorium turyńskim.

Zatrzymał się tam cztery dni, ale z tego czasu nie mamy żadnych szczegółów, jak tylko dwa listy - w tym do księdza Lemoyne. Ksiądz Bosko poleca mu wziąć czynny udział w przygotowaniu do wielkiej uroczystości tamtejszych kolejarzy, o czym będzie mowa w dalszej części tego rozdziału i zapowiada, że, o ile mu się złoży, to sam w niej weźmie udział. Ksiądz Rua zaś zawiadamia o godzinie swego powrotu do Turyny, zaznaczając, iż prosto ze stacji uda się na obiad do księdza Vallauri, dokąd byłoby dobrze, żeby i on przyszedł, zawiadomiwszy wpierw o tym zainteresowanego.

Ledwie wrócił do Oratorium, Ksiądz Bosko otrzymał list od kardynała Antonellego utrzymany w bardzo serdecznym tonie. Był to ostatni dowód życzliwości, okazany mu przez tego sławnego Sekretarza Stanu, który 6 listopada przeniósł się do wieczności. Oto co pisał:

Illustrissimo Signore!

Dobroci jego serca i jego wybitnej uprzejmości mogę tylko przypisać życzenia przesłane mi na moje imieniny. To one były mi droższe, bo wiem, że pochodzą z jego szczerego serca. Dziękuję więc za nie bardzo, jak i za modlitwy, które z jego polecenia tamtejsi wychowankowie w mej intencji zanosili. Zapewniając Przewielebność Waszą o mojej całej życzliwości, mam zaszczyt kreślić się z wyrazami szczególnej czci zawsze gotów do usług najprzywiązańszy

Jakub kardynał Antonelli

Rzym, 29.07.1876 r.

Z końcem roku szkolnego nasz Założyciel miał zwyczaj zwiedzać wszystkie zakłady swoje młodzieżowe, głównie, aby w nich porozmawiać ze starszymi wychowankami na temat ich powołania. W tym celu jeszcze przed wyjazdem do Ligurii bawił w zakładzie Borgo S. Martino na uroczystości świętego Alojzego. Nie zjawił się tam niespodziewanie, ale już kilka dni naprzód napisał do chłopców, o jak ważnych sprawach ma z nimi traktować. Na tę wiadomość chłopcy nie posiadali się z radości i niektórzy zaraz listownie wyrazili swoją wdzięczność, że o nich tak po ojcowsku pamięta. W dniu oczekiwanym powitali go owacyjnie na dworcu kolejowym i z triumfem towarzyszyli mu do kolegium. Starsi mieli wtedy sposobność z nim swobodnie porozmawiać.

Jednym ze zgłaszających się wtedy do nowicjatu był Piotr Rota z Lu, późniejszy długoletni inspektor w Brazylii, a następnie w Portugalii. On to wyraził, z jakimi uczuciami wychodzili wtedy starsi młodzieńcy z rozmowy z Księdzem Bosko, gdy zeznał: Cóż to za niezapomniane wrażenia pozostawiały te krótkie rozmowy, czasem żarcik rzucony nieznacznie, niby przypadkowo!. Nawet nie spostrzegaliśmy się, jak nas on prowadził drogami, wytkniętymi nam przez Opatrzność. I tak właśnie było, gdy ukończyłem piątą gimnazjalną. W ogóle nie wyobrażałem sobie, jakbym ja mógł opuścić Księdza Bosko.

W owych też Święty dniach odwiedził w Lu i tamtejszego proboszcza, który był gorliwym propagatorem Letture Cattolice. Tam pobłogosławi jedną młodą matkę, która poleciwszy się jego modlitwom i opiece Matki Najświętszej, choć już była bliska agonii, naraz ku zdziwieniu wszystkich powróciła do zdrowia. Łatwo zrozumieć ogólny entuzjizm w tej miejscowości. Wiele rodzin ubiegało się o zaszczyt ugoszczenia go, ale on ostatecznie zdecydował się pozostać w rodzinie Rota. Wówczas zainteresowane rodziny, każda ze swojej strony, posłała półmisek ze specjalnym daniem.

Z końcem czerwca odbyła się wizytacja w Lanzo, do którego zaraz wrócimy, zaznaczywszy najpierw, co zaszło w kolegium w Valsalice, zaproszono monsignora Manacorda z Fossano ze Mszą św. pontyfikalną. Skoro o tym dowiedział się arcybiskup, zaraz kazał napisać list sekretarzowi do dyrektora z wyrzutami, z żądaniem wyjaśnienia, jak coś podobnego mógł zrobić i ewentualnego przeproszenia. Ksiądz Dalmazzo natychmiast zwrócił się do biskupa Manacorda przepraszając, jeśliby go z tego powodu spotkały, jakieś nieprzyjemności. Oczywiście ten, będą człowiekiem o szerszym horyzoncie, uspokoił zmartwionego dyrektora, zaznaczając, że wszystko było zupełnie w porządku i wedle przyjętego zwyczaju, bo biskupi podalpejscy ustalili między sobą, iż może każdy z nich swobodnie celebrować w diecezji sąsiada. Dalszy bieg wypadków w tym względzie nie jest znany.

A teraz wrócimy do Lanzo, gdzie odbyły się uroczystości, które na jakiś czas zainteresowały tą miejscowością całe prawie Włochy.

Otóż ukończono budowę kolei żelaznej: Turyn – Lanzo, rozpoczętą 1865 roku. Lewicowe stronnictwa, w których ręce przeszły wtedy rządy Królestwem Włoskim, postanowiły z tej okazji urządzić wielką manifestację polityczną. Centrum obchodów miało być właśnie Lanzo i tak zakład salezjański i Ksiądz Bosko zostali do tych uroczystości wciągnięci. Trzeba, więc było incedere per ignes suppositos cineri doloso – zbliżyć się do ognia bez poparzenia się. W ostatnich dniach lipca zgłosili się u dyrektora zakładu dwaj burmistrzowie - jeden z Turynu, drugi z Lanzo - prosząc go, by użyzył portyków swego obszernego zakładu na ugoszczenie ministrów i innych dostojnych gości, jacy zjawią się na uroczystości. Podcienia te według nich bardzo nadawałyby się na uraczenie licznych przybyłych wermutem, a drugiego stosowniejszego miejsca na ten cel nie ma. Zawiadomiony o tym Ksiądz Bosko nie robił żadnych zastrzeżeń: owszem obiecał sam na tę uroczystość przybyć.

Kolejarska ta manifestacja odbyła się 6 sierpnia w niedzielę. Święty przyjechał do Lanzo razem z kapelą z Oratorium już dzień przed tym w towarzystwie koadiutora Barale. W czasie podróży długo z nim rozmawiał o obowiązku chrześcijańskiego poszanowania władz ustanowionych. Temat bardzo wrażliwy po zaborze przed pięciu laty Państwa Kościelnego przez Włochy, a kontakty duchowieństwa z osobistościami politycznymi mogły być łatwo źle zinterpretowane.

Kolegium zostało udekorowane, jak tylko można było najpiękniej. Nie szczędzono chorągwi, festonów, draperii i wieńców. W środku portyku widniał portret

króla Wiktora Emanuela między trój kolorowymi sztandarami, a przed nim wazon wspaniały z bukietem o średnicy półtora metra. Kwiaty naśladowały herb miasta Lanzo; na około zwisała wstęga tkana czerwonymi goździkami z napisem z białych margerytek: IL COLLEGIO FELICITA A TUTTI. Posadzka wysłana była dywanami. Na nich krzesła i stoły, pokryte śnieżnymi obrusami na vermut. Na przeciw podwyższenie dla kapeli.

Zapowiedziany przyjazd księcia Amedeo, Duca z Aosty nie doszedł do skutku.

Pogoda w owym dniu była wspaniała. O godzinie 8 i pół zajechały powozy z ministrami. Przybył prezydent ministrów Depretis, Minister Spraw wewnętrznych Nicotera i Zanardelli, jako przedstawiciele króla. Innych wybitnych gości razem było około 400. Za ich przybyciem miejscowy dziekan poświęcił pierwszy pociąg i krótko przemówił. Po obrzędzie religijnym utworzył się wśród szpaleru wojskowego pochód. Otwierał go szwadron karabinierów konnych, za nimi szli karabinierzy pieszy, następnie kapela, burmistrz i trzech ministrów. Za nimi prefekt prowincji, burmistrz Turynu, senatorowie, posłowie, dziennikarze i wiele innych osobistości z całych Włoch. Na placu świętego Piotra powitała dostojników państwowych młodzież. Wreszcie pochód przy dźwiękach kapeli miejskiej skierował się do zakładu salezjańskiego. Tu głuszac orkiestrę miejscową odezwała się kapela zakładowa grająca „marcia reale”. Karabinierzy i wojsko utworzyli szpaler honorowy i wśród niego weszli dostojnicy do zakładu, gdzie na progu oczekiwał ich Ksiądz Bosko i ks. dyrektor Lemoyne we ferraiolo /peleryna księżowska we Włoszech/.

Witając się z nimi Zanardeli pyta: Przepraszam! Czy przypadkowo nie ma tu Księdza Bosko także?

Jestem do usług! - odpowiada tenże.

Następują wzajemne konwenanse powitalne i uściski rąk. Ministrowie zachowali się trochę z rezerwą. Ale gromkie okrzyki młodzieży ustawionej w pięknym ordynku na podwórzu na cześć przybywających dygnitarzy i powiewającej czapkami rozpogodziły atmosferę. Bo też ozdobiony portyk, falujące w powietrzu chorągwie, dziarska postawa wychowanków, dźwięki orkiestry robiły imponujące wrażenie. A kiedy jeszcze chłopcy na komendę profesora gimnastyki zrobili kilka zgrabnych ewolucji gimnastycznych ogólny podziw i zadowolenie wybuchnął w głośnych brawach.

Nastąpiły popisy wokalne-muzyczne. Zrobiła się cisza. Imponująco wypadł kwartet wykonany przez księdza Lazzero, koadiutora Pelazza i dwóch chłopców. Oklaskom nie było końca. Zebrani nie chcieli własnym uszom wierzyć... cisnęli do dzielnych artystów, nie szczędząc pochwał i wyrazów uznania.

Podczas dalszego koncertu kapeli, goście raczyli się vermutem, a następnie przeszli do parku, gdzie rozsiedli się na ławeczkach, względnie na murawie i Ksiądz Bosko z nimi. Rozmowa potoczyła się bardzo żywa i interesująca. Minister Nicotera zagadnął Świętego na temat jego podróży...

Owszem — odpowiedział zagadnięty— jeżdżę dużo, zwiedzając moje zakłady...

No, a w Rzymie Ksiądz często bywa?

Pewno! Byłem już wiele razy.

Ale my wiemy, że Ksiądz bywa także we Watykanie!

A czemu by nie? Przecież to punkt oparcia dla księży! Gdzieżby pan chciał, bym się miał zatrzymać?

Mówi się, iż Ksiądz pozostaje w ścisłym kontakcie z Papieżem?

Tak, chodzę do Ojca świętego, który mnie przyjmuje bardzo życzliwie. Ale mam także nie trudny dostęp i do ministrów, którzy nigdy nie każą mi czekać długo w poczekalniach, lecz zaraz mnie przyjmują. A od nich wracam do Ojca świętego i też bezzwłocznie jestem przez niego przyjmowany. W ten sposób dało się już załatwić wiele rzeczy. Muszę przyznać, iż Papież darzy mnie wielkim zaufaniem. Ale również i minister Vigliani nie miał przede mną sekretów, choć wiedział dobrze, iż ja jestem „papalino” więcej papieski niż sam Papież!

Tu przerwał mu poseł Ferraris: Tak! To prawda, prawda! Mogę zaświadczyć, iż Vigliani ustępując z ministerstwa wyraził się: „Pamiętajcie, iż Ksiądz Bosko to skarb! Jest to człowiek, który może bardzo dużo dobrego zrobić dla państwa”.

A ja — ciągnął dalej Ksiądz Bosko — podejmowałem się zleceń wszelkiego rodzaju, a z Papieżem mówiłem bez krępowania się nawet o rzeczach bardzo drażliwych. Uchylałem się tylko od zleceń połączonych z formalistyką urzędową. I wiele jeszcze spraw byłoby się dało załatwić z ministrem Viglianem, gdyby niedyskrecje pewnych osobistości.

Słów tych słuchano z coraz większym zaciekawieniem, gdyż były one dla tych panów prawdziwą rewelacją.

Ho, ho! — podjął Nicotera, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej. Ale Ksiądz nam nie mówi wszystkiego, co myśli...

Ja? Niby dlaczego?

Bo jest zbyt chytry!

A w czym panowie dopatrujecie się tej mojej przebiegłości? Co mam na sercu, zawsze mówię otwarcie! Co ja zamierzam, to wie każdy, choćby chłopak w naszych zakładach! Jeśli na tym ma polegać ta moja chytryść, to ostatecznie mogę to przyjąć do wiadomości. Co zaś dotyczy spraw religijnych, to naturalnie, że trzymam z Papieżem i tym się chlubię!

No, a co do dzisiejszej rzeczywistości? — atakował dalej Nicotera.

Stosuję się do zarządzeń władz!

A jednak to mnie nie przekonuje! Ksiądz nie mówi wszystkiego.

Przepraszam pana! Przecież z tych moich wypowiedzi wynika jasno, iż nikomu nie mam zamiaru schlebiać, a mówię jak człowiek lojalny, pewny swego. Powtarzam, iż wszyscy wiedzą, co ja myślę!

Tu wdał się w rozmowę senator Ricotti, profesor historii, mówiąc:

Wszystko dobrze, ale według przekonania ministrów lewicowych ma Ksiądz dwa punkty czarne!

A czy pan senator nie byłby łaskaw mi je wymienić? Tak może zdołałbym je wybielić...

Pierwszy to ten, iż ksiądz fabrykuje za dużo księży!

No a drugi?

I za dużo nauczycieli!

Panie senatorze, nie mogę w tym dopatrzeć się nic zdroźnego! Co do pierwszego nie mam nic na swoją obronę. Nie za dużo jest tych, co u mnie zostają księżmi. Owszem to garstka w porównaniu z tymi, co odchodzą na urzędy państwowe, do policji, do wojska i na inne stanowiska.

Zresztą nie mogę zrozumieć, jak można robić z tego zarzut, iż jakiś ksiądz kształci innych, by mu pomagali w jego pracy. Jestem przekonany, iż każdy z tu obecnych chciałby zyskać sobie jak najwięcej zwolenników i wciągnąć do współpracy innych dla dobra państwa.

Jest, więc normalnym objawem, że kapłan pragnie innych pociągnąć do tego stanu, jak to czyni żołnierz, czy lekarz, czy prawnik, którzy swoje zamiłowania pragną przelać na drugich. Jakże, więc pan profesor może mi czynić zarzut, iż wciągam do współpracy ze mną takich, którzy gotowi są poświęcić swe energie i życie dla najniższych i zaniedbanych sfer społeczeństwa! Wy sami panowie, poczytalibyście mi to za złe, gdybym był nieczuły na tym punkcie.

Ksiądz Bosko ma rację — przytknęli obecni, którzy w coraz większej liczbie skupiali się koło Świętego, pociągnięci jego interesującymi wywodami.

Co zaś dotyczy drugiego czarnego punktu, to czyż to moja wina, że jestem zmuszony przygotowywać sobie nauczycieli? A któż temu winien? To pan - panie Ricotti, głosując za ustawą o patentach na nauczyciela zmusił mnie do tego! Ja nic innego nie robię, jak tylko wypełniam zarządzenia państwowe. Jeśli się chce prowadzić jakiś zakład wychowawczy, wówczas potrzebne są patenty i dyplomy! Jeżeli pan senator uważa, iż usilne zabiegi, by dostosować się do zarządzeń władz, należy nazwać „czarnym punktem”, to ja się tego punktu nie będę wstydził, owszem poczytam go sobie za chlubę, a ze mną zgodzą się na pewno wszyscy tu obecni. Bezwzględna to konieczność! Biada mi, jeślibym w swoich szkołach nie miał własnych nauczycieli o pełnych kwalifikacjach! Ci tu panowie /i wskazał z uśmiechem na ministrów/ daliby mi pić!

Ksiądz Bosko mocno nas szachuje! — odezwali się ministrowie. Ale ma słuszność.

Tu poseł Ercole, chcąc trochę rozweselić towarzystwo, zwrócił się do Księdza Bosko z dość sugestywnym pytaniem:

Księżę Bosko, Ksiądz ponoć czyta w sercach. Kto jest większym grzesznikiem? Nicotera czy Zanardelli?

Czyż ja mam na to odpowiedzieć? Pozory często mylą! A co tam dzieje się w ich wnętrzu, to dotąd nie miałem sposobności z nimi się zetknąć...

Ale niech Ksiądz powie otwarcie, co sądzi o nas dwóch?

Ależ panowie! Jestem przekonany, iż panowie są „galantuomini”.

A każdy z osobna?

Owszem! Ja szanuję obydwu! Pan Zanadelli jest sławnym na całe Włochy adwokatem; a pan Nicotera niemniej znanym, jako inżynier!

Niech Ksiądz Bosko mi się nie wymyka! — prowokował Ercole. Niech odpowie na moje pytanie: który z nich jest większym grzesznikiem?

Pan mi stawia ambarasujące pytanie. Do czego pan zmierza? Powtarzam: obydwaj są znani ze swej wielkiej nauki, w załatwianiu różnych spraw państwowych - wprost niezrównani; co do osobistej ich moralności nie mogę nic powiedzieć, bo ich nie znam.

Wtedy Nicotera zwracając się do Ercolego, zawołał: A czego się pan tak do mnie przyczepił? Daj no mi raczej spokój, a zapytaj, jakim ty jesteś grzesznikiem!

Nie mam zgoła zamiaru nawrócić się! — odparł Ercole.

A więc jesteś gorszym grzesznikiem niż ja! — zaśmiał się Nicotera, bo znasz zło, a mimo to je popełniasz! A jest wyraźnie napisane w Biblii: Desiderium peccatorum peribit... Co na to Ksiądz Bosko?

Cóż ja na to miałbym powiedzieć, skoro panowie wyjmują mi z ust słowa. Zresztą, aby kogoś poznać, potrzeba na to więcej niż jednej, zresztą całkiem towarzyskiej rozmowy. Trzeba by odprawić porządne rekolekcje. Trzeba, aby taki pomyślał o życiu przeszłym; o śmierci, z którą kończy się scena tego życia na świecie; o marności rzeczy doczesnych i wartości tych nadprzyrodzonych, o sądach Bożych, o wieczności. Trzeba, żeby taki pomyślał, iż w godzinę śmierci może nas uszczęśliwić tylko to dobro, jakie spełniliśmy, a wszystko inne będzie przyczyną niepokoju. Dopiero po tym wszystkim, gdyby taki odprawił dobrą spowiedź generalną, wtedy mógłbym coś powiedzieć o stanie jego duszy.

A jak Ksiądz sądzi: czy my się zbawimy? — zapytał ktoś z obecnych.

No oczywiście wolno mi się tego spodziewać wobec bezmiaru miłosierdzia Bożego.

Ale my wcale nie myślimy nawracać się tak od razu!

To znaczy chcieliby panowie, by ich ktoś nawrócił... pewno, że gdybyśmy tak dalej pogwarzyli jeszcze to znaczy pragnęliby, tylko się nie czują...

Tak, tak! Właśnie o to chodzi.

No w takim razie ni pozostaje mi nic innego do powiedzenia, jak to, co przed chwilą tu słyszeliśmy: desiderium etc...

Och, to właśnie dobre dla ciebie, Nicotera — odezwał się ktoś z obecnych.

Właśnie, że dla ciebie! — odpalił zaatakowany.

I w dalszym ciągu rozmowy Ksiądz Bosko nie szczędził swoim interlokutorom zbawiennych refleksji na tematy eschatologiczne, ale bez aluzji osobistych tak, że nikogo nie obraził. Owszem słuchali go z coraz większym zainteresowaniem. Padające od czasu do czasu dowcipy nie miały w sobie nic, co by mogło w najmniejszej mierze ubliżyć jego słowom. Zanardelli w owym dniu nie był przy humorze, nie wiadomo czy miał jakieś wewnętrzne zmartwienie, czy też był chory.

Pan minister czuje się niedobrze? — zagadnął go Ksiądz Bosko.

Ech, nie! — odpowiedział ciężko wzdychając.

Warto by pomyśleć o wyleczeniu się! — dorzucił jakby od niechcienia Święty. Słowa te, jak świadczy obecny przy tej rozmowie ksiądz Lemoyne, wywarły na zagadniętym dziwne wrażenie. Wzrok Księdza Bosko więcej mówił, niż słowa.

Nicotera tymczasem zerwał kwiatek i wsadził go sobie do butonierki surduta, paradując się nim przez cały dzień. Według obecnych tam dziennikarzy miało to być oznaką szczególniejszego szacunku jego i oddania dla Księdza Bosko.

Rozmowa przeciągała się długo. Na dziedzińcu przed kolegium koncertowała kapela i odbywały się popisy gimnastyczne. Całe, więc towarzystwo z parku wróciło tutaj. Podano krzesła. Po bokach Księdza Bosko usiedli Nicotera, Ercole i Ricotti. Depretis stał oparty o jego fotel; Zanardelli sam sobie przyniósł krzesło, lokując się na przeciw niego. Wyglądało, iż Ksiądz Bosko jest „re della festa” — królem tej uroczystości. Komitet ustalił, iż pobyt w kolegium miał trwać 20 minut, tymczasem przeciągnął się na blisko dwie godziny. Na nalegania burmistrza goście odpowiadali:

Jeszcze chwileczkę!

Odjazd nastąpił dopiero koło jedenastej. Pożegnanie było bardzo serdeczne. Wszyscy wprost z rozczeniem wyrażali swoje pełne zadowolenie z urządzonego im przyjęcia. Nicotera wręcz oświadczył:

Przeżyłem chwilę, jakie rzadko ma się w życiu!

Chyba żebyśmy jeszcze, kiedy przyjechali do zakładów salezjańskich — wtrącił Zanardelli. Tenże minister spotkawszy u wyjścia salezjanina, księdza Albano, objął go serdecznie za szyję i szepnął do ucha: Proszę powiedzieć Księdzu Bosko, iż brak im słów na wyrażenie własnego zadowolenia z przyjęcia, jakiego tu doznaliśmy - ale proszę mu to koniecznie powiedzieć! Proszę też pozdrowić ode mnie tych drogich chłopców, których zawsze mile będę sobie wspominał. Proszę też podziękować za wszystko Przełożonym, wychowankom, muzykom, śpiewakom od nas tu zebranych. Niektóre wiersze już sobie zapamiętałem; inne będę musiał powtórzyć, bo je muszę sobie przyswoić. Proszę koniecznie to powiedzieć Księdzu Bosko, a nie zapomnieć. Dla waszego kolegium zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy. To rzekłszy włączył się między swych kolegów kierujących się ku wyjściu. Ksiądz Bosko towarzyszył im aż do miasta, gdzie wśród nowych komplementów i zapewnień o pamięci ostatecznie pożegnał się z nimi. Zaproszenia na obiad jednak nie przyjął. Z całego przebiegu tej wizyty był zadowolony. Temu zadowoleniu dał wyraz w rozmowie popołudniowej ze swoimi: Uważam — mówił, iż już dawno ci ministrowie i posłowie nie słyszeli takich

kazań, jak tu w Lanzo. Do pewnego stopnia są to biedni ludzie. Nikt do nich nie przemówi językiem serca, nikt im nie powie prawdy w sposób dla nich odpowiedni bez złości. Ja przyjąłem ich serdecznie, rozmawiałem z nimi całkiem szczerze i powiedziałem im dużo prawdy bez żadnej złośliwości, a przystępnie. Chyba nigdy nie odprawili takich rekolekcji, jak teraz. Ja wśród nich czułem się tak samo swobodny, jak się czuje między naszymi chłopakami. Stawiali mi różne pytania jeden przez drugiego, a ja z uśmiechem im odpowiadałem. Myśleli, że to ich pytania mnie rozśmieszają, a tymczasem ja nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, widząc się otoczonym od tyłu dostojnikami, jako „protoquamquam” wśród nich. Całkiem oryginalna była ta moja sytuacja. Okazuje się więc, iż dobrze się stało, że przyjechałem do Lanzo. Biedny dyrektor! Byłby beze mnie w niemałym kłopotcie. Wątpię, czy byłby dał radę odpowiedzieć na tyle pytań chytrych i zagmatwanych kwestii. Łatwo mógłby się zmieszać, albo zdenerwować, a niewykluczone, żeby sobie z niego zakpili. Jest rzeczą bardzo trudną w takich wypadkach opanować sytuację, zwłaszcza, iż ci panowie mają księdza za nic. Dlatego właśnie wziąłem udział w tej uroczystości pewny, że sobie dam radę z nimi. Odmówić im przyjęcia w kolegium była to rzecz nie do pomyślenia, skoro o to zgłosili się sami ministrowie. Ile by taka odmowa narobiła szumu w mieście. Następtwem tego mogłoby być zamknięcie zakładu. Z naszej strony nie było powodu do takiej odmowy. A skoro przyjechał Zanardelli, jako przedstawiciel króla, wypadało przyjąć go godnie: stąd i muzyka i dekoracje były całkiem na miejscu. Uroczystość nie miała wcale charakteru wrogiego Kościołowi: żadnej nie wydano na niej proklamacji złośliwej. Co więc się zrobiło, zostało dobrze zrobione. Dostosowaliśmy się do ewangelicznego: Date Caesari, quae sunt Caesaris. To wszystko!

Ale spodziewam się, że i to nie będzie bez dalszych korzyści. Ci na pewno nie będą już spode łba patrzeć na księży. Z tego jak ja ich potraktowałem, łatwo dojdą do wniosku, iż ogół księży nie szuka czegoś innego, jak tylko dobra swych bliźnich.

Spodziewam się również, iż w godzinę śmierci wszyscy oni zapragną mieć kapłana u swego łoża. Dotąd ksiądz Bosko.

I rzeczywiście w ciągu całej tej uroczystości, nie usłyszało się słowa przeciwko Kościołowi. A i ministrowie w następnych latach nie zapomnieli chwil przeżytych w towarzystwie Świętego, o czym ten nieraz miał sposobność przekonać się.

Rozgłos uroczystości w kolegium w Lanzo zwiększył także reputację samego zakładu salezjanów tak, że na przyszyły rok, ten liczył już 208 wychowanków. Przyczyniły się do tego cześć i wzięcie, jakim cieszył się, jego dyrektor, ksiądz Lemoyne, u młodzieży i miejscowego społeczeństwa. W późniejszych już latach jeden z byłych wychowanków wskazywał jeszcze ławkę stojącą na górnym korytarzu, gdzie dyrektor otoczony chłopakami opowiadał im różności z właściwą jemu, godną pozazdroszczenia swadą.

ROZDZIAŁ XV

WSPÓLBRACIA ZMARLI W ROKU 1876

Wspomnienie o naszych zmarłych w roku 1876 wcale nie odbiega od wątku naszego opowiadania. Żyli oni, bowiem w tak bezpośredniej łączności z naszym świętym Założycielem, że szczegóły z ich życia tylko lepiej naświetlą ducha, jaki promieniał od niego na całe otoczenie. Trzech było kleryków i dwóch księży, których Bóg powołał do wieczności w tym roku.

Klerycy wszyscy trzech ukończyli studia gimnazjalne w naszych zakładach do piątej klasy włącznie. Pierwszy, Jakub B Piacentino, był wychowankiem w Lanzo. Mając lat 18 przywdział suknię klerycką. Krótco po obłóczynach został wysłany do Borgo w pierwszym roku, jako asystent, w drugim, jako nauczyciel trzeciej elementarnej. Równocześnie pod kierownictwem tamtejszego dyrektora odbywał swój nowicjat i uczył się. Po dwu latach odwołany został do Oratorium i tu, jako asystent rzemieślników pozostał aż do śmierci. Jego to przedsiębiorczości było do zawdzięczenia, iż w występach dramatycznych jego zawodowcy mogli rywalizować z gimnazjalistami i to z sukcesem, co dotąd było nie do pomyślenia.

Kiedy już kończył teologię, rodzina przypuściła gwałtowny atak, aby go ze Zgromadzenia wyciągnąć, na co odpowiedział decyzją po złożeniu profesji zakonnej, iż już więcej do domu rodzinnego nie pójdzie z odwiedzinami do swych krewnych. W maju 1876 r. naraz zapadł na jakąś dziwną chorobę i gwałtownie opadał na siłach. Wysłano go do Alassio w nadziei, iż tamtejszy klimat mu pomoże. Nadaremne były wszelkie zabiegi. Po bolesnych cierpieniach zmarł w lipcu. Pamięć jego niezmordowanej działalności i poświęcenia się dla swych wychowanków długo jeszcze była żywa wśród nich.

Wychowankiem i rodem z Lanzo był drugi zmarły kleryk Antoni Vallega. Przeniósł się do wieczności w swej miejscowości rodzinnej w Noli /Liguria/ trzy miesiące przed Piacentino. Uleczony z bardzo ciężkiej choroby w siódmym roku życia za przyczyną Niepokalanej, odznaczał się pobożnością i gorliwością w służbie Bożej. Bardzo zdolny zdał najlepiej maturę licealną w królewskim gimnazjum w Monviso z pomiędzy wszystkich licznych wtedy abiturientów tak miejscowych internistów, jak i eksternów, do których należał. Wstąpiwszy do Zgromadzenia pracował nad sobą bardzo skrupulatnie stale notując sobie z końcem miesiąca swe plusy i minusy na drodze doskonałości. Z okazji złożenia ślubów napisał: „Przez złożenie ślubów oddałem swą duszę i ciało, jako świątynię na mieszkanie Ducha Świętego. Jest moim pragnieniem, by ten przybytek był stale schludny”.

W styczniu 1875 r. powróciła choroba, na jaką cierpiał już przed wstąpieniem do Zgromadzenia i nie było ratunku. Wieczorem jeszcze przed śmiercią w obecności

księdza Cerrutiego dziękował Bogu za łaskę powołania, przy czym prosił przełożonego, by to powiedział Księdzu Bosko, oświadczając mu, iż zawsze jest na jego rozkazy, gotów jechać na misje, jeśliby go Bóg zachował przy życiu.

Dnia 8 września przeniósł się do wieczności „prezioso - wartościowy” kleryk Jakub Vigliocco: tak go nazwał sam Ksiądz Bosko w liście do księdza Cagliari. Miał on szczególniejszy dar modlitwy: czy w domu rodzinnym, czy później w kolegium w Caluso nieraz zastano go pogrążonego na rozmowie z Bogiem. Pragnął zostać kapłanem. Usłyszawszy pewnego razu od jednego z nauczycieli o Oratorium, tak się nim rozentuzjasmował, iż postanowił zaraz się tam przenieść i w nim kończyć gimnazjum. Miał wtedy 16 lat. Kiedy stanął się u księdza kierownika szkolnego, ten mając przed sobą chłopaka o wzroście średnim, o cerze bladej, w ubraniu wprawdzie czystym, ale kroju pospolitego bez długich dochodzeń posłał go, jako nowego przybysza do klasy pierwszej do oddziału przygotowawczego. Chłopak nic się nie odezwał, ale spokojnie poszedł do wskazanej sali i cały dzień między najsłabszymi uczniami spędził. Nazajutrz to samo. Dopiero napisane przez niego zadanie ujawniło ciężką omyłkę. W klasie piątej był jednym z pierwszych uczniów. Wzorowe jego zachowanie otworzyło mu wstęp do wszystkich Towarzystw religijnych i do grona najbardziej wzorowych, co stanowili zespół Niepokalanej. Tym, co sprzeciwiali się jego wstąpieniu do Zgromadzenia, a było ich nie mało i to spośród osób bardzo wpływowych, odpowiadał, że w tej sprawie decydujący głos ma sumienie każdego i kierownik duchowny. Magister zdając relacje o poszczególnych nowicjuszach Księdzu Bosko o nim napisał: prawdziwy wzór nowicjusza — drugi święty Alojzy”.

Bardzo leżało mu na sercu, by nauczyć się rozmyślać. Stąd też radził się i czytał dużo na ten temat. Wreszcie ustalił sobie taki schemat: Na początku stawiając się w obecności Bożej, wyobrażał sobie, iż klęczy przed Ukrzyżowanym, który na niego patrzy z miłością. W trakcie rozmyślania wracał myślą do tego obrazu, aby od bolejącego Zbawiciela otrzymać pomoc i zachętę do poważnych postanowień. Na końcu prosił Pana Jezusa, aby na niego spuścił kropelkę Krwi swej Przenajświętszej na znak przebaczenia i łaski. To ciągłe zjednoczenie z boleściami Chrystusa ułatwiała mu poznanie samego siebie i wytrwałość w dobrym.

Umiał też docenić wartość posłuszeństwa. Raz jeden z kolegów zwierzył mu się z niechęci, jaką żywił do pewnego przełożonego. Vigliocco zaraz rozwinął przed jego oczyma naukę świętego Alfonsa, jakie to szczęście mieć przełożonego, w którym widzimy różne wady, mniejsza o to czy słusznie, czy nie, gdyż tak możemy łatwiej przekonać się, czy jesteśmy doprawdy posłuszni Bogu, czy ludziom. Najmniejsze uchybienia, co do tej cnoty zaraz z żalem szczerym wyznawał, przed kim należało.

Znał także dobrze wartość czasu. Nie lubił, więc rozmów o rzeczach błahych. Jego najmilszą rozrywką była nauka, w której tak się nieraz zatapiał, iż zupełnie zapominał o świecie.

Maksymą jego postępowania powiedzenie Księdza Bosko, iż robi dużo, kto robi mało, ale to, ma robić; mało robi, choć robi dużo ten, kto nie robi tego, co powinien.

Ksiądz Bosko znając jego piękne zalety umysłu i serca, zlecił mu z biegiem czasu lekcje u Synów Marii i nie zawiodł się.

Skończywszy lekcje mu powierzone, biegł z radością do Oratorium świętego Alojzego, aby tam uczyć tych najbardziej opuszczonych katechizmu. Ta praca najwięcej mu się podobała i ta właściwie pociągnęła do Zgromadzenia. Oratorianie wyczuli tę jego życzliwość dla nich i odwzajemniali mu się pilnością i zachowaniem wzorowego porządku i milczenia na wykładach. Chętnie ich też uczył ministrantury. Praca oratoryjna tym bardziej mu się podobała, bo uważał ją, jako bliższe przygotowanie do pracy misyjnej, do której się ofiarował z całą właściwą mu gorącością ducha pisząc do Księdza Bosko: Znam dobrze swą maleńkość i to mało, w czym mógłbym być pomocnym:, ale z pomocą Bożą ufam, że przecież coś będę mógł zrobić! Skoro jestem ostatnim między jego synami, to pragnę przynajmniej być pierwszym w okazywaniu mu swej najlepszej woli. Chęć do czynienia dobrze naszym bliźnim jest we mnie, Najczcigodniejszy Ojczy, nadzwyczajna i nie wzdrygam się przed żadnym trudem, ani poświęceniem i na jego rozkaz gotów jestem udać się i na koniec świata.

Lecz inne były zamiary Opatrzności Boskiej. Zdrowie jego zaczęło się nagle pogarszać. Nie pomogły zmiany klimatu. Kiedy wrócił do miejscowości rodzinnej, nie zaprzestał zajmować się tamtejszymi chłopcami, dopóki choroba nie powaliła go na łóżko. Ksiądz Bosko, który go wielce cenił, posłał księdza Rua, sam nie mogąc, aby go odwiedził i pocieszył w jego imieniu. Zapytany, czy boi się śmierci, odpowiedział: Mam wrażenie, że jej nadejście mnie nie przerazi, gdyż regularnie, co miesiąc odprawiałem ćwiczenia dobrej śmierci.

Zmarł w dzień Matki Boskiej Siewnej rano w 20 roku życia.

Z dwóch zmarłych księży w roku 1876, Don Giuseppe Giulitto od dwunastego roku życia wychowywał się w Oratorium, do którego wstąpił 1866 roku. Mamy jego krótki życiorys wydany w *Letture Cattoliche* przez księdza Jana Bonetti z przedmową wówczas jeszcze kleryka Karola Cays, który tak pisze: Wielu jeszcze z tych, co mieli go za towarzysza, wspomina ze wzruszeniem jego delikatność w obejściu, charakter jowialny, pociągającą rozmowność i z tym związane budujące pod każdym względem zachowanie się, czystość obyczajów, anielską pobożność, gorliwość o zbawienie dusz.

I jemu nie brakło pokus, odciągających go od Zgromadzenia, ale wolał pozostać przy Księdzu Bosko. Po jakimś czasie musiał się jednak oddalić od niego, gdyż został przeznaczony do Borgo S. Martino. Tu zapoznał się bliżej z klerykiem Nai, od którego mamy poniższe szczegóły, a mianowicie, że Giulitto obrał go sobie za monitora. W tej randze Nai zwrócił mu uwagę, iż się za długo zatrzymuje w jadalni przy śniadaniu, zamiast śpieszyć się na podwórze do asystencji. Upomniany dziękował mu serdecznie za tę uwagę, a to mimowolne jego niedociągnięcie, wynikłe z tego, iż jeszcze nie znał dobrze lokalnych zwyczajów, więcej się nie powtórzyło.

Wspomina także ksiądz Nai, jak Giulitto zapamiętałe rozczytywał się w Rodriguezie i dlatego też w różnych sporach, czy dyskusjach można było usłyszeć od niego znane „ipse dixit” Rodriguez: dice cosi, Rodriguez dice cosa! W związku z tym opowiadał także ksiądz Bonetti, iż raz ktoś żalił się przed Giulitto na nałożony mu obowiązek bardzo ciężki dla niego. Wtedy ten mu powiedział: — Idź no, a przeczytaj sobie traktat pierwszy drugiej części Rodrigueza, a wtedy to, co ci teraz wydaje się ciężkie, będzie lekkie jak słoma! Innemu, który stawał okoniem przełożonym poradził przeczytać przez kilka dni traktat piąty części trzeciej i dodał: Głowę daję, jeśli w ciągu ośmiu dni nie staniesz się najposłusznieszym w całym domu.

Miał ułożony dokładny rozkład dnia, by nie tracić najmniejszej chwilki czasu. Zawsze był na czas na rozmyślanie, czy lekturze duchownej, a pobożność zwłaszcza względem Najświętszego Sakramentu była u niego źródłem radości i serdeczności dla otoczenia. Nawet na lekarza kurującego go w ostatniej chorobie zrobiło to wrażenie. We wrześniu 1875 r. gdy się tego najmniej spodziewał, Ksiądz Bosko polecił mu przygotować się do święceń niższych mimo iż Giulitto miał dopiero 22 lata. Ale brak kapłanów zmuszał Świętego do czynienia podobnych wyjątków i korzystania z udzielonych mu przywilejów. Zawahał się młodociany lewita, ale podtrzymany na duchu przez niego usłuchał i już w grudniu otrzymał subdiakoniat. Niestety naraz wystąpiły gwałtowne objawy choroby piersiowej. Wprawdzie pobyt w ciągu zimy w Alassio na tyle pomógł, że mógł na wiosnę w uroczystość Świętej Trójcy odprawić swą pierwszą Mszę świętą w Borgo ku radości wszystkich jego bliskich. Ale w miesiąc później w tejże samej kaplicy śpiewano Requiem o spójność jego świetlanej duszy. Między jego papierami znaleziono notatkę pod tytułem:

Memento della mia prima Messa, w której czytamy:

1. O Boże, obym ja był kapłanem wedle Serca Twego;
2. Obym Cię kochał tyle i tak, jak Ty chcesz;
3. Abym nie zginął na wieki;
4. Oby żadna dusza nie zginęła z mego powodu, ale żebym zbawił ich jak najwięcej!

Kilka tygodni wyprzedził go do wieczności ksiądz Cezary Chiala, o którym dotąd była już częsta wzmianka w tych Memorie. Ksiądz Bosko tak się o nim swego czasu wyraził przed kilku swymi księżmi:

To prawdziwa perła pod każdym względem!

Do Zgromadzenia wstąpił już w wieku dojrzałym, ale z jego Założycielem znał się o wiele wcześniej. Z nazwiskiem „Cezary Chiala, lat szesnaście” spotykamy się w spisie chłopców, jakich Ksiądz Bosko przyprowadził z Turynu na rekolekcje do Giaveno w r. 1850, znaczy to, iż musiał być w kontakcie z Oratorium, kiedy ono jeszcze prowadziło swój żywot wędrowny po Turynie, do którego Chiala urodzony

w Ivrei 1837 roku przeniósł się z całą rodziną. Mając lat dwadzieścia sześć był już dyrektorem Poczty w Piemontcie. Pomagał wtedy, jak to zresztą czynił już, jako student, w nauczaniu katechizmu w Oratorium Anioła Stróża, prowadzonym przez księdza Rua. Jego klasę stanowili kominiarze. Interesująco to wyglądało, gdy on wysokiego wzrostu, elegancko ubrany, z wielką dystynkcją wyjaśniał prawdy wiary tym umorusanym ulicznikom, których około 30 go otaczała. Niestety musiał opuścić to swoje umiłowane zajęcie, gdy w roku sześćdziesiątym został przeniesiony służbowo do Florencji, a w kilka lat później na Sycylię, gdzie dla wszystkich był zbudowaniem i pozostawił po sobie jak najlepsze wspomnienie tak dalece, iż jego koledzy w urzędzie po czterech latach po jego odejściu na wiadomość, że umarł, zamówili uroczyste nabożeństwo żałobne za spokój jego duszy.

Rok 1872 był przełomowy dla niego, wtedy, bowiem zdecydował się zrzec się zajmowanego stanowiska i wstąpić do nowicjatu. Rodzina bardzo zamożna i wpływowa /jego brat był znanym wtedy politykiem senatorem/ nie mogła tego kroku zrozumieć. Ale Cezar dążył prosto do swego celu. Z zapałem uczył się teologii, którą ukończył w ciągu trzech lat i w kwietniu 1875 roku mógł być wyświęcony na kapłana. Píše o nim ksiądz Barberis: Jeśli dotąd w cnotach był niezwykły, to odtąd stał się heroiczny. Tyle razy podziwiałem, jak na urzędzie prefekta w niektóre dni wyczerpany do ostatka, jeszcze późną nocą po dziesiątej, kończył z wysiłkiem swe praktyki pobożności. Mszę świętą odprawiał z wielkim namaszczeniem i pobożnością przygotowawszy się do niej długą modlitwą i kończąc ją nie krótszym dziękczynieniem. Często wyrażał swe zadowolenie z tego, iż w domu przechowuje się Najświętszy Sakrament, który tak dla jego mieszkańców jest źródłem łask szczególniejszych i podporą w trudach codziennych.

Wolał zawsze pozostawać raczej w cieniu. Zajęcia niskie, od których zwykle inni się usuwają, spełniał najchętniej i z wielką dokładnością. Nie będziemy już powtarzać, jak wartościowa była jego działalność w szkole zawodowej Oratorium. Pracował również, jako współredaktor Lektur Katolickich, w których wydawaniu pomagał jeszcze przed wstąpieniem do Zgromadzenia. Wtedy spożywszy obiad z matką, przychodził na Valdocco, gdzie miał swoją celkę i tu pracował późno w nocy nad korektą, czy tłumaczeniem pism z francuskiego. Nieraz pozostawał i na noc, a rano wstawszy odprawiał praktyki pobożności razem z chłopcami, spożywał z nimi suchą porcję chleba i szedł wprost do swego biura na poczcie. Już, jako salezjanin nieraz towarzyszył Księdzu Bosko w Becchi, aby pod jego kierownictwem przygotowywać nowe wydawnictwa, lecz i tu śniadanie ograniczało się do suchej bułki.

Niestety choroba, która była przyczyną, że się wycofał z zajmowanego stanowiska w świecie, w roku 1876 wybuchła z całą siłą i z końcem czerwca doprowadziła go do grobu. Przedwczesny ten zgon wywołał u wszystkich jego bliskich wielką konsternację. Ogólnie słyszało się stwierdzenie: Umarł święty! Pochowany został w grobie rodzinnym w Feletto.

W orszaku świętego Dominika Savio oglądanym w śnie przez Księdza Bosko
byli i Don Giulitto i Don Chiala.

ROZDZIAŁ XVI

REKOLEKCJE W LANO

W roku 1876 według tego, co postanowiła w czerwcu Kapituła Główna odbyły się trzy serie rekolekcji w Lanzo, wszystkie pod przewodnictwem Księdza Bosko.

Pierwsza seria zaczęła się w niedzielę wieczorem 10 września, a trwała do 18 rano w poniedziałek, a więc pełnych osiem dni. Przeznaczona był głównie dla tych, co mieli składać śluby, czy czasowe, czy wieczne. Kaznodziejami byli ksiądz Bonetti i ksiądz Ascanio Savio. Z tej serii mamy przechowanych sześć przemówień naszego świętego Założyciela, na słówku wieczornym i trzy kazania.

Na pierwszym słówku zalecił skupienie i zachowanie milczenia. Zwrócił też uwagę, by nie żalić się na możliwe braki czy co do noclegu, czy wiktu, czy innych rzeczy, ale być zadowolonym z tego, co jest. Pewne niedociągnięcia są nieuniknione przy takich okazjach. Baczcie — mówił — by nic nie niszczyć, zwłaszcza w ogrodzie. Nie ruszajcie owoców, ani winogron, byłoby to oznaką małego umartwienia i żarłoczności, a ewentualne szkody dałyby powód do skargi. Rozkład dnia — kończył — będzie rozwieszony jutro po salach. Co zawsze poleca to wierne jego przestrzeganie. Pomyślcie, że te rekolekcje mogą łatwo być ostatnie w waszym życiu. Wstanie jutro będzie o pół godziny później ze względu na ogólne zmęczenie spowodowane dłuższą podróżą.

Nazajutrz miał Święty konferencję wstępną o pół do dziesiątej. Oto jak nam ją przekazał ksiądz Barberis w swych zeszytach:

Z początkiem roku administrator wielkich dóbr woła do siebie tych, co zgłosili się do pracy i wyznacza im zajęcia. Jednemu zleca roboty w polu, drugiemu troskę o inwentarz, itd. przed odesłaniem ich do roboty, daje jeszcze odpowiednie wskazówki, aby wszystko postępowało dobrze. Dopiero każdy zabiera się do tego, co mu wyznaczono; a więc jeden idzie kopać, drugi orać, ten znów bydło odbywać, względnie pielęgnować drzewka; słowem każdy z największą gorliwością oddaje się powierzonej mu pracy.

Z końcem roku, gdy trzeba zdać sprawę z dokonanych robót, już nie administrator przyjmuje sprawozdania, ale odsyła z nimi do właściciela dóbr, by on przekonał się o stanie rzeczy. Właściciel każdego z osobna przepytuje, co zrobił, jak zrobił i co zarobił. Oczywiście, że to jest dla niektórych pracowników krępujące... Zmusza ich do refleksji nad swoim postępowaniem i do powzięcia odpowiednich postanowień na przyszłość.

Stosując to do nas, łatwo domyślacie się, iż to wy jesteście owymi pracownikami, którzy różne otrzymaliście zajęcia na początku ubiegłego roku, ja byłem owym administratorem rozdającym pracę. a teraz wypada zdać sprawę

z powierzonych wam obowiązków temu, dla którego właściwie pracowaliście, to jest Panu Bogu. Jego nie da się oszukać, jakby można wywieść w pole Księdza Bosko, tając przed nim własne przeżycia wewnętrzne i wiele tych zewnętrznych. Otóż celem rekolekcji jest zdać Bogu sprawę z przeszłości i zastanowić się nad swym postępowaniem w przyszłości, by doroczne sprawozdania nie były dla nas zawstydzające.

A trzeba i dla tego przeglądać dobrze nasze porachunki z Bogiem, gdyż każdego roku odprawiają rekolekcje tacy, którzy już więcej nie będą mogli ich odprawić, gdyż zostali powołani na sąd Boży. Biada im, jeśli ostatnich nie odprawili dobrze. Na pewno i w tym roku będą tu tacy, którzy przyszłych już nie doczekają. Przecież zeszłego roku byli tu z nami klerycy: Vallega, Piacentino i Vigliocco i księża Chiala i Giulitto; modlili się za tych, co przed nimi umarli, a dziś modlimy się my już za nich, jak na przyszły rok będziemy się modlić za niektórych z was tu obecnych. To dużo mówi!

A teraz kilka uwag, abyście doprawdy mogli odnieść jak największą korzyść z tych świętych dni. Na pierwszym miejscu zalecam bardzo, aby nikt z was nie był zgorszeniem dla otoczenia. I nie tylko to, ale niech każdy dla swego otoczenia będzie przykładem wzorowego odprawiania rekolekcji: każde słowo, każda czynność niech zmierza, by drugim czynić dobrze. Jeśli to spełnicie, to obfite owoce z pracy kaznodziei, jak i waszej są zapewnione.

Pomijając inne rzeczy, przypomnę jeszcze milczenie w czasach wyznaczonych. Milczenie jest fundamentem rekolekcji, gdyż ułatwia refleksję nad rzeczami usłyszczanymi i nad tym, co spodoba się Duchowi Świętemu każdemu natchnąć. Bardzo, więc to milczenie zalecam i to od modlitw wieczornych do śniadania, i to podwieczorkowe. A i wtedy, kiedy wolno rozmawiać, należy unikać hałasów i wszystkiego, co by mogło wprowadzić zamieszanie i przeszkadzać skąpieniu.

Kończąc kładąc szczególny nacisk na dobry przykład i milczenie.

A oto streszczenie słówek wieczornych, jakie Ksiądz Bosko miał w czasie rekolekcji:

Drugi wieczór. — W wielu miejscowościach zakrada się zwyczaj, którego nie chciałbym widzieć w naszych domach, a mianowicie, że zamienia się czasownik „klęczeć” z czasownikiem „siedzieć” i z tego robi się, jakby jedną rzecz. Nie, moi drodzy! To błąd oczywisty. Ani gramatyka, ani etymologia, ani filologia na to nie pozwalają, ani nie są to żadne synonimy. To głównie w Ligurii zakradł się ten lapsus i trzeba go koniecznie wykorzenić.

Otóż zdarza się często, iż niektórzy klęczą, a właściwie siedzą oparci tyłem o ławkę. Mówiłem na ten temat z jednym z biskupów i pokreśliłem niewłaściwość czegoś podobnego. Racja, iż taki jest ogólnie przyjęty zwyczaj mnie nie przekonuje i trzeba to zmienić. Zaczniemy, zatem od nas samych:., kiedy wypada usiąść, to trzeba siedzieć w należytym postawie: zaś, kiedy się klęczy, to klęczeć prosto bez opierania się tyłem. Zalecenie to ważne jest na teraz, ważne również na przyszłość, ważne dla

dyrektorów zakładów, aby na to zwrócili uwagę wychowanków. Wierście mi - zewnętrzna ułożona postawa ciała wielce przyczynia się do skupienia.

Trzeci wieczór. — Dzisiaj w szczególniejszy sposób chcę wam zalecić byście unikali różnych nawyków i przyzwyczajęń. Nie chodzi o te dobre, które są praktyką cnoty, czy objawem pobożności. Tych miejcie jak najwięcej! Chodzi o nawyki szkodliwe, nieodpowiednie do naszego stanu. Do takich należy opieszałość we wstawaniu rano z łóżka, palenie tytoniu, zażywanie tabaki, czarna kawa, pewne herbatki, itd. Tu Święty podkreślił łatwość nabycia tych przyzwyczajęń, gdy się ktoś raz, drugi raz nie umartwi w tym względzie, przy czym wskazał na smutne następstwa takich nawyków i kończył: Niestety, widzicie, że mamy dużo przyzwyczajęń, do których z konieczności musimy się dostosować. Po cóż obciążać się nowymi! Jakby to było wygodnie, gdyby nie trzeba było jeść, czy spać! Ileż to kłopotów by odpadło! Ileż więcej czasu byłoby do pracy! Ale cóż robić? Nie obejdziemy się bez tego! Ale możemy nie przedłużać walki przy rannym wstawaniu, nie spać w ciągu dnia, nie jeść od rana do wieczora.

Czwarty wieczór. Jutro jest ostatni dzień do wniesienia prośby o przyjęcie do Zgromadzenia, względnie o dopuszczenie do ślubów, kto je pragnie złożyć. Z tym należy się zgłosić do księdza Barberisa rano, względnie po obiedzie.

Niektórzy pytają mnie, jaka jest różnica między uczynkiem spełnionym pod ślubem, a takim bez ślubu. Otóż dobrze będzie wam wszystkim to przypomnieć i lepiej uświadomić, co dotyczy ślubów... Tu Ksiądz Bosko przytoczył wywody, jakie na ten temat czytamy we wstępie do naszych Reguł o podwójnej wartości uczynków spełnionych ze ślubem, jako też o korzyściach doczesnych i duchowych, jakie z nich płyną.

Piąty wieczór. — Mówił o modlitwach za zmarłych Współbraci, jakie są przepisane przez Ustawy, wyliczając tych, co przenieśli się do wieczności, a których znamy z poprzedniego rozdziału.

Szósty wieczór. — Dzisiaj wpłynęły podania o śluby. Jakaż to piękna rzecz poświęcić się Bogu ślubami! Ale na jedną rzecz trzeba przy tym zwrócić uwagę. Bo są niektórzy, którzy poświęcają się Bogu w ten sposób, ale sercem są w domu, przy rodzinie, snują różne kombinacje. Tak nie można, moi drodzy! Jeśli poświęcamy się Bogu, to trzeba poświęcić mu się całkowicie, na niego składając wszelką troskę o nas samych. Wszak on myśli o każdym żyjątku, o każdym ptaszku niebieskim. A już niech nikt nie odważy się mówić: „Gdy zostanę księdzem, profesorem, to pójdę, obejmę, zarobię. Z taką intencją nie wolno wstępować do stanu kapłańskiego, czy zakonnego. Kapłan to sługa Boży, nie żaden handlarz! O zbawieniu dusz ma przemyśliwać, a nie o własnych interesach! Gorzej jeszcze, jeśli kto kombinuje, że zatrzyma się w Zgromadzeniu na przykład trzy lata, a potem. Taki, to prawdziwy złodziej i wobec Boga i wobec Zgromadzenia! To Zgromadzenie ma na ciebie łożyć pieniądze i trud, a potem, gdy nadchodzi czas, byś się mu jakoś mógł, choć w części odwdziaczyć, to ty je opuszczasz? Na przykład jest ktoś ubogi i nie może płacić. Zgromadzenie go

kształci w nadziei, że ten następnie będzie to mógł odrobić i dopomaga mu do uzyskania dyplomów naukowych. A tu z chwilą ich uzyskania taki ktoś ma odwagę powiedzieć: Ja już teraz Zgromadzenia nie potrzebuję! I występuję! Nie wiem, jak taki może mieć spokojne sumienie! Wszak okradł Zgromadzenie i grzech ten nie będzie mu darowany, dopóki nie spełni obowiązku restytucji. Niestety od czasu do czasu trafiają się między nami podobni niewdzięcznicy! Choćby rodzice nie wiem jak nalegali, proboszcz obiecywał złote góry, niechby to był i biskup, tak nie można opuszczać Zgromadzenia! Pamiętać trzeba na słowa Boskiego Zbawiciela, że nikt, kto przykłada rękę do pługa, a obraca się wstecz, nie jest godny Królestwa niebieskiego. Odwagi, zatem! Owszem poświęćmy się wszyscy Panu Bogu, ale poświęćmy się całkowicie, bez żadnych zastrzeżeń pomni ewangelicznego powiedzenia, iż nikt nie może dwom panom służyć.

Powyższe jest tylko słabym streszczeniem tego, co Ksiądz Bosko mówił na tym słówku. Były w nim aluzje wyraźne do wypadków całkiem świeżych. Nic, więc dziwnego, że mówił z taką siłą i z takim akcentem, iż to na wszystkich zrobiło głębokie wrażenie. Odnosiło się to głównie do dwóch kleryków, którzy ukończywszy śluby trzyletnie, o wieczystych nie myśleli, choć ich zdolności i charakter raczej wskazywały, że mają powołanie.

Następnego dnia na zebraniu Kapituły Święty wyraził się, iż może trochę za ostro wystąpił, ale był do tego zmuszony, gdyż nie tylko o tych dwóch chodzi, ale i o paru innych. Nikt jednak nie może czuć się obrażonym, gdyż zainteresowani nie byli wymienieni; z nim na ten temat swego powołania nie mówili, ani nawet nie mogą podejrzewać, czy on już o ich kombinacjach jest poinformowany. Ale skutek tego tak dosadnego słówka był. Obaj w nocy naradzili się - jeden wniósł prośbę o śluby zaraz rano, drugi jakiś dzień później. Trzeba tu jednak przyznać, iż miał do przewyciężenia nie lada trudności. Opozycja przeciw jego wstąpieniu do Zgromadzenia była gwałtowna tak ze strony rodziny, jak i proboszcza, który przeszkadzał mu w tym gorliwością godną lepszej sprawy. Owszem przyłączył się do niej nawet arcybiskup turyński, który bawiąc w miejscowości rodzinnej tego kleryka, osobiście poszedł do jego domu, by mu zawrócić w głowie. A gdy nie pomogły słodkie namowy i obietnice, posunął się do gróźb, iż go w takim razie nigdy nie wyświęci. Rozeszli się bez konkluzji; ale nie będzie nas dziwić, że to przecież musiało pozostawić swój ślad u tego biednego kleryka i chwilowo zawahał się.

Uroczystość składania ślubów odbyła się 17 września w niedzielę. O pół do dziesiątej odpowiadający rekolekcje poszli do kościoła, wysłuchali drugiej Mszy świętej, odmawiając równocześnie oficjum, po czym ukończono czytanie Reguł. Po odśpiewaniu *Veni Creator*, mający składać profesję zebrali się w zakrystii. Było 14 do trzechletniej, 21 do wieczystej. W prezbiterium był przygotowany klęcznik, na którym mieli odmawiać przepisaną formułę ślubów. Przed ołtarzem stał fotel dla Księdza Bosko in cornu Ewangelii. Najpierw podeszli ci do ślubów wieczystych. Po nich ci do trzechletnich, którym Święty powtórzył interrogatorium. Na temat tej profesji notuje

ksiądz Barberis: Zauważyłem w tym roku pewną stanowczość głosu przy odczytywaniu formuły. Czytali wszyscy głośno, dobitnie, bez jąkania się i bez błędów. Po odczytaniu formuły, każdy podpisywał swoją cedułę i wracał na swoje miejsce w kościele. A oto ważniejsze punkty przemówienia, wygłoszonego z tej okazji przez Księdza Bosko:., Kiedy wódz widzi, iż potężniejszą liczebnie jego hufce, cieszy się, bo łatwiej przyjdzie mu pokonać wroga. Tak i ja się cieszę widząc rosnącą liczbę swych synów, gotowych do walki ze szatanem na tej ziemi, aby osiągnąć królestwo niebieskie... Otóż złożenie świętych ślubów jest właśnie wysunięciem się do pierwszych szeregów między hufcami Chrystusowymi. Lecz by chlubnie dotrzymać placu boju, nie wystarczy złożyć śluby. Trzeba dołożyć wszelkich starań, aby w najdrobniejszych szczegółach wypełnić to, co się przyrzekło.

Przez śluby poświęciliśmy się całkowicie Panu Jezusowi: nie odbieramy mu tego, cośmy mu raz ofiarowali. Poświęciliśmy mu nasze oczy: zaniechajmy, więc lektury błażej i niepożytecznej, spojrzeń zbyt ciekawych, czy wręcz złych. Poświęciliśmy mu swoje uszy: nie słuchajmy, więc krytyki złośliwców, szemrania, czy rozmów głupich i światowych. Poświęciliśmy mu nasz język: niechże, więc nie wypowiada on słów uszczypliwych, dowcipów sarkastycznych pod adresem kolegów, niech nie rozsiewa niezadowolenia, nie buntuje się przeciw przełożonym, ale raczej niech chwali Boga pieśnią i modlitwą, niech opowiada budujące przykłady, niech innych zachęca do cnoty. I smak nasz poświęciliśmy Zbawicielowi: niech daleka od nas będzie wybredność w pokarmach, chciwość w jedzeniu, łapczywość na słodczyce czy napitki, itd. A nasze ręce te w szczególniejszy sposób Bogu są poświęcone, zwłaszcza u kapłanów: niech, więc nie próżnują, ale ochoczo biorą się i do zajęć najniższych, aby tak wszystko postępowało w porządku. I nogi Bogu są poświęcone: bardzo to obszerny do omawiania temat! Oby te nogi nigdy nie przyczyniły się do tego, byśmy mieli opuściwszy raz świat, powrócić do niego. Pamiętajmy, co mówi Duch Święty: *Mundus in maligno positus est totus* — świat cały w złym leży. Baczmy, zatem, żeby te nogi nie zaniosły nas tam dotąd, skąd żeśmy uciekli.

Najgrubszą kłodą, jaka zawała nam drogę powołania, to rodzice i krewni. Ale pamiętajmy, że według słów Zbawiciela, gdy ci są nam przeszkodą do dobrego, to nie tylko nie powinniśmy ich słuchać, ale w takim wypadku raczej nienawidzić. Oderwijmy, zatem serca od spraw rodzinnych, odkąd Bóg raczył powołać nas do swojego orszaku. Po cóż narażać się znowu na niebezpieczeństwo odstępstwa od naszego Boskiego Mistrza, które zawsze nam grozi, gdy idziemy słuchać o domowych kłopotach, potrzebach i kombinacjach! Nie spotkałem jeszcze takiego, który by wróciwszy z domu rodzinnego, mógł powiedzieć, że te odwiedziny, czy wakacje zrobiły mu dobrze.

Opowiem wam teraz, co mi się niedawno zdarzyło. Otóż jeden z dobrych chłopców poprosił mnie, by mógł iść do domu. Pragnę odwiedzić rodzinę — mówił on, aby zachęcić swego brata do Zgromadzenia, a siostrę przyprowadzić do Mornese. I tak wszyscy moi najbliżsi znajdują się pod płaszczem Najświętszej Wspomożycielki.

Znając niestałość usposobienia owego młodzieniaszka, starałem się go odwieść od tego zamiaru. Ale on nie usłuchał. Długo nie wracał. Aż wreszcie nadszedł od niego list tej mniej więcej treści: W Oratorium mówiono mi, że na świecie są wszyscy źli. A tymczasem rzeczy mają się inaczej. Wszędzie znalazłem dużo dobrych ludzi. Przekonawszy się, więc, że i w świecie mogę żyć, jako dobry chrześcijanin, a chcąc również pomagać swoim rodzicom, zdecydowałem się nie wracać do Oratorium. Bardzo mi żal było tego chłopca, którego zachowanie u nas było doprawdy wzorowe. Często o nim myślałem i kazałem przy sposobności ode mnie go pozdrowić. Aż pewnego razu natknąłem się na niego. Chciał mnie ominąć, ale nie udało mu się. Rozmowa potoczyła się trochę nerwowo. Na końcu wyraźnie mi oświadczył: Cóż Ksiądz chce? Całkowicie zmieniłem swój światopogląd. Nie mam zamiaru ciągle całować księży po rękach. Zapytałem go, czy był do spowiedzi wielkanocnej — odpowiedział przecząco. Pytam, więc, jak może żyć tak spokojnie: Przecież sumienie musi mu robić wyrzuty. Spojrzał na mnie z taką złością, że do dziś tego nie mogę zapomnieć i rzekł: No tak. Nasze drogi całkiem się rozeszły. Do widzenia. Niech Ksiądz idzie za swoimi sprawami, a ja pójdę za moimi. Chciałem go zatrzymać, ale nadaremnie.

Dowiedziałem się później od jednego z jego kolegów, że mu wprost powiedział — Przeklęty dzień, w którym spotkałem Księdza Bosko! Widocznie rozmowa ta obudziła jego sumienie. Zaczął porównywać swój stan psychiczny za pobytu w Oratorium do obecnego, w jakim się znajduje. Przyznał, że, aby się trochę uspokoić, to musiał kłąć, pić i awanturować się.

Oto, na czym skończył jeden swoje odwiedziny w rodzinie, którą miał nawrócić. Poszedł nie usłuchał Przełożonych. Miejmy się na baczności.

Ale spostrzegam się, że odbiegłem trochę od tematu. Mówiliśmy o zupełnym poświęceniu się Panu Bogu na całe nasze życie. Powinniśmy, zatem usiłować bardzo, ażeby nasze postępowanie na każdym kroku odpowiadało temu. Wiercie, moi drodzy, że nikt na łożu śmierci nie żałował, że Bogu służył. A jest liczba niezliczona tych, którzy z końcem życia muszą żałować, że Boga nie kochali Płaczą, ale jest już za późno. Chodźmy, zatem godnie w powołaniu, do którego zostaliśmy wezwani.

Trzecie kazanie miał Ksiądz Bosko na zakończenie rekolekcji. Oto jak mówił: Mamy niezadługo się pożegnać i każdy z was pójdzie na miejsce, dokąd go Opatrzność Boża przez posłuszeństwo naznacza. Cóż, więc mam wam powiedzieć na pamiątkę obecnego naszego spotkania. Niech to będą trzy słowa, które jednak zawierają w sobie bardzo bogatą treść. Niechże głęboko zapadną nam do serca. A są te słowa: **CIERPLIWOŚĆ, NADZIEJA, POSŁUSZEŃSTWO.**

Otóż na pierwszym miejscu polecam wam cierpliwość, bo jak czytamy w Piśmie świętym: „Cierpliwość wam potrzebna jest... W cierpliwości posiadziecie dusze wasze”. Nie mówię tu o cierpliwości potrzebnej w czasie prześladowań, czy wypadkach ciężkich chorób. W takich okazjach Bóg udziela łaski nadzwyczajnej... Mówię o cierpliwości, na co dzień, potrzebnej przy spełnianiu naszych obowiązków,

do zachowania Reguł, do sumiennego wykonywania zajęć. Takiej cierpliwości potrzebują i Przełożeni i podwładni.

I tak zdarzy się, że ktoś obciążony poważnie obowiązkami, otrzyma jeszcze nowe zajęcie i wtedy w nim się krew burzy. Potrzeba tu cierpliwości.

Inny chciałby uczyć się w szkole, a każą mu asystować, albo na odwrót. Ktoś chciałby być w jednym domu, a wysłą go do drugiego. Potrzeba tu cierpliwości.

Inny myśli, że Przełożony patrzy na niego krzywym okiem i zawsze obciąża go więcej niż innych. Jeśli mu zabraknie cierpliwości i zacznie szemrać, buntować się, to wtedy, co będzie? A może, komu przyjdzie ochota rzucić wszystko, wobec napotkanych trudności, i pójść sobie... Tutaj potrzeba cierpliwości.

Więcej jeszcze cierpliwości potrzebuje Przełożony, bo podwładnych jest wielu i jakoś sobie dadzą radę, ale on jest sam. Dlatego to zdarza się, iż Przełożeni nieraz młodzi, a już garbacieją pod ciężarem różnych kaprysów swego otoczenia, często nawet złośliwego. Czyż wtedy mają wszystko rzucić, względnie robić awanturę? Pewno, że nieraz przychodziłaby ochota nagadać temu, czy owemu, albo go się wprost pozbyć. W tych właśnie wypadkach potrzebna cierpliwość, albo powiedzmy lepiej miłość okraszona słodyczą i łagodnością.

Nieraz nauczyciel, czy asystent mógłby krótko skończyć z chłopakiem, wymierzając mu policzek, czy co gorszego. Podobne jednak postępowanie – zapamiętajmy to sobie dobrze – może doraźnie winowajcę uspokoić, ale nigdy go nie poprawi, nie wzbudzi zamiłowania do cnoty. Pracujmy, pracujmy wiele, ale zawsze spokojnie, łagodnie i z cierpliwością.

Ala powie ktoś: To łatwo tak mówić, ale opanować się na widok pewnych. Co? Kosztuje wysiłku? Także ja to rozumiem, że kosztuje, ale czy wiecie, od czego pochodzi słowo „cierpliwość – patientia”? Od patior, pateris, passum sum, pati – co po prostu znaczy cierpieć, znosić, wytrzymać, zadać sobie gwałt. A gdyby to nic nie kosztowało, to nie byłoby cierpliwością. Właśnie dlatego, że dużo kosztuje, to ja ją tak zalecam, idąc za wskazaniem Pisma świętego. I ja sam dobrze odczuwam na własnej skórze, że kosztuje. Bo nie myślcie, że to znów rzecz taka rozkoszna całymi godzinami przyjmować interesantów, albo wieczorami siedzieć przy biurku, załatwiając listy różnej treści. Och, mogę was zapewnić, że tyle razy z przyjemnością wyszedłbym zażyć świeżego powietrza. No, ale potrzebna cierpliwość, inaczej by się nic nie zrobiło. Trzeba więc cierpliwości.

To łatwo mówić, zawoła któryś, Księdzu Bosko: cierpliwości, cierpliwości. Niech będzie! Ale ostatecznie jemu...

NIE MYŚLCIE MOI DRODZY, ŻE MNIE TO NIC NIE KOSZTUJE, GDY KOMUŚ ZLECĘ JAKIEŚ WAŻNE ZAJĘCIE, CZY ZAŁATWIENIE DELIKATNEJ I PILNEJ SPRAWY, A POTEM SPOSTRZEGAM SIĘ, ŻE TO NIE ZOSTAŁO ZAŁATWIONE NA CZAS; ALBO, ŻE TO ZAŁATWIONO ŹLE. NIE MYŚLCIE, ŻE MI ŁATWO WTEDY ZACHOWAĆ SPOKÓJ. ZAPEWNIAM WAS, ŻE NIEKIEDY KREW SIĘ BURZY W ŻYŁACH, DRESZCZ WSTRZĄSA CAŁĄ MOJĄ OSOBĘ.

/Uwaga: Podkreślenie to zwraca uwagę, jak Ksiądz Bosko mimo woli wyraził, ile go kosztowało utrzymać się w równowadze za przykładem św. Franciszka Salezego/. A wtedy, co? Denerwować się? Wszak przez to nie otrzyma się, by to niezrobione zostało zrobione, ani wpadając w furję, nie poprawi się podwładnego. Trzeba go spokojnie upomnieć, pouczyć, zachęcić, a może czasem nawet trochę ostrzej skarcić. Może i to być, ale wtedy trzeba sobie pomyśleć: jakby w tym wypadku zachował się święty Franciszek Salezy? Tak postępując, sprawdzą się nam słowa Pisma: *In patientia vestra...*

A dalej potrzebna nam cierpliwość w zachowaniu Reguł. Będą takie dni, gdy ktoś czuje się zmęczony, skwaśniały, nie ma ochoty ani do rozmyślenia ani do Różańca, ani do monotonnej asystencji. W takich wypadkach, trzeba prosić Boga i Matkę Najświętszą o wytrwałość i cierpliwość.

Ileż to cierpliwości trzeba ogrodnikowi, zanim ze ziarenka wypielęgkuje roślinkę jakąś, czy drzewko. I ziemię musi spulchnić i ziarenko odpowiednio zasiał i potem plewić i okopywać, względnie obcinać, przykrywać, chronić od szkodników itd. itd... A po co to wszystko? Ażeby mieć owoce. A jeszcze czasem jakaś roślina uschnie, czy się złamie...

Taka sama jest praca wychowawców. Nasza praca nad chłopakami i nad naszym charakterem. Będą wypadki, że i na darmo pójdą nasze wysiłki, ale pocieszymy się, bo nagroda nas mimo to nie minie. Otóż ta NADZIEJA jest cnotą, która doda nam sił we wszystkich trudnościach i pracach. Uświadomcie sobie, jak pocieszające są owe słowa: „Ileś w małym był wierny, nad wielu cię postawię”.

Doprawdy, my ludzie nie wiele możemy zdziałać dla chwały Bożej, ale jeśli wiernie spełnimy to mało, co nam czynić wypadnie, nagroda spotka nas wielka. Kiedy ty, o nauczycielu, jesteś zmęczony i chciałbyś rzucić twoje zajęcie, przypomnij sobie owo ewangeliczne zalecenie wierności w małym, a na pewno dojdiesz do wielkiej nagrody.

A któryś z dyrektorów powiedział, napomniał, polecił... ale już mu cierpliwości brakuje. Rzuciłby wszystko; niech idzie, jak chce, względnie zrobił awanturę... Uwaga, bądź wierny w małym, a otrzymasz wiele.

Cierpliwość połączona z nadzieją wielce będzie pomocna w przewycięzaniu samych siebie. Chodzi o przewycięzanie naszych przyzwyczajzeń, złych skłonności, pokus natrętnych itd. O ileż to kosztuje wyzbyć się jakiegoś nałogu, oziębłości, wygodnictwa, opieszałości w pełnieniu posłuszeństwa, czy praktyk pobożnych. Ale niech kosztuje, ile chce, trzeba cierpliwie dążyć do zwycięstwa i do wiecznej nagrody. A tylko „w cierpliwości waszej posiadzicie dusze wasze”, a święty Paweł dodaje: „*Si vos delectat magnitudo praemiorum, non vos terreat magnitudo laborum*”. I tu opowiedział anegdotkę o owym pustelniku, który w różnych cierpieniach swoich spoglądał na niebo tylko przez otwór w swojej celi i to wystarczało mu, by zachować stale pogodę ducha. Zapytany, jak może być tak stale wesołym, odpowiedział: Wszelka pociecha płynie przez ten otwór.

Jeszcze wypada powiedzieć kilka słów o posłuszeństwie. Kiedy ono by nam ciążyło, popatrzmy na niebo. Posłuszeństwo jest duszą zgromadzeń zakonnych. Ono je organizuje i nadaje im siłę życiową. Posłuszeństwo czyni wartościowymi nawet jednostki mniej zdolne, które spełniając dobre przysługi według wytycznych przełożonego, przyczyniają się, by cały organizm danej społeczności, rozwijał spokojnie swą działalność. Na zakończenie bardzo zalecam gorliwe odprawianie ćwiczenia dobrej śmierci. Na refleksji zastanowić się nad postępem ubiegłego miesiąca, a potem przejść do szczegółów dotyczących ślubów i własnych obowiązków. Ten rachunek sumienia dłuższy czy krótszy, niech jednak zawsze będzie wiernie przestrzegany. Odwagi, drodzy synowie. Jeśli coś nam przyjdzie cierpieć przy pełnieniu woli Bożej, nie wzdrygajmy się przed cierpieniem. Nasz Boski Zbawiciel będzie umiał nas hojnie wynagrodzić w tym życiu swoim błogosławieństwem, a we wieczności szczęśliwością niebieską.

Po skończonym kazaniu i po odśpiewaniu *Veni Creator* profesjści odnowili śluby przed Najświętszym Sakramentem uroczyście wystawionym. Ksiądz Rua z kazalnicy odmówił Litanię Loretańską, *Pater noster...*, *Ave Maria...*, *Gloria...* do św. Franciszka Salezego, następnie odczytał głośno formułę ślubów, którą inni powtarzali. Nastąpiło *Te Deum* i błogosławieństwem Najświętszym Sakramentem. Tak skończyły się rekolekcje. Po obiedzie więcej urozmaiconym niż zwykle, część współbraci zaraz wyjechała, a ci, którzy byli z Ligurii, musieli się jeszcze na jedną noc zatrzymać. Ksiądz Barberis zanotował w kronice, że cała ta seria rekolekcji odbyła się „con grande pacatezza – w wielkim spokoju”.

Druga seria była krótsza. Trwała od 21 do 28 września. Uczestników było 250, w przeważnej części aspiranci i nowicjusze. Kaznodzieją był o. Gaspar Olmi znany w północnych Włoszech kaznodzieją, który - jak czytamy w notatniku księdza Lazzero - „piacque assai – bardzo się podobał”.

Na końcu rekolekcji osiemnastu złożyło śluby wieczyste, osiemnastu czasowe. W związku z tymi rekolekcjami wypada nam wspomnieć pewien charakterystyczny epizod i bardzo interesujący sen Księdza Bosko.

Epizod pozostaje w związku z księdzem Michałem Unia, apostołem trędowatych w Agua de Dios. Przyjechał on do Oratorium z Roccaforte Mondovi właśnie, gdy miała zaczynać się druga seria rekolekcji i z miejsca wysłany został do Lanzo. Ksiądz Bosko nie znał go wcale. W ostatnich dniach ćwiczeń duchownych, Unia widząc, że wszyscy idą spowiadać się do Księdza Bosko, poszedł także i on. Miał zamiar spowiadać się od ostatniej swojej spowiedzi. Ale Ksiądz Bosko mu rzekł:

„Nie uważałyś za stosowne odbyć spowiedź generalną?”

„Nie jestem przygotowany i nie umiałbym tak w jednej chwili zrobić sobie rachunku sumienia.”

„To nic nie szkodzi. Ja będę mówił grzechy, a ty mi będziesz odpowiadał na moje pytania jednym słowem: tak. I to rzekłszy Ksiądz zaczął mu przedstawiać przed oczy przebieg jego życia, wszystkie jego uchybienia i ich liczbę. Oczywiście Unia, który

wtedy miał 24 lata, był tym wszystkim bardziej niż zaskoczony. Otrzymał rozgrzeszenie, cały wzruszony, zapytał Księdza Bosko:

A skądże Ksiądz może mnie tak dobrze znać?

Przecież ja cię znam już od dziecka. Czy chcesz dowodu na to?

Kiedy miałeś dwanaście lat, pewnej niedzieli byłeś w kościele w twojej wiosce, na chórze, podczas nieszporów. Koło ciebie znajdował się twój kuzyn, który drzemał z otwartymi ustami. Ty widząc to, wyjąłeś śliwkę z kieszeni i włożyłeś mu ją do ust, tak, że biedak mało się nie udławił.

Zdarzenie było zupełnie prawdziwe. Ksiądz Unia gotów był to zaświadczyć przysięgą. Sam często to opowiadał swoim współpracownikom.

Na zakończenie rekolekcji Ksiądz Bosko opowiadał symboliczny sen. Jest to jeden z najbardziej pouczających snów. W czasie opowiadania zapisywał słowa świętego księdza Lemoyne, następnie dał mu do poprawienia i tak doszedł do naszej pamięci. Dla jasności podzielimy opowiadanie na cztery części.

CZEŚĆ I.

Mówi się, że nie należy zwracać uwagi na sny: na ogół i ja jestem tego samego zdania. Niekiedy jednak, choć nie są one prorocze, to przecież pomagają do rozwikłania zawitych spraw. A wtedy warto z nich skorzystać. Sen, który teraz zamierzam wam opowiedzieć, zajmował moją wyobraźnię prawie przez całe te rekolekcje, a już strasznie mnie zmęczył ubiegłej nocy. Przedstawię wam go z małymi skrótami, w całej jego wyrazistości, bo zawiera w sobie wiele poważnych wskazówek.

/Uwaga: Sen poniższy w „SNACH KSIĘDZA BOSKO” nosi tytuł: GROŹNY BYK strona 86/.

Zdawało mi się, że jechaliśmy społem z Lanzo do Turynu. Nie umiałbym tego ustalić, co by to był za wehikuł, czy wagon kolejowy, czy omnibus, czy coś podobnego... W każdym razie nie szliśmy pieszo. Gdy naraz ów wóz się zatrzymał, zszedłem zobaczyć, co się stało. I wtedy zjawił się „KTOŚ”, którego nie potrafię wam określić. Raz zdawało mi się, że jest wysoki, to znów, że niski; raz był gruby, to znowu smukły; raz biały, raz czerwony; chodził po ziemi, to znowu unosił się w powietrzu. Zdumiony nie umiałem sobie tego wytłumaczyć. Ale po chwili namysłu zdobyłem się na odwagę i pytam:

Coś ty za jeden?

Ten bez niczego odrzekł: - Chodź!

Oczywiście chciałem przedtem wiedzieć, kto jest i czego chce, ale tenże nalegał: Chodź prędko! Każemy tym wozom skręcić tu na pole...

Dziwnym było w jego mowie to, że przemawiał raz głośno, raz po cichu. Pole było bardzo obszerne, bez żadnej bruzdy, ubite jak klepisko. Widząc, że ten osobnik jest tak pewny siebie, kazałem swym towarzyszom skręcić na pole, a następnie wezwaliśmy ich, by wysiedli. Wszyscy wyskoczyli pospiesznie, a zaledwie stanęli na ziemi, wehikuły znikły, nie wiadomo gdzie. Ja zaś odezwałem się:

Teraz, skorośmy wysiedli, to powiedz mi... to powiedzcie mi... to znaczy, niech mi pan powie... Zaczynałem niepewnie rozmowę, nie wiedząc jak tego Kogoś traktować, no i po co tu stanęliśmy. A on wtedy:

Jest bardzo ważny powód tego, a mianowicie chodzi o to, by was ocalić przed groźnym niebezpieczeństwem.

Jakim?

Przed niebezpiecznym bykiem, który nikogo nie oszczędza, co mu wejdzie w drogę... TAURUS RUGIEN QUAERENS, QUEM DEVIRET!

Powoli, powoli, mój drogi! Ty odnosisz do byka, co święty Piotr mówi o lwie; LEO rugiens...

Mniejsza o to, tam był lew, a tu jest byk ryczący. Faktem jest jednak, że trzeba się przed nim strzec. Zawołaj, więc wszystkich do siebie i zapowiedz im uroczyście, by się mieli na bacności i to bardzo na bacności. Skoro tylko usłyszą ryk BYKA, ryk straszny i przerażający, niech zaraz rzucą się na ziemię i tak twarzą przytuleni do niej, niech pozostaną aż byk ów przeleci. Biada temu, kto by cię nie usłuchał, kto by zaryzykował nie rzucić się na ziemię, bo zginie. Napisane jest, bowiem: Kto się poniża, będzie wywyższony, a kto się wywyższa, będzie poniżony... I w tejże chwili zawołał: Prędko, prędko, bo to bydlę już leci! Krzycz, ażeby naraz się kładli.

Zawołałem, więc do wszystkich stosownie do polecenia, a ów osobnik jeszcze bardziej nalegał: Mocno, mocniej wołaj, krzycz, wrzeszcz na całe gardło!...

Krzyczałem, jak mogłem najgłośniejszy. Na pewno zbudziłem w sąsiednim pokoju księdza Lemoyne.

Rzeczywiście w tej chwili dał się słyszeć ryk byka.

Uwaga, uwaga. Każ im zaraz kłaść się jeden obok drugiego w dwóch rzędach, z przejściem w środku na byka. Tak rozkazywał ów osobnik i ja wykonałem jego polecenie, bo już i byk ukazał się w dali zbliżając się do nas w szalonym pędzie. Ogół moich leżał przytulony do ziemi.. Kilku jednak nie usłuchało, chcąc koniecznie zobaczyć, co się stanie. Na szczęście nie było ich wielu. Wtedy ów Ktoś mi krzyknął: Zaraz przekonasz się, co ich spotka! Chciałem ich jeszcze upomnieć, krzyczeć, by się kładli, ale Nieznajomy nie pozwolił. Gdy się wydzierałem ku nim, syknął ostro: Posłuszeństwo obowiązuje i ciebie! Kładź się!..

Jeszcze się dobrze nie ułożył, gdy przeraźliwy ryk rozległ się tuż przy nas. Drżeli wszyscy pytając się wzajemnie: A teraz co? A może?.

Nie bać się, leżeć spokojnie! - krzyknąłem. Osobnik zaś powtarzał głośno: KTO SIĘ PONIŻA, BĘDZIE WYWYŻSZONY, A KTO SIĘ WYWYŻSZA, BĘDZIE PONIŻONY... KTO SIĘ PONIŻA...

Dziwnym było, że choć leżałem na ziemi z twarzą i oczyma wciśniętymi w piasek, jednak wszystko doskonale widziałem. Byk miał siedem rogów rozmieszczonych w koło: dwa pod nozdrzami, dwa nad oczyma, dwa jak zwykle, a jeden wyżej w środku. Rogi te bardzo silne były ruchome, tak że Byk w pędzie nie potrzebował się obracać, aby na kogo uderzyć, ale biegnąc rozrywał i tratował,

co tylko napotkał na drodze. Najdłuższe rogi były te przy nozdrzach i tymi też największe czynił spustoszenie.

Gdy już był przy nas, Osobnik zawołał: Teraz okaże się skuteczność pokory. I o dziwo! W jednej chwili poczuliśmy się uniesieni w górę. Byk nie mógł nas dosięgnąć. Ci zaś, co się nie położyli, niestety pozostali na ziemi i Byk ich roztratował w mgnieniu oka. Żaden nie ocalał.

Ale i my na górze byliśmy w strachu, czy nie spadniemy: jeden do drugiego powtarzał: No, jeśli spadniemy, to marny nasz los!.. Co robić? Tym większe było nasze przerażenie, gdy ujrzelśmy, jak Byk skacze do góry, chcąc nas rogami dosięgnąć. Mimo jednak wściekłych wysiłków nic nie wskórał. Wtedy rozjuszony jakby nam się odgrażał, że pójdzie poszukać sobie podobnych, a wróciwszy z nimi, stanie jeden na drugim... a wtedy zobaczy się... I ziejąc gniewem odszedł. My znaleźliśmy się znowu na ziemi, ale ów Ktoś zaraz zaczął wołać: Obróćmy się ku południowi.

CZEŚĆ II.

I naraz nie wiedzieć jak, scena się zmieniła. Obróciwszy się ku południowi, ujrzelśmy Przenajświętszy Sakrament wystawiony wśród gorejących świec. Pola już nie było, ale znajdowaliśmy się w olbrzymiej, przepięknej świątyni, Gdy tu trwalismy na adoracji, oto nadbiega już całe stado tych rozjuszonych byków, o strasznych rogach, o wstrętnym wyglądzie. Ponieważ jednak modliliśmy się nie mogły nam szkodzić. Odmawialiśmy właśnie koronkę do Najświętszego Serca Pana Jezusa. Po jej odmówieniu oglądamy się, ale już tych rogatych bestii nie było. Równocześnie zniknął i ołtarz i kościół, a przed nami znowu rozciągało się szerokie pole.

Łatwo domyślicie się, że ów Byk to nieprzyjaciel dusz naszych: czart, który ma na nas wielki gniew i chce nam stale szkodzić. Siedem rogów to siedem wad głównych. Co nas może uratować przed rogami tych potworów, czyli od pokus szatańskich, to pokora, ta podstawa wszelkiej cnoty.

CZEŚĆ III.

Zadziwieni spoglądaliśmy jedni na drugich. Nikt się nie odzywał. Czekali, bym ja przemówił, względnie ów Ktoś. Ten odciągnął mnie na stronę i rzekł:

Chodź, pokaże ci triumf Towarzystwa świętego Franciszka Salezego. Wejdz na ten kamień, a zobaczysz. W środku owego pola leżał ogromny głaz. Wstąpiłem na niego... Co za wspaniały widok roztaczał się przed moimi oczyma. Owo pole okazało się tak ogromne, iż obejmowało jakoby cały świat. Na nim byli zebrani ludzie wszystkich ras i narodowości. Było ich takie mnóstwo, że nie wiem, czy ich jest tylu na całym świecie. Pierwsi, jakich zobaczyłem, byli ubrani po naszemu. Tych znałem, przynajmniej najbliższe szeregi. Byli to salezjanie prowadzący za ręce całe szeregi młodzieży. Za nimi postępowali inni również z młodzieżą i znowu inni, ale tych już nie znałem. Od południa szli Sycylijczycy, Afrykańczycy i jakieś nieznane mi bliżej

plemiona, wszyscy prowadzeni przez salezjanów.

Obróć się! - usłyszałem polecenie. Obróciłem się i znowu ujrzałem nowe tłumy odmiennie od nas ubrane, w jakieś kozuchy i barwne wełniane płaszcze. Oglądając się na wszystkie strony świata zauważyłem od wschodu niewiasty o tak małych nóżkach, że prawie nie mogły się na nich utrzymać ani chodzić. Ale co w tym wszystkim interesujące, to to, że wszędzie tam byli salezjanie prowadzący młodzież, a za nią całe tłumy ludzkie. Pierwsze szereg i tu znałem, ale następnych już nie rozróżniałem... Tu wypada mi opuścić szereg szczegółów, by nie przedłużyć.

Tu przewodnik odezwał się: Patrz i zastanów się! Wszystkiego na razie nie rozumiesz, ale uważaj: to, co widziałeś, TO ŻNIWO PRZYGOTOWANE DLA SALEZJANÓW, TO POLE PRACY SALEZJAŃSKIEJ! Twój to synowie duchowi będą na nim pracować w dalszych latach i tych nie możesz znać. Ale wiesz, pod jakim warunkiem temu wszystkiemu podołacie? Zaraz ci powiem: Otóż trzeba, ażebyś kazał wszędzie przed ich oczyma wydrukować te słowa, jakie mają być waszym hasłem, waszą dewizą, waszym przebojowym wezwaniem.

Zapamiętaj, więc je sobie dobrze: IL LAVORO E LA TEMPERANZA FARANNO FIORIRE LA CONGREGAZIONE SALESIANA – Praca i umiarkowanie utrzymują w rozkwicie Zgromadzenie Salezjańskie. Te słowa każesz często tłumaczyć, będziesz je powtarzał, będziesz na nie kładł nacisk; owszem każesz zalecić wydrukowanie broszurki, która będzie je wyjaśniać, aby przekonać wszystkich, że praca i umiarkowanie, to jest spadek, jaki pozostawiasz swemu Zgromadzeniu, a który będzie jego chwałą.

Uczynię to bardzo chętnie – odpowiedziałem. Wszak to jest w naszym duchu i stale to już zalecam.

Jesteś, więc o tym przekonany? Zrozumiałeś mnie dobrze? To im pozostawisz w spadku i powiesz im wyraźnie, że póki tego będą się trzymać, będą mieli zwolenników i naśladowców po wszystkich częściach świata. Obecnie, kiedy kończą się rekolekcje, roześlij ich z tym hasłem. Niech będą przykładem dla tych, co przyjdą później.

A oto zjawiają się z powrotem omnibusy, które miały nas odwieźć do Turynu. Okazało się jednak, że były to wehikuły szczególnego rodzaju, dziwaczne jak żadne inne. Nasi zaczęli do nich wsiadać. Ja jednak widząc, iż nie miały poręczy, bałem się, by zwłaszcza młodzi nie powypadali i nie pozwalałem na nie wchodzić. Ale przewodnik mi powiedział: Niech jadą, niech jadą spokojnie! Nie potrzebne im oparcie, byle tylko pamiętali o słowach: „Trzeźwymi bądźcie i czuwajcie!”. Stosując się do tych słów nie upadnie się, nawet, gdy brak poręczy.

CZEŚĆ IV.

Pojechali, więc, a ja pozostałem sam na sam z owym „Ktoś”, który zaraz mnie wezwał słowy:

Chodź, chodź! Chcę ci pokazać to, co najważniejsze, a będziesz mógł się z tego

wiele nauczyć. Widzisz tamten wóz?

Owszem, widzę!

A wiesz, co tam jest?

Nie widzę dokładnie.

No to przybliź się! Podejź, oglądnij przybity doń karton. Jest tam napisane takie coś, co ci dużo powie.

Podchodzę i widzę na owym karteluszkach cztery wymalowane wielkie gwoździe. Więc pytam: Nic nie rozumiem, co by to miało znaczyć.

Czy nie widzisz czterech gwoździ? Oglądnij je dobrze: to są cztery gwoździe, które boleści sprawiły naszemu Boskiemu Zbawicielowi.

A więc co?

Otóż one dręczą Zgromadzenia zakonne. Jeśli twoje zgromadzenie nie będzie przez cierpieć, wówczas wszystko pójdzie dobrze i wyjdziecie na cało.

Ależ ja teraz wiem tyle, co przedtem – odpowiedziałem. Cóż doprawdy oznaczają te gwoździe?

Jeśli chcesz to lepiej zrozumieć, oglądnij dokładniej wóz, na którym są wymalowane te cztery gwoździe. Są w nim cztery przedziały; każdy odpowiada jednemu z gwoździ.

No tak! Ależ te przedziały czemuż znowu odpowiadają ?

Zobacz pierwszy. Zaglądnąłem i zauważyłem w nim napis: QUORUMDEUS VENTER EST!

No teraz już zaczynam rozumieć.

A przewodnik na to:

To jest pierwszy gwóźdź, który dręczy i rujnuje zakony. On i u was straszną rzecz sprawi, jeśli nie będziesz uważny. Zwalczaj go więc, a zobaczysz, że sprawy pójdą dobrze.

A teraz chodźmy do drugiego przedziału i czytaj napis na drugim gwoździu: QUAERUNT QUAE SUA SUNT, NON QUAE JESU CHRISTI. Ci szukają własnych wygod i korzyści, zabiegają o swoje interesy, a także swoich krewnych. Nie zależy im na rozkwicie Zgromadzenia, które przecież jest częścią Pana naszego Jezusa Chrystusa. Trzymaj z dala od was ten prawdziwy bicz zgromadzeń zakonnych, a wszystko się ułoży.

W trzecim przedziale napis na gwoździu był: ASPIDIS LINGUA EORUM. Fatalnym gwoździem dla zakonów to ci, co szemrają lub podburzają, stale mają coś do krytykowania, czy tak, czy owak.

Czwarty apartament, to CUBICULUM OTIOSITATIS. To miejsce dla leniwców. Skoro się wkradnie leniwość, to dom zakonne jest skończony. Dopóki się pracuje, nie ma niebezpieczeństwa.

A teraz warto jeszcze zwrócić uwagę na jeden szczegół w tym wozie, na który zwykle mało zwraca się uwagi, a chciałbym żebyś się nim zainteresował. Jest tam jedna skrytka, która nie stanowi części żadnego z tych przedziałów, a jednak do

każdego należy. Jest wspólna im wszystkim.

Widzę – rzekłem, – ale tam tylko są jakieś liście, zielska wysokie i powichrzane.

Słusznie, słusznie! Właśnie o to chodzi.

Ale co z tego mam wywnioskować ?

Zobacz napis tam ukryty! Zaglądam i czytam: LATET ANGUIS IN HERBA.

No i co – pytam ?

Otóż zważ: że są pewne indywidua skryte: nie mówią, nigdy nie otworzą serca wobec przełożonych. Stale przeżywają w sobie jakieś sekrety. Na tych trzeba bardzo uważać; to prawdziwa zaraza! Gdyby nawet ci złymi byli, ale szczerze się do tego przyznawali, może daloby się wszystko naprawić, ale kryją się, zło się powiększa w ich sercu trucizna wzbiera, gdy się zaś to wykryje, już jest za późno. Zło, jakie w otoczeniu spowodowali, już jest nie do naprawienia. Zapamiętaj sobie dobrze, co ci powiedziałem. Zalecam, aby na ten temat mówiono, przestrzegano, tłumaczono to obszerniej.

Usłyszawszy to, prosiłem przewodnika, by mi pozwolił zapisać sobie te uwagi.

Owszem, jeśli chcesz, możesz to uczynić. Ale wątpię, czy zdążysz.

Zabierałem się do pisania. Nagle słyszę jakiś hałas i ogólne wokół siebie zamieszanie. Oglądam się, by zobaczyć, co się dzieje i widzę, że ci, co niedawno odjechali, wrócili i skupiają się wkoło mnie przerażeni. W tej chwili znowu daje się słyszeć przeraźliwy ryk owego byka pędzącego za nimi. Na ten widok ze strachu obudziłem się.

Ale chciałem jeszcze poznać owoce umiarkowania i skutki nieumiarkowania. Kiedy z tym pragnieniem znowu zasnąłem, zjawia się przede mną ów tajemniczy Ktoś i woła mnie, bym szedł zobaczyć następstwa umiarkowania.

Zaprowadził mnie do przepięknego ogrodu pełnego prześlicznych kwiatów. Rosły tam wspaniałe róże - symbol miłości, słoneczniki, jaśminy, lilie, gdzieś tam pachnące fiołki, to znów nieśmiertelniki, goździki, słowem wspaniałe klomby kwiatów mieniły się w słońcu, jako symbole wszelkich cnót.

A teraz uwaga! - powiedział przewodnik. Znikł ogród, usłyszałem mocny hałas.

A to, co znowu, skąd ten hałas!

Obróć się i zobacz! Obróciłem się, zobaczyłem straszną scenę. Jakieś wstrętne karecisko ciągnęła świnia i olbrzymia wstrętna ropucha.

Pójdź i zobacz do środka! Podeszedłem i widzę, że ów wehikuł pełen jest różnorodnej gadziny: kłębiły się w nim węże, skorpiony, bazyliuszki, ślimaki, krokodyle, salamandry, kruki, nietoperze... Ten widok wstrząsnął mnie. Nie mogłem patrzeć na te wstrętne potwory, ani znieść fetoru, jaki wydawały ze siebie. Na szczęście poczułem szturchnięcie i... obudziłem się. Długo nie mogłem zapomnieć zaduchu, jaki wiał od owego wozu. Oczywiście tej nocy już nie spałem, takie to wszystko było obrzydliwe.

Książd Lemoyne zapisując sen, nie zapisał dalszej części kazania, które nam

przechował jednak ksiądz Barberis.

Przechodząc teraz do szczegółowych upominków rekolekcyjnych, zalecam w szczególniejszy sposób troskę o zachowanie cnoty czystości. Jest to królowa wszystkich cnot i wszystkie je strzeże. One stanowią jej orszak. Z jej utratą utraci się powoli wszystkie. Kochajcie tę cnotę, kochajcie ją bardzo, gotowi dla niej na wszelkie poświęcenia. Modlitwa i umartwienie to środki dla jej zachowania: *in ieunio et oratione*. Umartwiać się trzeba, co do wzroku, spoczynku, jedzenia, a zwłaszcza, co do wina; nie szukać wygod dla ciała, ale raczej je zmęczyć. Pamiętać pawłowe „*Castigo corpus meum et in servitutum redigo, ut spiritui inserviat*”.

Dalej zalecam, co już wspomniałem na pierwszej serii: Posłuszeństwo, cierpliwość, nadzieję. Nie zapominajcie o pokorze; praktykujcie ją sami, uczcie jej waszych wychowanków. To fundament wszelkich cnot.

Nie pracujcie, by się podobać Księdzu Bosko /jak się czasem słyszy/, ale pracujcie dla Boga i jego chwały, bo on będzie zapłatą waszą wielką zbytnio.

Zachowajcie Reguły, a zwłaszcza tę dotyczącą ćwiczenia dobrej śmierci. W tym dniu niechże każdy postawi sobie poważne te pytania:

1. Gdybym umarł w tej chwili, czy miałbym jakiś niepokój w duszy?
2. A w ubiegłym miesiącu jakie przydarzyły mi się większe upadki?
3. Różnica między tym miesiącem, a uprzednim jest na lepsze, czy na gorsze?
4. Gdybym teraz umarł, czy nie pozostawiłbym spraw swego urzędu w nieporządku? W razie potrzeby wypadnie wtedy doprawdy doprowadzić je do należytego stanu.

Co dotyczy wątpliwości u niektórych odnośnie ich powołania, to mogę was tu obecnych zapewnić, że macie na pewno powołanie. Starajcie się tylko wiernością w zachowaniu Konstytucji wysłużyć sobie wytrwania w nim aż do śmierci. Wątpliwości zaczną was nachodzić z chwilą, gdy się zaniedbacie w zachowaniu wiernym Regulaminów. Wierność Ustawom niech będzie pieczęcią na to wszystko, coście usłyszeli od kaznodziei i ode mnie, a będziecie teraz i w wieczności szczęśliwi.

Podczas tej drugiej serii rekolekcji zaszedł tragiczny wypadek. Podczas powyższej konferencji Świętego, dziekan miejscowy, teolog Fryderyk Albert, kapłan i uczonego oraz bardzo przedsiębiorczy, a przy tym artysta i świątobliwy kończył malowanie sklepienia w kościółku wybudowanym dla Oratorium, jakie chciał założyć w swej parafii i przy tym pośliznąwszy się spadł z wysokości około 8 metrów na kupę gruzu, rozbił sobie głowę i leżał na pół martwy. Za Księdza Bosko pobiegł z pomocą religijną ksiądz Rua i ks. Lemoyne. Nadbiegli i lekarze. Potłuczonego przewieziono do szpitala, ale już przytomności nie odzyskał. Zauważono tylko, iż gdy po konferencji nadszedł i Ksiądz Bosko oraz do niego serdecznie przemówił, to chory przestawał ciężko dyszeć, jakby słuchał; a znów rżenie rozpoczynało się, gdy ten umilkł. Do łóżka konającego zbiegli się okoliczni proboszczowie i kapłani bardzo przejęci całym

wypadkiem. Wielu z nich przychodziło następnie do Świętego i powtarzali, jakby zmówieni, to samo: Po ludzku mówiąc, nie ma nadziei wyzdrowienia. Ale niech Ksiądz Bosko poleci go swej Madonnie. Jeśli Ksiądz się pomodli, to wydobrzeje jeszcze.

Na to Ksiądz Bosko, który więcej od innych odczuwał stratę tego swego przyjaciela wielkiego, odpowiadał niezmiennie: Pewno, to jest wypadek, w którym po ludzku mówiąc, wypadałoby, żeby Madonna zrobiła cud! Ale cóż robić! Trzeba się pogodzić z wolą Boską. Nikomu nie robił najmniejszej nadziei.

Do swoich zaś mówił: Jeżeli ktoś odczuwa tę stratę, to z pewnością ja, co tyle doznałem od niego pomocy. Nigdy nic mi nie odmówił, ale zawsze z największą chęcią szedł mi na rękę czy w sprawach finansowych, czy duszpasterskich. Oczywiście, że i ja zawsze byłem dla niego gotów do usług. Że otrzymaliśmy zakład w Lanzo, to jego w tym wielka zasługa. Ostatnio przejęty był otwarciem Oratorium, co i nam było wygodne. Już nawet był wyznaczony personel nasz do jego uruchomienia. I właśnie, gdy kończył malowanie sklepienia wzniesionej na ten cel kaplicy, oto Bóg powołuje go po nagrodę niebieską. I dla Lanzo i dla nas jest to wielka strata i niezwykle bolesna.

Przy tej okazji opowiedział, w jakich okolicznościach z nim się poznał w roku 1844, kiedy to Oratorium przeżywało swe ciężkie perypetie. Otóż pewnej niedzieli zbliżył się do niego młody ksiądz, który po wstępnych przywitaniach powiedział:

Słyszałem, że Ksiądz Bosko potrzebuje księdza do pomocy w nauczaniu katechizmu i w urabianiu ku dobremu tych chłopców. Jeśli Ksiądz uważa, że mógłbym się nadać do czegoś, to jestem do dyspozycji.

A godność księdza ?

Teolog Albert.

Czy ksiądz już głosił kazania?

Tak, parę razy. W razie potrzeby przygotuję się... A w razie gdyby tego nie było potrzeba, mogę pomagać w lekcjach, pisaniu czegoś, czy w korespondencji...

Czy ksiądz już głosił nauki rekolekcyjne?

Jeszcze nie, ale i to dałoby się przygotować w krótkim czasie.

No to dobrze! Dla tych moich chłopców przydałyby się rekolekcje. Niech się ksiądz przygotowuje, a potem ustalimy resztę. Młody teolog usłuchał. Chłopców zebrało się około dwudziestu. Były to pierwsze rekolekcje w Oratorium wtedy jeszcze wędrownym. Odtąd kontakty między Księdzem Bosko a teologiem nie ustawały. Umarł on rano 30 września. Prowadził życie bardzo umartwione, pełen gorliwości o zbawienie dusz. Zorganizował hospicjum dla ubogich dziewcząt, odrestaurował kościół parafialny i przygotowywał Oratorium dla chłopców. Należał do wybitniejszych kaznodziejów archidiecezji. W pogrzebie jego wzięli udział wszyscy uczestnicy trzeciej serii rekolekcji w Lanzo, którym Ksiądz Bosko w tym celu kazał przyspieszyć przyjazd.

Trzecia seria trwała od 1 do 7 października. Kaznodzieją był ojciec Bruno, filipin, wielki znawca dusz. Wzięli w nich udział księża i starsi klerycy. Jeśli o pierwszych dwóch seriach wiemy mało, to o tej trzeciej prawie tyle, co nic. Doszedł do nas tylko jeden sen zatytułowany „Filoksera”, jaki w czasie tej serii Ksiądz Bosko opowiedział. /Uwaga: W Snach świętego Jana Bosko tytuł ten sam str. 93 /.

Zdawało się Księdzu Bosko, iż znajduje się w obszernej sali w Borgo S. Salvatio w Turynie. Zgromadzeni w niej byli zakonnicy i zakonnice dwóch różnych klasztorów. Gdy wszedł, oczy wszystkich zwróciły się ku niemu, co wyglądało, jakby go tam obecni wyczekiwali. Wśród nich zobaczył jakiegoś dziwnego człowieka z głową obwiązaną białym bandażem. Cały otulony był w rodzaj prześcieradła o kształtach peleryny. Zapytawszy się, kto by to był, usłyszał Ksiądz Bosko odpowiedź, że to on sam właśnie jest owym dziwadłem. Kiedy podszedł następnie ku owym osobom duchownym, to jakoś znacząco uśmiechnięte, otoczyły go w milczeniu. Patrzył na nie zdziwiony, a one na niego bez słowa, tylko ciągle uśmiechały się.

Co się tak śmiejecie? - przerwał milczenie Ksiądz Bosko.-Wygląda jakbyście chcieli ze mnie dworować.

Dworować z ciebie? To zaś nie! Śmiejemy się, bo odgadujemy, po coś tu przyszedł.

Jakżeż wy to możecie odgadywać, skoro ja sam nie wiem, po co tu przyszedłem. Stwierdzam, że wasz śmiech nie miłe na mnie robi wrażenie.

Powód, dla którego tu przyszedłeś – rzekli owi zakonnicy – jest ten: Ty zebrałeś na rekolekcje swoich kleryków do Lanzo.

No i co z tego ?

A teraz przyszedłeś tu, by usłyszeć od nas, co im na zakończenie tych ćwiczeń duchowych powiedzieć.

Niech i tak będzie. Poradźcie mi zatem, co by najbardziej przyczyniło się do rozkwitu Zgromadzenia św. Franciszka Salezego. Będę wam za to wdzięczny.

Owszem: powiedz twym synom, aby się strzegli FILOKSERY.

Jeżeli będziesz z dala trzymał od swego Zgromadzenia filokserę, to ono będzie długo trwać w pełnym rozkwicie i zdziała dużo dobrego.

Nic z tego nie rozumiem.

Jak to nie rozumiesz? Przecież to filoksera doprowadziła już do ruiny tyle zakonów i stała się przyczyną, że wiele z nich dzisiaj nie odpowiada już swemu wzniosłemu celowi.

Te wywody nic mi nie dają, jeśli mi ich dokładniej nie wytłumaczycie. Nic z nich nie rozumiem.

No to widocznie kiepsko uczyłeś się teologii.

Mam wrażenie, że w tym względzie spełniłem swój obowiązek, ale w czasie tych studiów nie napotkałem traktatu o filokserze.

A jednak jest tam o niej mowa. Tylko trzeba ten wyraz wziąć według jego znaczenia moralnego.

Etymologia tego wyrazu nic nie mówi, co by miało jakieś znaczenie duchowe.

Skoro sam nie jesteś zdolny wytłumaczyć tej tajemnicy, zaraz przyjdzie tu ktoś, kto cię pouczy.

W tej chwili zauważył Ksiądz Bosko ruch wśród zebranych, jakby kogoś przepuszczali między sobą. I rzeczywiście jakiś Osobnik podchodził ku niemu. Przyjrzał mu się wtedy uważnie, ale miał wrażenie że go jeszcze nigdy nie widział, choć ten odnosił się do niego bardzo poufale, jakby do starego znajomego. Wobec tego zagadnął go tymi słowami:

Przychodzi pan w samą porę, by mnie wybawić z kłopotu, w jakim postawili mnie ci tu zebrani. Mają uprzedzenie do filoksery, jakoby ona niszczyła domy zakonne i chcą, bym ją wziął za temat swego przemówienia na zakończenie rekolekcji.

Ksiądz, co uważa się za tak świątłego, nie rozumie się na tym? Pewną jest rzeczą, że jeśli wedle sił swoich, będziesz tępił filokserę i nauczysz swych synów, jak ją niszczyć, to twoje Zgromadzenie będzie zawsze w rozkwicie. Czy wiesz, co to jest filoksera?

Wiem, że jest to choroba, która czepia się pewnych roślin i powoduje ich powolne obumieranie.

A skąd się bierze ta choroba ?

Powodowana jest niezliczoną ilością drobnoustrojów, które pasożytują na tej roślince.

A jak można ratować taką zaatakowaną roślinę? - rezonował ów Osobnik.

Właśnie tego nie rozumiem – oświadczył Ksiądz Bosko.

Rozważ wtedy dobrze, co ci powiem: Kiedy filoksera uczepli się jednej rośliny, nie upływa dużo czasu, a już zarażają się nią inne, a od nich i te dalsze. Tak całe winnice i ogrody wkrótce giną. Wiesz, jak się szerzy taka choroba? Otóż owe stworzonka nie schodzą z rośliny i nie po ziemi przechodzą na inne, ale, jak to stwierdza doświadczenie, wiatr rozsiewa po gałązkach winnych tę zarazę. W ten sposób klęska szerzy się bardzo szybko. Otóż wiedz, że wiatr SZEMRANIA roznosi bardzo szeroko FILOKSERE NIEPOŚLUSZEŃSTWA. Rozumiesz już teraz?

Zaczynam rozumieć.

Otóż szkody wyrządzone przez podobne wiatry są nieobliczalne. W domach nawet bardzo kwitnących powoli słabnie miłość braterska, potem gorliwość o zbawienie dusz. Z tego rodzi się lenistwo, za nim idą inne występki. Wreszcie zgorszenie czyni dom taki przedmiotem obrzydzenia w oczach Boga i ludzi. Nie potrzeba, aby podobne złośliwe indywidua przychodziły z jednego domu do drugiego; wystarcza ów powiew, jaki się od nich rozchodzi.

Masz rację. Ale jak zaradzić takiemu nieszczęściu ?

Półśrodki nie wystarczą! Tu trzeba chwycić się środków ostatecznych i to z całą stanowczością. Aby wytępić filokserę, różnych sposobów używano: obsypywano roślinę siarką, oblewano wodą wapienną itd., ale wszystko nadaremnie, gdyż jedna latorośl zakażona, zdolna jest zarazić wkrótce całą winnicę, a ta zaraża drugą i tak

dalej. Wnet w okolicy giną winne szczepy od tej plagi. Jedyne wtedy środki, aby radykalnie zapobiec złemu, jest ten, by skoro zauważy się filokserę na jednej roślince, zaraz ten krzew wyciąć i wrzucić w ogień. Tak samo wypadnie postąpić nawet z całą winnicą w wypadku jej zarażenia się, by ocalić sąsiednią. Tylko ogień zdolny jest zniszczyć tę zarazę. A więc gdy, w jakimś domu ujawni się filoksera opozycji wobec rozporządzenia przełożonych, zuchwałego lekceważenia Reguł, pogardy dla obowiązków wynikających z życia wspólnego, nie zwlekaj. Cały ten dom należy przetrzebić z jego członków, wydalając ich bez żadnej wyrozumiałości pobłażliwej. Jak z domem, tak należy postąpić z każdym z poszczególne. Łatwo czasem będzie ci się mogło zdawać, że ktoś taki przy zmianie miejsca, czy więcej odosobniony, poprawi się; albo żal ci się zrobi z powodu sympatii, jaką sobie u ciebie zyskał lub też dla jego zdolności... Nie daj się powodować żadnymi względami. Takie typy bardzo trudno zmieniają się na lepsze, a już na pewno zdarza się to tak rzadko, iż nie może upoważnić przełożonego, by miał do nich odnosić się z pobłażliwością. Może ktoś powie, że ci w świecie będą jeszcze gorsi. To już ich sprawa. Oni będą ponosili odpowiedzialność za swoje postępowanie, a Zgromadzenie przynajmniej tak nie ucierpi.

No, ale jeśli będą widoki, że w Zgromadzeniu da się ich poprawić ?

To przypuszczenie jest bezpodstawne. Lepiej jednego wydalić, niż trzymając go z małymi widokami polepszenia, zarażać otoczenie kąkolem jego złośliwości. Zapamiętaj to sobie i zastosuj się do tego wiernie. W razie potrzeby, pomów o tym z przełożonym domów i na ten właśnie temat miej konferencję zakończeniową rekolekcje.

Dobrze, zastosuję się. Dziękuję za tak cenne uwagi. Ale teraz powiedz mi kim jesteś ?

Nie znasz mnie? Przecież już tyle razy widzieliśmy się.

Gdy ów nieznajomy to mówił, wszyscy obecni uśmiechali się. Wtem zadzwonił dzwonek na wstanie i Ksiądz Bosko obudził się. Dodał on jeszcze, że ten sen trwał przez trzy noce z rzędu, co jest dowodem, iż nie jest on tylko przypowieścią zmyśloną przez niego dla zilustrowania swoich myśli. Owa „dziwna głowa” posłużyła mu, jako tytuł do upokorzenia się i do odwrócenia uwagi słuchaczy od przypuszczenia, jakoby był obdarzony charyzmatami nadzwyczajnymi. Prawie we wszystkich snach Księdza Bosko spotykamy się z jakąś Osobistością, która mu służy za przewodnika i tłumacza.

ROZDZIAŁ XVII

PROJEKTOWANE FUNDACJE

Będzie tu mowa także o fundacjach, które nie doszły do skutku. To, bowiem, iż tylu duchownych czy świeckich ludzi zwracało się do Księdza Bosko z projektami utworzenia nowych zakładów wychowawczych jest dowodem, jakim wzięciem cieszyły się w owym czasie jego dzieła. Załatwianie zaś przez niego podobnych spraw, jak też myśli przy tej sposobności wyrażone dadzą nam lepiej poznać tę wielką postać w dziejach Kościoła świętego.

W Chiavari chciał tamtejszy kanonik ks. Józef Guarello, aby salezjanie podjęli się kierownictwa małego sierocińca, który równocześnie miałby być znacznie rozszerzony. Sprawę tę popierał także rektor Seminarium. Na końcu listu było pytanie, ile by Ksiądz Bosko zażądał na utrzymanie swego personelu. Na marginesie Święty zanotował własnoręcznie: „Niente altro, che per poter vivere da povero. Ile potrzeba na wyżywienie ubogich”. Cały ten projekt jednak opierał się na kalkulacjach mało realnych, że magistrat odstąpi gmach pokapucyński, na razie próżny; że Kapucyni na to się zgodzą; że jakaś tam spółka będzie zakład ten finansować, że także dużo osób prywatnych go poprze. Mimo to Ksiądz Bosko tym się zainteresował stawiając dwa warunki: salezjanie nie zamieszkają w domu należącym do jakiegoś Zgromadzenia zakonnego, ani nie zgodzą, by w czymkolwiek miała być ograniczona ich wewnętrzna autonomia. Korespondencja między zainteresowanymi w tej sprawie po jakimś czasie urwała się na przeciąg trzech lat. Wznowiona też nie dała rezultatów. Wrócono do tego projektu jeszcze raz już za księdza Rua, ale i tym razem nic z tego nie wyszło. W Chiavari do dnia dzisiejszego nie ma zakładu salezjanów.

W Bolonii wystąpił z projektem otwarcia tam zakładu salezjańskiego markiz Prosper Bevillecqua. Ten poznał Oratorium bawiąc w Turynie na zebraniu Rady Wyższej Konferencji świętego Wincentego. W wyniku tego pisał do Księdza Bosko: Faktem jest, że wszędzie większy kładzie się nacisk na wychowanie dziewcząt, niż chłopców. Wyjątek w tym stanowi Turyn dzięki działalności Waszej Wielebności. Mam na myśli młodzież ubogą i opuszczoną. Także w naszej Bolonii brak zakładów wychowawczych dla młodzieży męskiej, bo też i trudniej je założyć i trudniej je prowadzić. Kończył pytając, na jakich warunkach podjęliby się salezjanie otworzyć w niej swój zakład.

Również markiza Zambeccari marzyła o fundacji dla salezjanów w Modenie i w Bolonii. Księdzu Bosko te projekty odpowiadały nie tylko, jako wielce pożyteczne pod względem moralnym dla miejscowej młodzieży, ale i dlatego, że miały poważne oparcie finansowe. Był i trzeci powód, a mianowicie ten, że markiza nie chciała, by wiadano, że to ona sprowadza salezjanów, a tym samym ci mieli większą swobodę

działania. Było bardzo ważną rzeczą, by nie zależeć od żadnych organizacji społecznych, czy urzędów, czy nawet od prywatnych dobrodziejów. Odpowiedź Księdza Bosko obejmowała zasadniczo trzy punkty:

1. Nie widzi trudności, co do przyjęcia ofert;
2. Chce rozpocząć od Oratorium świątecznego, a potem zobaczy się, co będzie wskazane;
3. Co do środków utrzymania wystarczy tyle, co potrzeba na normalne utrzymanie.

Jednak tak do Bolonii, jak do Modeny salezianie udali się dopiero po śmierci swego Założyciela.

Były też próby sprowadzenia salezjanów do Saluzzo. Biskup tamtejszy osobiście przyszedł prosić Księdza Bosko, aby mu przysłał swych synów, którzy mieliby prowadzić instytut Gianotti. Ale pertraktacje urwały się z powodu sprzeciwów Magistratu.

Zwrócono też uwagę Świętego na S. Remo, miasteczko położone na riwierze liguryjskiej o klimacie bardzo zdrowotnym. Tam to pojechał na obłóczyny swej ciotki ksiądz Barberis, która wstępowała do Wizytek. Ich kapelanem był niejaki ksiądz Calvi Łukasz, towarzysz Księdza Bosko z czasów seminaryjnych. Stąd nawiązała się między nimi bliższa znajomość. Ksiądz Calvi wyraził żal, iż dotąd jeden tylko zakład salezjański działa w Ligurii, mianowicie w Sampierdarena, a tymczasem protestanci rozwijają w tych okolicach szeroką działalność z wielką stratą dla Kościoła.

Na ten argument protestancki Ksiądz Bosko był zawsze bardzo wrażliwy. Gdy więc to usłyszał od księdza Barberisa, zaraz kazał mu napisać do księdza Calvi, ażeby oglądnął się, za jakim odpowiednim budynkiem na zakład wychowawczy, a on się nim zainteresuje. Ksiądz Calvi wnet odpisał, iż jest taki gmach na 100 chłopców do wynajęcia za trzy tysiące lir. Także jeden pan z Konferencji świętego Wincentego pisał w sprawie uruchomienia w S. Remo szkoły zawodowej. Tym bardziej było to pociągające, iż kontakt i licznymi anglikami tam zjeżdżającymi łatwo mógł przyczynić się do otwarcia placówki w ich kraju. Mimo tak pięknych nadziei do otwarcia placówki w S. Remo nie doszło, ani za Księdza Bosko, ani w roku 1912, gdy do tej koncepcji wrócono, aż dopiero w roku 1940.

O uruchomieniu swojej placówki w Rzymie ksiądz Bosko stale marzył. We wrześniu tego roku już zdawało się, że sprawa weźmie pomyślny obrót. Był do nabycia historyczny zamek Anguillara, wtedy znacznie podniszczony i zamieniony na magazyn. Mógł by nadać czy dla chłopców, czy jako studentat dla kleryków. Bardzo tą sprawą entuzjazmował się monsignor Fratejazzi, znany nam z wielkiego przywiązania do Świętego. Ale choć ten ostatni był w listopadzie w Rzymie, jednak zabrakło mu jakoś czasu na obejrzenie tego obiektu. Tymczasem zgłosili się do właściciela inni nabywcy i tak dla Rzymu godzina powitania salezjanów na stałe jeszcze nie wybiła.

Za to szczęśliwszy obrót wzięły pertraktacje w sprawie placówek

w miejscowościach pod Rzymem w Albano i Ariccia. Sprowadzeniem salezjanów do Ariccia interesował się ksiązę Marian Chigi, który miał swój zamek w tejże miejscowości i magistrat, mocno zresztą od tego pana zależny. Chodziło o podjęcie się nauczania w szkole podstawowej i obsługę tamtejszego kościoła. Pensja dla nauczycieli razem wynosiłaby 1320 lirów z gratyfikacją 200 lirów; mieszkanie byłoby darmo; po roku miał być zawarty ostateczny kontrakt. Ksiądz Bosko zażądał rocznie dwa tysiące lirów i wysłał zaraz potrzebne dokumenty nauczycielskie księdza Bodrato i księdza Cipriano do przedłożenia władzom szkolnym, gdyż poprzedni nauczyciele zostali zwolnieni. Nie brakło opozycjonistów między radnymi, ale stronnictwo salezjanów i księcia zwyciężyło, na czym ucierpieli dużo protestanci, którzy już w tej miejscowości zaczęli mocno zapuszczać korzenie.

Pozostała jeszcze trudność kanoniczna, a mianowicie ta, że miało tam być tylko trzech współbraci, a Reguły wymagają sześciu. Do tego przyłączyło się jeszcze to, iż rektorem kościoła salezjanom przydzielonego, był jeden z ojców „Dottrinari”, u których naszym wypadałoby zamieszkać. Trudności te jednak z łatwością rozwiązała Kuria Rzymska, która przysłała potrzebne upoważnienia dla Księdza Bosko, a równocześnie w imieniu Ojca świętego podsunęła mu myśl, by zainteresował się także miejscowością Albano.

W tym wypadku Papież działał pod wpływem kardynała Di Pietro, biskupa tejże miejscowości, który chciał mieć salezjanów u siebie, by prowadzili tamtejsze gimnazjum, z którego korzystaliby także jego alumni. Sprawa była o tyle ułatwiona, że Albano i Ariccia leżą obok siebie, oddzielone małą rzeczką, a połączone wspianym mostem. Odpadała, zatem trudność z mieszkaniem. Ale trzeba było powiększyć personel. Tu Ksiądz Bosko okazał się hojnym. Kardynał Di Pietro prosił tylko o dwóch profesorów patentowanych, Święty dodał jeszcze czterech, a to by zadośćuczynić ówczesnemu prawodawstwu szkolnemu, które dla szkół publicznych takiej liczby profesorów patentowanych wymagało. Wszystko to było wynikiem tego bezgranicznego oddania się naszego świętego Założyciela Stolicy Apostolskiej i jego gotowości na najmniejsze skinienie Ojca świętego. Spełniania jego życzeń będzie zawsze dla salezjanów największą ich chlubą, tak pisał do audytora monsignora Latoni, który z nim w imieniu Papieża korespondował w tych sprawach.

Jeszcze jeden kardynał podmiejski Alojzy Bilio barnabita z Piemontu prosił salezjanów. Temu chodziło o jego seminarium, do którego miał bardzo mało kandydatów. Spodziewał się, że duch Księdza Bosko wzmoże liczbę powołań. Ksiądz Bosko wahał się z odpowiedzią, ale ostatecznie zaryzykował licząc na ducha poświęcenia swych synów. Tak, więc trzy poważne placówki były do obsadzenia: Ariccio, Albano i Magliano. Kiedy o tym mówił na Kapitulie Głównej zaznaczył, iż w tamtych okolicach zwraca się wielką uwagę na zewnętrzną prezentację poszczególnych jednostek. Dorodna postawa jest najlepszą rekomendacją. Zbytniej jednak do tego nie przypisywał wagi i nieraz w ciągu lat wypadało mu posyłać tam młodych bardzo kleryków, o których jednak wiedział, iż dadzą sobie radę z młodzieżą

i w szkole i przy asystencji. Do takich należał kleryk Picollo. Kiedy Ksiądz Bosko wysłał go do Ariccia w 1878 roku, to jego wzrost i wyraz twarzy tak był jeszcze rzecz można dziecinny, iż gdy przechodził ulicą, to tamtejsze kumoszki z im właściwą swadą wołały za nim: Don Palmo dove hai lasciata la balia? Księżę Piąstka, a gdzie mamka?... A przecież w pierwszej elementarnej z pięćdziesiątką berbeciów dawał sobie wyśmienicie radę. Pewnego razu wpadł do jego klasy wizytator szkolny, naturalnie mocny antyklerykał, a widząc klasę we wzorowym porządku został tym mocno zaskoczony. Kazał prowadzić dalej lekcję: wypadła dobrze; sam pytał - malcy umieli; sprawdził dokumenty nauczycielskie: były w porządku ze stopniami jak najlepszymi uzyskanymi w Mondovi. Odszedł pokonany gratulując młodemu nauczycielowi takich sukcesów.

A oto list posłuszeństwa dla kleryka Picollo przeznaczający go do Ariccia:

Mio caro cherico Picollo!

Nastąpiła zmiana odnośnie do twego przeznaczenia. Pójdiesz z księdzem Gallo do Rzymu; tam pójdiesz na audiencję do Ojca świętego, ucałujesz mu stopy w moim imieniu i poprosisz o błogosławieństwo, a następnie udasz się do Ariccia i do Albano, aby tam uświęcać tych, co ci będą powierzeni. Siebie samego zaś będziesz uświęcał przez dokładne zachowanie naszych Reguł, co miesięczne sprawozdanie i przez punktualne odprawianie ćwiczenia dobrej śmierci. Gdy będziesz napotykał trudności to mi pisz, a często - o swoim życiu, cnotach i cudach.

Niech Bóg Ci błogosławi, o drogi Picollo, a módl się za mną, a ja zawsze ci będę najbardziej oddanym przyjacielem

Ksiądz Jan Bosko

Wyznaczeni na wspomniane placówki wyjechali w trzech grupach: w dniu 29 października owi dwaj do Magliano i paru do Albano; a tydzień później ci do Ariccia i następna partia do Albano; wreszcie z końcem listopada ostatni dwaj. Dyrektorem był ks. Monateri, ze siedzibą w Albano, gdzie było 9 współbraci, zaś w Ariccia trzech. Instalował ich ksiądz Antoni Sala, ówczesny ekonom w Oratorium. Bawiąc w Rzymie przeciwstawili się Ojcu świętemu, który na ich widok zawołał: Och! Ksiądz Bosko tu! W jego synach widział ojca. Z każdym następnie zamienił kilka słów serdecznych i wszystkim pobłogosławił na podejmowane przez nich świeżo prace.

W Albano pierwsi przybyli mieli pracy po uszy i w szkole i w kościele. Słali, więc błagalne listy do Turynu o przyobiecanych pomocników. Ksiądz Bosko przeczytawszy list jednego, wziął kartkę papieru, jaką miał pod ręką i w czasie posiedzenia Kapituły Głównej napisał zainteresowanemu poniższy wiersz, który choć może nie jest wykwittem najwznioślejszych wlotów poetyckich, to w każdym wypadku wyrazem jest tej serdeczności i bezpośredniości ojcowskiej, z jaką on odnosił się do swoich w ich potrzebach.

/UWAGA: Tu Szanowni Czytelnicy niech wybaczą, jeśli tłumaczenie nie dorówna poziomowi oryginału i niech odniosą także do tłumacza pierwszy wiersz omawianego utworu: „Datti pace e sta’tranquillo...”, który przetłumaczony będzie brzmiał jak zaraz się zobaczy. A więc zaczynam parafrazę; Pierwsze dwa słowa jak w oryginale:

Carissimo Rinaldi! /to był Jan Rinaldi, a nie późniejszy nasz Generał, który miał na imię Filip/.

Bądź spokojny, nie rób szumu,
Bo Ksiądz Bosko o Was dba,
Pomoc pośle Wam do domu,
Jaką sam pod ręką ma.

Varvell, mistrzem jest od wierszy
Gastin, zaś matemę zna:
Ale drugi, jak i pierwszy
Humor stale dobry ma.

Z wielką przyjdą k’ wam ochotą
i Varvelli, i Garini
Obaj błyszczą wiedzą, cnotą,
Zaraz więc się los wasz zmieni.

I ksiądz będzie do ołtarza
Montigliowi ku pomocy,
Który, jak się czasem zdarza,
Na mnie trochę się poboczy.

Lecz się trzymać dzielnie trzeba:

Niechaj każdy będzie zuch!

Praca wam przysporzy nieba,

W niej swe szczęście znajdzie duch!

Pertraktacje w sprawie placówki w Magliano z kardynałem Bilio zwierzył Ksiądz Bosko Radcy Kapituły Wyższej księdzu Celestynowi Durando. Salezjanie pracowali tam już coś od miesiąca, kiedy ten dostojny Purpurat napisał Świętemu list bardzo pochlebny, który wam tu będzie przytoczony w całości:

Rev. mo Signore!

Niech Wielebność Wasza nie weźmie mi tego za złe, iż mu napiszę kilka wiadomości o profesorze księdzu Józefie Daghero i kleryku Błażeju Giacomuzzi. Z wiadomości, jakie mnie dochodzą z tutejszych sfer szkolnych wnioskuję, iż postępowanie jest rzeczywiście dobre: Jestem w pełni z nich zadowolony i dziękuję tak Księdzu Bosko, jak i Waszej Wielebności /list był pisany na ręce księdza Durando/ za tak wyborowy personel. Także i oni, jak mi piszą, są zadowoleni ze swego otoczenia. Również seminarium, jak i miejscowa ludność otaczają ich wielką sympatią. Bogu za wszystko dzięki! Może mała liczba uczniów nie odpowiada ich gorliwości, lecz wolno nam ufać, że przyszły rok wynagrodzi obecne ich trudy. Ich praca nie tylko jest korzystna dla seminarium, ale ich zachowanie się jest zbudowaniem dla całego miasta. Z tego to powodu uważam, że Giacomuzzi zasługuje, by go jak najprędzej dopuścić do święceń. Niech więc Wielebność Wasza pomówi na

ten temat z Księdzem Bosko, a ja w każdej chwili jestem gotów udzielić temu klerykowi święceń.

Proszę przyjąć z mej strony wyrazy szczerzej wdzięczności, podczas gdy kreślę się z całą czcią dla Waszej Przewielebności najbardziej przywiązany w Chrystusie Panu

Alojzy kard. Bilio, biskup Sabiny.

Ale wróćmy do Piemontu. W Trinita niedaleko Mondovi komandor Dupraz i jego małżonka poruszyli niebo i ziemię, aby tam w miejscu ich letniego pałacu mieć salezjanów. Przewidywano trudności tak ze strony miejscowych władz, jak i ludności bardzo pod względem religijnym ozięblej. Ale skoro biskup tę sprawę poparł wahania Świętego ustały. Najpierw miało być zorganizowane Oratorium, potem miało się przyjąć kilka sierot na utrzymanie i tak powoli obłaskawić niechętną ludność. Za lokal miało służyć jedno zabudowanie odstąpione od komandora. Dyrektorem został ksiądz Guanella. Kiedy Ksiądz Bosko przybył tam na otwarcie Oratorium i oglądnął lokal, wyjął swój beret dzienny z walizki i włożywszy go na głowę rzekł: No to trzeba włożyć sobie beret na głowę! Tymi słowy chciał wyrazić, iż by dzieło mogło się rozwijać, trzeba by dom przeszedł na jego własność. Przez trzy lata pracowali tam salezjanie prowadząc szkołę dla dzieci i kursy wieczorowe dla starszych. Oratorium liczyło 200 młodzieży. Pewnego razu Ksiądz Bosko w rodzinie komandora wyraził się, iż tylko ofiary składane szczerym sercem przyczyniają się do rozkwitu dzieł dobrotliwych. Skierowane to było pod adresem pani domu, bardzo skąpej; ale przeszło jej to mimo uszu. Brak dalszego poparcia ze strony tej rodziny i okolicy spowodował zwinięcie tej placówki.

A teraz na zakończenie rozdziału przejdziemy do sprawy, którą nazwiemy dei Concettini. Tak nazywano pospolicie Zrzeszenie zakonne Braci szpitalnych, założonych ku czci Maryi Najświętszej Niepokalanej. Papież Niepokalanej otaczał je szczególniejszą życzliwością. Założone zostało w roku 1857 przez niejakiego Cypriana Pezzini dla opieki nad chorymi po szpitalach. Początkowo zapowiadało się wszystko dobrze.

Ale z biegiem lat zamieszki wewnętrzne osłabiły jego ducha, zmniejszył liczbę członków, których w roku 1876 było zaledwie 50; z tego 42 w Rzymie przy szpitalu Świętego Ducha, gdzie Papież wybudował dla nich ładny gmach; trzech pracowało w Orte, a pięciu w Civita Castellana. Kierownictwo duchowe tych braci było od samego początku w ręku Kapucynów. Doświadczenie jednak wykazało, iż to należy zmienić. Ojciec święty uważał, że człowiekiem ad hoc będzie właśnie Ksiądz Bosko i zlecił kardynałowi Bilio, by napisał do Świętego, iż robi rzecz miłą Papieżowi, jeśli się podejmie przeprowadzenia reformy w tym Zgromadzeniu albo sam osobiście przyjeżdżając na jakiś czas do Rzymu, albo przez odpowiedniego kapłana- salezjanina. Ten zdecydował się przyjechać osobiście i rzeczy zbadać na miejscu. Prawda - mówił na posiedzeniu Kapituły swojej - iż wielki odczuwamy brak personelu, dlatego

będziemy starali się sprawę opóźnić; ale jeśli Papież zakonkluduje inaczej, to wypadnie nam tylko powiedzieć: „Jesteśmy do jego usług. Naszą chlubą jest słuchać go we wszystkim, nawet gdyby nam przyszło życie poświęcić”.

Wybrał się do Rzymu wraz ze swymi misjonarzami. Na przesłuchaniu Papież tak mu powiedział: Pragnę, by Ksiądz zaopiekował się Zgromadzeniem dei Concettini, którzy mają piękną misję do spełnienia, przysposabiając chorych do dobrej śmierci. Ale Ksiądz nie ma ich reformować czy poprawiać, ale stworzyć albo lepiej immedisimare /utożsamić/ Konstytucję Concettinów ze salezjańskimi. Posłuszny, jak zawsze na głos Namiestnika Chrystusowego, Święty prosił go tylko, aby swoją myśl raczył wyrazić na piśmie, by tak mógł ją lepiej rozważyć.

Ksiądz Bosko nie tracąc czasu zaraz wziął się do dzieła. Odbył kilka dni konferencji z monsignorem Alojzem Fioranim, commendatore di Spirito Santo, czyli protektor szpitala pod tą nazwą i owych Concettini, którzy tam pracowali; przestudiował ich Konstytucje i przesłał przez wspomnianego Monsignora Fiorani swoje uwagi Papieżowi, prosząc o potrzebne upoważnienia do przeprowadzenia ewentualnych zmian. Odpowiedź przyszła przychylna. Ksiądz Bosko, zatem wrócił do Turynu, zabierając ze sobą jednego z braci Concettinów, dawnego przełożonego ich placówki rzymskiej, aby ten służył mu informacjami, niezbędnymi do dalszego opracowania ich Reguł i sporządzenia odpowiedniego memoriału do Ojca Świętego.

Na posiedzenie Kapituły w tej sprawie 27 listopada 1876 r. taką zdawał relacje swym współpracownikom: To, co najbardziej zaszkodziło Concettinom, był brak regularnego nowicjatu. Mają Reguły i bardzo piękne, ale ich nie praktykują. Przyjmują indywidua wyłącznie na podstawie zaświadczenia proboszczów bez upewnienia się o ich przydatności i dobrej woli. W takim wypadku niemożliwą jest rzeczą, aby jakieś Zgromadzenie mogło dobrze iść naprzód. U nas dotąd ostatecznie można się było obejść bez regularnego nowicjatu, bo przyjmujemy chłopaków przez nas od pierwszych lat wychowanych i dobrze nam znanych; ale gdy się teraz zgłaszają starsi z poza Oratorium, także dla nich konieczny będzie nowicjat ścisły...

Czego najwięcej obawiają się ci Concettini to to, że my tam przyjedziemy do nich, aby ich instytut zlikwidować: żądają, więc, aby im pozostawić absolutną autonomię z ich przełożonymi; słowem, byśmy byli ich przełożonymi tylko nominalnymi, jakby kapelanami. A podburzają ich Kapucyni, mówiąc: „Nie chcecie nas, to przyjdzie Ksiądz Bosko i tak wyrzekając się Franciszkanów, zostaniecie salezjanami. On was będzie trzymał krótko, nałoży ostrzejszą regułę itd. Píše mi to monsignor Fiorani, o tym mówią listy pisane do tego brata, co tu jest w Oratorium, przez jego współbraci, którzy upoważniają go do pertraktacji ze mną. Ja nie mam nic przeciw ich autonomii, byleśmy tylko mieli bezpośredni wgląd w ich zarząd, administrację i stan moralny.

Cóż nam, więc pozostanie?- pytają.

Cel waszego Instytutu, habit, nazwa itd.

Krótko mówiąc sprawa przedstawia się tak: Kapucyni nie podobali im się, bo ich Concettinów chcieli przerobić na Kapucynów. Zwrócili się, zatem do Papieża z protestem i prośbą, by temu zaradził. Ojciec święty zlecił to nam. Podjąłem się tego i już swój punkt widzenia przedstawiłem w Rzymie.

Papież okazał się z tego bardzo zadowolony i rzekł do ich protektora: „Proszę czytać! Prawdziwe capolavoro! Nie mogłem się lepiej spodziewać!”.

Sprawa więc jest już jakby załatwiona, choć Concettini jeszcze o niczym nie wiedzą. Teraz trzeba tylko rzecz spokojnie i umiejętnie przeprowadzić ku zadowoleniu obu stron. Mój memoriał skierowany do Papieża zasadniczo opierał się na tym: Concettini niech przyjmą nasze Reguły i ściśle je zachowują; Generał salezjanów będzie również ich Głównym Przełożonym. Dla nich zaś po naszych Regulaminach będzie „DODATEK” normujący ich prace w szpitalach.

Na razie żadnej decyzji nie poweźmiemy, aż się wszystko wyjaśni. Przyczyną, zdaje się, dlaczego tak im zależy na własnym kierownictwie, jest sprawa pieniężna. Mimo ich ślubu ubóstwa mają oni 45 franków miesięcznie na głowę do własnej dyspozycji i boją się, że tego peculium zostaną pozbawieni. Dotąd protokół z posiedzenia Kapituły.

A oto ten DODATEK, o którym wspomniał Ksiądz Bosko na Kapitulce, ustalony z owym bratem bawiącym w Turynie po rozpatrzeniu całej sytuacji:

Konstytucje Braci Concettinów, obecnie zatwierdzona tytułem próby na 5 lat, w zasadzie pozostają w mocy z następującymi modyfikacjami.

1. Instytut Concettinów przestaje przynależeć do trzeciego Zakonu świętego Franciszka z Asyżu i pozostawać pod jego kierownictwem, a zostaje na zawsze affigliato /przyłączony/ do Towarzystwa świętego Franciszka Salezego, założonego w Turynie.

2. Kierownictwo duchowe Braci Concettinów tak profesów, jak i nowicjuszów na stałe zostaje powierzone kapłanom wspomnianego Towarzystwa Salezjańskiego mianowanego przez jego Generała.

3. Przy tych zasadniczych dyspozycjach, przestrzegać się będzie aż do nowych zarządzeń Stolicy świętej, co następuje:

- a/ Urząd Głównego Przełożonego Concettinów będzie złączony zawsze z urzędem Generała salezjanów, który może dla nich mianować swego przedstawiciela z pomiędzy salezjanów mieszkających w Rzymie;

- b/ W domu macierzystym Concettinów stale będzie przebywało dwóch kapłanów salezjanów, z których jeden będzie spowiednikiem i dyrektorem, drugi z tytułem Rektora Ekonoma będzie miał wgląd na wszystko, co dotyczy administracji całego Instytutu i jego dyscypliny;

- c/ Również w nowicjacie będzie dwóch kapłanów salezjanów: jeden, jako spowiednik i dyrektor nowicjuszów, drugi jako odpowiedzialny za cały postęp nowicjatu;

d/ Urzędy Braci Concettinów ograniczają się w Rzymie do następujących: Przełożony domu, jego Zastępca, Trzech Radnych. Dom nowicjatu pozostaje w zależności do Rektora domu. Także domy w Orte i Civita Castellana będą mieć swych przełożonych. Wszyscy ci „Officiali” – Przełożeni mieć będą głos doradczy, kiedy będą zapytani o zdanie. Na urzędzie pozostaną przez trzy lata;

e/ Przełożony domu macierzystego będzie wybierany przez Generała salezjanów z pomiędzy trzech kandydatów przedstawionych głosowaniem wszystkich profesów Concettinów przebywających w Rzymie. On sobie dobiera Zastępcę. Wszystkich innych przełożonych i Magistra Nowicjuszów wyznacza bezpośrednio Generał salezjanów;

f/ Przyjmowanie i wydalenie nowicjuszów należy do kompetencji salezjanina, Rektora Domu nowicjatu;

g/ Usuwanie profesów niepoprawnych po przepisanych upomnieniach należy do kompetencji Rektora - Ekonoma Domu Macierzystego;

h/ Generał salezjanów ma pełną władzę wyznaczania praktyk pobożności dla Concettinów, zmieniać częściowo ich habit, regulować ich wikt i wydawać zarządzenia, jakie uzna za wskazane dla ich dobra duchowego czy materialnego;

i/ Owi czterej kapłani salezjanie zależą we wszystkim do Generała swego i jemu zdają sprawozdanie ze swego urzędowania. Zdadzą także na każde żądanie sprawę z postępu instytutu Protektorowi jego, aby ten mógł według potrzeby informować o wszystkim Ojca świętego, któremu tak bardzo leży na sercu rozwój tego Zgromadzenia.

Projekt ten przedstawiony został Ojcu świętemu 12 grudnia przez wzmiankowanego wyżej monsignora Fiorani. O tej audiencji tak mówił Ksiądz Bosko na posiedzeniu Kapituły 17 grudnia: Przed tygodniem wyjechał ów Brat dei Concettini, który tu bawił u nas. Zaś monsignor Fiorani tak mi pisze:

„Byłem u Ojca świętego i ten okazał się bardzo zadowolony z projektu Waszej Wielbności odnośnie do Concettinów; uwagi zaś, które poczynił i które mam Księdzu zakomunikować uważam, że lepiej będzie uczynić to ustnie. Jego Świątobliwość zaprasza Księdza do Rzymu, aby ostatecznie sprawę zakonkludować. Niech jednak Ksiądz nie przyjeżdża sam, ale razem z kapłanem, który by od zaraz objął kierownictwo Szpitala Ducha Świętego”.

Dużo myślałem, zastanawiałem się i modliłem: obecnie pozostaje tylko spełnienie woli Ojca świętego. Wybiorę się do niego w styczniu. Tam nie będzie już dużo do omawiania, ale raczej tylko do wykonania. Cała trudność w tym, kto ma ze mną pojechać. Mówiłem o tym z księdzem Lemoyne i z księdzem Scappinim. Ten ostatni bardzo by się nadał. Jest rzutki, ugrzeczny i bardzo by tam w Rzymie był odpowiedni, gdzie potrzeba nam kogoś, co by tam był naszym Prokuratorem generalnym.

W ten sposób damy początek Prowincji Rzymskiej. W Rzymie zatrzymam się tyle, ile będzie potrzeba do załatwienia ostatecznego tej sprawy. Nie lubię pozostawiać rzeczy niewykończonych. Chciałbym też jak najlepiej wczuć się w zamiary Ojca świętego. Dotąd protokół.

Jak więc widać wszystko układało się dobrze: i Ojciec święty zadowolony, i kapłani do Rzymu wyznaczeni, i monsignor Fiorani pełen najlepszych nadziei. Przyjazd Księdza Bosko do Rzymu ostatecznie pomyślnie sprawę rozwiąże. Ale w rzeczywistości stało się inaczej. Gdy Ksiądz Bosko z jednym kapłanem swoim przyjechał do Rzymu naraz powstały trudności nie do przewyżnienia, ale o tym będzie w tomie XVIII, bo chodzi już o rok następny.

Tyle dzieł podejmowanych przez Świętego budziło pewne zastrzeżenia u jego przyjaciół: czyż to nie za wiele? Ojciec Franco jezuita wybrał się do niego właśnie z tą uwagą. Zbyt szybki rozwój Zgromadzenia łatwo może ujemnie wpłynąć na jego ducha. Ksiądz Bosko ledwie go zobaczył, nie dając mu przyjść do słowa, rzekł ze zwykłym mu uśmiechem. Zbyt poważne były powody, które mnie do podjęcia tylu dzieł skłoniły. I tu przedstawił cały przebieg różnych pertraktacji tak, że wspomniany ojciec zamilkł przekonany, iż Święty czytał jego myśli. Kiedy ten fakt opowiadał księdzu Francesia dodał: Doprawdy coś podobnego miało miejsce w żywocie świętego Ignacego.

ROZDZIAŁ XVIII

DRUGA EKSPEDYCJA MISJONARZY

Odjazd drugiej grupy misjonarzy, których było dwudziestu trzech, w tym sześciu księży, siedmiu kleryków i dziesięciu koadiutorów, wyznaczony został na siódmy listopada. Ksiądz Bosko zawiadomił o tym swoich dobrodziejów i przyjaciół następującym okólnikiem:

Turyń, 04.11.1876 r.

Benemerito Signore!

Ku wielkiemu swemu zadowoleniu mam zaszczyt zawiadomić, że funkcja pożegnania naszych misjonarzy wyjeżdżających do Ameryki, odbędzie się w najbliższy wtorek, wieczorem w kościele Najświętszej Maryi Wspomożycielki. O godzinie piątej zaczną się nieszpory, następnie będzie okolicznościowe przemówienie. Nastąpi błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem, wreszcie braterskie pożegnanie.

O godzinie siódmej misjonarze udadzą się wprost na stację kolejową, by stamtąd wyruszyć do Rzymu. Odjazd z Genui wyznaczony jest na czternastego rano.

Brak jeszcze niektórych rzeczy potrzebnych i na ich zakup odbędzie się składka w czasie nabożeństwa. Miło nam będzie, jeżeli WP zaszczyt nas swoją obecnością. Spraszając na niego wszelkie łaski niebieskie, mam zaszczyt kreślić się zobowiązany sługa

Ksiądz Jan Bosko

Na posiedzeniu Kapituły Wyższej, 5 listopada, zdecydowano zaprosić na tę funkcję arcybiskupa miejscowego. Misję tę zlecono księdzu Durando, upoważniając go, by jeśli biskup odmówił, poprosił monsignora o przejęcie misjonarzy przed odjazdem na audiencję pożegnalną, która też rzeczywiście miała miejsce 7 listopada rano, w pałacu arcybiskupim. Eksceleńcja przyjął wszystkich bardzo grzecznie, dając im na drogę upominek. Do przewodniczenia funkcji kościelnej zaproszony został monsignor Anglesio, przełożony na Cottolengo.

W dniu odjazdu misjonarzy chłopcy Oratorium odprawili, jak w roku poprzednim, ćwiczenie dobrej śmierci. Gimnazjaliści mieli cały dzień wolny od nauki; rzemieślnicy tylko po południu. Pożegnalny obiad odbył się wśród śpiewu i muzyki z zaproszonymi gośćmi, o godzinie piętnastej. Wieczorem o siedemnastej kościół był przepełniony pobożnymi, wśród których część ławek zajmowali wychowankowie. Misjonarze wyszli z zakrystii, udając się na przygotowane im miejsce. Księża i klerycy mieli pelerynę i kapelusz hiszpański. Nieszpory, przemówienie pożegnalne

Księdza Bosko, śpiewy, błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem, itinerarium clericorum, pocałunek pożegnalny, wyjście przez środkową nawę i odjazd powozami na stację: wszystko tak, jak opisaliśmy już w poprzednim tomie, nie wyłączając ogólnego wzruszenia, jakie tej ceremonii towarzyszyło. Na stację zajechali już w ostatniej minucie przed odjazdem pociągu, gdzie przyłączyli się do misjonarzy współpracia jadący do Aricia i do Albano. Towarzyszył im Ksiądz Bosko. A oto w streszczeniu jego przemówienie pożegnalne z tego wieczora w bazylice Najświętszej Wspomożycielki:

Rok temu, drodzy synowie, z tej tu świątyni Najświętszej Wspomożycielki wyjeżdżała pierwsza grupa misjonarzy salezjańskich, udająca się do Argentyny, by tam głosić Słowo Boże i pracować nad nawróceniem szczepów zamieszkujących Pampas i Patagonię. Żegnając ich, byliśmy bardzo wzruszeni rozłąką, jak też myślą o rozpoczynającym się wielkim dziele ewangelizacji nowego kontynentu. Z tejże samej kazalnicy zwrócone zostały do nich słowa uświadamiające im szczytną misję nałożoną na nich przez samego Boskiego Zbawiciela słowy: „Euntes in mundum universum praedicate evangelium omni creaturae”. Zapewnialiśmy ich wtedy, że będziemy im towarzyszyć pamięcią i modlitwą, i że na pewno nie zabraknie tych, co pójdą w ich ślady. Co wtedy było mówione, to się dziś spełnia. Oto w tej chwili widzimy nową grupę przed sobą tych, którzy spełniają zesłoroczne nasze przyrzeczenia.

Chcę być krótki i nie będę poruszał myśli, które by wycisnęły łzy tak mnie, jak i wam słuchającym. Chcę tylko wspomnieć o tym, co już dotąd zostało dokonane w Ameryce i co jeszcze do spełnienia pozostaje. Tu mówca przedstawił wspaniałą rozrost działalności salezjańskiej w Argentynie, która w znacznej części jest nam znana z poprzednich rozdziałów i wymienił miejscowości, do których nowi misjonarze są przeznaczeni. Podkreślił przy tym nadzwyczajną życzliwość Ojca św. Piusa IX dla misji salezjańskich, na które przysyłał pięć tysięcy lir. Wręczając je kardynałowi Bilio, powiedział: Oświadczyć Księdzu Bosko, że choć to jest mało na jego potrzeby, to w tej chwili jest to wszystko, co dobry ojciec może dać swym ukochanym synom, a Opatrzność Boża na pewno uzupełni nasze braki. Oto, dlaczego powtarzałem i powtarzam wszystkim - ciągnął dalej Święty- abyśmy kochali tego naszego Wielkiego Dobrodzieja i modlili się za niego. Pójdziemy, więc do niego, upadniemy mu do stóp, dziękując za ojcowskie serce, zawołamy: Ojcze święty, to my, twoi ukochani synowie! Błogosław nam. Od niego pobłogosławieni jedźcie szczęśliwi, o moi ukochani synowie.

A teraz na pożegnanie miałbym wam dać upominki. Ale jakie? Częściowo macie je już napisane na wręczonych wam obrazkach. Czytajcie je, a czytajcie często. Dałem też każdemu z was z osobna odpowiednie dla niego rady i wskazówki. Cóż bym mógł wam więcej powiedzieć?

Otóż pamiętajcie, że na trudy misjonarskie posyła was sam Boski Zbawiciel. Nie obawiajcie się, więc niczego: On i Matka Jego Najświętsza ujmą was za rękę

i poprowadzą do miejsc, gdzie najwięcej dobrego działać będziecie w stanie. Bądźcie spokojni, pracy dla was odpowiedniej nie zabraknie. Zresztą spotkacie tam już braci, którzy was przyjmą z otwartymi ramionami. Mam także niepłonną nadzieję, iż wszyscy jeszcze prędzej, czy później będziemy się mogli zobaczyć. A zresztą, choćbyśmy się nie zobaczyli więcej na tej ziemi, to zobaczymy się w niebie, gdzie nas już nic nie rozłączy!

W czasie podróży do Rzymu nie zabrakło kłopotu. W Pizie kończył się zasięg Dyrekcji Kolei Północnych Włoch: trzeba było zaopatrzyć się w nowe bilety. Formalność tę miał załatwić ksiądz Bodrato. Zbiorowy bilet kosztował 593 liry. Gdy ksiądz Bodrato nie wracał od kasy, Ksiądz Bosko przypomniał sobie, iż on nie ma wystarczająco groszy. Podchodzi, więc do niego, a usłyszawszy, o jaką sumę chodzi, potarł ręką czoło i mówi: To gorzej! Bo ja mam tylko pięćset. I szuka po kieszeniach, przewraca portfel, potrząsa nim przed okienkiem kasy, ale nic nie chciało wypaść z niego. Zauważywszy wytworzoną sytuację, ksiądz Lasagna obszedł towarzyszy podróży i ci zdołali zbiorowo wysupłać trzydzieści dwie liry. Ksiądz Bodrato zadowolony wraca z triumfującą miną do kasy, ale przy ostatecznym obliczeniu okazało się, iż zaszła pomyłka i... brak jeszcze czterech lir. W takim razie - mówi kasjer - niech jadą koledzy księdza, a ksiądz tu zostanie. Sytuacją zainteresowali się inni pasażerowie, ale nikt nie pospieszył z pomocą. Naczelnik stacji już wychodził, by dać sygnał do odjazdu pociągu. Co robić? Ksiądz Bosko podchodzi do naczelnika i coś szepce mu do ucha, ale ten odwraca głowę. Ostatnie nerwowe poszukiwanie po kieszeniach... i na szczęście wypełzły z głębin portfelowych pożądane cztery liry w srebrze, ale niestety już będące poza obiegami, bo z dawniejszych czasów. Tym razem kasjer okazał się wyrozumiały i nie robił dalszych trudności. Bilet został zdobyty!... A więc wszyscy z hurmem wsiedli do wagonów. Te jednak były już przepełnione. I teraz okazało się, iż nie wszystko zło przychodzi szkodzić! Naczelnik stacji widząc, że tak znaczna grupa pocziwych pasażerów nie ma miejsca, kazał, czym prędzej doczepić jeszcze jeden wagon i tak nasi mogli sami spokojnie w nim się rozmieścić. A ponieważ właśnie dniało, odmówili wspólnie modlitwy poranne; po czym księża odmawiali w jednym przedziale głośno brewiarz, inni śpiewali pobożnie. Cała dalsza podróż już mogłaby być nazwana wyśmienitą, gdyby nie pretensje żołądkowe, których nie było, czym uspokoić, bo o zaopatrzeniu się na drogę zapomniano, a soldy zostały wypompowane w Pizie. Dojechali jednak wszyscy żywi do Rzymu, gdzie już ksiądz Sala czekał na nich z dwoma omnibusami, no i ze stolami w Domu Świętej Trójcy odpowiednio zastawionymi. Księdza Bosko zaś oczekiwał uprzejmy zawsze pan Sigismondi.

Ledwie zaspokoiли trochę swe apetyty, zaostrome dwudziestoczworgodzinnym postem, a już doszła radosna wiadomość, iż Papież oczekuje ich nazajutrz. Nie posiadali się z radości. Dnia następnego punktualnie o dwunastej już stali w półkolu w sali watykańskiej, gdy oto naraz otwierają się drzwi gabinetu Ojca świętego i wychodzi Namiestnik Chrystusowy otoczony switą kardynałów i biskupów.

Oto - mówi Papież – piękna grupa salezjanów udających się na misje do Ameryki. Niechże wam Bóg błogosławi, drogie dzieci, a Matka Najświętsza zawsze ma was w swojej opiece! W tej chwili wszyscy zapominając, że nie są w Oratorium, rzucili się, by ucałować rękę Piusa IX i wyrazić mu tak całe swoje oddanie. Powoli, powoli! - powiedział Ojciec święty. Servate ordinem! Ja obejdę was wszystkich i każdy będzie mógł być zadowolony! I podszedł do Przełożonego wyprawy.

Ten – mówi Ksiądz Bosko - to ksiądz Bodrato, który przewodniczy tej wyprawie. Ci zaraz za nim stojący, jadą do Buenos Aires.

Do Buenos Aires? Tak, znam to miasto. Byłem tam w 1823 roku. Jest tam bardzo gorliwy biskup. Niechże was Bóg błogosławi!

A ci- przedstawia Ksiądz Bosko- jadą do S. Nicolas, prowadzeni przez księdza Remotti. Mamy tam bardzo liczne kolegium i koniecznie trzeba zwiększyć personel.

Przez S. Nicolas przejeżdżałem! - podchwycił Ojciec święty. Jest tam bardzo dużo Włochów. Będzie dużo do roboty. Już niedaleko od niego zaczynają się siedziby dzikusów. Potrzeba tam będzie wiele cierpliwej roztropności.

Ta trzecia grupa, prowadzona przez księdza Lasagna zatrzyma się w Montevideo, stolicy Urugwaju. Nie ma tam ani seminarium, ani biskupa ordynariusza, ani kleru w wystarczającej ilości. Także we Villa Colon otworzymy kolegium, któremu niech Wasza Świątobliwość pozwoli dać nazwę: „Collegio Pio”.

Owszem! - odpowiedział wesoło Pius IX. Bardzo dobrze! Byłem tam: znam tamte okolice. I tam jest dużo Włochów, których dzieci potrzebują bardzo opieki i pouczenia w rzeczach religii. Wielkie czeka was żniwo, wielkie żniwo!

A ci ostatni przeznaczeni są do Albano.

Również w Albano nie zabraknie pracy:, ale ludność tam dobra i religijna, działalność wasza przyniesie w tym mieście pocieszające owoce. Niech Bóg was prowadzi!

Obszedłszy tak wszystkich po kolei i zamieniwszy z każdym z osobna, jakie życzliwe słówko, Ojciec święty wrócił do grona kardynałów, a potrząsając w lewą rękę swoją łaskę tak przemówił do zapatrzonych w niego misjonarzy: Bardzo mnie cieszy ta nowa ekspedycja misjonarska salezjanów. Niechże was Bóg błogosławi, a Matka Najświętsza ma was w swej opiece. Z pomocą Bożą zdziałacie wiele dobrego. Opowiada się o świętym Franciszku Solano, że przebiegł pieszo całą Amerykę z jednego końca na drugi. Pewno, że nie odbyło się to w sposób naturalny, ale Aniołowie Boży pomagali mu w tych podróżach. Nie mówię, że macie przebiegać podobnie ten kontynent od morza do morza. Ale kto wie, jakie są zamiary Opatrzności, w jakich krajach wam czy waszym następcom przyjdzie pracować... Odpowiadajcie tylko zawsze łasce Bożej o wytrwanie dla was w dobrych waszych przedsięwzięciach. Niech was wszystkich Bóg błogosławi, a Jego Anioł Stróż niech wam towarzyszy na drodze, przez morze, w pracy i wszędzie. Błogosławieństwo Pańskie niech zstąpi na was, na waszą misję, na tych, co już tam pracują, na biskupa z Buenos Aires, Wikariusza Apostolskiego w Montevideo, na wszystkich waszych

krewnych przyjaciół i dobrodziejów. Błogosławię wasze medaliki, koronki, krzyżyki prosząc Boga, by wam błogosławił w życiu i uczynił was szczęśliwymi we wieczności. Po tych słowach Ojciec święty udzielił apostolskiego błogosławieństwa zebranych z odpustem zupełnym dla ich krewnych, aż do trzeciego stopnia. Był przy tym widocznie wzruszony. Opanowawszy się po chwili przeszedł ze swoją świtą do następnych sali. Misjonarze pozostali dłuższą chwilę jakby, w jakiej rajskiej ekstazie podobnej do owej, jaką przeżywali Apostołowie w chwili Wniebowstąpienia ich Boskiego Zbawcy.

Ksiądz Bosko na audiencji prywatnej przyjęty został ponownie dnia następnego. Prosił na niej o pewne przywileje dla swoich dobrodziejów, jak o władzę rozgrzeszenia od rezerwatów dla kanonika Molinari; jurysdykcję do spowiadania dla misjonarzy w czasie podróży; a dla siebie, o zwolnienie od litterae testimoniales dla aspirantów, co wszystko zostało mu przyznane.

Głównym tematem jednak była sprawa Stowarzyszenia Cocettini. O tym jak wyżej powiedziano, bardzo myślał Ojciec święty i zalecił Księdzu Bosko, by zbadał na miejscu, w jakim stanie znajduje się wspomniany już przez nas stary zamek Anguillara, w którym zamierzałby otworzyć nowicjat dla Concettini. A ponieważ ten zamek wznosił się w pobliżu kościoła świętej Bonozy, stąd rozeszła się wieść, iż Papież zamierza tę świątynię oddać salezjanom. Relacja tych oględzin była następująca: Uważam za swój obowiązek zdać sprawę z tego, co widziałem na placu Mastai. /Tam właśnie stał ów pałac/. Otóż obiekt ten na cel zamierzony nadaje się. Będzie mógł pomieścić około 30 osób. Inżynierowi prowadzącemu roboty zwróciłem uwagę na pewne drobne szczególiki. Ma nadzieję, że prace murarskie będą ukończone do końca tego roku. Wtedy trzeba będzie pomyśleć o umeblowaniu.

Z tego pobytu zresztą bardzo krótkiego w Rzymie już nic więcej nie pozostaje nam do zanotowania prócz listu, napisanego od księdza Barberisa. Ten napisał do Świętego o pewnych nowościach w rozkładzie dnia, jakie wprowadzono w Oratorium pod nieobecność jego i trochę według własnego widzimisię wbrew myśli i pozostawionym im wskazaniom.

Carissimo Don Barberis!

1. Powiedz Pani Maze, że uzyskałem dla niej przywilej, by mogła przed Komunią św. czegoś się napić.
2. Molinari ma przedłużoną jurysdykcję do rozgrzeszania kazuśów zarezerwowanych.
3. Mamy nieograniczoną dyspensę od testimoniales...
4. Nie było moją intencją, by się miało rozwiązać „scuola di fuoco” choć zasadniczo jest ona zorganizowana w Sampierdarena, to jedna przynajmniej klasa powinna być w Turynie.

5. Dobrze, że lekcje wieczorną śpiewu przynieśliście na czas przed wieczerzą podczas mojej nieobecności, gdyż ja na to nie byłbym się zgodził, jak to już miało miejsce zeszłego roku. „Brak kota - myszy tańczą”.

6. Ojciec święty błogosławi całe nasze Zgromadzenie, a zwłaszcza nowicjusów, których ze swej strony przedstawiłem mu w jak najlepszym świetle. A oto słowo odnoszące się do wszystkich naszych aspirantów: Niech was Bóg błogosławi, o delikatne roślinki; rośnijcie, ale wzrastajcie po to, aby jak najwięcej przynieść owocu z Winnicy Pańskiej.

7. Misjonarze mają wyśmienite humory. Odjeżdżają stąd jutro rano. Ja wyjadę w niedzielę z księdzem Salą.

8. Sprawy nasze są tu na bardzo dobrej drodze. Niech żyje Rzym! Pogadamy o wszystkim w Turynie.

9. Pozdrów księży Tonella, Capelletti, Porani, Santucci, dla którego uprosiłem szczególnie błogosławieństwo. Pozdrów też Księdza Rua, ks. Lazzero, Ks. Bertello, kucharza Botto i księdza Berto. Niech nas Bóg uchwaja zawsze w swej łasce świętej. Così sia! Najbardziej przywiązany w Chrystusie Panu

Rzym, 10.11.1876 r.

Ksiądz Jan Bosko

Wspomniany kanonik Molinari wykładał z wielkim poświęceniem teologię klerykom w Oratorium, choć z tego powodu spotykały go nieprzyjemności. On jednak oświadczył, iż gotów jest zrzec się kanonikatu, a także profesury w seminarium arcybiskupim, ale pomocy Księdzu Bosko nie odmówi.

Co do testimoniales po rozmowie z Papieżem takie dał Święty wytyczne swym współpracownikom:

1. Wychowankowie naszych zakładów nie potrzebują testimoniales;
2. Kandydatom ze świata przychodzący, potrzebne są testimoniales o ile chcą zostać przyjęci jako klerycy. Co do tego zobaczyć odnośnych autorów;
3. Dnia 10 listopada vivae vocis oraculo otrzymaliśmy dyspensę od testimoniales dla wszystkich bez żadnej różnicy.

Pierwsza grupa księży, których Ksiądz Bosko pozdrawia w liście to świeżo przyjęci kapłani do Zgromadzenia, którzy wtedy odprawiali nowicjat.

Misjonarze z Rzymu wyjechali do Sampierdarena, by tam czekać na odjazd statku do Ameryki. Traktowani byli przez księdza Alberę prawdziwie po ojcowsku: śpiewy, muzyka, deklamacje i co tylko można było, wszystko miało umilić im ostatnie dni pobytu w ojczyźnie. W dwóch dniach załatwiono potrzebne formalności pod czujnym okiem Księdza Bosko, o którym pisze ksiądz Bodrato do księdza Barberisa: „Biedny Ksiądz Bosko! Już od ośmiu dni stale w podróży, a troszczy się o nas bez przestanku”.

Odjeżdżający podzielili się na dwie grupy: dnia 14 listopada odjechali ci z księdzem Bodrato do Buenos Aires: ci do Montevideo odjechali później. Pierwszych było czternastu. Tych troskliwy ojciec odprowadził na okręt Savoia, przeglądając kabiny, czy tam czegoś nie brak i polecił ich troskliwości kapitana, który ujęty jego komplementami, zaprosił go na obiad, by tak mógł dłużej pogaworzyć jeszcze ze swymi ukochanymi misjonarzami. Po dwóch godzinach miłej pogawędki trzeba się było rozstać. Wszyscy otoczyli ze wzruszeniem swego Ojca, który zalecał im pracę wyłącznie z intencją podobania się Bogu i dla zbawienia dusz i następnie ich pobłogosławił mówiąc: Idźcie, nie obawiajcie się! Bóg jest z wami i Maryja Najświętsza będzie waszą obroną! O godzinie drugiej popołudniu okręt skierował się w stronę Marsylii. Powróciwszy do zakładu zaraz Ksiądz Bosko napisał do księdza Rua: Car. mo D. Rua! Daj monety złote Rossiemu, by je przyniósł na podróż do Bordeaux: pierwsza grupa już jest na okręcie, gdzie z nimi spożyłem „dejeune”. Są zrezygnowani: trochę sobie popłakali... ale wnet humor wrócił: wypłynęli z portu o drugiej. Przesyłają pozdrowienia serdeczne dla wszystkich w Oratorium. Ja będę w Turynie w piątek, si Dominus dederit i na obiad pójdę do księdza Vallauri. Zawiadom go o tym, a jeśli możliwe, przyjdź tam i ty. Wszystko na większą chwałę Bożą. Amen... Twój itd.

Wszystkich pasażerów z tymi, co dosiedli w Marsylii i w Barcelonie, było na okręcie Savoia 1772, w tym 30 pierwszej klasy, 42 drugiej, reszta w trzeciej. Nasi misjonarze mieli pełną swobodę odprawiać Msze święte, spowiadać, wygłaszać kazania, a nawet uczyć katechizmu zainteresowanych i korzystali z tego podzieliwszy między sobą poszczególne grupy towarzyszy podróży. Koadiutorzy byli przedmiotem szczególniejszego zainteresowania osób świeckich, które powoli zaczęły ich naśladować w odmawianiu pacierzy...

Przeznaczeni do Montevideo mieli wsiadać na okręt dopiero w Bordeaux, gdyż bilety przyznane im przez Urugwaj były zamówione u Towarzystwa Pacyfiku, które tam miało swą centralę. Ksiądz Bosko odprowadził ich na stację w Sampierdarena i tu się z nimi pożegnał. Wzruszająca to była scena, gdy na głównej sali stacji odjeżdżający uklękli i ze łzami w oczach przyjmowali jego błogosławieństwo. Zaraz też pobiegli, czym prędzej do pociągu, który już prawie ruszał.

W Bordeaux czekała ich przykra niespodzianka. Statek Poitou, którym mieli odpłynąć, już był na pełnym morzu. Trzeba było czekać... Rozmieścili się w Hotelu Toulouse: ale okazało się, iż to na ich kieszenie jest za drogie tym bardziej, iż nie wiedzieli ile im wypadnie czekać. Szukali, więc tańszego noclegu. I to się udało. Za interwencją Przewodniczącego Konferencji św. Wincentego i Biskupa Sufragana część z nich mogła się rozlokować w seminarium, dwóch koadiutorów u Pasjonistów, a trzech u Karmelitów. Wszędzie spotkali się ze serdecznym przyjęciem. W uroczystość świętego Jana od Krzyża wszyscy zostali zaproszeni na obiad przez Karmelitów: a nawet ks. Lasagna celebrował u nich sumę coram Episcopo. Odjazd

z Bordeaux nastąpił dopiero w pierwszych dniach grudnia parowcem Iberia. Ale nie na tym koniec ich przygód, bo wkrótce mieli zaznać, co to znaczy burza morska...

Z Sampierdarena Ksiądz Bosko pisał do księdza Cagliero:

Don Cagliero Carissimo!

Dzisiaj 14 listopada okrętem Savoia odjechało naszych czternastu salezjanów do Argentyny z Genui. Innych dziesięciu ma wyjechać z Bordeaux do Montevideo tydzień później.

Sześciu salezjanów i sześć Córek Maryi Najświętszej Wspomożycielki wyjedzie w kwietniu do S. Nicolas. Dwie z tych sióstr to siostry Borgna, urodzone i wychowane w Ameryce, mówią biegle po hiszpańsku.

Z listy personelu, jaką ci wręczy ksiądz Bodrato, zorientujesz się, jak rozdzielić personel.

W następnym roku 1877 będzie tam u was czterech, którzy będą mogli być wyświęceni. Z dyspensą od wieku nie będzie trudności. Pamiętaj, że mamy przywilej extra tempora.

Postaraj się otworzyć tam nowicjat. Dobrze by było, gdybyś mógł zdobyć jakieś powołanie kapłańskie wśród samych Indian. Jeśli zajdzie potrzeba, będą mógł ci przysłać dzielnego magistra nowicjuszów.

Zgłasza się do naszego Zgromadzenia wielu proboszczów i wikarych. Ci, co teraz jadą do Ameryki są już dobrze „rimpiazzati” - urobieni.

List twój z 9 października otrzymałem parę godzin przed odpłynięciem Savoia.

Ojciec święty ofiaruje 5000 franków na misjonarzy, a gdy byłem na jego zaproszenie w Rzymie, dodał jeszcze tysiąc w złocie. Ministerstwo Spraw Zewnętrznych też dało tysiąc z ubolewaniem, że nie może dać więcej. Le' mei, ch'un pugn an t'jeui - Zawsze to lepsze, niż pięścią w nos- powiedziałaby Gainduia.

Już są wydrukowane dyplomy Pomocników po włosku i hiszpańsku: dopilnuj tej organizacji z należną roztropnością i w swoim czasie przyślij mi ich spis.

W Magliano, Albano, Ariccia już są salezjanie. Ojciec święty pragnie nas mieć w Rzymie. Już jest na oku dom, w którym będziemy mogli zacząć nasze dzieło.

Mamy 136 nowicjuszów. Jeśli będziesz zwlekał z twoim przyjazdem, to tu zostaniesz nowy świat nie do poznania... Chyba nie nastąpi żaden krach w polityce amerykańskiej, jeśli ty przyjedziesz do Europy w 1877 roku?

Ta ekspedycja misjonarska pogrążyła nas po uszy, ale Pan Bóg nam pomaga i jakoś wygramolimy się. Weksel na 9 tysięcy jeszcze nie doszedł.

Przyjdzie ci rachunek na 1755 lirów i musisz go zapłacić; pozostaje on w związku z ostatnią podróżą.

Gdy rozdzielisz personel na poszczególne domy, wówczas zbieraj wszystkich, przeczytaj im moje upominki z zeszłego roku dołączając słowa zachęty od siebie. Przyślij mi potem cały rozkład personelu i wykaz nowicjuszów i aspirantów.

Pozdrów moich drogich synów ode mnie i złóż uszanowanie wszystkim naszym przyjacielom i dobrodziejom, jakbym ich każdego z osobna wymieniał... Niech nas Bóg błogosławi itd., ...

W dwa dni po tym liście to jest 16 listopada już pisał drugi list:

Carissimo D. Cagliero!

Ostatnie wiadomości. Weksel na 9 tysięcy jeszcze w drodze. Proboszczem w Buenos Aires na razie może być ksiądz Bourlot. Na pewno da sobie radę.

Tu przygotowujemy na wiosnę wyprawę z salezjanami także i siostr.

Miejsce kardynała Antonelli zajął kard. Simeoni, nuncjusz z Madrytu, wielki nasz przyjaciel. Ksiądz Lasagna chyba w tej chwili dojeżdża już do Bordeaux. Od niego dowiesz się bliższych szczegółów. Oprócz biletów na przejazd z Montevideo otrzymaliśmy jeszcze lir 1535 w złocie: trochę to mało, ale zawsze lepiej niż nic. Kłopot był z bagażami, które nie pojechały do Bordeaux. Wypadnie je wysłać okrętem Savoia. Komandor Gazzolo /ajassin- nudziarz/ towarzyszy naszym do Bordeaux. W ten sposób chce się upewnić, czy wszystko poszło po naszej myśli.

Ojciec święty stale myśli o Pampas i o Patagonii. Gotów jest nam pomagać i materialnie w razie potrzeby, ale o tym potem. Już mi się w głowie kręci, ale to nic. Z pomocą Bożą sprawy idą, jakby światowiec powiedział wprost „bajecznie”, a my powiemy cudownie. Niechże nas Bóg zachowa w swej świętej łasce, byśmy coraz godniejsi byli jego dobrodziejstw... itd.

W czasie jednej z tych ostatnich podróży Ksiądz Bosko cierpiał wielki ból głowy. Zauważył to jego towarzysz podróży, ksiądz Sala i w swej prostocie poprosił go, by mu ten ból odstąpił. Dobrze! Powiedział Święty. Jeśli sobie życzysz, niech tak będzie! W tej chwili proszący odczuł takie strzykanie w głowie, że ledwie mógł wytrzymać, a równocześnie Księdzu Bosko ból ustał.

O ostatnich przeżyciach w związku z wyjazdem misjonarzy tak opowiadał on na słówku po powrocie do Oratorium 17 listopada:

Jak to jest, że kiedy indziej to sobie rozmawialiśmy na świeżym powietrzu pod portykami; a dzisiaj widzę was tu natłoczonych w tej ciasnej stosunkowo sali? Co to ma znaczyć?... Może, kto odpowie, że co innego jest świeże powietrze, a co innego zimne... No ale znowu jeszcze tak zimno nie jest: gorzej jak nastaną mrozy. Ale miejmy nadzieję, iż jakoś zimę przetrwamy. Zresztą bronią nas zimą grube mury... a w refektarzu ciepła zupa, no i porządna butelka /tylko, że wino w niej bardzo, bardzo białe- mruknął ktoś po cichu ku ogólnej wesołości otoczenia/ rozgrzeją każdego. Także i w łóżku się rozgrzejecie, bo bardzo mi zależy, abyście mieli to, co dla zdrowia niezbędne. Jeśli zaś trzeba będzie trochę pomarznąć, to zrobimy z tego ofiarę Panu Bogu jako dobrzy chrześcijanie.

No, ale na pewno wam chodzi, bym mówił, o czym innym... a mianowicie o naszych misjonarzach. Otóż byłem z nimi w Rzymie, gdzie miałem możliwość parę razy mówić z Ojcem świętym. Pytał mnie o wszystko i o wszystkich. Mówiłem mu o tym, co już przywdziali suknię klerycką i tych, co tego jeszcze nie uczynili, ale też rokując dobre nadzieje... Mówiłem o was, że mniej czy więcej jesteście podobni do świętego Alojzego... A wtedy mnie zagadnął:

A czy między chłopcami Księdza są także tacy niesforni?

To zaś nie! – odpowiedziałem. Prawdziwie niesfornych nie ma! Są zaś tacy, jak święty Alojzy.

Niech się Ksiądz wytłumaczy, bo nie rozumiem - powiedział Papież.

Tak jest wielu, jak święty Alojzy, tylko ja biorę pod uwagę, jacy są i jakimi chcieliby być...

Teraz rozumiem! - odrzekł Ojciec święty uśmiechając się i ciągnął dalej. Powiedzcie waszym chłopcom, iż liczę na nich i udzielam im swego błogosławieństwa doprawdy z całego serca.

Z Rzymu wyjechaliśmy do Smpierdarena do naszego zakładu, gdzie nas goszczono iście po bratersku ze wszelkimi możliwymi względami. Mimo to kłopotów nie brakło. Jeden nie miał załatwionych formalności z paszportem, drugiemu brakowało kapelusza, innemu płaszcz czy bielizny. Ten narzekał, że nie ma walizki, tamten, że jakąś książkę zostawił w Turynie, słowem wielkie między tymi misjonarzami było „gazzabuglio - bałagan”, że trudno opisać... Ale ostatecznie wszystko poszło dobrze... W drodze na okręt wszyscy byli weseli i zadowoleni. Ja poszedłem z nimi. Okręt z dala wyglądał jak wielka sterta drewna; wewnątrz zaś pełen był komfortu. Pasażerów według tego, co mi powiedział kapitan, było 1200. Podróżni trzeciej klasy, by nie mówić o tych z czwartej, którą stanowią barany, cielę, woły, kury itd., jedzenia mają pod dostatkiem i nie mogą się na nich żalić; rano kawa czy herbata; na innych posiłkach zupa, potrawa i owoce do woli. Sypialnia obszerna - można się w niej całą noc przewracać z boku na bok. Ci drugiej klasy i pierwszej mają osobne separatki, w każdej po czterech względnie pięciu. Prycze do spania umieszczone są jedna nad drugą. Ten, więc, który idzie spać do góry musi uważać, a leżąc już na wysokościach „deve essere discreto - winien być dyskretny” /ogólny śmiech wśród słuchających/. Powiedziałem, że musi być uważny, by nie nadepnąć na nos leżącego na dole towarzysza podróży. Trzeba jednak przyznać, że wymogi skromności są tu surowo przestrzegane... Nasi siadali do stołu drugiej klasy, bo już w pierwszej nie było miejsca. Na śniadanie oprócz kawy czy herbaty i ciasta, były jeszcze dwa, względnie trzy rodzaje owoców: na dejeuner zupa, wino, mięso, trzy dania i owoce różne; na wieczerzę - dania jeszcze obfitsze. W ciągu dnia zawsze mają do dyspozycji owoce, napoje i inne smakołyki. Nie mówię już o tych z pierwszej klasy. Gdyby nam tylko przysłano do Oratorium to, co zostaje tam po obiedzie, to na pewno wystarczyłoby dla nas wszystkich na parę razy. Jadalnia cała wyłożona jest dywanami. Obsługa bardzo akurdatna. Ze zmianą dania zmienia się sztuce. Nasz Adamo

/familiarant z Oratorium, jadący również do Ameryki/ widząc ten przepych zawołał: Czy te kobierce nie powalają się od naszych butów? A kiedy we wszystkim widział się obsłużonym mruczał: Ależ ja chcę mieć coś do roboty; przy takiej beczynności to gotów jestem się rozchorować! Przy obiedzie zaś żalił się: och! Znowu mi zmieniają widelec, którym się już posłużyłem a jeszcze by się mógł przydać...

Właśnie, dlatego, że już użyty, zmieniamy – tłumaczył mu kamerdyner.

Także i pod względem religijnym mają nasi misjonarze wszelkie wygody: mogą odprawiać Mszę świętą, przystępować do sakramentów, spokojnie się pomodlić. Jak widzicie na niczym im nie zbywa.

Z początku wszyscy byli weseli. Lecz gdy nadszedł moment pożegnania, każdy z nich zbladł, osowiał, wreszcie rozplakał się. Księżę Bosko, błogosław nam! zawołali upadłszy na kolana.

Pobłogosławiłem im i pokrzepiłem słowy: Odwagi! Ofiarujmy Bogu tę boleść rozstania i jedźcie szczęśliwi!

Wiele jeszcze w ostatniej chwili mieli mi do powiedzenia, ale można by to wyrazić w tych słowach: Niech Ksiądz powie naszym przyjacielom w Oratorium, że jedziemy do Ameryki bez żadnego przymusu i ochoczo... nie dla żadnego kaprysu, ani ubocznych pobudek, lecz tylko, aby pracować na chwałę Bożą i dla zbawienia dusz. Niech Ksiądz zachęci wszystkich, a zwłaszcza wychowanków, aby nas naśladowali, my będziemy ich tam oczekiwać... I wreszcie rozstaliśmy się.

Jedna grupa odpłynęła z Genui, druga pociągiem wyjechała do Bordeaux, skąd pojutrze powinnyby wyruszyć morzem do Montevideo.

Mógłbym wam jeszcze wiele innych opowiedzieć szczegółików o naszych misjonarzach, ale nie chcę przedłużać. Więc może to odłożymy do przyszłej niedzieli. Dobranoc! /Czy Ksiądz Bosko jeszcze na ten temat mówił, nie jest nam wiadomo/.

Po powrocie swoim do Turynu Święty zaraz napisał list do Ojca świętego, który tak się zaczynał: Wróciwszy, co dopiero z pożegnania naszych misjonarzy do Oratorium, przede wszystkim poczuwam się od obowiązku złożyć Waszej Świątobliwości jak najżywsze podziękowanie tak ze swej strony jak i moich misjonarzy. Nie posiadali się oni z radości, iż mogli złożyć hołd Wikariuszowi Chrystusa Pana i otrzymać jego błogosławieństwo apostolskie. To też pełni wdzięczności postanowili sobie wszędzie głosić wielką dobroć i łaskawość Najwyższego Zwierzchnika Kościoła świętego, gotowi dla sprawy Bożej i świętej religii katolickiej i życie poświęcić...

Oprócz listu do Papieża, wysłał jeszcze Ksiądz Bosko prośbę do Kongregacji Propagandy o udzielenie jego misjonarzom tych przywilejów, jakie otrzymali ci z pierwszej ekspedycji z tytułem misjonarzy apostolskich. Równocześnie przedstawiając potrzeby misji, polecił je łaskawości Sekretarza tejże Kongregacji, monsignore Jacobini.

Myśl Świętego stale biegła do jego ukochanych misjonarzy i tych, co już byli w Argentynie i tych, co w tej chwili płynęli morzem do celu swego przeznaczenia.

Świadczy o tym poniższy list do ks. Cagliero: Don Cagliero! Dla twego spokoju daję ci do wiadomości, iż karawana kierująca się do Montevideo, nie odplynęła 20 listopada, jak to było w planie; muszą czekać w Bordeaux do 2 grudnia. W Montevideo będą około 29, a może wcześniej.

O tym wszystkim powiedzą ci dokładniej Siostry Miłosierdzia. Wiozą one też ze sobą część bagażu, którego nie zabrał okręt Savoia. Dobrze, że uczysz się angielskiego, ale i o hiszpańskim nie zapominaj... pamiętaj o Indiach, ech?

Ojciec święty osobnym dekretem oddał całą armię Concettinów pod nasze kierownictwo, abyśmy z nich zrobili tyłuż salezjanów. Zobaczymy, co z tego wyniknie...

Posłuchaj, jak się ładnie składa: Do Ameryki jedzie sześciu księży; do Zgromadzenia wstępuje nowych sześciu; siedmiu płynie razem z tamtymi; siedmiu pisze o przyjęcie do nowicjatu; dwunastu koadiutorów wyjeżdża z Turynu na różne placówki; dwunastu też zostało świeżo zapisanych w nasze grono. Czyż nie widzisz z tego, że Bóg sam kieruje naszymi sprawami?

Zainteresuje się teraz kupnem terenu pana Gazzolo, który koniecznie pragnie go się pozbyć. A jak jest z umową dotyczącą kościoła de los Italianos? Miej na względzie, że gwiazda komandora Gazzolo zaciemnia się, choć wydawała się tak promienną. Na pewne rzeczy zwrócił w czasie podróży uwagę ksiądz Lasagna.

W Oratorium bawi w tych dniach ksiądz Reyne, proboszcz z Castelle to nad Ticino. Koniecznie chce jechać do ciebie. Mówi mi, iż w sprawach bankowych możesz zwracać się do jego ucznia, pana Pollini, bankiera w Buenos Aires. Obiecuje złote góry.

W tej chwili bawi u nas generał Concettinów, przysłany przez Papieża, aby omawiać sprawę dość skomplikowaną połączoną w jedno naszych Zgromadzeń. Vedremo.

Mam przygotowanych 6 sióstr i 6 salezjanów do wysłania na wiosnę do Was, jeśli tego zajdzie potrzeba.

Umarła Madama Maze; w czwartek będzie jej uroczysty pogrzeb. Resztę powiedzą ci jadący do was współbracia. Wiozą ci miliony pozdrowień w jednym worku ze wszystkich stron świata.

Niech nas wszystkich Bóg błogosławi, o drogi Cagliero; a módl się za mnie, który jestem ci zawsze najbardziej przywiązany przyjacielem...

PS. Szczególne pozdrowienia dla Doktora Edwarda Carranza i markiza Spinola.

Grupa jadąca do Montevideo, jakoś nie miała szczęścia w podróży. Koło zatoki Gaskońskiej natrafili na straszną burzę, która srożyła się nad nimi cztery dni. Gdy jej opis przesłali później do Oratorium, to ten zamiast przerazić chłopców, tym bardziej zapalił do misji. Do celu swej wyprawy dojechali po 18 dniach, witani serdecznie przez władze kościelne i cywilne stolicy. Ale właściwym miejscem ich pracy miała być Villa Colon. Zakład wychowawczy miał zostać otwarty w zabudowaniach

fabrycznych, skupionych koło małego kościółka w stylu gotyckim. Nie przedstawiały one ponętnego widoku. Ściany zaledwie otynkowane bez żadnych ozdób, brak wszelkich mebli, place przyległe, przyszłe podwórza, zarośnięte wybujałym zielskiem. Trzeba było dużo wszelkiego rodzaju remontów i przebudówek.

To też już kilka tygodni przed przyjazdem grupy urugwajskiej naszych misjonarzy, przybyli tam z Buenos Aires księża Cagliero i Tomatis z majstrem naszym stolarskim Scavinim i zebrali się do porządkowania. Praca ich nabrała większego rozmachu z chwilą wylądowania księdza Lasagna z jego towarzyszami. Po miesiącu już mogli ogłosić w dziennikach otwarcie zakładu, który wnet napełnił się młodzieżą. Otworzono szkołę podstawową, gimnazjum niższe i kurs przygotowawczy do liceum. Nie zapomniano o muzyce i śpiewie, co przyczyniło się do urządzania uroczystych nabożeństw i pociągających akademii. Życie kolegium zorganizowane zostało na wzór życia w kolegium w Alassio. Chłopcy uczyli się chętnie, byli karni i pobożni ku ogólnemu zadowoleniu ich rodziców, a także i okolicznego społeczeństwa. Wprawdzie sekciarze zaczęli walkę podjazdową na wszelki sposób, zwłaszcza w dziennikach, ale ksiądz Lasagna nie pozostał im winien. Słowem i pismem wkrótce zmusił ich do milczenia. Resztę dokonały świetne wyniki całej pracy wychowawczej i społecznej salezjanów. Sława kolegium rozeszła się po całej tej republice, co stało się podstawą do przyszłego wspaniałego jego rozwoju. Dziś Kolegium Piusa, tak zwane dla uczczenia pamięci wielkiego Piusa IX, kwitnie wspaniale otoczone parkami, ogrodami, winnicami i boiskami. Dominuje nad nim piękna świątynia ku czci Najświętszej Wspomożycielki, prawdziwe sanktuarium narodowe.

Misjonarze jadący do Argentyny wstąpili po drodze do stolicy Brazylii powitani serdecznie przez biskupa Lacerda, któremu złożyli wyrazy uszanowania od Księdza Bosko. Zaczny ten arcybiskup rozżalił się jednak bardzo, skoro usłyszał, iż oni jadą dalej i zawołali: Czemuż to zawsze do tego Buenos Aires? Ja tu mam 40 parafii bez kapłana. Ludzie tam rodzą się, żyją, umierają... Bóg sam wie jak. Po cóż, więc jedziecie do Argentyny?. Powiedzcie mi, jak zrobić, by tu mieć salezjanów?... Chciałbym otworzyć zakład dla rzemieślników, ale rząd nie chce widzieć tu mnichów!. Pan Bóg natchnął mi myśl, by sprowadzić salezjanów. Tych, ponieważ zajmują się młodzieżą, jeszcze by władze tolerowały tym bardziej, iż nie mają oni żadnych specjalnych odznak różniących ich od kapłanów diecezjalnych. Bardzo to była szczęśliwa myśl Księdza Bosko! Ksiądz Bodrato, by strapionego biskupa pocieszyć, zapewnił go, iż tędy wnet będzie przejeżdżał ksiądz Cagliero, to z nim będzie można tę sprawę omówić. A Biskup na to:, Po co ja mam czekać księdza Cagliero? Wole mówić z tym, którego mam przed sobą. Przecież i ksiądz będzie pisał do Księdza Bosko, więc tak zyska się na czasie...

Chciał wszystkich zaprosić na obiad, ale statek już odpływał, więc z bólem serca musiał ich pożegnać.

Kiedy 12 grudnia rano, stanęli na kotwicy w Buenos Aires, zauważyli barkę, która bardzo szybko ku nim podpływała. Po paru chwilach już byli w objęciach

księdza Cagliario i księdza Fagnano. Ale by wysiąść na brzeg trzeba było czekać jeszcze dobre 24 godziny. Okręt Savoia nie mógł dopływać do brzegu, bo port nie miał jeszcze odpowiednich urządzeń, ale zatrzymał się w odległości jakichś 10 mil od ziemi. Opróżnianie okrętu odbywało się, więc za pomocą mniejszych statków i łódek. W tym dniu morze było wzburzone i trzeba było czekać. Aż nareszcie 13 grudnia rano mogli wylądować witani owacyjnie przez bardzo licznych przyjaciół, jakich sobie salezjanie swą roczną pracą pozyskali w stolicy Argentyny. Cały tydzień upłynął na składaniu wizyt, z których pierwsza była u Arcybiskupa. Ten z tej okazji wyraził swe gorące pragnienie poznania osobiście Księdza Bosko, co też doszło do skutku, jak zobaczymy. Żegnając zaś swych gości, rzekł: Przykro mi, że na razie nie mogę napisać do Księdza Bosko, bo zaraz wyjeżdżam do Paragwaju. Ale wy pisząc do niego, zaznaczcie, iż bardzo się cieszę waszą tu pracą, która jest prawdziwym zbawieniem dla tego miasta i szczęściem dla mej tak obszernej diecezji. Powiedzcie też, że udzielam wam wszelkiej władzy i jurysdykcji, jaka jest w mojej mocy. Doprawdy wielkich rzeczy spodziewano się wtedy od salezjanów, otaczała ich cześć i uznanie od wszystkich, których nadzieje jak historia wykazuje już dziś, nie zostały zawiedzione.

O początkach misji salezjańskich w Ameryce napisał ze swego życia ks. Chiala w dziełku: *Da Torino alla Republica Argentina- Listy misjonarzy*. Turyn 1876. Ujęcie to bardzo było trafne, bo właśnie z tych listów pierwszych pionierów misyjnych najlepiej można poznać ducha, jaki ich ożywiał. Ksiądz Bosko zaś, polecając napisanie tego dziełka, miał na celu wykazanie, jak Opatrzność posługuje się skromnymi narzędziami do przeprowadzenia swych Boskich celów, a równocześnie wykazała swym dobrodziejom, że nie na darmo idą ich ofiary, które z takim poświęceniem składali na obie ekspedycje misyjne.

ROZDZIAŁ XIX

NAPASTLIWOŚCI DZIENNIKARSKIE

Wprawdzie patrząc z perspektywy dnia dzisiejszego, napaści dziennikarskie na Księdza Bosko w owym czasie nie wydają się rzeczą wielką; ale i takich przykrości przy końcu jego życia mu nie zabrakło. Pewno, że przez to nie stracił on na reputacji w oczach społeczeństwa, ale przeciwnie, sprawdziło się przysłowie, że „chi sputa in alto gli ricasca sulla faccia - kto pluje w górę, temu spada na nos”. Nie mniej jest faktem, iż te złośliwości odczuł on boleśnie i jako kapłan oraz jako Założyciel tak poważnej Rodziny Zakonnej.

Aby trzymać się porządku chronologicznego zaczniemy od humorystycznego szmatławca pod tytułem: „FICCANASO - WŚCIBINOS”, jaki ukazywał się w Turynie trzy razy na tydzień. Sama jego nazwa świadczy, iż „wścibiał nosa, gdzie nie dał grosza, względnie do cudzego trzosa”. Przepojony duchem wolteriańskim wyciągał na światło dzienne wszelkie dostępne skandaliki miejskie: stąd był wielce poczytny wśród gawiedzi ulicznej. W roku 1876 został na jakiś czas zawieszony, ale w marcu znowu rozpoczął swą działalność, dając dość wyraźnie do zrozumienia, iż przedmiotem jego ataków będzie tym razem także Ksiądz Bosko. Rozpoczął od tego, iż dał do zrozumienia swoim lektorom, jakby w związku ze swym odrodzeniem wysłał do Świętego „un cordiale saluto - serdeczne pozdrowienie”. Ten miał mu odpowiedzieć, iż biorąc pod uwagę „tanta gentilezza” gotów jest zostać na przyszłość „collaboratore straordinario - korespondentem nadzwyczajnym” i „campagno d’armi - towarzyszem broni” redakcji tego pisma. Następnie zapowiedział, iż współpracę swoją Ksiądz Bosko rozpocznie opisaniem „di una lunga storia dell’eredita’ Succi - długiej historii spadku po rodzinie Succi”. Przy czym sarkastycznie zaznaczył, iż „con sovitadi stile - słodkim stylem” i „con squisita dolcezza - wytworną łagodnością” właściwą kapłanom, będzie mówił o „grubych rybach”, jak o adwokatach, prokuratorach, najwyższych urzędnikach zamieszanych w bardzo brudne sprawy. Wobec takiej powabnej obietnicy redaktor naczelny dziękował „commosso di tanto favore - wzruszony takim favorem” w imieniu zaciekawionych czytelników i oczekiwał z niecierpliwością „historii owego spadku - la storia di quella eremita”.

Była to złośliwa oczywiście insynuacja i nic więcej, ale dla litościwego serca Księdza Bosko bardzo bolesna. Bo też adwokat Alojzy Succi, który zmarł z początkiem ubiegłego roku, pozostawił Księdza Bosko w bardzo ciężkiej sytuacji. Ten, bowiem poręczył za niego poważną sumę 40 tysięcy franków w jednym z banków, wiedząc dobrze, że to człowiek bogaty i uczciwy, a dla niego zawsze uczynny. Naturalną było rzeczą, aby tę sumę wypłacili jego spadkobiercy. Ci jednak posługując się różnymi kruczkami prawnymi, wycofali się z tego. Tak więc Ksiądz

Bosko widział się zobowiązany honorować swój podpis. Dalsze losy całej tej afery już dla nas nie są tak ważne, ale złośliwe instytucje wspomnianego brukowca, choć dalej się nie posunęły, to jednak bezkrytycznym czytelnikom pozwalały się domyślać nie wiadomo, jak wielkich matactw ze strony Świętego.

Wspomniane piśmidło wróciło znowu do Księdza Bosko w niespełna dwa miesiące później. Wprawdzie w tym czasie głośna wtedy sprawa fiskalna utraciła to czasopismo, ale ono pojawiło się znowu, choć już pod zmienionym tytułem. Od maja nazywało się „La Laterna del Ficcanaso”; treść i kierunek pozostały te same. I zaraz zaatakowano Księdza Bosko, który wtedy bawił w Rzymie. W związku z tym ukazał się w nim artykuł pt. „Don Bosco a Roma”. Nabrzmiały on był od różnych niedorzeczności, w jakie popadają dziennikarze świeccy, pisząc o rzeczach kościelnych. W gazetach dotąd nie było wzmianki o suspensie Księdza Bosko przez arcybiskupa turyńskiego. Właśnie na ten temat rozpisał się wspomniany artykuł, podając nawet motywy wspomnianej suspensy. Miały one być według niego następujące:

1. Ksiądz Bosko miał za wielkie wpływy we Watykanie;
2. Opierając się na nich, wymykał się spod władzy swego bezpośredniego zwierzchnika;
3. Wprowadzał w zamęt sumienia wiernych, wyłudając od nich zapisy na swoją korzyść.

Złośliwy felietonista przedstawiał Księdza Bosko, jako „rękami i nogami - di schiena e di braccia” pracował, aby uwolnić się od wymierzonej mu kary kanonicznej i konkludował ironicznie: „Tą karą monsignor arcivescovo ha fatto una cosa a dovere e glie ne va data laude - spełnił swój obowiązek i to mu się chwali... Zobaczymy, kto będzie silniejszy, czy Ksiądz Bosko, czy monsignor Gastaldi”. Ileż w tym było złości!

Drugi artykuł zatytułowany był „Fanatismo loiolesco”. Ten zasadniczo był zgodny z prawdą. Przytoczymy go, opuszczając to, co w nim było grubiańskiego. Oto jak pisał:

Swego czasu trzech panowie przyszli do drukarni św. Franciszka Salezego i prosili o wydrukowanie małego ich dzieła. Wszyscy wiedzą, że drukarnia ta pozostaje bezpośrednio pod zarządem Księdza Bosko. Ten przyjął zlecenie, zawarł z nimi umowę i zatrzymał sobie manuskrypt. Po trzech dniach zainteresowani przychodzą zobaczyć, na jakim punkcie jest zamówiona przez nich robota. Moi panowie – powiedział do nich Ksiądz Bosko – bardzo przepraszam; możecie mnie i zabić, ale ja spaliłem manuskrypt wasz, a natchnienie do tego przyszło mi od „Dominedio”... Ładna to miała być „książeczka”!. Sam manuskrypt miał przeszło tysiąc stron. Skombinowany tam był życiorys arcybiskupa, który był prawdziwym paszkwilem na tego dostojnika Kościoła. Kończył się ten artykuł oświadczeniem redaktora, iż nie może on pojąć, jak owi trzej autorzy zniszczonego manuskryptu nie

odnieśli się z tą sprawą do prokuratora. Ale tłumaczył to sobie bardzo po prostu: Wszystko zdolna jest załatwić „auri sacra fames”.

Nastąpiły jeszcze dwa dalsze ataki. Pierwszy, choć nie miał żadnych podstaw realnych, to jednak nie mniej był złośliwy od poprzednich. Był on zatytułowany: „Cose di Bra ossia un allievo di Don Bosco”. Tym wychowankiem miał być niejaki: „Don P., parroco a Bra”. I w tym artykule chodziło o kaptowanie sobie zapisu spadkowego. Faktycznie jednak Ksiądz Bosko nie miał żadnego ze swoich wychowanków, jako proboszcza w Bra; chyba, że wyrazowi wychowanek chce się nadać tendencyjne znaczenie pełne złośliwości, a mianowicie uczeń i naśladowca w sztuce wyłudzenia zapisów spadkowych.

Drugi atak skierowany pozornie przeciw Księdzu Bosko, godził właściwie w arcybiskupa. Jego autor powracał znowu do suspensy a divinis, jaka spotkała Księdza Bosko i wykazywał, jakie miały być według niego jej motywy, a mianowicie: ukryta zazdrość karzącego i bezczelna konkurencja ukaranego w zabieganiu o zapisy. A więc zawsze jedno i to samo powtarzane aż do obrzydzenia, co na pewno u czytelników, nawet najwybredniejszych, musiało budzić niesmak. Wszak widzieli oni dobrze, jak Ksiądz Bosko bezinteresownie pracuje dla dobra niższych warstw społecznych i opuszczonej młodzieży.

Bardzo był rozpowszechniony pomiędzy gawiedzią uliczną inny dziennik humorystyczny, który znamy już z poprzedniego tomu, a mianowicie „Fischietto” /Gwizdek/. I ten zaczął bryzgać swym jadem na Księdza Bosko i na arcybiskupa w swoim numerze 62 z drugiego maja. Niejaki „Fra Giocondo” oczywiście - ani zakonnik, co by miał znaczyć wyraz „fra”, ani żaden wesołek – Giocondo, zamaczawszy pióro w jадzie wolteriańskim, urągał jak turek na te dwie dostojne osobistości, zatrzymując się w szczególny sposób nad nieporozumieniem, jakie między nimi miało istnieć od dłuższego czasu. Zaoszczędzimy czytelnikom fatygi czytania tego steku niedorzeczności i bezsensownych insynuacji na temat suspensy, o której już wyżej była mowa. Ale natrafiamy jednak na pewną nowość podaną czytelnikom. Otóż Ksiądz Bosko miałby na serio zwinąć swoje zakłady w Turynie i przenieść się na Riwierę liguryjską. Twierdzenie to opierało się na uroczystości urządzonej 18 maja w Sampierdarena na cześć Księdza Bosko powracającego z Rzymu. „Il Cittadino”, lokalny dziennik genueński, wspomina o tej uroczystości, jako o wyrazie zewnętrznym synowskiego przywiązania do swego ojca, czego wspaniałym dowodem była akademia urządzona na pięknej sali świeżo wzniesionego budynku, dzięki pomocy hojnych dobrodziejów. Otóż opierając się na tej wzmiance kronikarskiej „Fischietto” rozwodził się, jak to Ksiądz Bosko prześladowany w Turynie, szuka spokojnego kąta w Ligurii. Być może, że podobny projekt powstał w głowie nieprzyjaciół Kościoła i Księdza Bosko, którego ci chcieli zdyskredytować w oczach społeczeństwa, ale nie było to wcale w zamiarach Opatrzności.

Ale były jeszcze inne przykrości dla Świętego ze strony dzienników. O inauguracji linii kolejowej w Lanzo różne czasopisma rozwodziły się, aż do

przesady, nie pomijając przy tym tego, co działo się w zakładzie tamtejszym przy udziale samego Księdza Bosko. A trzeba pamiętać, iż wtedy rządy przeszły z rąk konserwatystów do lewicowców. Obchody, więc w Lanzo każdy dziennik przedstawiał ze swojego punktu widzenia. Udział w tym obchodzie Księdza Bosko na ogół był oceniany pozytywnie, tak przez organy prawicy, jak i lewicy i również przez tak zwanych niezależnych, do których należała „Unita Cattolica”. Świadczy to wymownie o tym, jak Ksiądz Bosko był zawsze wierny swojej zasadzie: W polityce ja nie należę do nikogo - In politica io sono di nessuno. Mimo wszystkiego spotkały go tu nieprzyjemności.

Dobrze będzie najpierw przeczytać pochwały zamieszczone w „Unita Cattolica” w tym względzie pod dniem 8 sierpnia: Kolegium salezjanów pod wspaniale przyozdobionym portykiem, przygotowało stoły dla „un bel rinfresco di vini bianchi e di vermuth” dla zebranych gości. Wychowankowie Księdza Bosko wykonali piękną kantatę z towarzyszeniem kapeli, zyskując huraganowe oklaski. Trzej ministrowie i prefekt Turynu zwiedzili Kolegium, odnosząc bardzo dodatnie wrażenie z jego urzędnictwa.

Nie mniej pochlebnie wyrażał się o zakładzie w Lanzo i katolicki „Emporio Popolare”.

Także dziennik przemysłowców „Nuova Torino” pisał: „Goście zrobili wypad do kolegium Księdza Bosko, gdzie ten zacny kapłan przyjął ich doprawdy cavalierment i długo rozmawiał z ministrami Nicotera i Zanardellim”.

Nawet „Gazetta del Popolo” pod datą 7 sierpnia pisała: W kolegium za staraniem władz miejscowych przygotowano wino i vermuth do woli. Wychowankowie konwiktu wykonali przy tej sposobności wspaniałą kantatę nagrodzoną frenetycznymi oklaskami. Wiele, jak widać w tym reportażu pominięto milczeniem, ale przecież, jak na taki dziennik, to aż za dużo!

Nieprzyjemności nastąpiły po tym, co napisał „Il Bersagliere” ministerialny dziennik rzymski pod datą 9 sierpnia: Wchodzimy do wspaniałego kolegium Księdza Bosko, tego cudotwórcy, który w swoich zakładach utrzymuje więcej niż 9 tysięcy młodzieży. Ta pozdrawia ministrów oklaskami i wiwatami. Ksiądz Bosko tam obecny wita się z Nicoterą, Zanardellim, z Depretisem uściskiem ręki i pod obszernymi portykami każe podać mrożony vermuth. Był świetny! Młodzież śpiewa, kapela przygrywa do występów gimnastycznych, nastrój ogólny bardzo podniosły. Tu mało wchodzi w grę prete – ksiądz. Tu wychowanie jest męskie, chłopak nabiera tężyzny jak skała! W pewnym momencie Ksiądz Bosko stał się królem uroczystości i siedział w środku między Nicoterą a Zanardellim i prezydentem ministrów. Zanardelli wprost nie mógł swym oczom uwierzyć. A jednak fakt jest faktem. Ten dziwny kapłan, który na pierwszy rzut oka wygląda, rzekłbyś na zakrystianina, z wielką dezynwolturą towarzyszy prezydentowi ministrów, aż do rynku, gdzie na pożegnanie podają sobie ręce, wymieniają serdeczne ostatnie komplementy i powtarzając ukłony wzajemne, rozstają się bardzo grzecznie.

I tu właśnie weszła w grę polityka i popsuła całą tę miłą harmonię. Pod datą 11 sierpnia „Unita Cattolica” zamieściła następującą korespondencję otrzymaną z Rzymu: Nicotera wybrał się na północ do Piemontu, który uważa się za cytadelę „prawicy”, aby tam kaptować sobie głupców i udawać świętoszka przy boku Księdza Bosko i Cottolengo, a wielkiego monarchistę z Wiktorem Emanuelem. Wystarczy wziąć do ręki dzisiejszego „Bersagliere”, organ barona neapolitańskiego, z którego tchnie jeszcze aura pobożności jego właściciela /ministra Nicotery/.

Przedstawia się go, jak zstępuje z pociągu inauguracyjnego i bierze udział w jego poświęceniu; następnie włącza się do pobożnego pochodu tuż za klerikiem niosącym krzyż on, który co dopiero wczoraj zabronił wszelkich procesji religijnych i rozplywa się w komplementach wobec Księdza Bosko, tego cudownego kapłana, no i tak dalej cały szereg fałszywej dewocji, na której widok każdemu musiał się żołądek przewracać, choćby był ze stali.

Zaledwie upłynął tydzień, a oto w tymże samym dzienniku zjawia się artykuł, którego autor nazywa się „figlio affezionatissimo del sig. Don Bosco – najbardziej przywiązany synem Księdza Bosko” i wyraża swoje ubolewanie nad kiepsko ułożonymi pochwałami dla Świętego ze strony rzymskiego czasopisma. W obawie zaś, by z powodu owych pochwał inni nie odnieśli ujemnego wrażenia względem jego ukochanego dobrodzieja, nazywa je przesadnymi, gdyż wszystko, co tam było napisane, jest niedokładnie przedstawione, a po większej części zmyślane. Następnie bronił Księdza Bosko przed możliwym zarzutem, jakoby roztrwonił pieniądze na „przesadne dekoracje z posmakiem politycznym na libacje urządzone dla ekscelencji i ich orszaku”. Na pewno inny użytek byłby on zrobił z owych „dwunastu tysięcy lir wyrzuconych przez magistrat w Lanzo na owo sławne dejeuner!”. I tak kończył swój artykuł: „Czy zaś Ksiądz Bosko przy swojej znanej grzeczności uściskał ręce panom ministrom, tego nie wiem, gdyż tam nie byłem obecny; ale ostatecznie, jeśli tak było, należałoby ze strony ich ekscelencji, by się i oni okazali nie mniej dworni i doprawdy dopomogli mu hojną ręką przygarnąć do swoich zakładów większą ilość młodzieży opuszczonej, by ona mogła otrzymać owe „męskie” wychowanie, jakim zresztą jest ono zawsze, jeżeli prowadzone w duchu katolickim”. Tyle z owej korespondencji nadesłanej z Rzymu.

Oczywistą jest rzeczą, jak niewłaściwą była cała ta kiepsko zredagowana publikacja, której szczególnego posmaku nadawał wstęp przed nią umieszczony przez redakcję, który tu dosłownie przytaczamy: Bardzo chętnie zamieszczamy poniższy list przesłany nam przez jednego salezjanina, a dotyczący pochwał umieszczonych w „Bersagliere” pod adresem Księdza Bosko, któremu byśmy całym sercem na dzień 6 sierpnia życzyli jednej z tych chorób chwilowych, które w podobnych okolicznościach atakują zawsze bardzo szczęśliwie dyplomatów, nie wyłączając nawet nuncjuszków apostołskich.

Dyrektor dziennika teolog Margotti, który w owych dniach był poza Turynem, zaledwie wrócił, pobiegł z przeprosinami do Księdza Bosko, oświadczając,

że o niczym nie był poinformowany na temat wyżej wspomnianego artykułu. Zaraz też w jednym z następnych numerów załączył taką notatkę: „L' Unita Cattolica zawsze odnosi się z oddaniem i czcią do Księdza Bosko, przekonana, że we wszelkich jego poczynaniach sprężyną jego działania jest wyłącznie chwała Boża, przywiązanie do Stolicy świętej i pragnienie pozyskiwania dusz dla Jezusa Chrystusa. Czujemy się szczęśliwi, ilekroć mamy sposobność popierać w naszym dzienniku jego iście apostołskie trudy”.

Wypada tu zaznaczyć, iż ów nieszczęsny artykuł, chociaż podpisany „un salesiano” nie był, jak się zdaje, pisany przez salezjanina, ale przez księdza Józefa Persi, który, jako kaznodzieja, był gościem w Oratorium, ale nigdy do Zgromadzenia nie należał.

Aby już niczego nie przemilczać, dodamy tu, iż owo „stringere la mano ai ministri”- ów uścisk rąk ministrom, tak podkreślany w organie ministerialnym podenerwował niejednego. Można, bowiem było wyczytać w dziennikach katolickich podobne zdania jak następne z wyraźną aluzją do Świętego: Niech tam ściska ręce Nikoterze czy Depretisowi kto chce, itd... Ale przecież żadne prawo, ani boskie, ani ludzkie nie zabraniało Księdzu Bosko tak postąpić jak postąpił. W końcu miał w Lanzo do czynienia z przedstawicielami legalnej władzy, a uroczyście sama nie miała w ogóle posmaku antyreligijnego... A potem czyż Ksiądz Bosko mógł nie zgodzić się na przyjęcie do swego Kolegium owych gości, narażając się tym samym na ciężkie konsekwencje? A skoro już musiał ich przyjąć, czyż mógł nie liczyć się z ogólnie przyjętymi konwenansami? Uciekanie się do choroby dyplomatycznej, to nie było w jego stylu, tym bardziej, że to postawiłoby jego salezjanów w Lanzo w bardzo trudnej sytuacji, gdyż nie byli oni dość zorientowani, jak znaleźć się w podobnych okolicznościach.

Z owego nieprzemyślanego artykułu Ksiądz Bosko okazał się bardzo niezadowolony, tym bardziej, iż kto nie znał wszystkich precedensów, łatwo mógł podejrzewać, iż został on napisany pod jego inspiracją, co absolutnie nie było prawdą. Był on w ogóle przeciwny wdawaniu się w polemiki dziennikarskie i co do tego tak się wyraził: Są one najlepszym sposobem do przeciągania w nieskończoność nieporozumień, a kończą się zawsze obustronnym zdenerwowaniem i niezadowolaniem. W nich wyolbrzymia się drobnostki i trąbi się na cztery strony świata o tym, co powinno by pozostać w ukryciu.

I w naszym wypadku chciał on być jak najbardziej ostrożnym: nie pozwolił nawet dać do druku owego wiersza napisanego w Lanzo przez księdza Lemoyne, pod który muzykę podłożył Dogliani.

Już i tak za wiele pisało się o Lanzo!- powiedział.

Nie dorzucajmy drwa do ognia...

Także bezbożny dziennik mediolański „Secolo” zainteresował się Księdzem Bosko w tym roku. Otóż rozeszła się pogłoska, iż Ksiądz Bosko zamierzał otworzyć swój zakład w Cassine w pobliżu Aleksandrii, co nie spodobało się jakiemuś

anonimowemu sekciarzowi i ten wylał swą żółć we wspomnianym dzienniku. Ale ludność z Cassine, głęboko tym oburzona, wniosła protest z licznymi podpisami do redakcji. A chcąc dać namacalny dowód swoich życzliwych uczuć Księdzu Bosko, wysłała do niego adres z podpisami 1184 osób. Projekt otwarcia kolegium w Cassine nie doszedł do skutku, a to z powodu zbyt szczupłego terenu, tak, że nie było miejsca na boiska, jako też i dlatego, że dom upatrzony wymagał za wiele przeróbek.

Również sprawa świeżo otwartych zakładów w Castelli Romani dostała się na szpalty dzienników: La Liberta i La Capitale, w miesiącu październiku, a to w związku ze sporem, jaki istniał między arystokratycznymi ugrupowaniami Białych i Czarnych, z których jedni godzili się z faktami dokonanymi, drudzy zaś trzymali się z dala od biegu wypadków. Na szczęście nieporozumienie trwało krótko zażegnane skuteczną interwencją z góry. Okazało się przy tym słuszne, co pisał kanonik Menghini do Księdza Bosko, 24 października 1876 r.: Fanatycy nie nazwą Księdza „Białym”, a „Biali” nie będą mogli nazwać „czarną” jego działalności dla dobra młodzieży opuszczonej.

ROZDZIAŁ XX

OSTATNIE MIESIĄCE ROKU 1876

Z tego czasu mamy przechowanych większą ilość przemówień Świętego i one też wypełnią poniższy rozdział.

Rok szkolny rozpoczynał się zwykle z uroczystością Wszystkich Świętych; ale Ksiądz Bosko chciał, by jego wychowankowie zjeżdżali się już parę tygodni przed tym świętem. I tak 20 października już byli w Oratorium wszyscy nowo przyjęci i dwie trzecie tych z lat uprzednich, do których mógł już mieć słówko wieczorne tej treści: Miło mi widzieć was tu zebranych po dłuższej rozłące wakacyjnej. Chwałę tych, co przyjechali na czas oznaczony, a jeszcze bardziej tych, co ten termin uprzedzili. Mogliście tak odbyć waszą podróż przy pięknej pogodzie, podczas gdy ci, co zwlekali z przyjazdem teraz będą moknąć w drodze, bo się rozpadał deszcz na dobre.

Od czego więc macie zacząć swoje prace w Oratorium?

Otóż wiecie chyba dobrze, co robi podróżny powróciwszy do domu? Ogląda ubranie, walizki, w jakim stanie to jest po podróży i w razie potrzeby zabiera się do ich uporządkowania. A teraz i wy wracacie z podróży wakacyjnej. Zobaczcie wtedy, w jakim stanie jest wasze sumienie... czy mocno zakurzone... a może nawet wprost powalane grzechami?. Może i nie! Ale na pewno nie ma takiego, który by mógł powiedzieć: Ja na wakacjach byłem lepszy, niż będąc w Oratorium! Owszem postąpiłem w cnocie! Nie, nie! /Jeszcze czegoś podobnego nie słyszałem/. A wielu doprawdy musi oplakiwać swój pobyt w domu. Jeden musi się przyznać, że jadł mięso w dni zakazane, drugi, że się objadał, czy upił; inny, iż słuchał rozmów nieprzyzwoitych itd., itd. ... Doprawdy wakacje są dla niektórych prawdziwym nieszczęściem.

Ale teraz, gdy wróciliście tu do Oratorium, postarajcie się uporządkować swoje sumienie przystępując godnie do spowiedzi i do Komunii świętej, abyście zawsze gotowi byli stanąć przed Najwyższym Sędzią, jeśli by was wezwał niespodziewanie na zdanie sprawy z waszego życia. Dobranoc.

W następnych dniach lekcje były jeszcze nieregularne, więc na słówkach wieczornych zachęcał swoich, by dobrze czas wykorzystali, a przy tym zalecił im mówić między sobą czystą włoszczyzną, a nie dialektem. A oto jego słowa:

Na razie lekcje nie mogą być całkiem regularne, bo dość znaczna liczba z różnych przyczyn jeszcze nie przyjechała. W każdym razie od jutra już będą lekcje, choć w mniejszej liczbie, niż normalnie.

Nie traćcie, więc czasu, ale naśladowujcie tych, co mi już mogli oświadczyć, iż powtórzyli sobie coś z gramatyki, czy przetłumaczyli jakiś urywek z łaciny,

względnie przerobili zadanie z matematyki. Uroczyste otwarcie roku szkolnego nastąpi zaraz po Wszystkich Świętych. Wówczas zbierzemy się w kościele, odprawimy ćwiczenie dobrej śmierci, odśpiewamy Veni Creator i udzieli się błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem, jak się to praktykowało w latach uprzednich, aby uprosić sobie błogosławieństwo Boże na nowy rok szkolny.

Ale co wam pragnę z naciskiem zalecić od samego początku, to byście nie tracili czasu. Ci, co by zlekceważyli to polecenie, będą tego gorzko żałować już na półroczne egzaminy; będą wtedy po nocach się uczyć, będą z książkami wystawać na pauzach, ale to będzie za późno, a równocześnie ze stratą na zdrowiu. Pamiętajcie, że każdy z nas musi zdać sprawę Bogu, jak używał czasu; że każda chwila to skarb, bo można w każdej chwili zarabiać sobie na niebo.

Jutro zaczyna się nowenna od Wszystkich Świętych. Niech każdy postara się odprawić ją dobrze, unikając grzechu, a zwłaszcza wszelkich myśli, czy aktów obrażających świętą cnotę skromności. Takie niech będzie wasze postanowienie na całe życie. Jeślibyście zaś chcieli jakąś szczególniejszą wskazówkę na najbliższe dni, a owszem i na cały ten rok szkolny, to niech będzie ta: Powstrzymajcie się bezwzględnie od rozmawiania w dialektach, ale mówcie czystą włoszczyzną, byście tak mogli się nauczyć mówić poprawnie. Drobną to rzecz, ale wielce dla was korzystna. Nie chcę, więc od was słyszeć ani jednego słowa po piemoncku. Rozmawiajcie, bawcie się, pracujcie, jedzcie, pijcie, śpijcie zawsze po włosku /ogólny śmiech/. Nawet gdyby ktoś zachrapał tej nocy, niech pamięta, że to ma być po włosku... Jak widzicie, nie jest znowu tak trudna do wykonania ta wiązanka. Trzeba jednak będzie na siebie uważać. A i za to będzie nagroda w niebie. Niech Pan Jezus błogosławi i dobranoć wszystkim.

Także na słówku 27 wrócił Ksiądz Bosko do tematu nowenny i tak mówi:

Nowenna posuwa się dalej, ale nie zauważyłem, byście wszyscy wiele postąpili w cnocie. Trochę poprawy jest, ale nie podpadło mi, by ktoś z was działał cuda. Przypominam sobie, z jaką nadzwyczajną gorliwością odprawiali nowenny przedświąteczne tacy, jak Dominik Savio, Magone, Besucco. Nie można było sobie życzyć czegoś lepszego. I teraz widzę, iż są dobrzy między wami, ale ówczesnej gorliwości nie mogę się dopatrzeć. Lecz kto temu winien?- zapytacie. Być może, że biedny Ksiądz Bosko już nie umie tak przemawiać, jak dawniej!... Ale też być może, iż wy nie potraficie tak wziąć sobie do serca jego słów, jak wasi poprzednicy w tych murach! Ale na razie mniejsza o to. Ważną jest rzeczą, byście jednak doprawdy starali z dnia na dzień być lepszymi. Na to teraz właśnie jest czas stosowny. Widzieliście na pewno drewna ułożone jedno na drugim. Otóż, jeśli zapalimy jedno, rozgrzeją się drugie i również się zapalą. Tak samo może być między wami. W tej nowennie niech jeden jest zachętą i przykładem dla drugiego. Wystarczyłoby, aby jeden postanowił sobie praktycznie zostać świętym, to na pewno rozpali on i innych podobnym zapalem. Och, gdybyście tak wszyscy zrobili podobne postanowienie! Jakie by to było szczęście!

Myślcie często o niebie, gdzie znajdują się już wasi bracia, siostry, może i rodzice, krewni, przyjaciele, którzy radują się tam wraz z Aniołami. I oni byli na tej ziemi, jak my, a może mniej mieli sposobności do dobrego, niż my, a jednak są zbawieni. Jeśli więc oni mogli, to, czemu nas by miało na to nie stać?

Czegóż, więc trzeba? Tylko łaski Boskiej! A tę łaskę Bóg na pewno nam da, jeśli tylko o nią dbać będziemy z całą naszą dobrą wolą. Jeśli zaś zabrakłoby nam tej dobrej woli, to prosimy o nią, prosimy za przyczyną Świętych, za przyczyną zwłaszcza Matki Najświętszej. W tych dniach oni w szczególniejszy sposób są gotowi pospieszyć nam z pomocą. Powiedzcie im, że prosicie ich o wyblaganie dla was gorącej miłości Bożej, miłości stałej, wytrwałej, a Pan Bóg, jeśli was nie wysłucha, to na pewno wysłucha swoich Świętych i obfitość Jego łask spłynie na was. Dobranoc!

Na słówku wieczornym 29 mówił o rozjeździe swoich salezjanów na nowe placówki w okolicach Rzymu, a mianowicie do znanych nam już miejscowości Albano, Ariccia i Magliano. Tak tych, jak zwłaszcza mających wkrótce wyjechać misjonarzy polecił wszystkim ich szczególniejszym modlitwom. Teraz – mówił - rozjeżdżają się starsi, ale trzeba żeby ci młodsi zajęli ich miejsce, podejmując się również pracy apostołskiej. Trzeba by było, aby te bułki, jakie tu się wypieka pod płaszczem Matki Najświętszej Wspomożycielki sprawiły, żeby każdy chłopak, który zje jedną, zaraz urósł przynajmniej na metr i w ten sposób wszyscy by naraz byli już dorosłymi /ogólny śmiech /... Ale i do tego powoli przyjdziemy: i wy urosiecie i jak ufam pozostaniecie dzielnymi misjonarzami, zdolnymi nawrócić świat cały.

A teraz podaję do wiadomości, że jutro około pół do szóstej wieczorem, odbędzie się konferencja dla tych, co należą do Zgromadzenia. Mówię to tutaj publicznie, ażeby wszyscy o tym wiedzieli.

Stójmy zawsze wiernie przy Panu Bogu, który kieruje każdą naszą czynnością i tak się zachowujemy, aby nam nic nie miał do zarzucenia, kiedy przyjdzie sądzić żywych i umarłych. Niechże w czasie tej nowenny do Wszystkich Świętych, nikt nie przeżyje dnia, w którym by nie pomodlił się o jakąś łaskę. Zwłaszcza zaś starajmy się zyskiwać odpusty dla nas dostępne, a nie zapominajmy o duszach w czyśćcu; duszach tych, co z nami zamieszkiwali w tych samych budynkach, bawili się na tych samych boiskach, mieli tego samego nauczyciela. Kto zaś nie ma już na tym świecie rodziców, czy rodzeństwa, tym bardziej niech o nich pamięta. Podwójna jest korzyść z modlitwy za zmarłych: im się przynosi ulgę, a równocześnie zyskuje się wielkie zasługi, które Bóg nam wynagrodzi, kiedy staniemy przez jego Obliczem. Dobranoc.

Zapowiedziana konferencja miała na celu zachęcić tak profesów, jak i nowicjuszków oraz aspirantów, by rozpoczęli nowy rok z jak największą gorliwością. Wzięło w niej udział 228 słuchaczy. Przeciągnęła się od pół do szóstej do siódmej. Tematem jej było powołanie. W szczególniejszy sposób zwrócił Ksiądz Bosko uwagę na niebezpieczeństwa grożące tym, co chętnie wyjeżdżają do swoich krewnych. A oto jak została nam przekazana treść owej konferencji:

W czasie rekolekcji w Lanzo poruszane były różne tematy: o Zgromadzeniu, o powołaniu, o ślubach itd., ... Rekolekcje odbyły się ku wielkiemu mojemu zadowoleniu dobrze. Stwierdzili to także kaznodzieje i ich uczestnicy. A teraz przychodzę życzyć wam szczęśliwego nowego roku, nie tego szkolnego, który rozpocznie się w przyszły poniedziałek, ale tego salezjańskiego, który upamiętni się przez rozrost Zgromadzenia tak we Włoszech, jak i w Argentynie oraz we Francji. Przecież w tym roku otwarło się 21 domów. Co dopiero wczoraj wyjechało kilku naszych do Ariccia i do Magliano, którzy może w tej chwili klęczą u stóp Ojca świętego, by uzyskać jego błogosławieństwo. Niezadługo wyjadą ci do Albano. Obie te miejscowości położone są w okolicach Rzymu. Miejmy nadzieję, że liczba otwartych nowych placówek i w nadchodzącym roku nie będzie mniejsza.

Ale, by dokonać wielkich rzeczy, należy być wiernym swemu powołaniu. Chodzi głównie o wyrzeczenie się świata, co zresztą wielu już uczyniło, przywdziewając suknię klerycką, która jest właśnie wyrazem zerwania ze wszystkim, co by świat mógł nam ofiarować. Inni wstąpili do nas, nie zmieniając swego ubrania, ale i ci, jako swój cel mają zbawienie duszy własnej. Ta szczerą intencją jest najlepszym dowodem, że jesteśmy na dobrej drodze. Skończmy raz z wahaniami. Odnośnie do was tu zgromadzonych, jeżeli chcecie, bym wam otwarcie powiedział, co myślę, to mogę wam zapewnić, iż wszyscy jesteście powołani do Towarzystwa Świętego Franciszka Salezego. Tak! Wszyscy jesteście powołani do Zgromadzenia Salezjańskiego, jako zakonnicy, a niektórzy także, jako kapłani. I ponownie mogę wam zapewnić w Imieniu Boga, że wszyscy, którzy złożyli już profesję, z całą pewnością mają powołanie, gdyż przed ich przyjęciem poznałem ich dobrze i upewniłem się o tym. Wiecie zresztą dobrze, że przecież przełożony pod grzechem śmiertelnym nie może przyjmować takich, których nie uważałby za powołanych.

A cóż powiedzieć o tych, co są na razie dopiero nowicjuszami i aspirantami? Owszem, mogę powiedzieć to samo.

A jak to?

Otóż powiedzcie mi, czyż nie jest napisane, że świat cały we złym leży? A przecież Pan Bóg chce, abyśmy się zbawili, byśmy Go kochali całym sercem. A czy świat nie jest wielką przeszkodą do takiej miłości?

Zapewne.

Czyż, więc postępuje dobrze, czy źle, kto zrywa ze światem i oddaje się Bogu?

A któżby tu miał wątpliwości? Na pewno robi dobrze.

A wy zerwaliście ze światem?

Tak.

Czyż, więc nie postąpiliście według życzenia Jezusa Chrystusa? A skoro tak, najlepszy to dowód, że on was powołał. On wam wskazał drogę zbawienia. Mieć pociąg do życia salezjańskiego, czyż to nie oznaka powołania? Któż nam wlał do duszy ten pociąg? Wszak omne datum optimum - wszelki dar najlepszy- przychodzi z góry od Ojca światłości! Od Boga, więc pochodzi wasze powołanie.

A gdyby jednak coś zaszło, co by wskazywało, że inaczej trzeba zadecydować o swojej przyszłości?

W takim wypadku sam Przełożony powinien tego, u którego zauważył brak powołania, odpowiednio przestrzec. Ja pierwszy bym takiemu powiedział: Ty nie jesteś powołany do stanu zakonnego, w którym pozostając mógłbyś narazić się na wieczną zgubę. Wtedy we dwójkę ustalilibyśmy, co dla niego będzie najlepiej robić i gotów bym był postarać się mu o odpowiednie zajęcie poza Zgromadzeniem. Ale dopóki wyraźnych oznak braku powołania nie ma, to trzeba dostosować się do tego, co powiedział Święty Paweł: *Manete in vocatione, qua vocati estis.*

Lecz niektórzy mówią: No tak, ale pozostając w Zgromadzeniu, to nie można nawet odwiedzić ani rodziców, ani przyjaciół! Co za rodziców, co za przyjaciół? Tych najwięcej strzec się nam trzeba w sprawie powołania, bo jak mówi święty Alfons: *Parentes hostes animae sunt* - rodzice to wrogowie duszy; nawet ci z najlepszą intencją wiele razy przeszkodą są, by wiernie iść za powołaniem. Bardzo łatwo można od nich usłyszeć: Wszak tyle uczyniliśmy dla ciebie, słuszna wtedy rzecz, abyś nam teraz pomagał zresztą jest napisane: *Czczij ojca i matkę.* Ale święty Tomasz odpowiada, że w sprawie powołania krewni nie są przyjaciółmi, ale nieprzyjaciółmi, którzy szukają, *quae sua sunt, non quae Jesu Christi.*

Przychodzi jakiś krewny odwiedzić zakonnika i mówi mu: Och, cóż tu będziesz siedział? Mógłbyś wrócić do domu, gdzie przecież jesteś tak bardzo kochany przez swoich najbliższych. Łatwo znajdziesz tam odpowiednią posadę, a względnie w diecezji też będziesz mógł pracować na chwałę Bożą. I podobne wywody słyszy się to nieraz od osób wysoko postawionych. Ale co za dom? Jaki dom? W domu i ja byłem, dzień dwa, ale wracałem zaraz do Oratorium. Krewni mogą jeszcze i takiego chwycić się argumentu: Mógłbyś dłużej zostać u nas? Przecież i tu są chłopcy, na których mógłbyś dobrze wpływać. Na to odpowiadam: To prawda, że są chłopcy, ale obowiązek mnie powołuje do Oratorium! Przypomnijmy sobie wtedy owo zdarzenie ewangeliczne, kiedy 12-letni Jezus pozostał w świątyni bez wiedzy swoich rodziców. I co im powiedział: *Czemuście mnie szukali? Nie wiedzieliście, jaka była wola mego Ojca?* Tak i my powinniśmy odpowiedzieć tym, co nas chcą odwieść do Zgromadzenia: Nie wiecie, że ja muszę spełnić wolę Bożą, objawiającą się w moim powołaniu i zając się rzeczami, jakie przyczynią Bogu większej chwały?

Przypomnijmy sobie również, co Pan Jezus powiedział, gdy mu doniesiono w czasie nauczania, iż na niego czekają jego Matka i krewni, którzy chcą z Nim mówić: A któż jest moją matką, któż moim bratem i wyciągnął ręce nad słuchającymi go, wołając: *Zaprawdę powiadam wam, iż ci, co słuchają Słowa Bożego i strzegą go, ci są matką moją i braćmi moimi.* Jakież to wyraźny wskaźnik, iż kto chce iść za Jezusem, musi oderwać się od rodziny.

I tu powiem do niektórych: Po cóż tak ciągle myśleć o tym stanie, z którego Bóg w swojej łaskawości nas wyrwał - o stanie ludzi świeckich? Powiedzcie mi moi

drodzy, czyż nie jesteśmy tu z dala od tych różnych okazji do grzechu, jakie groziły nam w świecie?

Naturalnie!

A więc, jeżeli chcemy być z dala od grzechu, to trzymajmy się Oratorium.

A może tu upadasz w pewne grzechy, które popełniałeś w świecie?

Na pewno nie! Więc chętnie przebywajmy w miejscu, które jest z dala od złych towarzystw.

A czy tu nie masz większej sposobności do czynienia dobrze? Do nawiedzenia Najświętszego Sakramentu? Do półgodzinnego rozmyślenia? Do sakramentów świętych? Bez wątpienia!

A więc, jeżeli chcemy zbawić swoją duszę, stójmy z dala od niebezpieczeństw, przebywając chętnie w domach Zgromadzenia, które nas bronią od świata i zabezpieczają szczęśliwość wieczną.

Ale przebywając nawet w Zgromadzeniu, strzeżmy się, byśmy nie utracili powołania. I tu może ktoś zapyta: Czy można stracić powołanie?

Oczywiście, że można! Wszak powołanie to drogocenna perła. A perły trzeba strzec, żeby jej nie zgubić. Kto by ją rzucił do morza, albo do błota, to dla takiego oczywiście byłaby ona zgubiona. Taki stałby się przedmiotem gniewu Bożego, gdyż zlekceważył najdroższy skarb z Nieba otrzymany.

Ważną rzeczą jest dla zachowania powołania, by trzymać się z dala od świata i z dala od wszelkich przywiązań zmysłowych.

A teraz kilka słów na temat ślubu ubóstwa.

Ależ tak - mógłby ktoś powiedzieć - pozostałbym nawet chętnie w Zgromadzeniu, gdybym miał pokój wygodniejszy, zajęcie więcej mi odpowiadające, itd., itd., ...

Ale powiedzcie mi:, Jakie to śluby złożyliście w czasie rekolekcji? Ślub ubóstwa, nieprawdaż? A komuż nie podobałoby się być ubogim, ale tak, by mu niczego nie brakowało? To jednak byłyby kpiny z Pana Boga. Pewno, że czasem nie będzie najlepszej sorty, np. wino, czy inne danie, a wtedy - pazienza! Trochę umartwienia się przyda! Jeżeli chcemy być ubogimi, to koniecznie musimy odczuwać pewne braki...

Przejdźmy do ślubu posłuszeństwa. Ależ ten przełożony - powie ktoś - nie może mnie widzieć. Zawsze mi każe to, co wiem, że mi się nie podoba. A czyni to wyraźnie na złość. A czyż nie złożyliście ślubu posłuszeństwa, przez który wyrzekliście się własnej woli. Jeśli rozkaz wam się podoba, to dobrze. A jeśli się nie podoba, to tym lepiej. Większa będzie zasługa. I w takim wypadku nie trzeba robić kwaśnej miny, jak się to nieraz zdarza, ale wszystko przyjmować pogodnie, z przekonaniem, że taki, czy inny rozkaz, zawsze pochodzi on z woli Bożej. Pamiętajcie, że większą zasługę ma, ten, kto zje dobre śniadanie z posłuszeństwa, niż ten, co się umartwia z własnego kaprysu. Zdarza się też, iż niektórzy rzecz poleconą spełnią, ale tylko w połowie. Przychodzi przełożony i widzi, że to zrobione, ani tak,

ani siak i potem musi się głowić, jak temu zaradzić, a to tylko z winy tego „panicza”, który chciał koniecznie postawić na swoim.

Trzeci ślub, to ślub czystości. Jakże piękna jest ta cnota! Chętnie bym o niej mówił całe godziny. Ale oczywiście nie mamy tyle czasu. Oby wszyscy salezjanie mogli ją zachować bez najmniejszej skazy! Jest to cnota najpowabniejsza, najdosłowniejsza, ale równocześnie najdelikatniejsza ze wszystkich. Niestety bardzo łatwo można ją skazić, jeśli się nie praktykuje tych wszystkich środków prewencyjnych, jakie nam Przełożeni i Reguły podsuwają. Uwaga na pierwsze podszepty pokusy! Umartwiajcie się, unikając wszelkiej czułości i niebezpiecznych przyjaźni. Bądźcie ostrożni w słowach, nie czytajcie książek rozpalających fantazję. W szczególniejszy sposób unikajcie beczynności. Strzeżcie się, by w razie gwałtowniejszej pokusy, nie powiedzieć sobie: Tylko tym razem! Już tyle czasu walczyłem. Potem jakoś zaradzę!... Ah, ah, abyssus abyssum invocat. A w razie jakiegoś potknięcia się nie robić takiego głupstwa, jakim byłaby zmiana spowiednika. Jeżeli kiedy, to w takim wypadku potrzebny jest nie tylko kapłan, który by rozgrzeszył, ale potrzebny jest ktoś, co by pokierował i lekarz, który by leczył. Wierzcie mi, że najlepsze lekarstwo na taką słabość, najskuteczniejsze antidotum w tych razach, to właśnie spowiadać się u swego stałego spowiednika.

Zresztą chciałbym, ażebyście wy wszyscy, tak aspiranci, jak klerycy i księża, żadnego dnia nie opuścili bez szczególniejszej modlitwy, zwłaszcza po Komunii świętej – o zachowanie tej cnoty. Prosić o to, jako o największą łaskę; błagając o nią w chwili, gdy mamy Jezusa Eucharystycznego w sobie, to jakby jedno z Ciałem i Krwią Najświętszą Zbawiciela, a wtedy nic nieporządnego nie może nam się przydarzyć.

Nie mniej interesujące jest słówko wieczorem, jakie miał do swoich w Dniu Zadusznym, kiedy tak rozpoczął:

Najpierw kilka uwag do wiadomości. Jutro rozpocznie się normalny tryb życia. Tak nie będą mogli narzekać niektórzy, iż za dużo jest rekreacji i przechadzek, a za mało nauki. W ten sposób wszyscy będą zadowoleni, a i rozrywek rekreacyjnych wam nie zabraknie. Ale pamiętajcie zawsze, iż celem, z jakim tutaj przyszliście, to nauka, zatem trzeba się uczyć. A zatem od jutra weźcie się z całym zapalem do książek i unikajcie jak największego zła, beczynności i grzechu, bo początkiem wszelkiej mądrości, to bojaźń Boża, a mądrość - jak mówi Mędrzec Pański - nie wejdzie do duszy obciążonej grzechem.

I tu powtórzę, co zawsze powtarzam na początku roku, że kto chce żyć bez grzechu, niech często przystępuje do spowiedzi i Komunii świętej. Co do spowiedzi, to ze swej strony, to tylko powiem, nie wyznaczając szczególnych terminów, abyście do niej przystępowali ilekroć czujecie się, co dwa tygodnie, czy i rzadziej. Dla niejednego wystarczy spowiadać się, co dwa tygodnie, czy i rzadziej. Ale dla niektórych wypadnie nawet, co parę dni. Katechizm zaleca by spowiadać się raz na

miesiąc, względnie, co 15 dni. Święty Alojzy spowiadał się raz na tydzień. Otóż, kto mało myśli o swej duszy, to będzie spowiadał się raz na miesiąc; kto chce zapewnić sobie zbawienie, uczyni to, co dwa tygodnie; ale kto będzie chciał dojść do doskonałości, to mu wypadnie spowiadać się, co tydzień.

Co do częstej Komunii świętej, to chciałbym opowiedzieć wam jeden fankik, ale najpierw popatrzmy na zegarek, czy już nie jest za późno. Otóż w tej chwili jest dziewięta i osiem minut, a co chcę wam powiedzieć, to zajmie nie wiele więcej, jak pięć. Otóż był swego czasu człowiek, który zwykł był spowiadać się u świętego Wincentego de Paolo. Nie podobało mu się jednak, iż ten Święty zalecał mu częstą Komunię św., nawet parę razy na tydzień. Zdecydował się, więc zmienić spowiednika, a swemu nowemu kierownikowi duszy wprost oświadczył: Niech ojciec wie, iż chodziłem dotąd do spowiedzi do ojca Wincentego, ale ten przynaglał mnie do codziennej prawie Komunii św., co mnie się nie podoba. Przychodzę, więc o poradę. Nowy spowiednik, nie zastanawiając się wiele, odpowiedział: Masz słuszość, mój synu! Po cóż znowu taka gorliwość? Rozpocznij od rzadziej... na razie wystarczy raz na tydzień. Po jakimś czasie zaś zauważył ten niedoświadczony kierownik dusz, iż może nawet lepiej będzie, by przystępował jego penitent, co 15 dni, bo tak będzie mógł się lepiej przygotować do Komunii św. Wreszcie z niewiadomych przyczyn zalecił mu przystępowanie do sakramentów świętych, co miesiąc.

Biedny ten penitent słuchał, ale wnet zaniechał przystępować do Stołu Pańskiego, a także i spowiadać się i rozpoczął życie hulaszce. Zbrzydło mu ono jednak po jakimś roku i powrócił do świętego Wincentego żaląc się, iż źle z nim.

A czemu do mnie przestałeś przychodzić?

Bo mi się znudziła częsta Komunia św. i poszukałem sobie innego spowiednika, ale bardzo źle na tym wyszedłem. Widzę, że staczam się w przepaść. Pragnę, więc zostawać pod kierownictwem ojca i częściej przystępować do Komunii świętej. Oczywiście odżył on znowu na duchu i wrócił do pierwszej gorliwości.

I ja to samo zalecam. Wszyscy potrzebują częstej Komunii św.?: dobrzy by wytrwać; źli, by się poprawić. Powtarzam, więc: unikajcie beczynności, unikajcie grzechu, częsta spowiedź i Komunia św.! Dobranoc!

Zdarza się często, iż z początkiem roku szkolnego roztropni wychowawcy muszą dla dobra ogółu usunąć ze zakładu takich, których wakacje duchowo zrujnowały i którzy przez to są zgorszeniem dla otoczenia. Bolesny to zabieg, ale niekiedy konieczny. Ten rodzaj profilaktyki stosował i Ksiądz Bosko. W roku 1876 trzech najważniejszych dryblasów z piątej gimnazjalnej musiało opuścić Oratorium, pod których wpływem klasa zaczęła się rozkładać. Ilez następnie było płaczu i błagań, by wyrok zmienić. Jeden po rozmowie z Księdzem Bosko poszedł rzucić się do nóg zacnego księdza Lazzaro, który miał ostatecznie zdecydować. Błagał, zaklinał, aby mógł zostać, jako uczeń gimnazjalny, jako rzemieślnik, jako familiant, czy służący, gotów na wszystko, byle tylko nie został wyrzucony. Potem pobiegł do księdza Bologna, by powtórzyć to samo. Ostatecznie uwzględniając jego szczerzy żal i

wolę poprawy, odesłano go do Lanzo. Drugi wydalony pojechał, lecz po paru dniach wrócił z rodzicami. Powtórzyły się w tym wypadku poprzednie sceny płaczu i rozpacz. Ojciec osoba poważna i stateczna, nie mógł się uspokoić, iż jego syn ma być wyrzutkiem i rozpoczął głodówkę. Współczucie dla strapionych rodziców przemogło: syn został odesłany do zakładu w Borgo S. Martino za uprzednim powiadomieniem o tym, co zaszło. Trzeci, powróciwszy do domu, pisał listy o przebaczenie, a gdy te nie pomogły, przyjechał z powrotem do Oratorium także z rodzicami. Zdecydowano się odesłać go do Alassio, ale bez żadnej ulgi w pensji. Wyjątkowe tylko okoliczności, w jakich się znajdowali ci biedacy spowodowały te pewne ustępstwa, które z reguły nie były stosowane.

Przy swoich zajęciach, nie pozostawiających mu chwili wolnej w Oratorium, nie zapomniał Ksiądz Bosko i o innych swoich zakładach. W drugiej połowie listopada był na uroczystości patronalnej w Borgo S. Martino, z początkiem grudnia wizytował Kolegium w Lanzo, po święcie Niepokalanej odwiedził świeżo otwarty dom Trinita. Do księdza Cibrario dyrektora w Vallecrosia, tak zaś pisał: Otrzymałem twój list i ten profesora Boido. Wiadomości w nich zawarte przydadzą mi się. W najbliższym czasie otrzymacie jednego nauczyciela więcej. Po Bożym Narodzeniu zatrzyma się u was na dłuższy czas. Załatwienie sprawy, o której wspominasz, pozostaw mnie i panu Lavagnino. Wypijemy jedną z tych jego wybornych butelek i już wszystko będzie załatwione. Monsignorowi Viale powiedz, aby tam rozniecił w Torrione wielki ogień /gorliwości o wybudowanie kościoła, a ja mu doniosę trochę „di Bosco”- w narzeczu piemonckim „bosco” znaczy drewno, względnie las/... Pozdrów ode mnie nasze siostry, państwo Lavagnino, zawiadamiając ich o błogosławieństwie Ojca świętego. Amen. Twój, etc.

29.11.1876 r.

W tym czasie zabiegał on o bilety ulgowe na kolej tak u Ministerstwa Robót Publicznych, jak i Dyrekcji Generalnej. Jaki był rezultat tych starań, nie wiemy.

Nowennę do Niepokalanej spędził w Oratorium, gdzie tak przemawiał do chłopców dnia 28 listopada na jej rozpoczęcie: Jutro rozpoczyna się nowenna do Niepokalanego Poczęcia i pragnąłbym, byście ją odprawili z jak największą gorliwością. Wprawdzie codziennie śpiewamy: „Niech będzie pochwalone święte i Niepokalane Poczęcie Najświętszej Maryi Panny, Matki Bożej”- ale słuszną jest rzeczą, abyśmy raz na rok szczególniejszą uroczystością zgodnie z wolą Kościoła uczcili tę tajemnicę, poprzedzając to święto nowenną, w czasie, której otrzymamy na pewno wielkie łaski.

Przypominam sobie jeszcze bardzo żywo anielską twarz świątobliwego Dominika Savio, który przyszedł do mnie w przeddzień nowenny do Niepokalanej i długo ze mną rozmawiał na temat tej uroczystości. Ta rozmowa jest w skrócie podana w jego żywocie. A oto jej przebieg: Ja wiem - mówił on wtedy - że Madonna udziela dużo łask tym, co odprawiają nabożne nowenny do jej świąt.

A ty, co byś chciał dla niej uczynić w tej nowennie - zapytałem.

Ja chciałbym dużo rzeczy!

A mianowicie?

Najpierw chciałbym odprawić spowiedź z całego życia, aby tak mieć duszę lepiej przygotowaną. Dalej pragnę jak najdokładniej wypełnić kwiateczki, jakie będą zalecone w dzień poprzedni. Wreszcie postanawiam tak się zachować, abym mógł codziennie komunikować... I tu zamilkł, ale widać było, że jeszcze ma coś do powiedzenia.

I więcej nie masz mi już nic do powiedzenia?

Owszem, jeszcze chcę coś powiedzieć...

No to mów!

Postanawiam wydać walkę na śmierć i życie grzechowi...

I co więcej...?

Będę gorąco się modlił, abym raczej umarł, niż miałbym popełnić choćby najmniejszy grzech przeciw cnocie skromności!

Postanowienia te miał spisane na karteczce i wiernie ich dochował, bo mu Matka Najświętsza pomagała. A przecież drodzy chłopcy, on był w waszym wieku, z takiego samego ciała i kości jak my, uczył się w tej samej uczelni, co wy, spał w tej samej sypialni, jadł ten sam chleb, co wy; był tylko lepszy od nas i zostawił nam świetlane przykłady cnoty.

Przez to nie chcę powiedzieć, że wszyscy macie odbyć spowiedź generalną, to nie. Ale dobrze będzie przeglądnąć swoje sumienie i zbadać je dokładnie. Może ktoś wyrzuci sobie, iż przychodzi do spowiedzi zawsze z tymi samymi grzechami, jakimi byłyby nieposłuszeństwa, nienawiść, gniew, strata czasu, myśli nieskromne, słowa czy uczynki nieprzyzwoite, słowem spowiedź - „grzechy, grzechy, spowiedź i tak w kółko”. W takim wypadku trzeba się głębiej zastanowić nad sobą. Wszak z owoców ich poznacie je. Wartość waszych spowiedzi poznacie z owocu, jaki przynoszą. Jeśli jest stała poprawa, są dobre, jeśli nie - bardzo by się przydała spowiedź generalna.

By dobrze odprawić spowiedź generalną, to według mnie najlepiej jest wyobrazić sobie, iż się jest już na łożu śmierci i tak obliczać się ze swoim sumieniem, jak je zobaczymy w świetle wieczności. A wtedy i rachunek sumienia będzie dokładny, spowiedź szczerą, żal doskonały.

Uważam, iż ogół z was jest w porządku, ale chciałbym, aby tych kilku, co nie są w porządku, nareszcie zreflektowali się i sprawy swego sumienia uporządkowali należycie. Na zakończenie polecam wszystkim spowiedź, ale dobrą i codzienną Komunię świętą, jeśli już nie sakramentalną, to przynajmniej duchową, która polega na gorącym pragnieniu przyjęcia Pana Jezusa do swego serca.

Osobne słówko miał w czasie nowenny Ksiądz Bosko do rzemieślników. Zrobiło ono wielki wrażenie, gdyż ksiądz Lazzero w swoich treściwych zapiskach

notuje: „Ksiądz Bosko jest bardzo zadowolony z uczniów szkoły zawodowej. Dobrze im bardzo zrobiło jedno jego słówko wieczorne”. A oto jego treść:

Teraz już nie możecie się żalić, iż Ksiądz Bosko do was nie przychodzi. Może myślicie, iż ja mówię zawsze tylko do gimnazjalistów. Nie jest tak: od sierpnia do dziś, wyłącznie do nich mówiłem coś tylko dwa razy. A jest jeszcze inna wymówka słuszna: „Gdy dzwonią na modlitwy wasze, to my jesteśmy jeszcze na wieczerzy i gdy ją kończymy, to już jest za późno... Zresztą ksiądz Rua i ksiądz Branda umieją nagadać wam na wszystkie kolory.

A jeśli nie przyjdę do was, to wy przyjdziecie do mnie. Gimnazjaliści licznie przychodzą do mnie do zakrystii /do spowiedzi/ i cieszy mnie to. Także niektórych z was tam spotykam. Pod tym jednak względem „to was tamci zjedzą w sałacie” /czyli pobijają na głowę/ jakbyśmy po piemoncku powiedzieli. Więc się na mnie zemścicie. Powiedzcie sobie: „Jeśli Ksiądz Bosko nie chce przyjść do was, to my przyjdziemy do niego.

A teraz chcę wam przypomnieć, iż jesteśmy w nowennie do Niepokalanej. Zalecam wam to, co już zaleciłem gimnazjalistom, a mianowicie, abyśmy wszyscy po święcie mieli sumienie uporządkowane. A więc niech wszyscy odbędą spowiedź według potrzeby ich duszy. Zwrócić zwłaszcza uwagę, czy się stale na spowiedziach nie powtarzają te same grzechy, jak kłamstwa, brak szacunku dla asystentów, niesforne zachowanie się w szkole czy kościele itd., bo to zły znak i łatwo by to mogło świadczyć, iż spowiedzi nie są dobre. Oczywiście potrzebna spowiedź generalna, gdyby ktoś na uprzednich spowiedziach zataił grzech ciężki. W takim wypadku dusza jego jest w wielkim niebezpieczeństwie własnego potępienia.

Dominik Savio w przeddzień nowenny do Niepokalanej tak się do mnie odezwał: „Pragnę odbyć spowiedź generalną, aby tak odnowić obietnicę daną Madonnie i tyle razy Jej już powtórzoną, iż nigdy nie rzucę wzrokiem na rzecz mniej skromną, ani takiej myśli do serca nie dopuszczę. Jeśli we wszystkim ten młodzieniaszek był wierny, to w tym osiągnął największą doskonałość. Starajcie się, zatem w duchu Dominika odprawić tę nowennę korzystając ze spowiedzi, strzegąc się wszystkiego, co przeciwne cnocie anielskiej. A niechże broń Boże, nikt nie odważy się odciągać innych od sakramentów świętych.

Inna rzecz, jaką tu chciałbym jeszcze poruszyć to ta, byście się odnosili do siebie ze wzajemną życzliwością, dawali sobie dobry przykład i wzajemnie się podtrzymywali w cnocie. Ale niechże nie będzie między wami przyjaźni osobistych, zmysłowych, które prowadzą do gorszących rozmów i innych gorszących jeszcze rzeczy. Ostatnio słyszałem z wielką swoją przykrością o złodziejstwach w ogrodzie, w jadalni, w kuchni, a nawet w szpitaliku. Ponoć niektórzy wynosili na sprzedaż ręczniki, koszule - na pewno skradzione. Czyż jesteśmy w domu złodziejskim? Wprawdzie niektórzy już za to zostali wydalen, ale z resztą miejmy nadzieję, że to się już nie powtórzy.

Jeszcze jedno słówko i kończę. Mówcie zawsze, że Kochacie księdza Bosko; ale tę miłość swoją ku niemu trzeba okazać czynem, a nie tylko słowami. Otóż ci doprawdy mnie kochają, którzy razem ze mną pracują nad zbawieniem swojej duszy. Ci, a nie inni, są prawdziwymi przyjaciółmi Księdza Bosko. Jeśli on tyle się natrudzi dla zbawienia waszych dusz, które przecież nie są duszą, to jakżeż powinniście wy zabiegać o to, gdy to właśnie o wasze dusze chodzi, za które i on musi odpowiadać. To też stale się modłę do Boskiego Zbawiciela i Matki Najświętszej, aby was wszystkich wprowadzili do nieba. Dobranoc.

Po Bożym Narodzeniu nowicjusze otrzymali nową uczelnię. W niej umieszczono ładną figurę Matki Najświętszej. Na jej poświęcenie połączone z przygotowaną ad hoc akademią zaproszony został Ksiądz Bosko, który kazał zaprosić także wszystkich innych salezjanów z Oratorium. Dnia 10 grudnia w niedzielę zebrało się wtedy w owej sali z górą 200 salezjanów wokoło statuy Madonny przybranej w kwiaty i oświetlonej miłymi lampkami. Pierwszy to był samodzielny występ nowicjatu, to też na twarzach zebranych widniała serdeczna radość.

Po przywitaniu Księdza Bosko i odmówieniu modlitwy do Ducha Świętego, przy śpiewie okolicznościowego hymnu, Święty przywdział komżę i odmówił przepisane modlitwy. Po czym usiadł przed figurą i tak przemówił: Wszyscy tu zebrani wiemy, bo przecież nie jesteśmy już dziećmi, iż ja poświęciłem nie Madonnę, ale statwę Ją przedstawiającą. Wiemy również, iż czcząc tę figurę, pragniemy uczcić Najświętszą Dziewicę. Wprawdzie światowcy, zwłaszcza protestanci, wmawiają w nas, iż to jest bałwochwalstwo i przeciwne Pismu świętemu, gdzie czytamy: „Nie będziesz tworzył sobie ani posągów, ani obrazów”. Ale my nie jesteśmy na tyle ograniczeni, byśmy tych rzeczy nie rozumieli... Czcimy Boga adorując Go, czcimy Matkę Najświętszą kultem hyperdulii, a Świętych kultem zwanym dulia... Wiemy też, iż nad Arką były postacie Cherubów... a więc kult świętych figur nie był obcy w Starym Testamencie. Wszak statuy niezbędne są, by nam przypominać Madonnę i Świętych Pańskich, byśmy tak z większym skupieniem do nich się modlili...

Bardzo jestem z tej miłej uroczystości zadowolony. Urządzajcie podobne jak najczęściej. A co z niej mamy wynieść? Bardzo wiele! Pamiętajmy o szczególniejszej opiece, jaką nas nasza Wspomożycielka otacza. Ona na nas patrzy i zachęca nas do Jej naśladowania, wzywa, byśmy szli drogą utkaną liliami, byśmy jej wierni byli nie tylko słowy, ale głównie czynem. Ujawni się to najlepiej przez praktykowanie i szerzenie nabożeństwa do Najświętszego Sakramentu Ołtarza i miłości do Niej. Te dwa nabożeństwa będą wam wielce pomocne do wierności i do wytrwania w waszym powołaniu. Nawet powołanie zmyłone i te załamane, przez te dwa nabożeństwa dadzą się naprawić.

Nie tak dawno przyszedł do Księdza Bosko jeden, który już od czterech lat związany był święceniami wyższymi. Prowadził jednak życie bardzo rozwiązłe i czuł,

że idzie prosto na wieczne potępienie. Stanąwszy przed Księdzem Bosko przedstawił mu szczerze cały nieszczęśliwy stan swej duszy. A ten na to: Odlóżmy na razie wywody moralne, czy ascetyki na bok, a odpowiedz mi bez ogródek, czy masz nabożeństwo do Matki Najświętszej?

Prawdę mówiąc, dotąd o tym nie myślałem poważnie...

W takim razie odmawiaj od dzisiaj rano i wieczorem trzy Ave Maria..., a przy tym jak najczęściej, zwłaszcza w niebezpieczeństwach akt strzelisty: Maria, Auxilium Christianorum, ora pro me.

Obiecał i odszedł. Spotkałem go po paru latach pogodnego i zadowolonego. Ksiądz ma wyborny sposób - powiedział mi wtedy - na choroby duszy. Niech Ksiądz nadal zaleca nabożeństwo do Matki Najświętszej. Bardzo ono praktyczne, zwłaszcza dla początkujących w służbie Bożej.

I rzeczywiście każdy z pomocą Maryi Najświętszej wszystko może, wszystko uprosi. Trzeba, zatem byśmy Jej wzywali w wszelkich naszych potrzebach i niebezpieczeństwach.

Mam nadzieję, iż wszyscy tu obecni będziecie otaczać należną czcią tę statwę, unikając żartów, rozmów, czy lektury, która by się Jej nie podobała. W ten sposób zapewnicie sobie błogosławieństwo Nieba, którego wam całym sercem życzę. Polecajcie też naszej Madonnie Księdza Bosko, który ponosi odpowiedzialność za wasze dusze. Z nabożeństwem do Matki Najświętszej żyć będziemy i umierać święcie i będziemy się mogli z Nią cieszyć szczęściem wiecznym w niebie.

Po przemówieniu Święty zdjął komżę i stułę i usiadł wśród Przełożonych, by uczestniczyć w dalszej akademii, w czasie, której deklamowano czy to prozę, czy wiersze po łacinie, po włosku, po francusku, po chińsku, czego nauczył ich jeden z dawnych wychowanków szkół apostołskich w Turynie. Po skończonej akademii Ksiądz Bosko oglądął urządzenie całej nowej sali zwracając uwagę, iż lampy gazowe nie są odpowiednio rozmieszczone i zalecił to poprawić.

Było wtedy w zwyczaju dawać, co tydzień stopnie za sprawowanie także klerykom. Przedstawiano je następnie Świętemu, by je sobie przejrzał. Nie wszystkie były najlepsze. Zainteresowanych on sam upomniał jednym słowem po ich spowiedzi mówiąc: Widzisz! Masz stopień ujemny za to i za to. Postaraj się poprawić! Wrażenie takiego upomnienia było nadzwyczajne. Winowajcy biegli ze łzami w oczach do księdza Barberisa, by sprawę wyjaśnić i załagodzić.

W myśli Księdza Bosko stale trwało wspomnienie snu, jaki miał w Lanzo. Nie opowiedział go zaraz, bo ilekroć do niego wracał, zawsze odczuwał wielką boleść w sercu. Poznał, bowiem z niego wszelkie nieporządki w Oratorium i ich sprawców. Ostatecznie, więc kazał zawołać do siebie dwóch głównych sprawców, jednego gimnazjalistę i jednego rzemieślnika, mówiąc iż to byli prawdziwi szatani.

Pierwszy stawił się rzemieślnik. Słuchaj - powiedział Święty – pozwolisz mi mówić i nie waz się przerywać! Gdy skończę powiesz tak czy nie. Otóż po twej ostatniej spowiedzi zaszło to i to, wtedy i wtedy, tam i tam, z tym i tamtym. I tak

ciągnął dalej około dziesięć minut. A teraz – kończył – usprawiedliwiaj się! Prawda to czy nie? Chłopak przerażony wyjąkał: Tu się nie ma, co usprawiedliwiać. Co Ksiądz powiedział, wszystko jest prawdą! A po chwili dodał: Tak, nic innego nie mogę powiedzieć, jak tylko, że bardzo ciężko przewiniłem. Jeżeli Ksiądz zechce mi przebaczyć i zatrzymać jeszcze w Oratorium, to niech jest pewien, że nastąpi bezwzględnie poprawa; jeżeli zaś uzna za stosowne mnie wydalić, nie będę mógł mieć pretensji. Ksiądz Bosko pozwolił mu się wypowiedzieć i słuchał w milczeniu. Także i chłopak zamilkł i stał przez chwilę w zadumie... Naraz wybuchając płaczem, rzucił się do stóp Księdza Bosko, błagając go o przebaczenie: Ach, niech mi Ksiądz przebaczy! Doprawdy potrzebne dla mnie było takie uderzenie, doprawdy nie byłem niestety w porządku z Bogiem. A nawet gdyby Ksiądz zdecydował moje usunięcie stąd, to niech mi przynajmniej pozwoli, bym najpierw uporządkował swoje sumienie i niech mnie nie wyrzuca tak bez niczego. Ależ nie, Księżo Bosko! Niech się Ksiądz zlituje, niech mnie wystawi jeszcze na próbę, a naprawię wszystkie zgorszenia, jakie dałem kolegom. Na to Ksiądz Bosko: „Kiedy z początkiem uznawszy swój błąd, okazałeś swoją obojętność na to, czy zostaniesz tutaj, czy cię też usuną, to bałem się, że jeszcze nadal szatan trzyma cię w swoich pętłach i że nie wytrwasz w dobrym. Teraz jednak widząc twoją najlepszą wolę naprawienia wszystkiego, skłonny jestem wysłuchać twojej prośby. Na razie możesz nadal pozostać w Oratorium.

Po jego odejściu wszedł gimnazjalista. Do tego tak odezwał się bez żadnych wstępów Święty: Ty od takiego to i takiego czasu bardzo się tu źle zachowałeś. Jedyne źródło, bym ci przebaczył, jest ten, ażebyś mi wszystko sam opowiedział w najdrobniejszych szczegółach, co w ostatnim czasie zaszło, nic nie ukrywając. Biedny delikwent skonfundowany, wymieniał niektóre swoje uchybienia, a co grubsze zamilczał. Wtedy Ksiądz Bosko chciał go naprowadzić do wyznania prawdy. Ale winowajca wykręcał się bałamutnie, posuwając się nawet do kłamstwa. Wobec tego Święty przerwał rozmowę, pożegnał chłopaka, a do księdza Lazzero napisał bilecik, ażeby go z miejsca usunął z Oratorium.

Wielu innych było jeszcze wezwanych przez Księdza Bosko na poufną rozmowę. Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie ona na nich robiła. Świadomość wśród wychowanków, że Ksiądz Bosko czyta w ich duszy, trzymała w ryzach nawet najniesforniejszych.

W owych dniach w Oratorium, wobec powyższych faktów, wszyscy oczekiwali czegoś nadzwyczajnego. Kiedy więc Ksiądz Bosko przyszedł na słówko 20 grudnia, zainteresowanie doszło do najwyższego napięcia. Nie usłyszano jednak nic niezwykłego. To, co powiedział, odnosiło się do pewnych zmian personalnych. Oto jak mówił:

Tego wieczoru mam kilka dość ważnych rzeczy wam do powiedzenia. Najpierw wypadało by mi opowiedzieć wam piękny sen, jaki niedawno miałem. Ale to trwałoby raczej długo, dlatego odłożymy to do jutra. A na razie będę mówił o tym, co nie jest snem, a rzeczywistością. Oto zaszły pewne zmiany w personelu kierowniczym

domu. Zbankrutował już Ksiądz Bosko, zbankrutował także ksiądz Rua, zanosi się na bankructwo księdza Lazzero. Słowem wszyscy zbankrutujemy. Otóż dotąd po głównym przełożonym sprawami bieżącymi Oratorium zajmował się ksiądz Rua. Ale okazuje się, że on do tego nie bardzo się nadaje, dlatego musi ustąpić miejsce księdzu Lazzero, który nie wychodząc tak często z domu, będzie mógł być zawsze do waszej dyspozycji, a ksiądz Rua zajmie się ogólnymi sprawami Zgromadzenia.

Nastąpiła także zmiana na stanowisku radcy szkolnego, który to urząd obejmie ksiądz Guidazio. Dotychczasowy radca szkolny Oratorium, ksiądz Durando, nie mogąc równocześnie być w Turynie, Sampierdarena i w Alassio, obejmie kierownictwo wszystkich szkół Zgromadzenia, którymi dotąd już się częściowo zajmował. Pragnę przy tym, ażeby ci byli przełożonymi nie tylko z imienia, ale i w rzeczywistości; dlatego wszyscy zobowiązani są słuchać ich i szanować. Oni zaś ze swej strony niech spełniają powierzony im urząd z największą sumiennością. Jeśli więc zajdzie jakiś nieporządek w szkołach, czy gdzie indziej, nie będę pociągał za to do odpowiedzialności księdza Ruę, czy księdza Durano, ale księdza Lazzero, księdza Guidazio. Oni to powinni zdać sprawę ze wszystkiego, co zachodzi pomiędzy wychowankami, czy klerykami. Oczywiście, że inni przełożeni na jakimkolwiek stanowisku obowiązani są przeszkadzać możliwym nieporządkom.

A teraz, drodzy chłopcy, przejdźmy do pewnych szczegółów. Mimo wszystkich wysiłków ze strony przełożonych, by złemu przeszkodzić, zawsze zachodzą jakieś nieporządki. Owszem, wiem dobrze, że wielu z was zachowuje się, jak święty Alojzy; ale niestety nie brak i takich, którzy na taką pochwałę nie zasługują. Przecież co dopiero wczoraj byliśmy zmuszeni kilku wywalić, jak już o tym wiecie. Przykra to rzecz nie tylko dla nas tu w Oratorium, ale zwłaszcza dla ich rodziców, gdy dowiedzą się o przyczynach usunięcia ich syna ze zakładu... Pamiętajcie, jak Bóg ukarał tego nieszczęśliwca, który pierwszy pogwałcił szóste przykazanie. Czytamy o tym w Biblii. Niech więc każdy strzeże się jakiegokolwiek nieskromności, czy w słowach, czy czynach. Ten występek najwięcej przynosi szkody młodzieży...

Cnota jest w poważaniu także u ludzi przewrotnych, chociaż jej nie praktykują. I tak na przykład wielu jest ojców rodzin prawdziwych pijaków, ale biada, gdyby zobaczyli syna swego wchodzącego do karczmy. Wielu jest szulerów, ale swym dzieciom nie pozwalają bezwzględnie na jakąkolwiek grę hazardową. Będą i tacy, co nie liczą się ze słowami, ale zaraz podnoszą głos, jeśli by ktoś przy ich dzieciach wyrażał się nieodpowiednio. Przypominam sobie, że nie tak dawno był tu u mnie starszy już człowiek, bardzo poważny, choć niewierzący, a takie dał mi zalecenia: Niech Ksiądz baczy, aby mój syn brał żywy udział w nabożeństwach zakładowych, aby przystępował do Sakramentów świętych, przygotował się do bierzmowania, słowem zachowywał się należycie.

A jak to? – powiedziałem - pan się orientuje w tych rzeczach? Uznaje ich wartość?

Ależ naturalnie!

A praktykuje je pan?

Prawda! Nie jestem w porządku i czuję się nieszczęśliwym i dlatego właśnie pragnę, ażeby mój syn takim nie został.

Jeżeli panu tyle leży na sercu los jego dziecka i chce, by ono było wychowane religijnie, to, czemu nie pomyśli o sobie?

To niemożliwe. Przynajmniej na razie w tym wieku. Zresztą u nas nie ma sposobności do takiego życia. Ja już od lat znajduję się w tym stanie. I nie mogę się zdecydować. A zresztą... Ostatecznie, kto wie? Może jak mnie zwali choroba, to pomyślę o swej duszy.

No tak - wtrąciłem wtedy - ale wielu umiera na ulicy, przy posiłku, w wesołej kompanijce. Ot, zawróci im się w głowie i przechodzą na drugi świat. A gdyby coś podobnego zdarzyło się i panu?

Ano trudno! Pazienza!

Trudno, nietrudno, ale chyba trudniej będzie wytrzymać całą wieczność w piekle, aniżeli teraz wrócić na dobrą drogę. On milczał i ja nic nie mówiłem. Po chwili rzekł do swego towarzysza, bo byli we dwóch: Zostaw mnie na chwilę samego. Chcę porozmawiać z Księdzem Bosko. Gdy zostaliśmy obydwaj w pokoju, powiedział do mnie:

Wie Ksiądz, że mało brakło, a rozbeczałbym się jak dziecko! Przypomniałem sobie owe lata, kiedy to miałem spokojne sumienie, kiedy przystępowałem do sakramentów świętych, kiedy się modliłem. Jeżeli mi Ksiądz dopomoże uporządkować sprawy sumienia, to przyrzekam, iż to uczynię. Pragnę wrócić do Boga.

Na to jest w stosunkowo łatwy sposób: Wystarczy odbyć dobrą spowiedź i przystąpić nabożnie do Komunii świętej.

Już tyle razy do tego się zabierałem, ale jakoś te rzeczy się przeciągają: Od Bożego Narodzenia do Wielkanocy, od Wielkanocy do Zielonych Świąt ... no i tak aż do dzisiaj.

Jeśli panu to odpowiada, to proszę zgłosić się tu do Kościoła, choćby zaraz; jeśli to nie odpowiadałoby, niech pan idzie do Consolaty, gdzie jest wielu dobrych spowiedników - albo do kapucynów.

Tak, tak. Pragnę uporządkować swoje sumienie. Pragnę, aby oktawa Niepokalanej pozostała dniem pamiętnym w mojej rodzinie. Z domu Księdzu napiszę, a Ksiądz powie mojemu synowi, który tu jest w zakładzie, że jego ojciec na nowo jest chrześcijaninem, jak on, praktykującym. Ale nich mu Ksiądz tego nie mówi zaraz, gdyż w tej chwili jeszcze nim nie jestem.

I za Łaską Bożą dotrzymał słowa.

Opowiedziałem wam to zdarzenie, by was przekonać, jak trudno wykorzenić wady nabyte w młodości, a równocześnie, byście się przekonali, jak zależy rodzicom na chrześcijańskim wychowaniu ich dzieci. Największym utrapieniem dla waszych rodziców byłoby, gdyby któryś z was został usunięty z kolegium. Ale tu nie chodzi tyle o rodziców, ani też o przełożonych, ale chodzi o to, że złym postępowaniem

obraża się Boga. Przed przełożonymi można się ukryć. Można powiedzieć: oni są tam gdzie daleko, a ja tu mogę być swobodnym...

A czy to samo popełniłbyś w oczach Bożych? O, na pewno nie.

W Oratorium na wiele rzeczy patrzy się przez palce, ale nigdy na obrazę Bożą. Moi drodzy chłopcy, módlcie się i w tej pięknej nowennie do Bożego Narodzenia starajcie się wszyscy zostać świętymi. A jako kwiateczek na jutro zwróćcie się do Dzieciątka Jezus tymi słowami: O Dziecino Boża, przyrzekam na przyszłość kochać Cię, a miłość swa okazywać ci przez zachowanie skromności tak oczu, jak i słuchu. Buona notte.

Nareszcie wieczorem, 22 grudnia, Ksiądz Bosko opowiedział swój pamiętny sen. Z tej okazji przyspieszono modlitwy wieczorne, a w sali zebrali się tak gimnazjaliści, jak i rzemieślnicy oraz wszyscy inni zamieszkujący w Oratorium. Oczekiwanie było ogólne. Święty wstąpił na podwyższenie, przyjęty frenetycznymi oklaskami przez zebranych. Kiedy dał znak, że chce mówić, nastąpiło głębokie milczenie /„W snach św. Jana Bosko pt. Odwiedziny Dominika Savio”/.

Wieczorem, kiedy zatrzymałem się w Lanzo, w godzinach spoczynku miałem następujący sen. Jest to sen, który nie ma nic wspólnego z innymi snami. Są to rzeczy doprawdy dziwne. To, co powiem, możecie oceniać jak wam się podoba, ale stosownie do słów św. Pawła: „Quod bonum est tenete”. Skorzystajcie z tego, co uznacie za odpowiednie dla siebie. Kto nie chce wierzyć, może nie wierzyć. Nic mi na tym nie zależy. Ale niechże nikt nie odważy się podśmiechiwać z tych rzeczy, o których będę mówił. Proszę was także o tym nie opowiadać osobom z poza Oratorium, ani nie pisać tego do domu. Sny są snami. Ci, którzy nie znają naszego życia, łatwo mogliby sobie wyobrazić fałszywy sąd o tym wszystkim. Wam zaś chcę opowiedzieć wszystko, co wiem, a czasem nawet to, czego nie wiem /ogólny śmiech.../. To zaś, co ojciec opowiada swoim dzieciom, to ma zostać pomiędzy nimi i nie powinno się tego wynosić, dokąd indziej. Wiedźcie, że sny zdarzają się człowiekowi, gdy śpi. Otóż w nocy, 6 grudnia, kiedy już byłem sam w swoim pokoju /nie zdaję sobie sprawy, czy wtedy czytałem, czy przechadzałem się, czy już byłem w łóżku/ zacząłem śnić.

W jednej chwili zdawało mi się, iż jestem na małym pagórku na skraju rozległej równiny. Wzrok gubił się w jej bezmiarze przypominającym toń morską, niemącą najlżejszym powiewem wietrzyku. Rzec było można, iż to ocean rozlanego kryształu o mieniących się kolorach, na którego brzegu ja stałem... Więcej jeszcze uroku przydawały tej czarującej okolicy szerokie, obsadzone bujnym kwieciem aleje, łączące precudne parki - ogrody, a w nich kępy drzew przedziwnych, zieleńce, klomby kwiatów o najrozmaitszych barwach i kształtach. Żadne z naszych roślin nie da się z nimi porównać... Roślinki, kwiaty, krzewy, owoce jakżeż były rozkoszne i powabne: liście lśniły złotem, pnie i gałęzie mieniły się diamentami, a wszystko zharmonizowane z otaczającym je przepychem. Wprost niepodobnym było zdać sobie

sprawę z tej przebogatej różnorodności, wśród której i najmniejsza trawka błyszczała jej tylko właściwym światłem.

A wśród tych rajszych ogrodów na całej przestrzeni widziałem liczne, wspaniałe pałace, których piękno, styl, bogactwo, rozmiar, były tak niezwykle, że wszystkie bogactwa ziemi nie wystarczyłyby do wzniesienia jednego z nich. Podziwiając je, myślałem sobie: gdyby moi chłopcy mieli, choć jeden taki, jakże byliby zadowoleni, jakże czuliby się szczęśliwi... Tak sobie myślałem, oglądając te gmachy tylko z zewnątrz. Jakież dopiero przepych musiał zalewać ich salony!

Gdy tak patrząc na wszystko, nie mogłem nasycić oczu tymi cudami, oto daje się słyszeć muzyka tak miła, a tak harmonijna, że trudno mi to wyrazić. Nasze ziemskie muzyki w porównaniu - to doprawdy kociokwik /stonatura/. Grały tam setki instrumentów, każdy dźwiękiem o jemu właściwej barwie, a wszystkie te dźwięki łączyły się w potężne, pełno brzmiące akordy, rozplywające się rytmicznie w przestworzach. Na tle owej muzyki śpiewały liczne chóry.

I teraz ujrzałem całe rzesze ludzi rozbawionych wesoło w owych ogrodach. Oni to właśnie śpiewali i grali. Co za cudne były te melodie. Każdy głos, każda nuta ze swoistą koloraturą robiły wrażenie, jakby tysiące grały, czy śpiewały... A wszystkie tony, głosy i dźwięki od najniższych do najwyższych w przegubach krzyżujących się tonacji tworzyły razem swoistą, iście rajska symfonię, godną zaświatów. Z twarzy uszczęśliwionych śpiewaków widać było, że rozkoszując się własnym śpiewem, cieszą się i radują śpiewem innych, a każdy z nich śpiewając, pragnął jeszcze śpiewać, a słuchając dalej, chciał słuchać śpiewających. A oto, co śpiewali: SALUS, HONOR, GLORIA DEO OMNIPOTENTI... Życie, chwała, cześć Bogu Wszchemogącemu - Stwórcy wieków, który był, który jest, który przyjdzie sądzić żywych i umarłych na wieki wieków...

Gdy w zachwycie słuchałem tych niebiańskich pieni, oto ukazuje mi się wspaniałe orszak, ale większość była mi nieznana. Ta niezliczona ich rzesza szła ku mnie. Na ich czele postępował Dominik Savio, zaraz za nim ksiądz Allassonatti i wielu, wielu innych kleryków i księży, z których każdy prowadził grupę chłopców.

Gdy już podeszli do mnie na odległość kilku kroków, przystanęli. Wtedy rozbłysło jakieś oślepiające światło; wszystko umilkło i nastąpiła zupełna cisza. Jak miło było na nich patrzeć. Z oczu wszystkich tryskała najżywsza radość, a z twarzy przebijał bezmiar niewypowiedzianego szczęścia. Spoglądali na mnie z serdecznym uśmiechem, jakby mi chcieli coś powiedzieć, ale jednak milczeli...

Dopiero Dominik Savio postąpił parę kroków naprzód i stanął tak blisko mnie, że gdybym wyciągnął rękę, mógłbym go dosięgnąć. Stał chwilę w milczeniu, patrząc na mnie, przymilnie uśmiechnięty. Jakże on był piękny. Ubranie jego szczególnie się wyróżniało: powłóczysta, lśniąca bielą suknia spływała mu aż do stóp, przetkana diamentami i bramowana złotem. Przepasany był szeroką, szkarłatną szarfą, również tkaną gęsto kosztownymi perłami, jedna przy drugiej. Tworzyły one między sobą przedziwne wzory, a także miały cudną grę kolorów, że stałem nimi olśniony.

Z ramion spływał naszyjnik dzierzgany kwiatami przedziwnymi, a właściwie brylantami o precudnym połysku światła, splecionych złotymi niemi między sobą. Ich blaski nieziemskie przewyższały jasność słońca, które wtedy rozlewało na tę krainę swój urok wiosenny. A to wszystko było tylko obramowaniem twarzy tego Młodzieniaszka, pełnej piękności i wdzięku niebiańskiego, opromienionej aureolą tęczy. Z głowy, uwieńczonej koroną róż, włosy bujnymi lokami opadały mu na ramiona. Cała jego postać była tak piękna, tak miła, tak powabna, iż zdawało mi się miałem wrażenie tak, miałem wrażenie, że to Anioł /Mówiąc o tym, Ksiądz Bosko, widoczne było, iż szukał słów na oddanie tego, co czuł, co wtedy przeżywał we śnie, a wreszcie skończył ten opis jakimś dziwnym gestem i takim tonem głosu, że to wszystkich słuchających zastanowiło/.

Także i wszyscy inni, którzy mu towarzyszyli, jaśnieli nadziemską światłością. Ubrani byli różnie, ale każdy przepięknie, któryś mniej, ktoś inny więcej bogato; ten w jeden sposób, tamten w drugi: ten w jednym kolorze, tamten w innym, a poszczególne szaty miały osobny swój krój, nieznan na ziemi: biodra zaś wszyscy mieli przepasane jednakową szkarłatną wstęgą.

Na widok tego wszystkiego myślałem sobie:, Co to właściwie ma znaczyć? Jak się tu dostałem? Nic z tego nie rozumiem... Zdezorientowany, cały drżący od uszanowania, nie śmiałem nawet ruszyć się z miejsca. I tak staliśmy wszyscy w milczeniu.

Nareszcie przerwał tę ciszę Dominik Savio, mówiąc do mnie:

Czemu stoisz w milczeniu, jakby przerażony? Gdzież twoja odwaga? Czyż już nie jesteś owym człowiekiem, co to dawniej niczego się nie obawiał, gotów dla wyższych celów na wszelkie kalumnie, prześladowania i przykrości, czy niebezpieczeństwa? Czemu ze mną nie wszczynasz rozmowy?

Odpowiedziałem na to zająknięty: Nie wiem, co mówić. Więc to ty jesteś Dominik Savio?

Tak, ja jestem. Czyż mnie już nie poznajesz?

A jak się stało, że tu się znajdujesz? – zapytałem zawsze jeszcze niepewnie siebie. A na to Dominik bardzo poufale:

Przyszedłem, aby z tobą porozmawiać, jak to rozmawialiśmy na ziemi. Nie przypominasz już sobie, jak mnie wtedy kochałeś? Ile mi dałeś dowodów życzliwości, jaką troską mnie wtedy otaczałeś? Ale też i szczerze odpowiedziałem na twoją miłość i miałem pełne zaufanie do ciebie. Czemuż, więc teraz miałbyś się czuć zakłopotany, czy się obawiać? Pytaj, więc śmiało, o co chcesz. Na te słowa trochę bardziej opanowany rzekłem:

Jestem strwożony, bo nie wiem, gdzie się znajduję.

Jesteś w miejscu szczęśliwości - wytłumaczył Dominik - gdzie się używa pełni szczęścia i wszelkich rozkoszy.

Czy to, więc jest miejsce nagrody sprawiedliwych?

To zaś nie... Tu jesteśmy w miejscu nie dóbr wiecznych, ale tylko doczesnych, chociaż doprawdy są one bardzo wielkie.

A więc to wszystko są rzeczy tylko naturalne?

Tak, tylko naturalne, choć upiększzone wszechmocą Bożą.

A mnie się zdawało – zawołałem - że to niebo...

Nie, nie. Przenigdy! - odpowiedział żywo Dominik. Żadne oko śmiertelne nie może oglądać piękności wiecznych.

A ta muzyka i to światło, czyż nie są z nieba?

Ależ nie i jeszcze raz nie.

Więc to wszystko jest tak całkiem naturalne?

Tak, zupełnie w granicach sił przyrody udoskonalonych wszechmocą Bożą.

Nawet ta jasność przewyższająca blask słońca?

A nie można, by zobaczyć, choć odbłasku światłości nadnaturalnej?

Nikt nie jest zdolny tego zobaczyć, dopóki nie ogląda Boga twarzą w twarz. Najmniejszy promyk tej jasności uśmierciłby człowieka w jednej chwili, gdyż jest on ponad ludzkie siły.

A czy możliwe jest światło naturalne silniejsze od tego?

Och, gdybyś wiedział... Gdyby tu padł tylko promyk takiego światła, to pozbawiłby cię zmysłów.

A jednak może by się dało, choć promyczek czegoś podobnego zobaczyć?

No ostatecznie niech będzie: tak na potwierdzenie tego, co powiedziałem. Otwórz, więc oczy...

Przecież mam otwarte – odpowiedziałem.

No to uważaj i patrz w kierunku tego morza krystalicznego. Spojrzałem... A w tej chwili zabłysnął nagle na firmamencie niebieskim gdzieś w dali promyczek światła, subtelny, jakby cieniuszka nitka, lecz o blasku tak oślepiającym, że oczy nie mogły wytrzymać. Zmrużyłem je i wrzasnąłem strasznie, budząc księdza Lemoyne, co tu jest obecny, a który spał w sąsiednim pokoju. Ów promyczek światła był miliony razy silniejszy od słońca, a jego blask oświecił, by świat cały... Po chwili pytam Dominika:

Cóż to było? To już chyba był promień boskich blasków.

Wcale nie... To w ogóle nie było światło nadprzyrodzone, choć w porównaniu ze światłem słonecznym oczywiście było wielekroć silniejsze. Ale chociażby cała ziemia zalana została morzem podobnego światła, jeszcze to nie dałoby pojęcia najmniejszego o jasności niebieskiej.

A wy, czym się cieszyacie w niebie?

Tego opowiedzieć nie podobna... Śmiertelny człowiek dopóki nie opuści tego świata i nie połączy się ze swym Stwórcą, tego absolutnie nie pojmie... Cieszymy się Bogiem. Oto wszystko...

Ja tymczasem powoli wróciłem do równowagi, podziwiając piękność Dominika i jego twarzy. Wreszcie zapytałem już całkiem śmiało:

Czemu twoja suknia tak śnieżnobiała i lśniąca?

Dominik nic na to nie odpowiedział. Ale za to chóry zaczęły śpiewać z towarzyszeniem wszystkich instrumentów: IPSI HABUERUNT...

Ci biodra mieli przepasane i wybielili szaty swoje we krwi Barankowej...

A skąd ta szkarłatna szarfa, którą jesteś przepasany? Savio wciąż milczał, dając znak, że nie będzie odpowiadał, ale zaśpiewał ksiądz Alasonatti: VIRGINES ENIM SUNT. Bo dziewicami są i idą za Barankiem, dokądkolwiek idzie.

Zrozumiałem z tego, że przepaska szkarłatna była symbolem ofiar, równych męczeństwu, poniesionych dla zachowania cnoty czystości, dla której Dominik był gotów oddać życie, gdyby tego okoliczności wymagały... Była wysłużoną umartwieniami i pokutą, które oczyszczają dusze z najmniejszych naleciałości grzechowych... śnieżna zaś biel i jej blask świadczyły o zachowaniu niewinności ze chrztu świętego.

Zachwycony śpiewem i pięknnością młodzieży zszeregowanej za Dominikiem, zapytałem go: Co to za chłopcy, co ci towarzyszą? A jak to jest - zapytałem ich samych - że chodzicie w takich blaskach? Savio dalej milczał, a zaśpiewali owi chłopcy: HI SUNT. Ci są, jako Aniołowie Boży w niebiosach.

Zauważyłem teraz, że Dominik miał pewne przewodnictwo nad całą tą rzeszą, która trzymała się do niego z szacunkiem w pewnej odległości. Zapytałem go więc: Powiedz mi, mój Dominiku, jak to jest, że ty, będąc młodszym od tylu innych towarzyszących ci, idziesz jednak na przodzie i ty przemawiasz, a oni milczą?

Bo jestem najstarszy pomiędzy nimi.

To zaś nie... - odpowiedziałem. Wielu tu widzę starszych od ciebie w latach.

Tak, ale ja jestem pierwszy z Oratorium... Zresztą legatione Dei fungor - pełnię poselstwo Boże do ciebie.

Z odpowiedzi tej zrozumiałem, że Dominik ma mi coś do zakomunikowania.

Mówmy, więc - rzekłem - o sprawach, które nas w tej chwili bliżej obchodzą.

Owszem, ale spiesz się, bo godziny uciekają i mógłby się skończyć czas dany do rozmowy z tobą.

Przypuszczam, że masz mi coś ważnego do powiedzenia.

Cóż ja osobiście mógłbym mieć ci do powiedzenia, ja biedne stworzenie - odrzekł Dominik z głęboką pokorą. Z góry otrzymałem zlecenie, aby się z tobą rozmówić i dlatego przybyłem.

A więc opowiadaj mi o terażniejszości, przeszłości i przyszłości naszego Oratorium. Powiedz mi coś o moich drogich chłopcach, o moim Zgromadzeniu.

Tak, co do Zgromadzenia miałbym ci wiele do powiedzenia.

Powiedz mi wtedy, co tylko o nim wiesz. Mów mi o jego przeszłości...

Przeszłość cała na tobie.

Sprawilem się czasem po swojemu, co?

Co do przeszłości mogę ci oświadczyć, że twoje Zgromadzenie działało już wiele dobrego. Widzisz tam w dali niezliczone rzesze młodzieży?

Widzę – odpowiedziałem - Och, jak ich wielu a jak oni szczęśliwi.

A on na to: A patrz lepiej i czytaj napis nad bramą tamtego ogrodu.

Tak widzę. Widnieje tam napis: OGRÓD SALEZJAŃSKI.

Otóż to - ciągnął dalej Dominik. Wszyscy oni byli w mniejszym lub większym stopniu salezjanami, bo albo byli wychowani pod kierownictwem, albo mieli z tobą jakąś łączność i zbawieni zostali wprost przez ciebie, względnie tych księży, czy kleryków, czy nawet innych pokierowanych przez ciebie na drogę kapłaństwa. Policz ich, jeśli możesz. Ale wiedz, że byłoby ich o wiele, wiele więcej, gdybyś miał więcej wiary i ufności w Bogu.

Westchnąłem ciężko, nie wiedząc, co odpowiedzieć na tę przyganę, ale w sercu postanowiłem na przyszłość bardziej starać się o tę wiarę i ufność w Bogu. Następnie spytałem:

A terazniejszość? Tu Dominik pokazał mi prześliczny bukiet kwiatów. Były w nim róże, fiołki, słoneczniki, goryczka, lilia, mirt i kłosy pszenicy, a podając mi go powiedział:

Przypatrz się...

Bukiet ten pokaż swoim chłopcom, aby wiedzieli, jak on ma wyglądać, kiedy go przyjdzie im wręczyć Panu Bogu; postaraj się, aby go wszyscy mieli, aby nie znalazł się żaden, co by go sobie dał wyrwać. On im zapewni całkowicie szczęście...

Dobrze, ale co właściwie oznacza ten bukiet?

Zajrzyj do teologii: tam jest wyjaśnienie.

Uczyłem się teologii, ale tam o kwiatach nic nie było... nie umiem tego jakoś pogodzić...

A jednak to twój ścisły obowiązek - podkreślił Savio.

Zlituj się - prosiłem. Wyrwij mnie z tego ambarasu i wytłumacz mi sam.

A wtedy Dominik: Otóż te kwiaty symbolizują cnoty najbardziej miłe Zbawicielowi.

A które to są?

Róża to symbol miłości; fiołek – pokory; słonecznik – posłuszeństwa; goryczka - pokuty i umartwiania; kłosy pszenicy - częstej Komunii św.; zaś o cnocie liliowej napisane jest: Będą, jako Aniołowie Boży w niebiosach - to czystość; mirt oznacza wytrwałość.

Dobrze, mój drogi Dominiku. Ty, co za życia praktykowałeś wszystkie te cnoty, powiedz mi, co ci było największą pociechą w godzinę śmierci?

Jak sądzisz? Cóż by to mogło być? - zagadnął mnie wzajemnie Dominik.

Może to, żeś zachował cnotę anielską?

Nie koniecznie. Nie tylko to.

Może to, żeś miał spokojne sumienie?

To chyba błoga nadzieja nieba?

Ani to.

Cóż wtedy? Może to, żeś sobie uzbierał skarb wielki dobrych radości.

Wtedy Dominik: Otóż to, co mi było największą pociechą w chwili śmierci, to obecność potężnej i ukochanej Matki Zbawiciela. Powiedz to wszystkim twoim synom, by póki żyją, nie przestawali polecać się gorąco Jej macierzyńskiej opiece.

A odnośnie do przyszłości, co mi powiesz? - zapytałem teraz.

Co do przyszłości, to w następnym roku 1877 spotka cię wielki smutek. Sześciu i jeszcze dwóch z tych, których bardzo cenisz, będzie powołanych do wieczności. Ale pociesz się, bo z padolu ziemskiego przesadzeni będą do ogrodów niebieskich i ukoronowani chwałą. Nie obawiaj się, zatem, za nich przyjdą inni nie mniej dobrzy.

A no trudno. A co mi powiesz o Zgromadzeniu?

Oдноśnie do twego Zgromadzenia, to wiedz, że Bóg mu przygotowuje wielkie rzeczy. W przyszłym roku rozbłyśnie nad nim blask takiej chwały, że będzie widoczny na cztery krańce ziemi. Ale ty bacznie uważaj, aby rydwan, na którym jedzie sam Bóg, nie został przez twoich wykolejony. Jeśli tylko twoi księża będą umieli nim kierować i okażą się godni swej wysokiej misji, przyszłość dzieł twoich będzie wspaniała i przyczyni się do zbawienia milionów. Ale to zawsze pod jednym warunkiem, a mianowicie, aby twoi synowie byli pobożni do Najświętszej Dziewicy i umieli strzec cnoty czystości po swoich domach, która tak jest miła w oczach Bożych.

A teraz chciałbym usłyszeć jeszcze coś w ogóle o losach Kościoła całego.

Losy Kościoła świętego są w rękach Boga Stwórcy. Co tam jest postanowione, tego nie mogę ci powiedzieć. To są tajemnice ściśle Jego i żaden z duchów stworzonych nie jest do nich dopuszczony.

A o Piusie IX mógłbyś mi coś powiedzieć?

O nim tylko tyle mogę powiedzieć, iż już niedługo będzie jego bojowanie na tej ziemi. Jeszcze tylko kilka potyczek będzie miał do stoczenia, a będzie powołany po nagrodę zasłużoną. Ale Kościół - wiemy dobrze, że nigdy nie upadnie. A czy jeszcze chcesz, o co pytać?

A co do mnie? - zgadnąłem.

Och, gdybyś wiedział, ile jeszcze różnych przeżyć cię czeka... Ale już czas na rozmowę z tobą się kończy: czy jeszcze coś chcesz wiedzieć?

Słyszac to, wyciągnąłem szybko ręce, by ująć tego świętego młodzieniaszka, ale uchwyciłem tylko powietrze...

Nierozsądny, co robisz? - odezwał się z uśmiechem Savio.

Boję się, że mi uciekniesz – zawołałem. A to ty nie jesteś tu ze swoim ciałem?

Ale gdzież tam z ciałem. Przywdzieję je w swoim czasie.

Czym więc jest ta twoja postać? Przecież wyraźnie widzę w tobie rysy Dominika Savio...

Widzisz - tłumaczył mi - kiedy dusza jest rozdzielona od ciała, zachowuje swoją postać dawną zewnętrzną, jaką miało jej ciało na ziemi w tej postaci bardziej upiękowanej objawia się. W tej też postaci pozostaje, aż do dnia Sądu Ostatecznego, kiedy z powrotem połączy się z ciałem i z nim wejdzie do nieba. Więc teraz zdaje mi

się, że ja mam ręce, nogi, głowę, ale ująć mnie nie możesz, gdyż jestem czystym duchem. A postać ciała tylko, byś mnie mógł poznać.

Już zrozumiałem. Ale jeszcze jedna rzecz: Czy moi chłopcy wszyscy są na drodze zbawienia? Powiedz mi coś, co bym im dla ich dobra mógł powtórzyć.

Oдноśnie do twych chłopców, których Opatrzność Boża ci powierzyła, to można ich podzielić na trzy grupy. Oto są trzy spisy: I wręczył mi jeden. Przypatrz się dobrze.

Spojrzałem na spis. Na wierzchu był nagłówek: NIEZRANIENI. Byli to ci, co zachowali niewinność chrztu świętego i nie dali się zranić szatanowi, mimo jego nieustannych zasadzek i napadów. Było ich za dużo. Jednych znałem, inni byli mi obcy, widocznie dopiero przyjdą do naszych zakładów. Inni szli jakby przede mną nieustraszeni wąską ścieżką, a choć ciskane były w nich strzały, to jednak bezskutecznie. Postępowali naprzód zwycięsko.

Teraz Dominik dał mi drugi spis z nagłówkiem: RANNI. Ci utracili kiedyś łaskę Bożą, ale ją odzyskali w spowiedzi przez pokutę i rany swe wygoili. Więcej ich było niż pierwszych, a wielu z nich szło przygarbionych i zniechęconych.

Widziałem, że Savio ma jeszcze trzeci spis z nagłówkiem: ZDEPRAWOWANI NA DRODZE WYSTĘPKU. Były tam nazwiska tych, którzy żyli w stanie grzechu ciężkiego. Niecierpliwym byłoby zobaczyć tych nieszczęśliwych i wyciągnąłem rękę po ten rulon, ale Dominik żywo mnie zatrzymał. Nie. Zaczekaj chwilkę i posłuchaj. Jeślibyś rozwinął ten rulon, to wyjdzie z niego taki fetor, że ani ty, ani ja nie będziemy go mogli znieść. Wszyscy Aniołowie zaraz się z tego miejsca usuną, a sam Duch Święty czuje wstręt nieprzearty do zaduchu grzechowego.

Jakżeż to być może – zauważyłem - skoro Bóg i Aniołowie są niecierpliwymi? Jakże mogą odczuwać zaduch idący od materii?

Mogą jednak, gdyż im stworzenia jakiegoś są lepsze i czystsze, tym bardziej są zbliżone do duchów niebieskich; przeciwnie zaś, im, kto jest bardziej przewrotny, niemoralny, brudny duchowo, tym więcej oddala się od Boga i duchów niebieskich i jest dla nich przedmiotem wstrętu i obrzydzenia.

To rzekłszy, wręczył ową kartkę, mówiąc: Weź ją, rozwiń i umiej wykorzystać dla dobra twych chłopców. A nie zapominaj o bukietach kwiatów, jaki ci dałem. Pilnuj, aby go wszyscy mieli i zachowali zawsze świeży. To rzekłszy, usunął się nagle między swych towarzyszy, jakby chciał uciec przez czymś. A ja rozwinąłem papier. Nie widziałem nazwisk, ale wszystkie te ponure postacie stanęły przede mną jak żywe. Równocześnie rozszedł się wokoło taki odrażający fetor, że dostałem od niego torsji i rozboleła mnie głowa. Przy czym ściemniło się, wizja niebiańska rozwiała się i już nic nie widziałem. Naraz błysło się, huknął przeraźliwy grzmot, iż przestraszony... obudziłem się.

Wstrętny odór przeniknął wszystkie zakamarki, przejął odzienie, że nawet w parę dni potem zdawało mi się, że czuję jeszcze ten zaduch. Tak wstrętną jest

w oczach Bożych sama nazwa tego grzechu. Nawet w tej chwili na wspomnienie owego wstrętnego występkę odczuwam dreszcze, duszność i biorą mnie wymioty.

W Lanzo, gdzie ten sen mi się przydarzył, pytałem tego czy owego, by przekonać się o prawdziwości rzeczy oglądanych we śnie i przekonałem się, że nie był on żadnym przywidzeniem. Widocznie Bóg darzy mnie tą łaską, iż mogę poznać stan sumienia każdego z was. Oczywiście, że o tym nie będę mówił publicznie. Można by tu jeszcze zatrzymać się nam wyjaśnieniem niektórych szczegółów, ale o tym może kiedy indziej. Na razie życzę wszystkim dobrej nocy.

Co dotyczy stanu sumienia niektórych chłopców, jaki ksiądz Bosko oglądał we śnie, to już wiemy, że odpowiadał on w zupełności prawdzie.

Bieg wypadków potwierdził także prawdziwość proroctw zapowiedzianych w wizji. W roku 1877 umarło dwóch kleryków i sześciu wychowanków. W tymże roku spełniło się i drugie proroctwo, głoszące, iż dla Towarzystwa Salezjańskiego wszędzie zorza tak wspaniała, iż rozbłyśnie ona we wszystkich częściach świata. I rzeczywiście w tym roku zaczęło wychodzić „Bollettino Salesiano” i zorganizowany został Związek Pomocników Salezjańskich. I po dziś dzień stwierdzamy, że „Bollettino Salesiano” rozchodzi się po całej kuli ziemskiej w różnych językach, a Związek Pomocników obejmuje coraz szersze warstwy społeczne. Trzecia przepowiednia dotycząca zgonu Papieża Piusa IX sprawdziła się czternaście miesięcy później. Ostatnia zapowiedź, bardzo gorzka dla Świętego, wyrażona w owym wykrzykniku: „O gdybyś wiedział, ile cię czeka jeszcze ciężkich przeżyć...” - nie mniej realistycznie spełniała się przez ostatnie jedenaście lat jego życia, jak to zresztą zobaczymy w dalszych tomach. O powyższym śnie dowiedział się niedługo po nim komendant policji w Borgo Dora, który pozostawał w bliższym kontakcie z mieszkańcami Oratorium. Zainteresowała go przepowiednia, dotycząca ośmiu zgonów w roku 1877. Interesował się, zatem pilnie, czy to się sprawdzi. Kiedy dowiedział się, że ósmy umarł dokładnie w dzień starego roku, bez wahania wypowiedział służbę i zapisał się do Zgromadzenia Salezjańskiego. Jest to ogólnie znany ze swej działalności w Zgromadzeniu, nie tylko we Włoszech, ale i w Ameryce ksiądz Anioł Piccono.

We Wigilię Bożego Narodzenia udało się uskutecznić w Oratorium rozdzielnie jadalni nowicjuszków od wspólnej jadalni w Oratorium dla współbraci. Oczywiście było dla nowicjuszków trochę przykro wychodzić ze wspólnej jadalni, a tym samym i do Księdza Bosko. Ale ten umiał zawsze rzeczom przykrym nadać taki posmak, iż zdolne były rozbudzić nawet entuzjazm. Zapowiedział rozłękę w formie pogodnej; stoły nakazał nakryć bieluchnymi obrusami i odpowiednio zastawić; służbę pełnili sami nowicjusze w nowych fartuchach; zwyczajnej lektury w czasie posiłku nie było w tym dniu. Wszystko to razem poprawiło humory i zapobiegło możliwych dąsom.

Pasterkę w tym roku odprawił jak zwykle Ksiądz Bosko. Dekret Kurii zezwalający na to nabożeństwo, nakładał obowiązek odprawienia go undequaue

januis clausis. To „undequaque” narobiło ambarasu przełożonym Oratorium. Bo jakże będą mogli wejść do kościoła zaproszeni goście, jeśli drzwi będą ze wszystkich stron zamknięte? Z tym kłopotem zwrócili się do Księdza Bosko. Ten odpowiedział krótko: Entreremo tutti dal campanile - wejdziemy przez dzwonicę.

Wieczorem w dzień Bożego Narodzenia, w obecności wszystkich nowicjuszków i profesów, złożyło śluby zakonne wieczyste czterech księży i jeden kleryk, a czasowe śluby - dwóch kleryków. Pro profesji Święty tak przemówił:

W czasie tej profesji przechodziły mi przez głowę różne myśli. Mamy przed sobą czterech kapłanów, którzy przyszedli z dalekich okolic, by wstąpić do Zgromadzenia. W związku z tym przypomina mi się, co niedawno czytaliśmy o Noem, któremu Bóg polecił, by zbudował sobie arkę i tak mógł uniknąć ogólnej zagłady, jaka czekała rodzaj ludzki. Otóż do Noego podobni są ci, którzy widząc, jak świat zalewa potop zła, kryją się za murami domów zakonnych, by w nich znaleźć ocalenie. Od zepsutego świata uciekał także Lot, szukał przed nim schronienie na puszczy także Eliasz.

W dalszym ciągu konferencji, której streszczenie przekazał nam ksiądz Vespignani, jeden z owych czterech nowych profesów, podkreślił Święty Założyciel, iż jest jego zwyczajem zapewnić tym, co zwłaszcza w starszym wieku wstępują do Zgromadzenia: pane, lavoro e paradiso - chleb, pracę i niebo. By tę myśl swoją lepiej im uzmysłwić, kazał słuchającym wyobrazić sobie, iż bierze ich za rękę i oprowadza po Oratorium, które ma być wzorem dla wszystkich innych domów salezjańskich. Zaczął od portierni, gdzie zostali grzecznie przyjęci przez odźwiernego salezjanina, którego określił jako „un gran tesoro”- wielki skarb dla domów wychowawczych. Następnie przedstawił ich prefektowi, a po nim dyrektorowi, malując żywo delikatność i ducha ojcowskiego, jakim ma się odznaczać ten, który piastuje wspomniany urząd.

Z dyrekcji wyszli na podwórze, gdzie roiło się od chłopców bawiących się według swego upodobania w towarzystwie asystentów. Stąd weszli do klas i do studium, co dało sposobność do omówienia, jak zaprawić chłopców do sumiennego spełniania swoich obowiązków. Przechodząc przez pracownię, malował przed oczyma słuchaczy obraz dobrego instruktora i kierownika. „Oto – mówił – jak się p r a c u j e w jednym duchy, z jednym zamiarem zbawiania dusz”. To rzekłszy wskazał palcem w górę, wyraźnie w kierunku swego pokoiku, zapraszając wszystkich, ażeby jak najczęściej go odwiedzali, by dzielić się z nim swymi przeżyciami, przedkładać mu swoje wątpliwości, skorzystać z jego przyjacielskiej porady.

Następnie skierował kroki do Oratorium świątecznego. Jakież tam ruch i młodszych i starszych, którzy zbiegali się, by spełnić swoje obowiązki religijne. Jaki tam panuje porządek, tak przy katechizacji, jak i przy zabawie. Czuć było ze słów Świętego, iż to jest jego żywioł.

Zeszli potem do refektarza, a przy tej sposobności podkreślił im z ojcowską dobrocią, iż tu się spożywa chleb Księdza Bosko, chleb Boskiej Opatrzności,

dostarczany przez zacnych Pomocników, którym dzielą się salezjanie i ich wychowankowie - tak gimnazjaliści, jak rzemieślnicy.

Rozwinąwszy tak treść programowego chleba, z którym łączy się codzienna praca, zawołał wzruszony ze szczególną serdecznością:

A oto po tym wszystkim, cośmy zobaczyli, pozostaje nam jeszcze do oglądnięcia, owszem do zakosztowania, to, co najlepsze: Il Paradiso – Niebo! Wszyscy z natężeniem oczekiwali, jak będzie wyglądać to Niebo Księdza Bosko. Tym niebem była świątynia Najświętszej Maryi Wspomożycielki. Odmalował ją tak cudnie, iż u wszystkich wzbudził nie tylko podziw, ale radosny zachwyt. Doprowadziwszy ich dom prezbiterium, do Jezusa utajonego w Najświętszym Sakramencie, do stóp Obrazu Madonny, rozwodził się nad pięknem uroczystych funkcji religijnych, nad tą wzruszającą pobożnością tylu chłopców i wiernych, nad muzyką i śpiewami, nad uczęszczaniem do sakramentów świętych, nad poufnymi zwierzeniami, płynącymi ze serc tych, co nawiedzają Tabernakulum i Tron Wspomożycielki i w tej chwili zwrócił się do wpatrzonych w niego słuchaczy z emfatycznym pytaniem: Czyż to wszystko nie tchnie atmosferą nieba? I tak kończył tę przechadzkę po Oratorium?

Wszystko to, co powiedziałem, znajdziecie w każdym z naszych domów i kościołów. Wszędzie będziecie mieć chleb, pracę i niebo. Być może, że przyjdzie wam pić i gorzkie wody; spotkają was nieprzyjemności, choroby, ciężkie doświadczenia, pokusy; niech i tak będzie, a wtedy posłuzcie się środkiem wskazanym przez Mojżesza: do tych gorzkich wód włóżcie drewno, które zdolne jest je osłodzić. A tym drewnem to Krzyż, czyli pamięć na Mękę Chrystusa Pana i na Ofiarę, jaką codziennie składa na naszych ołtarzach.

W dalszym ciągu konferencji zatrzymał się jeszcze Ksiądz Bosko nad omówieniem życia czynnego, czyli pracy salezjańskiej i tak ciągnął dalej: W tym względzie św. Ambroży, bardzo biegły tak w naukach kościelnych, jak i świeckich, pięknie przeprowadza podobieństwo z życia pszczoł do życia zakonnego i tak mówił:

Pszczoła wszystko robi stosownie do pory dnia. Wie dobrze, kiedy czas wylatywać, a kiedy wracać do ula; kiedy deszcz pada, czy burza nadchodzi, pozostaje w nim porządkując plastry; jeżeli nie zdąży uchronić się na czas przed nadchodzącą zawieruchą, kryje się po skałach, czy w dziuplach, albo między liśćmi drzew. To, co czynią pszczoły instynktownie, to wy czyńcie z posłuszeństwem, a wyjdzie to na wielką waszą korzyść.

Zakonnik, gdy chce wychodzić, a usłyszy zgiełk światowy, w jakiegokolwiek formie, nie powinien wychodzić z domu. A jeśli znajdując się między ludźmi świeckimi zauważymy, że nadchodzi burza pokus, uciekajmy, czym prędzej do ula - do naszego domu, albo przynajmniej zmieńmy temat rozmowy, czy otoczenia, czy miejsce naszego doraźnego pobytu.

Dalej Ksiądz Bosko idąc za myślą Doktora z Mediolanu zwrócił uwagę na to, jak pszczoły w nowym ulu skrzętnie zalepiają wszelkie otwory, pozostawiając tylko jeden, przez który wszystkie muszą wchodzić i wychodzić... Tak i zakonnicy powinni

zagradzać sobie wszelkie ścieżki, które by im ułatwiły wyjście na świat, a w domach ich jedna ma być bramą, którą pod pewną kontrolą przechodzą wszelkie osoby, czy domowe, czy obce.

Szatanowi bardzo zależy na tym, by tych, co Bogu się poświęcili choćby na czas krótki wyprowadzić za bramę klasztorną. Jeśli mu się to uda - pewien jest, iż resztę zrobią dowcipy śliskie, fotografie, obrazki, czasopisma i widowiska świata. Może nie nastąpi zaraz z tego powodu załamanie się, ale na pewno oziębnie pobożność, a to już jest pierwszy krok do katastrofy.

Pszczoły są nam wzorem pracowitości: w dzień zbierają miód i pyłek, w nocy przerabiają to i porządkują w ulu. Osobniki leniwe, darmozjady zostają zabijane i precz wyrzucone. A jakąż u nich współzależność, współpraca, gotowość na wszystko dla dobra, dla obrony całego roju! Wylatują, wracają z nazbieranym pożytkiem, składają go do plastrów, inne je zalepiają, to znowu karmią czerw, jeszcze inne strzegą wejścia do ula, czyszczą go. A przy tak różnolitej robocie jedna drugiej nie wchodzi w drogę, jedna drugiej nie okrada, nie objadają się z krzywdą drugich.

Podobna różnorodność zajęć jest i u nas: jeden myje talerze, drugi kucharzy, trzeci uczy się, inni głoszą kazania, czy uczą w szkole. Są i tacy, co zamiatają i tacy, co asystują. Kto nie może pracować, modli się, czy służy innym poradą. Gdy tak każdy będzie robił swoją część i to sumiennie, na pewno sprawy domu pójdą dobrze, ku ogólnemu zadowoleniu. A niech nikt nie mówi: Och, tę pracę mógłby, kto inny wykonać, nie ja; ja już mam tyle do roboty! Nie! Jeśli tylko możesz, nie ociągaj się! Zrób i to. Nie pozbawiaj się zasługi; nie wyolbrzymiaj trudności, których w rzeczywistości nie ma. Ale ten przełożony - może ktoś powie - czy asystent zawsze na mnie patrzy krzywym okiem, zawsze ma mi coś do zarzucenia, coś do skrytykowania! Moi drodzy, to wtedy właśnie tym lepszą macie sposobność do zabrania sobie zasług na niebo; bez cierpliwości świętymi nie zostaniemy!

Ale to, co mi zwierzo, przewyższa moje siły!

Jeśli doprawdy przewyższa twoje siły, przedstaw to spokojnie przełożonym i zrób, jak ci wskażą. Ale jeśli to tylko przewyższa siły twej woli i jest wyłącznie trudne dla twego widzimisię, wówczas trzeba sobie gwałt zadać, zabrać się energicznie do pracy i wykonać ją sumiennie.

Ale przyszedłeś tu, by pędzić życie na samotności, czy wspólne?

Wspólne - odpowiesz mi.

Więc, o co ci chodzi: masz wspólne!

Za przykładem pszczoł nie utrudniamy sobie życia, ale wzajemnie sobie pomagamy! Nie mówmy nigdy: To nie należy do mnie, to jego rzecz. Owszem ilekroć zajdzie potrzeba kogoś zastąpić, uczynmy to jak najchętniej, by przeszkodzić wszelkim możliwym nieporządkom. Zwłaszcza zaś przeszkadzajmy wszelkiemu grzechowi, czy wśród młodzieży, czy między nami. Jeśli w tym względzie będziemy wszyscy zgodni, uczynimy nieszkodliwymi nawet jednostki niebezpieczne. Wiesz na przykład, iż ktoś ma złą książkę: nie pomagaj mu w jej ukrywaniu, ale rób wszystko,

by ją mieć i zniszczyć. Nieraz będziesz miał sposobność przeszkodzić kłótniom, tworzeniu się szajek, zgorszeniom, nie ociągaj się ani obawiaj.

Przypomnę tu jeszcze, iż pszczoły się nie okradają wzajemnie, ani nie objadają się z krzywdą innych. A tymczasem słyszy się o niektórych, że nawet posługują się gwoździemi, by wdrzeć się do kuchni, czy do spiżarni po coś lepszego, względnie buszują po ogrodzie za pomidorami, sałatą, względnie innym owocem. To znowu nie! To nie dobrze moi drodzy! Na to bezwzględnie nie można pozwolić. To musi ustać! Co sobie pomyślą chłopcy, widząc podobne postępowanie u kleryków!

Słowem, uczmy się od pszczół, jak pracować, jak pracować zgodnie, jak sobie wzajemnie pomagać. To ostatnie jest najważniejsze, nie krytykować innych, nie ganić publicznie, nie zniechęcać, ale podnosić na duchu, pocieszyć w razie potrzeby i w zgodzie serdecznej współpracować.

Wspólnie, więc zabierzmy się do pełnienia świętej woli Bożej, objawionej nam przez Przełożonych, pomagajmy sobie wzajemnie w poprawianiu naszych wad, znośmy cierpliwie jeden drugiego, zachęcając się do wytrwania na drodze doskonałości i umiejmy też przestrzec, gdybyśmy, kogo ujrzeli w niebezpieczeństwie upadku.

Ćwicząc się tak w tej szkole miłości, utworzymy jedno serce złączone z Sercem Jezusowym, aż do ostatnich chwil naszego życia, kiedy dane nam będzie połączyć się z Nim na stałe w szczęśliwej wieczności.

Pamiętam tą konferencję, trwała półtorej godziny; ale czas ten, jak zapewnia ksiądz Vespignani minął „come un lampo - jak mgnienie oka”.

Jesteśmy na końcu roku cywilnego 1876. Ostatni list, jaki Święty w tym roku napisał, był do księdza Cagliero: Jeszcze nie miałem sposobności rozmawiać z konsulem Gazzolo, co do jego terenu. Odnoszę wrażenie, że chce się go pozbyć jak najprędzej. Odpowiedź otrzymasz za 15 dni. W poniedziałek jadę do Rzymu na wezwanie Ojca świętego. Czekają nas wielkie rzeczy. Zgromadzenie rozwija się bajecznie, albo lepiej niesione jest na rękach Boskiej Opatrzności. Tysiące pozdrowień od Twych znajomych z Turynu. Pozdrów itd.

W wieczór Starego Roku miał Ksiądz Bosko słówko do całego Oratorium. Wszedłszy na podwyższenie pozdrowił wszystkich słowy: „Buon fine e buon capo d'anno! Na co wszyscy zebrani odpowiedzieli chórem: Grazie!

Gdy się uciszyło podał wiązanekę na Nowy Rok, a mianowicie: Tak postępować, by kiedykolwiek nas śmierć zaskoczyła, zawsze zastała nas przygotowanych. A oto jaki komentarz do niej zrobił:

Buon fine e buon capo d'anno - to słowa, jakie stale słyszy się w tych dniach. Zwrot to konwencjonalny. Gdy jednak nad nim się zastanowimy uważnie, dużo da nam do myślenia. W nadchodzącej nocy rok 1876 zapada w przepaść wieczności

i przejdzie w niepamięć. Nadejdą inne lata 76, jak 1976, 2076, ale 1876 nie nadejdzie już nigdy.

A jak nam ten rok upłynął? Cośmy zrobili dobrego, to pozostanie, ale niestety i to, co złego popełniliśmy, również pozostanie. A czy nie dałoby się tego złego odrobić? Nie da się odrobić! Będzie można dobrze postępować na przyszłość i Pan Bóg miłosierny przez wzgląd na te nasze dobre uczynki, grzechy nam przebaczy, ale czasu straconego na występkach już się nie da odrobić. Buon fine e buon capo d'anno! Tak! Że nowy rok zaczniemy, mamy prawie pewność, lecz czy doczekamy końca, tego nie wiemy. Mógłby wprawdzie ktoś dla grzeczności życzyć nam i szczęśliwego zakończenia przyszłego roku, ale nikt na tyle życzliwy nam nie będzie, by nas o tym mógł upewnić, że tego roku nie umrzemy. Teraz tutaj jesteśmy zebrani, za rok wielu z nas już nie będzie!

Wszak zeszłego roku w ten wieczór sylwestrowy do was przemówiłem, dając wam odpowiednie przestrogi i przepowiedziałem, iż niektórzy, co mnie wtedy słuchali, roku nie przeżyją. Nie byłem i nie jestem prorokiem, a przecież umarł ks. Piacentino, ks. Chiala i inni /tu słuchacze po cichu wymienili zmarłych/. I my pomodlimy się za nich, jak i za tych, co zmarli w latach ubiegłych. Czy więc w tym roku miałby nikt nie umrzeć? Nie trzeba być prorokiem, by przewidzieć. Dziś żyjemy, jutro możemy być w grobie. Na pewno i w tym roku kilku umrze. Wynika to z prostego rachunku prawdopodobieństwa. Jest nas tu około 800. Licząc trzech na stu, powinniśmy umrzeć z nas 24. Prawdopodobnie śmierć będzie mieć wzgląd na wasz młody jeszcze wiek. Być może. Ale to nie znaczy, iż żaden z nas nie umrze. Śmierć to kosiarz. Kosząc dojrzałe zboże, czy trawę, ścina i trawki, co dopiero rozwijające się, bez miłosierdzia. Taka już jest natura śmierci. Zabiera starca ze siwą brodą, zabiera tych, co mają jeszcze wszystkie włosy i tych, co jeszcze w ogóle nie mają zarostu, a nawet dziecko z kołyski i odsyła ich do wieczności. Nie ma względu na nikogo, w tym roku mogę umrzeć tak dobrze ja, jak i każdy z nas. Miejmy nadzieję, że nas nie będzie dwudziestu czterech, ale dziesięciu, czy ośmiu na pewno. Bądźmy, więc na ten rok przygotowani. Rok przemijający, to rok, który nas zbliża do wieczności albo szczęśliwej, albo nieszczęśliwej. Oto, dlaczego podsuwa się myśl, by tak postępować, iżby śmierć nie mogła nas zastać nieprzygotowanych.

A wiecie jak można opóźnić nadejście śmierci? Wiecie wszyscy, co to są ostrogi, które bodąc boki konia, pobudzają go do przyspieszenia kroku. Takim bodźcem dla śmierci jest według świętego Pawła, grzech. Stimulus mortis peccatum. Grzechy śmierć sprowadziły na świat i dla grzeszników ją przyspieszają. Strzeżmy się ich zatem starannie, a w razie upadku, zaraz śpieszmy do spowiedzi. Kto ma sumienie spokojne, zasypia też spokojnie. Ale wyobraźcie sobie tego, co ma grzech na sumieniu, kogo dręczą wyrzuty i wewnętrzny głos mu mówi: a co by się stało, gdybyś tej nocy umarł?... Zasypia, ale jakżeż sen jego niespokojny... Wyobraźnia przedstawia mu gdzieś w głębi sypialni upióra wstrętnego... same kości bez skóry... w czaszce puste oczodoły... słyszy szelest zbliżającego się kościotrupa... Śmierć!... Staje u stóp

jego łóżka i szepce głucho: Chodź ze mną !/brrrrr... szmer między chłopcami/. A on, co powie? Może, iż jeszcze za wcześnie tak opuszczać wszystko, krewnych, przyjaciół, położonych, może by później. Nie jestem przygotowany.

A gdyby ona została głucha na wszystko... Gdyby dał się słyszeć głos, o którym mówi Ewangelia: Głupcze! Tej nocy żądam duszy twojej!

A takie wypadki zdarzają się. Co dopiero wczoraj, by przytoczyć jakiś przykład, doktor Savio po wieczery poczuł się nieswojo i położył się do łóżka. Kiedy w nocy podszedł jeden z domowników, zobaczyć, czy nie potrzebuje, czego, zastał już tylko trupa. Wprawdzie umarł bez sakramentów świętych, ale wieczorem jeszcze odmawiał z całą rodziną swoją różaniec i ufamy, że Matka Najświętsza uprosi mu względy u Sędziego Sprawiedliwego.

Wracając do naszego argumentu, unikajmy grzechu, a na długo będziemy trzymać śmierć do siebie z dala.

A teraz jeszcze kilka słów, jak zachować się, aby stale być gotowymi na śmierć. Postanówmy sobie tak spędzić przyszły rok, jak chcielibyśmy dzisiaj, żeby był przeżyty przez nas rok ubiegły. Spełniamy nasze obowiązki z pilnością i z miłością. Niech to będzie szewc, czy introligator, czy inny majster lub asystent, albo ktoś, co się uczy; niech powinności swoje pełni z pogodą ducha, z umiłowaniem ich, a tak będzie gotowy całkiem na wypadek śmierci.

Pan Bóg wynagradza posłuszeństwa. A choć są to sprawy doczesne, przemijające, to jednak nagroda pilnego sługę nie minie. Co jednak ze szczególniejszą starannością trzeba odprawiać, to praktyki religijne. Nie zaniedbujmy częstej spowiedzi, jak najczęstszej Komunii świętej, nawiedzania Najświętszego Sakramentu, zwłaszcza miejmy gorące nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny; módlmy się do Niej całym sercem, a Ona będzie naszą obroną. Praktyki te, powtarzam, odprawiamy radośnie i z miłością. Hilarem datorem diligit Deus. Podoba się Bogu, gdy to, co się czyni, czyni się z wesołością. Tak postępując utworzymy jedno serce ku miłowaniu Boga.

A może zapytacie: Czy tak postępując, unikniemy śmierci? Ależ tak! Umrzemy mimo to. Lecz śmierć nasza będzie śmiercią sprawiedliwego, który choć obawia się tej strasznej chwili, o której zależy wieczność i drży przed sprawiedliwością swego Sędziego, to jednak ufa w jego miłosierdzie, zapewniające mu przebaczenie popełnionych win.

Tak unikając grzechu, pełniąc z miłością nasze obowiązki, tak te doczesne bardziej, jak i te duchowe, gdy przyjdzie godzina śmierci, będziemy na nią dobrze przygotowani, bogaci w zasługi. Zbawiciel nasz przyjmie dusze nasze do wiecznej szczęśliwości.

Dziś żyjemy; za miesiąc może ja, może, kto inny, już nie będzie między żywymi!- Buon fine e buon capo d'anno e buona notte a tutti.

Mówiąc o tych, co mieli umrzeć w roku następnym, Ksiądz Bosko zdaje się nie pamiętać o swej uprzejmej przepowiedni o: szczęściu, plus dwu. W każdym razie

wyraźnie powiedział, iż piętnastu, dziesięciu, a już z całą pewnością: ośmiu. Jak było rzeczywiście.

To, co dotąd powiedziano odnosi się głównie do zewnętrznej działalności Świętego. Ale warto i trzeba zwrócić baczną uwagę na to, co stanowiło jego świętość. Zachowanie się Księdza Bosko było takie zwykłe, proste, bez pozy żadnej i bez przesady, iż tym budował otoczenie. Jego pokora objawiająca się w tym, iż chętnie podkreślał swe niskie pochodzenie, stała w żywym kontraście z dostojnością jego duchową i ze szerokością jego poglądów, co pozwalało mu na przedsięwzięcie rzeczy przekraczających nawet możliwości królów tego świata. Źródłem, z którego czerpał natchnienie i siłę do przeprowadzenia dzieł tak wielkich dla dobra Kościoła, było rozmyślanie u stóp Krzyża Chrystusowego. Do niego przytulony, pojmował coraz lepiej, jak można i jak trzeba: omnia resturate in Christo Jesu z pomocą jego Madonny Wspomożycielki.

SPIS RZECZY

Przedmowa	5
Rozdział I. Z początkiem nowego roku 1876	7
Rozdział II. Dwa sny: szemranie- trzech zmarłych	28
Rozdział III. Konferencje na św. Franciszka Salezego	37
Rozdział IV. Salezianie w Argentynie	62
Rozdział V. W Oratorium i w innych zakonach	71
Rozdział VI. W Rzymie 1876	96
Rozdział VII. Nowenna i uroczystość Najśw. Maryi Wspom.	135
Rozdział VIII. Ksiądz Bosko w życiu codziennym	145
Rozdział IX. Misjonarze i misje	154
Rozdział X. Duch w Mornese	167
Rozdział XI. Przygotowania do drugiej wyprawy misyjnej	178
Rozdział XII. Sprawy Oratorium od rekolekcji do końca roku	191
Rozdział XIII. Sprawy rodzinne	221
Rozdział XIV. Przeżycia innych zakładów	241
Rozdział XV. Współbracia zmarli w roku 1876	253
Rozdział XVI. Rekolekcje w Lano	259
Rozdział XVII. Projektowane fundacje	279
Rozdział XVIII. Druga ekspedycja misjonarzy	289
Rozdział XIX. Napastliwości dziennikarskie	303
Rozdział XX. Ostatnie miesiące roku 1876	310